9

Ksawery de Montepin.

TRAGEDJE PARYŻA.

ROMANS W SIEDMIU TOMACH.

Tom I.

112389

112389

GRÓDEK.
NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO.
1903.

Tragedje Paryża. Romans w siedmiu tomach - całość

Xavier de Montépin

J. Czaiński, Gródek, 1903

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

KSAWERY DE MONTEPIN.

TRAGEDJE PARYŻA.

ROMANS W SIEDMIU TOMACH.

GRÓDEK.
NAKŁADEM I DRUKIEM J. CZAIŃSKIEGO.
1903.

Pani Angot.

I.

Domy, jak ludzie, mają właściwą sobie fizjonomię. Niektóre budynki, skromne z pozoru, pociągają dziwnym urokiem, obiecując ciszę, spokój i szczęście, inne, przeciwnie, wstręt budzą swoim ponurym wyglądem.

Pilny obserwator, opierający na tem swe spostrzeżenia,

powie, i nie bez przyczyny, że w podobnych schronieniach nie mogą mieszkać uczciwi ludzie.

Do takiej to podejrzanej kategorji domów, zaliczyć nam wypada kamienicę dwupiętrową, wznoszącą się w 1850 roku na bulwarze Batignolles.

Wspomniony bulwar stał się obecnie piękną, rozległą częścią Paryża, starannie utrzymaną, należycie oświetloną, zapełnioną po obu stronach wytwornemi budowlami, wspaniałemi magazynami i kawiarniami. Nie było tak przed laty dwudziestu kilku.

Część zewnętrzna rogów bulwaru, położona między Montmartre i Batignolles, przedstawiała w lecie piaszczystą pustynię, w zimie bagnista, słabo oświetlone wieczorem, miejsce nadające się wybornie do schadzek dla pozarogatkowych włóczęgów; zabudowane dwoma rzędami szarych, brudnych domów, nie różniących cię wcale od otaczających je lepianek.

Na zewnętrznej stronie wyż wspomnionej kamienicy zdawał się ciążyć jakby rodzaj trądu.

Otynkowanie poodpadało z niej kawałkami. Okiennice i żaluzje różnego kształtu i koloru, pozakupywane widocznie w składach rupieci, trzymały się zaledwie w oknach, nieregularnie porozmieszczanych.

Właściciel domu, gruby mężczyzna, nazwiskiem Vignot, inaczej nie wiadomo z jakiej przyczyny „Sznurem“ przezwany, zajmował parter tegoż. Utrzymywał on tu kawiarnię podejrzanego rodzaju, której klientela rekrutowała się przeważnie z pomiędzy wypomadowanych „Alfonsów,“ uczęszczających na baliki pod „Królową

Blanką.“

Jeżeli godzi się wierzyć głosowi publiki, Vignot łączył do owej profesji różne rodzaje mało zaszczytu przynoszących mu zajęć. By zaś odsunąć od siebie uwagę policji, oddawał tejże niejednokrotnie nader ważne usługi, co zamykało jej oczy w pewnej mierze na jego sprawki.

Pod oknami pierwszego piętra, na murze tej kamienicy, umocowanym był obraz na drzewie olejno malowany, z którego deszcz, słońce i kurzawa, niezdołały jeszcze zetrzeć barw jaskrawych. Obraz ten, którego twórca może niestety śnił niegdyś o sławie, przedstawiał kobietę w żółtym kapeluszu z piórami, w sukni różowej, dekoltowanej, z błękitną przepaską, obejmującą z wdziękiem w ramiona pyzate niemowlę.

Poniżej widniała tabliczka, na której wypisane była nazwisko: PANI ANGOT, przyjmuje damy potrzebujące opieki. — Dyskrecja, Troskliwość macierzyńska. — Ceny umiarkowane.

Czy owa pani z bulwaru Batignolles była w rzeczy samej krewną legendowej pani Angot, nie wiemy. Jakiekolwiek bądź jednak było jej pochodzenie, zajmowała w wyż opisanym domu całe pierwsze piętro, płaciła komorne regularnie, zkąd zaskarbiła sobie szacunek i poważanie u pana Vignot.

Na drugiej tabliczce, umieszczonej w widocznem miejscu, napis objaśniał, że obok zakładu pani Angot, znajdują się pokoje umeblowane do wynajęcia, tygodniowo, dwutygodniowo i miesięcznie.

Pan Vignot był przedsiębiorcą tych lokalów.

W końcu korytarza, nasiąkniętego nieczystem wilgotnem powietrzem, wązkie ciemne schody, pokryte masą błotnistą, prowadziły do pani Angot i do pokojów umeblowanych.

Wejdźmy do jednego z nich, noszącego Nr. 4.

Trudno wyobrazić sobie izbę pospoliciej umeblowaną, o nędzniejszej powierzchowności. Podarte firanki, niegdyś białe z czerwonem obszyciem, przysłaniały do połowy łóżko drewniane, na którem leżał siennik z wyglądającą zeń słomą, i materac szczupły i płaski. Rozdarta przez całą długość firanka podobna do zawieszonej nad łóżkiem, przysłaniała okno. Komoda, stolik i cztery drewniane krzesła dopełniały całości.

Szczupłe zawiniątko leżało tuż przy komodzie. Po nad kominkiem nie było zegara, ale dwa mosiężne lichtarze, odbijające się w zielonem zwierciadle, krzywo w ramy oprawnem i zapisanem mnóstwem kobiecych imion, wyrżniętych widocznie ostrzem djamentu.

Obok kominka stał piecyk gliniany, a na nim kilka fajansowych talerzy, próżna butelka, dwa widelce, dwa noże, trzy wazki metalowe i mały zapas węgla drzewnego.

Otóż i wszystko.

Zajmijmy się teraz osobistościami.

Było ich dwie we wspomnionym pokoju, a nigdy kontrast bardziej uderzający nie zdarzył się jak w chwili obecnej.

Przed owem zwierciadłem, pokrytem jak gdyby mgłą wieczną, stał młody mężczyzna, zakładając krawat na szyję.

Mógł mieć około lat trzydziestu pięciu i widocznie — nie należał do zwykłych gości tych brudnych stron miasta.

Ciemno blond włosy, wijące się naturalnie, spadały mu na skronie i czoło, okalając rysy twarzy kształtne, regularne, nacechowane wyrazem wyższej dystynkcji.

Całe jego oblicze uderzało niezwykłą pięknością, lecz była to piękność przekwitła, zużyta. Ołowiana bladość cery, zmarszczki na czole i powiekach, sine kontury pod oczami, usta pobladłe, świadczyły o przebyciu wielkich zgryzot lub zbyt wesołem życiu.

W spojrzeniu tego mężczyzny przebija się ukryty niepokój wewnętrzny. Każda z jego źrenic błękitnych, świecąc ponurym blaskiem, zdawała się być jakby otworem głębokiej przepaści. Nieprzenikniona ciemność leżała widocznie na dnie duszy tego człowieka, rozświetlana jedynie blaskami niezdrowych namiętności i żądz nienasyconych.

Starania około swej toalety, jakiemi zajętym był w tej chwili, całkiem go pochłaniały. Dziesiąty raz z rzędu zadzierzgał i rozwiązywał węzeł krawata. A gdy mu się to wreszcie udało, uśmiechnął się do swego własnego obrazu, odtworzonego w owem zakurzonem zwierciadle, przywdział tużurek, uwydatniający dobrze jego kształtną postać, wsunął do kieszeni mały rewolwer, kilka sztuk drobnej monety, rozrzuconej po nad kominkiem, włożył jasne perłowe rękawiczki, wdział nowy kapelusz, a zwróciwszy się do młodej kobiety, znajdującej się wraz z nim w pokoju, rzekł:

— Klotyldo, wychodzę.

Kobieta siedząca na łóżku, ze wspartemi na kolanach rękoma, ukryła twarz w dłoniach. Ciemny jedwabny

penioar okrywał ją całkowicie. Widocznemi były tylko jej palce białe u rąk, jakby wykute z marmuru, i gęste sploty ciemnoblond włosów nad czołem. Podniosła głowę.

Uroczo piękna i młoda, przedstawiała obraz anioła, lecz anioła boleści. Oblicze jej było tak marmurowo białem, jak ręce. Pod zwierzchnią skórą zdawało się, iż krew nie krąży wcale. Powieki jedynie były zarumienionemi, jak gdyby od łez, które na rzęsach jej jeszcze drżały.

— Wychodzisz, szepnęła ku stojącemu opodal mężczyźnie. Ha! jest to codziennym twoim zwyczajem. Dziwnem byłoby zaiste, gdybyś pozostał tu ze mną.

— Mamże to uważać jako wymówkę z twej strony?

— Wymówkę? Czyliż ci kiedy je czynię? Rychłoż powrócisz? zapytała.

— Jak zwykle.

— To się znaczy w noc późną... nad ranem... Powracasz zwykle, gdy świtać zaczyna. Następnie śpisz przez dzień cały do wieczora, aby za przebudzeniem opuścić mnie znowu. Zaledwie czas mamy do wymienienia z sobą słów kilku. I otóż, przez większą połowę życia jestem samą, samą... i tu... w takiem miejscu!.. powtórzyła z pomimowolnym wstrętem spoglądając w około siebie.

— Mieszkanie, to nie jest pięknem, przyznaję! odparł mężczyzna. Wkrótce je zmienimy, przyrzekam ci to, i to prędzej, aniżeli się może spodziewasz. Zresztą, dom jest spokojny, nie zagraża ci tu żadne niebezpieczeństwo.

— Dla ciebie i z tobą, przyjęłabym to smutne schronienie, odpowiedziała łagodnie, przyjęłabym wszystko!... dowiodłam tego. Ależ pozostawiona w

samotności, och! wiecznie sama... to nazbyt okropne, chciej wierzyć. Różne smutne myśli nasuwają mi się wtedy. Powiedz mi, czem się zajmujesz? dodała, co zatrzymuje cię tak zdala odemnie?

— Walczę o lepszą przyszłość dla nas obojga. Staram się o zmianę pozycji.

— Jak to... przez całą noc... do rana?

— Noc nieprzerywa zajęć finansowego świata w Paryżu.

Młoda kobieta potrząsnąwszy głową z niedowierzaniem powstała.

II.

— Klotyldo! zaczął mężczyzna, hamując niecierpliwość, co znaczy to poruszenie głową?... czy mi nie wierzysz?

— Tak! pomimo wszystko, przyznaję.

— A jednak przysięgam ci.

— Nie przysięgaj! żywo przerwała. Na co się to przyda? Jesteś panem swego postępowania i nie żądam, abyś mi zdawał z niego rachunek. Widzę dobrze, że mój wpływ, jaki miałam niegdyś na ciebie, nie istnieje i że nie zmienisz swego sposobu życia, to próżno! pozwól mi jednak sobie wyjawić, ile cierpię, ile się trwożę, widząc z dniem każdym zagłębiającą się przepaść, nad którą stanąłeś! „Wszystko stracone oprócz honoru“, pamiętaj o tem Gontranie, i strzeż się, ażeby honor nie ucierpiał w tem strasznem rozbiciu.

Gontran dobył cygaro z eleganckiej cygarniczki i zapalił.

— Czy to już wszystko? zapytał wzruszając ramionami.

— Nie jeszcze.

— Spiesz się więc, proszę, bo mnie czas nagli!

— Ach! czyż nie obudzi się w tobie litość nademną? mówiła łzawym głosem młoda kobieta. Widzisz ile cierpię. Gdybyś czuł, jakie ogarnia mnie przerażenie podczas nocy, skoro pozostawiona tu sama, usłyszę hałas ponury, krzyki przyzywające pomocy tuż pod mojem oknem, jakie budzą mnie nagle. Usuńmy się ztąd, uciekajmy! wołała składając ręce błagalnie, ta strona miasta jest niebezpieczną. Dziwne przeczucie powiadamia mnie, że cię tu spotka nieszczęście. Zamordują cię, Gontranie, a nie masz prawa narażać się na coś podobnego! Wkrótce zostanę matką... wiesz o tem. Chcesz więc, ażeby dziecię przyszło na świat sierotą?

— Urojony niepokój i troska, rzekł obojętnie mężczyzna. Zbyt jestem ostrożnym, bym miał się obawiać czegoś podobnego. Noszę w kieszeni rewolwer, napastnicy spotkaliby się z lufą jego. Uspokój się więc, proszę, i nie myśl o tem. A teraz żegnam cię... czyli raczej do widzenia, dodał całując ją w czoło.

— Jeszcze słowo, jedno słowo, wołała zatrzymując go w progu. Ów człowiek, który wynajął nam to mieszkanie. zatrzymał mnie wczoraj przy wyjściu.

— Czego żądał?

— Upomina się o dwutygodniową zapłatę.

— Prostak... gbur!

— Chce on w tym względzie porozumieć się z tobą, i dziwię się nawet, że dotąd nie przyszedł. Pomów z nim proszę, nie narażaj mnie na powtórną napaść z jego strony. Zapłać, błagam cię o to!

— Niepodobna mi dziś tego uczynić, lecz jutro go zaspokoję i opuścimy tę przebrzydłą norę. Znajdziemy sobie dorywczo przyzwoite, eleganckie mieszkanie, w której z pięknych stron Paryża, zanim będę mógł odszukać pomieszczenia godnego ciebie, co niezadługo nastąpi, chciej wierzyć.

— Spodziewasz się więc pieniędzy?

— Tak, ukochana... wiele pieniędzy.

— Lecz zkąd?

— Z pewnej szczęśliwej spekulacji, jaka całkowicie zmieni naszą sytuację. A teraz, skoro już powiedzieliśmy sobie wszystko, odchodzę... i będę się starał wcześnie powrócić.

Tu zwrócił się ku drzwiom.

— Wszak wiesz, poczęła z cicha Klotylda, spuszczając oczy, wiesz, że nic już nie pozostało.

— Jakto... nic? zawołał opryskliwie, zwracając się ku niej.

— Nie mam ani grosza.

— Zkąd... jakim sposobem? Niedawno zostawiłem ci luidora?

— Tak... przed ośmiu dniami.

— Obecnie, sam nic nie posiadam, lecz to już na szczęście po raz ostatni. Weź to, co ci dać mogę!

Tu położył na komodzie dwie sztuki drobnej monety i nie chcąc słyszeć skarg więcej, wybiegł z pokoju.

Była godzina szósta wieczorem.

Młoda kobieta stała przez kilka sekund nieruchoma, jak w miejscu przybita, wreszcie otarła łzy, spływające jej na

policzki, wdziała płaszczyk, którego kaptur zarzuciła na głowę i wyszła dla zakupienia skromnej żywności na wieczerzę.

Październik miał się ku schyłkowi. W tej porze roku noc szybko zapada. Ciemność zaległa ów pokój zupełnie. Za powrotem Klotylda z trwogą spostrzegła, że jedyny kawałek świecy, jaki pozostał w lichtarzu, mógł zaledwie jej służyć przez godzinę.

— Trzeba więc było przepędzić wieczór w ciemnościach, nie mając możności rozerwania się nawet jaką robotą ręczną.

Od siedmiu miesięcy czując się bardzo słabą, a obecnie bardziej niż kiedy, położyła się, licząc godziny uderzające na poblizkim wieżowym zegarze.

— Gontran, mówiła, może dotrzyma obietnicy, może wróci wcześniej niż zwykle, i nasłuchiwała pilnie najmniejszego szelestu na wschodach.

Czas mijał. Po północy znużenie nią zawładnęło, usnęła, a we śnie same złe i przykre pojawiały się jej marzenia. Skoro się przebudziła, już dniało. Jak ubiegłego wieczoru ujrzała się samą. Jej mąż nie powrócił wcale.

Podniosła się i zbliżyła się ku oknu. Dzień był smutny i ciemny; drobny deszcz spadając bez przerwy, zamienił ów bulwar w jedną kałużę błota. Obok deszczu powietrze się oziębiło, biedna kobieta drżała w tej wilgotnej, lodowato zimnej atmosferze, w tym źle opatrzonym pokoju.

Zapiąwszy fałdy swego penioaru, usiadła na łóżku wyczekując.

— Przybędzie lada chwila, mówiła, wszak niepodobna,

aby zapomniał, że te kilka groszy, jakie zostawił mi wczoraj, nie mogły wystarczyć na śniadanie.

Ranek zwolna upływał. Do cierpień wyczekiwania i zimna łączył się trapiący ją głód obecnie.

Nadeszło południe. Ciężkie kroki na wschodach słyszeć się dały i ucichły nagle przede drzwiami pokoju numerem czwartym oznaczonego. Zapukano silnie.

— Kto tam? pytała Klotylda z obawą, zdawało się jej albowiem, że posłaniec przynosi jej wiadomość o nieszczęściu, jakie spotkało Gontrana.

— Do pioruna! zawołał głos chrypliwy, to ja Vignot, właściciel, otwórz pani!

Klotylda odsunęła zasówkę, przybyły wszedł.

Vignot był mężczyzną niskiego wzrostu, tak szerokim, jak długim. Jego okrągła twarz z przypłaszczonym nosem, nacechowana była podłością.

Wszedłszy do pokoju, przyłożył rękę do swej wełnianej, niegdyś czerwonej czapeczki i padł na krzesło, jakie omal nie złamało się pod nim.

— No! moja mateczko, rzekł poufale, przychodzę po należytość.

— Jutro pan ję odbierzesz, odpowiedziała z cicha Klotylda, mój mąż kazał mi o tem panu powiedzieć.

— Mąż pani, powtórzył śmiejąc się Vignot; gdybym tak zażądał aktu waszego małżeństwa, narobiłbym wam kłopotu, nieprawdaż?

— Panie! zawołała młoda kobieta kraśniejąc z gniewu i oburzenia, pan mi ubliżasz!

— No... no! bez tych wybuchów, zawołał Vignot śmiejąc

się głośno. Co mnie to zresztą obchodzi? Przychodzę po moje pieniądze i rzecz skończona. Wynająłem wam mieszkanie nie żądając papierów, ponieważ za miesiąc z góry zapłacony zostałem. Zapisałem w mej książce: „Pani i pani Gontran, z własnych funduszów.“ I wszystko szło dobrze dopóki płaciliście. Obecnie rzecz się ma inaczej. Tradować was nie chcę, nie leży to w moim charakterze. Wszelako zadłużyliście mi się za dwa tygodnie i trzy dni, mam prawo żądać zapłaty, potrzebuję jej, wymagam.

— Powtarzam panu, że mąż za chwilę nadejdzie i ureguluje rachunek.

— Pan Gontran. Ha! ha! znam ja go dobrze, zaśmiał się grubym swym głosem. Będzie się starał wywinąć z tego, ów zwiędły panicz, który nie ma grosza w kieszeniach swego pięknego ubrania. Lecz do pioruna. niechaj się strzeże! Rano wstać musi, ktoby chciał starego Vignot w pole wyprowadzić!

Tu wstawszy z krzesła, ujął zawiniątko leżące przy kominku, zważył je w ręku, skrzywił się i zaczął otwierać kolejno szuflady komody.

Pomieniony egzamin uspokoił go trochę.

— Do czarta! będzie zaledwie czem pokryć należytość, zawołał. W ostatnim jednak razie zabieram te rupiecie. Daję wam czas do jutra rana. Jeżeli do godziny szóstej nie odbiorę pieniędzy, wyrzucam was ztąd, oto ostatnie słowo. A proszę nic nie tykać, nic nie wynosić, będę czuwał, pilnował.

To powiedziawszy wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

— Boże, mój Boże! wołała Klotylda, załamując ręce gdy ciężkie kroki Vignot’a na schodach ucichły; Boże! nie opuszczaj mnie w mojej niedoli! Jest to ciężar zbyt wielki na moje słabe ramiona; upadam pod zgryzot nadmiarem!

Łzy obficie spływające po twarzy, ulżyły nieco jej sercu.

Padłszy na kolana, modliła się długo. Wyraz głębokiej, gorącej wiary rozpromieniał na jej obliczu. Podczas modlitwy przyszło jej widocznie natchnienie, bo podniosła się mówiąc głośno:

— O! tak... odwaga, jakiej mi brakowało, nie opuści mnie teraz. Pójdę... nie zwlekając.

Wybrawszy w pośród ubogiej swej garderoby starą suknię czarną jedwabną, przywdziała ją. Włożyła na głowę ciemny kapelusz, zapuściła na twarz woalkę, a wyszedłszy na ulicę, skierowała się w stronę bulwaru Batignolles.

Dostrzegłszy ją Vignot, podbiegł ku niej.

— Może pani co wynosisz? zawołał groźnie.

— Przeszukaj mi pan kieszenie, jeżeli przekonać się pragniesz, odpowiedziała.

Właściciel pokojów umeblowanych cofnął się przed spełnieniem podobnej brutalności, a młoda kobieta zwolna się oddaliła.

III.

Klotylda miała znaczną przestrzeń drogi do przebycia, daleką nawet dla wprawnego piechura, choćby się ten znajdował w najbardziej normalnych warunkach.

Potrzeba jej było przejść prawie cały Paryż, aby dosięgnąć celu podróży. Obok tego była osłabioną obecnem swem cierpieniem, w jakiem się znajdowała, wyczerpaną zgryzotami, niedostatecznem pożywieniem, którego, jak wiemy, od rana jej brakowało.

Krzepiąc odwagą słabnące swe siły, przebywała chwiejnym krokiem ulice wiodące ku środkowi miasta. W miarę zbliżania ku głównym częściom Paryża, uczuwała dziwny zamęt w głowie.

Ruch bezustanny, snujące się tłumy, turkot powozów, szmer pomięszanych głosów, ów chaos, od którego odwykła, przerażał ją, pozbawiając przytomności prawie. Po kilkakrotnie przechodząc w poprzek bulwarem, omal najechaną nie została; woźnice obrzucali ją klątwami. Zdawała się nie słyszeć tego; szła dalej, a jej krok chwiejny coraz wolniejszym się stawał.

Deszcz ustal prawie, chodniki jednak były zabłocone, wilgotne. Biedna kobieta co chwila się poślizgiwała, a potrącana przez idących spieszno przechodniów, zmuszona była wspierać się o drzwi sklepów, aby nie upaść.

Zostało jej jeszcze wiele drogi do przebycia, więcej niż połowa niestety, bo szła od lewej strony rzeki.

Podniecana silną, wolą, którą pokonywała osłabienie, nie zatrzymała się ani na chwilę dla wypoczynku, mimo to potrzebowała, trzech godzin czasu do przybycia na bulwar Inwalidów.

Doszedłszy wysokiego obmurowania, z po za którego wyzierały wierzchołki drzew, tworząc rodzaj parku, stanęła przed masywną bramą wybitą w tym murze, po nad którą

wznosiła się podwójna tarcza z hrabiowską u wierzchu koroną.

Ciężki młotek z polerowanego żelaza, w delikatnej rzeźbie przedstawiający lwią głowę, umieszczony był przy bramie w dębowem wgłębieniu.

Po kilku sekundach wahania, podniosła ów młotek i opuściła. Furtka umieszczona w murze natychmiast się otwarła.

Klotylda wszedłszy, znalazła się w dziedzińcu książęcego prawdziwie pałacu.

Po lewej wznosił się pawilon, przeznaczony na mieszkanie dla odźwiernego; po prawej stajnie i remizy, poprzedzone oszklonym budynkiem, pod którym służba omywała wspaniałą karetę, na wprost nakoniec wznosił się pałac, najbardziej arystokratyczna budowla, jaką można sobie wyobrazić, ze swym frontem ozdobionym herbami, z rzeźbionemi w dachu facjatami, wysokiemi na obu piętrach oknami, przed wejściem do którego rozścielały się kwiatowe trawniki i krzewy.

Lokaj w galowej liberji składającej się z krótkich spodni i trzewików na srebrne klamry spinanych, rozmawiał z odźwiernym.

Spostrzegłszy przybyłą, zbliżył się ku niej i zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głowy.

Widocznie, iż zgnębiona powierzchowność Klotyldy, jej suknia zużyta i miejscami zabłocona, nieufność w nim wzbudziły.

— Co pani życzy? zapytał.

— Proszę pójść do markiza de Maucombe oznajmić mu,

że hrabina de Randal prosi o chwilę rozmowy; odpowiedziała Klotylda drżącym zlekka głosem, w którym jednak przebijało się nawyknienie rozkazywania.

Na wyrazy: „hrabina de Randal,“ zuchwalec przybrał korniejszą fizjonomię, lecz jednocześnie błysnęła mu myśl, że takie pozorne hrabiny przywłaszczające sobie tytuł dla wciśnięcia się w głąb pałaców, nie są rzadkością na bruku Paryża.

— To, rzekł, należy do kamerdynera. Może pani hrabina raczy pójść ze mną.

Tu zwrócił się ku frontowi pałacu, przebiegł stopnie prowadzące do tegoż, wprowadził przybyłą do obszernego przysionka, wyłożonego wykwintnem obiciem i zadzwonił.

Z za uniesionej portjery wychylił się kamerdyner całkiem czarno ubrany, spoglądając pytająco na swego kolegę.

— Panie Józefie, rzekł, czyniąc znaczący gest ramionami, chciej rozmówić się z panią.

Pan Józef, rzuciwszy okiem badawczem na ubiór Klotyldy, zrozumiał znak dany przez towarzysza.

— Nie wiem, czyli pan markiz jest w domu, odpowiedział.

— Proszę pójść przekonać się o tem.

— Może pani hrabina raczy mi dać swą wizytową kartę?

— Nie mam karty, wystarczy wymienienie mego nazwiska.

— Nie ma wizytowego biletu i widocznie więc to jest jakaś intrygantka, zakonkludował kamerdyner i wskazawszy przybyłej fotel, wyszedł z przysionka.

Lokaj odszedł zarówno do odźwiernego.

Młoda kobieta, złamana znużeniem, padła raczej niźli usiadła na wskazane sobie krzesło, i z głową pochyloną, silnie bijącem sercem, oczekiwała.

Ukazał się nareszcie pan Józef, z szyderczym, pełnym zuchwalstwa uśmiechem.

— I cóż? zapytała z niepokojem.

— Ha! cóż! powtórzył kamerdyner, pan markiz de Maucombe nie ma honoru znać żadnej pani hrabiny de Randal.

— Jakto... on to powiedział? wyszepnęła Klotylda przyciskając serce, żywo bijące, obiema rękami.

— Tak... to jego własne słowa. Nie zmieniłem ani jednego wyrazu.

Klotylda podniosła się. Rumieniec oburzenia wystąpił na jej policzki.

— Idź, rzekła, powiedz mojemu ojcu, że jego córka od dwudziestu czterech godzin nic nic jadła!

Kamerdyner zadrżał, nie mogąc wierzyć temu, co słyszał i przestraszony wybiegł z korytarza.

W pobliżu przybyłej, znajdowała się czarna marmurowa statua przedstawiająca negra w naturalnej wielkości, utrzymującego świecznik nad głową o czterech lichtarzach, w których światło co wieczór zapalano.

Klotylda wsparła się o tę statuę, czuła albowiem, iż gdyby usiadła na krześle, podnieść się zeń nie byłaby w stanie.

Kilka minut tak upłynęło. Uniosła się portjera i pan Józef ukazał się w przysionku.

Biedna kobieta nie miała odwagi rzucić mu zapytania, w milczeniu przeto patrzyła na tego człowieka mającego jej wygłosić wyrok śmierci, lub życia.

— Pan markiz, wyrzekł służący, kazał powiedzieć, że nie ma córki, prosi jednakże, ażeby pani hrabina zechciała od niego to przyjąć.

Tu podał przybyłej kilka zawiniętych w papier luidorów.

Klotylda silnym ruchem dumnie odepchnęła wyciągniętą rękę ku sobie. Złoto upadło, rozsypując się z głośnym brzękiem po marmurowej posadzce.

Pan Józef osłupiały oczom swym nie wierzył. Po raz pierwszy w życiu widział odepchnięte z pogardą, tak piękne sztuki monety.

Zapuściwszy szybko na twarz woalkę i nie przemówiwszy słowa, pani de Randal wyszła z przysionka, a przebywszy dziedziniec, furtką, wydostała się na bulwar Inwalidów.

Deszcz zaczął padać na nowo, gęsta mgła wisząca po nad Paryżem, w wodę się zamieniła. Noc całkiem prawie zapadła.

Potrzeba było powtórnie nieszczęśliwej kobiecie przebyć tę wielką odległość, dzielącą ją od Batignolles a do jej przebycia nie miała już w sercu owej nadziei, jaka ją z rana podtrzymywała.

Nie chcemy prowadzić czytelnika za ową męczennicą w jej śmiertelnym pochodzie przez tę Kalwarję, przez którą się wlokła chwiejna, upadająca, podnosząca się by upaść znowu. Jak często zdawało się że śmierć znajdzie w takim upadku, że nie powstanie już więcej.

Inaczej jednak się stało! Przybyła wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, lecz można powiedzieć, zaledwie w pół żywa.

Była godzina dziesiąta wieczorem, gdy zawlókłszy się przez czarne wschody, weszła do ciemnej lodowatej swej izby.

— Gontranie! zawołała rzężącym głosem, ratuj Gontranie, umieram.

Żaden głos nie odpowiedział, pokój był pustym zupełnie.

— Opuścił mnie, opuścił, wyszepnęła, umrę w osamotnieniu.

W owej chwili, znalazłszy się wypadkiem w pobliżu łóżka, upadła na posłanie. Padając uderzyła głową o poręcz... zemdlała.

Czas mijał. Zegar kościelny wydzwonił drugą nad ranem. Wśród ciszy nocnej kroki na wschodach słyszeć się dały.

Ktoś wszedł do pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Pani de Randal wyrwana owym hałasem z omdlenia:

— Kto tam? zapytała.

— Ja, Gontran, głos odrzekł; milcz!.. na imię nieba!

IV.

Pomimo owej prośby, a raczej rozkazu, Klotylda otworzyła usta, pragnąc przemówić.

— Milcz! powtórzył groźnie Gontran, milcz!

Młoda kobieta była posłuszną i przez kilka minut w śród

głębokiej ciszy, słychać było jedynie przyśpieszony, jak gdyby niepokojem, szybki oddech Gontrana.

Nagle, szmer jakiś powstał w niższej części domu, który następnie zmienił się w hałas. Słychać było pomieszane głosy i przyśpieszone kroki idących, jakie się wyraźnie zbliżały. Przebiegłszy wschody, dochodzili z korytarza przyległego do umeblowanych pokojów. Na wprost czwartego numeru kroki się zatrzymały, głosy zamilkły.

Jednocześnie dały się słyszeć uderzenia we drzwi kolbami, a po nich groźne wyrazy:

— Otworzyć!... w imieniu prawa!

Gontran nie ruszył się z miejsca.

Klotylda, zerwawszy się na łóżku usiłowała objąć pamięcią, czy to jest sen straszny czy rzeczywistość?

— Otworzyć! powtórzył ów głos na zewnątrz, inaczej drzwi wyłamiemy!

— Nie wyłamujcie, na Boga, zabrzmiał głos Vignot’a, zrobicie mi szkodę mam klucz podwójny.

— Nie!... człowiek na mojem stanowisku nie idzie na galery! wyszepnął Gontran. Ginie, lecz z honorem!

To były jego ostatnio słowa, poczem huk dał się słyszeć, światło zabłysło, a przy jego przelotnym blasku Klotylda ujrzała stojącego z rewolwerem przyłożonym do skroni, swojego męża.

W oka mgnieniu pośród ciemności słychać było upadek ciężkiego ciała w pokoju napełnionym dymem. Upadkowi temu odpowiedział krzyk nieszczęśliwej kobiety.

Silne pchnięcie ramieniem wystarczyło do wysadzenia drzwi z zawias. Komisarz policji z agentami, właścicielem

domu i dwunastoma żołnierzami, weszli do pokoju.

Agenci nieśli zapalone latarnie.

Komisarz zbliżył się do trupa, leżącego na podłodze z przestrzeloną czaszką, ściskającego jeszcze w ręku wypalony rewolwer, którym odebrał sobie życie.

— Czy to hrabia de Randal? zapytał Vignot'a.

— Jest to mój były lokator, rzekł zapytany. W książce zapisałem go jako „Pana Gontrana," przedstawił mi bowiem papiery uregulowane na to nazwisko. To wystarczyło, ażeby być w porządku.

— Tak, panie komisarzu, rzekł jeden z agentów jest to rzeczywiście hrabia de Randal. Śledziliśmy go oddawna, pragnąc przytrzymać. Umarł... szkoda, w tak młodym wieku.

Od chwili rozwiązania tego strasznego dramatu, spełnionego w ciągu kilku minut, Klotylda oniemiała z przerażenia i trwogi, zdawała się nic nie słyszeć, nie rozumieć, nie widzieć. Ostatnie słowa agenta rozbudziły w niej poznanie rzeczywistości.

— Umarł, powtarzała bezwiednie, podobna do uśpionej we śnie magnetycznym. Umarł... ale kto umarł?

I przesunęła obiema rękami po czole, odegnać pragnąc obłąkanie, rozsypując swe bujne blond włosy, które okryły jej ramiona, jak gdyby płaszczem złocistym. Po chwili zerwała się z posłania i padłszy na kolana obok trupa, podniosła mu głowę:

— Tak, prawda, on umarł! Gontran umarł!... szeptała. Boże... mój Boże, w czem on przewinił, ażeby tak umrzeć?

A ucałowawszy czoło tego, przez którego tyle cierpiała

wybuchnęła łkaniem.

— Kto jest ta kobieta? pytał komisarz.

— Żona zabitego, rzekł Vignot.

— Pani jesteś hrabiną de Randal? pytał łagodnie pierwszy, zwracając się ku Klotyldzie.

— Tak, odpowiedziała przygasłym głosem.

— Córką markiza de Maucombe?

— Tak, panie.

— Sami hrabiowie i markizy, wyszepnął Vignot. Do czarta! miałem lokatorów z wielkiego świata!

— Chciej pani wierzyć, zaczął komisarz, zwracając się ku nieszczęśliwej, że gotów jestem uczynić wszystko z mej strony dla złagodzenia ciężkiej twej doli. Sprawiedliwość zna dobrze twoje nieszczęścia, jak znała występki człowieka, którego nosisz nazwisko. Na zmarłym ciąży win wiele: sprawiedliwość wie o nich, jak wie zarówno, że stałaś się ich ofiarą a nie wspólniczką jego zbrodni, i że masz pani prawo do współczucia i poszanowania ze strony ogółu.

Pani de Randal ułożywszy z tkliwością głowę zmarłego na podłodze, powstała by odpowiedzieć na zwrócone do siebie wyrazy, gdy nagle zachwiała, się, zbladła, a upadając na łóżko wydała jęk ciężki.

— Co to jest? zawołał z trwogą komisarz.

Vignot przystąpił ku niemu.

— Trzeba nam przyzwać panią Angot, rzekł z cicha; jej moc jest tu co rychlej potrzebną.

— Śpiesz więc pan, obudź... niechaj natychmiast przybywa.

Vignot wybiegł z pośpiechem, a dosięgnąwszy pierwszego piętra, zaczął dzwonić z całych sił.

Jednocześnie komisarz wydał rozkaz wyniesienia samobójcy na facjatę, zmycia pozostałych po nim plam krwawych na podłodze i dostarczenia zakrytych noszów do przeniesienia ciała. Protokół spisać postanowił we własnym swym gabinecie.

W klika minut potem ukazała się pani Angot.

Była to kobieta trzydziestoletnia, szczupła, małego wzrostu, więcej brzydka niż ładna, lecz o inteligentnym wyrazie twarzy. Jej wązkie usta i nos kończasty, nasuwały wątpliwość co do łagodności charakteru. W małych oczach, niezmiernie ruchliwych, przebijała chytrość i chciwość.

Złożywszy ukłon obecnym, podbiegła do łóżka chorej, starając się przemawiać do niej najtkliwszemi słowy, poczem zwróciła się do komisarza.

— Trzeba przenieść słabą, wyrzekła, do mego mieszkania, wraz z pościelą. Ci panowie, dodała, wskazując na obecnych agentów, dopomogą nam. Mam przyzwoite pomieszczenie w moim zakładzie, najtroskliwszem otoczę ją staraniem.

— Dobrze, odparł komisarz. Fundusz na koszta jakie dla pani przypadną, będę się starał otrzymać z Towarzystwa publicznej opieki nad biednemi matkami, a gdyby ztamtąd nic się osiągnąć nie dało, sam je zaspokoję.

Za kilka chwil Klotylda de Randal znajdowała się w mieszkaniu pani Angot.

Komisarz z agentami opuścił bulwar Batignolles.

V.

W ubogim pokoiku, wyklejonym spłowiałem obiciem, słabo oświetlonym brzaskiem wschodzącego poranku, gdzie całe umeblowanie stanowił stolik i parę krzeseł drewnianych, leżała na łóżku blada, z przymkniętemi powiekami, córka markiza de Maucombe.

Obok stała kołyska, w której spoczywało niemowlę.

— Śliczna dziewczynka! mówiła pani Angot pochylając się ku dziecięciu.

— Ach! gdyby była lepiej umarła! wyszepnęła chora, cichym, złamanym głosem.

— Jakież straszne życzenie! Ucałuj pani ją raczej.

Tu pani Angot podała matce tę drobną, wątłą istotę.

Pani de Randal ucałowawszy niemowlę, podsunęła mu pierś do pokarmienia. Niestety jednak, zgryzoty, jakie przebyła, wyczerpały w niej owo źródło życia. Pokarm nie ukazał się w piersi macierzyńskiej.

— Pokarmiemy je smoczkiem, mówiła kobieta. Zaraz go przysposobię dla tego małego łakomca, który zaledwie na świat przyszedł, a już woła o pożywienie.

— Pani, zapytała po chwili Klotylda głosem tak słabym, że zaledwie dźwięk jego dosłyszeć było można, czy mogłabym panią prosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi?

— Przysługi? powtórzyła pani Angot, nie mogę odpowiedzieć tak lub nie, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

— Potrzebuję posłyszeć prawdę na zapytanie, jakie pani

zadam. Jestem na śmierć skazaną. Czuję, że życie ze mnie uchodzi, siły mnie opuszczają. Czuję, że mogę umrzeć lada chwila. Potrzebuję więc mieć pewność w tym względzie. A ową pewność pani mi tylko dać możesz. Powiedz mi prawdę, żyć będę lub nie? Zaklinam!

— Ach! w jakże kłopotliwem położeniu stawiasz mnie pani, odparła zapytana. Czyż mogę wyrokować w tak ważnej sprawie? Któż z nas przyszłość odgadnąć jest w stanie? Widziałam chore blizkie śmierci, które jednak szczęśliwie wracały do życia.

— Tak, lecz ja do niego nie powrócę, wiesz o tem dobrze, mówiła pani de Randal. Chciej mnie w tym względzie upewnić. Chciej mi to wyznać, nie obawiając się pogorszenia mojego zdrowia. Błagam jak o łaskę. Nie sądź pani, iż obawiam się śmierci, przeciwnie, wzywam jej i pragnę!

— Ha! skoro pani koniecznie wzywasz prawdy, odsłonię ci ją. Wszystko jest możebnem, nawet i cuda, chociaż tak rzadkie w naszych czasach, odparła pani Angot, a do twojego ocalenia potrzeba by...

— Dzięki ci, przerwała Klotylda, dzięki z głębi serca. Teraz przynajmniej mam pewność, która mi tyle była potrzebną do tego, co chcę uczynić. Potrzebuję napisać.

— Pisać? zawołała pani Angot, ależ to niepodobna!

— Dla czego?

— Dla tego że pani nie będziesz miała dość siły. Nie pozwolę ci nakreślić trzech nawet wyrazów. Lecz jest na to sposób. Podyktuj mi pani, napiszę za ciebie.

— Nie! ja potrzebuję napisać własnoręcznie, sama.

Podnieś mnie pani, błagam cię o to. Podsuń mi poduszki pod ramiona, połóż kawałek tektury na kolanach, włóż mi pióro w rękę, a zobaczysz, czy ta dłoń już w pół zmartwiała, nie ożywi się siłą woli, choćby na chwilę.

— Spróbujmy, skoro tak pani żądasz koniecznie. Nie jestem w stanie odmówić twej prośbie.

Tu pani Angot uniósłszy chorą, z wielkiem zdumieniem ujrzała, że drżące palce Klotyldy kreślić poczęły wyrazy mimo, iż nieregularnem pismem, wszak dość czytelnem.

— Proszę o kopertę, wyszepnęła chora.

Pani de Randal nakreśliła adres:

„Pan wice-hrabia de Grandlieu. We własnym pałacu. na przedmieściu Św. Honorjusza.“

— Skończyłam, wyrzekła zaledwie dosłyszanym głosem, był czas, nie zdołałabym napisać więcej.

— Teraz potrzeba wrzucić ten list do skrzynki pocztowej, nieprawdaż? pytała pani Angot.

— Nie... nie! potrzeba, go odnieść na miejsce i wrócić z odpowiedzią.

— A któż zapłaci posłańca?

Ręce Klotyldy przeźroczysto białe, na kołdrze spoczywały. Na jednym z palców lewej ręki błyszczała obrączką.

— Weź pani tę ślubną obrączkę i sprzedaj, wyyrzekła, to, co za nią dostaniesz, wystarczy na opłacenie dwóch kursów tego człowieka.

Pani Angot zdjęła bez skrupułu tę ostatnią pamiątkę z ręki umierającej.

— Zastąpię memi pieniędzmi, odpowiedziała. W ciągu

pięciu minut posłaniec przyniesie odpowiedź.

— Która godzina? pytała Klotylda.

— Ósma rano.

— O dziesiątej powrócić tu może. Na wszystko panią zaklinam niech się śpieszy. Tak mało chwil już mi pozostaje, a trzeba aby odpowiedź przy życiu mnie zastała.

— Bądź pani spokojną, nakażę mu pośpiech, zresztą, uważam, że nie znajdujesz się w takiem niebezpieczeństwie, jak zrazu sądziłam. Kto wie... Możesz pani powrócić jeszcze do zdrowia i życia.

Smutny uśmiech wybiegł na zbolałe usta Klotyldy.

— Zajmę się teraz wysłaniem listu, mówiła pani Angot, następnie przygotuję dla maleńkiej śniadanie z koziego mleka, lecz przedtem ucałuj ją pani.

Tu, pochyliwszy się po nad łóżkiem umierającej, przytuliła do jej ust niemowlę.

— Ach! biedna droga istoto, której pierś moja karmić nie może! szeptała pani Randal, której rozwijania się me oczy nie będą widziały. Och! nie tutaj to powinnaś się była urodzić, nie tu powinna umierać twa matka!

Pani Angot wyszła z dziecięciem nakazując chorej spoczynek.

Klotylda opuściła na poduszki głowę, okrytą zwojami złocistych włosów, przymknęła powieki; zdawało się, że śpi i być może drzemała w rzeczy samej, lecz grube łzy, płynące z pod powiek zamkniętych po wychudłej twarzy, świadczyły, że ów sen musiał być bardzo bolesnym.

Dwie godziny tak upłynęły.

Pani Angot uchyliła ostrożnie drzwi do pokoju chorej.

Hrabina przebudziła się.

— I cóż? zapytała.

— Posłaniec wrócił w oka mgnieniu. Pan wicehrabia był w domu. Posłaniec oddał list kamerdynerowi.

— Ależ odpowiedź, odpowiedź, szeptała chora.

— Piśmiennej posłaniec nie otrzymał, lecz to nic nie znaczy. Kamerdyner powiedział mu, że pan wicehrabia natychmiast tutaj przybędzie.

— Dzięki niebu! westchnęła z ulgą Klotylda.

I po raz pierwszy od wielu dni, wielu miesięcy, a może i lat wielu, radosne prawie zadowolenie zabłysło na jej twarzy.

— Przybędzie! wyszepnęła, ach! byłam tego pewną! Gdybym była chciała, mogłabym z nim tak być szczęśliwą! A! moje bezrozumne młodociane marzenia, jakże was drogo opłaciłam!

Zaledwie kilka minut upłynęło, turkot nadjeżdżającego powozu dał się słyszeć przed domem Vignot'a i woźnica eleganckiego kabrjoletu ujrzał ze zdumieniem wysiadającego swego pana, i zagłębiającego się w korytarz tej brudnej kamienicy.

Wice-hrabia przebiegł szybko wschody, wiodące na pierwsze piętro, gdzie spotkał wyczekującą już panią Angot.

— Proszę o wskazanie mi mieszkania pani hrabiny de Randal, rzekł w mniemaniu, iż mówi ze służącą.

— Tu panie, odpowiedziała wskazując. Racz pan wejść do mnie. Pani hrabina jest jedną z mych pensjonarek. Możesz pan być przekonanym, iż ją otaczam najtkliwszern

staraniem. Pan jesteś zapewne osobą, do której pisała dziś rano?

— Tak, właśnie.

— Poprowadzę pana. Ta biedna chora oczekuje cię niecierpliwie. Pójdź pan, pójdź prędko.

— Racz mi pani przedewszystkiein powiedzieć, czy życie pani hrabiny znajduje się istotnie w niebezpieczeństwie?

— W niebezpieczeństwie, ach! tak, niestety! Biedna kobieta ledwie dożyje do wieczora. Osądź pan, przy tak wątłem zdrowiu, przebycie słabości. I w jak strasznych okolicznościach! Pan pojmujesz, co chcę powiedzieć?

— Nic nie rozumiem.

— A więc panie, jej mąż, ba! piękny mąż, którego policja przyszła zaaresztować, zabił się tej nocy w jej oczach wystrzałem z rewolweru. Możesz pan sobie wyobrazić, w jakim stanie zdrowia znajduje się ta nieszczęśliwa!

— To straszne!

— Dziecię jest zdrowem, lecz matka zgubioną! A teraz, skoro już pan wiesz wszystko, chciej pójść za mną, upewniam, iż niema czasu do stracenia.

Wice-hrabia otarł nieznacznie łzę, jaka mu na policzki spłynęła, i poszedł za panią Angot, wiodącą go do pokoju Klotyldy.

VI.

Na szelest otwierających się drzwi, pani de Randal z lekka się poruszyła.

— Widzę, że pani nie śpisz, poczęła pani Angot najsłodszym głosem, na jaki zdobyć się mogła. Przyprowadzam osobę, z którą widzieć się pani tak gorąco pragnęłaś, pana wice-hrabiego. Nie chcąc przeszkadzać w rozmowie, odchodzę; lecz proszę nie utrudzaj się pani zbyt wiele. W obecnym stanie zdrowia bardzo oszczędzać się trzeba. Sługa pana wice-hrabiego, dodała z ukłonem. Gdybyś mnie zapotrzebowała, proszę zadzwonić natychmiast przybiegnę. Idę do jednej z mych chorych, w pokoju tuż obok pani, która powiła dziś w nocy ślicznego chłopca.

Po tym nawale słów ukłoniła się powtórnie i wyszła.

Blada twarz umierającej zapłonęła, rumieńcom. Wysunęła rękę ku przybyłemu, szepcąc z cicha:

— Pośpieszyłeś na moje wezwanie, och! nie wątpiłam o tem, Armandzie. Jesteś zawsze dobrym, szlachetnym! Dzięki ci, mój przyjacielu. Dzięki z głębi mej duszy!

Pan de Grandlieu ukląkł przy łóżku, a ująwszy podaną sobie rękę młodej męczennicy, przyłożył ją do ust z tak głębokiem poszanowaniem, jak gdyby to była ręka królowej.

— Klotyldo! wyjąkał drżącym od wzruszenia głosem. Klotyldo, o droga, moja! gdzież ja, cię tu widzę? Biedne nieszczęśliwe dziecię! Patrząc na to wszystko, serce mi omal z żalu nie pęka.

— Daremna litość, odpowiedziała pani de Randal. Zasłużyłam na los, jaki mnie spotkał. Szalona!

odepchnęłam szczęście mając je przed sobą. Cierpiałam za własną mą winę, a mimo wszystko jestem dziś jeszcze szczęśliwą, w ostatniej życia godzinie, ponieważ mi został taki jak ty przyjaciel, przyjaciel jeden, jedyny. Och! bo Armandzie, mam tylko ciebie na świecie, który o mnie nie zapomniałeś!

— Jesteś niesprawiedliwą, Klotyldo zapominasz więc o swoim ojcu.

— Markiz de Maucombe wczoraj oznajmić mi kazał przez kamerdynera, że nie ma już córki.

— A! to okropne! wyszeptał pan de Grandlieu.

— Miał wszelkie prawo do tego, odparła chora uprzedził mnie o tym. Naprzód wiedziałem, że bezrozumne moje zaślepienie zerwie wszelki stosunek pomiędzy nami, skruszy węzły rodzinne. Jasno odgadywał on przyszłość. Chciał mnie ocalić wbrew mojej woli. Zgubiłam się sama! Ze świadomością wydrążyłam przepaść pod sobą! Wszak on mi mówił: „Jeśli postąpisz wbrew mojej woli i zaślubisz pana de Randal, wyrzeknę się ciebie!“ Postąpiłam wbrew jego woli i dziś dla niego nie istnieję. Mogęż go obwiniać?

— Działa on w swem prawie, bezwątpienia, odrzekł pan de Grandlieu, lecz nadużywać podobnego prawa, jest to okazać się bezlitosnym, okrutnym !

— Ach! ja go boleśnie obraziłam!

— Bronisz go więc teraz?

— Nie! usprawiedliwiam go tylko, a obwiniam siebie.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Klotylda pierwsza je przerwała.

— Nasza rozmowa będzie długą, wyrzekła, mam wiele

do powiedzenia i prośbę do ciebie.

— Prośbę? powtórzył wice-hrabia. Czegokolwiekbądź zażądasz odemnie, naprzód przysięgam, spełnionem zostanie.

— Przyjmuję twą obietnicę i jestem pewna, że jej dotrzymasz. Usiądź w pobliżu mnie, o tak, w pobliżu, ponieważ mój głos jest słabym, a lękam się, by jeszcze bardziej nie osłabł. Lada chwila umrzeć mi przyjdzie.

— Umrzeć? powtórzył pan Grandlieu, nie wierz temu Klotyldo. W twym wieku nie umiera się tak prędko. Potrzebujesz jedynie tkliwych starań do ocalenia, a któżby ci je mógł lepiej nademnie udzielić? Wycierpiałaś wiele, lecz czasy prób ciężkich minęły. Będziesz żyła, aby zapomnieć o owej strasznej przeszłości. Twój ojciec, przyrzekam ci to, otworzy ku tobie ramiona powróci tobie swe serce. Owdowiałaś, a twoje wdowieństwo zniszczy tę przeszłość przeklętą. Będziesz żyła, ażeby być szczęśliwą i o tem wszystkiem zapomnieć. Kochałem cię niegdyś, i kocham dziś jeszcze, bardziej niż kiedy. Klotyldo! będziesz mą żoną, mą uwielbianą towarzyszką życia. Czaję, iż siłą mojej miłości zasłużę, abyś mnie ukochała. Odpowiedz, czy przyjmujesz moją propozycję?

— Zapóźno! wyszeptała chora, zapóźno łudzić się szczęścia nadzieją. Ach! czuję teraz, że ukochałabym cię, całą duszą ukochała! Dla ciebie jedynie uderzałoby to biedne serce złamane, które cię nie oceniło, nie poznało! Niestety jednak, ukazujesz mi ziemię obiecaną, do której przystęp jest mi wzbronionym. Pomiędzy mną a owem szczęściem staje nieprzełamana przeszkoda, mogiła! moja

mogiła!

— Nie! ty żyć będziesz!..

— Tak, kilka godzin, przed wieczorem umrę, ja czuję to!

Wice-hrabia ukrył twarz w dłoniach i przez czas jakiś słychać było jedynie jego gorące łkanie.

Armand Roger, wice-hrabia de Grandlieu, który będzie jednym z głównych bohaterów naszej powieści, w chwili, w której go przedstawiamy czytelnikom, to jest w miesiącu październiku 1850 roku, był mężczyzną czterdziesto-pięcioletnim, skończony typ szlachcica dżentlemena. Wysokiego wzrostu, herkulesowej budowy ciała, pełen był elegancji.

Obdarzony wspaniałą inteligencją i bardziej gruntownie obeznany z nauką nad większość ludzi wielkiego świata, wice-hrabia mógł sobie pierwszorzędną wytworzyć pozycję, bądź w armii, bądź w polityce, lub dyplomacji. Nie posiadał wszelako takich pragnień. Zadawalniał się swem stanowiskiem wielkiego pana, mając corocznie do rozporządzenia trzysta tysięcy liwrów renty; zajmował się sportem namiętnie, oraz tem wszystkiem, cokolwiekbądź odznaczyło się w literaturze i sztuce.

Złączony stosunkami szczerej życzliwości z markizem de Maucombe, bywał codziennym gościem w jego pałacu przy bulwarze Inwalidów przed pięcioma laty, a rozkochawszy się w Klotyldzie, prosił o jej rękę.

Pan de Maucombe oceniając wartość jego charakteru, jego wysoką pozycję społeczną, wspaniały majątek hrabiego, a po nad wszystko jego przymioty serca i umysłu, pragnął gorąco tego małżeństwa. Jedynem jego marzeniem

było widzieć swą jedynaczkę wice-hrabiną de Grandlieu.

Klotylda uczuwała żywą sympatję dla Armanda, żywiła dlań szczerą, trwałą przyjaźń i być może, gdyby była miała natenczas więcej nad lat dwadzieścia, oddałaby była mu swą rękę i została jego żoną.

Istniała wszakże przeszkoda ku temu. Panna de Maucombe była jedną z tych młodych dziewcząt, które raz ukochawszy, nie umieją kochać powtórnie, a nieszczęściem ona już ukochała.

Markiz, od dawna owdowiały, i mimo swych lat sześćdziesięciu zajęty rozrywkami wielkiego świata, wprowadził weń Klotyldę, gdy ukończyła szesnasty rok życia, i dziewczę to zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa, znalazło się nagle osamotnionem, pośród odmętu arystokratycznych uroczystości Paryża.

Jedna, z dalekich kuzynek pana de Maucombe, kobieta w podeszłym wieku, pełniła rolę opiekunki Klotyldy. Żadna wszelako z opiekunek, matki zastąpić nie zdoła, nie posiadając ani przezorności, ani czujności, tej pierwszej.

W patrycjuszowskich salonach przedmieścia panna de Maucombe spotykała często, a następnie każdego prawie wieczora, pewnego młodego trzydziestoletniego mężczyznę, któremu tak jego nazwisko, jako i związki rodzinne, otwierały wielkoświatowe podwoje. Był to hrabia Gontran de Randal.

Gontran odznaczał się w towarzystwach niezwykłą urodą, jak i dystynkcją, zarówno. Mówiono, że nadwerężył majątek w szalonych hulankach młodości.

Rzeczywistość o wiele smutniej się przedstawiała.

Kompletnie zrujnowany, lecz podtrzymywany przez wierzycieli rachujących na bogate ożenienie się jego, pan de Randal szukał milionowej jakiej dziedziczki, i w podobnych warunkach był gotów zaślubić nawet najbrzydszą.

Klotylda de Maucombe, młode dziewczę, jedyna, córka trzymilionowego markiza, mająca prócz tego otrzymać w dniu zamążpójścia i wiano po matce, wydała mu się być ideałem, za którym gonił. Przeczuwając niechęć ku sobie pana de Maucombe, starał się przedewszystkiem córce przypodobać. Doświadczonemu jak on rycerzowi w sprawach miłości, najłatwiej było rozkochać to naiwne i romantyczne dziewczę. Udało mu się to doskonale.

Klotylda szalenie go pokochała, a skoro markiz zapytał córkę, dla czego odmawia swej ręki wice-hrabiemu de Grandlieu, dziewczyna bez wahania odpowiedziała:

— Ponieważ kocham hrabiego de Randal!..

Zgnębiony owem wyznaniem, którego strasznych następstw wtedy jeszcze nie przewidział, śledzić począł przeszłość tego wielkoświatowca, którego córka dać mu chciała za zięcia.

Najoplakańsze objaśnienia ze wszech stron napływały. Pan de Maucombe miał w krotce w rękach dowody, że Gontran był nietylko majątkowo zrujnowanym, ale szulerem z profesji, rozpustnikiem, prowadzącym podwójne życie, z którego część jedną spędzał w arystokratycznych salonach, a drugą wśród ludzi najniższej kategorji, tak kobiet, jak mężczyzn.

Markiz opowiedział Klotyldzie szczegóły, jakie można,

było odkryć młodemu dziewczęciu, i dodał, iż jej nie zmusza, ażeby zaślubiła pana de Grandlieu, lecz obok tego zaprzysiągł, że nigdy nie udzieli swego zezwolenia na związek z Gontranem. I aby przeciąć ten z nim stosunek, zaprzestał odtąd bywać z córką w towarzystwach.

Dziewczę milczało na to wszystko. Znała surowy i niezłomny charakter swojego ojca. Wiedziała, że on nie ustąpi, lecz obok tego wiedziała również, że sama wytrwa w powziętem postanowieniu. W miarę jak spotwarzano hrabiego, coraz go silniej kochała i zaprzysięgła, iż bądź co bądź wyniknąćby mogło, jego tylko zaślubi.

VII.

Półtrzecia roku tak upłynęło.

Klotylda żyła spokojna, zrezygnowana z pozoru, niekiedy nawet uśmiechnięta, w samotnym ojcowskim pałacu na bulwarze Inwalidów.

Jeden, jedyny z odwiedzających przybywał tu teraz każdodziennie, wnosząc wraz z sobą niejaką rozrywkę w monotonną egzystencję dziewczyny. Był nim wice-hrabia de Grandlieu.

Panna de Maucombe przyjmowała go z widocznem zadowoleniem, z siostrzaną prawie życzliwością, uważając go jak brata.

Stary markiz cieszył się tem potajemnie i powtarzał:

— Owa gwałtowna miłość dzieciństwem była, jak widzę. Wyobraźnia Klotyldy działała tu więcej niż serce. Nie myśli

już o owym hrabim de Randal. Przekonywa się, że z pomiędzy wszystkich, wice-hrabia de Grandlieu najbardziej zasługuje na jej względy.

Starzec mylił się srodze.

Dziewczę zaprzysięgło pozostać wiernem swojej miłości i dotrzymała przyrzeczenia.

Ceniąc zbyt wiele swą godność osobistą, nie widywała się wcale z Gontranem, nie starała się potajemnie z nim widzieć, utrzymywała z nim jednak nieprzerwaną korespondencję za pomocą swej pokojówki.

Objaśniona co do praw swoich przez hrabiego de Randal, czekała.

Nadeszła chwila nareszcie, w której mogła działać samowolnie i rozstrzygnąć o swojej przyszłości.

W wigilię dnia, w którym ukończyć miała dwudziesty rok życia, stanąwszy przed ojcem, powiedziała mu, że czas upłyniony, a z nim wszelkie rozmyślania nie zmieniły jej uczuć, ani postanowienia, ale przeciwnie, wzmocniły je więcej, zkąd widząc, iż takowe w niej nigdy się nie zmienią, prosi go po raz ostatni o zezwolenie na małżeństwo z Grontranem.

Przerażony oporem, jakiego się nie spodziewał, markiz postanowił walczyć do ostatka, mając nadzieję, że jego wola złamie opór córki.

— Powody, rzekł, jakie mi nakazywały uważać związek z hrabią de Randal, jako nieszczęście dla ciebie, istnieć nie przestały. Isnieją one dziś bardziej, niż kiedy. Tem mocniej przeto jestem przeciwny temu małżeństwu. Nie mów mi o tem. Wszelkie twoje błagania będą nadaremne. Nie zmienię

mego postanowienia!

— Zapominasz mój ojcze, odrzekła Klotylda, że od jutra poczne być pełnoletnią, panią siebie, a tym sposobem mogącą rozrządzać swoją przyszłością.

— Jak to, wbrew mojej woli? zapytał starzec osłupiały, słysząc podobne zuchwalstwo.

— Niestety! tak, ojcze. Wiesz dobrze, że prawo upoważnia mnie do tego.

— Wiem o tem. Lecz obok tego wiem zarówno, iż w świecie, do którego należymy oboje, nie zdarzyło się dotąd, ażeby córka, zapominając przynależnego dla ojca poszanowania, depcząc wstyd wszelki, użyła prawa jako broni przeciw roztropności i dziecięcemu przywiązaniu. Ty sama czujesz, że to byłoby nikczemnem!

— Możesz-li być nikczemnem to, na co prawo zezwala?

— Jest to złe prawo, świętokradzkie prawo, czyniące z dziecka zbuntowanego przestępcę przeciw własnemu ojcu! wykrzyknął pan de Maucombe.

— Nie! jest to prawo sprawiedliwe, dobroczynne prawo! wołała z roznamiętnieniem Klotylda. Nie pozwala ono bowiem ojcu druzgotać przyszłości i szczęścia dziecka. Tego prawa użyję, w potrzebie!

— Ty togo nie uczynisz, Klotyldo!

— Uczynię, jeśli mnie zmusisz do tego, mój ojcze! Do ostatecznego środka ocieknę się z boleścią, ale spokojnem sumieniem, zmuszona, koniecznością, ponieważ zamknąłeś przedemną wszelkie inne drogi! Ojcze, ja ci nie grożę, ale błagam ciebie, wołała. Klękam u nóg twoich. Kocham hrabiego de Randal, kocham od lat tylu, kocham go nad

życie. Źle go znasz, uprzedziłeś się niekorzystnie... Spotwarzono go! Jest to człowiek prawy, honorowy, godny ciebie! Bez niego nie ma dla mnie szczęścia na ziemi! Nie bądź okrutnym, zezwól na nasze małżeństwo, nazwij go swym synem!

— Nigdy!

— Ojcze, daj się ubłagać!..

— Nigdy! powtórzył starzec.

— Ach! jakże jesteś zaciętym!.. Gdyby prawo nie przyszło mi z pomocą, w tym razie, cóżby mi pozostało?

— Odwołaj się więc do tego prawa, jeżeli będziesz miała odwagę!

— Muszę go znaleźć. Czekałam bez skargi, wszak wiesz. Mamże czekać jeszcze? Gdybyś mi zrobił nadzieję, jakikolwiekbądź promyk nadziei, czekałabym dalej. Ale na moje błagania odpowiadasz: „Nigdy!“

— Kłamać nie umiem. Nie spodziewaj się niczego odemnie.

— A zatem skończone!

— Nie! zawołał markiz. Dziecię zaślepione, niewdzięczne dziecię, ostatnim mym obowiązkiem jest ukazać ci przepaść, w jaką chcesz biegnąć! Hrabia de Randal, boć znam go dobrze, ten człowiek jest zdolnym do spełnienia najwyższej podłości! Widzieć ciebie jego żoną, ciebie mą córkę? Ach! stokroć razy wolałbym cię widzieć umarłą! Wraz z nim będziesz się pogrążała z upadku w upadek, z boleści w boleść. Będzie cię on wiódł błotnistemi drogami, aż doprowadzi do nędzy, hańby! A nie czyń sobie nadziei, ażebym ja był tam i podał ci rękę, aby cię podnieść,

ocalić! Nie! nie! Posłuchaj Klotyldo, słów moich, mówił dalej, ostatnie to słowa! W dniu, w którym ludzie czarno ubrani, przedstawiciele tego, jak go nazywasz, „dobroczynnego prawa,“ przestąpią próg mego pałacu, aby zastąpić legalną formalnością zezwolenie, jakiego odmawiam, od tego to dnia, pamiętaj, nie będę miał córki, staniesz się dla mnie umarłą!

Panna de Maucombe, blada jak widmo, ale niezmienna w postanowieniu, pochyliła głowę i nie wyrzekłszy ani jednego słowa, wyszła z salonu, w którym miała miejsce powyższa rozmowa.

Z następnym rankiem była pełnoletnią i opuściwszy ojcowski pałac, udała się wraz z pokojówką do jednego z owych religijnych zakładów, gdzie przyjmują pensjonarki.

We trzy dni potem, dwaj notarjusze ukazali się w pałacu markiza, w wezwaniem do poddania się prawu.

Skoro odeszli, starzec przywdział żałobę po córce! Dotrzymał przysięgi, Klotylda była dla niego umarłą.

W krótce po załatwieniu oznaczonych terminem formalności, ogłoszono małżeństwo pana hrabiego de Randal z panną de Maucombe, i Gontran objął zarząd majątkiem żony, nader zresztą skromnym, bo dosięgającym zaledwie cyfry trzystu tysięcy franków, z tej prostej przyczyny, że matka Klotyldy, lubo pochodzącą ze znakomitej rodziny, wniosła markizowi w posagu tylko tę sumę.

Resztę owej smutnej historji zamknąć możemy w krótkich wyrazach.

Pan de Maucombe był dobrym prorokiem. Spełniły się

co do joty jego przewidywania. Gontran zawiedziony w nadziejach pochwycenia kilku milionowego posagu, rzucił się w szulerkę. Odnowił pierwotne znajomości z kobietami niższego rzędu i owe trzysta tysięcy franków Klotyldy, zaledwie na lat trzy wystarczyły.

Zostawszy bez żadnych środków, Randal chwycił się oszustwa; oszustwo doprowadziło go do fałszerstwa.

Widzieliśmy go zabijającego się wystrzałem z rewolweru, w wynajętym pokoju przy ulicy Batignolles, dla uniknięcia galer.

Umierająca opowiedziała wice-hrabiemu de Grandlieu szczegóły dotąd nieznane.

— Widzisz, Armandzie, kończyła, Bóg ciężko mnie ukarał, lecz sprawiedliwie. Gdybyż jednak gniew Jego mnie tylko dosięgnął! Gdyby ta niewinna drobna istota, która na świat przyszła, nie odcierpiała za winy matki!... Wszak niegdyś tkliwie mnie kochałeś? dodała gasnącym głosem. Przenieś na moją córkę to uczucie, jakie dla mnie zachowałeś. Przed zgonem pragnę me dziecię oddać w twoje ręce. Przyrzeknij, że kochać ją będziesz, że ją otoczysz opieką, że będziesz czuwał nad nią, a umrę spokojna! O! tak, spokojna, prawie szczęśliwa! Przyrzekasz mi to uczynić?

Pan de Grandlieu pochwycił rękę chorej i przycisnął ją do ust.

— Klotyldo! zawołał, twe dziecię nie pozostanie sierotą. Przysięgam ci, będę ojcem dla niej!

— Dziękuję mój przyjacielu! szepnęła pani de Randal, spodziewałam się tego po tobie. Teraz pozostaje mi tylko

pojednać się z Bogiem. Niechaj ten Stwórca, który mnie przyjmie wkrótce na swoje łono, błogosławi ciebie i wynagrodzi! Poszukaj księdza, przyprowadź go z sobą. Pozostaw mnie z nim a gdy odejdzie, powróć tu do mnie. Myśl o zakończeniu życia w samotności napełnia mnie trwogą. Pragnę, ażebyś był tu w pobliżu i zamknął mi powieki, gdy dusza ujdzie z mego ciała.

Armand z przytłumionem łkaniem wyszedł z pokoju, by spełnić ostatnią wolę Klotyldy.

Słyszeliśmy mówiącą panią Angot o jednej ze swych pensjonarek, która poprzedniej nocy powiła pięknego chłopca.

Zajmijmy się obecnie tą panią.

Wieczorem w dniu, w którym widzieliśmy hrabiego de Randal, wychodzącego z pokoju na bulwar Batignolles, do którego miał wrócić dla odebrania sobie życia, służąca pani Angot weszła do niej z zawiadomieniem, iż „ktoś“ widzieć się z nią pragnie.

— Co to znaczy „ktoś!“ zawołała niecierpliwie pierwsza. Nie możesz się jaśniej wyrażać? Jestże to mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Człowiek ubogi, czy pan?

— Pan, i nawet bardzo piękny, wspaniale ubrany.

— Trzeba było mi to odrazo powiedzieć. Proś tego pięknego pana do salonu i powiedz, że za chwilę przybędę.

Ów salon pani Angot, był to zwykły pokój bez obicia,

zapełniony meblami, poskupowanemi w składach starzyzny. Na środku stał stół okrągły, nakryty ciemno zieloną serwetą. Przy oknach białe muślinowe firanki. Nad kominkiem zegar pod kloszem, dwa wazoniki ze sztucznemi kwiatami i dwa lichtarze posrebrzane z różowemi świecami. Parę obrazków na ścianie dopełniało całości.

Pani Angot poprawiwszy przed zwierciadłem ubranie, pospieszyła na spotkanie owego „pięknego pan,“ oczekującego w salonie.

VIII.

Przybyły zasługiwał niezaprzeczenie na ową nazwę nadaną sobie uprzejmie przez służącą pani Angot.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, kształtnej postaci, elegancki i dystyngowany. Miał lat około trzydziestu pięciu, śniada jednak cera jego twarzy, czarne włosy i broda, znacznie go starszym czyniły. Duże ciemno błękitne oczy i orli nos, nadawały jego obliczu wyraz dumnej wyniosłości. Z pod wązkich ust, na których bezustannie błąkał się sarkastyczny uśmiech, widniały dwa rzędy zębów olśniewającej białości. Całość jego ubrania odznaczała się dobrym gustem i skromnością.

Oczekując w salonie, mierzył pogardliwym wzrokiem umeblowanie, jakiem właścicielka tyle się pyszniła.

Pani Angot ukazała się nareszcie, a oceniwszy za pierwszym rzutem oka wyższe stanowisko znajdującej się

przed sobą osobistości, złożyła ukłon głęboki, na który obecny grzecznem, lubo mniej kornem, odpowiedział powitaniem.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Angot? zapytał.

— Tak, panie... z wychowanicą fakultetu medycznego w Paryżu, znaną zaszczytnie z licznej klienteli.

— Pewna, dobrze mi znana osoba, zaleciła mi panią.

— Wdzięczną jej jestem nieskończenie, odpowiedziała. Czy nie mogłabym wiedzieć nazwiska pomienionej osoby?

— Wybaczy pani, pragnie ona pozostać nieznaną.

— Nie nalegam, szanuję bezimienność, jaką moje klientki otaczać się lubią. Milczenie stało się u mnie prawem; jest ono zresztą mym obowiązkiem, którego dotąd nie przekroczyłam. Dyskrecja przedewszystkiem.

— Powiadomiono mnie też o tej dobrej stronie pani charakteru, i dla tego to przybyłem, rzekł nieznajomy.

— Będę się starała zadość uczynić położonemu we mnie zaufaniu.

— Liczę na to. Pani przyjmujesz pensjonarki? zapytał po chwili.

— Tak, panie. Otaczam je najtroskliwszą opieką, i nie nadużyję wyrażenia mówiąc: prawdziwie macierzyńskiem staraniem.

— Masz pani przyzwoite pokoje?

— Bardziej, niż przyzwoite. Eleganckie, wygodne, mogące konkurować z pierwszorzędnemi tego rodzaju zakładami w Paryżu.

— Radbym je zobaczyć?

— Proszę, chciej pan pójść ze mną.

Tu pani Angot z dumą wprowadziła przybyłego do gabinetu, podobnego temu, który powyżej opisaliśmy, i z rozjaśnionem obliczem oczekiwała na pochwały.

— Ach! jakże to nędzne! zawołał.

— Widocznie pan jesteś zbyt wymagającym, szepnęła, z niechęcią zaciskając usta.

— Bynajmniej. Dla mnie poprzestałbym na tem. Osoba jednak, którą chcę pani powierzyć, nawykła do zbytku i wygody, uważaćby mogła za nieodpowiednie dla siebie podobne schronienie. A gdy zamierzam sowicie panią wynagrodzić, mam prawo, jak się zdaje, być wymagającym.

Na wyrazy, „sowicie wynagrodzić“, oczy kobiety chciwością zabłysły.

— Ach! zawołała, poznaję z kim mam do czynienia. Ażeby przyjąć proponowaną mi klientkę, do wszelkich ofiar jestem gotową. Oddam nawet swój własny pokój do jej rozporządzenia. Pokażę go panu, a jestem pewną, że ci się podoba.

Pokój pani Angot był tak umeblowanym jak jej salon, lecz w braku czegoś lepszego i na tem poprzestać było można.

— Jakże pan znajduje ten gabinet? zapytała.

— Przyjąłbym go w ostatnim razie. Warunki pani?

— Życzysz pan zapłacić jednorazowo?

— Wszystko mi jedno, jeżeli to jest dla pani wygodnem.

— A zatem... pięćset franków.

— Przystaję.

Pani Angot zacisnęła usta w milczeniu.

— Czemuż, pomyślała, nie zażądałam dwa razy tyle, zapłaciłby mi niezawodnie. A zwróciwszy się ku przybyłemu:

— Kiedyż pan przyprowadzisz mi tę osobę? zapytała.

— Prawdopodobnie jutro wieczorem, pomiędzy szóstą a ósmą.

— Wszystko będzie gotowem na jej przyjęcie.

— Rzecz jasna, odrzekł przybyły, iż w jakichkolwiekbądź okolicznościach, gdyby traf dozwolił pani spotkać pomienioną osobę lub mnie samego, zostaniemy na zawsze nieznanemi dla pani.

— Ma się rozumieć ı Skoro która z klientek mój dom opuści, nie znam jej wcale. Jest to niewzruszoną zasadą mego postępowania.

— Ułożone więc. Do jutra, pani.

— Przepraszam, jedno słowo.

Nieznajomy zatrzymał się w progu.

— Przybywające tu do mnie klientki, mówiła pani Angot. płacą mi zwykle naprzód, zaraz po zawartej umowie, połowę przynajmniej ugodzonej sumy. Jest to warunek ogólnie przezemnie przyjęty.

— Warunek, świadczący o wielkiej przezorności pani, odrzekł nieznajomy z ironicznym uśmiechem. Zgadzam się na to. i otóż nie połowę, ale wszystko gotów jestem zapłacić.

To mówiąc, dobył z pugilaresu bilet pięciuset frankowy i wręczył go pani Angot.

— Mamże napisać pokwitowanie? zapytała, chwytając chciwie ów papier.

— Nie ma potrzeby, ufam pani.

To powiedziawszy, wyszedł, ukłoniwszy się z lekka.

Pani Angot odprowadziła go aż do wschodów z bezustannemi pokłonami, gdy był na dole, kłaniała się jeszcze.

— Pięćset franków! wołała rozpromieniona, wróciwszy do swego pokoju. Pięćset franków! i to jednorazowo. Ha! ha! nie o lada sprawę, jak widzę, tu chodzi.

Roześmiała się zadowolona i schowała starannie ów bilet.

Nazajutrz wieczorem, podczas gdy Klotylda de Randal wracała pieszo z pałacu markiza, przemoknięta, z sił wyczerpana, umierająca prawie, dwukonny fiakr zatrzymał się przed domem Vignot'a, na bulwarze Batignolles.

Pani Angot, czatująca w oknie od godziny, poznała owego nieznajomego, który podawszy rękę wysiadającej z fiakra kobiecie, wszedł wraz z nią w głąb domu.

Jednocześnie jakaś postać męzka, uczepiona w tyle powozu, zeskoczyła zeń, ukrywszy się po za fiakrem.

— Doroto! wołała na służącą pani Angot, pozapalaj światło w moim pokoju, roznieć ogień na kominku, a żywo, bo nadjechały osoby, na które oczekuję.

I pochwyciwszy lampę, wybiegła z nią na wschody.

— Gdzie mnie prowadzisz, Robercie? szeptała kobieta, idąca wraz z towarzyszem na górę. Boże, jak ja się lękam, o Boże!

— Uspokój się, Henryko, mówił do niej z cicha. Mieszkanie wprawdzie nie jest zbyt okazałe, tu jednak bezpieczniejsze znajdziesz schronienie niż

gdziekolwiekbądź indziej. Lecz tst, usłyszeć nas mogą.

— Oczekuję na panią, odezwała się pani Angot. Przygotowałam wszystko na jej przyjęcie, znajdziesz tu pani wszelkie wygody. Na dworze jest zimno, nie prawdaż? W pokoju jednak dla pani przeznaczonym jest bardzo ciepło; pali się na kominku od rana.

Przybyła, postępując w milczeniu, wsparta na ręku mężczyzny nazwanego Robertem, weszła wraz z nim do pokoju, gdzie usiadłszy przed płonącem ogniskiem, ogrzewała przy niem zziębłe swe drobne nóżęta.

Gęsta koronkowa woalka twarz jej zakrywał.

Właścicielka zakładu, przypatrując się ciekawie przybyłej, dostrzegła tylko, że jej klientka była osobą średniego wzrostu, wątłej kompleksji.

— Radabym pomówić z panią, zaczęła po chwili. Może pan, dodała zwracając się do Roberta, raczy nas obie same na parę minut pozostawić.

Posłuszny wygłoszonemu żądaniu, mężczyzna wyszedł z pokoju.

Henryka, odrzuciła, woalkę.

Pani Angot cofnęła się zdumiona.

IX.

Spodziewała się ujrzeć przed sobą kobietę, a nagle znalazła się wobec młodego dziewczęcia, prawie jeszcze, dziecka.

Henryka miała zaledwie lat siedmnaście, a wydawała się

być młodszą jeszcze z przyczyny delikatnych rysów twarzy i jasno blond włosów.

Trudno byłoby odnaleźć postać bardziej uroczą nad piękne to dziewczę, z wyrazem nieokreślonej łagodności w lazurowem spojrzeniu i wdziękiem, pociągającym w calem obliczu.

— Ho! ho! pomyślała pani Angot, ów pan Robert znalazłby się w nielada kłopocie, gdyby policja wdała się w tę sprawę. Lecz to mnie nie obchodzi, pełnię mój obowiązek, jestem w porządku.

Po ukończonej rozmowie pomiędzy dwiema kobietami, Robert zapukał do drzwi i wszedł za udzielonem sobie pozwoleniem.

— Moje drogie dziecię, rzekł, przystępując do Henryki, powierzam cię opiece tej pani. Możesz jej ufać w zupełności. Bądź dobrej myśli. A teraz żegnam cię, czyli raczej do widzenia.

— Odchodzisz, szepnęła z niepokojem.

— Muszę. Wszak wiesz, że moja obecność jest tam nieodwołalnie potrzebną. Zatrwożonoby się, nie widząc mnie, jak zwykle, każdego wieczora. Wszak przedewszystkiem podejrzeń unikać nam należy. Skoro tylko będę mógł, powrócę tu, może nawet dziś jeszcze.

— Masz słuszność, odpowiedziała Henryka. Na wiele zważać potrzeba. Idź więc, gdy konieczność cię wzywa. Pamiętaj jednak, że mogę tu umrzeć, opuszczona, sama, zdala od ciebie, co byłoby dla mnie smutnem, bardzo smutnem!

Robert, pochwyciwszy obie ręce dziewczyny, przycisnął

je do ust, okrywając pocałunkami, co świadczyło bądź o jego głębokiem, prawdziwem uczuciu, bądź wielkim talencie aktorskim, i szepnął jej z cicha:

— Nie obawiaj się, droga, nie zagraża ci żadne niebezpieczeństwo. Żyć będziesz, ażeby być kochaną, szczęśliwą!

I dalej prowadził tyradę podobnej treści, nie szczędząc słów i wyrażeń banalnych, jakie widocznie nie płynęły mu z serca.

Henryka, zadowolona tem, uspokoiła się, uśmiechnęła nawet.

Złożywszy ostatni pocałunek na jej czole, Robert oddalił się, dając znak pani Angot, by wyszła za nim.

— Upewniasz mnie więc pani, zapytał, iż o osobę pozostawioną jej opiece mogę być spokojnym?

Zapytana starała się go upewnić w jak najtkliwszych wyrazach.

— Pani lubisz, jak się zdaje, pieniądze, zagadnął.

— Któżby ich nie lubił? dziwne zapytanie.

— Wręczyłem pani dwadzieścia pięć luidorów.

— Według ugody. Chciałam panu dać pokwitowanie i obecnie dać je gotowam.

— Nie o to mi chodzi. Chciałażbyś pani zarobić więcej? W miejsce pięciuset franków otrzymać tysiąc?

— Nie odmawia się podobnej propozycji.

— A więc, dam je pani w ciągu dni czterech. Uważasz pani, w ciągu dni czterech, jeżeli w pomienionym zakresie czasu ta młoda osoba będzie w stanie opuścić dom pani.

— Rzecz to przytrudna nieco do spełnienia, odrzekła

pani Angot. Skoro jednakże panu tak wiele na tem zależy i chcesz mnie za, to hojnie wynagrodzić, będę się starała zadość uczynić pańskiemu żądaniu. Da się to zrobić, mam nadzieję.

Po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi. Robert wyszedł na bulwar, a, przywoławszy fiakra, wsiadł, polecając jechać woźnicy na ulicę Ville-l'Eveque pod numer wskazany.

Pałac, przed którym się zatrzymali był bardzo stary i obszerny; wznosił się on pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Podobnie wspaniale wielkopańskie rezydencje w czasach dzisiejszych, rzadko dostrzedz się dają.

Robert zadzwonił do bocznych drzwi, umieszczonych przy bramie, a za otwarciem ich, wszedł w rozległy dziedziniec, słabo oświetlony lampą, rzucającą blask z mieszkania odźwiernego, i mosiężną latarnią, zawieszoną w przysionku.

Ów pałac, zbudowany za Ludwika XIII, składał się z rozległego trzypiętrowego korpusu i dwóch mniej wysokich piętrowych boków, tworzących pawilony.

Przybyły, którego odźwierny niskim powitał ukłonem, przeszedłszy dziedziniec, zaczął wstępować na wschody.

W chwili, gdy wchodził w przysionek, stary służący, rozbudzony z drzemki, zerwał się szybko i z poufałością właściwą starym sługom:

— A! panie hrabio, zawołał, otóż przybywasz nareszcie. Pan d'Auberive oczekuje cię niecierpliwie. Bardziej jest dziś cierpiącym niż zwykle. Niespokojny, rozirytowany, gniewa się bezustannie. Po trzykroć dzwonił już na mnie,

aby zapytać czyli pan hrabia nie powrócił. Nie mało ztąd ucierpiałem.

— Mimo to wszystko, drzemałeś spokojnie, jak widzę, mój dobry Józefie, rzekł Robert, z właściwym sobie ironicznym uśmiechem.

— Przeciwnie! myli się pan hrabia, nie spałem, odparł służący, chwilowo tylko oczy zamknąłem.

— Mniejsza o to... twój wiek upoważnia cię do spoczynku. Idę do pana d'Auberive, a ty śpij dalej.

To mówiąc, Robert zwrócił się na lewo przysionka, otworzył drzwi, minął przedpokój, następnie salon, wspaniale gobelinami przystrojony, którego plafon w kształcie kopuły, po królewsku zdobny freskami, świadczył o pracy jednego z najsławniejszych malarzów, nieśmiertelnego Le Suer'a, minął drugi mniejszy salon, również bogato przybrany i wszedł do sypialni, oświetlonej lampą i szeroko płonącem na kominku ogniskiem.

Przed owym gorejącym stosem ognia siedział, a raczej leżał, starzec na szeslongu, we flanelowy czerwony szlafrok odziany.

Przez zielony abażur lampy, stojącej na stoliku, zarzuconym książkami i dziennikami, padające światło oświecało część wyższą postaci starca, uwydatniając przepyszną jego głowę wraz z bladem obliczem, otoczonem jedwabistemi włosami, śnieżnej białości. Długie jego wąsy były również białemi.

Wszystko jaśniało białością w owej poważnej twarzy, z wyjątkiem błękitnych oczu i brwi, jak heban czarnych, tworzących dziwną sprzeczność z całością.

Rysownik odszkicowałby z zachwytem tę piękną głowę starca, odbijającą się w pełnym blasku, jak portret Rembrandta w ciemno-zielonem świetle lampy, podczas gdy reszta przedmiotów, znajdujących się w pokoju, tonęła wśród cieni, odznaczając jedynie fałdy jego purpurowego szlafroka, tak pąsowego, jak suknia kardynała.

Na szelest otwierających się drzwi, starzec z trudnością obrócił głowę, jak gdyby najmniejsze poruszenie boleść mu sprawiało.

Głęboka bruzda, oznajmująca gniew i niecierpliwość, uwydatniła się na jego czole, między czarnemi brwiami. Zniknęła jednak, gdy dostrzegł wchodzącego. Uśmiech wybiegi mu na usta. Uniósł z trudnością swą lewą rękę (prawą albowiem miał oddawna bezwładną) i podawszy ją przybyłemu, wyjąknął zwolna, niewyraźnie:

— Ha! „lepiej późno niż wcale.“ Witaj kochany hrabio! gdybyś wiedział, jak niecierpliwie na ciebie oczekiwałem! jak oczekiwałem!

X.

Robert, ująwszy drżącą rękę starca, uścisnął ją z poszanowaniem.

— Wiem, panie, rzekł, ile nabawiłem cię niepokoju, gdyby to odemnie zależało, nie poważyłbym się nigdy przedłużać twego oczekiwania. Poznawszy powody mego opóźnienia, osądzisz mnie, jestem pewno mniej winnym, niż się nim wydaję z pozoru. Pomówmy przedewszystkiem

o pannie Henryce.

— Tak, tak, o mojej córce, mów mi, mów o niej, wyjąknął starzec z rozpromienionem głęboką tkliwością obliczem.

— Wywiązałem się z misji, jaką mi pan powierzyć raczyłeś, mówił Robert dalej. Panna Henryka wraz ze swą pokojówką odjechały do Orleanu pociągiem, wychodzącym o piątej minut dwadzieścia. Umieściłem je w przedziale dla dam przeznaczonym, i nie opuściłem aż z chwilą wyruszenia w drogę pociągu.

Pan d'Auberive, spojrzawszy na zegar, stojący nad kominkiem, wyszepnął:

— W pół do jedenastej.

— A zatem panna Henryka oddawna na miejsce przybyła, wyrzekł młodzieniec, i bez wątpienia w ciągu dwóch dni odbierzesz pan list od niej z wiadomością o hrabinie de Nanerey.

— Ach! moja biedna siostra, już jej nie zobaczę!

— Dla czego, zkąd to powątpiewanie?

— W jej... i moim wieku, mówił chrypliwym i jakby złamanym głosem starzec, po rozłączeniu trwającem przez lat dziesięć, zbliżenie się jest niepodobnem. Spotkamy się tam, chyba w niebiosach i to niezadługo.

— Zkąd te smutne myśli? Proszę odpędź je pan.

— Płyną one pomimowolnie. Jakaż, bo sam powiedz, moja egzystencja? Gdyby moja ukochana Henryka nie przywiązywała mnie do życia, prosiłbym Boga, wierzaj mój przyjacielu, aby mnie co rychlej powołał do siebie. Lecz nie zajmujmy się mną. Powiedz mi raczej o sobie. Czekałem na

wiadomość o jej odjeździe. Miałeś powrócić na obiad, cóż cię zatrzymało?

— Wypadek nieprzewidziany.

— Jak to... czyżby miało cię spotkać coś złego? pytał starzec z obawą.

— Tak jest... niestety.

— Ależ nie żadne niebezpieczeństwo?

— Rzecz najzwyklejsza w świecie! Omal nie przypłaciłem życiem mojego roztargnienia. Idąc ze stacji do fiakra, nie spostrzegłem nadjeżdżającego szybko powozu, którego dyszel uderzywszy we mnie, powalił mnie na ziemię.

— Wielki Boże!

— Uderzenie było bardzo silne. Straciłem przytomność, omdlałem jak kobieta. Przeniesiono mnie do najbliższej apteki, gdzie jeden z farmaceutów miał wiele trudu, zanim mnie przywrócił do życia. Otworzyłem oczy nareszcie, nie byłem zraniony, czułem wszelako wielkie osłabienie, jakie nie pozwoliło mi przybyć tak prędko, jak tego pragnąłem. Oto przyczyna mego opóźnienia.

— A ja byłem tak niesprawiedliwym. Obwiniałem cię o niedbałość! wołał pan d’Auberive. Gdybyś też został zabitym? Drżę na samą myśl niebezpieczeństwa, jakie ci zagrażało! Czujesz się jednak dobrze teraz?

— Tak dobrze, jak gdyby mi się nic nie przytrafiło...

— Potrzebujesz zapewne spoczynku?

— Bynajmniej, na dowód czego gotów jestem panu przeczytać głośno dzienniki, jak każdego wieczora.

To mówiąc wziął ze stolika gazety.

— Nie, nie! wołał starzec, nie dzisiaj. Gotów jesteś dla mnie się poświęcić, wiem dobrze, lecz ja nie przyjmę takiej ofiary. Idź do swoich pokojów, mój hrabio, proszę cię o to. Nie uspokoję się dopóki mnie nie powiadomią, żeś się położył i zasnął.

— Sen by nie przyszedł, odrzekł młody człowiek z uśmiechem, gdybym nie wypełnił, jak zwykle, mego obowiązku lektora.

— Ustępuję więc i słucham, lecz tylko przez pół godziny, ani minuty więcej. Główne wiadomości... fakta najbardziej interesujące, oto wszystko. Reszta na jutro niech pozostanie.

Robert rozwinął jeden z dzienników, wieczorowe jednak pisma nie zawierały z dnia ubiegłego wiele ciekawych szczegółów. Przebiegał je kolejno, głośno czytając.

Po upływie kwadransa, słuchający z głową opartą na poręczy szeslongu zasypiał głęboko. Lektor głos zniżył, szedł na palcach, przymknąwszy drzwi z cicha. W przysionku, obudził starego kamerdynera, rozkazując pójść do pana i położyć go w łóżko.

Oprócz wielkiej mosiężnej latarni, którą gaszono nad ranom, płonęła w przysionku lampa i świeca.

Wziąwszy ostatnią, Robert wszedł na schody, pokryte suknem purpurowem i korytarzem, biegnącym kręto przez pałacową galerję, udał się do pawilonu.

Apartament, wyłącznie dla niego przeznaczony, mieścił się na pierwszem piętrze. Zawierał on przedpokój, salon, gabinet pracy, sypialnię i garderobę.

Mieszkanie to, choć mniej wspaniałe od powyżej przez

nas opisanego, było jednak bogato i z dobrym gustem umeblowane. Wszystkie sprzęty były wykwintnie rzeźbione. Obrazy i przedmioty sztuki czyniły zeń prawdziwe muzeum.

Robert, rozebrawszy się spieszno, rzucił się na łóżko, nie dla zaśnięcia jednakże, lecz aby nazajutrz znaleziono ślady, że się położył i spał.

Przez parę godzin leżał tak nieruchomy, z głową opartą na ręku, wzrokiem w dał utkwionym, rozmyślając, a raczej marząc w czuwaniu.

Nagle podniósł się i wyszeptał:

— Tak, przebyłem wielką przestrzeń drogi, jestem z siebie zadowolonym. Wiem, iż zanim przybędę do celu, potrzeba mi będzie złamać niejedną przeszkodę, zwalczyłem jednak najbardziej niebezpieczne. Nie zabraknie mi nadał odwagi. Będę szedł bezustannie dalej, wciąż dalej! Być wyłącznym panem tego książęcego pałacu, o! jak to będzie wielkiem, jak pięknem, to właśnie, co mi wskazuje przeznaczenie.

Tu podniósł się z łóżka, przywdział ubranie, wsunął w kieszeń mały rewolwer i wyszedł, lecz inną drogą przez boczne wschody, od strony garderoby. Miał w ręku dwa klucze.

Jednym z nich otworzył drzwi, wychodzące na dziedziniec. Zamek i zawiasy obficie oliwą napuszczone, otwarły się bez hałasu. Drugi klucz posłużył mu do otwarcia furtki, znajdującej się obok mieszkania odźwiernego, którego nie przebudziwszy, znalazł się na ulicy Ville l’Eveque.

Było to około drugiej nad ranem.

Za sto sous fiakier zawiózł go na jedną z ulic, łączących się z bulwarem Batignolles. Wysiadłszy, szedł wzdłuż murów, ściskając w ręku rewolwer na wypadek jakiej napaści, i zwrócił się w stronę mieszkania pani Angot.

Dosięgnąwszy pomienionego domu, z którego okien drugiego piętra żywe światło padało na ulicę, zagłębił się w korytarz, gdy nagle jakaś postać, wyskakując ku niemu z ciemności, szepnęła:

— Nie wchodź tu, ostrzegam!

Robert, zdumiony tem niespodziewanem zjawiskiem, cofnął się, a wycelowawszy rewolwer, zawołał:

— Z drogi! bo strzelę!

— Ha! ha! zaśmiał się ów głos, mówisz jak głupiec. Odkądże to strzela się do ludzi, którzy nas życzliwie przestrzegają? Zkąd u czarta wziąłeś się tu, panie Robercie?

— Znasz mnie więc? wyszepnął pierwszy z osłupieniem.

— Po trosze, mój miły. Nie poznajesz mnie więc, po głosie? To dziwna!

— Kto jesteś?

— Jestem Sariol. Ha! ha! sam we własnej osobie.

XI.

— Sariol! powtórzył Robert, uderzając z gniewem nogą o ziemie. Zkąd ty tu?

— Na bulwar Batignolles, zdaje się, każdemu przyjść wolno.

— Opuściłeś więc polecone ci stanowisko?

— Jak widzisz.

— Lecz, wszystko natenczas stracone!

— Nic nie stracone, upewniam. Mam inną myśl, wszelkie środki ostrożności zostały naprzód przedsięwziętemi przezemnie i dobrze skombinowanemi. Bądź o to spokojnym.

— Jakiż powód znaglił cię do przybycia tutaj?

— Chciałem pomówić z tobą.

— Nie mogłaż być odłożoną ta rozmowa?

— Zdaje się, że nie, skoro przyszedłem. Jest to dla ciebie szczęśliwy zbieg okoliczności, inaczej albowiem wpadłbyś po samą głowę w gniazdo os, z którego trudno byłoby ci się wydobyć.

— Co to ma znaczyć? Dla czego przed chwilą ostrzegałeś mnie, abym nie wchodził?

— Dla tego, że policja w tym domu.

— Policja? powtórzył Robert zmieszany.

— Tak, mój przyjacielu. Komisarz, agenci, żołnierze w całym komplecie. Uspokój się jednak, mój mistrzu, ciebie to nie dotycze — bynajmmej. Chodzi tu o pewną osobistość, którą pochwycić pragnęli, a która nie mając punktu wyjścia, rozsadziwszy sobie czaszkę wystrzałem, z kłopotu się wydobyła. Wiemy wszelako obadwa, jakie w podobnych wypadkach zachodzą okoliczności. Na schodach straż rozstawiona, komisarz nadmiernie ciekawy zwraca uwagę na przybywających, a skoro nie wyglądasz na mieszkańca podobnej nory, zażądałby niewątpliwie od ciebie wyjaśnienia powodów twej nocnej wizyty.

Zakłopotałoby cię to troszeczkę, ponieważ prawdy wyznać nie można, hę? Cóż, panie Robercie?

— Masz słuszność, Sariol'u, rzekł zapytany, oddałeś mi ważną przysługę.

— Tak sądzę. Nie wejdziesz zatem do tego domu, dopóki go nie opuści całe to wrogie nam grono. Zresztą, nic tu nie nagli. Przybywasz po wiadomość, mogę ci ją na świeżo udzielić. Matka i dziecię znajdują się w dobrym stanie zdrowia.

— Co mówisz? zawołał Robert, drgnąwszy pomimowolnie; matka i dziecię?

— Ależ tak. Czatuję tu oddawna. Dla roztargnienia starałem się o wszystkiem powiadomić. Rozmawiałem ze służącą pani Angot. O północy, zostałeś ojcem pięknego chłopca. Masz spadkobiercę, który jeżeli we wszystkiem będzie tobie podobnym, świetna przyszłość go czeka. Bądź więc obecnie spokojnym i poświęć mi jaki kwadrans czasu na rozmowę, której potrzebuję.

— Chodzi więc o rzecz ważną, poufną?

— Ma się rozumieć.

— Rozmawiać na bulwarze, to dla mnie niewłaściwe.

— I dla mnie zarówno. W nocy, na otwartem powietrzu, można wygłaszać tylko bez znaczenia wyrazy. Jest to zdanie wielkiego mędrca i moje.

— Gdzież się więc udamy?

— Nie troszcz się; rzeki Sariol. Znam pewne miejsce, nader przyzwoite w pobliżu.

— Lecz o tej godzinie wszędzie zamknięte?

— Nie zamykają drzwi przed dzielnymi chłopcami, od

których spodziewają się zarobku. Pójdź za mną, mistrzu, zobaczysz.

Robert poszedł za tą nową dla nas osobistością.

Po kilku minutach przybyli na róg sąsiedniej uliczki pustej, nie, zabudowanej. Jeden, jedyny dom wązki a wysoki wznosił się na jej całej przestrzeni. Drzwi i okiennice w nim były zamknięte. Na wewnątrz żadnego światła, żadnego szmeru. Po prawej i lewej stronie domu znajdowały się puste place, ogrodzone deskami.

Sariol pomimo panujących ciemności, uniósł dwie deski z tego zagrodzenia, oparte na kołkach, a znane dobrze odwiedzającym to miejsce, wyłamując otwór. przez który przepuściwszy Roberta, sam przezeń przeszedł. Następnie, ustawił deski, a zbliżywszy się do tylnej części domu, zapukał czterokrotnie w równych przestankach do drzwi, które natychmiast otworzono.

— Tu jest bezpieczeństwo wszelkie, wyszepnął, komisarz nie nadejdzie dla spisywania protokołów.

I wszedł wraz z towarzyszem do wielkiej szynkownianej sali, oświetlonej kinkietami, przybitemi do ściany, których blade światło zaledwie dostrzedz się dawało, pośród tytoniowego dymu, napełniającego gęstą mgłą tę izbę.

Około dwudziestu mężczyzn podejrzanej powierzchowności i kilka takichże kobiet, pijąc, grali w karty i w domino, cicho, bez hałasu.

Elegancki ubiór Roberta, zwróciwszy uwagę obecnych, wzbudził w nich podejrzenie. Owi pijacy i gracze, nędznie odziani, uważali go w pierwszej chwili jako nie należącego do ich sfery, a może nawet jako przebranego agenta;

spostrzegłszy jednak że przybył w towarzystwie zwykłego tu gościa, nie zajmowali już się nimi wcale.

— Co podać panom? pytała właścicielka zakładu, witając Sariola uściśnieniem ręki.

— Potrzebuję porozmawiać z tym panem, odrzekł, proszę o oddzielny gabinet.

— Dobrze, a obok tego?

— Podaj nam pani białego i czerwonego wina, likierów, talerz wędliny, chleba, biszkoptów, sałatę, cygara wyborowych gatunków, jabłka i śliwki. Ten pan, dodał wskazując na Roberta, ma kieszeń dobrze zaopatrzoną; on płaci.

W dwie minuty później obaj przybyli siedzieli naprzeciw siebie w izbie, nazwanej szumnie gabinetem, do której światło dochodziło z sali przez wybite w ścianie oszklone okienko. Wystarczało spuścić na to okienko wyścielaną płócienną zasłonę, aby zostać szczelnie zamkniętym.

Kopcąca świeca oświetlała stół drewniany, zastawiony potrawami, dysponowanemi przez Sariola, za które Robert miał płacić.

Sariol, którego dotąd jeszcze nie znamy, był wysokim, tęgim, około trzydziestoletnim mężczyzną, dość przystojnym z pozoru, lecz jednoczącym w swojej osobie ów prawdziwy typ paryzkiego bandyty, bardziej zepsutego od galernika, a chytrego jak stary dyplomata.

Jego twarz blada, ołowianej cery, wyrażała bystrość i szyderstwo zarazem. Sine kontury widniały pod jego żywo, z bezczelnością patrzącemi oczyma; jasnoblond włosy, mocno wypomadowane, przylegały mu do skroni

Kapciuch jedwabiem haftowany, (podarek miłosny zapewne), zawieszony był na butonierce jego wypłowiałego paltota. Lakierowany daszek jego aksamitnej czapki, spuszczał mu się głęboko nad czołem; krótką glinianą fajkę trzymał w ustach bezustannie.

Pomieniony wstęp do naszej powieści, obejmuje epokę od 1850 roku. Gdyby niektórzy z naszych czytelników, wiedzeni ciekawością, zechcieli zajrzeć na jeden z owych podrogatkowych balików, znaleźliby tam dziś jeszcze wierną fotografię Sariola, co przekonywa, że ów typ kwitnący naówczas, dotąd nie zaginął.

Wyżej wymieniona osobistość, odkorkowywała zwolna butelki białego i czerwonego wina. Pokosztowawszy je, cmoknął językiem zadowolony, napełnił po brzegi cztery szklanki, dwie dla swego towarzysza i dwie dla siebie, i wyrzekł tonem jowialnym::

— Jest dobre. No! za twoje zdrowie, a raczej za zdrowie nas obu.

Robert zerwał się żywo.

— Co znaczy ta poufałość? zapytał. — Ha| ha! poufałość, powtórzył Sariol, wspierając się plecami na krześle, pozwól że mi się naśmiać, mój kochany! Na honor jesteś pociesznym!

— Zdaje ci się, że zapominam o przynależnym dla ciebie szacunku, nieprawdaż? dokończył Sariol. Ależ do czarta! tracisz pamięć widocznie i obecną swą sytuację bierzesz na serjo. Patrzysz na mnie z wyżyn swojej wielkości, traktujesz mnie jak nędzarza, którego się uszczęśliwia rzuceniem mu kości do ogryzienia, niżej nawet trochę niż

wspólnika, coś, nakształt machiny, którą w ruch się wprawia za naciśnięciem guzika. Bardzo to piękne, lecz niedługotrwałe. Będziemy się starali to zmienić.

— Nierozumiem! zawołał Robert niecierpliwie.

— Zrozumiesz, zrozumiesz! bądź spokojnym i pozwól mi mówić ponieważ dla tego tu przybyliśmy.

— Lecz...

— O! żadnego lecz, bo inaczej nie trafimy do ładu. Żądam od ciebie tylko pięciu minut, dla jasnego postawienia kwestji. Później mi odpowiesz, gdy zechcesz. Przedewszystkiem więc wyobrażasz sobie, że ja nie widzę dalej po nad koniec swego nosa. Mylisz się mój dobry i grubo się mylisz! Nie należę do tych, którzy wyzyskiwać się dają. Wolę sam raczej ciągnąć korzyści i postanowiłem rozpocząć to co rychlej.

— Któż ciebie wyzyskuje? Służysz mi, zapłaciłem ci za to.

— Bardzo mizernie.

— To trzeba było nie przyjąć.

— Dla czego? nie takim głupi. Wziąłem luidory jako zaliczkę rachunek później uregulujemy.

— Rościsz więc pretensje?

— I to ogromne! Trzymam w ręku twą przeszłość i przyszłość. Gdyś się zgłosił do mnie po raz ostatni, zrozumiałem, że wraz z tobą fortuna do mnie przybywa. Chciałeś mnie na sznurku prowadzić! Ha! ha! śledziłem, szpiegowałem, pytałem. Jednem słowem, wiem wszystko!

XII.

— Wiesz wszystko? powtórzył Robert, wpatrując się bacznie w mówiącego.

— Od A do Z. tak jest mój drogi. Sądziłeś, iż będę ci bezinteresownie dopomagał w twoich krętactwach? Nie, takim idjotą nie jestem. Upewniałeś mnie, że tu chodziło o zwykłą miłosną sprawkę, o rozwiązanie maleńkiej intrygi, o wykradzenie ukochanej, w czem dopomódz ci miałem. Moja rola łatwą była do wykonania. Należało mi trzymać pod strażą w towarzystwie Limassou, w domku umyślnie wynajętym do tego, jakąś kobiecinę, która, jak utrzymywałeś, miała być niby ciotką czy babką przedmiotu twojej miłości. Zapłaciłeś mi za to sto talarów. Nie mając grosza w kieszeni, przyjąłem chętnie tę propozycję, bom czuł, że grunt mi się chwieje pod stopami. Nie ufałeś mi jednak, ja tobie wzajem nie ufałem. Chodziłem jak cień za tobą, nie będąc widzianym. Użyłem połowę wypłaconej mi kwoty na zasięganie od ludzi różnych wiadomości, i o wszystkiem się dowiedziałem. Teraz nie potrzebuję nic więcej. Znam nawet nazwisko twojej kochanki. A! chcemy się wcisnąć w arystokratyczne sfery, mój chłopcze. Przybieramy pozory uczciwych ludzi. Staramy się uczynić niezbędnem i to w najkrótszym czasie, małżeństwo z miljonową dziedziczką. Brawo! gruba to sprawa. Winszuję! Prowadziłeś ją ręką doświadczonego mistrza. Jesteś przezornym, lecz nadto skąpym i samolubnym, hojniejszym być trzeba tam, gdzie w grę wchodzą miljony. A zatem zysk na połowę, mój towarzyszu! Zostaniesz wkrótce panem

wielkiego majątku, bardzo to pięknie, lecz pomyśl jednocześnie o nim i dla mnie zarówno. Jasne to mniemam i kategoryczne.

Wygłosiwszy ów monolog z widocznem zadowoleniem, Sariol umilkł zdyszany, aby wychylić szklankę wina.

— Skończyłeś? zapytał Robert.

— Zdaje się.

— A zatem powiem ci, mój biedny Sariolu, że jesteś szalonym, nie chcąc powiedzieć żeś głupim.

— Tak sądzisz?

— Niezaprzeczenie. Owe miljony, z których połowę żądasz dla siebie, zależą od małżeństwa, które jedynie dać mi je może, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Małżeństwo to zawartem jeszcze nie zostało.

— Tak, ale przyjdzie do skutku prędzej, czy później.

— Kto wie? Przyszłość nie od nas zależy. A nawet w przypuszczeniu, że to się spełni kiedyś, ów dzień jest może bardzo dalekim!

— Jakaż przeszkoda mogłaby istnieć w tym razie?

— Potrzeba czekać na zgon ojca.

— Dlaczego?

— Ponieważ za życia nie dałby swego zezwolenia. Lecz ułożyłeś sprawę w ten sposób, że zmusić go możesz?

— Mówię ci, że nie zezwoli, nigdy nie zezwoli, rozumiesz?

— Nawet gdyby dowiedział się o prawdzie?

— Wtedy to właśnie byłby najbardziej niewzruszonym.

— Czy podobna? Poręczasz mi to słowem honoru?

— Jakiż cel miałbym w tem kłamstwie? Małżeństwo nie jest rzeczą, z którąby ukryć się można. Gdyby zapowiedzi zostały wygłoszonemi dziś z rana, wiedziałbyś o nich przed wieczorem.

— Jest nieco prawdy w tem, co mi mówisz. Ha! skoro czekać trzeba koniecznie, będę czekał, lecz pod pewnemi warunkami.

— Warunki, z twej strony? Żartujesz!

— Nie żartuję. Przedewszystkiem posiadam twoją tajemnicę, a sekret w zręcznych rękach, staje się miną złota pierwszego gatunku. Trzeba się schylić tylko dla czerpania bogactw. Byłem zawsze dobrym, mam tkliwe serce, nie chcę ci sprawiać przykrości i zgadzam się na eksploatowanie tej żyły obecnie, tylko w pewnych częściach; nieprzypadałoby mi bowiem do gustu jedzenie suchego chleba przy zapachu twojej pieczeni. Mam próżną kieszeń, a ty masz ją wypchaną banknotami. Należy zaprowadzić równowagę. Mam słuszność, wszak prawda?

— Miałbyś ją może, gdybym był rzeczywiście bogatym, lecz na nieszczęście, nim nie jestem.

— Zgoda, nie jesteś miljonerem, lecz pobierasz rentę Och! te renty, szczęśliwi ludzie! Być pewnym, że z rana zje się śniadanie, a obiad w południe. Ach! jak to przyjemne! Jest to mojem marzeniem, które ty urzeczywistnisz!

Robert otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, przerwał mu Sariol:

— Nie trwóż się, wyrzekł, moje warunki będą przystępnemi, nie pokrzywdzę cię wiele. Zadowolnię się do dalszego uporządkowania tej sprawy, dwoma tysiącami

franków miesięcznie.

Robert z zachmurzonem wzrokiem i zmarszczonemi brwiami rozmyślał przez chwilę, nagle twarz jego rozjaśniła się.

— Zgoda! odpowiedział, będziesz miał te pieniądze!

— Nie będę ukrywał przed tobą, mówił dalej Sariol, że radbm coś dostać teraz, na rachunek pierwszego miesiąca.

Towarzysz podał mu bilet dwustufrankowy.

— Wspaniałomyślny przyjacielu! wykrzyknął Sariol, chowając z pośpiechem banknot do kieszeni; a pochwyciwszy szklankę napełnioną winem: Niechaj to wino trucizną dla mnie stanie! zawołał, gdybym miał ci się przeniewierzyć. Jestem odtąd duszą i ciałem tobie oddany. Otóż więc sprawa uregulowana. Teraźniejszość nam sprzyja, pomówmy przeto o przyszłości!

— Jak to o przyszłości?... Śmiałżebyś stawiać mi jeszcze inne wymagania?

— Ależ do pioruna!... za cóżbyś mnie uważał, mój dobry kolego, gdybym poprzestał na tych dwu tysiącach franków miesięcznie wtedy, gdy ty będziesz miał miljony? Powiedziałbyś sobie, żem głupiec, nieprawdaż? a ja tego nie ścierpię. Zostać oszukanym, idjotą. Nie nigdy! Pozwolę ci iść naprzód, dalej wesprę cię nawet mojem ramieniem, gdyby tego była potrzeba, potrzebuję mieć jednak jakieś zapewnienie z twej strony.

— Nie ufasz mi zatem?

— Zostawmy te głupstwa!

— A gdybym ci przyrzekł?

— Ha! ha! ha! obietnice, przyrzeczenia, wróble na

dachu, mój bracie, zaśmiał się Sariol.

— Czegóż więc żądasz nareszcie

— Małego aktu, nakreślonego pięknem twem pismem, mniej więcej tej treści:

„Jestem dłużny mojemu przyjacielowi Sariolowi, za oddane sobie przezeń wiadome usługi, okrągłą sumę trzysta tysięcy franków, jaką zobowiązuję się wypłacić mu nieodwołalnie nazajutrz po zawarciu przezemnie małżeństwa z panną Henryką d'Auberive."

Robert wzruszył ramionami.

— Podobny akt, wyrzekł, nieposiadałby żadnej wartości.

— W obec handlowego trybunału, to prawda, odparł Sariol. We wszelkim jednak innym wypadku, nie zaprotestujesz go, jestem pewny, i zapłacisz mi co do grosza.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewnym, ponieważ ów akt będzie podpisanym w s z y s t k i e m i twojemi imionami i nazwiskami, tak prawdziwemi jak i przybranemu Rozumiesz mnie hrabio Robercie de Loc-Earn? Rozumiesz Robercie Saulnier?...

Robert zbladł jak ściana, zacisnął usta, ponury blask, tryskający mu z oczu, oznajmił wrzącą w nim burzę.

— A gdybym odmówił napisania takiego aktu? zapytał nagle drżącym z gniewu głosem.

— Nie odmówisz, nie, odpowiedział Sariol z ironicznym uśmiechem.

— Lecz cóżbyś wtedy uczynił?

— Na co zapytywać, skoro odpowiedź znasz dobrze.

Wystarczyłoby jedno słowo z mej strony dla zburzenia wszystkich twych planów.

— Nie wierzonoby tobie!

— Spróbujmy!

— Łotrze, nikczemniku! wyszepnął Robert.

— Pfe! jakież prostacze wyrazy, zawołał Sariol, śmiejąc się głośno. Co to pomoże, na co je rzucać daremnie? Bądź lepiej uprzejmym i uczyń tę drobnostkę której żądam, skoro nie możesz w inny sposób wywikłać się z tego.

— A! pochwyciłeś mnie więc i trzymasz?

— Jak ptaka w klatce, nieprawdaż? Z tą różnicą, że ptaki śpiewają same z siebie, gdy przyjdzie im chęć do tego, a ja znaglam ciebie i śpiewać ci każę. Przyznaj, czyliż źle mówię?

Robert siedział w milczeniu.

— Zrobisz czego żądam wszak prawda?

— Muszę, znaglony koniecznością!

— Brawo! porozumienie zwykle następuje — między uczciwymi ludźmi. Pogodzić się, jak to przyjemne! A jeszcze przyjemniejsze mieć piętnaście tysiączków franków renty! Uszczęśliwisz swojego przyjaciela, możesz się tem pochlubić. No, a teraz uściśnienie ręki.

— Niepotrzebne.

— Gniewasz się? lecz to przeminie. Co znaczy sto tysięcy talarów dla człowieka, który pochwyci miliony? Powinienem był żądać dwa razy tyle, wszak rzekło się słowo. Sporządzimy ów akt co rychlej, nie odkładając, na stemplowym papierze, jak przynależy, a zanim to nastąpi, pragnę ci wyświadczyć małą przysługę.

Robert spojrzał nieufnie na mówiącego.

— Prawdziwą przysługę, mówił dalej Sariol, za którą nic nie żądam. Mogę dostarczyć mamkę wyborową dla twego spadkobiercy. Jest to żona pewnego rybaka z wyspy Saint-Denis, mego przyjaciela. Ma lat dwadzieścia, zdrowa i świeża, jak pączek róży. Malec będzie karmiony jak książę! Powinieneś dbać o niego, bo przezeń tylko na matkę wpływ mieć możesz. Zaprowadzę cię do tych rybaków, gdy zechcesz.

— Odłóżmy to na później.

— Jak ci się podoba.

Powyższa rozmowa, prowadzona pomiędzy dwoma mężczyznami, siedzącymi za stołem w tej knajpie, ukończyła się nareszcie. Mówiąc wiele, Sariol jadł i pił z apetytem. Butelki wypróżnionemi zostały. Wszystkie potrawy ze stołu zniknęły.

Po zapłaceniu rachunku, Robert wraz z towarzyszem szedł ku bulwarowi Batignolles tą samą drogą, jaką przybyli.

W pobliżu domu, zamieszkałego przez panią Angot, dwaj owi nocni awanturnicy przeszli w poprzek ulicę, ażeby się znaleźć naprzeciw wspomnianego budynku.

Światło przyćmionej lampy słabo połyskiwało przez okno pokoju pierwszego piętra, gdzie spoczywała Henryka...

Na drugiem piętrze było zupełnie ciemno.

Głębokie milczenie otaczało dom cały.

— No! teraz sądzę, nie mamy się czego obawiać... p a n h r a b i a może wejść śmiało, rzekł Sariol z komicznym

pokłonem. Ja wracam na moje stanowisko, ażeby uwolnić Limassona, który się nudzi na straży przy starej. Jutro przybędę tu, ażeby pomówić z tobą o mamce. Tak dobrej sposobności pomijać nie należy.

— Zobaczę, rzekł krótko Robert.

Sariol odszedł, a jego towarzysz śledził go wzrokiem, dopóki nie zniknął w ciemnościach, następnie wchodząc w głąb korytarza, wyszeptał:

— Ten błazen wie za zbyt wiele, mógłby mi nieszczęście sprowadzić.

XIII.

Z wyż przytoczonej rozmowy Sariola z Robertem, czytelnicy dowiedzieli się, że ową młodą dziewczyną, przebywającą w mieszkaniu pani Angot, była Henryka d'Auberive.

Wyjaśnić nam pozostaje skutkiem jakiego zbiegu szatańsko powikłanych okoliczności to nieszczęśliwe siedmnastoletnie dziewczę zostało na zawsze zgubionem.

Ów siwowłosy starzec, którego widzieliśmy śpiącym na szezlongu, nazywał się Zygmunt, Ireneusz d'Auberive.

Bretończyk z pochodzenia, kolosalnie bogaty, zapalony rojalista, pan d'Auberive brał czynny udział w ostatnich zamieszkach w Wandei.

Ożeniony powtórnie w pięćdziesiątym piątym roku życia, bezdzietny w picrwszem małżeństwie, został wdowcem po raz drugi, gdy jego Henryka na świat

przyszła.

Od lat dziesięciu nie opuszczał wcale Paryża.

Gwałtowny reumatyzm, w połączeniu z napadami podagry, zmuszał go do pozostawania w mieszkaniu. Atak paraliżu pozbawił go władzy w prawej ręce i utrudnił wymowę, nadając jego wyrazom ów dźwięk chropawy, złamany, o jakim wspominaliśmy.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej smutnego nad życie tego człowieka, krzepkiego jeszcze mimo sędziwego wieku, owego starca, tak niegdyś czynnego, który zgnębiony obecnie nieuleczalną chorobą, nie mógł poruszyć się z miejsca bez pomocy swego kamerdynera; starca, patrzącego na upływający dzień po dniu w ponurem milczeniu, w przytłaczającej jednostajności, jedynie w towarzystwie swej córki i małej liczbie sług dawnych.

Drażniony cierpieniem, źle wpływającem na jego usposobienie, pan d'Auberive nikogo nie przyjmował u siebie. Z dawnych jego przyjaciół, współczesnych mu ludzi, bardzo mała garstka pozostała. Ci, którzy żyli, nie chcąc się narażać na odmowę, skutkiem złego stanu zdrowia chorego, zaprzestali go odwiedzać.

Pan d'Auberive uskarżał się niejednokrotnie, że o nim zapomniano. Nie mogło być jednak inaczej.

Biedna Henryka, jak kwiat pozbawiony słońca i ożywczego powietrza, wzrastała przy starcu kochającym ją nad wyraz, któremu wszelako egoistyczna jego ojcowska miłość nie nasunęła myśli, ażeby temu dziecięciu dostarczyć rozrywek, niezbędnych po umysłowej pracy, jakiej to dziewczę się oddawało, przygotowując lekcje

sobie zadane przez licznie przybywających do pałacu nauczycieli.

Łagodna i posłuszna, uczyła się cierpliwie tego, czego jej się uczyć kazano, obojętnie wszelako i bez zapału. Brak jej było rywalizacji, współubiegania się z koleżankami, tego potężnego motoru w rozbudzaniu inteligencji. Uczyła się machinalnie, bez upodobania, oddając się wyłącznie staraniom około swego małego ogródka, jaki pośród parku dla niej przeznaczono.

I to ją wreszcie znudziło.

Żyjąc zdala od świata, wychodziła jedynie w niedzielę, na mszę do pobliskiego kościoła wraz z pokojówką, starą, zacną kobietą, całkiem sobie oddaną, lecz o nader ciasnem umysłowem pojęciu.

Z rozpoczęciem piętnastej wiosny życia, widoczna zaszła zmiana w zachowaniu się dziewczęcia.

Przesiadywała długie godziny w wielkiej bibljotecznej sali, gdzie odnalazłszy klucz od jednej z szaf z książkami, szperać w takowych poczęła.

Półki z góry do dołu napełnione były bogato oprawnemi w skórę tomami. Chwyciwszy pierwszą lepszą, jaka jej się nasunęła pod rękę, uniosła ją do swego pokoju.

Nazajutrz odkryła w szafie skarb nowy, cały przedział zapełniony romansami.

O! stokroć lepiej byłoby dla niej, gdyby była weszła w głąb izby, napełnionej wyziewami trucizn zabijających, ich woń albowiem ostrzegałaby ją może o grożącem niebezpieczeństwie. Zresztą trujące substancje zabijają ciało, gdy niektóre książki na zawsze duszę kalają.

Ów przedział w szafie bibljotecznej zawierał w sobie zbiór najwyuzdańszych romansów, słowem to wszystko cokolwiekbądź zgubnego wydał wiek XVIII i początek XIX stulecia.

Dziewczę rzuciło się namiętnie do tej trującej strawy, pochłaniając chciwie te płody drażniącej zmysły literatury. Nieszczęściem nikt nad nią nie czuwał, nikt nie badał, czem ona się zajmuje.

I w owym dziecinnym pokoiku, w którym dotąd Henryka błogo zasypiała, lampa świeciła się teraz przez większą połowę nocy przy spożywaniu owej moralnej trucizny.

To pewna, iż dziewczę wiele tych rzeczy nierozumiało, iż wiele pozostało tu ciemnych, nierozjaśnionych myśli dla jej młodocianego pojęcia, domyślała się jednak więcej, niż było potrzeba, a tym sposobem kaziła dziewiczą czystość swej duszy, drażniła wyobraźnię, zdrowie jednocześnie nadwątlając.

Pewnego dnia niespodziewany wypadek sprowadził zmianę w jednostajnem życiu pana d'Auberive i jego córki.

Henryka znajdowała się przy swoim ojcu, gdy Józef, ów siedemdziesięcioletni kamerdyner, wszedł do pokoju niosąc na srebrnej tacy list, zamknięty szeroką pieczęcią lakową, z wyciśniętą na niej hrabiowską koroną i podał go panu d'Auberive.

— Przeczytaj mi ten list, rzekł starzec do córki.

Dziewczę poczęło czytać głośno, co następuje:

„Panie! Syn jednego z twych towarzyszów broni, który legł śmiercią chwalebną walcząc przy twoim boku, w potyczce pod Penissiere, ma zaszczyt prosić o dozwolenie

mu złożenia uszanowania panu, jako jednemu z ówczesnych bohaterów.

Jeżeli pan zrobisz dla mnie wyjątek od przyjętych przez siebie zwyczajów i przyjąć mnie raczysz, uczynisz mnie szczęśliwym nad wyraz, za co dozgonnie wdzięcznym pozostanę.

Najuniżeńszy z pomiędzy sług twoich

Hrabia Robert de Loc-Earn.

— Syn hrabiego de Loc-Earn! Syn mego starego przyjaciela, towarzysza broni. Ach! przyjmę go, przyjmę z otwartemi rękoma, wołał gorączkowo pan d'Auberive, gdy Henryka skończyła czytanie.

Kamerdyner stał przy drzwiach, czekając.

— Kto ten list przyniósł? zapytał starzec, zwracając się do służącego.

— Jakiś młody mężczyzna, brunet, bardzo przyzwoity z pozoru.

— Gdzie on jest?

— Czeka w przysionku.

Pan d'Auberive rzucił się gniewnie, o ile jego sparaliżowanie na to mu pozwoliło.

— W przysionku! powtórzył, jak mogłeś, ty stary szaleńcze, pozwolić, by hrabia de Loc-Earn tam czekał?

— Nie wiedziałem, wyjąkał Józef zmieszany.

— Są rzeczy, które odgadywać należy. Ludzie w twym wieku nie powinni popełniać takich błędów. Idź do hrabiego Loc-Earn, wytłómacz się, przeproś go

najuniżeniej, i wprowadź tu, wprowadź natychmiast!

Kamerdyner wyszedł z pospiechem.

— Mamże pozostać tu, ojcze? zapytała Henryka.

— Owszem, proszę cię o to. Sądzę, że będzie ci przyjemnie poznać syna mego starego przyjaciela.

— Przyjemnie, w rzeczy samej, wszystko jest dla mnie przyjemnem, co może mi sprawiać jakąkolwiek rozrywkę, zcicha odpowiedziało dziewczę.

Jednocześnie drzwi się otwarły i stary sługa wygłosił: Pan hrabia de Loc-Earn!

Przybyły, którego czytelnicy dobrze już znają, podszedł najswobodniej do pana d'Auberive, a złożywszy mu ukłon głęboki, zwrócił się, pochylając głowę przed Henryką.

— A! panie hrabio, którego nazwisko przywodzi mi na pamięć tyle drogich wspomnień, witaj nam, witaj! wołał starzec. Uściśnij mą lewą rękę, jest to ręka przyjaciela. Przeklęty paraliż nie pozwala mi podać ci prawej, tej którą twój ojciec ściskał tak często. Biedny Tristan! zdaje mi się, że widzę go jeszcze! Jesteś do niego podobnym!... też same rysy twarzy, tak! Wiele mi go przypominasz!

— Wszyscy mi to przyznają, rzekł Robert, ściskając z poszanowaniem lewą rękę starca. W mego to ojca imieniu, jako i własnem mem, panie, składam podziękę za tak serdeczne przyjęcie. Wierzaj, iż wdzięcznym ci pozostanę, o! bardziej wdzięcznym, niż to wyrazić zdołam słowami.

— Jeżeli który z nas winien wdzięczność drugiemu odrzekł pan d'Auberive, w takim razie ja jestem twoim dłużnikiem. Jakże ci mam dziękować, żeś nawiedzić chciał starca, o którym świat cały zapomniał. Dla czego jednak

wcześniej nie powziąłeś tego pięknego zamiaru?

— Myślałem o tem niejednokrotnie, myślałem od dawna, rzekł Robert, i pragnąłem z całej duszy.

— Odwiedzić mnie? a jednak nie uczyniłeś tego?

— Nie znajdowałem powodu, któryby mógł usprawiedliwić mą śmiałość.

— A obecnie znalazłeś go?

— Tak, panie.

— Jakiż to, radbym wiedzieć?

XIV.

— Prosząc pana o zaszczyt przyjęcia mnie w jego domu, rzekł Robert po chwili milczenia, podczas którego rozmyślać się zdawał, powyższe moje żądanie mogło byłoby być mylnie zrozumianem. Mogłeś pan łatwo udzielić mi odmowę w sposób upokarzający mą miłość własną, moją ambicję, a przyznaję, że jestem dumnym.

— Jestże to wadą, przerwał pan d'Auberive. Gdyby nią było, jest to w każdym razie wada dusz wielkich. Wytłomacz mi jednak jaśniej, dodał po chwili, dla czego i z jakiej przyczyny mógłbym fałszywie zrozumieć to postąpienie tak naturalne i proste z twej strony.

— Przechodziłem w mem życiu bardzo ciężkie chwile, rzekł Robert, walczyłem z nadludzkiemu trudnościami. Kto wie zatem, czyli ujrzawszy mnie przybywającego do siebie w jednej z owych prób ciężkich, nie nasunęłaby się panu myśl, że w imieniu mojego ojca, twego przyjaciela i

towarzysza broni, uciekam się do pana o pomoc.

— A gdyby tak było rzeczywiście, zawołał żywo starzec, nie miałżebym prawa do twej ufności, jak ty zarówno pomocy z mej strony?

— Powiedziałem, panie, że jestem dumnym i że od nikogo nigdy nicbym nie przyjął.

— Dla czego?

— Zubożały szlachcic może i powinien pracować na własne swe wyżywienie. Nie wyciąga on ręki po jałmużnę, choćby ta pod najdelikatniejszym pozorem udzieloną mu być miała. A gdyby nawet kiedy brakowało mu chleba, nie chce, ażeby o tem świat wiedział.

— Brakowało ci zatem chleba? zawołał z trwogą pan d'Auberive.

— Tak, i nieraz panie.

— I nie przyszedłeś do mnie? Ach! to źle... to okrutnie, mówił żywo starzec. Twa pycha złą była doradczynią w tym razie. Czyżeś pomyślał, jakim ciężarem obarczasz moje sumienie? Twój ojciec, gdyśmy przebywali w Wandei, na kilka dni przed bohaterską potyczką, w której zginąć mu przyszło, pożyczył mi pewną niewielką kwotę pieniędzy. Gdy poległ i mnie po przegranej bitwie potrzeba było co rychłej opuścić Francję, aby uniknąć wyroku śmierci. Lata upływały zanim wróciłem, a powróciwszy, zapomniałem zupełnie o zaciągniętej pożyczce. Byłem dłużnikiem ojca, którego syn głód cierpiał. Jakaż to dla mnie boleść, jakie wyrzuty sumienia! I ty to wywołałeś je, panie hrabio. Wierzaj, iż nie łatwo mi tobie przebaczyć to przyjdzie.

— A czego bardziej nie przebaczysz mi pan może,

odparł Robert ze śmiechem, to żem stał się powodem maleńkiego kłamstwa, podejścia, jakie twe wielkie szlachetne serce podyktowało ci w tej chwili.

— Kłamstwa? powtórzył pan d'Auberive z lekkiem zmieszaniem, jakiego ukryć nie zdołał. Kłamstwa, podejścia... co mówisz?

— Mówię, rzekł Robert, iż hrabia de Loc-Earn, mój ojciec, o czem panu wiadomo zapewne, nie posiadał majątku i utrzymywał się jedynie ze swojej szczupłej oficerskiej pensji, a tym sposobem nie mógł panu pożyczać najmniejszej nawet kwoty pieniężnej. Pozwól mi pan dodać prócz tego, iż gdybyś był rzeczywiście jego dłużnikiem, nie zapomniałbyś o zaciągniętej pożyczce, szukałbyś wszędzie syna hrabiego Loc-Earn, którego zresztą nietrudno było odnaleść i wypłaciłbyś ten dług oddawna. Wszak prawda, panie? Niepodobna ci zaprzeczyć mym słowom?

— A jednak... wyszeptał starzec.

— Nie nalegaj pan, proszę, przerwał Robert. Jakkolwiekbądź delikatnym i wzruszającym jest pozór twojego dobrodziejstwa, odmówiłbym stanowczo przyjęcia.

— Te więc trudności, z jakiemi walczyłeś, już dziś nie istnieją? pytał pan d'Auberive.

— Znalazłem chwilowo sposób do uchronienia się od nich. Ponieważ jednak czynisz mi pan zaszczyt interesowania się mną, należy mi choć w krótkości przedstawić ci mą przeszłość. Pozwolisz mi zacny panie to uczynić?

— Nietylko pozwolę, lecz proszę o to.

— Gdym stracił ojca, byłem bardzo młodym, dzieckiem

jeszcze prawie, zaczął Robert. Jeden z naszych krewnych, człowiek bogaty, bezżenny, umieścił mnie w kolegium w Rennes, gdzie otrzymałem gruntowne wychowanie. Miał on zamiar, nie wątpię, zapewnić mi przyszłość, zmarł jednak nagle podczas polowania, bez testamentu, skutkiem czego najbliżsi spadkobiercy zabrali majątek. Ukończyłem szkoły z odznaczeniem i przeszedłem na naukę prawa, gdy właśnie śmierć tego krewnego pozostawiła mnie bez środków na dalsze kształcenie się. Potrzeba było pod grozą śmierci głodowej wydobyć jakąbądź korzyść z tej kupy nauk, nagromadzonych w mym mózgu. Nie było to łatwem, zaiste! Z radością przyjąłem obowiązek nadzorcy w kolegium, które opuściłem jako wychowaniec. Przez cały ciąg dnia pracowałem również, zaprzysiągłem sobie albowiem, że siłą własnej mej pracy, zdobędę sobie wyższe stanowisko, zostanę jednym z tych ludzi, głośnych nauką i uznaniem w świecie. Niestety jednak, zbyt wiele na siebie liczyłem. Po upływie roku, zachorowałem tak niebezpiecznie, żem przez kilka tygodni walczył pomiędzy życiem a śmiercią. Gdym po długiej rekonwalescencji wyzdrowiał nareszcie, dowiedziałem się, że moje miejsce w kolegium zostało przez kogo innego zajętem! A! była to śmierć w innej formie, kto wie, czy nie straszniejsza nad wszystko! Choroba oszczędziła mi życie... brak chleba, niestety, mógł zabić!

— Ha! wyszepnął pan d’Auberive drżącym ze wzruszenia głosem, i mnie nie przyszło zapytać ni razu, co się dzieje z synem mojego przyjaciela? Czy żyje on? Czy jest szczęśliwym?

Henryka nieruchoma, w milczeniu słuchając opowiadania, łzy ocierała.

Robert ciągnął dalej historję, ułożoną przez siebie z nieporównaną zręcznością; dramatyzował najdrobniejsze fakty, najmniejsze szczegóły, aby opowiadaniem tem wzruszyć serca i wstrząsnąć niemi do głębi.

Opowiadał, jak dzięki piękności swojego pisma, znalazł zajęcie przy notarjuszu, z którego to jednak szczupłego dochodu, zaledwie mógł wyżyć.

— I otóż mimo to wszystko żyłem, jeżeli podobną mękę życiem nazwać można. Nadeszło jednak znużenie i zniechęcenie. Głos jakiś nieznany szeptał mi coraz wyraźniej, że spoczynek w objęciach śmierci byłby dla mnie rozkoszą po tylu daremnych wysiłkach, i byłbym bezwątpienia pogrążył się chętnie w głębię mogiły, gdy rozległy się wieści po Europie o olbrzymich bogactwach, szybko lubo nie bez niebezpieczeństw zdobywanych w Australii. Światło zabłysło nagle przedemną. Powiedziałem sobie, że ów zły los nie może prześladować bezprzestannie człowieka o czystem sumieniu, mającego prawo wznieść czoło w górę. Zacząłem silnie wierzyć, że moja gwiazda przyćmiona pod naszem pochmurnem niebem, zaświeci mi żywszym blaskiem na firmamentach tych odległych krajów. Byłoż to złudzeniem? sam nie wiem, lecz miałem ufność niezłomną, że tam zdobędę majątek, że wrócę bogaty! Podtrzymywany tą wiarą, elektryzowany owym mirażem, z równym zapałem rzuciłem się do pracy, pozbawiając najkonieczniejszych potrzeb, aby coś zebrać na koszta podróży i pierwsze chwile pobytu w krainie złota. I otóż

posiadam tę sumę, Bóg jeden wie tylko, za jaką cenę mozołów, bezsennych nocy, umniejszania sobie pokarmów. Mam wolną wolę działania, jaką zdobyłem sam, własną pracą, bez niczyjej pomocy, mogę iść teraz, dokąd przeznaczenie mnie wzywa. Jeżeli mi się powiedzie, wrócę milionerem, ród Loc-Earn'ów odzyska swoją dawną świetność. A gdy upadnę, Francja nie ujrzy już więcej swego wydziedziczonego syna. Zostanie w każdym razie rewolwer i ładunek do niego z prochu i kuli. W końcu odjeżdżam, przedtem jednak postanowiłem przedstawić się panu, dla którego chowam najgłębszy szacunek, panu, który byłeś przyjacielem mojego ojca, a którego wspomnienie pójdzie wraz ze mną tam, po za góry i morza, na drugą stronę półkuli. Raczyłeś mnie pan przyjąć tak dobrotliwie, iż to ośmiela mnie do żądania od ciebie jedynej przysługi, jaką człowiek z mojemi zasadami może przyjąć bez zarumienienia. Potrzebuję protekcyjnego listu do pewnej znakomitej osobistości przy konsulacie francuzkim w Australii. Proszę więc o pańską wysoką rekomendację, która dla mnie stanowić będzie niezmiernie wiele, ale ponieważ taki dowód zaufania łatwo udzielonym być nie może, pragnę przedstawić panu dokumenta, które go przekonają o mej nieskazitelnej uczciwości.

Tu Robert, dobywszy z kieszeni portfel położy! go na stoliku obok pana d'Auberive.

— Znajdują się tu, rzekł, obok aktu mojego urodzenia i inne papiery, stwierdzające tożsamość mojej osoby oraz chlubne świadectwa zarządzającego kolegium w Rennes i notarjusza, u którego pracowałem. Wszystkie podpisy są

legalizowanemi! O! hrabia de Loc-Earn lubi być w porządku, dodał z ironicznym uśmiechem, ma on dobre świadectwa, jak służący, szukający obowiązku. Pozostawię panu te dowody, raczysz je pan przejrzeć w wolnej chwili i pozwolić, abym się zgłosił nazajutrz tak po nie, jako i po list o który prosiłem.

— Nietylko jutro, ale każdego dnia, o każdej porze będziesz przezemnie najmilej widzianym gościem, kochany hrabio, odparł, żywo pan d'Auberive, dla czego jednak mam przeglądać te papiery, dodał. Widząc cię i słysząc opowiadającego, czyż można wątpić o tobie? Zabierz tę tekę, proszę cię o to.

Robert, powstawszy, potrząsnął głową przecząco.

— Jutro zabiorę ją, odrzekł, a teraz składam moje uszanowanie i żegnam!

Tu ukłoniwszy się tak panu d'Auberive, jak i Henryce, wyszedł, przeprowadzony przez starego kamerdynera aż do pałacowej bramy.

XV.

Wzruszony odwiedzinami syna swego starego przyjaciela i towarzysza broni w pamiętnej wandejskiej epopei, rozrzewniony świeżo usłyszanem opowiadaniem, tak pełnem wzniosłej szlachetności, pan d'Auberive, poleciwszy Henryce otworzyć tekę zaczął przeglądać umieszczone w niej papiery.

Każdy z owych dowodów świadczył o wzorowym

charakterze tego młodego człowieka i nieskażonej jego moralności.

Bardziej niż zwykle zdenerwowany, spędził pan d’Auberive noc bezsennie. Podniecony jego umysł pracował nad wytworzeniem wielkiego projektu. Aby wszelako ów projekt urzeczywistnić było można, potrzeba było do tego zezwolenia Roberta.

— Jak mu to przedstawić, aby nie trafić na odmowę z jego strony? zapytywał pan d’Auberive sam siebie. W jaki sposób nakłonić go, ażeby się zgodził na moje uwagi? Jeżeli mi się to nie uda, wszystko stracone! Skoro odpowie przecząco, niepodobna mi go będzie przekonać. Poznałem go dobrze. Nie mógłbym poznać lepiej, żyjąc z nim nawet przez czas długi. Łatwiej byłoby zgiąć sztabę żelazną, niźli nakłonić tego człowieka.

Po owej nocy bezsennej nadszedł spokojniejszy poranek.

Około godziny drugiej w południe, stary kamerdyner otworzył drzwi sypialni starca oznajmując:

— Pan hrabia de Loc-Earn!

— Moje drogie dziecię, rzeki czule pan d’Auberive, po uściśnieniu ręki młodego człowieka, od wczoraj myślę o tobie, myślę bezustannie. Czy wiesz, że sprowadziłeś mi noc bezsenną?

— Ach! zawołał Robert, jakąż mi przykrość to sprawia! Racz pan wybaczyć tę pomimowolną winę z mej strony. Jestem przekonany, iż wywołane przezemnie wspomnienia przeszłości sen panu odebrały.

— Nie! nie to, odrzekł pan d’Auberive. Niepokoi mnie twój wyjazd, twoje projekta i nadzieje zdobycia majątku.

— Być może, iż jaka trudność zachodzi z pańskiej strony w udzieleniu mi listu protekcyjnego, o który prosiłem? pytał Robert. Gdyby tak było, cofam to niedyskretne moje żądanie.

— Przeciwnie, jestem gotów dać ci go bezzwłocznie, gdybyś trwał w swoim zamiarze. Przyczyną jednak, wzniecającą moje obawy, jest twa podróż za ocean.

— Jak to, panie?

— Nieszczęściem, nie mogę dzielić twojej ufności, udzielonej mi wczoraj. Liczysz na świetne rezultaty, jakie wydają mi się być wątpliwemi. Niebezpiecznym jest ten twój zamiar, a skutek jego niepewnym. Marzenia o krainach złota, bądź co bądź są tylko złudnemi obrazami! Między szczęśliwymi awanturnikami, którym traf w pomoc przychodzi, iluż z nich bezpowrotnie ginie? Gdybyżeś ty miał znaleźć się w ich liczbie.

— Zdaje mi się, żem panu powiedział, co postanowiłem uczynić w razie niepowodzenia.

— Tak, powiedziałeś, że się zabijesz!

— Jest to rozwiązanie nader logiczne i proste tego długiego dramatu. Spoczynek po trudach, na jaki przyznasz pan iż zasłużyłem.

— Sądzisz więc, iż mogę zaaprobować owo ponure rozwiązanie bez trwogi i głębokiego smutku? Jesteś synem mego ukochanego przyjaciela, a z chwilą, gdy cię poznałem, pozyskałeś mój szacunek, moją głęboką sympatję i prawdziwie ojcowskie przywiązanie.

— Ach! zawołał z uniesieniem Robert, tych słów tak mi drogich, nie zapomnę nigdy, nigdy w życiu! Będą one żyły

w mem sercu, dopóki to serce bić nie przestanie. Zdwoją one siłę, jakiej tam będę potrzebował dla złamania wielu, bardzo wielu przeszkód. Będę walczył, wierzaj mi pan, całą potęgą mego istnienia, a jeśli padnę zwyciężony, świadczyć to będzie, iż nikt już w świecie na mojem miejscu nie zdołałby być zwycięzcą!

— Krótko przetnijmy tę kwestję, rzekł starzec, stawiasz na hazard swe życie.

— Tak, lecz czyliż mogę uczynić inaczej? Opowiedziałem panu wszystko. Znasz wszelkie szczegóły mej egzystencji. Dążę ku jedynemu z horyzontów, jaki się otwiera przedemną.

— Nie! nie ten jeden tylko, odparł pan d'Auberive, gdybyś zechciał, mógłbyś nie jechać.

Robert potrząsnął głową.

— Wegetować na nowo! wyrzekł po chwili. Rozpocząć walkę codzienną z odradzającemi się bezprzestannie potrzebami życia! Schylić głowę pod jarzmo bezskutecznej pracy, szamotać się, wiedząc naprzód o bitwie przegranej i o nędzy bez wyjścia! Nie, panie! mam dosyć tego! Wolałbym stokroć razy umrzeć, i nie zawaham się przed śmiercią w takim razie, przysięgam!

— Powiedziałem, że mógłbyś nie jechać, powtórzył starzec.

Robert wzrok utkwił w mówiącego.

— Nie bez przyczyny pan mi to mówisz, rzekł po krótkiej chwili. Nie żartowałbyś ze mnie, ukazując mi jakąś złudną nadzieję. Znaszże pan jaki uczciwy sposób zarobienia w Paryżu tyle, ile potrzeba, ażeby żyć, a nie

męczyć się w niedostatku?

— Znam taki sposób.

— Jakiż to? Przedstawiony przez pana synowi hrabiego de Loc-Earn, godzien być musi przyjęcia.

— Jest nim, upewniam, odrzekł pan d’Auberive, zmieszany nieco w miarę zbliżania się rozstrzygającej chwili. Przyjmując mą propozycję, dokonasz pięknego, szlachetnego czynu, ponieważ osłodzisz ostatnie lata nad grobem stojącego starca.

— O pana więc chodzi? zapytał żywo Robert.

— Tak, i otóż ci wszystko wyjaśnię. Moja ręka prawa jest sparaliżowaną, pisać nie mogę. Wzrok osłabiony mgłą się pokrywa, gdy czytam nieco dłużej, a czytać lubię. Podwójna owa bezwładność znagla mnie do zaniedbywania częstokroć nader ważnych moich interesów. Rozległe moje posiadłości pozostają w ręku intendenta i rządców bez kontroli. Taki stan rzeczy może nietylko nadwerężyć mój majątek, ale uprawnia nadużycia i marnotrawstwo. Gdyby mi Bóg dał był syna, on zająłby się tem, czem ja się zająć nie mogę. Byłby moim sekretarzem i lektorem, czuwałby nad zarządem dóbr moich; odbierałby dochody, porozumiewał się z bankierami i giełdowymi agentami, umieszczałby moje kapitały, słowem, stałby się mą prawą ręką, moją myślą, wolą, drugim mną nareszcie. Chciałżebyś panie hrabio, być dla mnie tem, czemby był ów syn? O! proszę cię, zaklinam! dodał drżącym ze wzruszenia głosem, nie odmawiaj mi tego!

Robert wstał, a ująwszy rękę pana d’Auberive, uścisnął ją w swych dłoniach.

— Dlaczego miałbym odmówić? zawołał z pozorem głębokiego uczucia wdzięczności, to co mi pan ofiarować raczysz, jest dowodem wysokiego zaufania z twej strony, godnego ciebie i mnie zarazem. Przyjmuję twoją propozycję!

— A! nie uwierzysz, ile mnie to uszczęśliwia! zawołał starzec z uniesieniem. Otóż zostałeś naszem dzieckiem, naszym domownikiem! Zdaje mi się, żem odnalazł twojego ojca, mego ukochanego Tristana, który mi w tobie odżyje. Nie rozłączymy się już z sobą. Zamieszkasz w jednym z pałacowych pawilonów, będziesz, zupełnie jak u siebie, niezależnym zupełnie. Służba będzie ci posłuszną, jak mnie samemu. Wydam rozkaz, ażeby ci natychmiast apartamenta przygotowano. Pragnę, ażebyś tu już dziś nocował.

— Nic nie nagli, rzekł Robert z uśmiechem.

— Wybacz ten mój pośpiech, drogi mój chłopcze, lecz radbym, ażebyś się co rychlej do nas już przeniósł. Niestety nie będę mógł widzieć twego urządzenia się, przeklęty paraliż nie pozwala mi się ruszyć z miejsca. Gdyby nie to, byłbym jeszcze rzeźkim, mimo lat moich siedmdziesięciu i gotów byłbym bić się, jak niegdyś w naszej Wandei.

Oczy starca ogniem błyszczały, żywy rumieniec okrył twarz jego bladą, okoloną siwemi włosami. Nagły ból przypomniał mu, że przekroczył wyjątkowy spokój nakazany sobie przez lekarza.

— Mój stary kamerdyner, wyrzekł po chwili, zaprowadzi cię do nowego mieszkania. Mam dobrą pamięć, wiem, że jest ono w wyższym stylu umeblowanem, sądzę, iż ci się podoba. Gdyby przeciwnie być miało, wydaj rozkaz

tapicerowi, ażeby meble zmienił co prędzej.

— Ach! jak pan jesteś dobrym, rzekł Robert z oddźwiękiem uczucia, pańska wszelako troskliwość jest zbyteczną, upewniam. Mnie wszędzie dobrze. Poznawszy życie moje, pan wiesz, iż nienawykłem do zbytków.

— Potrzeba do nich nawyknąć, zawołał starzec. Bogactwo i okazałość właściwemi są dla hrabiego Loc-Earn. Pochodzisz z rodu wielkich panów, nie zapominaj o tem, mój chłopcze.

— Z rodu upadłego, niestety! odparł młody człowiek z westchnieniem.

— Tak jest, chwilowo, skutkiem braku pieniędzy Lecz co to znaczy? Nie majątek nadaje szlachectwo. Gdyby je kupić było można, iluż znam ludzi, którzyby zań wszystko oddali!... A ponieważ weszliśmy na temat tego nędznego kruszcu, jak go nazywają poeci, pomówmy o cyfrze wynagrodzenia, jakie pozwolisz mi sobie ofiarować.

— Ależ to niepotrzebne.

— Jakto niepotrzebne? zapytał pan d'Auberive.

— Bo jakąkolwiekbądź byłaby ta suma, wiem naprzód, iż przewyższy ona wszelkie moje oczekiwania.

— Powiedz mi, ciągnął starzec dalej, jak gdyby niesłysząc słów mówiącego, powiedz otwarcie, czyli stałą pensyę, wynoszącą dwanaście tysięcy franków, uważać będziesz za dostateczną dla siebie?

— Ach! to za wiele!

— Prócz tego, dwa od sta, z dochodów moich posiadłości w Maine i Anjou, które mi przynoszą dwieście tysięcy liwrów rocznej renty. Dochody te powiększysz,

jestem tego pewny.

— Lecz, panie...

— Ani słowa! Skończone, przerwał pan d’Auberive. Otwórz tę szufladę, proszę cię, i wyjm z niej sześć biletów bankowych po tysiąc franków każdy.

— Oto są... Gdzież je mam położyć?

— Schowaj je do swojej kieszeni, jest to zaliczka na rok przyszły.

— Nie, panie, nie! Tego ja przyjąć nie mogę.

— Odmawiasz? Dobrze, rzucę je w ogień!

I byłby to niebawem uczynił, czego niedopuściwszy Robert, przyjął je, rzecz naturalna.

Tegoż samego jeszcze wieczora, zajął wspaniały pawilon w pałacu, z tytułem lektora i ogólnego plenipotenta pana d’Auberive.

XVI.

Co było rzeczywistością, a co fałszem w opowiadaniu Roberta, w owej historji, tak prawdopodobnej i popartej niezaprzeczonemi dowodami. Rozwiążmy krótko to zapytanie.

Młody sekretarz pana d’Auberive, jako główna osobistość, przewodnia niejako sprężyna paryskiego dramatu, z którego wstęp przedstawiamy naszym czytelnikom, winien być dokładnie przez nich poznanym.

Pospieszamy zatem odszkicować jego przeszłość w krótkim pobieżnym zarysie.

Robert na podstawie rzeczywistych faktów wzniósł cały gmach kłamstw i zmyśleń. Był on w rzeczy samej synem hrabiego de Loc-Earn, poległego w bitwie pod Penissiere.

Po chlubnem ukończeniu nauk w kolegium w Rennes pełnił istotnie tamże przez kilka miesięcy obowiązki korepetytora i szkolnego nadzorcy, niezadługo jednak wydalonym został za pewnego rodzaju dość ważne wykroczenie przeciw rygorowi szkolnemu. Pracując następnie u notarjuszów, nie mógł się i tam utrzymać.

Różnorodne wieści, nie przynoszące zaszczytu jego charakterowi, krążyć o nim poczęły. Po każdem wydaleniu z zajmowanego stanowiska, zmieniał miejsce pobytu, przenosząc się z miasta do miasta, gdzie w skutek chwalebnych szkolnych jego świadectw, łatwo mu było znaleść zajęcie.

Spieszymy dodać, że wyćwiczony mistrzowsko w sztuce naśladowania najbardziej nieczytelnego pisma i fałszowania podpisów, tworzył sam sobie różne służbowe dowody, przepełnione pochwałami, a ztąd nadające mu prawo przed innemi, do otrzymania miejsca.

Niedługo jednak trwało złudzenie pracodawców. Zewsząd po krótkim czasie starano się go pozbyć jak najprędzej i przez lat kilka przenosząc się tak bezustannie, wiódł nędzną swą egzystencję.

Obdarzony z natury wysoką inteligencją, użytą nieszczęściem przezeń na posługę nizkich żądz i namiętności, jakie kiełkowały w tym człowieku od lat młodocianych, czając, iż z dniem każdym coraz mu ciężej przebywać w dusznej atmosferze prowincjonalnej, gdzie

najbardziej nawet zręczni awanturnicy nie znajdują dla siebie właściwego pola do działania, postanowił opuścić owe zakąty.

Czytając z upodobaniem „Gazetę sądową,“ śledził w niej pilnie szczegóły postępowania tych „rycerzy przemysłu”, postanowiwszy nietylko pójść w ich ślady, ale unikać szkopułów o jakie najbardziej z nich zręczni potknęli się, zginąwszy w tak zwanej „szóstej Izbie.”

Marzył on o wielkiej scenie wśród świata, godnej siebie, a tym wielkim dla niego teatrem mógł być jedynie Paryż. Chciał jednak przedstawić się tam świetnie, olśnić głupich za pierwszem ukazaniem się, wiedząc dobrze, że tylko tym sposobem wstęp do dalszego rozwinięcia swych planów mógł sobie utorować.

Myśl o przybyciu do Paryża jak nędzarz, źle ubranym, bez grosza w kieszeni, w powykrzywianem obuwiu, wstrętem go napawała. Na to wszystko potrzeba było pieniędzy, i to pokaźnej sumy, a nie kilku luidorów, zabranych z kasy pryncypała.

Zkąd wziąć tę sumę?... Gdzie ją odnaleźć bez narażenia się na niebezpieczeństwo schwytania przy spełnionem przekroczeniu?

Okoliczności przyszły mu z pomocą.

Pewne, nader ważne dowody, zachowane w tece notarjusza, u którego Robert pracował, mogły rozciąć węzeł nader zawiłego procesu. Powyższe papiery, przedstawione na posiedzeniu sądowem, stanowiły o przyzmaniu jednej ze stron procesujących się miljonowego majątku.

Jeden ze skarżących był uczciwym człowiekiem, drugi,

roszczący najniesłuszniej prawa do pomienionej fortuny, znanym był z niezbyt skrupulatnego sumienia.

Do niego to Robert udał się pewnego wieczora.

— Jestem pomocnikiem pana Duval, notarjusza w tem mieście, rzekł wchodząc. Przykro mi, iż przybywam ze smutną wiadomością, obowiązek wszelako nakazuje mi uprzedzić pana, że pańskie pretensje w wiadomym procesie nie mają żadnych widoków powodzenia. Przegrasz go pan nieodwołalnie, a to jedynie z przyczyny istniejącego pokwitowania, wydanego niegdyś przez pańskiego ojca, a przekonywającego, że odebrał on tę sumę, o którą pan się ponownie upomina.

— Fałsz! zawołał pierwszy, nie bez pewnej jednak widocznej obawy, kwit, o którym pan mówisz, istnieć nie może! nigdy on nie był wydanym!

— Upewniam, że się pan mylisz. Owo pokwitowanie isinieje, mam je w swem ręku i przyszedłem tu umyślnie, aby zapytać, ile pan za nie ofiarować mi możesz?

— Tysiąc talarów.

— Żegnam, odparł Loc-Earn, zwracając się do drzwi.

— Zaczekajże pan, zawołał pierwszy. Porozumieć się możemy. Ileż zań żądasz ostatecznie?

— Dwadzieścia tysięcy franków.

— To za wiele, za wiele.

— Żegnam pana, powtórzył Robert, kładąc rękę na klamce.

— Jedno słowo...

— To nadaremne. Cyfra, oznaczona przezemnie, wyłaje się panu za wielką. Zatem odchodzę. Nie nawykłem się

targować.

— Pozostać proszę.

— Zgadzasz się pan więc?

— Zgadzam. Kiedyż mi pan dostarczysz to pokwitowanie?

— Skoro pieniądze mi wyliczonemi zostaną. Masz pan u siebie tę sumę?

— Mam.

— Proszę więc o nią. Kwit mam w kieszeni.

W parę minut później nastąpiła wymiana drogocennego dowodu za dwadzieścia biletów bankowych.

— Zważ pan i na to, rzekł Robert, wsuwając pieniężną paczkę do kieszeni, że nie krępuję pana tajemnicą. Odpowiedzialni oba zarówno jesteśmy i pewni siebie, co rzadko się zdarza!

We dwa dni potem w chwili oddawania papierów adwokatowi, broniącemu sprawy, pan Duval spostrzegł z przerażeniem brak owego tak ważnego dokumentu. Zaginąć on nie mógł, a zatem został skradzionym. Przez kogo jednak...

Po najstaranniejszem a bezskutecznem poszukiwaniu, notarjusz mając wszystkich w podejrzeniu, wydalił swój cały personel, pozostawiwszy tylko jednego, od dawna już pracującego u siebie pomocnika.

Zadowolony z rozwiązania, jakiego pragnął, Robert wyjechał do Paryża; przewidując wszelako, iż może tam zostać śledzonym, porzucił swe dawne prawdziwe nazwisko, a przybrawszy pseudonim de Saulnier, zniknął wśród tłumów.

Po upływie kilku miesięcy, gdy sądził, iż niebezpieczeństwo minęło, wydobył się z cienia i rzucił się zapamiętale w zgiełk rozkoszy i łotrostw, okrytych wielkoświatowemi pozorami.

Nie chcemy opowiadać szczegółowo zręcznej Odyssei tego awanturnika, zajmującego pierwsze miejsce pośród najniższych warstw ludności Paryża, tego przyjaciela „rycerzy przemysłu“ z owej epoki, przebywającego między przedstawicielami występku i zbrodni, w knajpach najbardziej brudnych, podejrzanych, gdzie się spotyka takich Sariolów i gdzie pośród tego plugawego otoczenia wyróżniał się on swoją dystyngowaną postacią i salonowem zachowaniem się.

Były chwile, w których u Roberta złoto brzęczało w kieszeniach, jak również takie, w których zostawały one częstokroć przerażająco pustemi. Mimo to wszystko kierował zręcznie swą barką wśród drogi życia i starał się w dobrych stosunkach zostawać z policją.

Rzecz nie do uwierzenia, iż ów bandyta nie był ni razu, przez nią zapytywanym o jakiekolwiekbądź legitymacyjne papiery. Zatłuszczone ławki poprawczego sądu nie znały go wcale.

Nadeszła wszak chwila, w której zmienił się ów los pomyślny. Wmieszany w haniebną sprawę oszustwa i szantażu wynalazł wprawdzie sposób wymknienia się mającym go przyaresztować agentom, mimo to jednak został zaocznie skazanym pod przybranem swojem nazwiskiem, na trzy lata więzienia.

— Ha! bruk Paryża staje się niebezpiecznym dla Roberta

Saulnier, rzekł. Trzeba ażeby w jego miejsce hrabia de Loc-Earn ukazał się co rychlej, trzeba ażeby wszedł w koła wyższego świata, a nadewszystko, ażeby się oparł na jakimś punkcie silnym i trwałym!

Podobny rezultat w jego położeniu mógł się jedynie dać osiągnąć za pomocą wielkich wysiłków.

Począł więc szperać w swej bujnej wyobraźni, która mu wskazywała odnalezienie jakich nowych zręcznych, a śmiałych planów, dozwalających korzystnie wyzyskać czyste, chwalebne ojcowskie nazwisko, które było dlań obecnie jedyną deską zbawienia.

Przyszła mu myśl przeszukania w dziennikach spisu szlachty, wmieszanej w ostatnie niegdyś zamieszki w Wandei. Odczytywał z uwagą to wszystko, co odnosiło się do bitwy pod Penissiere, gdzie jego ojciec śmierć znalazł.

W następstwie tego, całe dnie i tygodnie przepędzał w wielkiej czytelni Palais-Royal, jaka być może dotąd istnieje, zawierającej niezrównane zbiory dzienników i broszur z owej epoki, z których czerpał, zbierał i notował bezprzestannie.

W chwili gdy nazwisko pana d'Auberive wpadło mu po raz pierwszy przed oczy, drgnął pomimowolnie, jakieś odległe, niewyraźne wspomnienie zabłysło w jego pamięci. Przypominał sobie, że nazwisko d'Auberive słyszał niejednokrotnie wymawianem w dziecięcych chwilach swego życia, i że nosząca je osobistość była nietylko towarzyszem broni, lecz przyjacielem hrabiego Loc-Earn.

Widocznie tu był ów punkt oparcia, którego odszukiwał Robert. Czy jednak pan d'Auberive żył jeszcze?

Robert począł zasięgać bliższych objaśnień. Wszystkie okazały się być zadawalniającemi. Bogacz, kaleka, żyjący w odosobnieniu, ów stary dowódca wandejski, chował gorące uwielbienie dla dawnych swych wspomnień. Zresztą nie zapomina się łatwo o towarzyszu młodości człowieku złączonym z sobą uczuciem szczerej przyjaźni, którego się widziało ginącego przy swoim boku od zabójczej kuli.

Przybyć do pana d'Auberive i zostać przezeń przyjętym, nie było rzeczą trudną dla noszącego nazwisko Loc-Earn, częste wszelako podejścia i zdrady, jakich starcy w ciągu swojego życia stają się ofiarami, podejrzliwymi ich czynią.

W jaki więc sposób zyskać od razu zaufanie tego człowieka? Jak nim zawładnąć, otoczyć go niewidzialną siecią, a tak zarzuconą zręcznie, aby najmniejszy cień powątpiewania nie naruszył jej równowagi?

Jakiegoż nieporównanie podstępnego użyć manewru, jakiego arcydzieła dyplomacji, ażeby kazać sobie wszystko ofiarować, udając pozór odmowy?

Robert począł przemyśliwać nad tem, pracował, a rezultatem tej pracy było odegranie przezeń znanej nam komedji.

XVII.

Cel, do którego dążył Robert Loc-Earn, wkradając się w dom starca miljonera, naprzód był jasno przez tego awanturnika nakreślonym. Chodziło mu przedewszystkiem o zdobycie zaufania pana d'Auberive.

I zaczął przemyśliwać nad zręcznem nadzierzgnięciem intrygi, której rezultaty w razie powodzenia mogłyby zadowolnić najbardziej ambitnego człowieka.

Jedynym środkiem do tego było zaślubienie Henryki, córki pana d'Auberive, a tem samem wyłącznej, dziedziczki pięciomilionowej fortuny.

Wyjawić swoje zamiary, prosić o jej rękę, byłoby szaleństwem, powtarzał Robert, starzec zażycia nigdyby na to nie zezwolił!

Z chwilą zamieszkania w pałacu zaczął studjować, badać Henrykę, a dostrzegłszy w niej jakiś rodzaj smętnej zadumy, przyrzekł sobie wyśledzić przyczynę.

Za pomocą bezustannego podglądania, przekonał się, że lampa w pokoju Henryki plonie przez całe noce, prawie aż do świtu.

Co mogło robić to dziewczę w tak długie, późne godziny? Badając i śledząc dalej, odnalazł tajemnicę. Była nią szafa z książkami w bibljotecznej sali. Otworzywszy drzwi tej szafy, zaczął przeglądać książki i stwierdził z radością, że zawierały one najszkodliwiej, demoralizujące romanse, pochłaniane chciwie przez Henrykę, a tem samem pracujące dla niego lepiej nad wszelkie inne podstępne działania.

Poparty ową pewnością, Loc-Earn osnuł plan, a wiemy, iż posiadał pierwszorzędny talent aktorski.

Obecnie przeszedł sam siebie, grając z niedoścignionym artyzmem, z nieporównaną naturalnością, z godnem podziwu stopniowaniem uczuć i smutków rolę człowieka szalenie zakochanego, usiłującego ukryć swą miłość, a

dozwalającego jej wybuchać na krótko niekiedy, jak gdyby wbrew własnej wiedzy i woli.

Po półrocznych takich manewrach, Henryka, podniecana bezustannem czytaniem owych książek, na zabój się rozkochała w ojcowskim sekretarzu. Bladła i czerwieniała na przemiany, skoro wszedł Robert, a gdy mówił do niej, czuła, jak każdy wyraz wygłoszony jego dźwięcznym głosem, odbijał się w jej sercu jakby najmilsza harmonia.

Robert oddany całkowicie „swojej roli,“ udawał głęboką melancholję i roztargnienie.

Dnia pewnego, w obec dziewczęcia, oznajmił panu d’Auberive, wśród mnóstwa omijań i dających do myślenia półsłówek, iż powziął zamiar opuszczenia Paryża i Francji, że wraca do dawniejszego projektu udania się do Australji dla zdobycia majątku.

Henryka, siedząc obok ojca, który nie mógł jej widzieć, zbladła jak posąg i omal nie zemdlała. Widocznie skoro Robert myślał o podróży, nie kochał jej wcale.

— Wyjeżdżasz? zawołał starzec z bolesnym zdumieniem, chcesz mnie opuścić? Nie czujesz się więc być pośród nas szczęśliwym? Może ci kto przykrość tu sprawia?

— Byłbym niewdzięcznym, odrzekł Loc-Earn, gdybym nie ocenił należycie świadczonych mi przez pana dobrodziejstw, na jakie niezasłużyłem. Wszyscy za pańskim przykładem, są w jego domu dla mnie najprzychylniejszymi. Winienem być szczęśliwym, czuję to dobrze, ale widocznie nie jestem stworzony do cichego spokojnego życia. Potrzebuję ruchu zgiełku i

niebezpieczeństw. Dla tego to odjechać mi wypadnie, pomimo głębokiego smutku, jaki mi sprawi to rozłączenie. Wyjadę z sercom złamanem, ale posłuszny niepokonanej, konieczności.

— A ja? czyż pomyślałeś, co się ze mną stanie natenczas? wyszeptał pan d'Auberive. Czyż sądzisz, żem łatwo teraz bez ciebie obyć się przyjdzie w moim wieku można tak lekko bez narażenia zdrowia i życia, zrywać związki przyjaźni, które jedyny powab stanowią, dla starca, bliskiego grobu? Stałeś mi się niezbędnie potrzebnym. Poświęć się dla mnie, proszę cię. Nie skracaj wyjazdem tej małej liczby dni, jakie do życia mi pozostają. Uczynisz to, Robercie, wszak prawda? Zaniechasz owej podróży, przyrzecz mi, nieodmów!...

Loc-Earn, ująwszy rękę pana d'Auberive, uścisnął ją w swojej, z oznaką głębokiego poszanowania.

— Będę posłusznym, rzekł z widocznem wzruszeniem. Będę się starał nim być. Jeżeli ta ofiara nie przewyższy sił moich, spełnię ją, przyrzekam.

I wyszedł z pokoju, a Henryka dostrzegłszy, jak przyłożył chustkę do oczów, aby obetrzeć, lub ukryć łzy pod nią.

W godzinę później służący pobiegli za sprowadzeniem doktora. Gwałtowne wzruszenie spowodowało u pana d'Auberive atak mózgowy, który szczęściem przytłumiony w porę, nie wywołał złych następstw.

Nazajutrz Henryka znalazła nad kominkiem w swoim pokoju list bez adresu.

Drżącą ręką rozdarła kopertę, a domyślając się od kogo

pochodził, w pół nieprzytomna ze wzruszenia i trwogi, z pałającą głową, dziwnym szumem w uszach, czytała:

„Czyś pani odgadła, czyś zrozumiała? Sądzisz może, że jestem niewdzięcznym, albo szalonym? Szalonym, tak, to prawdopodobne, lecz nigdy niewdzięcznym!

Jeżeli chciałem odjechać, to dla tego, że cię kocham, tak! kocham do utraty zmysłów.

Pragnąłem się oddalić, a opuszczając ten dom błogosławiony, unieść wraz z sobą moją tajemnicę. Powinienem był wytrwać w powziętem postanowieniu. Prośby pana d'Auberive odjęły mi odwagę. Dowiedz się pani zatem o całej prawdzie. Ty teraz, ty tylko rozstrzygniesz o moim losie, jaki składam w twe ręce.

Jeżeli wyznanie mojej dla ciebie miłości, mimo że niczego tu dla siebie spodziewać się nie mogę, wywoła twój gniew, albo urazę, wystarczy jeden wyraz, jeden twój gest, pani, bym to zrozumiał.

Za chwilę później już mnie tu nie będzie, uniknę pożegnania, by niem nie zasmucać tego czcigodnego starca. Oskarżać on będzie mnie może, on, tak szlachetny i wielki, o niewdzięczność za wyświadczone dobrodziejstwa.

Nie chciej bronić mnie pani, proszę cię o to, do czego bowiem posłużyćby mogła ta obrona? Wystarczy mi własne twe przekonanie, wystarczy pewność, iż nie uznajesz mnie być winnym.

Czy mam pozostać... czy jechać? odpowiedz!"...

Po kilkakroć razy Henryka odczytywała ów, list, nadzwyczaj zręcznie skreślony; list, obok którego najgorętsze wyznania miłości w „Nowej Heloizie",

wydawały się jej bledszemi, bez znaczenia słowami. Powtarzała półgłosem każdy wiersz, każdą sylabę i odnajdowała w nich jak gdyby akordy jakiejś niebiańskiej muzyki, podobnej chórowi cherubinów.

— Kocha mnie, kocha! powtarzała rozpromieniona. Nie omyliłam się. Jest to więc prawdą. Robert mnie kocha.

Długi czas ubiegł zanim zdołała się uspokoić. Wreszcie gorączkowe to wzruszenie minęło. Twarz, omyta zimną wodą, przybrała zwykłą matową bladość, na której przed chwilą silne pałały rumieńce. Przygasł blask jej spojrzenia. Wyszła z pokoju chwiejnym krokiem i zeszedłszy ze schodów, zwróciła się w stronę ojcowskiego gabinetu.

W salonie poprzedzającym ów pokój, spotkała Roberta. Przechodził on właśnie i złożywszy jej ukłon, chciał ją wyminąć w milczeniu.

Henryka zatrzymała się, a przyciskając ręką silnie bijące serce, wyszepnęła z cicha:

— Zostań, pan!

— Pozostanę, rzekł krótko Loc-Earn, pochylając czoło z pokłonem, i wyszedł z salonu.

Zostawszy samą, panna d’Auberive padła chwiejąca się na poblizkie krzesło. Znalazła siłę na wymówienie tych paru wyrazów, obecnie przestraszała ją jej decyzja utrzymać się jednak na nogach nie była w stanie.

— Biedna dziewczyna, mówił Robert z uśmiechem Mefista, wchodząc do swego mieszkania. Drżała jak liść, pełna trwogi i obawy. Teraz jest moją!

XVIII.

Apartament panny d’Auberive, położony na pierwszem piętrze korpusu pałacowego, składał się z przedpokoju, małego salonu, sypialni i obszernego gabinetu w rodzaju garderoby, do której prowadziły boczne wschody, mające łączność z mieszkaniem Urszuli, starej pokojówki, będącej na usługach dziewczęcia.

Pewnego wieczora, w pół roku blizko po wprowadzeniu się Loc-Earna do pałacu pana d’Auberive, Henryka około dziesiątej, jak zwykle, wyszedłszy od ojca, Wróciła do swego mieszkania.

Zmieniwszy ubranie, poleciła odejść Urszuli.

Na błękitny jedwabny penioar rozpuściła sploty swych jasnoblond włosów i usiadła naprzeciw płonącego na kominku ogniska, z oczyma w płomień utkwionemi, rękoma wspartemi na kolanach, zatopiona w głębokiem dumaniu.

O spoczynku nie myślała wcale.

Z chwilą, gdy zawładnęło nią owe nowe, potężne uczucie, nie odwiedzała już bibliotecznej sali. Na co bowiem karmić się fantastycznemi obrazami miłości, gdy jej urzeczywistnienie miała przed sobą? Wolała w owych samotnych godzinach przezierać karty własnego romansu, ukrytego w głębi serca.

Dumając tak przez czas długi wśród ciszy, dziewczyna nagle zadrżała, podniosła głowę i zwróciła wzrok ku drzwiom. Jakiś szmer lekki dobiegi ją z pobliża.

Ów szmer dał się słyszeć od strony garderoby, do której

drzwi były uchylone. Zdawało się, jak gdyby ktoś z lekka otwierał szafę, napełnioną sukniami.

— Czy to ty, Urszulo? zapytała, sądząc że pokojówka wróciła.

Żadna odpowiedź na to zapytanie nie nastąpiła.

— Przywidzenie, rzekła sama do siebie; i pogrążyła się w dumaniu.

Po upływie kilku minut tenże sam szelest dał się słyszeć, lecz znacznie wyraźniej.

Panna d'Auberive zerwała się zatrwożona, wołając:

— Kto tam? odpowiedzieć proszę!

I jednocześnie zbliżywszy się do kominka, pochwyciła za sznur od dzwonka, aby obudzić pokojówkę i przywołać ją co rychlej.

Za nim to zdołała uczynić, we drzwiach od garderoby ukazał się Robert Loc-Earn, a nakazując gestem błagalnym milczenie, wyszepnął z cicha:

— To ja pani. Na imię nieba nieprzywołuj nikogo!

— Pan? powtórzyła Henryka, cofając się zdumiona; pan, w moim pokoju, podczas nocy? Zkąd, w jakim, celu pan tutaj przychodzisz?

Widząc się samą o tak późnej godzinie w obec tego którego kochała, o którym na kilka minut przed tem marzyła, nieroztropne a romansowe to dziewczę stało się nagle dzieckiem trwożliwem, zmięszanem.

— Henryko, wyszepnął Robert, po raz pierwszy używając tego imienia w rozmowie z panną d'Auberive; Henryko, wiesz ile cię kocham. Wszak upoważniłaś mnie ku temu. Rozkazując mi zaniechać projektu podróży,

pozwoliłaś tem samem wierzyć w twą miłość!

— Tak, odpowiedziało dziewczę, zakrywając rękoma twarz zarumienioną tem wyznaniem. Niepozwalałam jednak mówić panu o tem. Zabraniam najmocniej powtarzania mi podobnych rzeczy, i jeszcze wśród nocy... tu... w moim pokoju... do którego wkradłeś się przez jakiś podstęp niewytłumaczony... niegodny ciebie, i mnie ubliżający zarazem!

— Potrzebuję z tobą pomówić, rzekł Loc-Earn, a gdybyś mnie wysłuchać nie zechciała, biedne me serce pęknie pod nadmiarem boleści.

— Wysłuchać jestem gotową, odpowiedziała, lecz, jutro, nie teraz.

— Czemu nie teraz?

— Dziwna, jak możesz pytać mnie o to. Twoja obecność, wszak sądzę dobrze pan wiedzieć powinieneś, jest dla mnie zniewagą!

— Ach! ukochana, podobne słowo jak boli, jak rani, jak ono jest niesprawiedliwem! Czyż się znieważa kiedykolwiek uwielbianą istotę? A ja czczę ciebie, uwielbiam? Ów pokój jest dla mnie świątynią, w której pragnę przyklęknąć dla głębszego uczczenia mojego bóstwa!

— Milcz pan, i oddal się proszę!

— Radbym być posłusznym, lecz brak mi ku temu odwagi.

— Boże, mój Boże! wołała Henryka, chcesz mnie więc skompromitować, chcesz mnie zgubić!

— W jaki sposób? Nikt nie wie o mojej tu obecności.

Urszula śpi, wszyscy służący udali się również na spoczynek.

— Co to znaczy. Własne sumienie, godność ma osobista, niepozwalają mi słuchać cię tu, wśród nocy. Jutro przyrzekam, jutro pomówię z tobą, panie Robercie.

— Jutro, jak dzisiaj, jak wczoraj, nie nadarzy się już więcej taka sposobność pomówienia z tobą sam na sam!

— Ja ją wytworzę gdy będzie potrzeba; odrzekła panna d'Auberive. Lecz oddal się pan, odejdź natychmiast, ja chcę! żądam tego!

— Wypędzasz mnie więc! zawołał Loc-Earn z gestem rozpaczy. Ach! o ileż lepszem byłoby, o ile mniej okrutnem, gdym mój los oddał w twe ręce, gdym napisał: „Czy mam pozostać czy odjechać“ gdybyś była odpowiedziała: „Wyjeźdżaj.“ Byłbym cierpiał bezwątpienia, tak, o wiele więcej, mniej jednak, niż cierpię w tej chwili. Jeśli mnie pozostawiasz mojemu przeznaczeniu, nie wypędzaj mnie przynajmniej!

To mówiąc przyłożył rękę do oczu jak gdyby dla otarcia łzy, która wcale się nie ukazała.

— Mylnie pan sądzisz, nie mam zamiaru sprawiać ci przykrości, odpowiedziała Henryka, jeśli to czynię, czynię zmuszona koniecznością, wbrew może własnej chęci i woli. Wszak pan sam widzisz, że się lękam, drżę cała!

— Lękasz się, mnie? powtórzył Robert z oddźwiękiem goryczy. Wątpisz więc o moim dla ciebie szacunku, o mej uczciwości, honorze? Ach to cios ostatni, lecz za zbyt srogi! Wszystko więc pomiędzy nami skończone!... Żegnam panią, żegnam na zawsze! To mówiąc, złożył ukłon pannie

d’Auberive i zwrócił się ku drzwiom.

— Dokąd pan idziesz? Co zamyślasz uczynić? pytała Henryka jak pół obłąkana z trwogi i zmięszania.

— Wszak pani wiesz dobrze...

— Opuszczasz nasz pałac?

— Tak, i rozstaję się z życiem!..

Na tę odpowiedź, wywołującą dziś śmiech nawet w melodramatach, biedne to dziewczę zaledwie siłą woli powstrzymać zdołało okrzyk przerażenia wybiegły jej na usta.

— Samobójstwo! wyjąknęła: chcesz umrzeć?

— Tak, odparł Robert, bo i cóż robiłbym teraz na świecie. gdy ta, którą kocham nad wszystko obrzuca mnie pogardą!

— Ja, obrzucam pana pogardą? szepnęło wśród łkania nieszczęśliwe dziewczę. Lecz czyż ja powiedziałam, że panem pogardzam?

— Więcej, niż powiedziałaś mi, pani, dowiodłaś mi tego. Pogarda kobiety którą się kocha, o! to zbyt wiele, to zabija!

— Cóż mam uczynić, ażeby przekonać pana, żeś mnie niezrozumiał, ażeby dowieść że cię poważam?

— Trzeba, odparł nikczemnik, dowieść, że pokładasz we mnie to zaufanie, jakie mi przed chwilą odebrałaś. Trzeba zbliżyć się ku mnie, podać mi obie rączki, spojrzeć na mnie z uśmiechem, i wysłuchać bez obawy słów moich. Lecz tego nie uczynisz, pani. Wytrwasz w swojem postanowieniu, porzucisz mnie na pastwę losu! Niepozostaje mi nic przeto jak cię pożegnać na wieki!

— Zostań! zawołała żywo panna d’Auberive; usiądź tu

przy mnie. Mów. Ufam ci w zupełności.

— Dzięki ukochana, zawołał z uśmiechem szatańskiego zadowolenia, obejmując ją w objęcia i okrywając pocałunkami. Jesteś aniołem. Po raz drugi wracasz mi życie!

XIX.

Od owego wieczoru Henryka zmieniła się do niepoznania. Głęboki, niepokonany smutek opanował tę młodą nieszczęśliwą istotę. Przypominała sobie owe sceny miłosne, tak barwnie i żywo przedstawiane w odczytywanych przez nią nocami romansach, porównywała je z własnemi wspomnieniami, wywołującemi u niej obecnie wstręt i zniechęcenie do życia. Wszystkie jej młodociane złudzenia, jak liście z drzewa, wstrząsanego burzą, opadały, zaścielając grunt w około niej smutnemi zwiędłemi barwami.

Nazajutrz po owym wieczorze, w którym Loc-Earn przestąpił próg jej pokoju, Henryka, wszedłszy do ojcowskiego gabinetu, podała ojcu czoło do pocałunku drżąca, pobladła. Zdawało się jej, iż na tem czole starzec dopatrzy zbrukanie, i że w miejsce słów tkliwej pieszczoty, rzuci na występną córkę przekleństwo.

— Nie, dłużej nam tak żyć niepodobna, mówiła znalazłszy się sam na sam z Robertem. Błąd, jaki popełniłam, obciąża nas oboje. Dla mnie samej jest on zbyt wielkim ciężarem. Przygniata mnie ta atmosfera ukrywania,

kłamstwa, i obłudy. Raz skończyć z tem trzeba!

— Skończyć, w jaki sposób? pytał obojętnie.

— Miejmy odwagę rzucić się razem do kolan mojego ojca, i jeżeli nie wszystko mu wyznać, to powiedzieć przynajmniej że się kochamy. On jest dobrym, pełen ojcowskiego do mnie przywiązania, wybaczy nam, a co więcej, zezwoli na nasze małżeństwo. Zostanę twą żoną, Robercie; kapłan, połączywszy nasze ręce w obec Boga pełnego miłosierdzia, uprawni mą miłość dla ciebie. Kochać cię będę mogła bez zarumienienia. Uczynimy to, nieprawdaż? Zrobimy w krótce, dziś, zaraz. nieodkładając.

— Nie! odrzekł Loc-Earn, nie uczynimy tego!

— Jakto, odmawiasz wraz ze mną błagania o przebaczenie mojego ojca? wyszepnęła z żalem Henryka.

— Odmawiam, ponieważ konieczność tak każe.

— Dla czego, z jakiej przyczyny?

— Z przyczyny, iż ty jesteś bogatą a ja ubogim.

— Jakąż przeszkodę stanowić to może?

— Staje przeszkodą w obec mojego honoru, którego pan d’Auberive nie dostrzegłszy w mojej dla ciebie miłości, posądzić mnie gotów o jakieś nikczemne wyrachowanie, o jakąś niską i podłą spekulację z mej strony. Bo i czemże w istocie tu jestem pod dachem twojego ojca? Przyjacielem? być może, lecz jednocześnie sekretarzem, jego podwładnym, rodzajem sługi, obdarzonego zaufaniem, któremu powierzono do spełnienia obowiązek. Wszelkie pozory mogłyby nasunąć myśl twemu ojcu, żem nadużył owego zaufania, a uwiódłszy kilko miljonową spadkobierczynię, przychodzę następnie prosić o jej rękę.

Nie! nigdy, dodał z gestem oburzenia, ty sama wiesz dobrze o ile ubliżającą dla mnie byłaby myśl podobna. Pan d'Auberive mógłby sądzić, że dla pochwycenia pieniędzy ułożyłem plan cały. Nie mogę więc uczynić, czego żądasz.

— Ależ ojciec cię szanuje, poważa.

— Jego szacunek zmieniłby się dla mnie w pogardę, a ja bym nie zniósł pogardy! Honor, przed wszystkiem honor!..

— Mówisz o swoim honorze, odpowiedziała z goryczą, a cóżeś z moim uczynił?

— Twój jest zabezpieczonym, ponieważ nikt nie wie o istnieniu naszej tajemnicy.

— Powiedziałam ci, że kłamstw nie znoszę.

— Milczenie nie jest kłamstwem.

— Zachowaj więc owo milczenie, jeżeli ci się podoba, ja mówić będę!

— Nawet gdybym cię błagał o zachowanie tajemnicy?

— Nawet i w takim razie!

— A gdybym ci mówić zabronił?

— Nie usłucham.

— Czyń więc, co ci się podoba!, zawołał gniewnie Loc-Earn, masz wolną wolę, lecz i ja mam swoją. Aby się uchronić przed tak haniebnem posądzeniem jeden sposób mi pozostaje. W chwili gdy pan d'Auberive dowie się, że jestem twoim kochankiem, rozsadzę sobie czaszkę wystrzałem z rewolweru. W obec mojego trupa zmuszonym będzie przyznać, iż cię prawdziwie kochałem, ciebie jedynie, a nie twój majątek, i że jeżeli popełniłem winę, odkupuję ją zadośćuczynieniem!

Henryka pochyliła głowę w milczeniu. Uczuła się być

zwyciężoną. Robert zatryumfował raz jeszcze. Wobec tak wysokiego pojęcia honoru i osobistej godności, wzrastało dla niego jej uwielbienie. Mimo to od owej chwili córka pana d'Auberive starała się unikać Loc-Earn'a zamykając się przed nim starannie w swoim pokoju.

Mało to obchodziło tego nędznika.

Osiągnął cel zamierzony, uniemożliwiając małżeństwo Henryki z kimkolwiek bądź innym.

Obecnie wypadało mu czekać cierpliwie na bliską śmierć starca. W chwilę po owym zgonie, nakaże on milczenie swym honorowym skrupułom i zostanie szczęśliwym małżonkiem miljonerki, o co mu głównie chodziło.

W kilka miesięcy po wyż opisanej scenie, Henryka, unikająca dotąd spotkania się z Robertem, zbliżyła się doń, gdy przechodził przez salon, wracając od pana d'Auberive, i wyszepnęła z cicha:

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem, potrzebuję widzieć się z tobą.

— Co to jest! dla czego ona mnie wzywa? zapytywał sam siebie, patrząc za odchodzącą. Ma to być jakiś kaprys, czy nowe z jej strony żądanie przebłagania ojca? Ha! zobaczymy. I o wskazanej godzinie udał się do niej, cicho stąpając po schodach, wysłanych kobiercem.

— Ukochana moja! wyszepnął wszedłszy, chciał ująć jej rękę.

Panna d'Auberive szybko ją cofnęła. Na jej bladem obliczu, znać było łez ślady, zaczerwienione i zabrzękłe powieki świadczyły o płaczu nieszczęśliwej.

— Jesteś cierpiącą, pytał Loc-Earn, spojrzawszy na nią.

Co ci jest?

— I ty mnie pytasz, zawołała z rozpaczą; jestem zgubioną; na wieki zgubioną!

— Nic nie rozumiem, nie wiem o co chodzi... Dlaczego mówisz że jesteś zgubioną?

— Dla tego, odparła ze łkaniem, że Bóg w swojej sprawiedliwości rzucił przekleństwo na naszą występną miłość! Nie mogę nawet obecnie uciec się do owego kłamliwego milczenia, jakie mi nakazałeś i kryć hańby jaka wkrótce dla wszystkich wiadomą zostanie!

Nędznik zrozumiał, i zbladł. Zdawało mu się, iż otrzymał jakieś nagłe uderzenie w głowę, jeden z tych ciosów, które na kilka sekund odbierają przytomność.

Skoro odkryją jego występek, będzie wypędzonym z pod tego domostwa z piętnem zniewagi, jak się wypędza złodzieja, albo zbrodniarza.

Wiedział, że pan d'Auberive nie zawaha się ani chwili, będąc przekonanym, iż nie ocaliłby honoru swej córki, oddając ją nikczemnemu przestępcy, człowiekowi zdolnemu nadużyć w tak haniebny sposób ojcowskiego zaufania i nieświadomości dziewczęcia!

Łotr ten ujrzał nagle ruinę rozpadającą się w około siebie. Trwało to jednak krótką tylko chwilę, poczem odzyskał w prędce zwykłą przytomność umysłu. Czyliż to położenie było bez wyjścia? Czy nie można było w jakikolwiek bądź sposób na nie zaradzić, i zachować dziecię, w którym by znalazł broń przeciw Henryce w razie śmierci pana d'Auberive?

Wszystkie te myśli krzyżowały się szybko w jego mózgu

jedne po drugich.

— I cóż? zapytała przerażona milczeniem Loc-Earn’a; teraz wiesz wszystko! Czyż każesz mi jeszcze zachowywać tajemnicę? Czy odważysz się mówić mi dalej o narażeniu swego honoru? Każesz mi milczeć dalej, grożąc że się zabijesz?

— Zabić się, odrzekł, nie! teraz nie mam prawa pozbawiać się życia. Śmierć moja uczyniła by to dziecię sierotą, żyć będę.

— Zatem zgadzasz się na moją propozycję przebłagania wspólnie mojego ojca, pytała Henryka, patrząc w Roberta z niepokojem.

— Nie! teraz tem więcej nie, niż kiedykolwiek!

— Ach! czy ja śnię? jęknęła, przykładając rękę do czoła, czyż źle zrozumiałam? Każesz mi więc milczeć, jeszcze milczeć dalej?

— Trzeba, odparł Loc-Earn, trzeba nieodwołalnie.

— Ależ dla czego? Mów! mów?

— Dla tego, ażeby popełniony błąd nie stał się zbrodnią, słyszysz mnie Henryko, ażebyś nie była morderczynią własnego ojca!

Blada, zlodowaciała z przerażenia córka pana d’Auberive nagłe się cofnęła, jak gdyby ujrzawszy straszne widmo przed sobą.

— Rozpocznij owo wyznanie, mówił nielitościwie nędznik dalej, zanim je ukończysz, twój ojciec, zabity temi słowy padnie martwy u stóp twoich!

Henryka, wydawszy jęk głuchy, osunęła się

bezprzytomna na kobierzec.

XX.

Po odzyskaniu zmysłów, uczuła się być złamaną na duszy i ciele. Niezdolną była myśleć, ni wesprzeć się na własnej swej woli. Po gorączkowem wzburzeniu, nastąpiło ogólne na wszystko zobojętnienie.

— Tak! wyszepnęła, wyznanie tej hańby mogło by zabić mego biednego ojca, milczeć więc trzeba. Tobie to wszystko oddaję, dodała, zwracając się do Roberta, ty mnie zgubiłeś, ocal mnie teraz, jeśli możebnem jest jeszcze ocalenie!

I odtąd w niemej rezygnacji poddała się swemu smutnemu losowi.

Inaczej było z Robertem. Umysł jego pracował bezustannie nad odszukaniem sposobu do zwycięzkiego wyjścia z tej tak zawiłej sytuacji. Trudność ta zdawała się być nie do pokonania.

Przebiegły ów łotr wszelako i na to środek odnalazł.

Pan d’Auberive miał siostrę, hrabinę de Nancrey, wdowę, bezdzietną, i bardzo bogatą, starszą nieco wiekiem od siebie, żyjącą w osamotnieniu na wsi, w okolicach Orleanu, który to majątek miała kiedyś odziedziczyć Henryka.

Pani de Nancrey cierpiąca od lat wielu, większą część życia przepędzała w łóżku, lub na szeslongu, nieopuszczając mieszkania. Kochała bardzo swą

siostrzenicę, znając ją kiedyś dzieckiem, a następnie młodą panienką z fotografii.

Henryka pisywała do ciotki niekiedy, a szczególniej, w dzień nowego roku, i w dniu jej imienin.

Pani de Nancrey odpowiadała krótkim listem, kończącym się zwykle temi słowy:

„Uściskaj odemnie twojego ojca. Pragnęłabym bardzo ucałować was i widzieć przed zgonem; czyli to jednak nastąpić będzie mogło przy mojem cierpieniu?“

Robert wykradł z pokoju Henryki jeden z takich listów, na którego szerokiej lakowej pieczęci widniał podwójny herb d’Auberive i Nancrey’ow, a odcisnąwszy tę pieczęć na wosku, zaczął studjować pismo hrabiny.

Naśladowanie jej dużych liter, drżącą ręką kreślonych, było drobnostką dla tak wprawnego fałszerza.

Potrzeba mu teraz było pomocników do ułożonego planu, lecz potrzebował zarazem, ażeby nie wiedzieli oni o celu, do jakiego użytemi zostaną, ani o ważności tegoż.

Obmyśliwszy starannie szczegóły, przywdział pewnego wieczora swe stare zużyte ubranie, włożył zniszczony miękki kapelusz, owiązał szyję czerwoną chustką fularową, i postanowił udać się do owych knajp najniższego rzędu, w których niegdyś przebywał pod nazwiskiem Roberta Saulnier.

W roku 1850, bulwar du Temple noszący również nazwę „Bulwaru zbrodni,“ zapewne z przyczyny licznie tu popełnianych kradzieży z włamaniem, wykradania testamentów, podstawiania dzieci, różnego rodzaju fałszerstw, podpalań, i zabójstw, wydarzających się prawie

codziennie od siódmej wieczorem do północy, i przyległa doń ulica Fossès-du-Temple, były zapełnione temi podejrzeniami kawiarniami i szynkowniami, jakie policja tolerowała, by w nich w danej chwili urządzić sobie „Pułapki.“

Pośród tych jaskiń dla wszelakich hultai gdzie policyjni agenci często zarzucali siatki dla łowienia płazów w mętnej wodzie, szynk pod „Ściętym kłosem“ zasłużył sobie na niezaginione wspomnienie.

Tu Robert wszedł teraz.

Sariol, siedzący za stołem, zwrócił jego uwagę. Widział tego łotra kiedyś czynnym w pewnej podejrzanej sprawie. Wiedział, że jest on zręcznym, odważnym, bez skrupułów. Trudno byłoby mu odnaleść kogoś przydatniejszego. Bez wahania więc podszedł, a uderzając go po ramieniu, dał mu się poznać, zapłacił za obfitą wieczerzę, i opowiedział, iż chodzi mu o pomoc w porwaniu kochanki, za co ofiaruje trzysta franków, jeżeli wspomniona osobistość zechce przez kilka dni trzymać pod strażą przeszkadzającą w tym zamiarze — pewną starą kobietę.

Sariol, jak wiemy, przyjął tę propozycję, domyślając się wszelako jakiejś ukrytej tajemnicy, śledził mniemanego Roberta Saulnier, gdy ten wyszedłszy ze wspomnionej nory poszedł za dalszem poszukiwaniem.

Zwiedził kolejno kilka podobnych zakładów przy ulicy Fossès-du-Temple, i w czwartym dopiero napotkał to, czego szukał, to jest dwóch łotrów, gotowych do wszystkiego za kilka talarów. Pierwszy z nich nazwiskiem Limassou, miał czuwać na straży z Sariolem na przemiany. Rola trzeciego

była mniej ważną. Należało mu służyć za stangreta w dostarczonym przez Roberta, powozie. Był on woźnicą fiakrowym, i nazywał się Bijou.

Zadowolony z pomyślnego ukończenia interesu Loc-Earn powrócił na ulicę Ville l'Eveque. Zaledwie minął dziedziniec, Sariol zadzwonił do pałacowej bramy, a wszedłszy zapytał odźwiernego:

— Ów pan, który przyjechał przed chwilą powozem, kazał mi uwiadomić zamieszkałego tu swego przyjaciela, pana Christophe, ażeby tenże nie oczekiwał na niego, lecz raczej przyszedł widzieć się z nim o północy u Tortoniego.

— Pomyliłeś się, młodzieńcze, odparł odźwierny, nie mieszka tu żaden pan Christophe.

— A jakże się nazywa ten, który tu wszedł przed chwilą?

— Jest to hrabia Loc-Earn, przyjaciel i sekretarz pana d'Auberive, właściciela pałacu.

— Hę, skoro tak... będę się pytał w sąsiednim domu, rzeki Sariol, dostałem czterdzieści sous za fatygę muszę go odnaleźć. Wybacz pan, panie odźwierny że cię trudziłem. Dobranoc.

Wyszedłszy na ulicę, łotr zatarł ręcę z radością! Dowiedział się o czem chciał wiedzieć.

— Trafiłem na ślad... wyszepnął. Ha! ha! przyjacielu, Robercie Saulnier, zostałeś teraz panem hrabią! Przysiągłbym, że chcesz uwieść bogatą dziedziczkę i pochwycić grube pieniądze... Jeżeli tak... podział na dwie równe części, przezacny szlachcicu.

Nazajutrz po południu, Robert wynająwszy kabrjolet, udał się drogą, przecinającą szeroką równinę Mont-rouge,

ponurą, pustą, z powykopywanemi głęboko dla wybierania kamieni jamami.

Na trzy kilometry przed fortyfikacjami spostrzegł ubogi domek, stojący przy drodze, od której dzielił go tylko ogródek, okolony płotem cierniowym. Stara podarta bielizna suszyła się na gałęziach śliwkowego drzewa. Wynędzniała, szczupła kobieta, mająca obok siebie brudne płaczące dziecko, zbierała szczaw w trawie zarośniętego chwastem ogrodu.

Nad drzwiami domku widniał napis na tabliczce: „Dom do sprzedania“. Tynk u tego domu poodpadał kawałkami, połamana rynna blaszana zaledwie się trzymała u dachu. Zewsząd widniała tu nędza, zbliżanie się ku ruinie, całemi były jedynie tylko okiennice na dole przy dwóch oknach i przy trzech na pierwszem piętrze.

Sąsiedztwo powykopywanych dołów w kamieniołomach nie dawało tej okolicy pewnego schronienia. Robert, rozkazawszy przystanąć woźnicy, wysiadł i wszedł do ogródka, zapytując znajdującą się tam kobietę:

— Ten dom jest pani własnością?

— Tak, panie.

— Masz pani zamiar go sprzedać?

— Muszę to uczynić. Po śmierci mojego męża ja z dzieckiem nie mamy żyć z czego. Gdybym znalazła nabywcę ułożylibyśmy się o cenę.

— Ileż pani żądasz za to domostwo?

— Pięć tysięcy franków.

— W ostatnim razie czy nie wynajęłabyś go, pani?

— Bardzo chętnie.

— Z umeblowaniem?

— Gdyby ktoś życzył... Wszak meble nie są nowemi.

— A natenczas ile byś pani żądała?

— Pięćset franków rocznie.

— Wynajmę zatem dom pani ze wszystkiem, co się w nim teraz znajduje, nadmieniając, że nie na rok, lecz tylko na dwa tygodnie. Dam pani za te dwa tygodnie całe półroczne wynagrodzenie; to jest dwieście pięćdziesiąt franków, i z góry zapłacę.

Kobieta, oszołomiona tak świetną propozycją, patrzyła na przybyłego z osłupieniem.

— Z warunkiem jednak, dodał, iż potrzebuję ażeby ten dom od jutra był mi oddanym.

— O! dziś nawet... dziś, jeśli pan zechcesz, zawołała. Na te dwa tygodnie przeniosę się do mojej siostry, w Sceaux zamieszkałej.

— Wejdźmy więc do pokoju, rzeki Robert, wyliczę pieniądze a pani mi dasz pokwitowanie.

— I klucze... dodała.

W kilka minut później, interes był ukończonym i sekretarz pana d'Auberive wracał do Paryża.

XXI.

Loc-Earn spał dobrze tej nocy. Wszystko układało się pomyślnie według jego życzenia i mógł być pewnym teraz, że ułożony plan szczęśliwie do końca przeprowadzi. Nazajutrz udał się na bulwar Batignolles, gdzie miał

wiadomą nam już z panią Angot rozmowę.

W dzień później, przywieziono do pałacu pana d'Auberive list z Orleanu, z wielką lakową pieczęcią, i wyciśniętem na niej podwójnym herbem.

— List od mojej siostry!... zawołał starzec. Otwórz kopertę Henryko i czytaj co prędzej. Zdaje mi się że jej pismo nieco się zmieniło, dodał, spoglądając, litery są regularniejsze, niż zwykle... Zły to znak...

Dziewczę wiedziało, co ów list zawierał. Zmuszoną była stać się wspólniczką kłamstwa, to też niepewną ręką rozerwała kopertę, a głos jej drżał, gdy czytała, co następuje:

„Drogi mój bracie, Bóg mnie przyzywa do siebie. Dni mego życia już policzone, a może nawet godziny. Pielęgnujący mnie doktór nie ukrywa tego przedemną. Nie zobaczymy się już więcej, mimo wzajemnego naszego przywiązania, gdyż tobie zarówno jest niepodobnem przybyć do mnie, jak i mnie przyjechać do ciebie.

W tym liście, jaki zapewne ostatni odbierzesz, kreślony mą ręką, załączam prośbę o uczynienie pewnej, ofiary z twej strony, i mam nadzieję, że mi nie odmówisz.

Pragnę przed zgonem widzieć i uścisnąć Henrykę. Miej odwagę rozdzielić się z nią na czas krótki. Niech przyjeżdża zamknąć mi powieki... Niech przyjeżdża... a niechaj się spieszy! Żegnam cię drogi mój bracie a raczej „do widzenia“ tam... w górze! kochająca cię siostra

Hrabina de Nancrey.“

Pan d’Auberive słuchał czytania ze spuszczoną głową. Lewą ręką otarł dwie łzy, spływające mu na policzki i gdy Henryka skończyła wyszepnął:

— Biedna siostra!... wiedziałem... wiedziałem od dawna że jej nie zobaczę, a mimo to serce mi się ściska, gdy o niej wspomnę. Ma słuszność pisząc: „Do widzenia... tam... w górze!“... ponieważ chwila jest bliską, gdzie i ja z nią się połączę!... Henryko... drogie me dziecię, dodał zwracając się ku córce, po raz pierwszy w życiu rozłączyć się nam z sobą przyjdzie. Jestem pewien że i ty również nie chciałabyś się sprzeciwiać ostatniej woli swej ciotki... Odjedziesz dziś wieczorem.

— Dobrze, mój ojcze, odpowiedziała.

— Twa nieobecność nie potrwa długo zapewne, mówił dalej pan d’Auberive; pisze biedna ma siostra iż dni jej są policzone. Wystarczy ci więc zabranie nieco bielizny i ubrania. Ileż czasu potrzebowałabyś na przygotowanie do podróży.

— Godzina będzie dostateczną.

— Urszula towarzyszyć ci będzie. Chciałbym, aby Józef również pojechał wraz z tobą, wszak jest on mi tu potrzebnym, niemogę się obejść bez niego. Powiadom Urszulę, ażeby się przygotowała do wyjazdu.

— Dobrze, mój ojcze.

— Rozkaż jednocześnie Józefowi, ażeby prosił o przyjście do mnie Roberta. Potrzebuję z nim się porozumieć względem niektórych szczegółów tego wyjazdu. Żyjąc przez lat tyle w zupełnem od świata odłączeniu, nic nie wiem, co się dzieje na zewnątrz, a skutkiem mego kalectwa,

w niczem dopomódz ci nie jestem w stanie.

— Poślę natychmiast Józefa, odpowiedziała córka pana d'Auberive, i wyszła z pokoju.

W kilka minut później ukazał się Loc-Earn.

— Czy wiesz, co nastąpiło? zawołał starzec, podając mu rękę.

Robert przecząco potrząsnął głową.

— Moja córka odjeżdża..

— Jakto? zapytał sekretarz z gestem zdumienia.

— Otrzymaliśmy bardzo smutną wiadomość... Moja siostra, hrabina de Nancrey, jest umierającą. Pragnie co rychlej widzieć Henrykę... Jedzie więc, ażeby zamknąć oczy swej ciotce.

— Dziś jedzie? zapytał Robert.

— Tak... dziś, wieczorem.

— Może pan życzysz, ażebym towarzyszył jego córce?

— Właśnie chciałem cię prosić, ażebyś ją odwiózł na stację drogi żelaznej; w dalszej podróży Urszula towarzyszyć jej będzie.

— Jestem na pańskie rozkazy!

— Trzeba się starać zabezpieczyć obie kobiety od wszelkiego nieprzyjemnego towarzystwa w podróży, mówił dalej starzec. Gdyby potrzeba było wynająć oddzielny wagon, uczyń to proszę. Nic tu nie znaczy kwestja pieniężna.

— Byłby to zbyteczny wydatek. Zarząd dróg żelaznych ustanowił przy każdym pociągu wyłączne damskie przedziały.

Pan d'Auberive postanowił, iż Henryka wraz z

pokojówką wyruszy w podróż o godzinie piątej minut dwadzieścia.

— Ponieważ dość znaczna odległość dzieli ulicę Ville-l'Eveque od stacji, zaczął Loc-Earn, przeto radziłbym ażeby pańska córka dla nieopóźnienia się wyjechała ztąd punktualnie o czwartej godzinie.

— Zajmij się tem wszystkiem i postaraj o wynajęcie powozu.

— W południe nie będę może panu potrzebnym, rzekł Robert; pójdę więc za odszukaniem jakiego wygodnego fiakra.

— Proszę cię o to...

W pałacowej remizie znajdowało się kilka starych karet, niegdyś okazałych, wszelako pan d'Auberive od lat dziesięciu nieopuszczając mieszkania nie trzymał do nich koni.

Większa część dnia upłynęła na przygotowaniach do podróży. O trzy kwadranse na czwartą wszedł Robert z oznajmieniem że powóz czeka przed bramą.

Henryka, siedząc przy ojcu, rzewnie płakała. Starzec pocieszał ją z cicha tkliwemi słowy, starając się wlać w nią odwagę, lecz widząc to, sam łzy ocierał.

— Zabieraj się moje dziecię... zabieraj. Jechać potrzeba... szeptał przerywanym głosem, gdybyś pozostała tu parę minut dłużej, i mnie zabrakłoby męztwa... jechać bym ci niepozwolił może.

— Pójdź pani... dodał Loc-Earn, pociąg nie czeka, opóźnić się możesz.

Henryka rzuciła się na szyję starca po raz ostatni, i

wybiegła z pokoju, łkając rozpaczliwie. Wsiadłszy do powozu usiadła w głębi, obok niej Urszula. Robert zajął miejsce na przedniej ławeczce.

— Dokąd mam jechać? zapytał woźnica, pochylając się ku drzwiczkom.

— Na stację drogi żelaznej Orleańskiej, odrzekł Loc-Earn. Jedź szybko, dostaniesz dwadzieścia sous na piwo.

Wehikuł pomknął z miejsca, jednak starym szkapom niedodała szybkości w nogach obietnica napiwku, widocznie bieg zwalniały.

— Szczęściem mamy dość czasu, nie spóźnimy się, rzeki Robert patrząc na zegarek.

Po tych wyrazach zapanowało milczenie między obecnymi. Henryka płakała, ocierając oczy bezustannie, Loc-Earn począł śledzić Urszulę. Uśmiechnął się spostrzegłszy, iż stara ta kobieta, kołysana monotonnym ruchem powozu drzemać zaczęła. Walczyła ze snem nieboga, pragnąc zachować przytomność, sen jednak pokonał jej usiłowania. Oczy bezwiednie się zamykały, głowa chwiała się z jednego ramienia na drugie, aż wreszcie zwyciężona, wsparłszy się o boczną krawędź powozu, chrapać głośno zaczęła.

Biedna kobieta mniej była winną, niż się zdawało z pozoru.

Robert, wszedłszy do jej mieszkania w południe, dał jej jakieś polecenie do spełnienia ze strony Henryki, i przez parę minut pozostał sam w obec napełnionego zupą talerza Urszuli i kieliszka wina. Wyjaśnia nam to w zupełności ową senność służącej.

Powóz toczył się ciągle, pozostawił jednak na lewo drogę, wiodącą do stacji Orleańskiej, a przejechawszy prawie cały Paryż, zawrócił się ku górzystym wyniosłościom, okalającym równinę Montrouge. Przebywszy fortyfikacje, wjechał w odkryte pola, jakie powyżej opisaliśmy.

Loc Earn dobył natenczas z kieszeni maleńką flaszeczkę i kawałek waty, którą napuściwszy kilkoma kroplami płynu, przytknął ją do nosa Urszuli. Kobieta natychmiast chrapać przestała, a jednocześnie woń ostra, przenikliwa, napełniła wnętrze powozu.

— Co to jest? zawołała Henryka, wyrwana nagle z dumania. Co znaczy ta woń zabijająca?

— Chloroform... nic więcej... odparł Loc-Earn, nie obawiaj się droga.

— Chloroform!... powtórzyła z trwogą córka pana d'Auberive, ależ to zabija — Tylko czasami... potrzeba umieć go użyć.

Powóz potoczył się dalej.

XXII.

Przystanęli wreszcie przed owym małym domkiem, wynajętym przez Roberta.

— Zapuść, Henryko na twarz woalkę, rzekł do niej. Nie chcę, ażeby cię tu widziano.

Zaledwie panna d'Auberive zdołała to uczynić, otwarły się drzwiczki powozu, a poza niemi ukazało się ciekawie

spoglądające do wnętrza cyniczne oblicze Sariola. Uchyliwszy czapkę, wlepił wzrok w Henrykę, nic jednak dostrzedz nie mógł z przyczyny zapuszczonej przez nią gęstej koronkowej woalki.

— Jesteście oba? zapytał Loc-Earn.

— Tak, odparł Sariol, gotowi na usługi. Sądzę że to ta pani... dodał wskazując na uśpioną Urszulę.

— Tak właśnie... Trzeba ją wnieść natychmiast do domu, nie tracąc chwili.

— Fraszka... zrobimy to w oka mgnieniu. Dopomóż mi pan, jeśli łaska.

Robert z Sariolem zajęli się wydobywaniem z powozu Urszuli, czyniąc to ostrożnie, jak gdyby mieli sprawę z przenoszeniem kruchego pakunku. Z owym w ten sposób podzielonym ciężarem szli przez ogródek. Do mieszkania, gdzie na łóżku słomą usłanem, ostrożnie ułożyli śpiącą Urszulę.

Przypominamy sobie iż właścicielka domu mówiła do Roberta, że umeblowanie nie jest dostatniem bynajmniej.

Składało się ono z dwóch krzeseł kulawych, drewnianego stołu, i małego zwierciadełka, zawieszonego na ścianie. Ubóstwo to odstręczało widomie od napadów na ów dom włóczęgów z Montrouge. Jedno, jedyne okno w tym pokoju wychodziło nie na ogródek, ani na ulicę, lecz na puste pole, rozciągające się po za domem.

— No... a teraz rozkazuj. Co mamy robić dalej? pytał Roberta Sariol.

— Rzecz bardzo prosta; pilnować ażeby powierzona waszej straży osoba pod żadnym pozorem nie wychodziła

ztąd, dopóki ja sam tu nie przybędę. Zatrzymajcie ją dobrowolnie, lub siłą, zabraniam wam jednak źle się z nią obchodzić.

— Bądź spokojnym, mój mistrzu, będziemy uprzejmymi, jak na francuzkich rycerzów przystało. Przynależne względy dla płci pięknej dobrze nam są znane, chociażby ta płeć piękna, nie była nawet piękną. Powiedz mi jednak, panie Robercie jak długo ona spać będzie?

— Cztery, lub pięć godzin mniej więcej z małą różnicą.

— Różnica ta znaczy bardzo wiele, a oto dla czego. Skoro otworzy oczy, musimy być bardzo grzecznymi, i trzymać język na wodzy, z czego rzecz prosta nie będzie ona zadowoloną.

— Rzeczywiście, rzekł śmiejąc się Robert.

— Będzie chciała wiedzieć, dla czego zasnąwszy w powozie, obudziła się w pokoju, pomiędzy dwoma dzielnymi chłopcami. Będzie pytała gdzie się znajduje, jak i dla czego, dopytywać będzie co się stało z jej panną? Wygłosi całą mnogość zapytań bez początku i końca, cóż na to wszystko mamy odpowiedzieć?

— Nic.

— Będzie chciała wyjść... do czarta! pan to pojmujesz?

— Nie pozwalajcie jej wychodzić.

— Poruszy całe piekło... Krzyczeć będzie jak paw.

— Nie dajcie jej krzyczeć.

— W jaki sposób zabronić? Znalazłyby się środki do nakazania milczenia, ale nakazujesz nam grzeczność i łagodność w obejściu. Ukłonem i prośbą nic z nią nie poradzimy.

— Pozwalam wam jej zagrozić, a nawet i zatkać usta, gdyby koniecznie było tego potrzeba. Robert wyjął z kieszeni chustkę jedwabną. Weź, rzekł do Sariola, gdy jej zawiążesz tą chustką usta na kilka minut, zrozumie, że jesteście od niej mocniejszymi i będzie posłuszną. Nie używajcie jednak tego środka, aż w ostateczności. Pilnujcie dobrze, a skoro jeden z was zaśnie, niech drugi na chwilę nawet nie opuszcza uwięzionej.

— To się ma rozumieć!

— Macie zapas żywności na dni kilka, nic was nie wzywa na zewnątrz. Nie wychodzić mi z domu pod żadnym pozorem!

— Rzecz zaprzysiężona! rzekł Sariol. Jest się uczciwym, albo się nim nie jest.

— Zresztą będę się tu dowiadywał od czasu do czasu, dla przekonania jak rzeczy idą, rzekł Robert.

— Znajdziesz nas czuwających z otwartemi oczyma i natężonym słuchem!

— A jeśli będę z was zadowolonym, to obok zapłaconej kwoty, dostaniecie nagrodę.

Sariol podskoczył z radości, i gdy mniemany Robert Saulnier opuszczał ów domek odprowadził go aż do powozu.

— Szczęśliwej podróży, wołał zamykając drzwiczki.

Bijou zawrócił w stronę Paryża, powóz potoczył się zwolna.

Sariol dozwolił mu pomknąć z kilkanaście kroków, następnie począł biedz z niesłychaną szybkością, a dogodziwszy fiakra, usiadł na tylnej ławeczce,

umieszczonej pomiędzy dwoma resorami.

Wszystko to zabrało wiele czasu. Noc zapadała w chwili, gdy powóz wyjeżdżał z Montrouge. Ciemność była głęboka, skoro się zatrzymał na bulwarze Batignolles przed domem Vignot'a.

Byliśmy obecnymi przy wejściu Henryki do mieszkania pani Angot. Obecnie, załatwiwszy rachunek z przeszłością, połączmy się z Loc-Earn'em w chwili jego gniewu i oburzenia gdy spostrzegł, że Sariol pochwycił wszystkie tak ściśle ukrywane tajemnice i zamiary, i szepczącego z groźbą poza nim

— Ten błazen wie nazbyt wiele... może to stać się dlań nieszczęściem!

Z temi słowy Loc-Earn zagłębił się w ciemną, błotnistą aleę.

W ową to chwilę strażnicy policyjni wynosili na noszach trupa hrabiego de Randal. Gdyby był dzień, natenczas można byłoby dostrzedz na błocie krwawe plamy.

Robert, przebywszy ciemne wschody w domu Vignot'a, zatrzymał się na przedziale pierwszego piętra i do drzwi zadzwonił. Po kilku sekundach otworzyło się szklane we drzwiach okienko, a przy blasku płonącej świecy ukazało się w niem oblicze pani Angot.

— Kto tam? zapytała szorstko.

— Ja, odparł Loc-Earn; nie poznajesz mnie pani? Wszak powiedziałem że prawdopodobnie przybędę dziś w nocy.

Jednocześnie drzwi się otwarły.

— Ach! mówiła ze skargą, skoro Robert wszedł do pokoju, nieuwierzysz pan, jak jestem znużoną, zaledwie

trzymam się na nogach. Od dawna powinnam w łóżku spoczywać. Zachoruję z wysilenia, to pewna! Jakaż noc straszna... ileż wypadków. Wszystko to panu opowiem. Uprzedzam jednak, iż dla pana są wiadomości pomyślne. Zostałeś pan ojcem pięknego chłopca. Młoda pacjentka ma się zupełnie dobrze. A teraz, wyobraź pan sobie.

— Popełniono samobójstwo w tym domu, przerwał Loc-Earn, zeszła policja. Wiem o tem wszystkiem.

— Już panu powiedziano? szepnęła pani Angot zdumiona.

— I prosiłbym panią byś mnie coprędzej zaprowadziła do chorej.

— Pójdź pan... lecz zachowaj się cicho, jeżeli śpi budzić jej niemożna.

Tu idąc na palcach weszła w długi korytarz, a otworzywszy drzwi skinęła na Roberta. Resztka głowni dopalała się w kominku, nocna lampka, ukryta w głębi, słabo pokój oświetlała.

Na machoniowem łóżku pani Angot, w białych poduszkach spoczywała głowa Henryki. Bladą jej twarz, okalały zwoje rozpuszczonych jasno blond włosów. Oczy miała zamknięte. Obok łóżka w kołysce, spoczywało niemowlę. Wzrok Loc-Earn’a przechodził kolejno z matki na dziecię, w tem wzroku jednak nie można było dojrzeć najmniejszej iskry uczucia; widniało w nim zupełne zobojętnienie. Pani Angot, przeszedłszy pokój na palcach, zbliżyła się do łóżka i z lekka poprawiła kołdrę na uśpionej.

— Kto tam? zapytała Henryka, otwierając oczy. Robert przyszedł?

— Jestem, ukochana, rzekł zbliżając się do niej.

Uśmiech zawidniał na ustach chorej. Wskazała ręką na spoczywające w kołysce niemowlę.

— Ucałuj go, rzekła z cicha, patrz jak jest pięknym.

XXIII.

— Zachwycająco pięknym! żywy obraz matki, wołała z uniesieniem pani Angot. Wpatrywaliśmy się weń z podziwem przed chwilą oboje. No... ucałuj że pan tego cherubinka, lecz bardzo ostrożnie, aby go nie przebudzić.

Robert zaledwie dotknął ustami policzków dziecięcia.

— Podaj mi go... niech ja go również ucałuję, wołała podnosząc się Henryka.

Loc-Earn pochylił się nad kołyską chcąc unieść niemowlę, lecz pani Angot nie dozwoliła mu tego uczynić.

— Pozwól pan... wyrzekła, ja cię wyręczę. Mężczyźni nie umieją się obchodzić z temi drobnemi istotami. Trzeba posiadać zręczność, mieć delikatną rękę dla tych aniołków.

To mówiąc, podała dziecię Henryce.

Młoda matka pochwyciwszy niemowlę okrywała je pocałunkami.

— Ach! gdybym mogła go karmić!... wyszepnęła z westchnieniem.

— Tak... gdybyś pani mogła, odpowiedziała pani Angot, ponieważ jednak okoliczności prawdopodobnie nie dozwolą tego uczynić, w oczekiwaniu na mamkę, pokarmimy go smoczkiem. Ale... co do mamki, dodała, gdybyście państwo

życzyli, mogłabym przedstawić bardzo odpowiednią ku temu kobietę.

— Mam już zamówioną, rzekł Robert, przypomniawszy sobie o propozycji Sariola.

— To dobrze... niechaj przybywa jak najprędzej, mówiła dalej kobieta. Naturalnego pokarmu żadne sztuczne żywienie zastąpić nie jest wstanie.

— Przybędzie jutro, a raczej dziś... ponieważ już świtać poczyna.

— Teraz zabieram dziecię, dla nakarmienia i odchodzę, poczęła pani Angot; zabierając się ku wyjściu, niechcę przeszkadzać państwu w rozmowie. Lecz proszę, dodała, zwracając się do Henryki, nie utrudzaj się pani zbytecznie, w obecnych okolicznościach należy oszczędzać się... bardzo oszczędzać.

Ostatnie wyrazy odchodzącej były tylko dosłownem powtórzeniem zdania, wygłoszonego przez nią do pani de Randal, w chwili widzenia się tej ostatniej z wicehrabią de Grandlieu. Słowa te powtarzane przez nią, różnym klientkom bezustannie, szły jej na usta pomimowolnie, nauczyła się ich prawie na pamięć.

— Robercie, poczęta Henryka, gdy pani Angot się oddaliła, usiądź tu bliżej mnie.

— Otóż chwila wymówek nadeszła, pomyślał Loc-Earn. Nie zbyt przyjemną będzie dla mnie ta rozmowa.

— Podaj mi swą rękę, mówiła dalej córka pana d’Auberive.

Dotknąwszy jej dłoni, uczuł, iż była niezwykle rozpaloną.

— Masz gorączkę, zawołał, jesteś cierpiąca?

— Tak!... cierpię... bardzo cierpię... wszak nie na ciele, ale na duszy! Czuję się bardzo nieszczęśliwą!

— Otóż i scena, której się obawiałem, rzekł, łzy i wyrzuty. Uniknąć tego niepodobna. Poczem nadając wyrazom oddźwięk tkliwego wzruszenia: Nieszczęśliwą, ty... Henryko? zaczął po chwili, zkąd... i dla czego? Wszak wiesz, że cię kocham gorąco... prawdziwie! Ach! kochałem cię, Bóg jeden wie tylko, bardziej niż życie... więcej nad wszystko na świecie, a teraz gdy nowy węzeł nas łączy, w obec którego, niczem są wszystkie inne, kocham cię stokroć więcej jeszcze... Miłość moja dla ciebie wzrasta nieskończenie!

— I dokądże mnie powiodła ta miłość?.. szepnęła z goryczą Henryka. Dała dni bez spokoju i noce bezsenne. Kazała mi wdziać maskę obłudy, rumienić się pod każdem wejrzeniem... Obawiać się wszystkiego, drżeć bezustannie... zostać wspólniczką bezwstydnego kłamstwa, aby się wydostać z rodzicielskiego mieszkania i oszczędzić ojcu widoku hańby!.. Stać się zniesławioną, zgubioną!.. Kryć się w tym podejrzanym, brudnym domu!.. Ach! i ja noszę czyste i uzacnione przez ojca nazwisko d'Auberive! wołała z rozpaczą. Otóż co zdziałała ta miłość, o której mi mówisz. Tu ukryła twarz w poduszki, wybuchnąwszy łkaniem.

— Uspokój się... zaklinam! mówił Loc-Earn, pochylając się ku niej. Podobne wzburzenie jest niebezpiecznem, ono zabić cię może!

— Tego właśnie pragnę! zawołała, podnosząc nagle

głowę. Czy sądzisz, że obawiam się śmierci, że przywiązuje mnie choć cośkolwiek do życia?

— A ja... cóżbym tu począł bez ciebie, zapytał z gestem patetycznego aktora.

Henryka milczała, nieodpowiadając.

— A nasze dziecię? mówił dalej. Możesz-że zapominać o niem? Czyż nie masz obowiązku żyć dla niego i dla mnie?

— Ach! to dziecię, powtórzyła ze smutkiem. Właśnie myśl o niem czyni mnie tak nieszczęśliwą. Mam syna. Boże! mam syna!.. I wtedy gdy młode małżonki z dumą to powtarzają, cieszą się, chlubią z macierzyństwa, ja muszę go odtrącić od siebie, kryć się z mą hańbą przed ludzkiemi oczyma. Bo nie jestem kobietą godną.
szacunku, ale istotą najbardziej nikczemną, najbardziej pogardzaną w świecie!

Robert milczał, nie znajdując odpowiedzi na te rozdzierające wyrazy.

Wzburzenie nieszczęśliwej doszło do ostatecznych granic. Łkała w milczeniu, a we łzach jak gdyby znalazłszy ulgę, zwolna uspokajać się zaczęła.

— Przebacz mi, wyrzekła po chwili, podając rękę nikczemnikowi. Zasmuciłam cię memi bolesnemi wymówkami, być może niesprawiedliwie, bo jestem zarówno winną. Co począć jednak, w głowie mi się mieszać poczyna gdy o tem myślę Przebacz mi, proszę!

Loc-Earn okrył pacałunkami podaną sobie rękę.

— Prosisz mnie o przebaczenie, aniele, rzekł; o! czemuż raczej nie pozwoliłaś mi umrzeć wtedy, aby ocalić się przed

tą nieszczęsną miłością jaka sprowadziła tyle złego!

— Pomówmy o naszem dziecku, zaczęła Henryka, niechaj choć ono będzie szczęśliwem. Za kilka godzin przybędzie mamka, nie prawdaż... aby mi je zabrać i unieść!..

— Tak być musi... niestety!

— Czy znasz tę kobietę?

— Wiem, że jest zdrową, staranną, ma własne dziecię. Zresztą ujrzysz ją niezadługo.

— Gdzie ona mieszka?

— Na wyspie Saint-Denis.

— Czy to blisko Paryża?

— Bardzo blisko. Powozem w dobre konie uprzężonym można tam zajechać w godzinę.

Ach! to bardzo daleko.

— Jakto?

— Żyć, nie widując dziecka byłoby niemożebne, wychodzić zaś z domu bez pozoru, na tak długi przeciąg czasu? nie, to niepodobna! Trzeba poszukać innej kobiety, lub tej dać dużo pieniędzy aby się przeniosła gdzie bliżej.

— Ułożę to wszystko, przyrzekam ci, rzekł Robert. Będziesz mogła nawet je odwiedzać codziennie w towarzystwie Urszuli.

Henryka zadrżała. Żywy rumieniec wystąpił na jej blade policzki.

— W towarzystwie Urszuli? pytała z osłupieniem. Jakto? Urszula więc ma o wszystkiem wiedzieć?

— Czyż podobna ukryć to przed nią? Skoro wrócimy jej wolność, dla zapewnienia sobie milczenia z jej strony,

trzeba jej wszystko powiedzieć. Jest to koniecznem, nieuchronnem! Ta kobieta szczerze cię kocha, przy niej wzrastałaś. Nie zdradzi cię, jestem tego pewny!

— Boże, mój Boże! wołała biedna, załamując ręce. Wobec służącej rumienić się będę musiała. Zeszłam więc aż do takiego poniżenia! Biedna Urszula, ileż ona na tem cierpi. Poczciwa, z przezacnem sercem kobieta! Dla niej nasz dom był rodzajem świętości. Co pomyśli, poznawszy mą hańbę? Po długiej bolesnej zadumie zwróciła się do Loc-Earn'a. Robercie, zaczęła silnym stłumionym głosem, przedewszystkiem trzeba pomyśleć o przyszłości tego nieszczęśliwego dziecka. Ja nie chcę, ażeby ono zostało sierotą bez nazwiska. Nie dozwoliłeś mi wyznać wszystkiego mojemu ojcu i błagać go o przebaczenie z obawy, iż zabić by go to mogło! Skutkiem tego jawnego małżeństwa zawrzeć nam niepodobna. Czytałam jednak że są sposoby w pewnych okolicznościach, mocą których może nastąpić związek ślubny przed ołtarzem, pobłogosławiony przez księdza, mimo iż on nie będzie publikowanym. Sumienie jest wtedy spokojnem. Dziecię uprawnionem zostaje. Czegóż więcej trzeba? Ty mnie rozumiesz, wszak prawda?

— Czytałaś o tem w romansach, moja droga, rzekł Loc-Earn i jeszcze w romansach dawnej epoki. Nielitościwy kodeks pozbawił tego drogocennego źródła kochanków i romansopisarzów! Tajemne małżeństwo jest dziś niemożebnem z tej prostej przyczyny, że tak małżeństwo cywilne, jak legalne, zapowiedzi poprzedzać muszą związek religijny, który bez nich zawartym być nie może.

— A gdy nastąpi owa bolesna chwila, zaczęła Henryka drżącym z lekka głosem, chwila, w której mój ojciec żyć przestanie, nie będę nic wtedy potrzebowała, ukrywać. Stanę się panią mej woli i działań. Przyrzecz mi, iż pomimo, że jestem bogatą, ty zaś ubogim, w dniu tym zostanę twą żoną. Jeśli mnie kochasz, Robercie, nakaż milczenie wrodzonej twej dumie. Czyż moja wina, że jestem bogatą? Niech to nie staje zaporą naszemu szczęściu! Nie odmawiaj, przysięgnij, że mnie zaślubisz.

Loc-Earn zagłębił się w milczeniu. Na jego twarzy znać było, jak gdyby staczanie walki wewnętrznej.

Henryka wyciągnęła ku niemu ręce błagalnie.

— Przysięgam! wyrzekł nareszcie.

— Ach! widzę teraz, ile mnie kochasz! wyszepnęła, opuszczając głowę na poduszki. Dzięki ci, dzięki! O jakże jestem szczęśliwą!

XXIV.

Zaiste nikt większego tryumfu nie odniósł nigdy po nad owego nędznika. Można byłoby sądzić, iż jakiś duch piekielny opiekował się nim, usuwając mu z drogi przeszkody dla łatwiejszego dopięcia szatańsko obmyślanych planów.

Henryka błagała go, aby ją po zgonie ojca zaślubił, a tym sposobem nadał dziecięciu nazwisko, on ulegając niby tej prośbie pochwyci miljony, obok czego odegra, rolę bohatera, człowieka poświęcającego własne przekonania,

rodową swą dumę dla spełnienia obowiązku.

W obec tego o swojej hańbie, upokorzeniu, łzach i boleści, o wszystkiem tem dziewczę zapomniało, żywiąc jedynie uczucie wdzięczności dla uwodziciela.

Reszta rozmowy między obojgiem płynęła spokojnie.

— Jakież imię nadamy biednemu naszemu dziecku? zapytała Henryka.

— Jakie zechcesz; odparł Loc-Earn.

— Nie pomyślałam nad tem jeszcze.

— A więc poszukajmy.

— Znam tylko jedno twe imię, Robert, czy posiadasz i inne?

— W akcie mojego urodzenia zapisano: Robert, Andrzej, Laurenty Loc-Earn.

— Nie lubię imienia Laurenty, lecz Andrzej bardzo mi się podoba.

— A więc, nazwijmy go Andrzejem. Zgoda! nie szukajmy innego. To mówiąc zadumała się, opuściwszy głowę. Smutek zawidniał na jej bladem obliczu. To dziecię, zaczęła po chwili, nie będzie nigdy wiedziało o plamie, jaka ciąży na jego urodzeniu. Wszak prawda Robercie?

— Ma się rozumieć. Zresztą tę plamę, jak ją nazywasz, zgładzi nasze małżeństwo, uprawniając jednocześnie naszego syna.

Na te słowa weszła pani Angot, przynosząc uśpione niemowlę.

— No, teraz, rzekła, kładąc dziecię w kołyskę, nakazuję chorej sen i spoczynek. Pan odejść musisz. Rozłączcie się państwo. Gdybyś zaś pan życzył dłużej tu zabawić, mam

pokój oddzielny do jego rozporządzenia.

Robert spojrzał na zegarek. Wskazywał on piątą godzinę. Przedsięwziąwszy, jak wiemy, należyte środki ostrożności, aby niedowiedziano się w pałacu d'Auberive o jego nocnej wycieczce, mógł się ukazać dopiero przy śniadaniu. Przyjął więc propozycję pani Angot pragnąc spocząć nieco, i odszedł wraz z nią do wskazanego sobie pokoju.

— Ale łaskawy panie, rzekła, stawiając lichtarz na stole, zanim pan zaśniesz, trzeba nam się porozumieć jeszcze w jednej ważnej kwestji, a mianowicie co do zeznania.

— Jakiego zeznania? pytał Loc-Earn.

— Zeznania w kancelarji mera, o przyjściu na świat dziecięcia. Nie mogę zatrzymywać tego w tajemnicy i narażać się na odpowiedzialność. U mnie wszystko w porządku być musi. Nie koniecznie pan jednak potrzebujesz być przy tem obecnym, mówiła dalej. Mam dwóch świadków mieszkających w tym samym cyrkule; zwykle oni mi załatwiają podobną czynność za opłatą sześciu franków. Niemowlę, zaniesie moja służąca Dorota. Chodzi więc o to jedynie, jak pan w zeznaniu napisać pragniesz? Czy dziecię ma być zapisanem na matki nazwisko, lub też: „ojciec i matka nieznani." Stosownie do pańskiego życzenia rzecz będzie załatwioną. Nadmienić jednak muszę, iż w razie gdybyś pan to dziecię za własne uznać zechciał, natenczas musisz osobiście lub przez osobę upoważnioną ku temu, złożyć zeznanie. Prawo pod tym względem jest bardzo surowem.

— Sam pójdę z dzieckiem i ze świadkami, rzekł Robert. Zresztą, namyślę się jeszcze!

— Zatem będziemy w porządku, odparła pani Angot. I wyszła.

Loc-Earn przemyśliwać począł jakby dla niego było korzystniej postąpić w tej sprawie i ostatecznie postanowił uznać dziecko za własne, będąc przekonanym, iż kiedyś w przyszłości potężną dźwignią, w jego dalszych planach ono dlań być może.

Jakoż w merostwie Batignolles zapisano co następuje.

„W dniu 24 Października 1850 roku stawił się przedemną merem, moim sekretarzem, i urzędnikami stanu cywilnego, cyrkułu Batignolles, departamentu Sekwany, Robert, Andrzej, Laurenty hrabia de Loc-Earn, utrzymujący się z własnych funduszów zamieszkały w Paryżu, przy ulicy Ville d'Eveque, oznajmując nam, iż tegoż dnia o północy urodziło się przedstawione nam dziecię płci męzkiej, któremu nadał imiona Andrzej Henryk, zeznając iż rodzicami tegoż dziecięcia są, on, i panna Henryka. d'Auberive. Dziecię to przyszło na świat w mieszkaniu pani Angot, akuszerki przy bulwarze Batignolles. Powyższe zeznanie złożono w obecności dwóch wiarygodnych świadków, zamieszkałych w cyrkule Batignolles. Po odczytaniu i zrozumieniu takowego przez ojca wspomnionego dziecięcia, nas i powyższych świadków

podpisano."

Dwaj owi wiarogodni świadkowie, zamiast po sześć franków, zwykłej zapłaty, dostali całego luidora i odeszli nad wyraz zadowoleni.

Robert, wsiadłszy do fiakra z Dorotą i dzieckiem pojechał na bulwar. Wysiadłszy, spostrzegł Sariola przechadzającego się przed domem Vignota z zapalonem w ustach cygarem, jednem z owych obrzydłych cygar, znanych ulicznikom Paryzkim pod nazwą, „szczurzych ogonów”.

Loc-Earn podszedł ku niemu.

— Przynoszę ci wiadomość „ztamtąd,” mój mistrzu, rzekł Sariol poważnie.

— No... jaką wiadomość? zapytał Robert.

— Wiadomość pierwszej wagi. Nasza uwięziona przebudziła się dopiero dziś nad ranem. Widoczna, iż nieszczędziłeś jej makowego eliksiru. Niezmiernie ciężką była do przebycia ta pierwsza chwila. Chciała nas bić. Wrzeszczała jak opętana. Chciała podpalić ów dom, biegnąć po strażników i komisarza. Dozwoliliśmy płynąc tej fali wyrazów, lecz gdy woda zanadto wzbierać poczęła, tak, iż to mogło stać się niebezpiecznem, pokazałem szanownej damie czerwoną chustkę jedwabną, (śliczny fular, z którego zrobię sobie krawat idąc na balik), i wytłumaczyłem jej grzecznie do jakiego użytku służyć to może, jeżeli ust nie zamknie i krzyczeć nie przestanie. Drobny ów szczegół wystarczył. Nie wymówiła już ani słowa, jęcząc tylko z cicha. Gdym odchodził, poczęła krzyczeć na nowo, lecz jestem pewien, że niezadługo umilkła, i skoro powrócę znajdę ją niewątpliwie grającą w bezika z Limassou, który jest wybornym strażnikiem. Będziesz z nas mistrzu zadowolonym.

— W samej rzeczy. Wszystko tak idzie, jak tego

pragnąłem.

— Cieszy mnie to nieskończenie. Żal mi tylko tej biednej panienki. Dzięki jej zostałem kapitalistą. A wdzięczność, głęboka wdzięczność, leży w mym charakterze. Lecz jakże co do mamki?

— Przyjmę przedstawioną przez ciebie, rzekł Robert, ale przedewszystkiem chciałbym ją widzieć.

— To najłatwiejsza. Daj mi dwadzieścia franków, wsiądę do fiakra, pojadę na wyspę Saint-Denis i przywiozę Rozalię, Rozalia bowiem jej imię.

Robert potrząsnął głową przecząco.

— Nie! odrzekł. Ja muszę widzieć ich mieszkanie, przekonać się czy dziecię będzie miało wygodę i świeże powietrze. Oczekuj na mnie w południe przy rogatce de Clichy, przyjadę tam powozem.

Tu rozstali się oba.

Loc-Earn pojechał na ulicę Ville-l'Eveque, zjadł śniadanie z panem d'Auberive, a następnie pobiegł do wynajmującego powozy przy ulicy Basse-du-Rempart, gdzie kazał zaprządz do lekkiego ekwipaża starą angielską szkapę, z przedniemi w łuk powykrzywianemi nogami, która mimo to robiła jak zapewniano, sześć mil na godzinę.

We trzy kwadranse później oba z Sariolem przybyli na wyspę Saint-Denis. Sariol przyprowadził swojego towarzysza do nizkiego domku, położonego na wybrzeżu, pod ścianami którego suszyły się sieci i więcierze.

Na jego wezwanie wyszedł przed dom rybak wraz z żoną. Rozalia była młodą, dorodną, silną wieśniaczką. Trzymała na ręku dwumiesięczną dziewczynkę, a okrągłe

policzki i żywe rumieńce dziecka świadczyły o pożywności matczynego pokarmu.

Oboje ci małżonkowie mieli tak uczciwe fizjognomie, iż Robert zapytał w myśli sam siebie:

— Zkad ów łotr Sariol znać może tych ludzi?

Rybak ofiarował się pilnować powozu, podczas gdy Loc-Earn wszedł do wnętrza domu i wyjaśnił Rozalji powód przybycia.

Ofiarowane przez Roberta wynagrodzenie stanowiło majątek dla tych biedaków, którzy z ciężkiej pracy zaledwie wyżywić się zdołali.

Po naradzeniu się z mężem, Rozalia oświadczyła iż przyjmuje obowiązek, zgadzając się, gdyby to było koniecznem, na wynajęcie sobie mieszkania w Paryżu, za oddzielną ze strony Roberta dopłatą.

Zatem rzecz ułożona, rzekł Loc-Earn, ubieraj się, i jedź ze mną po dziecko.

Skromny ubiór kobiety nie zabrał jej wiele czasu. Dumna, ze spotykającego ją zaszczytu, siadła na przodzie faetonu obok poważnego Roberta, i stara angielska szkapa ruszyła w stronę Paryża.

Henryka, ujęta pociągającą fizjognomią rybaczki, zgodziła się na oddanie jej dziecka, łzy jednak płynęły z oczu biednej matki, skoro spostrzegła, jak dziecię chciwie przyłożyło usteczka do piersi tej obcej kobiety. Zdawało się nieszczęśliwej, że ta kobieta kradnie najdroższe jej prawa, najtkliwsze przywileje, gorsza wszelako jeszcze nastąpiła scena, gdy Rozalia wyjść miała, unosząc małego Andrzeja. Henryka nie chciała z nim się rozłączyć. Tuliła go do piersi,

okrywała pocałunkami, wśród rzewnego płaczu szepcząc wyrazy, jakie w podobnych chwilach zwykł młodym kobietom podpowiadać ich instynkt macierzyński

— Trzeba przerwać owo wzburzenie, chora może sobie wiele zaszkodzić, szepnęła Robertowi pani Angot.

Rozalia na dany znak przez Loc-Earn’a, uniósłszy niemowlę wyszła z pośpiechem, mimo błagań Henryki.

XXV.

Robert sprowadził Rozalię do fiakra, sprowadzonego przez służącą pani Angot, którym mamka odjechała na wyspę Saint-Denis, zabrawszy małego Andrzeja.

Wracając spostrzegł ze zdumieniem elegancki kabrjolet, uprzężony w rasowego angielskiego konia, stojący przed domem. Zdziwienie jego wzrastało, gdy ujrzał wysiadającego mężczyznę, którego tylokrotnie spotykał, i którego poznał od razu.

— Co u czarta sprowadza tu wicehrabiego de Grandlieu? pytał sam siebie. Ów surowy, poważny, dżentlemen, uchodzący za purytanina, miałżeby być zwykłym obłudnikiem? miałżeby i on mieć jakieś miłosne tajemnice, których rozwiązanie następuje w tym domu? Ależ to niepodobna. Starałby się wówczas lepiej ukrywać. Podobnych spraw nie odsłania się widocznie, bez obawy. Gubię się w myślach co on tu robi?

Armand de Grandlieu, jak wiemy, przybył, ażeby być obecnym przy zgonie Klotyldy de Randal.

— Idź proszę, poszukać mi księdza, mówiła jak wiemy umierająca. Przyprowadź go z sobą. Pozostaw mnie z nim. A gdy odejdzie, wróć do mnie. Myśl o śmierci w osamotnieniu przeraża mnie! Pragnę ażebyś był przy mnie i zamknął mi powieki gdy moja dusza z ciała uleci!

Wicehrabia po blizko godzinę trwającej nieobecności wrócił, zawiadamiając Klotyldę, że ksiądz wkrótce przybędzie, a chwytając się ostatniej nitki nadziei, przyprowadził wraz z sobą jednego z najsławniejszych paryzkich lekarzy, pragnąc by zbadał chorą przed przyjściem sługi bożego.

Doktór spojrzał na słabą owem głęboko badawczem, magicznem prawie spojrzeniem, zdającem się przenikać do najtajniejszych głębin ludzkiego organizmu. Rzucił jej kilka zapytań, któremi ukończył badanie, gdy w progu ksiądz się ukazał.

— I cóż, zapytał pan de Grandlieu, gdy razem wyszli z pokoju.

— Biedna! tak dobrze czuje niebezpieczeństwo, jak gdybym ja sam je widział. Nie ma najmniejszej nadziei uratowania jej, ani nawet przedłużenia życia choćby na godzin kilka. Pozostaje nam jedynie możność wyrachowania z matematyczną ścisłością chwili zgonu, a tem samem i resztek czasu, jaki jej tu wśród nas jeszcze pozostaje.

— Obrachuj więc pan, proszę, rzekł wicehrabia.

— Chora umrze dziś, prawdopodobnie o zachodzie słońca, nie rychlej i nie później, jak sądzę, odparł lekarz poważnie.

— Dzięki za owo smutne objaśnienie. Właśnie potrzebowałem to wiedzieć.

Tu pożegnali się oba.

Armand de Grandlieu wsiadł do powozu, wołając na stangreta:

— Bulwar Inwalidów, do pałacu markiza de Maucombe. Pędź, co koń wyskoczy!

Wicehrabia chciał przywieźć starego markiza do łoża umierającej córki, pragnąc tym sposobem sprawić chwilę niespodziewanej radości chorej i dozwolić jej zejść z tego świata z ojcowskiem błogosławieństwem i przebaczeniem.

Niezastał jednak w pałacu pana de Maucombe, kamerdyner mówił, że wróci za chwilę.

— Przybędę tu za pół godziny, rzekł Armand, powiedz panu markizowi iż proszę ażeby na mnie zaczekał. W nader ważnej i pilnej sprawie potrzebuję widzieć się z nim co prędzej.

Daremne były jego chęci. Wrócił na bulwar Inwalidów, a pan de Maucombe nie ukazał się jeszcze.

Słońce ku zachodowi zbliżać się poczęło.

— Ha! szepnął smutnie, trzeba pochylić czoło przed fatalną nieubłaganą koniecznością. Nie myślmy o tem więcej. Biedna nieszczęśliwa kobieta i tej jedynej pociechy pozbawioną zostanie. Zbłądziła bezwątpienia, lecz wielki Boże, jakaż straszna kara, jak ciężkie zadośćuczynienie!

I pojechał na bulwar Batignolles, gdzie Robert, spostrzegłszy go wysiadającego z powozu, szedł w tyle za nim, by się upewnić gdzie wejdzie wicehrabia.

Pani Angot drzwi otworzyła, poczem wszedł pan de

Grandlieu a w parę minut później Loc-Earn zadzwonił.

— Kto jest ów pan? zapytał, który tu wszedł przed chwilą?

— Ach! odpowiedziała z cicha pani Angot, jest ta znakomita osobistość, pan wicehrabia.

— Mógłżebym prosić panią o objaśnienie, w jakim on celu tu przybył?

— Nie udzieliłabym panu tej wiadomości, bądź pewnym, gdyby obowiązkowa dyskrecja nakazywała mi milczenie, wszak tutaj nie ma tajemnicy. Ów wicehrabia olbrzymio bogaty przyjechał odwiedzić pewną umierającą damę, tę panią hrabinę, której mąż zeszłej nocy odebrał sobie życie w pokoju pod czwartym numerem. Przekonaj się pan, że nasz dom ma wziętość i stosunki ze sferami wyższego świata.

W czasie powyższej rozmowy między temi dwiema osobistościami pan de Grandlieu wszedł do pokoju Klotyldy.

Pani de Randal, przerażająco blada, spoczywała na łóżku z oczyma, w stronę drzwi zwróconemi.

— Ach! to ty, Armandzie, szepnęła, przybywasz nareszcie! O! jakże długo trwała ta twoja nieobecność. Sądziłam, że cię już więcej nie zobaczę. A tak mało chwil do życia mi pozostaje!

Pan de Grandlieu, niechcąc wyjaśniać powodu swego opóźnienia, złożył pocałunek na wychudłej i zimnej ręce Klotyldy.

— Ksiądz odszedł już dawno, mówiła ze smutnym uśmiechem młoda męczennica. Wszystkie moje zgryzoty

sumienia, moje łzy i boleści uniósł wraz z sobą! Moje błędy i winy wszystkie odpuścił i zgładził. Pogodziłam się z Bogiem. Jestem czystą, jak dziecię, z którego woda chrztu zmyła plamę pierworodną. „Niech ci Bóg przebaczy i błogosławi.“ Kapłan mi to powiedział. Mogę więc umrzeć spokojna.

— Dla czego nie żyć? rzekł przytłumionym głosem pan de Grandlieu.

— Usiłujesz wlać we mnie nadzieję, której sam nie posiadasz, Armandzie, wyszepnęła umierająca. Nie mówmy już o tem, lecz pomyślmy o mojem dziecku, o tej nieszczęśliwej sierocie, dla której będziesz ojcem, opiekunem. Zobacz ją Armandzie, dotąd jej jeszcze nie widziałeś, śpi tu obok mnie w kołysce.

Pan de Grandlieu, uchyliwszy delikatnie zasłonę nad kolebką, ucałował niemowlę.

— Zdaje się, że będzie piękną, mówiła dalej umierająca, nie wiem czyli mam się cieszyć z tego? Piękność bywa niejednokrotnie przeklętym dla kobiety darem! Każ ją ochrzcić, proszę. A jakież nadasz jej imię. Jak ją nazwiesz? Armandzie?

— Dam jej twoje imię, wyjąknął łzawym głosem pan de Grandlieu.

— Och! nie, nie! aby nie moje! szepnęła z trwogą pani de Randal. To imię przynosi nieszczęście! Miałam w klasztorze przyjaciółkę, jedną, jedyną, którą gorąco kochałam. Nazywała się Herminja. Tem imieniem nazwij mą córkę. Przyrzecz że to uczynisz?

— Przyrzekam!

— Kochać ją będziesz?

— Z całej duszy!

— Będziesz dla niej dobrym i tkliwym, jestem przekonaną, wiedząc o ile mnie kochałeś. Nie uczuje ciężaru sieroctwa to biedne dziecię. Matki wspominać nie będzie mogła, nie znając jej wcale, lecz ty Armandzie, opowiesz jej o mnie, upewnisz ją, że gdybym żyła, kochałabym ją nad wszystko. Przyprowadzisz ją, by się modliła na moim grobie! Bóg tam, z wysoka pozwoli mi ją widzieć.

Słońce zniżało się coraz bardziej ku zachodowi. W pokoju zalegać począł mrok ciemny. Pan de Grandlieu przypomniał sobie słowa doktora: „Zgon nastąpi mniej więcej o zachodzie słońca!“

Klotylda słabła widocznie z każdą chwilą. Wymawiała z trudnością wyrazy. Szept cichy, wydobywając się z jej piersi zaledwie dochodził pochylonego nad jej łóżkiem Armanda.

Nastąpiło długie głębokie milczenie.

Nagle umierająca podniosła się na łóżku, jak się podnosi na stole anatomicznym trup, zgalwanizowany potęgą stosu Wolty.

— Podaj mi dziecię! zawołała silnym głosem.

Pan de Grandlieu spełnił polecenie. Klotylda pochwyciwszy tę drobną istotę, przytuliła ją namiętnie do swych piersi.

— Armandzie! szepnęła, ty ją uczynisz szczęśliwą, wszakże mi to przyrzekłeś?

Pan de Grandlieu wzniósł rękę nad główką niemowlęcia,

i rzekł z uczuciem pełnem wzniosłości:

— Jeśli jej szczęście odemnie zależeć będzie, uczynię ją szczęśliwą, przysięgam! Gdyby mi przyszło dla niej wyrzec się wszelkich radości tego świata, uczynię to bez wahania. Gdyby mi przyszło cierpieć dla usunięcia od niej cierpienia, lub poświęcić się ażeby ją uchronić przed ofiarą, będę cierpiał, poświęcę się, przysięgam!

— Dziękuję ci! wyszepnęła chrapliwie umierająca. Bóg słucha słów twoich, ja w nie wierzę! Umieram spokojna. Weź to dziecię, dodała zaledwie dosłyszanym głosem. Spiesz się. Weź prędzej!

Pan de Grandlieu pochwycił niemowlę, którego martwiejące ręce matki utrzymać nie były w stanie.

Słońce zaszło, a wraz z jego ostatnim promieniem Klotylda, wydawszy ciężkie, głębokie westchnienie, osunęła się w tył na poduszki, z otwartemi oczyma, twarzą spokojną, uśmiechniętą prawie.

Umarła...

Armand uklęknął przy łóżku, modlił się przez chwil kilka, następnie wstawszy, przymknął zmarłe powieki. Podszedłszy ku drzwiom, zadzwonił.

Pani Angot przybiegła z pośpiechem.

— Hrabina de Randal zakończyła życie, rzekł do niej; ja zajmę się pogrzebem, który pragnę aby się odbył ze wspaniałością, godną stanowiska, jakie zmarła zajmowała. Dwaj księża będą czuwali przy niej tej nocy. Na koszta pogrzebu proszę, chciej pani to przyjąć odemnie.

Tu pan de Grandlieu, podał bilet pięćsetfrankowy olśnionej i osłupiałej taką szczodrością kobiecie.

— Trzeba pomyśleć o dziecku, mówił dalej. Czy mogłabyś mi pani mamkę dostarczyć?

— Najchętniej. Mam nawet jedną u siebie w domu.

— Akt urodzenia został sporządzonym?

— Nie jeszcze. Nie miałam czasu zająć się tem od rana. Zresztą, nie znam nazwiska rodziców dziecięcia.

— Pojadę z panią jutro do mera, zabrawszy potrzebne dokumenty dla sporządzenia aktu, rzekł wicehrabia.

W godzinę później przybyła mamka, dostarczona przez panią Angot, a pan de Grandlieu, zabrawszy ją wraz z niemowlęciem, umieścił w wygodnym apartamencie swego pałacu.

Tak więc, jednej i tej samej nocy, prawie o jednej godzinie, przyszło na świat dwoje dzieci na bulwarze Batignolles, w zakładzie pani Angot, syn Henryki d'Auberive i córka hrabiny de Randal, i oboje tegoż samego dnia ów dom opuściło.

Te dzieci, Andrzej i Herminia, urodzone tak w pobliżu siebie, w jednakowo smutnych okolicznościach, czy się spotkają w dalszych latach życia? Czy zbliży je przeznaczenie, tak dziwnie łączące je z sobą?

Przyszłość to okaże.

XXVI.

Przypominamy sobie, że Robert obiecał udzielić pani Angot nagrodę w ilości tysiąca franków, jeżeli Henryka będzie w stanie opuścić jej dom po upływie dni czterech.

Trzeciego dnia wieczorem pani Angot oznajmiła swemu szczodrobliwemu klientowi, że wspomniona młoda osoba, bez narażenia się na niebezpieczeństwo może odjechać nazajutrz.

— Podróż drogą żelazną nie zaszkodzi jej? pytał Loc-Earn.

— Jest że ta podróż konieczną?

— Tak.

— Zatem, niech jedzie. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność.

W głębi duszy pani Angot nie była może tak zbyt pewną tego, za co poręczała, obawa wszakże utracenia tysiąca franków, znaglała ją do zapewnień.

Celem owej podróży był, jak to łatwo odgadnąć, Orlean, ’Henryka bowiem niemogła wracać do pałacu Ville-l’Eveque, nie będąc wprzód u swej ciotki.

Nazajutrz o godzinie drugiej w południe fiakr, przy którym Bijou pełnił obowiązek woźnicy, zajechał przed dom Vignot’a. Córka pana d’Auberive, mocno osłabiona z twarzą ukrytą pod gęstym koronkowym woalem, wsiadła doń żegnana najtkliwiej przez panią Angot.

Loc-Earn, siadłszy obok niej, zapuścił story powozu, Bijou zaciął konie i fiakr potoczył się, przebywając cały Paryż ku równinie Montrouge.

Trzeba było wypuścić na wolność Urszulę, więzioną od czterech dni. Była to ciężka sprawa zaiste i Robert, nie obawiający się zwykle niczego, myślał o tem z niepokojem. Henrykę również to przerażało. Nieunikniona fatalność wyznania popełnionego błędu, rumienienia się zań w obec

służącej i zakrwawienia serca tej zacnej, kobiety, trwogą ją napełniały.

Głębokie rozmyślania nad obecną sytuacją skróciły obojgu jadącym długość podróży, i zdziwili się, gdy powóz przed owym małym domkiem przystanął.

— Uzbrój się w cierpliwość, droga Henryko, rzekł do niej Loc-Earn, wysiadając. Moja rozmowa z Urszulą potrwa zapewne dość długo. Pojmujesz, że wszystko, to jej należycie wytłumaczyć potrzeba; biedna kobieta ma dość tępą głowę.

— Lecz serce zacne, uczciwe, dodała córka pana d'Auberive.

Robert jak gdyby nie słysząc powyższych wyrazów, wszedł do ogródka, gdzie pospieszył na jego spotkanie Sariol, palący fajkę pod gruszką.

— Kiedyż zostaniemy zwolnieni nareszcie z tej ciężkiej straży? zapytał.

— Za kilka minut. Gdzie jest Limassou?

— Na górze, przy starej; dotrzymuje jej towarzystwa. Opowiada różne rzeczy dla rozerwania jej, mimo że zadąsana, nie chce patrzeć nań wcale. Można ztąd nawet dosłyszeć rozmowę. Nieuwierzysz, mistrzu, jakie to zabawne!

— Idę tam. Wy obaj możecie wracać do Paryża. Nie potrzebuję was obecnie.

— Dam ci jednak przestrogę, rzekł Sariol. Skoro się znajdziesz sam na sam z tą starą kobietą, strzeż swoich oczu, wydrapać ci je gotowa. Straszna scena nastąpi, uprzedzam!

Robert, wzruszywszy ramionami, począł wchodzić na facjatkę, i otworzył drzwi do izby, gdzie znajdowała się Urszula wraz z Limassouem.

Biedna kobieta tak się zmieniła, że Loc-Earn zaledwie ją poznał. Od czterech dni nic nie jadła, mimo że obfity zapas żywności był dla niej dostarczonym. Płakała bezustannie i sypiała, siedząc na krześle, nie chcąc się na łóżko położyć. Oczy jej zapadły, ciągłe łzy wydrążyły bruzdy na jej policzkach, usta jej drżały i ręce.

W chwili otwarcia się drzwi Urszula sądząc, że Sariol wszedł, nie podniosła głowy, dopiero na słowa Limassou'a, „A! panie Robercie, nakoniec przybywasz", zerwała się nagle, a odrzuciwszy w tył poruszeniem ręki zwoje siwych włosów, spadających jej w nieładzie na czoło, stanęła na przeciw przybyłego, groźnie weń spoglądając.

— Odejdź! zawołał na Limassou'a Robert.

Wspólnik Sariola wyszedł z pokoju.

— Ha! toś pan mnie kazał tu zamknąć? pytała Urszula głosem tłumionym przez łkanie.

— Ja, odparł Robert.

— Byłam tego pewną, odgadłam!

— Masz-li powód uskarżania się na ludzi którzy cię pilnowali?

— Nie o mnie tu chodzi! wołała wrząca oburzeniem i gniewem. Gdzie się znajduje panna d'Auberive? Gdzie jest to moje dziecię? Gdzie Henryka?

— Jest na dole. Oczekuje na ciebie.

Stara kobieta z okrzykiem radości rzuciła się ku drzwiom.

Robert zastąpił jej drogę.

— Jesteś już wolną, moja dobra Urszulo, rzekł do niej. Nie wyjdziesz ztąd jednak, dopóki nie pomówimy ze sobą oboje.

— O czem będziemy mówić?

— Wiele ważnych rzeczy. Siądź i posłuchaj.

— Słucham, lecz proszę, mów pan prędko. Panna Henryka na mnie oczekuje, radabym ją ujrzeć co rychlej.

— Nieco cierpliwości, o niej to właśnie chcę ci coś powiedzieć.

— Ha! odgadłam to i omal nie oszalałam z trwogi i zgryzoty. Podejrzywałam w tem jakąś niegodziwość. Nie mogę powtórzyć co podejrzywałam. Błagam powiedz pan, żem się myliła. Upewnij mnie, że jesteś uczciwym człowiekiem!

— Uczciwym jestem, niewątpliwie, odparł Loc-Earn z ironicznym uśmiechem, honor więc będzie ocalonym i błąd zgładzonym zostanie.

— Błąd ! jaki błąd? powtórzyła z obawą.

— Otóż potrzeba nam o wszystkiem powiadomić cię, Urszulo. Panna Henryka nieszczęściem...

Nie dając mu skończyć kobieta z roziskrzonym wzrokiem, zaciśniętemi pięściami poskoczyła jak rozwścieczona lwica.

— Ach! nikczemniku! krzyknęła, wpijając mu w szyję długie kościste swe palce, aby go udusić.

Przerachowała się jednak nieboga ze swoją siłą, osłabioną wiekiem i ścisłym postem czterodniowym. Odepchnięta przez tego łotra, padła na krzesło zalewając się

łzami.

— Chciejże zrozumieć nareszcie, mówił, zbliżając się do niej, że cały ów melodramat jest zbytecznym i do niczego nie doprowadzi. Tracimy czas daremnie. Henryka czeka i niepokoi się. W dwóch słowach rzecz ci przedstawię. Sytuacja jest bardzo prostą. Zostałem ojcem dziecięcia, które dotąd nie ma nazwiska, lecz które uprawnionem zostanie, skoro zaślubię pannę d'Auberive!

— Co? Henryka twoją żoną? krzyknęła, zrywając się nagle, nigdy, nigdy w świecie!

Robert wzruszył ramionami.

— Czyż sądzisz, rzekł, iż nie wiem, o czem ty myślisz, i co postanawiasz w tej chwili? Chcesz mnie oskarżyć przed panem d'Auberive jako ostatniego nędznika, łotra, godnego pogardy, ażeby mnie wypędził z pałacu. Pragniesz zarówno obmalować mnie w najczarniejszych kolorach wobec Henryki aby mnie znienawidziła o tyle, o ile kocha mnie teraz.

— I uczynię to, zawołała Urszula, przysięgam na Boga, uczynię!

— Nie! ty tego nie uczynisz... Nie będziesz miała odwagi uczynić! Skoro twój gniew przeminie, a nadejdzie rozwaga, oszczędzisz stojącemu nad grobem starcowi wyjawienia prawdy, która zabićby go mogła. Nie obciążysz wyrokiem wiecznej hańby wychowanego przez siebie dziewczęcia, tamując jej tym sposobem drogę do zaślubienia mnie i uznania własnego dziecka!

Ze zwykłą sobie zręcznością, Loc-Earn rozwijał dalej swe dowodzenia, aż wreszcie zdołał przekonać biedną

kobietę, iż nie należy jej do wynikłego nieszczęścia dodawać nowych utrapień, któreby obecne położenie tylko pogorszyć mogły, tak, iż pokonana nareszcie, zawołała z westchnieniem, załamując ręce:

— A zatem, milczeć potrzeba!

— Nieodwołalnie, moja dobra Urszulo, odrzekł, uspokój się, proszę. Obmyj twarz zimną wodą, uporządkuj rozrzucone włosy, które ci nadają pozór obłąkanej, i pójdź wraz ze mną do Henryki.

W kilka minut później zeszli oboje do fiakra, gdzie córka pana d'Auberive rzuciła się w objęcia starej swej sługi, okrywając ją pocałunkami.

— Och! moje dziecię, powtórzyła kobieta z niewysłowioną tkliwością tuląc ją do siebie, moje biedne, drogie, ukochane dziecię!

Robert, niechcąc być świadkiem tej sceny, siadł obok woźnicy.

— Dokąd mamy jechać? zapytał Bijou.

— Na stację drogi żelaznej Orleańskiej, odrzekł Loc-Earn.

I Henryka z Urszulą odjechały tym samym pociągiem, którym miały jechać przed pięcioma dniami.

XXVII.

Nazajutrz, około dziewiątej rano, gdy Loc-Earn zasypiał głęboko, snem jakoby człowieka z najczystszem sumieniem, Józef, stary kamerdyner pana d'Auberive,

wszedł do jego sypialni, a zbliżywszy się do łóżka:

— Racz pan wybaczyć, panie hrabio, rzekł z cicha, iż ośmielam się sen mu przerywać.

— Co się stało? zapytał Robert, otwierając oczy. Mam nadzieję, iż nie przynosisz mi złej wiadomości o zdrowiu pana d'Auberive?

— Nie! dzięki niebu, odparł służący. Czuję, że wykraczam przeciw obowiązkom, dodał, lecz niepodobna mi było postąpić inaczej. Jakaś nieznana osobistość pragnie widzieć się z panem hrabią. Odmawiałem, prosiłem by się oddalił, nalega, nie chce odejść, upewniając iż przychodzi w nader ważnym i pilnym interesie.

— Jakże wygląda ów przybywający?

— Jest to dość młody mężczyzna, przyzwoicie ubrany, ale rzecz dziwna, nie miał przy sobie wizytowej karty. Tłómaczył się, że zapomniał wziąć z sobą pugilaresu, w zamian czego nakreślił nazwisko na kawałku papieru.

Loc-Earn, wyczytawszy na podanej sobie kartce trzy wyrazy „Baron de Sariol," zaledwie powściągnął gniew i oburzenie.

— Ach! to pan baron de Sariol, zawołał hamując się siłą woli, przybywa on z prowincji. Znam doskonale jego rodzinę. Dobrze Józefie, żeś mnie obudził. Pragnę się z nim widzieć, przyprowadź go natychmiast.

Kamerdyner zaraz wyszedł, a ów nikczemnik ubierał się spiesznie, z zasępionem czołem, nachmurzonem spojrzeniem, oczekując na przybyłego.

Za chwilę ukazał się on w progu, wprowadzony przez starego sługę.

— Jak sie masz, kochany hrabio! wołał z daleka zdejmując kapelusz, przybywam złożyć ci moją cześć i uszanowanie.

Sariol był w dobrym humorze, pewien iż olśni wszystkich nowem ubraniem, które nabył w przeddzień dnia tego w Palais-Royal.

Robert przedewszystkiem wyjrzał, czy Józef już odszedł, a następnie zamknąwszy drzwi na klucz, stanął przed Sariolem, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma mierząc go spojrzeniem od stóp do głowy. Nie zmięszało to wcale tego hultaja.

— Tam do pioruna! pan hrabia mieszka wspaniale! wołał, spoglądając po pokoju. Jakiż tu szyk, ile pieniędzy w tych drobiazgach. Zdaje się, jak gdyby się było w Muzeum. Dobrze się ulokowałeś, mój stary, lecz zaproś-że mnie siedzieć, podaj mi krzesło.

Robert użył ostatnich wysiłków, aby pokonać wrzący gniew w sobie, którego wybuch mógłby się stać dlań niebezpiecznym.

— Co? zawołał przytłumionym głosem, zapominasz się, jesteś szalonym!

— Pomiędzy nami wszystko uchodzi, mój bracie! odparł poufale Sariol.

— Chcesz więc skompromitować mnie, zgubić?

— Ja? hal ha! to śmieszne, zaśmiał się łotr, rozkładając się na krześle. Ja, który nie cofnąłem się przed żadną dla ciebie ofiarą, miałbym cię zgubić? Patrz, jakem się ustroił na tę wizytę. Krawiec upewnił, iż w najbardziej arystokratycznych sferach nie ubierają się lepiej. Zobaczno

chustkę od nosa, jak wyperfumowana, nie licząc, że obok tego wszystkiego nadałem sobie tytuł „barona“ co szczęściem nic mnie nie kosztuje.

— W jakim celu tu przyszedłeś? zapytał Loc-Earn, zaledwie wstrzymując swą wściekłość.

— W jakim celu? Ha! ha! Zapominasz więc że mamy wspólne interesu, nader ważne sprawy?

— Pamiętam o wszystkiem, nic nie zapominam.

— Chodzi tu teraz, mówił dalej Sariol, o uregulowanie naszego małego rachunku. Licząc na odebranie pieniędzy, kupiłem już sobie pierścionek złoty z rubinem.

— Nie mogłeś mi gdzie indziej schadzki oznaczyć?

— W jaki sposób? ciekawym.

— Trzeba było do mnie napisać.

— Wiesz dobrze, iż nieco szwankuję na punkcie ortografii; mogłoby mnie to skompromitować. A skoro się posiada piętnaście tysięcy liwrów renty, bo liczę, jak gdybym je miał w kieszeni, mało się troskamy natenczas, czyli nasza wizyta sprawi nieco irytacji dobremu naszemu przyjacielowi, Robertowi Saulnier.

— Milcz! krzyknął Loc-Earn, przyskakując z zaciśniętemi pięściami.

— Mogę zamilknąć, mówię jednak otwarcie, iż zadowolony nie jestem. Przyjmujesz mnie, jak patrol, skoro pochwyci złodzieja. Nie ofiarujesz mi ani kieliszka wina. Napraw tę pomyłkę. Wytrawne, czy słodkie każesz podać, wszystko mi jedno.

Loc-Earn pogardliwie potrząsnął głową.

— Nie mam co dać ci, odrzekł.

— Jakto, ani kropli szampana, ani żadnej przekąski? Ha! ha! a to mi piękny pan hrabia! Zadzwoń i rozkaż staremu, ażeby przyniósł parę butelek. Wszak to rzecz łatwa. Masz służbę na rozkazy. Piwnica zapewne dobrze zaopatrzona być musi...

— Wyobrażasz więc sobie, że u ludzi wielkiego świata piją co chwila likiery? Nie, ja nie wydam poniżającego mnie tyle rozkazu!

— Ha! skoro tak, mniejsza o to. W każdym razie nie jesteś dla gości uprzejmym. Smuci mnie to wielce, Odbiera mi to złudzenie co do ciebie. Ja, który cię uważałem jak brata, ja, od którego wymówienia jednego wyrazu zależy cała twa egzystencja. Ty wiesz i znasz to dobrze, mój drogi. Otóż przestrzegam cię, nie należy ze mną zadzierać, nie trzeba mnie drażnić, pamiętaj, nie trzeba ! Ostatnie słowa Sariol wymówił gniewnym, groźnym tonem.

Loc-Earn, rzucił nań baczne wejrzenie. Zostawać więc w zależności od tego człowieka, trzeba go było zjednywać dla siebie, konieczność tego-wymagała, obok czego potrzeba było pozbyć się go jak najprędzej.

— Ha! zaczął Robert po chwili, może ty masz i słuszność, źle postąpiłem. Nie przyjąłem cię tak, jak należało. Zmięszało mnie twoje niespodziewane przybycie. Ach! gdybyś znał ów świat, pośród którego ja żyję, gdybyś znał wszystkie jego dziwactwa i słabostki pojąłbyś, że i służących należy się tak dobrze wystrzegać jak panów, aby nie wzbudzić w nich podejrzenia. Kiedyś, ja ci to zwolna wszystko wytłómaczę. A teraz, podaj mi rękę, mój dobry towarzyszu i nie miej do mnie urazy.

— Do czarta! nie gniewam się wcale, rzekł Sariol, ściskając dłoń, sobie podaną. Nie zwykłem chować urazy. Wracam ci cały szacunek, lecz przedewszystkiem, sporządźmy ów akt i podpiszmy go. Zajmie to najwyżej pięć minut czasu. Przyniosłem z sobą papier stemplowy, bierz pióro i kończmy.

— Jutro to załatwimy.

— Dla czego nie teraz?

— Ponieważ, chcąc wynagrodzić me niegościnne dzisiejsze przyjęcie, zapraszam cię jutro na obiad.

— Ach! jakaż myśl genialna! zawołał z uniesieniem Sariol.

— Będzie uczta wspaniała, mówił dalej Robert, a na deser pomiędzy owocami, każę podać co tylko sam zechcesz.

— Brawo! wracam ci moje braterskie przywiązanie. Rozporządzaj mną jak ci się tylko podoba! A gdzież obiadować będziemy?

— Na Polach Elizejskich, w dobrze mi znanym zakładzie, gdzie z pewnością będziesz się stołował, zostawszy panem piętnastu tysięcy liwrów renty. A piwnica! ach! gdybyś wiedział, Sariolu, jak tam zaopatrzona piwnica!

— Gdzież się spotkamy?

— Czekaj na mnie o szóstej pod arkadami przy ulicy Rivoli, w pobliżu Ministerjum finansów. Zabiorę cię do powozu.

— Ułożone więc?

— Do jutra.

— Do jutra, przyjacielu Robercie.

— Zadzwonię aby cię wyprowadzono. Przybierz że pańską minę, Sariolu, a nie rozmawiaj na schodach z kamerdynerem.

— Bądź spokojny. Potrafię przyzwoicie się znaleźć.

Loc-Earn zadzwonił. W progu ukazał się Józef.

Dwaj godni siebie towarzysze uścisnęli sobie ręce nawzajem, mówiąc:

— Żegnam cię, hrabio.

— Do widzenia, baronie! Poczem Sariol z napuszoną, miną wyszedł z pokoju.

Loc-Earn, którego ponure wejrzenie błyszczało jakiemś dzikiem zadowoleniem, zbliżył się do okna, ażeby widzieć wychodzącego z pałacu swego niebezpiecznego wspólnika.

— Ha! dobrześ uczynił żeś przyszedł dziś do mnie Sariolu! wymruknął przez zaciśnięte zęby. Na wielkie zło, potrzeba dobrego lekarstwa! Jutro nie będę się już ciebie obawiał

* *
*

Niektórym z naszych czytelników znanym jest może przyjemny widok kilkusetmetrowej przestrzeni, stanowiącej w 1850 roku część Pól Elizejskich, po lewej, w pobliżu Łuku tryumfalnego i Hippodromu, który w lat szesnaście później został przez pożar zniszczonym. Piękne budynki, wznoszące się tamże obecnie, nie istniały wtedy. Na zajętych przez nie dziś placach rozkładały się zielone

trawniki, obsadzone kasztanami, ocieniając grunt, nazwany „Wzgórzem na świeżem powietrzu.“

Był tam jak gdyby obóz jarmarczny, pełen bezustannej wesołości. Kilkadziesiąt karczem i szynków stało tu obok siebie. Huśtawki i karuzele, kręciły się i wirowały bez przerwy; obok czego była i sala tańca, z desek zbudowana. W pobliżu niej wznosił się namiot kuglarza, nazwanego markizem d’Argent-Court, bezwątpienia z przyczyny jego sukni czerwonej, szychem haftowanej, jego żółtych spodni i pończoch jedwabnych.

Woń smażonej tłustości i potrawki z królików, ulatniała się przez liście drzew, a dźwięki waltorni i klarynetów, sprowadzały z dala ciekawych na „Wzgórze.“

Czworograniasty pawilon, w kształcie szwajcarskiego szaletu, wznosił się na szczycie pagórka, panując po nad szynkami i karczmami, leżącemi poniżej. Była to wielce znana podówczas restauracja pod „Koszem kwiatów.“

Pomimo sąsiedztwa owych drewnianych baraków, odwiedzanych przez publikę z klas niższych, a może nawet skutkiem tego, restauracja pod „Koszem kwiatów“ posiadała liczną, wyborową klientelę. Znajdujące się tu oddzielne gabinety, ściągały wielbicieli owych córek Ewy zwanych podówczas „loretkami“ a następnie „kokotami.“

Piwnica tutejsza cieszyła się zasłużonym rozgłosem. Kuchnia była dobrą. Raki przyrządzano tu wyśmienicie. Prócz tego, podawano na małych półmiskach pewne ekscentryczne, a bardzo natenczas w modzie będące potrawy z różnych wodnych mięczaków wytwarzane, które młode kobietki z razu ze wstrętem dotykały swemi

drobnemi ząbkami, a następnie, zasmakowawszy w nich, chciwie pochłaniały, między innemi ślimaki burgundzkie, masłem oblewane.

Przysmaki te, spotykane dziś we wszystkich pierwszorzędnych restauracjach, były w roku 1850 jedyną specjalnością właściciela zakładu pod „Koszem kwiatów,“ gdzie Robert przyprowadził na obiad Sariola.

Przyjechali obadwaj o siódmej godzinie. Noc już od dawna zapadła, lecz „Wzgórze,“ oświetlone mnóstwem różnokolorowych latarń, przedstawiało widok, bardziej ponętny, niż wśród dnia białego. Orkiestra w sali balowej grała kadryle i djabelsko szybkie galopady;: tętniły w ruch puszczone karuzele; muzykanci markiza d’Argent-Court dęli w klarynety, trąbki i całą siłą, uderzali w cymbały i waltornie.

Cały ów ogłuszający hałas i wszystkie te światła, nie miały zniknąć aż przed północą.

Robert wraz z towarzyszem wszedł na pierwsze piętro restauracji, poczem umieścili się w gabinecie, z którego okno wychodziło na cyrk kuglarza.

— Na honor! zawołał Sariol, wesoło tu i gwarno jak na jarmarku. Podoba mi się to miejsce! Miałeś słuszność, panie hrabio, żeś je dla nas obrał. Będę tu częstym gościem, skoro zostanę kapitalistą.

— Pozwolisz mi obiad zadysponować? pytał Loc-Earn.

— Dysponuj, masz wszelkie prawo do tego, ponieważ ty płacisz, zresztą ja nie znam się na tem, objadłbym się wędliną i kotletami. Proszę więc, każ podać potrawy, jakich dotąd jeszcze nie jadłem, a nadewszystko wyborowe wina.

— Będziesz zadowolonym. Ale czy lubisz trufle?

— Nie wiem jak one wyglądają, bo w garkuchniach, w jakich zwykle obiad jadałem, nigdy się z nimi nie spotykałem. Możesz je kazać podać między innemi, gdyż skoro kto posiada piętnaście tysięcy franków renty, z truflami poznać się winien.

Robert, wypisawszy na ćwiartce papieru potrawy, czytał głośno:

„Ostrygi z Marennes, zupa rakowa; ryba a la Joinville; mleczka cielęce z sosem i truflami; karczochy; polędwica à la provenęçale; pularda pieczona; sałata z jarzyn; poncz rzymski; mięszane desery; kawa i likiery “.

— No, jakże ci się podoba mój wybór? zapytał.

Sariol zacierał ręce uradowany.

— Znakomity! zawołał. Niech mnie czarci porwą, jeżelim kiedy słyszał o podobnych potrawach! Ale, powiedz mi, czy to sprawia pragnienie?

— Niesłychane!

— Otóż czego potrzeba. Pomyśl o trunkach mój drogi. Wino, likiery, rzecz główna.

Loc-Earn, wziąwszy ołówek dopisywał powtarzając:

„Wino reńskie, do ostryg; wino de Tavel do zupy; białe Côte-Rote; czerwone Hermitage; hiszpańskie Xeres; oraz Saint-Peray z winnic węgierskich.“

— Sześć gatunków! zawołał Sariol, licząc na palcach. Ale nie widzę pomiędzy niemi szampana? Miałżebyś o szampanie zapomnieć? Ach to błąd nie do wybaczenia!

— Zastąpiłem je Saint-Peray’em, które jest równie musującсm a bardziej wonnem winem.

— No! jeśli musującem, to dobrze. Siadajmy.

Robert zadzwonł! na posługującego i oddał mu wypisaną kartę.

— Młodzieńcze! zawołał Sariol z powagą, przyniesiesz nam kałamarz, pióro i wszystko czego potrzeba do pisania, mamy coś tutaj zanotować. Widzisz, żem nie utracił bussoli, rzeki śmiejąc się do Roberta, gdy chłopiec zniknął za drzwiami. Dobre rachunki tworzą dobrych przyjaciół. Ja dziwną mam słabość do tego kawałka papieru. Jest to może dziwactwem z mej strony, ale co robić?

— Rzecz przyrzeczona, rzecz święta! odparł Loc-Earn; przy deserze kwit ci napiszę i wierzaj, iż najgorętszem mojem pragnieniem jest, abyś co rychlej odebrał swoje trzysta tysięcy franków.

— Wierzę, ponieważ w tymże samym dniu, ty schwycisz dziesięć razy tyle. Jesteś nad wyraz przezornym, kochany hrabio! Posługujący przyniósł ostrygi wraz z dwiema butelkami Marcobrunner, z których Sariol wypił trzy części prawie. Po pierwszych łyżkach zupy rakowej,skrzywił się, smakując.

— Ależ do pioruna, nie szczędzili pieprzu, zawołał, pali w gardle, jak ogniem! Nic to jednak nie szkodzi, będzie czem ugasić ów pożar, pomnożywszy liczbę butelek.

Półmiski wnoszono jedne po drugich wraz z omrożonemi flaszkami, w których gorące słońce południa złociło sok winny.

Robert, pijąc sam nader umiarkowanie, napełniał wciąż szklanki winem towarzyszowi. Sariol wchłaniał je w siebie jak gąbka, a mimo to, skutek działania na mózg napoju

dostrzedz się nie dawał, zwolna jednakże słabe oznaki pijaństwa okazywać się poczęły Z ciężkością wymawiał wyrazy, z drżącej ręki upuścił i stłukł dwie szklanki, mimo to umysł jego trzymał się jeszcze w równowadze i chociaż z trudnością wygłaszał zdania, wiedział dobrze wszelako, co mówił.

— Ależ to nie jest człowiek lecz beczka bezdenna, pomyślał Loc-Earn. Szczęściem Saint-Peray, dokończy dzieła nareszcie.

Dwie butelki napoju bursztynowej barwy, należące do najwyższej marki szampana, wniesiono zanurzone w lodzie.

— Pokosztujmy, wybełkotał Sariol, podając kieliszek. Gorąco mi, a to zimne sprawi mi chłód przyjemny. Nalej, mój przyjacielu, nalej mój bracie!

Robert napełnił kieliszek, Sariol wypił. Twarz jego rozjaśniła się.

— A! jakie to dobre, zawołał. Nalej mi jeszcze, lej bez przestanku. Nie masz pojęcia, jak mnie udręcza pragnienie!

Trzy kieliszki wypróżnił jedne po drugich.

— Otóż pijany nareszcie, pomyślał Robert.

Był nim w rzeczy samej, lecz bardzo nie wiele, czego dowodem iż odpiąwszy guziki swego granatowego tużurka wyjął z kieszeni arkusz stemplowego papieru i położył go przed sobą.

— No, chwila nadeszła, piszmy, zawołał.

— Bardzo chętnie, odparł Loc-Earn, zaraz i deser przyniosą. Za twoje zdrowie, baronie.

— Za twoje, hrabio.

Wniesiono desery, a przy nich dwie nowe butelki,

zamrożonego Saint-Peray’a.

Sariol widocznie upojony winem, położył się na kobiercu, wyśpiewując jakąś gminną piosenkę przy poruszaniu w takt głową.

— Przynieś nam czarną kawę, likiery, owoce i cygara, a obok tego podaj rachunek, rzekł do posługującego Loc-Earn.

— Ale obecnie ja niewiem, ile panowie wypalą cygar i ile wypotrzebują likierów, odparł służący.

— Licz dziesięć małych kieliszków i cztery cygara.

— Dobrze, panie.

Tu wyszedł zdumiony poszeptując:

— A to kamienne głowy! W ich miejscu leżałbym już dawno pod stołem. Jeszcze wypiją dziesięć kieliszków, do czarta!

— Piszmy, wybąknął Sariol, po wyjściu chłopca, przerwawszy swoją piosenkę. Piszmy, na tym przyniesionym przezemnie papierze.

— Za chwilę, odparł Robert. Służący powróci, zapłacę mu, odejdzie i nie będzie nam już przeszkadzał.

— Nie będzie przeszkadzał? powtórzył Sariol z głupowatym uśmiechem. Nie będzie przeszkadzał, he! he!a no to dobrze.

I, rozciągnąwszy się na dywanie, podłożył ręce pod głowę, oczyma drzemiąc z pozoru, mimo że szeroko otwartemi wpatrywał się w zwierciadło, umieszczone na ścianie po za swym towarzyszem.

Służący wszedł z rachunkiem. Cyfra za pomienioną libację dosięgała stu osiemdziesięciu franków. Robert dał

dziesięć luidorów.

— Resztę zachowaj dla siebie, rzekł do kelnera.

Chłopiec ukłonił się i wyszedł.

— Piszmy, powtórzył Sariol uparcie. Redagujmy i podpisuj.

— Nie uczuwasz już pragnienia? pytał Loc-Earn;. dobywając chyłkiem z kieszeni mikroskopijną flaszeczkę.

— Ba! wciąż mnie pali, jak ogniem! pić mi się chce bezustannie. Lecz przedewszystkiem napisać kwit trzeba.

— Niech i tak będzie. Wypij kieliszek rumu, a ja biorę za pióro.

— Dobrze, podaj mi rum i bierz pióro w rękę.

Robert spojrzał na Sariola, którego wzrok coraz bardziej zamglony, zdawał się błąkać gdzieś w dalekiej próżni, a napełniwszy rumem w trzech częściach wielki kieliszek, wsączył weń ze zręcznością doświadczonego sztukmistrza kilka kropel płynu z wydobytej z kieszeni maleńkiej flaszeczki.

XXVIII.

— A więc baronie, zapytał, śmiejąc się sekretarz pana d’Auberive, pisać będziemy nareszcie.

— Tak, tak, powtórzył Sariol tymże samym zająkliwym głosem, wyciągając rękę dla pochwycenia kieliszka, podanego przez towarzysza.

Robert nalał sobie rumu zarówno.

— Za twoje zdrowie, rzekł, mój dzielny kolego.

— Za twoje, mój przyjacielu!

Loc-Earn był bezwątpienia. najnikczemniejszym z łotrów, jacy istnieją na świecie, do owej chwili jednakże nie zabił jeszcze nikogo! Brakło mu do tego odwagi, nie do wykonania morderstwa, lecz do patrzenia na jego spełnienie. Nerwy miał w tym razie mniej silne, niż wolę. Odwrócił głowę pomimowolnie, podczas gdy ów człowiek, któremu przed chwilą ściskał rękę, przybliżył do ust ów napój zatruty.

Po kilku sekundach Sariol wydał okrzyk głuchy, a raczej rodzaj jęczenia, połączonego z chrapaniem, oczy jego nadmiernie się rozszerzyły, szklanka wypadłszy z drżącej ręki rozbiła się na szczątki. Upadł całym ciężarem na kobierzec i leżał bez ruchu ze wzniesioną piersią, z której dobywał się oddech chrapliwy, ciężki, świszczący.

Robert, podszedłszy, pochylił się nad nim.

— Zbyt wiele wiedziałeś, przyjacielu, wyszepnął z cicha, a wyprostowawszy się dodał: Obecnie cała sprawa potrwa najdłużej pół godziny. Mogę odjechać spokojny. Nie odzyska on już przytomności. Nie mam się czego obawiać. Nikt mnie tu nie zna, gdyby więc śmierć nastąpiła, któżby poważył się obwinić hrabiego Loc-Earn’a o podobną zbrodnię?

Wziąwszy kapelusz zwrócił się ku drzwiom, ale zatrzymał się przy nich.

— Zbrodnię? powtórzył z dziwnym uśmiechem; nie, nie będzie tu zbrodni. Zatrę jej ślady.

I szybko pochwyciwszy opróżnione butelki zanurzone w przyrządzie do chłodzenia napełnionym lodem, zaniósł to

wszystko na kobierzec i położył pod głowę nieszczęśliwego. Uczynił to z niesłychaną przezornością, ażeby to ciało bezwładne przedstawiało wyraźne skutki śmierci z pijaństwa.

— Doskonale! wyszepnął, spoglądając zdala na ułożony przez siebie obraz. Pierwszy z lekarzy, jaki tu wezwanym zostanie, stwierdzi, iż śmierć nastąpiła skutkiem opicia, a obok tego ze zbyt długiego spoczywania czaszki na lodzie, mój pomysł jest arcydziełem! Rozniosą o nim wiadomość wszystkie jutrzejsze wieczorne dzienniki!

Wyraziwszy w tych słowach swoje zadowolenie, schował trzy cygara do kieszeni, czwarte zapalił, spojrzał na zegarek, wskazujący dziewiątą godzinę i wyszedł z gabinetu. W korytarzu spotkał posługującego, którego przy obrachunku obdarzył luidorem.

— O której godzinie zamykacie waszą restaurację? zapytał.

— Różnie zdarza się, panie. Jeśli wszyscy goście się rozejdą, zamykamy około jedenastej, dziś jednak przybywali bardzo późno, będzie otwarte u nas jeszcze po północy.

— Pytam się o to dlatego, rzekł Robert, iż mój towarzysz nieco podchmielił sobie.

— Rzecz zwykła, odparł śmiejąc się kelner. Może trzeba przynieść filiżankę herbaty temu panu?

— Nie, niepotrzeba, odparł Loc-Earn. Nie jest on chorym bynajmniej. Zasnął sobie tylko, zostawcie go, proszę w spokoju.

— Niech pan zaufać mi raczy; nie wejdę wcale do

gabinetu.

— Co do mnie, mówił Loc-Earn, mam pilny interes do załatwienia. Wrócę tu prawdopodobnie za godzinę. Gdybym zaś nie powrócił, sprowadźcie fiakra dla mego przyjaciela i obudźcie go w chwili, gdy zakład zamykać będziecie.

— Dobrze. Uczynię według rozkazu.

Robert wyszedłszy z restauracji, zagłębił się w kasztanową aleję otaczającą „Wzgórze," na szczycie którego brzmiała muzyka i świeciły różnokolorowe latarnie. Szedł w stronę Pól Elizejskich.

— Jak to łatwo zabić kogoś, mówił sam do siebie. Mówią o wyrzutach sumienia. Ja żadnych nie czuję. Sariol zagradzał mi drogę. Usunąłem przeszkodę. Wypadało mi tak uczynić.

Przez cały następny dzień ów łotr nie wyszedł z pałacu przy ulicy Ville-l'Eveque, a dzień ten zdawał mu się być długim nieskończenie. Myślał wciąż co orzeczono o znalezionym trupie w miejsce pijanego człowieka? Czy ciało zaniesiono do Morgi? Czy Sariol został poznanym przez którego z owych ludzi, między którymi przebywał? I z gorączkowym niepokojem oczekiwał ukazania się wieczornych dzienników.

Jakież było jego zdumienie, gdy rozłożywszy je spostrzegł, że żaden nie wspomina zupełnie o jakimbądźkolwiek wypadku, zaszłym pod „Koszem kwiatów".

— Ach! jak ci wydawcy bywają źle powiadamiani, wyszepnął, a jednak nie zwykła to sprawa... Jutro napiszą o

tem bezwątpienia.

Pan d'Auberive zauważył tego wieczora, iż jego kochany hrabia-sekretarz, czytał gazety mniej dobrze, niż zwykle i bardziej zastanawiał się nad długiemi politycznemi artykułami, z pominięciem dziennych wiadomości. Spostrzegłszy to, zwrócił uwagę Roberta, który usprawiedliwiał się silnym bólem głowy.

Wróciwszy do swego mieszkania, wcześnie udał się na spoczynek, źle jednak spał tej nocy. Straszne widzenia prześladowały go ciągle. Budził się co chwila i zrywał, widząc Sariola stojącego przy łóżku, to z twarzą obrzękłą od pijaństwa, to znów z obliczem zmienionem od działania trucizny, to śmiejącego się wstrząsającym i szyderczym śmiechem i wygrażającego mu zemstą.

Nad ranem przywidzenia ustąpiły i zasnął snem twardym.

Hałas przyspieszonych kroków nagle go przebudził. Józef, stary kamerdyner wbiegł przestraszony do pokoju.

— Panie hrabio, wołał, ach, panie hrabio!...

Nie mógł więcej mówić, zakrył twarz rękoma. Robert osłupiały ujrzał nagle zjawiające się po za Józefem straszne wcielenie prawa w osobie komisarza policji z przepasaną szarfą w towarzystwie dwóch agentów.

Komisarz zbliżył się do łóżka:

— Jesteś, rzekł, czyli raczej pragniesz uchodzić za hrabiego Loc-Earn!

— Jestem rzeczywiście hrabią Loc-Earn, odparł Robert, mogę to stwierdzić dowodami.

— Zostałeś skazanym w dniu trzecim grudnia 1847 roku,

na trzy lata więzienia pod nazwiskiem Roberta Saulnier.

— To fałsz, wykrzyknął łotr, bledniejąc. Fałsz, jakaś straszna pomyłka. Jestem ofiarą błędu, potrzebującego wyjaśnienia.

— Będziesz się tłumaczył przed sędzią śledczym, któremu powierzono twą sprawę, mówił komisarz. Robercie Saulnier, aresztuję cię w imieniu prawa!

— Lecz panie, jam nie winien.

— Tem lepiej dla ciebie!

— Pozwól mi przynajmniej uniknąć hańby aresztowania w tym tak powszechnie szanowanym domu. Dozwól mi stawić się samemu przed sądem.

— To niepodobna, nie mogę tego uczynić.

— Stawię się, poręczam słowem honoru.

Komisarz uśmiechnął się dwuznacznie.

Jestem zgubiony! pomyślał Robert. Lecz kto mógł, mnie zdradzić, wszak Sariol umarł.

Machinalnie, jak człowiek rażony piorunem, zbierał się powoli, mimo to miał tyle przytomności że schował do kieszeni pugilares zawierający kilkanaście sztuk biletów bankowych, oszczędzonych ze swojej pensji sekretarza.

— Jestem gotów, rzekł, mogę jechać z panem, protestuję jednak najmocniej przeciw podobnemu nadużyciu; jakże to jest kompromitującem dla uczciwego człowieka; a zwróciwszy się do starego sługi: Do widzenia mój dobry Józefie. Nic nie mów panu d’Auberive o tym tyle opłakanym wypadku, wszystko się wyjaśni i wrócę tu za kilka godzin.

— Oby Bóg spełnił słowa pana hrabiego, rzekł

kamerdyner.

Przed bramą pałacu, na ulicy oczekiwał fiakr, w który komisarz kazał wsiąść więźniowi. Z drugiej strony przy chodniku stał drugi powóz ze spuszczonemi storami. Jedno z tych okien podniosło się w chwili, gdy Loc-Earn wychodził z pałacu, a w niem ukazało się cyniczne, szyderczo tryumfujące oblicze Sariola. Trwało to ledwie sekundę i szyba powozu zapadła.

— Do więzienia Conciergerie! zawołał jeden z agentów na woźnicę.

Powóz ruszył z miejsca.

W ośm dni później, Robert zasiadł powtórnie na Jawie oskarżonych w „Szóstej Izbie“. Utrzymywał zawzięcie że pomiędzy nim a Robertem Saulnier żadna łączność nie istnieje. Dziesięciu świadków dowiodło inaczej.

Pierwszy wyrok skazujący go na trzy lata więzienia został uprawomocnionym i hrabia Loc-Earn stał się smutnym gościem domu poprawy w Poissy.

* *
*

Pewnego wieczoru w trzy lata później, dość młody jeszcze mężczyzna, z twarzą przysłoniętą niebieskiemi okularami, z wysoko zawiązaną chustką na szyi, zadzwonił nieśmiało do bramy pałacu d’Auberive.

O ile można było dostrzedz przy bladem świetle gazu dochodzącego z ulicy, obszerny pałacowy dziedziniec ponury przedstawiał widok. Trawa wyrastała między

kamieniami, żadne światło nie błyszczało w oknach wielkiego budynku.

— Czy pan d’Auberive żyje jeszcze? zapytał przybyły cichym głosem odźwiernego.

— Od lat trzech nasz pan spoczywa już w grobie, tknięty paraliżem mózgu; była odpowiedź.

— A jego córka?

— Młoda pani zamieszkała w klasztorze.

— W klasztorze w Paryżu, czy na prowincji?

— Co pana obchodzić to może?

— Mam ważne zlecenie do udzielenia pannie d’Auberive.

— Od kogo?

— Od jednego z przyjaciół jej rodziny.

— Powiedz pan temu przyjacielowi że panna d’Auberive dobrowolnie odłączyła się od świata, nie utrzymuje z nikim żadnych stosunków, chociażby interesa najważniejszemi być miały. Rozkazano mi to oznajmić każdemu.

— Jednakże...

— Dobranoc, przerwał odźwierny zamykając okienko.

Loc-Earn, gdyż zapewne poznali go czytelnicy, odszedł ze spuszczoną głową.

— Pomimo wszystkiego, muszę ją odnaleźć, wyszepnął, mam ją w swym ręku z przyczyny dziecka! Nie zawaham się przed niczem.

Nazajutrz rano udał się na wyspę Saint-Denis.

Nie zastał tam rybaka i jego żony, a na zapytanie

odpowiedziano mu że odziedziczywszy jakiś spadek, oboje wraz z dziećmi wyjechali nie wiadomo w którą stronę.

Z osnutej tak pracowicie intrygi, pozostał mu jedynie akt urodzenia dziecka, wniesiony do ksiąg stanu, cywilnego.

Koniec tomu pierwszego.

Pająk Paryzki.

I.

Pracownia Jerzego Tréjan znajdowała się w pięknym murowanym domu przy ulicy de Laval. Do owej pracowni, średniej wielkości, napływało z północy owo przezroczyste zimne światło, tyle poszukiwane przez artystów malarzy.

Dwa małe przyległe pokoje, tworząc: jeden jadalnię, drugi sypialnię stanowiły wraz z maleńką po za niemi kuchenką, cały apartament artysty. Sypialnia, do której wprowadzamy czytelnika w pewien poranek styczniowy 1872 roku, miała pozór zwykłego gabinetu.

Łóżko żelazne, szafka oszklona, mały dębowy stolik rzeźbiony i parę krzeseł, stanowiły umeblowanie. Tak sufit, jak i ściany pokryte były hiszpańską materją w szerokie pasy o żywych barwach jaskrawych, równie jak firanki nad łóżkiem i przy oknie.

W chwili, gdy przestępujemy próg tego pokoju,

zapuszczona szczelnie nad łóżkiem kotara tworzy głęboką ciemność w około uśpionego właściciela mieszkania. Za chwilę przebudził się. Poruszył się z lekka, otworzył oczy, ziewnął kilka razy, podniósł się na poduszkach i zawołał:

— Walenty!

— Co pan rozkaże? odrzekł głos męski.

— Pójdź do mnie.

— Jestem, panie.

Jednocześnie młody, wysoki chłopiec wszedł zwolna. Ubrany był w biały krawat, jasną kamizelkę, bronzowe pantalony. Długi płócienny fartuch zachodził mu pod szyję, a pod lewem ramieniem trzymał trzepaczkę z piór.

— Która godzina? pytał Jerzy Tréjan.

— Dziesiąta, panie, tylko co uderzyła.

— Dziesiąta rano, czy dziesiąta wieczorem?

— Rano, odrzekł ze śmiechem Walenty. Pan nigdy by nie spał tak długo.

— Napaliłeś w piecu?

— Już, panie i zamknąłem go. Huczy, jak gdyby w maszynie. Bez napalenia, trudnoby było tu wytrzymać. Niech pan patrzy jaki mam nos czerwony. Drżałem z zimna, czytając pańskie Figaro. Zima dokucza nie żartem. Stawy i rzeki zamarzły, ale, uprzedzam pana, iż nie mamy już w zapasie ani kawałka węgla.

— Trzeba się o niego postarać.

— Uczynię to natychmiast, skoro pan mi da pieniądze na zapłacenie dawnego rachunku.

— Mamy czas jeszcze.

— Nie, panie, nie mamy go wcale. Węglarz, już trzy

razy przychodził z upominaniem się. Jest to dla mnie rzecz bardzo przykra; sam nie wiem, co mu odpowiedzieć.

— Dobrze, dobrze! odparł żywo artysta, zapłacę mu.

— Lecz kiedy? pytał Walenty z niedowierzaniem.

— Skoro zejdziesz na dół. No! rozsuń firanki, chcę wstać.

Służący spełnił polecenie. Pokój napełnił się światłem.

Walenty podszedł w stronę łóżka; cofnął się osłupiały z okrzykiem zdumienia.

W rzeczy samej, garść luidorów błyszczała rozrzucona na małym dębowym stoliku.

— Tak, odparł Jerzy z uśmiechem, wygrałem w niespełna pół godziny. Baccar daje więcej korzyści, niż malarstwo. Ale, zdaje mi się, żem ci coś winien, Walenty, na rachunek twej pensji? Być może że się mylę?

— Nie, nie! pan się nie myli, odparł żywo chłopiec. Należy mi się od pana za sześć miesięcy mej służby, co licząc po pięćdziesiąt franków miesięcznie, uczyni do stu talarów.

— Umiesz jak widzę rachować doskonale?

— Może pan mógłby mi wszystko zapłacić? Bardzo bym panu był obowiązanym.

— Nie; dostaniesz tylko tytułem zaliczki dwieście franków.

— Niech i tak będzie, rzekł chłopiec, chwytając chciwie podane sobie sztuki złota.

— Nie nadeszły do mnie jakie listy dziś rano? pytał Tréjan.

— Nic, panie, oprócz Figara i trzech banderolowanych

papierów. Może przynieść je panu?

— Nie trudź się daremnie. Wiem co one w sobie zawierają. Styl komorników dobrze jest mi znanym.

— Właściciel domu również przychodził z kontraktem wynajmu mieszkania, mówił dalej Walenty. Kazał on panu oznajmić że dziś już 10 Stycznia, a pan opóźnił się o dziesięć dni w zapłacie.

Jerzy wzruszył ramionami.

— Ach! jak on mnie nudzi ten ów jegomość, zawołał, głupie dziesięć dni opóźnienia, i cóż to znaczy? Wyniosę się ztąd, na honor! Jak on nie wstydzi się wołać tak natarczywie o pieniądze? Jest właścicielem domu, a więc jest bogatym. Niepotrzebuje aby mu płacono. Wszak to logiczne, nieprawdaż Walenty?

— Logiczne? tak, mruknął służący, nie zdając się jednak być przekonanym. Czy pan będzie jadł w domu śniadanie? zapytał po chwili.

— Ma się rozumieć. Pójdziesz za kupnem wszystkiego co trzeba. Podaj mi papier i ołówek, napiszę notatkę. I Tréjan, pisząc, głośno powtarzał: Przyniesiesz mi pół funta małych raków morskich, lecz wybierz co największe; pół funta pasztetu ze zwierzyny, pieczoną kuropatwę, kasztanów w cukrze osmażonych. Następnie weź butelkę Château-Yquem i butelkę starego koniaku za luidora. W składzie Grand Hotel weźmiesz pudełko cukierków za sześćdziesiąt pięć centymów, ale ciemnych czekoladowych. Lubię jasne, blond barwy, ale jedynie na główkach kobiecych. Wracając, zapłacisz rachunek węglarzowi i każesz mu przywieźć za sobą dwieście pięćdziesiąt

kilogramów węgla, na kredyt rozumiesz?

— Rozumiem, odrzekł Walenty.

— Bierz dziesięć luidorów i biegnij. Daję ci trzy kwadranse czasu na załatwienie tych sprawunków.

— Mam wrócić za trzy kwadranse, ależ to niepodobna! zawołał chłopiec. Najmniej półtorej godziny czasu na to potrzeba.

— Wsiądź do fiakra i przyjedź.

— Dobrze panie. Tu wybiegł z pośpiechem.

Po jego odejściu Jerzy Tréjan spojrzał smutno na garstkę złota, zmniejszoną ubytkiem dwudziestu luidorów.

— Rzecz nie do uwierzenia, wyszepnął, jak prędko znikają pieniądze w Paryżu, mimo, że wydaję tak mało!

I wstawszy z łóżka, począł się ubierać. W dziesięć minut później wszedł do pracowni, gdzie zasiadł w wielkim fotelu z czasów Ludwika XIII-go, w pobliżu rozgrzanego pieca, paląc cygaro.

Jerzy Tréjan był bardzo pięknym dwudziestopięcio letnim młodzieńcem, silnym, muskularnym, a mimo to wytwornie ukształtowanym. Jego mała, patrycjuszowska głowa, otoczona gęstemi zwojami jasnych włosów, wznosiła się nad rozrosłemi barkami na giętkiej, jak gdyby kobiecej szyi.

Twarz owalna, zakończona ciemno-blond jedwabistą brodą, z upodobaniem pielęgnowaną, zalecała się artystycznemi liniami czoła, delikatnością rysów, białą matową cerą i łagodnością wejrzenia, wielkich ciemno-błękitnych oczów. Zęby posiadał wytworne, usta różowe doskonale zarysowane.

Malarska jego pracownia niczem się nie różniła od tych, których właściciele nie osiągnęli jeszcze majątku i sławy.

Kilka doniczek z kwiatami na gerydonach, kilka figur gipsowych, kilkanaście studjów, pewna liczba starych rycin, oraz zbiór rzuconych od ręki szkiców, danych przez współtowarzyszów Jerzemu, tworzyły jedyne upiększenie pracowni.

Manekin na sprężynach wyginał się w dziwnej pozie obok stalug, na których opartym był jakiś świeżo rozpoczęty rodzajowy obrazek. Nieco dalej w pobliżu ramy w murze oszklonej, stała druga staluga cała płótnem zielonem nakryta. Kilka krzeseł flamandzkich pokrytych korduańską skórą, ze złoconemi poręczami stały rozrzucone tu i owdzie. Doliczywszy wielki piec, stoliczek, na którym Jerzy zwykle jadał, drugi mały stolik do palet i pędzli, kilka stolików dębowych rzeźbionych i wielki fotel w stylu Ludwika XII, a nasz opis będzie tak dokładnym, jak protokół komornika przybywającego dla zajęcia mebli jakiemu niewypłacalnemu dłużnikowi.

II.

Jerzy Tréjan, siedząc w swym wielkim fotelu z nogami, o piec opartemi, puszczał kłęby dymu z cygara.

Na jego twarzy widocznem było jakieś wewnętrzne niezadowolenie. Nagle, głęboka zmarszczka zawidniała na jego czole pomiędzy brwiami, poruszył się na krześle i wyszepnął.

— A! jak bolesno pomyśleć, iż są bogaci ludzie na świecie, że istnieją milionerzy! i że gdyby mój szanowny ojciec, hrabia Filip Henryk de Tréjan nie był roztrwonił majątku z kobietami, ja byłbym dziś jednym z takich milionerów! Ach! niech pioruny spalą los taki!

Wejście służącego przerwało ów gniewny monolog.

Walenty nic nie zapomniał. Przyniósł wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Podczas gdy Jerzy otwierał pudełko z cygarami, nakrył stolik z pośpiechem, i wkrótce młody artysta zasiadł do obficie zastawionego, smakowitego śniadania.

Jerzy z zadowoleniem smakosza łakomcy, obłupywał raki, zanurzył, łyżkę w głąb pasztetu z którego rozeszła się woń delikatna jałowcu i zwierzyny, a zdjąwszy kapsel z butelki, nalał w kieliszek wina bursztynowego koloru. Popijał je zwolna smakując, poczem odetchnął głęboko, uśmiech wybiegł mu na usta.

— Otóż, zawołał, jestem biedakiem wykolejonym, szlachcicem bez ziemi, artystą bez klientów, a może i bez talentu, lecz mimo wszystkiego, żyć umiem! Iluż milionerów w tym wielkim Paryżu nie mają takiego śniadania! Dla czego los daje tyle bogactwa tym, którzy ich użyć nie umieją, a tak mało złota mnie, którybym schrupał miljony memi białemi zębami? Czyż to sprawiedliwe?

Rzuciwszy to zapytanie, począł zajadać na nowo.

— Sto tysięcy liwrów renty i Fanny Lambert, rzekł z cicha. A! nie żądałbym więcej! Fanny Lambert, powtórzył; czy ja ją kocham? W dzień o niej myślę, w nocy śnię o niej, na chwilę nie schodzi mi z pamięci. Lecz czyż to jest

miłość? A jednak, gdyby ona mnie kochała? E! głupie przypuszczenia! Fanny Lambert miałaby myśleć o mnie? Tak, czuję, że gdybym ją kochał mógłbym oszaleć! Nie! kochać jej nie chcę!

To mówiąc wstał z krzesła, a podszedłszy ku staludze, odrzucił pokrywające ją płótno.

Ukazał się portret średniej wielkości z wymalowaną na nim głową i biustem młodej kobiety, blondynki z czarnemi brwiami, a zielonemi oczyma, na podobieństwo księżnej de Nevers.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niezwykłego, a zarazem i przykuwającego nad piękność owej kobiety którą fantazja artysty przystroiła w kostjum bachantki. Szerokie liście ciemno-zielone winnej latorośli, pomięszane z purpurowemi winogronami, przewijały się przez sploty bujnych jej włosów. Skóra pantery przerzucona przez ramię kobiety, przysłaniała jej biust marmurowej, białości. Na wpół otwarte usta uśmiechały się uśmiechem Menady, a głębokie jej, prawie surowe spojrzenie, zdawało się zadawać fałsz rozkosznym liniom tych ust koralowych. Kobieta ta, była uosobioną postacią sfinksa. Całość portretu przedstawiała jakąś nierozwiązalną zagadkę.

Rozmyślanie, w jakie zagłębił się Jerzy, stojąc przed obrazem, przerwał nagle głos dzwonka, dobiegający z przedpokoju. Artysta drgnął pomimowolnie i z pośpiechem zapuścił płótno na stalugę.

— Kto może przychodzić tak rano? wyszepnął. Wierzyciel? niech go czarci porwą! Szczęściem Walenty stoi na straży i wejść mu nie pozwoli.

Jednocześnie służący ukazał się we drzwiach.

— Kto przyszedł? zapytał malarz.

— Pan Vibert, pyta czy może widzieć się z panem?

— Pan Vibert? jestem zawsze dla niego obecnym, rzekł Jerzy. Niech wejdzie.

Przybyły ukazał się z uśmiechem na ustach, otwartemi do uścisku rękoma.

— Dzień dobry, kochany artysto, zawołał, jakże się cieszę, że cię widzę. Cieszę się nieskończenie.

Vibert, bogaty właściciel składu obrazów z ulicy Lafitte, był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, niskim, krępym, i łysym z krótkiemi faworytami. Elegancko ubrany, nosił zawsze nowy kapelusz, świeże rękawiczki, sądził się być bardzo przystojnym i lornetował kobiety z miną zwycięzcy. Jako znak szczególny nadmieniamy, iż wielki pęk breloków, zakończających gruby łańcuch złoty, brzęczał nieustannie na jego okrągłym brzuchu, uwięzionym w długiej białej kamizelce. Ów handlarz starał się usilnie nadać wyraz dobroduszności swym obłudnym semickim rysom, okraszając je uśmiechem.

— Jakiż duch dobry sprowadza pana w te strony, panie Vibert? pytał Jerzy po uściśnieniu ręki przybyłego.

— Odbywam mą zwykłą wędrówkę po pracowniach, jak pan wiesz, rzekł kupiec i nie minąłbym ulicy de Laval, nie zapytawszy o pańskie zdrowie.

— Jesteś pan nad wyraz uprzejmym. Siądź proszę. Przybywasz pan z jakąś propozycją, nieprawdaż?

— Naturalnie, i mam nadzieję, że się porozumiemy, jeżeli nie jesteś pan obecnie nazbyt zarzuconym

zamówieniami.

— Niestety, nie! odparł Jerzy z westchnieniem, mam więcej czasu niż trzeba.

— Jeżeli tak, zacznij dla mnie pracować, będę szczęśliwym, słowo honoru! Pan wiesz ile cenię twój talent, kwietna przyszłość cię czeka! Możesz mi wierzyć, ja znam się na tem. Lecz cóż pan masz tu nowego?

I, założywszy monokl na lewe oko, Vibert zwrócił się ku staludze, na której stał rodzajowy obrazek.

— Jak pan widzisz, rzekł Jerzy. Jest to, a raczej będzie wnętrze wiejskiej chaty.

— Tak, widzę. Niska zadymiona izba. Stary ojciec, czytający Biblię, ponieważ ta wielka księga o kartach z czerwonymi brzegami i mosiężnych klamrach, nie jest zapewne czem innem, jak Biblją. Zgarbiona wiekiem babka, z twarzą zmarszczoną jak pieczone jabłko, robi na drutach pończochę. Młoda matka karmi piersią niemowlę, kilkoro zamorusanych pacholąt igrają z psem wiernym i ciągną za ogon kota. Jest to coś w rodzaju Grenz'a i Chardin'a, odmłodzone manierą Brion'a i Marchal'a. Piękne, bardzo piękne, na honor!

— Zatem podoba się panu?

— Niezupełnie.

— A jednak.

— Tworzyłeś pan już kilka obrazków na ten temat, mówił Vibert dalej. Wyznając prawdę, miałem wiele kłopotu ze zbyciem ostatnich. Uważasz kochany przyjacielu, na to nie mamy pokupu teraz.

— Wynika ztąd, iż pan żądałbyś czego innego?

— Tak, gdyby można, a dla ciebie to łatwą jest rzeczą. Posiadasz płodną wyobraźnię, bogatą naturę i temperament, mój chłopcze, ach! temperament, który jest najcenniejszym darem w artyście!

— A jakbyś pan uważał folwark w czasie pożaru?

— Widzę to już, widzę! zawołał Vibert. Noc ciemna. Olśniewające płomienie strzelają w górę jak bukiet, wyrzucony z racy fajerwerkowej, ściany się kruszą, dach się zapada. Przerażona rodzina, widząc palące się sprzęty przypomina sobie, niestety zapóźno, iż zaniedbała opłacić raty w towarzystwie ubezpieczeń. Wszakże tak pojmujesz ów obraz, nieprawdaż?

— W zupełności... Zdaje mi się, iż inaczej odtworzyć go niemożna. Jest to obraz kompletny, w najdrobniejszych szczegółach. Mamże go rozpocząć?

— Strzeż się, nie czyń tego.

Jerzy spojrzał zdumiony; Vibert mówił dalej:

— Tak mój kochany, strzeż się podobnych rzeczy. Strzeż się, tak, jak wpadnięcia w pożar twego płonącego folwarku. Temat jest pięknym, niezaprzeczenie, lecz spospolitowany, zużyty, wyczerpany i djabelnie przestarzały. Mniej jeszcze tu ruchu niż we wnętrzu „wiejskiej chaty.“ Ani się bierz do tego pod żadnym pozorem!

III.

— A więc, mój przyjacielu, rzekł Jerzy, śmiejąc się głośno, obmyśl sam temat.

— Dzisiaj, mój dobry, począł Vibert, sztuka jest chorą.

— Zdanie to niegdyś wyraził sławny Bilboquet, mówiąc: „Sztuka cierpi na wycieńczenie.“

— Miał słuszność zupełną. Czy wiesz kto obecnie kupuje obrazy?

— Amatorowie, sądzę, i znawcy dobrego malarstwa.

— Niestety! tych amatorów nie ma już śladu, a ci którzy po nich nastąpili, nie znają się wcale.

— Dla czego więc kupują?

— A! otóż właśnie kwestja. Kupują, ponieważ obrazy przyozdabiają mieszkanie, a ztąd są niezbędnemi w cośkolwiek lepiej urządzonym apartamencie, jak jest nim piec i inne tym podobne szczegóły. Kupują następnie dla nadania sobie szyku. Między nabywcami, uważaj mój drogi, jest czwarta część giełdowych agentów, szachrujących interesami, spekulantów, zarabiających na giełdzie pieniądze; aktorek i kokot różnego rodzaju, lub tych wybladłych młodzieńców, pozujących na protektorów sztuki i artystów. Oto nasi klienci dzisiejsi!

— Co nam to szkodzi, aby się nie targowali i dobrze płacili?

— Zapewne. Ale czy wiesz co im się podoba?

— Ciekawym.

— Oto przedmioty wabiące, zalotne, nieco lekkie, rozumiesz?

— Pojmuję, odparł Jerzy. Jeżeli im trzeba Ludwika XV-go, panią Pompadour, Ludwika XVI-go, rzecz nader łatwa. Mogę pójść do Muzeum, przez trzy dni studjować Watheau, Boucher’a, Lancet’a i Fragonard’a.

— Wpadłeś na ślad! zawołał Vibert. Wkrótce się porozumiemy. Uważaj co powiem. Żadnych naśladowań lecz trzeba nam nowożytnego Fragonard'a. Idei lekko drastycznej, ale ukrytą z powściągliwością. Słowem, obrazu, nad którym zastanowić się należy, lecz który jednocześnie odsłonięty wystawić można. Zrozumiałeś mnie?

— Doskonałe! rzekł Jerzy. Widzę, czego pan sobie życzysz i mam nadzieję będziesz ze mnie zadowolonym.

— Brawo! wykrzyknął Vibert, zacierając ręce; cieszę się już naprzód twą pracą.

— A co do ceny? zapytał Tréjan.

— Ba! co do ceny, odparł żywo kupiec; jedna i taż sama. Dziesięć luidorów od małej ramy. Jest to dobrze zapłacone, wierzaj mi mój drogi.

— Uważam przeciwnie, wyrzekł artysta. Rzecz, jakiej pan żądasz odemnie, jest wyjątkową. Nie będzie to sztuką, mój dobry, ale podnietą do rozpustnego śmiechu. Smutny obowiązek dla mego pędzla, to maczanie go w pieprzu Kajenny. Pomimo wszystkiego, przyjmuję namówienie, żyć trzeba, a życie jest ciężkiem, żądam wszelako podwyższenia ceny do piętnastu luidorów, inaczej umowa nie przyjdzie do skutku.

— Ma to być ostatnie twe słowo?

— Ostatnie! szkoda czasu na dyskutowanie.

— Zgadzam się więc, ale ty mnie przyprawisz o bankructwo swojemi wymaganiami.

— Bankructwo, biedny człowieku, jakże cię żałuję! mówił Jerzy śmiejąc się głośno.

— Zrób mi na początek cztery obrazy, według oznaczonego planu, mówił Vibert, dalej zobaczymy.

— Z dniem jutrzejszym zabiorę się do tego, lecz dziś potrzebuję pieniędzy. Daj mi pan tytułem zaliczki dwadzieścia pięć luidorów.

Handlarz rzucił się tak nagle, że monokl spadł mu z oka na podłogę.

— Ani grosza! zawołał, ani szeląga! Zrujnowały mnie te wasze zaliczki. Nie złapiecie mnie na nie więcej! Winien mi jesteś tysiąc franków, przedewszystkiem odebrać je muszę. Zresztą nie mam zwyczaju płacić odrazu. Byłoby to głupstwem nie do wybaczenia! Po wykończeniu każdego obrazu wypłacę dziesięć luidorów, potrącając na stary dług sto franków. Sądzę że to słuszne? Nie nazwiesz mnie złym człowiekiem?

— Nie mogę pracować przy pustej kieszeni, to trudno?

— E! nie pracujesz zarówno chociaż jest pełną. Zły zwyczaj, mój drogi, naganne nawyknienie.

— Daj chociaż piętnaście luidorów.

— Ani nawet pięciu! Rób, nie rób, jak ci się podobało mówiąc, Vibert przechadzał się szybko po pracowni a przystanąwszy pomimowolnie przed stalugą, odrzucił zasłonę w górę.

— Ach, zawołał z wyrazem zdumienia, masz takie perły u siebie i kryjesz je przed przyjaciółmi. To nieszlachetnie, artysto!

Jerzy, nie wiele dotąd zwracający uwagi na poruszenia Viberta, zerwał się zapłoniony gniewem, a przyskoczywszy do stalugi, zapuścił płótno na obraz.

Handlarz obrazów schwycił go za rękę.

— Panie! zawołał gniewnie Tréjan.

— Lecz mój kochany, przerwał mu Vibert, z jakiego powodu nie chcesz mi dozwolić podziwiać tego pięknego dzieła? Słońce świeci dla wszystkich jak sądzę. Jest to klejnot, prawdziwy klejnot, przysięgam! Rysunek, koloryt, wypukłość postaci, wszystko doskonałe! Do czarta! nie przypuszczałem, iż tyle siły posiadasz. Winszuję, z całego serca winszuję!

Jerzy uczuł się rozbrojonym temi słowy. Wrodzona artystyczna próżność, nie dozwalała mu odepchnąć tej czary pełnej upajającego napoju, jaki pochlebstwem się zowie.

— Znajdujesz więc pan ów portret dobrym?

— Wszak widzisz, że jestem zachwyconym, olśniomym! Zkąd u czarta zdobyłeś tę głowę?

— Z własnej wyobraźni.

— Nie! to nieprawda, zawołał Vibert. Tworzone to z natury, albo jakiegoś wspomnienia. Może cokolwiek ją wyidealizowałeś, przypuszczam to, nie przeczę, takich jednakże oczów nie wytwarza się z wyobraźni a zresztą patrz. W kąciku przy ustach, znajduje się maleńkie znamię. Przysięgnij mi, że to znamię jest twoim wynalazkiem, a choć byś nawet i przysiągł, nie uwierzę! Znam ja się na tem, mój drogi. Jest to malowane z natury i dałbym w zakład głowę, że ów model istnieje, a co więcej, żem go spotykał po kilkakroć razy.

IV.

— Pan spotkałeś tę osobę? pytał żywo Jerzy.

— Tak, odrzekł Vibert.

— Gdzie?

— Tego nie pomnę. W teatrze, na spacerach, lub na wyścigach być może, słowem w jednem z owych miejsc, gdzie spotykamy się, nie znając zupełnie.

Po tych słowach kupiec obrazów wpatrywał się w ów portret przez kilka minut w milczeniu, to oddalając się, to przybliżając, słowem studjując w najdrobniejszych szczegółach to dzieło, następnie rzecz nie do uwierzenia, dobył z bocznej kieszeni pugilares, a wyjąwszy zeń bilet tysiąc frankowy, podał go artyście.

— To dla ciebie, rzekł, a portret dla mnie. Rzecz postanowiona?

Tréjan przecząco potrząsnął głową.

— Nie! odparł zwięźle.

— Jakto, odmawiasz przyjęcia tysiąca franków?

— Odmawiam.

— Czy podobna? zawołał Vibert z osłupieniem. Dla czego przyjąć ich nie chcesz?

— Dlatego, że portret nie jest do sprzedania.

— Ba! wszystko jest do sprzedania, za pieniądze na tym naszym świecie.

— Widzisz pan, że nie, ponieważ pragniesz tego portretu, a ja go zatrzymuję dla siebie.

— Ha! ha! grasz ze mną komedję, mój dobry, zaśmiał się Vibert, dlatego, ażebym podniósł cenę. Znamy się na tem.

Przyznaję więc, kupić go pragnę, popełniam szaleństwo i ofiaruję ci za niego tysiąc dwieście franków. No, teraz mi odstąpisz to płótno, nieprawdaż?

— Nie!

— Dam tysiąc pięćset.

— Nie!

— Dwa tysiące franków!

— Ani nawet za dziesięć tysięcy, zawołał Jerzy, za żadną cenę, słyszysz mnie pan, ów obraz nie wyjdzie z mojej pracowni. Nie upieraj się więc w podwyższaniu ceny, co jest nader dla mnie pochlebnem, przyznaję, ale nie doprowadzi do żadnych rezultatów, ponieważ, nie zostanie przezemnie przyjętym.

Vibert zamknął spokojnie pugilares, schował go do kieszeni i zapiął swój paltot.

— Otóż poczynam rozumieć, wyrzekł po chwili. Sprawa serca, namiętność niepokonana, portret jakiejś kochanki. A! głupstwo, głupstwo, szaleństwo! Nie badam cię, drogi artysto, jestem dyskretnym, nie mam zresztą zwyczaju mięszania się w nieobchodzące mnie sprawy, pozwól jednak sobie powiedzieć, że miłość, czy kaprys chwilowy, wszystko to prędko przemija; pieniądz, jeden tylko pieniądz, trwale pozostaje! Pocałuj mnie więc, mój przyjacielu. W dniu w którym, ochłonąwszy z miłości a nie mając pieniędzy przyniesiesz mi tu płótno, będę miał dla ciebie zań przygotowane dwa tysiące franków, jakich dziś przyjąć nie chcesz. Co zaś do zamówionych obrazków, staraj się je wykończyć według umowy. Do widzenia. Radzę ci rozmyśl się jeszcze. Wkrótce, być może, do

widzenia.

Tu Vibert wyszedł z pracowni. Skoro drzwi zamknął za sobą, Tréjan rzucił się na krzesło.

— Mieć talent! zawołał, ponieważ posiadam go niezaprzeczenie i zarabiać zaledwie dwadzieścia pięć do trzydziestu luidorów miesięcznie, malując dla wyzyskiwacza pracy lubieżne obrazy, och! jakież to nikczemne, jakie upokarzające. Och! mój ojcze, dziki samolubie, który po zadowoleniu swych żądz i pragnień, pozostawiłeś mnie w nędzy, dla czego mnie na świat wydałeś? Krew, płynąca w mych żyłach, napawa mnie wstrętem do pracy, budzi we mnie pragnienie zbytku, chęci używania bez granic, a jestem ubogim i być nim nie przestanę! Walczyłem przeciw mej własnej naturze, chciałem nadludzką pracą zdobyć sobie sławę, majątek, by za pomocą tych sił zadowolnić moje upodobania, gusta, nawyknienia! I otóż zawiodłem się srodze! Do czegóż mnie doprowadziła ta rzemieślnicza praca? Czyż moją dzisiejszą egzystencję życiem nazwać można? Zostanęż kiedykolwiek jednym z tych, których obsypują błotem za najmniejsze pociągnięcie ołówkiem, lub pędzlem? Nadto smutnego doświadczenia! Dość tego. Wszelka praca nie produkcyjna, jest oszukiwaniem samego siebie. Nie chcę oszukiwanym być dłużej. Karty przekonały mnie ubiegłej nocy, iż życie zabaw i rozkoszy jest korzystniejszem nad trud i mozół. Iluż spotykałem ludzi w salonach pół światka dla których walet kierowy i dama pikowa stanowiły dostatni fundusz utrzymania! Czemu nie miałbym ufać, jak oni w swą gwiazdę? Nie próbować szczęścia! Posiadam przezorność,

krew zimną, te dwie wielkie zalety dobrego gracza. Nie będę się upierał spostrzegłszy, iż ów los mi nie sprzyja aby nie cofnąć się w porę, lecz przeciwnie, z zuchwalstwem i energją korzystać będę z przyjaznego uśmiechu fortuny. Zresztą, cóż ryzykuję? dodał po chwili milczenia z gorzkim uśmiechem; jeśli mnie gra nie zbogaci, to i nie zrujnuje wcale. Przybywaj więc, hazardzie! Tyś odtąd mym bożyszczem! Znużony wegetowaniem, chcę zacząć żyć nareszcie!

* *
*

Podczas, gdy ów człowiek wykolejony, artysta bez odwagi, zasad i przekonań, młodzieniec, żądny rozkoszy, dla którego dwadzieścia pięć lub trzydzieści luidorów były drobnostką godną pogardy, postanowił porzucić dotychczasowy uczciwy zarobek w pracowni, dla wejścia w gwar życia niskiego brudnego świata Paryża, mały czarny powozik, uprzężony w angielskiego bieguna, z woźnicą w czarnej liberji, zatrzymał się przy ulicy de Laval, przed domem, gdzie mieszkał Jerzy Tréjan.

Na drzwiczkach tego powozu widniał podwójny herb, z baronowską koroną. Wysiadłszy zeń średniego wieku mężczyzna, podążył ku odźwiernemu.

— Pan Tréjan? zapytał, czytając listę lokatorów.

— Na piątem piętrze, nad antresolą, drzwi na wprost wschodów.

— Wiem, ale czy jest w domu?

— Nie widziałem aby wychodził.

Upewniony, iż zastanie Jerzego, przybyły wchodzić zaczął na stopnie, starannie wywoskowane.

Osobistość ta na pierwszy rzut oka zdawała się mieć około czterdziestu pięciu lat wieku, po ściślejszem wszelako rozpatrzeniu, widocznem było, iż przeszła dawno po za pięćdziesiąt.

Szybkim krokiem przebiegł piętra, dzielące go od mieszkania Jerzego Tréjan, a zatrzymawszy się przy drzwiach pracowni, nie zadzwonił ale gałką od laski uderzył z lekka kilkakrotnie we drzwi.

Był on, jak się okazywało, poufnym przyjacielem domu, zawsze serdecznie przyjmowanym, ponieważ na jego widok uśmiechnął się Walenty i otworzywszy drzwi pracowni wygłosił:

— Pan baron de Croix-Dieu.

Usłyszawszy to nazwisko, artysta podbiegł ku przybyłemu i uścisnął mu rękę.

— Ach! jakież przyjemne odwiedziny, zawołał. Jakżem szczęśliwy baronie, że cię widzę!

— Spodziewałem się tego, mój Jerzy, rzekł uśmiechając się pan de Croix-Dieu, i dla tego pospieszam do ciebie.

Tréjan zaprowadził barona w pobliżu pieca, posadził go w fotelu i podał pudełko z cygarami.

— Zdaje mi się, żem cię całe wieki nie widział, mówił artysta, wpatrując się w przybyłego, najmniej ze dwa tygodnie! Sądziłem już, żeś o mnie zapomniał.

— Było to niesprawiedliwe przypuszczenie, odparł! pan Croix-Dieu, wszak wiesz, ilem dla ciebie życzliwy i jestem

pewien twojej wzajemności w tym razie.

— Cóżeś robił przez te dwa tygodnie, baronie? pytał Jerzy powtórnie uścisnąwszy mu rękę.

— A! jedno, wciąż jedno! odparł zapytany.

V.

Tréjan uśmiechnął się na tę odpowiedź przybyłego.

— Wciąż jedno? powtórzył. Ależ baronie, jest mnóstwo zmian w tej twojej pozornej jednostajności.

— Wierzaj mi, począł pan de Croix-Dieu, my ludzie bezczynni z pozoru, jesteśmy rzeczywiście zatrudnionymi od nocy do rana. Paryż, pochwyciwszy nas w koła swoich błahostek, nie wypuszcza z nich, nawet dla uściśnienia ręki najlepszym przyjaciołom. Jesteśmy prawdziwymi niewolnikami.

— Niewolnikami zabaw, przyjemności.

— Bądź co bądź, zawsze to okowy.

— Lekkie do dźwigania.

— Często krepujące. Co jednak począć? ulegam im z wyrozumiałością filozofa. A ty, kochany artysto cóż się z tobą dzieje. Jesteś zadowolonym?

— Ale gdzież znowu, bynajmniej!

— Czemu?

— Ponieważ wszystko źle idzie.

— Praca?

— Nuży mnie, i do żadnego celu nie prowadzi.

— Pieniądze?

— Brak mi ich.

— Długi?

— Uciskają. Otóż widzisz przed sobą człowieka, kompletnie zniechęconego do życia.

— Zniechęconego? w tym wieku, z twoim talentem? Ależ w tem co mówisz nie ma najmniejszego sensu!

— Ach! drogi przyjacielu, zawołał Tréjan, na miłość Boga nie mów mi o moim talencie! Gdybym go miał nawet, rezultaty, jakie mi on daje, są tak nędznemi, iż lepiej abym go wcale nie posiadał. Jeżeli chcesz poznać stanowisko, jakie zajmuję w świecie sztuki, posłuchaj jak piękną propozycję czynił mi pewien handlarz obrazów, który ztąd odszedł przed chwilą.

Tu Jerzy opowiedział szczegółowo rozmowę, mianą z Vibertem.

— Masz słuszność, do czarta! zawołał baron, wysłuchawszy opowiadania! Podobnie upokarzające propozycje są nie do przyjęcia. Ów człowiek i jemu podobni, pragną korzystać nikczemnie z ciężkiego położenia w jakiem się znajdujesz. Gdybyś posiadał majątek i był niezależnym, przemawialiby inaczej, zupełnie. Wyczekiwaliby u ciebie, w przedpokoju, pokorni, służalczo cierpliwi. Błagali by cię, obsypując złotem o parę płócien twego pędzla, pełnego wdzięku, jakie publiczność oceniła już według wartości.

Jerzy przyjął w milczeniu to tak pochlebne zdanie swojego gościa.

— Bardzo to być może, odrzekł po chwili, nieszczęściem jednak nie jestem w stanie zmienić położenia. Ono to

panuje nademną, przygniata mnie i uciska. Jestem ubogim i nie przestanę nim być nawet przy największej pracy. A gdyby spadł mi z nieba jakiś niespodziewany majątek, mówię ci szczerze, baronie, iż nie pracowałbym wcale. Nie jestem stworzony do walki z życiem. Nie posiadam ambicji, pogardzam chwałą, pragnę jedynie spoczynku.

— Pod wyrazem spoczynek, rozumiesz życie zabaw i rozkoszy? nieprawdaż.

— Nie zaprzeczam, jest to jedynem mojem marzeniem!

— Potrzeba by ci było, ot tak, do ośmdziesięciu tysięcy liwrów renty, małego pałacyku, rozkosznego gniazdka wysłanego jedwabiem, napełnionego przedmiotami sztuki. Obok tego, koni pełnej krwi, powozów z dobrej fabryki, pierwszorzędnego paryzkiego krawca i modnych buduarów.

— O! tak, tak! wyszepnął Jerzy z głębokiem westchnieniem, potrzeba mi tego wszystkiego, lecz powiedziałem, jest to marzenie!

— Które urzeczywistnić się może.

— W jaki sposób? Jakim cudem? Zkąd by miało spaść na mnie jakie dziedzictwo, nie posiadam krewnych, ani rodziny.

— Można zostać bogatym za pomocą małżeństwa tak dobrze, jak zapomocą sukcesji.

— Ja? miałbym się ożenić? zawołał Tréjan.

— Nie podoba ci się ów projekt?

— Nie wiem. Nie pomyślałem nad tem jeszcze. Zresztą, to o czem mówisz, baronie, jest tylko wytworem twojej fantazji. Czyżby bogata kobieta zaślubić mnie chciała?

— Dla czego nie?

— Z bardzo prostych powodów w danym razie.

— Z jakich?

— Nic nie posiadam.

— Nie masz majątku, to prawda, lecz w zamian, inne ważne zalety.

— Jakie, ciekawym?

— Najprzód, mój Jerzy, jesteś bardzo pięknym.

— Och! baronie, chciejże oszczędzić mą skromność i nie obsypuj mnie pochwałami, przerwał śmiejąc się artysta.

— Bardzo pięknym, powtarzam, mówił pan de Croix-Dieu, a co więcej, jesteś wysoce dystyngowanym. Posiadasz nauki, wyższe wychowanie, jesteś dżentlemenem od stóp do głowy. Nosisz świetne nazwisko. Hrabia de Tréjan!

— To ostatnie, baronie, jest dla mnie bez wartości. Porzuciłem mój tytuł, zrozumiawszy, że wszelkie arystokratyczne pretensje byłyby śmiesznością obok ubogiej kapoty, jaką się przyodziewam. Dla wszystkich jestem obecnie Jerzym Tréjan'em, niczem innem, wszak, wiesz o tem dobrze.

— Jerzym Trejan'em, którego pradziadowie brali udział w wojnach krzyżowych. Wierz mi, mój drogi, to ma zarówno swoją cenę. Korona o dziewięciu perłach gdy jest historyczną, staje się dla rybek łakomą przynętą w rękach zręcznego łowcy posagów.

— Upewniam cię, że niepotrafiłbym użyć podobnej przynęty. Nie zręcznym byłby w mym ręku ów połów.

— Co do ciebie, być może. Ja jednak potrafiłbym kierować tą wędką.

— Jak to, baronie?

— Upoważniasz mnie do swatania ciebie?

— Na serjo pytasz o to?

— Zupełnie na serjo, słowo honoru!

— A więc, dla czegóż by nie? Wynajdź mi partję stosowną, skoro tak dalece okazać mi pragniesz swą przyjaźń, a przyjmę z zamkniętemi oczyma wybraną przez ciebie kobietę. Uczynię ja hrabiną de Tréjan. Lecz pod pewnym warunkiem, ma się rozumieć.

— Pod jakim?

— Aby nie była starą, ni brzydką. Wszelka śmieszność przeraża mnie, bardziej po nad ubóstwo. Gotów jestem odstąpić moje nazwisko za pęk banknotów, zastrzegam jednak, aby niektóre warunki tej spekulacji nie były dla mnie zbyt uciążliwemi.

— Nie obawiaj się. Upewniam, że posag będzie znakomitym i ładną narzeczona.

— Gdybyś dokonał tego, baronie, uważałbym cię za najzręczniejszego z czarodziejów! rzekł, śmiejąc się Jerzy.

Pan de Croix-Dieu wstał z krzesła i spojrzał w stronę pracowni, gdzie znajdowała się staluga z portretem kobiety, jaką artysta po odejściu Viberta zapomniał przysłonić.

— Ach! zawołał, otóż coś, czegom dotąd nie widział jeszcze. Zbliżywszy się ku staludze, przystanął. Fanny Lambert! zawołał, ależ to wspaniałe!

Jerzy drgnął nagle.

— Znasz Fanny Lambert? zapytał żywo.

— Znam ją doskonale. Jestem poufnym jej przyjacielem.

— Przyjacielem? poufnym jej przyjacielem, powtarzał z

wahaniem Tréjan. Jakto mam rozumieć, baronie?

— W sposób najprostszy i najzacniejszy w świecie. Zachowuję dla Fanny Lambert uczucie szczerej przyjaźni, ojcowskiej życzliwości, a jeśli chcesz, wysoki zarazem szacunek.

— Szacunek? baronie, za daleko się posuwasz.

— W czem takiem! Fanny Lambert jest najuczciwszą z kobiet, jakie znam.

— Jesteś zbyt pobłażliwym. Uczciwa kobieta mająca kochanków?

— Miała jednego.

— Jednego?

— Tak. I jeszcze nie zostało dowiedzionem ażeby książę Aleoscu był jej kochankiem. Mówią w tym względzie bardzo wiele rzeczy. Ale jak widzę ty nie znasz wcale historji tej czarującej kobiety?

— Nie znam, w rzeczy samej.

— I ty, ty Jerzy, człowiek wytworny, z tak podniosłym umysłem, postępujesz jak gminny prostak i rutynista! Rzucasz wyrok na tę kobietę i sądzisz ją z pozorów, a co więcej potępiasz ją. Ach to niegodnie!

— Przyznaję, żem może zawinił! Objaśnij mnie więc o tem, o czem nie wiem, baronie.

— Nie mam prawa do tego. Zaufanie Fanny odsłoniło mi niektóre szczegóły jej życia, mimo to, nie podobna mi jest bez jej upoważnienia uchylić zasłony, okrywającej jej przeszłość. Mogę cię jednak upewnić, a nawet zaprzysiądz, że jest kobietą godną szacunku i poważania.

Wymówiwszy z zapałem te słowa, które silne wrażenie

sprawiły na Jerzym, baron de Croix-Dieu całą, uwagę zwrócił na znajdujący się portret przed sobą.

— Nie lubię mówić pochlebstw, rzekł, wiesz o tem, dobrze, mój kochany Jerzy; wyrażam jedynie to tylko, co czuję. A więc, nie mam wyrazów na uwielbienie tej twojej pracy! Jakie to piękne, tryskające życiem. Ależ to arcydzieło! Fanny Lambert pozowała więc u ciebie?

— Tak, przez dni kilka do portretu jaki wykończyłem przed trzema tygodniami, a który zapewne widziałeś u niej, baronie?

— Nie widziałem go wcale; odrzekł pan de Croix-Dieu! Fanny nic mnie o nim nie wspominała. Dlaczego ta tajemnica, a tem dziwniejsza, że nie jednokrotnie pytała mnie o ciebie.

— Ona, pytała o mnie? W jakich wyrazach? badał żywo Jerzy.

— W najbardziej sympatycznych. Chwaliła wielce talent, rzecz naturalna. Powiedz mi jednak, czy od chwili wykończenia tamtego portretu widziałeś Fanny?

— Widziałem.

— U niej?

— Nie! tu. Zwiedzała moją pracownię, dwa czy trzy razy.

— I podczas tych wizyt pozowała do tego drugiego studjum?

— Ona nie wie nawet wcale że to płótno istnieje, odparł śmiejąc się Jerzy. Malowałem z pamięci.

Pan de Croix-Dieu uśmiechnął się z widocznem zadowoleniem.

— Mój Jerzy, wyrzekł po chwili, należę, jak ci to powiedziałem do liczby najpoufalszych przyjaciół Fanny Lambert. Obok tego jestem bogatym. Przyznaję wyjątkową wartość tej twojej pracy, i byłbym szczęśliwym, gdybyś mi zechciał na własność odstąpić to studjum. Gotów jestem zgodzić się na cenę, jaką sam oznaczysz.

Tréjan zarumienił się pomimowolnie.

— Radbym zadość uczynić twemu życzeniu, o czem nie wątpisz sądzę, baronie, a przedmiot żądany przez ciebie wyjątkowo nie dozwala mi tego uczynić. Błagam cię, nie nalegaj! rzekł Jerzy. Zwiększasz mój żal, nie zmieniając postanowienia.

— Nie powiem już i słowa więcej o tem, odparł Croix-Dieu! Sądzisz, być może, iż byłoby niedelikatnością z mej strony, pozbawiać cię portretu pomienionej osoby, przybranej w kostjum nieco przeźroczysty, z nieświadomością oryginału. Gdyby to miało być powodem twojej odmowy, przyniosę ci własnoręczne upoważnienie Fanny Lambert. Skoro zażądam go od niej, jestem pewien że mi takowe udzieli.

— Baronie, baronie! wołał Tréjan z żywym niepokojem, nie czyń tego, proszę, zaklinam! Fanny Lambert nie wie o istnieniu tego obrazu. Miałaby prawo uważać go jako nadużycie zaufania z mej strony. Nie zdradzaj mej tajemnicy, jeżeli nie chcesz mi sprawić krwawiącej serce boleści!

— Uspokójże się, mój Jerzy, mówił Croix-Dieu; nie radbym ci sprawiać przykrości, lecz mówiąc otwarcie, nie rozumiem powodów takiej obrazy? Gdyby Fanny wiedziała

o istnieniu tego drugiego pięknego portretu, zażądałaby go niezwłocznie dla siebie, nie chcąc zostawiać go w twym ręku i upewniam cię, iż miałaby zupełne prawo do tego.

— Tak, wyszepnął z cicha artysta. Nie rozogniaj więc rany. Gdyby Fanny Lambert zażądała tego portretu, nie śmiałbym go jej odmówić. I otóż czego się lękam, czego nie chcę!

— Ha! ha! zawołał śmiejąc się Croix-Dieu, jako samolub artysta, pragniesz zachować dla siebie ów czarujący obraz?

— Pragnę, o tak! bardziej nad wszystko na świecie!

— Zachowaj go więc, mój Jerzy. Jest to jedyną pociechą dla rozkochanego, gdy może wzdychać do portretu uwielbianej.

Tréjan zarumienił się powtórnie.

— Jakto? wyszepnął z widocznem zmięszaniem, miałżebyś sądzić, baronie?

— Zatrzymaj się, mój drogi, przerwał Croix-Dieu , nie sądzę, lecz jestem pewien. Jesteś zakochanym w Fanny Lambert, szalenie zakochanym, więcej niż sam wiesz o tem. Dla czego jednak to kryjesz! Miałżebyś przeczuwać to, iż nieszczęściem będzie dla ciebie ta miłość?

— Nieszczęściem... czemu? pytał Tréjan.

— Czemu? odpowiem ci jako przyjaciel z całą szczerością. Najprzód nie wiem, czy Fanny Lambert cię kocha, czy będzie kiedykolwiek kochała, mam jednak to przekonanie, uważaj dobrze, to niezbite, silne przekonanie, że nigdy twoją kochanką nie zostanie.

— Nawet gdyby mnie kochała?

— Będzie walczyła przeciw swojej i twojej miłości, a

tego nie uczyni.

— Wyznam ci baronie, że to wygląda na paradoks.

— W czem?

— Gdyby nawet Fanny zasługiwała na szacunek jaki jej przyznajesz, nie zaprzeczysz iż miała kochanka.

— Powtarzam ci, iż nie zgadzamy się obadwaj w tym razie. Przyznawszy jednak słuszność twemu sądowi, ów błąd właśnie, umocniłby ją w jej uczciwem obecnie postępowaniu. Najskromniejsze dziewczę, najcnotliwsza z kobiet zamężnych ulegała by może pokusie, Fanny Lambert tego nie uczyni!

— Nie rozumiem cię, baronie.

— Nie rozumiesz, bo źle znasz Fanny a raczej nie znasz jej wcale. Zbieg dziwnych okoliczności uczynił z niej pozornie to, czem jest według twego zdania i według tych którzy ją sądzą być kobietą lekkich obyczajów, uchodzi za taką i wie o tem. Wie, co mówią o niej, lecz wie zarazem czego jest godną; słusznie, czyli nie słusznie, a według mnie najniesłuszniej, straciła szacunek świata, lecz zachowała swój w obec siebie. Ma ona tylko jedną myśl, jedno pragnienie, cel jeden, a tem jest rehabilitacja. Wie ona dobrze, że jeden błąd popełniony, uczyniłby ją tem, czem się być zdaje i tego błędu nie popełni. Choćby szaloną dla ciebie zapłonęła miłością, będzie walczyła przeciw temu uczuciu, umrze dlań być może, ale nie zejdzie z uczciwej drogi!

— Czegóż więc chce, do czego dąży? pytał Jerzy.

— Powiedziałem ci, pragnie rehabilitacji!

— W jaki sposób?

— Za pomocą legalnego małżeństwa.

— Ależ to szaleństwo! zawołał Tréjan.

— Nie rozumiałeś mnie przed chwilą, odrzekł Croix-Dieu, a teraz ja ciebie nie rozumiem.

— Baronie, mówmy na serjo. Któżby zaślubił Fanny Lambert?

— Kto? uczciwy człowiek, posiadający odwagę do wzniesienia się po nad głupie przesądy, posiadający siłę do nakazania szacunku, o którymby był przekonany, że jego żona nań zasługuje, o tyle inteligentny nakoniec, iż wiedziałby, że okupuje szczęście całego życia, poświęceniem egoistycznej miłości własnej! Taki człowiek znajdzie się, bądź pewnym mój Jerzy. Ja zobowiązuję się go odszukać.

— Jak to? chcesz dopomagać w małżeństwie Fanny Lambert? pytał artysta ze źle ukrytą obawą.

— Tak... chcę... i tego dokonam! Myśl uszczęśliwienia dwojga ludzi sprawi mi rozkosz niezrównaną.

— Dla czego sam jej nie zaślubisz, skoro ją tak wysoce cenisz? zapytał Jerzy.

— Dla mnóstwa przyczyn, a oto dwie główne. Fanny jest dla mnie życzliwą, jako dla przyjaciela, lecz nie zaślubiłaby człowieka, któregoby nie kochała. Zresztą, ja kocham inną. Ach! gdybym miał serce wolne i gdybym był młodszym o jakie lat dziesięć, nie jutro, nie za godzinę, ale natychmiast powiedziałbym tej kobiecie: „Chcesz przyjąć moje nazwisko?“ I baronowa de Croix-Dieu byłaby królową Paryża.

— Fanny jest bogatą, nieprawdaż, pytał Tréjan po chwili

zadumy.

— Tak, posiada dwa miljony.

— Zkąd przyszła do tego majątku?

— Nie wolno mi jest na to ci odpowiedzieć, mogę jednak zapewnić, że jego źródło jest czystem i że przyszły mąż Fanny, będzie mógł bez zarumienienia wraz z nią go dzielić.

To mówiąc, pan de Croix-Dieu wziął kapelusz, laskę, i podał rękę Jerzemu.

— Odchodzisz już, baronie? pytał ostatni.

— Muszę, oczekują na mnie. Ale sprawiłbyś mi wielką przyjemność, gdybyś po jutrze o jedenastej zechciał przyjść do mnie na kawalerskie śniadanie.

— Przyjdę niezawodnie.

Pan de Croix-Dieu zwrócił się ku drzwiom lecz w chwili wyjścia przystanął jeszcze przed portretem Fanny.

— Powtarzam ci, rzekł, kochany przyjacielu, że to mistrzowskie arcydzieło. Ostrzegam jednak, nie poddawaj się nadto myślom o zachwycającym oryginale tego obrazu. Jest to rada serdecznego twego przyjaciela.
Możesz obawiać się wszystkiego, a żadnej nadziei. Oto bilans twojej miłości. Wyrzecz się jej lepiej w samym zawiązku, bo inaczej, może ci ona przynieść wiele bolesnych zawodów!

Po ostatniem uściśnieniu ręki, rozłączyli się obadwaj. Baron wyszedł z pracowni artysty a wsiadłszy do swego kabrjoletu, zawołał na stangreta:

— Na ulicę Le Sueur, co żywo!

Woźnica popuścił lejce dzielnemu kłusakowi

angielskiemu, przemknął szybko przez bulwar Hausmanna, aleję Frydlancką i w pobliżu Łuku tryumfalnego zatrzymał się przed okratowaną bramą pałacyku, którego lekka, wysmukła architektura przypominała styl budowli z ośmnastego stulecia. Brama ta prowadząca na dziedziniec, obsadzony bezlistnemi w tej porze platanami, otwierała się właśnie w chwili, gdy powóz barona przed nią zajeżdżał.

VI.

Pan de Croix-Dieu wszedł, nie zapytując odźwiernego, witającego go w progu niskim pokłonem. Spojrzał na dwa dzielne rasowe konie jakie stangret wraz z groomem zaprzęgali do ośmio-resorowego powozu „Wiktorja“ wybitego wewnątrz pięknemi futrami, przebiegł lekko ośm stopni marmurowych, zdobnych podwójnym rzędem wazonów ze starego deftskiego fajansu, i zatrzymał się w progu obszernej sieni, gdzie lokaj we fraku, krótkich opiętych spodniach, białych pończochach i lakierowanych, na srebrne klamry spinanych trzewikach, otworzył mu drzwi z pośpiechem.

— Pani wyjeżdża, rzekł służący, ale mimo to przyjmie pana barona.

Jednocześnie pokojówka nie ładna, lecz zalotna z pozoru, przybiegła oznajmiając, iż pani kończy ubieranie i prosi pana barona, aby zatrzymać się raczył w małym salonie.

— Dobrze, dobrze! odrzekł pan de Croix-Dieu, niech się

nie spieszy, chętnie zaczekam. I z całą swobodą człowieka, znajdującego się jakby we własnym swym domu, minął pierwszy salon w stylu chińskim, ściśle na wzór sal urzędowego przyjęcia w Pekinie przybrany, przeszedł drugi salon w stylu Ludwika XVI-go, pokryty ślicznemi gobelinami rysunku à la Watteau i Boucher'a i wszedł do trzeciego, znacznie mniejszego pokoju, którego ściany przysłoniętemi były jedwabną wschodnią materją w pasy błękitne i białe.

Tu zatrzymał się, a wziąwszy ze stolika najświeższy numer dziennika „Życie paryzkie", rozparł się wygodnie w fotelu na wprost różowego marmurowego kominka, płonącego żywem ogniskiem i zaczął przeglądać artykuły zamieszczone w tem piśmie, zawierające szczegóły wypadków eleganckiego świata Paryża.

W kilka minut potem, otworzyły się cicho i zamknęły w bocznej ścianie drzwi, któremi weszła młoda kobieta; drobne jej nóżki tak lekko stąpały po miękkim kobiercu, iż Croix-Dieu wcale wejścia tego nie zauważył. Zatrzymawszy się tuż przed oczekującym, wybuchnęla głośnym srebrzystym śmiechem.

— Hal ha! baronie, wołała żartobliwie, raczże przecie spojrzeć na moją osóbkę. Zdaje mi się, że ona na to zasługuje? Powiedz mi czy dobrze wyglądam w stroju?

— Jesteś zachwycającą! jak zwykle, kochana Fanny, odrzekł powstając.

Fanny Lambert, ona to bowiem była, uśmiechnęła się złośliwie.

— Ów mały cukierek był koniecznym? odpowiedziała,

przybierając pozę jednej z bohaterek komedji Dumas'a syna. Niestety, zaledwie ów zużyty komplement wywołała moja toaleta. Wstydź się baronie! Przypatrzże mi się lepiej. Uprzedzam, że pragnę jakiegoś innego dowodu uwielbienia, do mej osoby wyłącznie zastosowanego. Włóż swoje binokle, mój dobry i jeżeliś od urodzenia nie został krótkowidzem, powiedz mi coś innego nad owo nieznośnie spospolitowane „zachwycająca." No, jakże? nie zdobędziesz się na coś lepszego? szczebiotała śmiejąc się żartobliwie. Spiesz się, baronie, ja czekam!

W rzeczy samej, młoda kobieta była uroczo piękną w swej aksamitnej fioletowej sukni obszytej sobolami. Płaszczyk, podobny jak suknia, z takiemże obszyciem, maleńki aksamitny fiołkowy kapelusik, umieszczony na wierzchu piramidalnie uczesanych jej jasno-blond włosów, uzupełniały ubranie. W ręku trzymała maleńką aksamitną mufkę, zastosowaną do całości kostjumu, a drobne jej, kształtne nóżki, obute w buciki, godnemi były nóżek historycznego Kopciuszka.

Przedstawiając w jednym z poprzednich rozdziałów portret Fanny, malowany z pamięci przez Jerzego Tréjana, odfotografowaliśmy ją jak najwierniej. Cokolwiekbądź więc chcielibyśmy dodać pod względem niezwykłej piękności tej kobiety, byłoby tylko powtarzaniem się.

Wielu z czytelników zna dobrze syreny w tym rodzaju, jakiej nadaliśmy nazwisko Fanny Lambert. Poznają w niej jedną z tychże, pod maską przejrzystą przysłaniającą zaledwie jej rysy twarzy i przyznają, że Jerzy Tréjan był nader zdolnym malarzem, a w braku innych zalet, był

przynajmniej wiernym kopistą.

Filip de Croix-Dieu, znalazł bez trudu wyrazy, tak natarczywie żądanej przez młodą kobietę pochwały, za co w nagrodę nadstawiła mu czoło do pocałunku mówiąc:

— Wszelka praca wynagrodzoną być winna. Płacę ci, baronie, twój wysiłek autorski.

Croix-Dieu dotknął ustami włosów, zalotnie nastrzępionych nad białem czołem Fanny.

— Pomówmy na serjo drogie dziecię, rzekł. Przybywam z ulicy de Laval.

— Widziałeś Jerzego?

— Widziałem.

— Mówiłeś mu o mnie?

— Rzecz naturalna, ponieważ dla tego jedynie, jeździłem do niego.

— I cóż?

— Ha! sprawdziło się, com przepowiedział.

— Tréjan jest zakochanym w twej kornej służce?

— Szalenie!

— Kaprys chwilowy.

— Nie! to prawdziwa, gorąca miłość!

— Co mówisz?

— Mówię, prawdziwe, namiętne uczucie!

Fanny Lambert, rzuciwszy mufkę na krzesło, siadła przed kominkiem.

— Mówisz prawdziwe, gorące uczucie, zawołała śmiejąc się wesoło. Ależ to ciekawe. Opowiedz mi wszystko, baronie, opowiedz.

— Lecz powóz czeka na ciebie.

— Niech czeka. Jerzy więc obrał ciebie za powiernika?

— Tak, pomimowolnie. Wybadałem go tak zręcznie, że ani się spostrzegł. Ten chłopiec szalenie w tobie jest rozkochanym. Na pamiątkę zrobił sobie twój portret. Jest to coś cudownie pięknego! Ofiarowałem mu zań bajeczną cenę, nie przyjął jej, mimo że się znajduje w wielkich kłopotach pieniężnych.

— Biedny chłopiec! szepnęła Fanny.

— Żałujesz go?

— Ma się rozumieć! Znam ja podobnie przykre położenie z własnego doświadczenia.

— I w dodatku ów biedak zakochał się w tobie.

— Co do tego, należy się jeszcze przekonać. Ale dla czego wówczas, gdym była u niego, nie pokazał tego, jak mówisz, tyle pięknego portretu?

— Ponieważ obawia się, abyś go nie zażądała dla siebie, czego wówczas odmówić by ci nie mógł, a zachować go pragnie.

— Wiesz co, baronie? poczynam teraz wierzyć twemu opowiadaniu. Tak, to podobne do pierwszych blasków miłości. Powiedz mi zatem, czy w razie, gdybyśmy snuli dalej nasze plany, Jerzy gotów byłby mnie poślubić?

— Być może.

— Jakto, wątpliwość? zawołała Fanny; istnieją więc jakie przeszkody?

— Tak, lecz przeszkody te można będzie usunąć, jeżeli ściśle za mojemi wskazówkami pójść zechcesz i będziesz czyniła wszystko z swej strony, aby Jerzego nakłonić do małżeństwa.

Gładkie czoło Fanny zmarszczyło się z lekka. Wielkie jej zielonawe oczy o przenikliwem spojrzeniu, patrzyły ponuro. Głęboko zadumana, wsparła jedną z swych, drobnych nóżek na okratowaniu płonącego ogniem kominka.

— Nad czem tak przemyśliwasz? pytał Croix-Dieu.

— Rozważam baronie, odpowiedziała, czy warto zadawać sobie tyle pracy, ponosić długie zabiegi, dlatego, ażeby jakiś tam biedak raczył wyświadczyć zaszczyt, pięknej jak ja kobiecie, pojmując ją za żonę?

— Pamiętaj o tem, że ów biedak, jak go nazwałaś, jest hrabią de Tréjan.

— Bo też inaczej myśleć o nim nie wartoby było! Według mnie, w tej ważnej sprawie potrzeba działać z wielką przezornością. Jestżeś pewnym, że Jerzy jest rzeczywiście hrabią de Tréjan?

Croix-Dieu, wydobywszy arkusz papieru stemplowego, podał go młodej kobiecie.

— Oto moja odpowiedź, wyrzekł poważnie, jest to kopia aktu urzędowego. Czyliż podobny dokument wątpliwym być może?

— Cóż mieści w sobie ów papier?

— Akt urodzenia Jerzego, Baala, Maksymiliana de Tréjan, jak i akt zejścia jego ojca, Ludwika, Kacpra, hrabiego de Tréjan, wicehrabiego de Saint-Paul, barona de Guër, właściciela Landuae, Binoire, Palud i innych majętności. Hrabiowie de Tréjan pochodzą z najdawniejszej szlachty bretońskiej; istnieli już oni w ośmsetnym roku. Ich herb umieszczonym jest w Wersalu, w sali Krzyżowców.

Spokrewnieni z najstarożytniejszemi rodzinami Francji! Jerzy jest bliskim kuzynem wicehrabiego Armanda de Grandlieu, którego małżeństwo w niedawnym czasie tak głośnem się stało.

— Tak, pan de Grandlieu, człowiek niezmiernie bogaty, lecz mający podobno przeszło lat sześćdziesiąt, zaślubił wychowaną przez siebie sierotę, panienkę cudnej urody, Herminię de Randal. Ale, mówiła dalej Fanny, powiedz mi baronie, jakim sposobem Jerzy, potomek tak znakomitego rodu, właściciel tylu majętności, przywiedziony został do tak smutnego stanu, iż pędzlem na życie zarabiać dziś musi, mając przytem więcej długów niż obrazów do sprzedania?

— Zaraz ci to wytłómaczę, odparł Croix-Dieu z powagą. Rozległe dobra hrabiów de Tréjan przeszły podczas ich emigracji na własność państwa. Dziad Jerzego, po powrocie Burbonów, za otrzymany milion indemnizacji, odkupił zamek Tréjan wraz z otaczającemi go dobrami i umarł w dziewięćdziesiątym roku życia, spodziewając się że syn jego, Ludwik, zapomocą bogatego małżeństwa przywróci dawną świetność rodowi. Hrabia Ludwik człek lekkomyślny, oddany całkiem rozkoszom życia, ożenił się z panienką ubogą, po której wkrótce owdowiał. Sprzedawszy następnie swój historyczny zamek, jak również i otaczające go włości, z zebranemi kapitałami przybył do Paryża, gdzie rozpoczął giełdowe spekulacje, nie szczędząc sobie przytem uciech światowych. Lubił zbytki, okazałość, rasowe konie, grę hazardową, kobiety i dobrą kuchnię. Wiodąc podobne życie, rujnował się po kilka razy i dźwigał się znowu skutkiem giełdowych operacji, aż wreszcie, w

pięćdziesiątym roku życia zginął w pojedynku o jakąś baletniczkę z opery. Pozostały po nim majątek dosięgał zaledwie dwudziestu tysięcy franków.

Oto szczegóły o ojcu, a teraz przejdźmy do syna.

VII.

— Jerzy w dwudziestym roku życia, mówił dalej pan de Croix-Dieu, ukończył nauki w kolegium Ludwika Wielkiego. Wyzwolono go z pod opieki, oddawszy mu resztki roztrwonionego przez ojca majątku, w postaci kilku biletów bankowych. I otóż znalazł się sam, na bruku Paryża, w konieczności zarabiania na swe utrzymanie. Jak jednak pracować? W kolegium otrzymywał za rysunki nagrody. Miał do sztuk pięknych upodobanie; zresztą, to co słyszał o niezależnem i pełnem fantazji życiu artystów, nęciło go ku sobie. Postanowił więc poświęcić się malarstwu i wstąpił jako uczeń do jednej z pierwszorzędnych pracowni, nie chcąc wszelako wnosić wraz z sobą swego hrabiowskiego tytułu pośród ubogich współtowarzyszów pracy, odrzucił arystokratyczne, „de“ dla przekształcenia nazwiska i oto wyjaśnienie w jaki sposób hrabia de Tréjan. został mieszczaninem Jerzym Tréjan.

Widzisz więc droga Fanny, kończył de Croix-Dieu, iż w całej tej sprawie nic nie ma romantycznego, i ażeby nadać blask starej tarczy herbowej Jerzego, wystarczy odzłocić ją tylko. Przedstawiłem ci szczegóły w całej prawdzie, takiemi

jak są. Jestżeś z moich objaśnień zadowoloną?

— Bezwątpienia, w tem co dotyczy rodziny Tréjan, lecz niezupełnie co do samego Jerzego.

— Pytaj mnie więc, a odpowiadać ci będę.

— Jerzy posiada talent, nieprawdaż?

— Wielki, wytworny talent, oryginalny. Jest to ogólne zdanie wszystkich znawców malarstwa.

— Jak wytłómaczyć więc, że obok talentu posiada tak mało wziętości, rozgłosu i zarabia tak nie wiele swym pędzlem, wówczas, gdy inni artyści zdobywszy sławę, zbierają szybko majątek?

— Rzecz bardzo prosta; na Boga! Jest on leniwym, lubi próżnować, do czego sam się przyznaje. W żyłach jego płynie krew ojcowska. Praca go nuży, zniechęca, ponieważ jej rezultaty nie są dlań wystarczającemi. Rachować się nie umie, lubi wydawać, otaczać się zbytkiem; wciąż potrzebuje pieniędzy, co stawia go w fatalnej zależności wyzyskiwaczów handlarzy, jacy udzielonemi naprzód zaliczkami trzymają go w rękach! Brak mu energii, ażeby z odwagą nakazać sobie w wydatkach umiarkowanie i pozbawić się czegośkolwiek. Ztąd wynika i brak wziętości, zniechęcenie do życia! kłopoty i długi. Jerzy jest człowiekiem miękkiej natury, dusza słaba, bez hartu. Jeden wysiłek, jedno uderzenie skrzydłem, wystarczyłyby do wzniesienia się jego na szczyty widowni, gdzie zdobywa się majątek i chwałę. On tego prawdopodobnie nie dokona, nigdy dokonać nie zdoła!

Na te wyrazy, Fanny kapryśnie usta skrzywiła.

— Ach! wiesz baronie, wyrzekła, iż sądząc według tego

co od ciebie słyszę, nie obiecującego małżonka miałabym w Jerzym, gdybym wyszła za niego.

Filip de Croix-Dieu, wzruszył ramionami.

— Dziwią mnie twe słowa, na honor! zawołał, gdzież twój zmysł przenikliwości, twa jasna inteligencja?

— Zdaje mi się... zapytała Fanny.

— Źle ci się zdaje, przerwał baron. Dowiodę ci w ciągu trzech minut niezbitemi argumentami, że Jerzy jest właśnie dla ciebie jakby wybranym mężem i że nie znaleźlibyśmy drugiego podobnie odpowiedniego, choćbyśmy go najstaranniej szukali. Chcesz że posłuchać tego co powiem?

— Najchętniej.

— Przedewszystkiem więc, jeśli się zrzekniesz swojej tyle ci drogiej swobody, to rzecz prosta dla głośno brzmiącego nazwiska, któreby na zawsze pokryło nazwę Fanny Lambert i zarazem na oścież otwarło zamknięte dziś dla ciebie podwoje salonów, nazwiska wreszcie, jakieby dozwoliło ci wejść w arystokratyczne koła Paryża.

— Bezwątpienia; wszak dobrze wiesz o tem baronie, ponieważ ty pierwszy nasunąłeś mi ów projekt.

— Powiedz mi więc, proszę, gdzież mogłabyś piękniejsze nazwisko odnaleźć jak hrabiny de Tréjan?

— Mogłabym zostać księżną albo markizą.

Croix-Dieu zaledwie nie wybuchnął śmiechem.

— Moja kochana, odrzekł, uważam, iż w głowie ci się mieszać poczyna.

— Dla czego? Czyż nie mam prawa dążyć do najwyższych światowych stanowisk? Nie jestem że piękną, młodą i bogatą?

— Tak, niezaprzeczenie, posiadasz piękność, młodość i majątek.

— A zatem?

— Lecz pomimo tego wszystkiego, jesteś tylko Fanną Lambert, o tem pamiętać ci należy. O! nie przerywaj mi, dodał widząc rumieniącą się młodą kobietę, nie przerywaj, i dozwól mi skończyć. Chciałabyś, mówisz, być księżną? Jest to urojenie, fantazja, jak tyle innych. Masz-li jakiego księcia pod ręką dla siebie?

— Nie mam, ale odnaleźć go mogę każdej chwili..

— Z trudnością, upewniam. Książęta bezżenni rzadko dostrzedz się dają i nader gorliwie są poszukiwanymi na giełdzie małżeństwa. Najbogatsze dziedziczki Francji ofiarują im swą rękę wraz z miljonami, ztąd żaden z nich nie miałby widoków korzyści łącząc się z tobą.

— Ależ baronie, jesteś niegrzecznym, brutalnym.

— Jak każdy, mówiący prawdę, moja kochana. Pozwól mi dodać, że szlachectwo Jerzego warte niezawodnie tyle co rodowody domów książęcych, i że wszyscy ogółem książęta z czasów pierwszego cesarstwa, nie dorównywają starożytnością pochodzenia Tréjan'om. Zostawmy ich więc na stronie, a przejdźmy do markizów. Mam aż trzech dla ciebie do wyboru.

— A! widzisz więc? zawołała Fanny z zadowoleniem.

— Pierwszy z nich, jest bohaterskim szczątkiem wielkiej francuskiej armii; stracił lewą rękę pod Wagram, a prawą nogę pod Waterloo. Ma lat ośmdziesiąt dziewięć, żyje ze szczupłej emerytury i pensji wypłacanej mu za komandorski krzyż Legii honorowej. Zechciałażbyś

zaślubić tak ciężko okaleczałego markiza?

— Zostawmy go, mów dalej, odpowiedziała Fanny.

— Drugi mój markiz, ciągnął dalej Croix-Dieu, ma lat czterdzieści. Nosi świetne nazwisko, ale nie posiadając całkiem majątku, pracuje jako ekspedytor w biurze lombardu Mont-de-piéte. Pozycja skromna, ale uczciwa.

— Mniejsza z tem że nie posiada majątku, odrzekła młoda kobieta. Jerzy Tréjan jest tylko hrabią, a również nic nie ma.

— Pozwól że mi dokończyć, zawołał Croix-Dieu. Ów markiz, o którym mówimy, ma zaledwie cztery i pół stopy wysokości; a matka natura w zamian za poskąpienie mu wzrostu, obdarzyła tego człowieka potężnym garbem. Przyjmiesz że owego garbusa wypchanego pargaminami?

— Dalej, dalej, powtórzyła niecierpliwie Fanny.

— Trzeci mój markiz, mówił baron, szedł za przykładem hrabiego Ludwika, ojca Jerzego. Jak tamten, przetopił swój cały majątek w hulankach wesołego paryskiego życia, nie miał jednak jak pierwszy zbawczego zmysłu o tyle, ażeby umrzeć przed ostatecznym upadkiem. Ma on dziś lat sześćdziesiąt. Niektóre wpływowe osobistości umieściły go w domu schronienia dla nieuleczalnych, a co parę miesięcy, skoro mu się polepszy nieco na zdrowiu, puka bez wstrętu do swych dawnych znajomych, żebrząc o kilka sztuk monety na kawę i tytoń. Chcesz-że go zaślubić? Uprzedzam; iż całem sercem, najchętniej uczyni cię markizą.

Fanny wzruszyła ramionami.

— Żartujesz sobie ze mnie, baronie, zawołała. Stawiasz

umyślnie kandydatów nie do przyjęcia.

— Cóż chcesz? robię co mogę. Przedstawiam ci markizów, jakiemi mógłbym rozporządzić. Czyż moja wina, że ci się nie podobają? Wróćmy więc do naszej pierwotnej propozycji i pozwól się przekonać, że Jerzy Tréjan jest jak gdyby dla ciebie na męża stworzonym, nie znajdziesz odpowiedniejszej partji, przysięgam!

— Tak sądzisz?...

— Niezaprzeczenie. Dzienniki nasze bywają złośliwemi; kronikarze mają ostre zęby. Paplają o wszystkiem. Małżeństwo Fanny Lambert może im podać obfite żniwo ku temu, wyjątkowe zaś stanowisko naszego przyjaciela Tréjan'a mogłoby przywieść tych panów do stanowczego milczenia. Odjęłoby ono im chęć do głoszenia publice z różnego rodzaju półsłówkami i domyślnikami swych uwag, iż kupujesz sobie nazwisko i tytuł za dwa miliony.

— Jakże temu zapobiedz? Gdy mówiąc to, powiedzieliby prawdę?

— Ja zobowiązuję się dowieść publicznie w sposób przekonywający, że zaślubiasz sławnego człowieka otoczonego chwałą i bogatszego od ciebie, bo jeśli ty posiadasz sto tysięcy liwrów rocznej renty, on zarabia sto pięćdziesiąt.

— Jakto, mógłbyś dowieść tego, baronie?

— Niezawodnie.

— Ależ to fałsz!

— Fałsz, mający wielkie pozory prawdy.

— Pozory prawdy! w jaki sposób?

— Chodzi tu o zakupienie ze dwunastu sztuk malowideł

Jerzego, mniej więcej za cenę stu talarów, u kupca przy ulicy Lafitte. Po zakupieniu, przyniesiemy je na ulicę Drouot, do sali licytacyjnej, gdzie zwykle zbierają się paryscy milionerowie. Tam komisarz, sprzedający w obec licznej konkurencji, przysądzi je za skromną kwotę, po dwadzieścia do trzydziestu tysięcy franków każdy.

— Lecz komu, ktoby je chciał kupić?

— Kto? ja do czarta! Narobi to piekielnego hałasu, sprawi ogromną sensację! Wszystkie dzienniki głosić będą o tem i sława twojego męża w kilku dniach wzrośnie do niesłychanych rozmiarów. Wszystko to jest jednak drobnostką, w obec jego przyszłości. Staraj się nakłonić Jerzego, ażeby dał twój portret malowany z pamięci na przyszłą wystawę w Salonie. Jest to arcydzieło, upewniam. Sława artysty wzrośnie. W miarę rozgłosu nazwisko jego pójdzie w górę! Poprze to wszystko reklama, za pomocą naszych stosunków i wpływów. Jerzy otrzyma medal, zostanie pierwszorzędnym artystą i cały Paryż przyklaśnie z zapałem związkowi hrabiego Tréjan z prześliczną kobietą, której czarujące oblicze podniosło jego talent do wyżyn geniusza! Cóż na to mówisz moja Fanny?

— Mówię, że jesteś zawołanym dyplomatą. Posiadasz dar czarowania wymową.

— Kończę więc. Oburzałaś się przed chwilą na brak energii Jerzego i jego słabość charakteru. Według mego zapatrywania, te właśnie jego wady są drogocennym dla ciebie darem. Nie należysz do kobiet ulegających jakiejbądźkolwiek obcej woli. Nie, nigdy. Wiem naprzód, iż ty rządzić będziesz. Zostawszy hrabiną de Tréjan, będziesz

królową i panią w swym domu. Jerzy ulegnie z łatwością twemu wpływowi, a jako niemającemu swej woli, narzucisz własną, jak rzeźbiarz nadaje postać glinie dotknięciem swej dłoni. Zachowasz dotychczasową swobodę i po zawarciu małżeństwa, będziesz rządziła bez ograniczeń tak swą osobą, jak i majątkiem. Otóż co droga „hrabino“ pragnę ci ofiarować! Niechaj świat cały osądzi, czy dar piękniejszy złożyć ci można? A teraz, odpowiedz mi szczerze, dozwoliłaś się przekonać. Zgadzasz się na moją propozycję

— Zupełnie.

— Jestżeś gotową zaślubić Jerzego de Tréjan?

— Zaślubię go!

— Doskonale! Byłem pewny, że to się tak skończy... Objaśnię cię teraz jak postępować należy, ażeby to małżeństwo do skutku doprowadzić.

— Ależ, odpowiedziała Fanny, zdaje mi się, że tu potrzeba było tylko mojego zezwolenia. Wszak powiedziałeś, że Jerzy szalenie jest we mnie zakochanym?

— Gdyby cię nawet kochał najszaleniej, nie ożeniłby się z tobą, gdybym ja nie wpłynął na niego, ukazując temu dobremu chłopcu słońce w pełnym blasku. Położyłem już fundamenta, reszta pójdzie z łatwością. Będziesz działała według moich wskazówek. Zakończenie ja sam stanowczo — biorę na siebie.

— Cóż więc mam robić?

— Odegrać małą komedję, do czego jesteś tak zdolną.

— A ta komedja?

— Wskażę ci jej szczegóły.

VIII.

Nie chcemy powtarzać objaśnień udzielanych Fanny przez pana Croix-Dieu. Czytelnicy poznają z wypadków dalszy ciąg rozmowy barona z tą młodą syreną.

— Sądzę iż zrozumiałaś? zapytał ją, skończywszy.

— W zupełności, wszak wiesz, że jestem inteligentną.

— „I przejmiesz się swą rolą“ jak mówią w teatrze?

— Jest ona trudną szalenie, będę się jednak starała odegrać ją najdokładniej.

— Liczę na to. Kiedyż zobaczysz się z Jerzym?

— Trzeba kuć żelazo póki gorące, nieprawdaż? odpowiedziała wesoło. A zatem będę się z nim widziała jeszcze dziś wieczorem. Zresztą od niego zależeć to będzie.

— Zobaczysz się z nim tu, czy w pracowni?

— Tu; tu jestem swobodniejszą znajdując się u siebie.

— Dobrze.

— A ty, baronie, kiedy będziesz u mnie? Może jutro z rana?

— Niepodobna! mam czas zajęty do po południa. Oczekuj mnie koło czwartej.

— Zgoda!

— Jerzy po jutrze będzie u mnie na śniadaniu, mówił Croix-Dieu, stosownie do tego co mi jutro zakomunitujesz, działać będę dalej. Do jutra zatem „hrabino“, dodał żartobliwie.

— Do jutra baronie.

Była godzina trzecia z południa. Piękne zimowe słońce obsypywało tysiącami iskier gałęzie platanów, pokrytych

szronem w pałacowym dziedzińcu. Konie tętniły na zlodowaciałym gruncie alei Cesarzowej, ciągnąc szeregi szybko mijających się powozów. I baron wyruszył, wołając na stangreta.

— Ulica Caumartin, spiesz!

Jednocześnie Fanny Lambert, zasiadłszy przy hebanowem biórku wykładanem kością słoniową, pisała bilecik jaki następnie wręczywszy służącemu, poleciła zanieść takowy na ulicę Laval, do Jerzego Tréjan i gdyby artysta był w domu, przynieść odpowiedź. Następnie zapuściwszy na twarz maleńką, przejrzystą woalkę, która młodym kobietom tyle dodaje wdzięku, wsiadła do powozu, gdzie zniknęła prawie wśród stosu futer z niebieskich lisów, wartujących co najmniej ze dwadzieścia tysięcy franków, i kazała się zawieść do lasku.

Jerzy Tréjan, mniej niż kiedykolwiek usposobiony do pracy, właśnie miał wyjść, gdy Walenty oddał mu maleńki liścik, przyniesiony przez służącego. Spojrzawszy na adres, wypisany drobniuchnym kobiecym charakterem i uczuwszy przenikliwą woń opoponaksu, ulatniającą się z listu, artysta drgnął jak tknięty iskrą elektryczną. Serce gwałtownie bić mu zaczęło. Poznał to pismo i przed rozdarciem koperty, dotknął ustami liter kreślonych drobną dłonią Fanny, poczem przebiegał szybko wzrokiem, co następuje:

„Wybacz, drogi artysto, śmiałość i niedyskretność z mej strony, potrzebuję jednak widzieć się z tobą niezwłocznie, dla zasięgnięcia twej rady. Chodzi mi o udekorowanie nowego buduaru jaki sobie urządzić pragnę w rodzaju nieznanego dotąd cudu. Ażeby ów cel osiągnąć, do kogóż

mam się udać, jak nie do ciebie? Twoja to wina, iż uprzejmością ośmielasz mnie do nadużywania twej życzliwości. Nie odmawiaj mi pomocy, inaczej zrzec się byłabym zmuszoną tego projektu, co wielką by mi przykrość sprawiło. Nie odmówisz mej prośbie, wszak prawda? Proszę więc, jeśli tylko ci czas pozwoli, przybądź dziś wieczorem około dziewiątej do mnie na filiżankę herbaty. Oprócz ciebie, dziś nieprzyjmuję nikogo.

Fanny Lambert.“

Zaledwie Jerzy ukończył czytanie listu, we drzwiach pracowni ukazała się głowa Walentego.

— Zapomniałem panu powiedzieć... rzekł.

— O czem?

— Że lokaj czeka w przedpokoju. Czy pan da odpowiedź?

— Odpiszę natychmiast, odparł artysta.

Napisać, łatwo to było powiedzieć, ale nie łatwo dokonać. W maleńkim zaimprowizowanym bileciku, pomieścić dostateczną ilość dowcipu, uprzejmości, wraz z tajonem powściągliwie uczuciem? i wszystko to zawrzeć w czterech wierszach najwyżej. Ciężkie to było zadanie do spełnienia dla Jerzego. Podarł parę brulionów i nakreślił wreszcie treściwie te kilka wyrazów:

Dziś wieczorem, jak zawsze, łaskawa pani, całkiem tobie oddany, sługa

Jerzy Tréjan.“

Resztę dnia spędził jak na mękach, z domu nie wychodząc wcale, przechadzając się z pracowni do sypialni i na odwrót, patrząc co chwila na cyferblat zegara, którego kółka zdawały mu się być chyba zepsutemi, tak mu czas wolno upływał. Godziny mknęły wszelako i noc nareszcie zapadła.

Zbliżała się godzina schadzki. Czas był artyście rozpocząć toaletę. Oddał się całkowicie temu zajęciu, niezaniedbując wszystkiego, co mogło podwyższyć i uwydatnić jego urodę.

Myśl o zdobyciu w przyszłości, wielkiego majątku, lubo niepewna dotąd, wszak przypuszczalna, wiodła go do użycia w pomoc wszelkich środków kokieterji, właściwej kobietom, jakie pragną dorzucić nową kartę tryumfu do otrzymanych już zwycięztw.

— Jeżeli ja jej się nie podobam, któż się jej spodoba, zapytywał Jerzy sam siebie, zadowolony własnym poglądem. Poczem dodał z uśmiechem: Nie; ja pozyskać ją muszę!

Zegar wskazywał kwadrans po ósmej.

Walenty otrzymał rozkaz sprowadzenia powozu z pobliskiej remizy i woźnica za obietnicą sutego napiwku, popędził szybko w stronę pól Elizejskich.

Jeżeli serce Jerzego uderzało silnie w chwili gdy Walenty oddawał mu list Fanny Lambert, nie mniej biło ono gwałtownie, gdy powóz minąwszy ulicę Le Sueur, zatrzymał się przed okratowaniem pałacyku, którego progów nigdy on dotąd jeszcze nie przestąpił!

Zadzwonił drżącą ręką.

Furtka w okratowaniu otwarła się natychmiast i Jerzy wszedł w dziedziniec, oświetlony dwoma gazowemi lampionami.

— Pani nie przyjmuje dziś, rzekł odźwierny podchodząc z ukłonem ku przybyłemu.

— Pani oczekuje na mnie, odrzekł Tréjan.

Odźwierny, spełnił widocznie to co mu nakazano; cofnąwszy się bowiem w głąb, zadzwonił, oznajmując o przybyciu gościa.

Główne drzwi szklane otwarły się bezzwłocznie, lokaj wprowadził Jerzego do obszernej sieni.

Jednocześnie ukazała się pokojówka.

— Czy to do pana dziś pani list wysłała? zagadnęła z filuternym uśmiechem.

— Do mnie, odpowiedział.

— Racz pan pójść za mną.

I, prowadzony przez swą przewodniczkę, Tréjan przeszedł salon chiński i drugi urządzony w stylu Ludwika XVI-go, zbyt jednak wzruszony i niespokojny nie zwrócił nawet uwagi na znajdujące się tu przedmioty.

Pokojówka otworzyła drzwi do ostatniego salonu.

— Pani jest tam, wyrzekła, niech pan wejść raczy.

Jerzy zatrzymał się w progu olśniony, drżący, oczarowany.

IX.

Pozostawiliśmy Filipa de Croix-Dieu, jadącego z pałacu Fanny Lambert, na ulicę Caumartin.

Przy skręcie z Frydlanckiej alei na bulwar Hausmana, baron spuścił szybę w przedniem oknie powozu, wołając:

— James! Przejedź szybko przedmieście św. Honorjusza, a po za placem Beaureau zwolnij bieg koni.

Kłusak angielski przebiegł jak strzała przedmieście, a w miejscu wskazanem powstrzymywany ręką woźnicy, mknąć zaczął powoli.

W chwili, gdy lekki ekwipaż barona mijał najpiękniejsze pałace, na tej ulicy tak zapełnionej arystokratycznemi mieszkaniami, otwarła się wjazdowa brama, jednego z takich budynków i wyjechał z niej wytworny powóz „coupe, ” uprzężony we dwa rasowe czystej krwi konie, których kształty i świetna uprząż doskonale do wspanialej całości zastosowana, budziły powszechny podziw.

Na siedzeniu, suknem pokrytem, powoził stangret w pudrowanej peruce, otulony w futro, w trójgraniastym obszytym galonami kapeluszu, kierując biegunami z miną pełną powagi. Dwaj olbrzymiego wzrostu lokaje, zarówno upudrowani i otuleni w futra, jak ich powożący kolega, stali po za powozem, trzymając się rzemieni. Tak na suknie pokrywającem siedzenie stangreta jako i na drzwiczkach powozu widniały dwie tarcze herbowe z wicehrabiowską u góry koroną.

Zwolennik nauki heraldycznej, spojrzawszy na owe tarcze, wymieniłby od razu właściciela tego prawdziwie książęcego ekwipaża, ponieważ na obu tarczach były wyryte herby Grandlieu i Randal’ów.

Piękny, poważny, siwowłosy starzec i młoda kobieta, czarownej urody, która wydawała się być jego córką, zajmowali głąb tego powozu. ów starzec był to Armand Roger, wicehrabia de Grandlieu, którego przed dwudziestu przeszło laty widzieliśmy wchodzącego do mieszkania pani Angot, celem przyjęcia ostatniej prośby konającej naówczas Klotyldy hrabiny de Randal. Towarzyszącą obecnie wicehrabiemu młodziuchną kobietę, niegdyś Herminię de Randal, widzieliśmy przy urodzeniu, tej samej nocy i w temże samem mieszkaniu, gdzie Henryka d'Auberive wydała na świat syna.

W jaki sposób Herminia, mająca dwadzieścia dwa lat zaledwie, została żoną pana de Grandlieu, liczącego sześćdziesiąty siódmy rok życia? oto o czem pragniemy objaśnić naszych czytelników.

W chwili gdy wspaniały ekwipaż wicehrabiego wymijał powóz barona de Croix-Dieu, ten ostatni, wychyliwszy się po za drzwiczki, złożył niski ukłon panu de Grandlieu. Wicehrabia odkłonił się, lecz nader zimno i obojętnie.

Ów szczegół nie uszedł uwagi barona, który brwi zmarszczył z niezadowoleniem, natychmiast jednak odwrócił głowę, jakby rozproszyć pragnąc przykre wrażenie. Dziwny sarkastyczny uśmiech wybiegł mu na usta, gdy spostrzegł po drugiej stronie ulicy przy trotuarze, na wprost pałacu pana de Grandlieu, stojący powóz, uprzężony we dwa siwej maści konie, na drzwiczkach, którego widocznemi były dwa połączone inicjały S. i R. z markizowską u wierzchu koroną.

Młody o brunatnej cerze, a szarych oczach mężczyzna,

siedzący w owym powozie wychylił się zeń, ścigając wzrokiem namiętnym ekwipaż pana de Grandlieu, który skręciwszy w stronę pól Elizejskich zniknął po kilku sekundach.

Ów młodzieniec spostrzegł natenczas barona, patrzącego na siebie z owym znaczącym uśmiechem. Zarumienił się jak dziewczę schwytane na pisaniu miłosnego liściku i chciał się cofnąć w głąb powozu. Na coby się to jednak przydało, skoro baron go poznał? Uśmiechnął się więc i on nawzajem, przesłał ukłon ręką i rozkazał jechać stangretowi.

Konie pomknęły szybko w stronę pól Elizejskich.

— Doskonale, wyszepnął Croix-Dieu, nigdy grunt lepiej przysposobionym być nie mógł. Aby tylko siewca był zręcznym, obfitego żniwa spodziewać się można. James! zawołał głośno, pospieszaj!

Kłusak rzucił się w bieg i po trzech minutach stanęli przed pięknym domem przy ulicy Caumartin.

Croix-Dieu wysiadł, a skinąwszy z lekka głową witającemu go niskim pokłonem odźwiernemu zapytał:

— Pani jest w domu?

— Jest, panie baronie.

— A pan Oktawiusz?

— Przez dwa dni nie ukazywał się wcale, lecz powrócił dziś rano. Źle bardzo wygląda. Biedny pan Oktawiusz! Kto wie jak długo pożyje. Szkoda byłoby tak dobrego młodzieńca! Szczodry, wspaniałomyślny, nie dumny wcale! Ach! gdyby pan baron, który dla niego prawie jest ojcem, zechciał mu rad swoich udzielić!

— Napominam go, jest to moim obowiązkiem. Nie słucha, niech co chce robi, odrzekł Croix-Dieu, który lubił niekiedy dla przyczyn sobie tylko wiadomych, rozmawiać ze służącymi. Co chcesz? dodał, trzeba, ażeby młodość wyszumiała.

I wszedł na schody, pokryte szkarłatnym chodnikiem a dosięgnąwszy pierwszego piętra, zatrzymał się przedodrzwiami, przysłoniętemi aksamitną zasłoną pa za którą znajdowały się drugie drzwi hebanowe, nabijane miedzią.

Zadzwonił.

Lokaj czarno ubrany z pośpiechem drzwi mu otworzył.

— Dzień dobry, Dominiku, rzekł Croix-Dieu. Pani przyjmuje? Jest w domu?

— Dla pana barona jest zawsze w domu, odrzekł służący. Znajdzie ją pan w małym żółtym salonie. Oto list od pana Oktawiusza, dodał, zdejmując palto z przybyłego. I jednocześnie na srebrnej tacy, przeznaczonej do przyjmowania kart wizytowych, podał mu list, w trójkąt złożony. Croix-Dieu, rozwinął papier i czytał co następuje:

„Baronie! postępujesz jak dziwak, oryginał, na honor! Stajesz się człowiekiem, z którym żyć niepodobna! Bawiliśmy się zawzięcie tej nocy na baliku u Reginy, gdzie tyś się wcale nie pokazał. Są ludzie, którzy pragnąc cię widzieć gonią za tobą i nigdzie odnaleźć cię nie mogą. Wszędzie jesteś nieobecnym, jak gdybyś skrył się pod ziemię. Oczekiwaliśmy na ciebie u Reginy, nie przybyłeś. Jest ona wściekle zagniewaną. Potrzebuję choć kilka minut pomówić z tobą, nasz dobry przyjacielu. Gdybyś był u

mamy, co jest bardzo, prawdopodobnem, bo stałeś się dla niej tak niezbędnym, jak jej stare meble, zechciej przyjść do mnie. Nie wyjdę z domu aż o siódmej, ażeby pójść z Reginą do restauracji, nie mów jednak o tem mamie, uprzedzam.

Nic nie wiesz iż dzisiejszego rana miałem z kochaną mamą hałaśliwą sprzeczkę. Na szczęście jednak, rzucanych przez nią gromów nie uląkłem się wcale, wiedząc iż za jedenaście miesięcy i dni siedmnaście będę pełnoletnim nareszcie, czego oczekuję jak zbawienia. Muszę cię jednak powiadomić, iż mama podobno przeciw mnie knuje jakiś spisek i chce w dniu mej pełnoletności ustanowić nademną sądową kuratelę. Liczę na ciebie, przyjacielu, że mnie wyzwolisz z tyle przykrego położenia. Miliony po nieboszczyku mym papie pleśnieją, złożone w banku. Trzeba je przewietrzyć, ażeby tam nie zbutwiały.

Jeżeli za chwilę nie przybędziesz do mamy, Dominik ma polecenie odnieść ci do mieszkania to pismo. Na miłość Boga oznacz, gdzie z tobą widzieć się mogę, albo najlepiej przyjdź do Reginy. Wiesz że mnie u niej zastaniesz.

Twój całym sercem oddany
Oktawiusz.“

Croix-Dieu, przeczytawszy list, wsunął go z uśmiechem do kieszeni.

— Czy pan baron zostawi odpowiedź? pytał służący.

— Tak. Powiedz panu Oktawiuszowi, że skoro wyjdę od jego matki, wstąpię do niego. Jakże on się miewa ten dobry chłopiec?

— Ach! panie baronie, rzekł lokaj, nasz młody pan zbyt lekceważy swe zdrowie i życie.

— Jak to rozumiesz, Dominiku?

— Świeca zapalona z dwóch końców panie, prędko się zużywa, mówił służący. W wieku pana Oktawiusza oszczędzać się trzeba. „Kto pragnie podróżować daleko, ochrania swego wierzchowca,“ mówi znane przysłowie. Pan Oktawiusz na nic nie zważa. Przepędza noce na grze w karty, na kolacyjkach i balikach. Niech mi pan baron wybaczyć raczy, ale prowadzi on życie prawdziwego paryzkiego hultaja! Aż litość bierze patrząc jak niknie i chudnie z każdym dniem. Wiatr nim prawie powiewa! A syn to jedyny, spadkobierca milionów! O! w miejscu naszej pani, dręczyłbym się tem srodze!

— Jesteś zacnym sługą, Dominiku, oceniam twe przywiązanie do swoich panów. Uspokój się jednak, mówił Croix-Dieu. Pan Oktawiusz w rzeczy samej zazbyt lubi pohulanki, ale pod wątłą powierzchownością posiada wielkie zasoby sił i zdrowia. Otrząśnie się on z tych upodobań, a wtedy zobaczysz jak utyje, zmężnieje.

— Oby to Bóg dał! panie baronie.

— Tak będzie, teraz potrzeba, ażeby młodość wyszumiała.

Powtórzywszy ów stary aforyzm, Croix-Dieu wyszedł z przedpokoju uśmiechnięty; minął obszerny salon zbytkownie przybrany, a uniósłszy jedwabną złotem haftowaną portjerę, zapukał lekko do drzwi, pokrytych malowidłami i złoceniem.

— Proszę wejść, odezwał się głos kobiecy.

Baron otworzył drzwi, uniósł drugą portjerę i znalazł się w salonie średniej wielkości, a raczej buduarze, rzucającym blask oślepiający, ponieważ tak jego ściany, jako i sufit pokrytemi były atłasem złotego koloru. Takież same były firanki i meble. Weneckie zwierciadła w kryształowej oprawie odbijały te barwy olśniewające, przepełnionego zbytkiem i bogactwem pokoju. Zdawało się jakoby kaskada złota ze wszystkich stron tu płynęła.

Przed kominkiem na którym płonął żywy ogień, siedziała, a raczej leżała wsparta na krześle piękna kobieta, czytając książkę, którą upuściła z okrzykiem radości na widok wchodzącego barona.

Piękność ta o żółto matowej cerze kreolki, miała, wyraziste czarne oczy i włosy czarne, mieniące się w ciemno-granatową barwę. Jej twarz owalna o klasycznych rysach, miała wyraz surowej stanowczości. Nizkie czoło oznajmiało siłę woli, posuniętą do uporu. Pełne rumiane usta, głęboko osadzone powieki, przysłonięte długiemi rzęsami, nozdrza ruchomie wydymające się za każdem silniejszem odetchnięciem, wskazywały w tej kobiecie zmysłową, namiętną naturę.

Taką była pani Blanka Gavard, wdowa po przemysłowcu, właścicielka dziesięciu miljonów. Wyglądała na lat trzydzieści, rzeczywiście jednak przeszła już czterdzieści kilka.

X.

Cztery dziesiątki tych wiosen jakie przebiegły nad czołem pani Gavard, nie umniejszyły jej wdzięków. Niemożna było do niej zastosować owej przykrej pochwały: „Jest to kobieta dobrze zakonserwowana“. Była rzeczywiście piękną i młodą. Ani jedna zmarszczka dostrzedz się nie dawała na jej twarzy. Ni jeden włos srebrny nie okazywał się w splotach jej czarnych włosów. A do zachowania swojej urody nie używała tak dziś upowszechnionej sztuki kosmetyków i malowideł. Śmiało ukazać się mogła wśród dnia białego.

Gdyby panią Gavard ujrzano w salonach, lub teatrze z jej synem, wzięto by ją na pewno nie za matkę, ale za siostrę tego młodego człowieka, dodajmy jednak że za nic w świecie owa zalotna i samolubna kokietka nie ukazałaby się publicznie z tym chłopcem, któremu dwudziesty rok życia fałsz zadawał jego z pozoru znacznie starszej fizjognomji. Zresztą dla tysiąca pobudek, jakie w krótce poznamy, nie kierowała się ona wcale uczuciem tkliwości macierzyńskiej.

— Łaskawa pani, wyrzekł Croix-Dieu, składając ukłon ceremonialny przy wejściu, nie pytam o zdrowie. Promienna piękność pani i świeżość, naprzód mnie upewniają w tym względzie.

— Jesteśmy sami, panie baronie, nikt nas nie słyszy, odpowiedziała wdowa, a więc bez banalnych grzeczności.

— Pozwólże przynajmniej, moja uwielbiana, złożyć sobie życzenie dnia dobrego, rzekł z uśmiechem przybyły, dotykając ustami jedwabistych splotów pani Gravard.

Wdowa szybko odwróciła głowę i zmarszczyła brwi z wyrazem nieukontentowania.

— Co się to znaczy? pytał Croix-Dieu, oddalasz mnie od siebie, moja czarowna Blanko. Dla czego? Miałżebym w czemkolwiek zawinić?

— Nie przyszedłeś wczoraj, baronie, odpowiedziała; cóż ci przeszkodzić w tem mogło?

— Wczoraj byłem nieobecny w Paryżu.

— Gdzież byłeś?

— W Saint-Germain.

— Cóżeś tam robił? jeśli zapytać wolno.

— Polowałem w lesie na sarny.

— Rzeczywiście?

— Dowiodę ci to świadkami. Było nas pięciu myśliwych a między niemi pan de Cröion i margrabia Andrzej de San-Remo, których znasz dobrze.

— Zatem, baronie, nie popełniłeś żadnego przeniewierstwa? żadnej nie było intrygi, nic podejrzanego?

— Jak to, posądzałaś mnie o coś podobnego?

— Trochę, przyznaję, a nawet wiele. Co chcesz, jestem zazdrosną, mówię to otwarcie.

— To źle! Jak możesz wątpić o mnie, który dla ciebie tylko żyję!

— Kochasz mnie więc?

— Uwielbiam! Dobrze wiesz o tem. Jesteś tego pewną.

— Kochasz tyle, co dawniej?

— Stokroć razy więcej! Jedyny mam cel życia, jedno marzenie. Dla czego nie chcesz urzeczywistnić go coprędzej, wszak w ciągu dwóch tygodni mogłabyś się nazywać baronową de Croix-Dieu?

Pani Gavard wzruszyła lekko ramionami.

— Znasz dobrze powody, odpowiedziała. Wyszedłszy za mąż, utracę prawo opieki nad synem, opieki, której wyrzec się nie chcę do ostatniej chwili z przyczyn bardzo ważnych. Dosyć zostałam pokrzywdzoną przez nieboszczyka mojego męża, który mnie pozbawił przynależnej legalnie części majątku, zdobytego wspólną z nim pracą, ażebym jeszcze dobrowolnie zrzekać się miała dochodów, jakiemi mam prawo rozporządzać do chwili pełnoletności mojego syna. W ciągu roku zostanę twą żoną.

— Rok zatem czekać mi każesz! wyszepnął z westchnieniem Croix-Dieu. Ach jakże długi to przeciąg czasu!

Piękna wdowa wzruszyła powtórnie ramionami, ale tym razem z uśmiechem.

— O cóż ci chodzi, baronie? odpowiedziała. Czyż możesz się na mnie uskarżać? Jestem dla ciebie tak dobrą, wyrozumiałą! Nie wzdychaj więc proszę i nie zasmucaj mnie daremno.

Filip de Croix-Dieu, pochwycił mówiącą w objęcia i przytulił ją do swych piersi.

— Tak, wyszepnęła, poddając się namiętnie, uściskom. Kochaj mnie, pociesz. Potrzebuję być kochaną, potrzebuję pociechy.

— Pociechy? z jakiej przyczyny? Miałażbyś mieć droga Blanko, jaką zgryzotę?

— Mam i bardzo ciężką!

— Zkąd?

— Ze strony Oktawiusza.

— Znowu?

— Tak, bezustannie, niestety!

— W czemże przewinił ów zły chłopiec?

— Jak zwykle popełnia głupstwa niesłychane, szaleństwa! Niszczy zdrowie i życie, bruka swą przyszłość, a obok tego rabuje mój majątek.

— Chciałaś powiedzieć swój własny.

— Nie! wszak będąc małoletnim obecnie, nic nie posiada.

— To prawda, lecz przed upływem roku będzie właścicielem sześciu milionów.

— Które popłyną przez jego ręce jak woda, roztopią się jak śnieg słońcem rozgrzany. I dla kogo je straci, na Boga, dla kogo? Dla kilku nikczemnych kobiet które rozchwytują ów wspaniały majątek, jaki do mnie należeć powinien. Ach! Filipie, na tę myśl krew burzy się we mnie. Nawykła do wystawnego życia miljonerów, zostanę prawie ubogą, podczas gdy mój syn będzie rozsypywał złoto i banknoty w zniesławionych buduarach i szulerniach!

Jak bywa w podobnych okolicznościach, pani Gavard zapłonęła gniewem, iskry padały z jej czarnych oczów, a łzy na policzki płynęły.

Baron ujął obie jej ręce.

— Uspokój się, ukochana, wyszepnął, na wszystko zaklinam i proszę. Oktawiusz jest winnym, bezwątpienia, lecz przemawiają za nim łagodzące okoliczności.

— Jakie? zapytała.

— Niedoświadczenie młodości, wpływ złych przykładów. Wszyscy prawie młodzi ludzie w takiem jak on położeniu, również postępują.

— Wszyscy prawie, mówisz? To fałsz, zawołała z uniesieniem pani Gavard. Znam takich, u których szał ma pewne granice, u których pewność odziedziczenia majątku nie wyłącza zamiłowania do pracy, nie gasi poczucia własnej godności! Dokąd zaszlibyśmy, przez Boga, gdyby pieniądz zabijał inteligencję i szlachetne porywy serca? Oktawiusz jest wyjątkiem, powiadam! Wyjątkiem pomiędzy najgorszymi!

— Lecz zkąd pochodzi to twoje obecne oburzenie? pytał Croix-Dieu. Musiało pomiędzy wami zajść coś nowego?

— Tak, Oktawiusz, jak wiesz zapewne, wpadł w szpony obrzydłej ladacznicy.

— Reginy Grandchamps.

— Rzeczywiście. Ów potwór podobno tak się nazywa.

— Potwór, niestety, bardzo piękny!

— Jakto? i ty baronie, zawołała wdowa z podrażnieniem, przyznajesz piękność tej bezczelnej, zużytej, zwiędłej, wymalowanej dziewczynie? Tej lalce o szklistem spojrzeniu, podfarbowanych powiekach, przyprawnych żółtych włosach, poczochranych, źle uczesanych, noszących ślady, jak gdyby tysiąca rąk, które targały jej głowę? Ach! doprawdy, wy wszyscy mężczyźni podobnymi sobie jesteście! Kobieta pragnąca się wam podobać, potrzebuje tylko się sprzedać, ale drogo sprzedać!

Croix-Dieu, ujął rękę pani Gavard którą ona cofnąć mu chciała, a składając na niej pocałunek, mówił z melancholijnym uśmiechem.

— W zastosowaniu do mnie, droga Blanko, powyższa nagana jest do tego stopnia niesprawiedliwą, iż wstrzymam

się od wszelkiej na nią odpowiedzi. W czasach, gdy serce moje było wolnem, wszelkie uboczne miłostki nie miały dla mnie żadnego powabu. Pragnąłem kochać gorąco, stale i to moje serce do ciebie dziś tylko należy Te tkliwe słowa uspokoiły nieco piękną wdowę.

— Wierzę ci, odpowiedziała; jestem winną, ale przebacz mi, mój przyjacielu. Znasz moją nerwowość, gdym podrażniona, cierpię i złą się staję.

— Lecz powiedz nareszcie, co zaszło pomiędzy wami?

— Oktawiusz przepędza dnie całe u tej dziewczyny. Widują ich razem bezustannie. Bez względu na wszelką przyzwoitość ukazuje się z nią wszędzie.

— Jest to złem, przyznaję, w naszym Paryżu jednak nie gorszą się ludzie zbyt wiele. Zresztą Oktawiusz nie jest ani żonatym, ani ojcem rodziny. Kompromituje tylko sam siebie, a skoro przyjdzie do rozumu, zapomni o swoich szałach młodości.

— Pozwól, baronie, nie wszystko jeszcze ci powiedziałam. Przez trzy dni ów syn niegodny nie ukazał się u mnie wcale. Przyszedł dziś rano niestety!

— I cóż?

— Widocznie powracał z jakiejś orgii. Był bladym jak ściana, jąkał się, chwiał, był może nawet pijanym. Miał pozór trupa, przystrojonego w balową toaletę! Zlękłam się go, słabo mi się zrobiło. Wyobraź sobie, żądał odemnie pieniędzy!

— Jak zwykle, rzecz wiadoma, wyszepnął baron.

— Daję mu na jego wydatki trzy tysiące franków miesięcznie, jak wiesz. Jest to ogromna suma.

— Nie tak znowu zbyt wielka. Wspomnij że on jest panem sześciu milionów.

— Nic teraz nie ma. Jest małoletnim!

— To prawda.

— Ta wielka kwota pieniędzy, nie wystarcza mu, rzecz prosta, przy takiem postępowaniu. Pożycza na wszystkie strony, gromadząc długi jedne na drugie. Rachunki kupieckie jak deszcz tu spadają!

— Płacisz je?

— Boże uchowaj.

— Dobrze robisz.

— Zdaje się, że obecnie muszą go lichwiarze naciskać, ponieważ zwracał się do mnie znów o pieniądze.

— Ileż żądał?

— Pięć tysięcy franków.

— I dałaś mu je?

— Nie dałam.

— Cóż więc nastąpi? Nad tem zastanowić się trzeba.

— Dozwól mi skończyć i objaśnić zkąd mój gniew pochodzi. „Nie możesz mi matko odmówić“ zawołał ów nieszczęśliwy szaleniec. „Pomyśl że tu chodzi o święte zobowiązanie, o dług honorowy.“ Sądziłam że to jest mowa o jakimś długu karcianym, a on mówił dalej nie spostrzegłszy się, o ile ubliża swej matce. „Jestem winien za dwa miesiące Reginie Grandchamps. Ty pojmujesz to matko. Jeżeli nadużyję ufności tej biednej dziewczyny, zostanę w jej mniemaniu nikczemnikiem, oszustem! A zatem matko, otwórz swą kasę, co prędzej!“ Co myślisz o tem wszystkiem baronie?

— Do czarta, przyznaję, że to zbyt wiele zuchwalstwa! I cóżeś uczyniła?

— Kazałam mu wynieść się natychmiast.

— Jak to, z domu?

— Nie! ponieważ nieszczęściem dom jest jego własnością. Ale kazałam mu wyjść z pokoju. Ach! jestem najnieszczęśliwszą z matek! Powiedz mi, czy niemożnaby gdzie zamknąć kazać tego niegodziwego dziecka?

— Nie ma na to sposobu, droga Blanko. Zresztą na co by się to przydało?

— Dla ocalenia go przeciw sobie samemu i wyrwania go z rąk tej nikczemnicy.

— Za rok powróciłby do niej.

— Ale przez rok przynajmniej uchroniłabym się przed pnblicznem szkalowaniem, jakiem brudzi swoje nazwisko, które jest i mojem? Szaleniec ten jest smutnym bohaterem opowiadań w małych dziennikach publikowanych i jak gdyby własne jego sprawki nie wystarczały, kładą obce na jego rachunek, a w potrzebie wytwarzają nawet niebywałe rzeczy. Ach! to okropne, to zabijające!

— Jest na to sposób, odrzekł. Zmień nazwisko ukochana. Baronowa de Croix-Dieu nie będzie potrzebowała rumienić się za popełniane szaleństwa przez Oktawiusza Gavard'a.

XI.

Pani Blanka, jako praktyczna, rozumna kobieta, powtórzyła daną poprzednio odpowiedź, a mianowicie, iż

pragnie zachować do ostatka legalną nad synem opiekę, a wraz z nią użytkowanie z trzystu tysięcy liwrów renty małoletniego.

— Od dwóch lat jestem wdową, mówiła, zdołałam już odłożyć na bok kilka tysięcy talarów, mimo że żyję dostatnio, okazale. W roku bieżącym uzbieram pięć tysięcy franków. Miałam trzysta tysięcy posagu, zaślubiając nieboszczyka Gavard'a. Otóż skoro zostanę twą żoną, zbyt bogatą nie będę, to pewna, ale też i nie będę zupełnie ubogą.

— E! zawołał Croix-Dieu, z przepysznie udanym zapałem, co mnie to obchodzi? Jest to dla mnie rzecz całkiem obojętna.

— Tak, odezwała się wdowa z uśmiechem, wiem dobrze, iż na to nie uważasz mój przyjacielu, ponieważ obok wielkiego majątku, jaki posiadasz, jesteś najzupełniej bezinteresownym.

— Ma że więc to być zasługą że ciebie kocham? Wszystko co nie jest tobą, nie obchodzi mnie wcale! zawołał Croix-Dieu z zapałem dramatycznego amanta.

— A zatem wart jesteś więcej odemnie, odrzekła Blanka, ponieważ wyznać muszę, że lubię pieniądze, bardzo je lubię, nie dla nich samych, ale dla tysiąca przyjemności, wygód i zbytku, jakie za ich pomocą pozyskać można, a bez których obejśćbym się nie zdołała. Ach! gdybym miała te sześć miljonów jakie Oktawiusz roztrwoni z ową Reginą i innemi tego rodzaju nikczemnemi kobietami Paryża, ileż pięknych rzeczy moglibyśmy, baronie, uczynić oboje.

— Uczynimy je i bez nich, droga Blanko, może mniej

okazale, lecz w zasadzie zarówno dobrze, odparł Croix-Dieu.

— Ach! te sześć milionów! te sześć milionów! powtarzała wdowa.

— Nie myśl o tem, proszę.

— Nie mogę zapomnieć, nie mogę! Gdyby przynajmniej przeszły w dobre ręce, poddałabym się temu losowi, ale wiem dobrze, co się z niemi stanie i ty wiesz równie wraz ze mną! Radziłam się mego notarjusza i adwokata. Kazali mi mój obowiązek pełnić do ostatka i bronić nieszczęśliwego chłopca przeciw jego własnej zgubie. Jeżeli się nie ustatkuje w ciągu roku, zwołam radę familijną, do której i ty należeć będziesz, a wtedy mój syn oddanym zostanie pod sądową kuratelę w dniu swojej pełnoletności. Powiadom go o tem Filipie, powiedz mu stanowczo, ażeby zmienił swój sposób życia, jeżeli nie chce w ciągu roku dostać się pod stokroć surowszą niż moja opiekę. Niechaj od chwili obecnej, bez opóźnienia, bez odkładań, zaniecha obrzydłych, brukających go nawyknień i znajomości, gdzie trwoni majątek, poniża zajmowane przez się stanowisko i skraca sobie życie; bo wszak widzisz wyraźnie, że ten chłopiec sam siebie zabija! Tu pani Gavard zamilkła, westchnąwszy głęboko. Ach! jakże jestem dobrą matką! przestrzegając go w sposób podobny, zaczęła po chwili. Bo wszakże gdyby Oktawiusz umarł przed dojściem pełnoletności, jabym odziedziczyła te sześć miljonów, Bóg jednak świadkiem, myśl podobnie występna nigdy mi nie przeszła przez głowę.

Oczy barona zapłonęły chciwością, lecz ów blask zgasł

w jednej chwili.

— Niech nas Bóg uchowa, ażebyśmy doczekać mieli śmierci Oktawiusza! wyrzekł wzruszonym głosem. Potrzebaby mi było zaniechać myśli o spełnieniu najdroższego marzenia w mem życiu, pożegnać na wieki jedyne moje nadzieje! Zaślubić bym cię nie mógł wtedy.

— Dla czego? pytała żywo pani Gavard.

— Ponieważ byłabyś nazbyt bogatą.

— Ha! teraz więc z kolei ja ci odpowiem: Co to szkodzi?

— O! Blanko droga, ja znam świat, mówił z powagą. Widziałby on w tem naszem małżeństwie zawarłem z czystej miłości, haniebną spekulację. Oskarżył by mnie, żem sprzedał swoje nazwisko, a ponieważ honor cenię nad wszystko, nawet po nad szczęście własne, zmuszony byłbym o tobie zapomnieć!

Słuchając tego, wdowa patrzyła w mówiącego z uwielbieniem, a ogarniona zachwytem rzuciła się w jego objęcia, wołając:

— Filipie, Filipie! gdzież szukać ludzi, podobnych tobie? Nie! takich nie ma dziś na świecie! I gdyby moje bogactwo miało stać się przeszkodą w przyjęciu twego nazwiska, odziedziczywszy miliony po Oktawiuszu, rozdałabym je ubogim! Rozmowa tych, tak obojga z pozoru szlachetnych ludzi, trwała jakiś czas jeszcze, poczem baron odszedł, przyrzekając nie szczędzić surowych napomnień marnotrawnemu synowi.

W przedpokoju zastał służącego, z którym poprzednio rozmawiał.

— Czyś uprzedził, Dominiku, pana Oktawiusza o mojem

przybyciu? zapytał.

— Nie, panie baronie.

— Dla czego?

— Stukałem do drzwi dwa razy, nie odezwał się wcale. Śpi bezwątpienia, nie śmiem go budzić.

— Sam oznajmię moją wizytę; wskaż mi tylko drogę.

Apartament Oktawiusza, połączony korytarzem z mieszkaniem jego matki, do którego prowadziły również boczne oddzielne schody, był prawdziwem kawalerskiem mieszkaniem, składającem się z przedpokoju, małego saloniku, mogącego służyć za pracownię w razie potrzeby i obszernego gabinetu. Dominik, otworzywszy pierwsze drzwi, wpuścił Filipa de Croix-Dieu, mówiąc:

— Sypialnia, panie baronie, znajduje się tam w głębi.

Przybyły za jednym rzutem oka rozejrzał się po salonie, w sposób bardzo prosty i skromnie umeblowanym.

Z pół tuzina krzeseł i wielki kobierzec wraz z biurkiem dębowem, rzeźbionem, stanowiły całe urządzenie. Na biurku było wszystko, czego potrzeba do pisania, oraz dwa pudełka z rewolwerami w bogatej oprawie. Na ścianach, szarem obiciem pokrytych, wisiały portrety wyścigowych koni, obok których znajdowały się porozwieszane szpicruty, wędzidła, fechtunkowe florety, maski i rękawice. Zbiór tych rzeczy był w ścisłym porządku utrzymanym, lecz sprawiał smutne, zimne wrażenie, jakie napotykamy w pokojach niezamieszkałych.

Croix-Dieu, otworzywszy drzwi na przeciw siebie będące, zatrzymał się w progu sypialni.

Tak urządzenie, jak i umeblowanie tego pokoju

Oktawiusz powierzył w zupełności słynnemu tapicerowi Lebel-Girard'owi, żądając, ażeby sypialnia była zalotnie z gustem przyozdobiona, w rodzaju najpiękniejszych damskich buduarów. Lebel-Girard zrozumiał żądanie i sypialnia młodego Oktawiusza była prawdziwie wspaniałą, kompletnie kobiecą sypialnią, wyścielaną jedwabną jasną materją, pokrytą koronkami, z miękkiemi nadzwyczaj meblami. Znajdowało się w niej wielkie łóżko rzeźbione, zwierciadła otoczone gipiurami, blado różowy kobierzec, tak puszysty jak trawnik angielski; kilkanaście takich obrazków jakie ów kupiec z ulicy Lafitte zamówił u Jerzego i podobne im statuetki.

Na widok tego wszystkiego, Croix-Dieu ironicznie się uśmiechnął.

Oktawiusz, widocznie znużony, utrudzony bezsennością kilku nocy kolejno po sobie na grze lub orgiach spędzonych, miał zamiar zapewne na łóżko się położyć, jak o tem świadczyła kołdra zdjęta do połowy, lecz w chwili gdy się począł rozbierać, znużenie zapanowało nad jego wolą.

Rozłożony na krześle, w najniewygodniejszej pozycji, z przewróconą w tył głową, opartą na niskiej poręczy krzesła, spał w swej toalecie balowej, to jest w białym krawacie, czarnym fraku, takichże pantalonach i białej kamizelce, na jeden guzik zapiętej.

Poza, w jakiej zostawał, odsłaniała w zatrważający sposób chudość jego ciała. Gors pogniecionej koszuli odstawał od jego wyschłych piersi, z których wydobywał się ciężki świszczący oddech. Krople potu spływały mu po

czole, mimo że ogień na kominku wygasł od dawna. Widocznie trawiąca gorączka dokonywała dzieła strasznego spustoszenia, rozpoczętego nadużyciem rozkoszy życia.

— Otóż, wyszepnął Croix-Dieu, z szatańsko-sarkastycznym uśmiechem, nie pochwycisz ty chłopcze miljonów papy Gavard'a. A zbliżywszy się do śpiącego uderzył go z lekka po ramieniu, mówiąc wesoło: No! przebudź-że się, ty śpiochu!

Oktawiusz drgnął i otworzył oczy, ale nie mogąc zebrać pomieszanych myśli, jak się nieraz zdarza podczas twardego snu dziennego, przymknął je powtórnie, wołając:

— Banco!

— Zgoda! nie stawiam temu przeszkody, lecz najprzód rozbudź się, przyjdź do przytomności, jest to rada dobrego twego przyjaciela, mówił Croix-Dieu.

Oktawiusz przetarł rękoma swe senne oczy, ziewnął kilka razy, wyciągnął się, ruszył nogami w prawo i lewo, a odzyskawszy przytomność, zawołał:

— Ach! to ty, baronie? do czarta! zkąd wziąłeś się tu przy mnie? Wyobraź sobie, iż śniłem, że jestem u Reginy, ciągnąc bank. Jakież to głupstwo nieprawdaż? Otrzymałeś zapewne mój liścik i byłeś tyle uprzejmym żeś przyszedł do swego Oktawiusza. Bardzo pięknie z twej strony.

Mówiąc to, młodzieniec przybrał pozycję pół horyzontalną i ściskał rękę przybyłego.

Biedny Oktawiusz, ów starzec dwudziestoletni, anemiczny, z sił wyczerpany, był jeszcze mimo tego wszystkiego pięknym chłopcem. I pominąwszy ów brak w nich poczucia moralnego, jego wady i szaleństwa ażeby z

nim nie sympatyzować, należałoby mieć serce ze stali.

Tak, twierdzimy to szczerze i postaramy się przekonać o tem niezadługo czytelników. Ów bezrozumny pustak kochać się dawał.

Był on młodzieńcem wysokiego wzrostu, a tak szczupłym, iż najlżejszy powiew wiatru, zdawało się, złamie go na dwoje. Policzki chorobliwie blade, krasiły gorączkowe, jak bywa u suchotników, rumieńce.

Ów małoletni, na wskroś zepsuty moralnie, jak głosiła publiczna opinja, popchnięty na złą drogę przez jakąś ukrytą rękę nieznaną, był w gruncie charakteru jedynie udającym występnego. Pod ową pozornie zepsutą powłoką, w postaci śmiesznego rozrzutnika, odgadywało się serce.

XII.

Oktawiusz otarł spotniałe czoło chustką nasiąkniętą perfumami. Atak świszczącego suchego kaszlu schwycił go nagle, po przeminięciu którego zwrócił się do barona.

— Widziałeś się z mamą? zapytał.

— Tylko co od niej wyszedłem.

— Wciąż jeszcze na mnie zagniewana?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

— Czy wiesz baronie, że kazała mi wyjść za drzwi.

— Mówiła mi o tem.

— Oczekiwałem, na honor, rychło mnie obrzuci przekleństwem. Przykre to, wyznam, te wszystkie sceny, lecz i djabelnie nudne zarazem. Niech zetną mi głowę,

zgoda, lecz niech wiem przynajmniej za co ją tracę?

— Żądałeś od matki pieniędzy.

— Głupstwa! pięciu tysięcy franków, co to znaczy? Miałbym prawo żądać dziesięć razy więcej od matki, która zabiera procenta od sześciu miljonów, będących moją własnością.

— To prawda, lecz po cożeś matce tłómaczył na jaki użytek żądasz tych pięciu tysięcy franków.

— Sądziłem, że to ją nakłoni do udzielenia mi pieniędzy. Kto mógł przewidzieć, że taką mi scenę wyprawi? Do czarta! ja muszę płacić długi honorowe. Reginie należy się zapłata za dwa miesiące. Biedna dziewczyna jest prawie bez grosza. Kocha mnie, ubóstwia, jestem przekonany, lecz obok tego powiedziała mi, abym nie pokazywał się bez pieniędzy. Przyrzekłem je przynieść, najuroczyściej. I otóż Danaē z wypróżnioną sakiewką oczekuje Jowisza. Nie będzie pełnej sakiewki, kwita z Jowiszem! Otóż sytuacja, przyznaj sam, iż djabelna to sprawa!

— A inni twoi wierzyciele?

— Ach! dobrze, żeś mi przypomniał o nich, baronie. Sam niewiem co począć z tą zgrają. Możnaby sądzić, iż się zmówili aby mi nic nie dawać. Opowiem ci pewien ciekawy szczegół. Wczoraj w południe poszedłem do jednego ze wskazanych sobie lichwiarzy, rodzaj niemieckiego żyda. Sprzedaje on zegarki, srebro, wino Bordeaux, płótno, tytoń przemycany i różnego rodzaju fotografie. Mówię mu krótko: „Potrzebuję dwunastu tysięcy franków, płatnych za rok, na procent jaki pan sam oznaczysz. Jestem Oktawiuszem Gavard, spadkobiercą

sześciu miljonów“.

— Ja znać to, znać dobrze, odrzekł mi łamanym językiem, ale pan jesteś małoletnia, a przez to jest opieka i ja potrzebuję ubezpieczenia na życie.

— Dobrze, zawołałem, jedź pan ze mną do pierwszego lepszego Towarzystwa Ubezpieczeń.

— I cóż, zapytał Croix-Dieu.

— Ha! cóż? odparł Oktawiusz, głupstwo, rzecz śmiechu godna! Przez cały dzień, wyobraź sobie baronie, biegałem z żydem od jednego towarzystwa ubezpieczeń do drugiego, obszedłem wszystkie jakie się znajdują w Paryżu. Co powiesz? Nic nie zrobiłem. Ach! głupcy akcjonarjusze! Odmawiać podobnie pewnej jak moja okazji? Wszak wiesz że jestem silnie zbudowanym. Nie otyłym, to prawda, ale muskularnym. Dobre nogi, wzrok dobry, dobry żołądek, wszystko jak trzeba w komplecie? Przekonałem się sam, mogę żyć sto lat.

— Podzielam to zdanie w zupełności, rzekł Croix-Dieu z pozorem przekonania.

— Nieprawdaż? powtórzył Gavard; chwilowo nieco osłabionym, być może, lecz bądź co bądź dzielnym! Zapytaj Reginy Grandchamps. Otóż, baronie, naśmiałbyś się do syta z komedji, jaką mi wyprawili doktorzy w owych towarzystwach ubezpieczeń. Wyborne! powiadam ci. Trzeba było naocznie to widzieć! Wyobraź sobie grupę najpoważniejszych medyków, bardziej poważnych od figurantów w tragedji, spiętych pod same uszy krawatami i dekoracjami na piersiach różnego rodzaju. Kazali wyciągać mi język, uderzali mnie w plecy, przykładali uszy do

żołądka, macali kolana, ramiona, słowem przeróżne dziwy ze mną wyprawiali; a po ukończeniu tego wszystkiego pokiwawszy tajemniczo głowami, rozpoczynali na nowo i wreszcie odeszli, zabrawszy z sobą dyrektora, który w pięć minut powrócił sam z miną zasmuconego ojca rodziny, oświadczając mi, że Stowarzyszenie nie znajdując we mnie odpowiednich hygienicznych warunków ustawą przepisanych, odmawia ubezpieczenia mnie na życie! Ci ludzie wyobrażają sobie, że ja roku nie przeżyję. Co powiesz na to baronie?

— Powtórzę to, co powiedziałeś przed chwilą, iż żałuję głupich akcjonarjuszów!

— I wyobraź sobie, że jeden z doktorów poważył się szepnąć mi do ucha. „Oszczędzaj się młodzieńcze! Grozi ci niebezpieczeństwo. Oszczędzaj się. W złym stanie twe zdrowie.“

No! jak to uważasz, baronie?

— Czyż ów doktór był do tego stopnia głupcem nieświadomym, iż nie dostrzegł u ciebie nadmiaru sił żywotnych? odrzekł Croix-Dieu. Zaopatrzony w nie, obficie twój organizm, zadusił by cię, mój Oktawiuszu, gdybyś żył powściągliwiej. Nie zmieniaj nic przeto w swoim sposobie życia, który jest dobrym, a gdy czasami uczujesz nieco osłabienia, pokrzepiaj się wzmacniającemi środkami. Używaj ostrych korzennych potraw, pij wiele madery, szampana, wódek i likierów. Oto, czego tobie potrzeba!

— Jest to moją zasadą. Tak żyjąc, czuję się dobrze.

— Nie zmieniaj też jej w niczem.

— Ma się rozumieć, że jej nie zmienię. Ta jednak afera, wyprawiona przez towarzystwo ubezpieczeń, zamknęła mi żydowską kasę. I otóż dla czego zrozpaczony udałem się dziś do matki, gdzie niestety i tam, jak wiesz, nic nie zyskałem. Co począć? radź? jestem bez grosza w kieszeni, a Regina czeka na swoje pięć tysięcy franków. To nikczemnie z mej strony! Wiem że ona kocha mnie szalenie, lecz jest praktyczną kobietą. Jeżeli przybędę dziś wieczór do niej z próżnemi rękoma, wyrzuci mnie za drzwi, jak to mama uczyniła dziś rano. Dwie takie sceny wygnania w jednym dniu, to za wiele! Ratuj mnie przez litość, baronie!

— Uspokój się, wydobędę cię z tego.

— Jesteś mym przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, wybaw mnie więc najprzód z pierwszego a najcięższego kłopotu.

— Z którego?

— Z pod owego topora, zagrażającego mej egzystencji, z pod owej sądowej kurateli, uplanowanej przez mamę. Wyobraź mnie sobie pod władzą takiego pana notarjusza, w czarnych rękawiczkach, z teką pod ramieniem, który to jegomość ograniczy moje wydatki na utrzymanie stajni i pensję wypłacaną Reginie, a dalej wydzielać mi pocznie szczupłe porcje obiadu, w obec miljonów do których mam prawo po nieboszczyku mym papie! Ach! nigdy! Nie! nie pozwolę aby coś podobnego spełnić się miało, raczej czaszkę sobie rozsadzę wystrzałem!

— Nie byłoby to zbyt wesołem, zaiste, odrzekł śmiejąc się Croix-Dieu.

— Jakich wpływów użyć na matkę, powiedz mi,

powiedz, baronie? Czego się chwycić w tem rozpaczliwem położeniu?

— Nic łatwiejszego, odparł Croix-Dieu, od ciebie to tylko zależy. Zmniejszyć wydatki do dnia pełnoletności. Rok prędko przeminie.

— Zmniejszyć wydatki? zawołał Oktawiusz z osłupieniem. W jaki sposób? Nowych nie przymnażam wcale.

— Przeciwnie, gromadzisz długi jedne na drugie. Całe góry upominań się wierzycieli.

— Najwyżej mały pagórek, odrzekł śmiejąc się Gravard. Lecz czyż to z mojej winy? Powiedz mi, proszę, baronie, czy podobna się utrzymać z głupich trzydziestu tysięcy franków rocznie? To starczy zaledwie na drobne wydatki. Uciekam się więc do kredytu.

— Którego, jak twierdzi twa matka, zbyt nadużywasz.

— Otóż i głupstwo kapitalne! Ach! ci rodzice, rodzice! Nie wstydzę się pochodzenia mego nieboszczyka papy, lecz wyznać trzeba, że to wcale nie był człowiek szyku! Zebrał majątek, wszyscy o tem wiedzą, na dystylarni, w Villette, gdzie preparował prawdziwy rum Jamajkę z wódki, melassu i innych ingredjencji. Miał papa rozum, na honor! Mimo tego wszystkiego, jeździł fiakrem, a nawet omnibusem, na „górce“ za trzy sous. Zyskał poważanie, lecz nigdy nie był człowiekiem światowym, podczas gdy ja jestem dżentlemenem, sportsmenem klasowym i znanym. Urządzam wyścigi i sam biorę w nich udział. Mam kobietę znaną w całym Paryżu, Reginę Grandchamps. Dzienniki zajmują się mną, wygłaszają moje nazwisko, słowo w

słowo drukują powiedziane przezemnie dowcipy. Czegóż więcej może żądać matka odemnie?

— Zadowolniłaby się mniejszemi z twej strony zasługami, rzekł śmiejąc się baron.

— Cóż jednak ostatecznie mam robić? Powiedz mi, pytał Oktawiusz, aby uniknąć owej przeklętej sądowej kurateli.

— Posłuchasz rad moich?

— Najściślej, baronie i wdzięcznym ci pozostanę.

— Przedewszystkiem tedy żadnych długów więcej.

— To niepodobna. Pożyczam tylko corocznie trzydzieści sześć tysięcy franków, podczas gdy Regina Grandchamps kosztuje mnie do sześćdziesięciu.

— Inny w mem miejscu powiedziałby ci: porzuć tę kobietę, rzekł Croix-Dieu.

— Porzuciłbym ją, gdyby było trzeba, odparł Gavard. Jest ona wprawdzie szykowną, posiada zachowanie się damy z wyższego świata, lecz tak dalece nie przywiązuję się do niej. Ona, czy inna, wszystko mi jedno.

— Nie porzucaj jej, zawołał żywo Croix-Dieu. Jest to dobra dziewczyna, kocha cię szczerze, co winno pochlebiać twojej miłości własnej. Zresztą, wydałeś już na nią tyle pieniędzy.

— Ależ, baronie, począł Oktawiusz.

— Nie jedne sześćdziesiąt tysięcy franków, wszak prawda?

— No, tak, do czarta.

— Regina ma we mnie zaufanie o ile sądzę.

— Wysławia cię pod niebiosa baronie. Jesteś półbogiem dla niej!

— A więc, pomówię z nią. Użyję mego wpływu. Poręczę za ciebie w potrzebie i będziesz miał u niej kredyt do czasu pełnoletności, przyrzekam ci to.

— Jeśli tak, zgoda! Nie straci ona na tem jeśli na pieniądze zaczeka.

— Natenczas twoje trzydzieści sześć tysięcy franków pensji, zostaną ci na bieżące wydatki. Przestań grać w karty, albo przynajmniej graj mniej hazardownie. Umieść się choć pozornie pod moją opieką. Upewnię twą matkę iż zmiana stanowcza nastąpiła w twojem postępowaniu, żeś mi się oddał w zupełności i dozwolisz mi sobą we wszystkiem kierować. Wniosę do niej za tobą mą prośbę, uspokoję jej wzburzenie, nie pomyśli ona już więcej o sądowej nad tobą opiece, a po upływie roku, zostawszy samodzielnym panem swoich trzystu tysięcy liwrów renty, będziesz nimi rozporządzał, jak ci się podoba. Oto jak myślę ułożyć te rzeczy. Jesteś ze mnie zadowolonym?

— Baronie! tyś aniołem! zawołał Oktawiusz w uniesieniu. Przysięgam, że w starości oślepniesz i będziesz bez grosza!

— Zkąd, dla czego? zapytał Croix-Dieu, z osłupieniem.

— Ponieważ jak ty mnie teraz, tak ja tobie później będę służył za przewodnika. Pójdziemy obadwaj stanąć na moście des Saints-Pieres; ja będę nadstawiał przechodniom skarbonkę na drobną monetę. Ha! ha! to będzie zabawne nieprawdaż?

Baron w milczeniu przyjął ów dowcip młodego hulaki, a żegnając się z Oktawiuszem wsunął mu w rękę kilka banknotów, unosząc z sobą to przekonanie, że przed

upływem trzech miesięcy, karawan pierwszej klasy powiezie na cmentarz Pere-Lachaise, anemicznego spadkobiercę miljonów papy Gavard.

— Do klubu! James, zawołał na stangreta wsiadłszy do powozu.

Croix-Dieu należał jako członek, do owego arystokratycznego koła, jakiego obecnie szczegółowo nie opisujemy z przyczyn wyjaśnionych dalej. Wszedł do salonu zawierającego czytelnię, a jako posiadający obce języki, zaczął przerzucać zagraniczne gazety.

W jednej z nich znalazł artykuł widocznie obchodzący go, bo dwukrotnie odczytał takowy z uwagą. Artykuł ów zawierał następującą wiadomość.

„Książę Leon Aleosco, bogacz znany w szerokich kołach Paryża, zginął śmiercią tragiczną, zamordowany występną ręką swojego sługi. Książę, jak mówią, miał wkrótce się żenić. Śmierć jego okrywa żałobą wysokie arystokratyczne koła, z któremi był spokrewnionym.“

Croix-Dieu, wyszedłszy z klubu, pojechał do najbliższej stacji telegrafów, zkąd wysłał depeszę do Fanny Lambert, tej treści:

„Książę umarł. Działaj stosownie do tej okoliczności.“

XIII.

Mały wytworny pałacyk przy ulicy de Boulogne, należał do sir Edwarda Cleveland’a, fanatycznego wielbiciela aktorki Kloryndy, zmarłej przed kilku laty, jaką w

teatralnym świecie Paryża znano pod imieniem Blanki d’Antigny.

Edward Cleveland, wyjeżdżając z Paryża zobowiązał swojego adwokata, aby mu na ów pałacyk wynalazł lokatora.

Owym to lokatorem w roku 1872 był młody człowiek, markiz Andrzej de San-Rémo, widziany przez nas na przedmieściu św. Honorjusza, gdy się wychylał z powozu, śledząc namiętnym wzrokiem oddalający się wspaniały ekwipaż wicehrabiego de Grandlieu, jadącego wraz z żoną Herminią de Randal w stronę lasku Bulońskiego.

Nazajutrz po dniu, w którym baron de Croix-Dieu, odwiedzał kolejno Jerzego Tréjan, Fanny Lambert, panią Gavard i jej syna Oktawiusza, powozy, zajeżdżając, zatrzymywały się około godziny jedenastej rano, przed wyżej wspomnionym pałacykiem.

Markiz de San-Rémo wydawał dla przyjaciół śniadanie.

Między powozami znajdował się i lekki ekwipaż barona.

Wyprzedźmy przybywających, ażeby zawrzeć znajomość z właścicielem mieszkania, znajdującym się na tę chwilę w małym salonie, służącym razem za gabinet do palenia.

Andrzej de San-Rémo, miał około dwudziestu dwóch lat wieku, lecz jego czarne włosy i zarost, blada cera twarzy, czyniły go z pozoru starszym o lat parę.

Nie chcąc opisywać szczegółowo postaci młodego markiza, odsyłamy czytelników do skreślonego przez nas portretu Loc-Earn’a na początku niniejszej powieści.

Uderzającem było podobieństwo tego młodego człowieka z kochankiem Henryki d’Auberive. Były to też

same rysy twarzy, też same kształty postaci, nawet ruchy i całe zachowanie się, wyraz tylko oblicza był odmienny. Wprawny obserwator mógł łatwo wyczytać obłudę i przebiegłość w oczach Loc-Earn'a, podczas gdy spojrzenie markiza de San-Rémo promieniało otwartością i prawością.

W chwili, gdy przestępujemy próg gabinetu, młodzieniec siedzi w fotelu, zajęty czytaniem książki spoczywającej na jego kolanach. Zmarszczył brwi, przebiegając w sławnym romansie Eugeniusza Sue epizod o samobójstwie barona d'Harville.

Przeczytawszy to, zamknął książkę.

— Rzecz nie nowa, rzekł, ale może być dobrą. Potrzeba tylko umieć pokierować zręcznie sytuacją, a wtedy uniknie się skandalu i wszelkich komentarzy.

Wstał, a otworzywszy w biurku szufladę, wydobył sześciostrzałowy-rewolwer, wykwintnie w słoniową kość oprawny, wyjął zeń pięć ładunków a pozostawiwszy tylko jeden, położył go ponad kominkiem. Następnie usiadłszy przy biórku, nakreślił szybko kilka wierszy na ćwiartce papieru, wsunął w kopertę i zaadresował

„Pani wicehrabinie de Grandlieu."

Ukończywszy to potrząsł głową, i rozdarł kopertę i wraz z listem rzucił ją w dogasający ogień na kominku.

— Na co się to przyda? rzekł sam do siebie. Godziż się zatruwać życie tej młodej kobiety szałem warjata, którego nawet nie zna nazwiska? Byłoby to nikczemnem. Nie! tego nie uczynię!

Jednocześnie odezwał się dzwonek pałacowy, oznajmiając przybycie pierwszych gości.

Było ich pięciu. Czterej weszli wkrótce jeden po drugim. Ostatni z nich Filip de Croix-Dieu, nieco później.

Nieprzewidziana okoliczność zatrzymała go przez kilka minut. W chwili, gdy wysiadał z powozu przed pałacową bramą, jakiś niskiego wzrostu otyły mężczyzna z siwiejącemi faworytami, trzymający pod ramieniem tekę, wypchaną papierami, w towarzystwie dwóch indywidjów w podartych butach i brudnej bieliźnie, zamierzał dzwonić do tejże bramy.

Croix-Dieu spojrzał badawczo na przybyłego, który w towarzystwie takich dwóch osobistości nie mógł żadną miarą należeć do gości markiza.

— Ależ nie mylę się, zawołał, wszak to pan, panie Verdier?

— Tak, we własnej osobie, panie baronie, odparł zagadniony. Izydor, Achiles Verdier, najniższy pański sługa.

— Radbym zapytać, co pan tu robisz.

— Jestem przysłany obowiązkowo przez mego zwierzchnika. A! ciężkie to nieraz rzeczy są do spełnienia. „Dura lex, sed lex.— “ Ależ w tym pałacu zamieszkuje markiz de San- Rémo?

— Tak uroczy, zachwycający młodzieniec.

— Pan masz mieć z nim sprawę?

— Niestety!

— Ma więc procesa?

— I długi.

— A mówiono, że jest bogatym?

— Mówią ludzie wiele rzeczy.

— Sądzisz więc pan, że on nie posiada majątku?

Verdier odchrząknął nie odpowiadając.

— Zatem przybywasz z poleceniem spisania aktu?

— Z przykrością jestem zmuszony to uczynić.

— Założysz pan protest?

— Gorzej niż to.

— Uzyskałeś wyrok sądowy?

— Nic by to nie znaczyło.

— Cóż więc nareszcie zamierzasz uczynić?

— Przychodzę zrobić zajęcie, panie baronie. Przekonasz się pan o tem zaraz naocznie, skoro masz zamiar wejść do pałacu. Jeden z wierzycieli nakazał mi działać z wyjątkową surowością i nie przyjmować od dłużnika żadnych oznaczać terminów, ani zaliczek.

— O jakąż sumę tu chodzi?

— Głupstwo, drobnostka. Pan de San-Rémo widocznie źle stoi w pieniężnych interesach, jeśli nie jest wstanie zapłacić tak drobnej kwoty.

— Ileż to wynosi?

— Trzy tysiące franków, do trzech tysięcy pięćset z kosztami.

Pan de Croix-Dieu, wyjął z kieszeni pugilares, a wydobywszy zeń trzy banknoty po tysiąc franków i jeden pięćset-frankowy, podał je komornikowi.

— Oddaj mi pan papiery, rzekł do niego. Ja ten dług płacę za markiza.

Zamiana szybko się odbyła i baron wszedł do pałacu.

Oczekiwano właśnie na niego i zaraz po jego przybyciu

zasiedli wszyscy do stołu.

Śniadanie odbyło się bardzo wesoło, dzięki dobremu humorowi pana de Croix-Dieu, bawiącego obecnych swym niezrównanym dowcipem. Mówiąc jednak i jedząc wiele, pił mało i ukradkiem spoglądał badawczo na młodego markiza, jak gdyby pragnąc wyczytać myśli tego człowieka.

Andrzej de San-Rémo, usiłował okazywać się wesołym, udany jednak ów humor nie oszukał wprawnego badacza. Baron, powiadomiony o szczegółach rozmową mianą z komornikiem, nie dał się złudzić tej gorączkowej wesołości młodzieńca, pomimo wszystkiego dźwięczącej fałszywie, wybuchającej nagle, hałaśliwie, aby umilknąć w oka mgnieniu, zgasnąć jak petarda wyrzucona z racy fajerwerkowej. Markiz powściągliwy zwykle i ponury, pił dzisiaj wiele, spełniał całemi kielichami najwytworniejsze wino, widocznie chcąc się odurzyć. Pomimo, iż jak zdarza się ludziom owładnionym przez jedną myśl uporczywą, nie zdołał tego dokonać, pozostał przytomnym i trzeźwym.

— Co się to znaczy? zapytał Croix-Dieu sam siebie. Coś się ukrywa w głowie tego chłopca, jakieś stałe zatrważające postanowienie, mające wkrótce się spełnić. Co? zobaczymy. Nie trzeba go z oczu tracić na chwilę.

Goście za przykładem młodego gospodarza wypróżniali szybko kielichy. Przy końcu śniadania czterech z nich znajdowało się w stanie podpitym, markiz jedynie i baron zachowali przytomność.

— Może przejdziemy na kawę do mojego gabinetu? wyrzekł San-Rémo, powstając. Przygotowałem tam dla was moi przyjaciele różne gatunki Hawana.

Przeszli za przewodnictwem gospodarza i wkrótce cały gabinet napełniła przyjemna woń cygar, pogrążając gości w owo roskoszne dumanie, zwykłe następstwo obfitej i smacznej uczty.

Wszyscy jednocześnie głośno rozmawiali, a nikt nie słuchał tego, co mu jego sąsiad odpowiada. Na chwilę jednak umilkła wrzawa, gdy markiz San-Rémo, zdjąwszy z po nad kominka rewolwer, głos zabrał.

— Pozwólcie panowie, rzekł, przedstawić sobie udoskonaloną broń, jaką mi wynalazca złożył do wypróbowania, a za co przyrzekłem mu zjednać klientów, między mojemi przyjaciółmi.

Pwstał szmer ogólny, jakoby jednomyślnej ciekawości. Andrzej, z rewolwerem w ręku, począł dawać techniczne objaśnienia, mniej albo więcej dla obecnych zrozumiałe. Za każdym razem gdy zmilknął, na jaką sekundę, powstawały głosy wołając:

— Dobrze, bardzo dobrze, doskonale!

— Widzicie panowie, mówił dalej młodzieniec, widzicie jak ten rewolwer dobrze się nadaje do ręki. Udoskonalony mechanizm pozwala szybko następować wystrzałom, nie mieszając ich z sobą. Trzymając tę broń nabitą, gdybym ujrzał przed sobą ze trzech bandytów, żądających odemnie życia, albo pieniędzy, położyłbym ich na miejscu. Przekonajcie się, proszę.

Tu wycelowawszy lufę rewolweru w kąt gabinetu, wystrzelił trzykrotnie.

Huk głuchy i czysty, stwierdził doskonałość sprężyn broni.

— Wreszcie, kończył śmiejąc się San-Rémo, przyznajcież czyż może być coś dogodniejszego do rozsadzenia sobie czaszki z całą elegancją, według wszelkich reguł, gdy spleen opanuje człowieka? Podwójny wystrzał wybiega z tej broni tak szybko, że zanim się spostrzeżesz, wszystko się już skończyło!

Mówiąc to Andrzej, wciąż uśmiechnięty lecz nieco bardziej niż zwykle pobladły, przytknął do skroni lufę rewolweru.

Croix-Dieu, znajdujący się obok niego, wyrwał mu broń z ręki, a wycelowawszy w jedno z okien gabinetu nacisnął kurek.

Strzał wypadł z odrobiną dymu i metalicznym hałasem a stożkowata kula wybiła dziurę w szybie.

XIV.

Na ów strzał niespodziewany odpowiedział okrzyk przerażenia. Trwoga i groza wróciły przytomność czterym podpitym gościom.

Andrzej San-Rémo wydawał się być mocno zmięszanym, co tłómaczyło się niebezpieczeństwem, jakiego uniknął dzięki pomocy barona.

— Do czarta! zawołał tenże, mój przyjacielu, zawdzięczasz mi życie. Gdyby nie moja bystrość umysłu, leżałbyś już umarłym!

— To prawda, wyszepnął młodzieniec, będę o tem pamiętał, baronie. Masz prawo do mej głębokiej

wdzięczności.

— Rzecz rozpatrzywszy na serjo, nie winieneś mi jej wcale.

— Jak to rozumieć?

— Traf rządził wszystkiem. Zarówno jak ty, nie przypuszczałem, aby rewolwer ten był nabitym. Jakieś wewnętrzne natchnienie kazało mi stanąć przy tobie. Usłuchałem tej rady i dobrze zrobiłem. Morał z tego taki wypływa, kończył śmiejąc się Croix-Dieu, iż nie należy nigdy palnej broni zostawiać w ręku dzieci.

Niedługo potem, czterej owi goście pod wrażeniem myśli o mogącym nastąpić strasznym wypadku w ich obecności, pożegnali gospodarza i wyszli z pałacu.

Pan de Croix-Dieu, zostawszy sam z Andrzejem, zapalił cygaro, napełnił sobie kieliszek Chartreus'em i rozparł się wygodnie w fotelu.

— Nakoniec, rzekł, przecie odjechali. Oczekiwałem na to niecierpliwie.

— Dla czego? pytał San-Rémo zdziwiony.

— Ponieważ pragnę pomówić z tobą sam na sam, o rzeczach nader ważnych. Chceszże mi poświęcić z pół godziny czasu?

— Ależ choćby dzień cały, jak najdłużej. Rozporządzaj mną, baronie, dziś, jutro, zawsze! Moim obowiązkiem jest być na twe rozkazy za tę wielką jakąś mi wyświadczył przysługę.

— Pomówimy o niej natychmiast, rzekł, uśmiechając się Croix-Dieu. Przedewszystkiem jednak powiedz mi, czy nikt nas tu podsłuchiwać nie będzie?

— Nikt, upewniam. Ale jak widzę, baronie, chcesz ze mną rozmawiać o jakichś rzeczach tajemniczych?

— A obok tego i nader ważnych, których do obcych uszu dopuszczać nie należy.

— Podniecasz moją ciekawość. O cóż chodzi?

— O mnie i ciebie zarazem, co znaczy, iż może to tylko być powiedzianem pomiędzy nami dwoma. Rzecz ta albowiem rozstrzygnie o twojej przyszłości. Zadziwia cię to, nieprawdaż?

— Do najwyższego stopnia, przyznaję.

— Zadziwisz się bardziej jeszcze, skoro cię poproszę o ufność dla siebie zupełną, ufność bez granic. Mój wiek upoważnia mnie ku temu. Mógłbym być twoim ojcem, ztąd, proszę, ażebyś mi odpowiadał na zapytania jak syn, gdy ojciec go bada.

— Lecz...

— A! nie wahajże się na Boga! Cóż ryzykujesz? Zaufanie, o które proszę, w żadnym razie krępować nie będzie twego zapatrywania i sądu. Zostaniesz zupełnym panem siebie i będziesz mógł dziś lub jutro rozpocząć to, co chciałeś dokonać przed chwilą. Mnie tu nie będzie, abym cię powstrzymał drugi raz.

Andrzej San-Rémo mocno się zarumienił.

— Nie rozumiem nic, baronie, wyszepnął z cicha.

— Ej rozumiesz ty mnie doskonale! Ci siwiejący panowie jacy ztąd odeszli, dozwolili się złudzić zręcznie ułożoną przez ciebie sceną. Mniej od nich naiwny, a bardziej przezorny, widziałem jasno w owym „wypadku“ rzecz, noszącą tylko cechę nieroztropności. Chciałeś się

zabić, drogi mój chłopcze, a pragnąłeś temu samobójstwu nadać inne pozory, pozory lekkomyślnego igrania z nabitym rewolwerem. Mam-że słuszność, czy nie mam?

San-Rémo, opuścił głowę w milczeniu.

— Kto nie przeczy, przywtarza, począł Croix-Dieu. Dobrze robisz że milczysz. Przeczenie twoje nie przekonałoby mnie wcale. Wolę szczere wyznanie winy z twojej strony. Jest to pierwszy krok na drodze owej ufności jaką mnie obdarzysz. I otóż na początek powiedz mi proszę ile masz lat? Dwadzieścia trzy, cztery, czy pięć?

Markiz skinął głową potwierdzająco.

— W tym wieku, mówił baron, gdy się jest tak pięknym chłopcem, jak ty nim jesteś, zdrowym, dobrze wychowanym i zajmującym tak, jak ty wyższe stanowisko, nie odbiera się sobie życia wystrzałem bez jakichś ważnych powodów. Wyjaw mi zatem przyczynę?

— Niesmak, zniechęcenie do życia, wyszepnął Andrzej z zakłopotaniem.

Filip de Croix-Dieu wzruszył ramionami.

— Sądzisz więc, odrzekł, że lis tak szczwany jakim ja jestem, fałszywy zdawkowy pieniądz przyjmie za dobrą monetę, lub wyobrażasz sobie może, że ja cię badam dla zaspokojenia tylko mojej ciekawości? Nie! tak nie jest! Jeżeli pragnę poznać złe, jakie cię uciska, drogie me dziecię, to z tej przyczyny, iż mam silną nadzieję, a raczej pewność niezachwianą, że znajdę na nie lekarstwo. W dwudziestym trzecim roku życia, nie ma rany, któraby się zagoić nie dała. Uleczę twoją przyrzekam, jeżeli mi ją zobaczyć pozwolisz. Odbierać sobie życie dla tej jedynie

przyczyny, iż się ma wierzycieli, jakież głupstwo do czarta!

— Jakto? zawołał San-Rémo, silniej jeszcze zarumieniony, pan wiesz? Tu zamilkł nagle.

— Wiem, że długi cię uciskają, dokończył baron.

— Któż panu o tem powiedział? Filip wyjął z kieszeni wiadome nam sądowe papiery.

— Patrz! rzekł, pokazując je młodzieńcowi, wszak poznajesz swoje podpisy, a obok nich protesty, wyroki sądowe, słowem zbiór cały tych przyjemnych rzeczy.

— Jakim sposobem dostały się one do rąk pańskich? pytał Andrzej zdumiony.

— Drogą najprostszą w świecie! odparł Croix-Dieu. Wysiadłszy z powozu przed dwiema godzinami, zetknąłem się oko w oko przy bramie pałacu z komornikiem, idącym zrobić ci zajęcie, wraz z dwoma towarzyszami. Dwoma biednymi czartami. Byłoby to nastąpiło niechybnie, podczas śniadania. Rzecz piękna! Gdy korki szampana wyskakują w jadalni, komornik spisuje protokół w salonie. Jakiż niewyczerpany temat dla filozofa nie prawdaż!

— I zapłaciłeś mu pan?

— Naturalnie, skoro odebrałem papiery, które ci z przyjemnością oddaję.

— Ach! panie baronie, jakże szlachetnym jesteś człowiekiem. To nie do uwierzenia, ale zarazem w jakże kłopotliwem stawiasz mnie położeniu!

— Ja ciebie, w kłopotliwem położeniu? Ja? Dlaczego?

— Ponieważ jestem teraz twoim dłużnikiem. Mój dług, stał się obecnie długiem świętym, długiem przyjaciela. W jakiż sposób wypłacę się z niego?

— Nie troskaj się tą bagatelą. Mówmy o ważniejszych rzeczach. Ów weksel nie jest jedynym, o ile sądzę. Ma on swych młodszych braci, rozrzuconych po świecie?

— Tak jest, niestety!

— Na jak dużą sumę?

— Na dwadzieścia pięć, do trzydziestu tysięcy franków.

— Dobrze. Wykupić je będziemy się starali. Lecz jeszcze słowo. Wszak nie z przyczyny jedynie braku pieniędzy na zapłacenie tych weksli powziąłeś myśl samobójstwa? Odpowiedz mi szczerze?

— A gdybym odmówił tej odpowiedzi i nie przyjął od pana wspaniałomyślnej ofiary wykupienia mych weksli?

— Przyjąć musisz, mój chłopcze. Nie masz innego sposobu wyjścia.

— Chcesz więc pan abym ci opowiedział mą przeszłość?

— Tak.

— Będzie to bardzo krótkie opowiadanie.

— To źle. Radbym ażeby ono było najbardziej szczegółowem.

— I obok tego poweźmiesz pan najgorsze wyobrażenie o sile moralnej mego charakteru.

— Niech cię to nie przestrasza. Jestem aniołem pobłażania. Mów wszystko otwarcie!

— Cóż więc pan naprzód chcesz poznać?

— Wszystko. Zacznij od pierwszych swych chwil dziecięcych i mów nie zatrzymując się wcale.

— Niestety! wiem bardzo mało o sobie samym. Pytałeś mnie pan przed chwilą ile mam lat. „Dwadzieścia trzy, lub cztery“ dodałeś. Potwierdziłem skinieniem głowy, iż

możesz przyznać mi lata, jakie ci się podoba, prawdą jest bowiem że nie wiem, gdzie i kiedy na świat przyszedłem. Nie znam wcale mojej rodziny.

— Tak? A jednakże owo nazwisko San-Rémo i tytuł markiza?

— Są moją legalną własnością. Poznasz pan jak je nabyłem. Nie sądź bym był oszustem, przywłaszczycielem.

— A ów pozorny majątek?

— Był rzeczywistym przez lat kilka, lecz oto fakta. Sięgnąwszy w głąb mej pamięci, widzę się małym chłopięciem, wychowującym się na wsi pod opieką dobrych ludzi, o których mniemałem, że to są moi rodzice. Mieli oni drugie dziecko, chłopczyka w moim wieku, którego uważałem za brata.

— Jak daleko mieszkali od Paryża? zapytał Croix- Dieu.

— Mniej więcej mil dwadzieścia.

— I długo trwał ten twój pobyt na wsi?

— Miałem lat siedem, gdy jakiś nieznany mężczyzna, którego przed tem nigdy nie widziałem, przybył aby mnie z sobą zabrać do Paryża.

— Wybacz, że ci przerywam. Podczas, gdy byłeś u tych dobrych ludzi, czy nikt cię nie odwiedzał?

— Nikt, prócz jakiejś damy, która po kilkakrotnie przyjeżdżała przywożąc mi podarunki. Pieściła mnie tkliwie, całowała i bardzo przy tem płakała.

— I nie pytałeś nigdy kto mogła być ta kobieta?

— Później dopiero, gdym podrósł, przyszło mi na myśl że to mogła być moja matka.

— Jakże ona ci się przedstawia w twoich młodocianych

wspomnieniach?

— Nie zbyt wyraźnie. Dziś jestem pewien, iżbym jej wcale nie poznał. Pamiętam tylko tyle, iż była bladą, wysmukłą blondynką, zawsze czarno ubraną; wyglądała na bardzo młodą kobietę i zdawała się należeć do zupełnie innej sfery ludzi od tych, między którymi wychowywałem się.

— Mówiłeś, że jakiś obcy mężczyzna zabrał cię ze wsi i przywiózł do Paryża. W jakim to celu?

— Pierwsze początki historji mojego życia nie są bynajmniej zajmującemi. Ów obcy chciał mnie umieścić w kolegium Ludwika Wielkiego, we wstępnej klasie, gdzie uczono czytać i pisać.

— A dalej?

— Przepędziłem lat dziesięć w temże kolegium, podczas których zupełnie nikt mnie nie odwiedzał. Mimo to, szczęśliwe były owe lata w mem życiu. Moi towarzysze żartowali z razu w sposób uszczypliwy, dając mi uczuć osamotnienie, pośród którego żyłem i zapomnienie o mnie rodziny. Odbierałem jednak z rąk szkolnego nadzorcy tygodniowo dość znaczną kwotę pieniędzy na osobiste drobne wydatki, która rozrzucałem na piłki gumowe, agatowe kule, cukierki i tym podobne drobnostki, dzieląc je z kolegami, u których w krótce pozyskałem wielkie poważenie. Byłem pracowitym. Profesorowie przyznawali mi bystrość pojęcia. Chęć odznaczenia się, otrzymania pierwszeństwa pomiędzy uczniami podniecała mnie do nauk. Pracując z zapałem, zdałem dobrze egzamin, na którym przyznano mi stopień bakałarza. Nadszedł wiek

rozwagi. Jedna ważna kwestja poczęła zaprzątać mój umysł. Po ukończeniu klas, co się ze mną stanie a raczej co zrobią ze mnie? Do czego mnie przeznaczą?

XV.

— Była to ważna kwestja, w rzeczy samej, przerwał Croix-Dieu. I w jakiż sposób została ona rozwiązaną? — Nazajutrz po zdanym świetnie egzaminie, mówił San-Rémo dalej, egzaminie, stanowiącym uwieńczenie mych nauk, przechadzałem się smutny, w dziedzińcu opustoszonym z przyczyny wyjazdu kolegów na wakacje, gdy powiadomiono mnie, iż ktoś życzy widzieć się ze mną i oczekuje w sali przyjęcia. Pobiegłem z gwałtownie bijącem sercem. Kto wie, mówiłem sobie, czy owa tajemnicza blada blondynka czarno ubrana, w jakiej odgadywałem moją matkę, niedozwoli mi się poznać nareszcie. Doznałem zawodu. W miejscu kobiety ujrzałem jakiegoś młodego mężczyznę.

— Panie, rzekł do mnie, jestem pomocnikiem M. F. notarjusza w Paryżu, zamieszkałego przy ulicy Bellechasse. Mój pryncypał kazał mi panu donieść, iż pan masz bezzwłocznie opuścić kolegium. Władza szkolna została już powiadomioną w tym względzie. Zechciej więc pan wybrać się natychmiast i towarzyszyć mi do wspomnionego notarjusza, który panu zakomunikuje ważne szczegóły co do stanowiska, jakie odtąd zajmować będziesz.

— Dziesięć minut wystarczyło mi na upakowanie mojej

podróżnej walizki, poczem, pożegnawszy zawiadującego zakładem, który mi okazywał wiele życzliwości, wsiadłem wraz z onym przybyłym do fiakra i pojechaliśmy na ulicę Bellechasse. Notarjusz przyjął, mnie bardzo uprzejmie, zauważyłem, iż ciekawie mi się przypatrywał. Powiadomiono mnie, rzekłem do niego, iż mam otrzymać od pana jakieś ważne objaśnienia. Wdzięcznym byłbym panu nieskończenie, gdybyś mi nareszcie powiedział, kim jestem?

— Łaskawy mój kliencie, odrzekł notarjusz, mówiono mi z wielkiemi pochwałami o twej inteligencji. Zrozumiałeś więc bezwątpienia i to oddawna zapewne, iż istnieje jakaś ważna niedokładność w akcie twego urodzenia, jaki winien istnieć w księgach stanu cywilnego.

Skinąłem głową potwierdzająco.

— Osoby, jakie z niewiadomych mi powodów żywo zajmują się panem, a które mi są całkiem nieznane, mówił dalej notarjusz, przedsięwzięły środki aby uzupełnić ów brak aktu pańskiego urodzenia w tych księgach. Oto tytuł własności małych dóbr, nabytych umyślnie dla pana we Włoszech. Mała ta ziemska posiadłość, uprzedzam, nie przynosi żadnych dochodów, a budynek, oznaczony w akcie szumno brzmiącą nazwą zamku, jest całkiem niezamieszkałym.

— Ależ to nie majątek, śmiejąc się, zawołałem.

— Bezwątpienia! odrzekł notarjusz, lecz małe te dobra, na które zawahałbym się pożyczyć tysiąc talarów, nadają właścicielowi prawo do szlachectwa Włoskiego, zapłaconego naprzód ma się rozumieć, przy kupnie tej

ziemskiej posiadłości, wraz z przywilejem noszenia nazwiska i tytułu markiza San-Rémo, co nie jest drobnostką godną pogardy.

— Nadewszystko, odpowiedziałem, w braku innego nazwiska.

— A teraz, panie markizie, mówił F. dalej z powagą, proszę abyś mi napisać raczył pokwitowanie, z odbioru sumy sześciu tysięcy franków, jaką tu kładę w biletach bankowych.

— Czy suma ta ma przedstawiać dla mnie sześć tysięcy franków kapitału, czy sześć tysięcy franków dochodu, zapytałem.

— Pozostawiono to do dalszych rozporządzeń. Na teraz, uważaj to pan jako sześć tysięcy franków dochodu. Co miesiąc najregularniej będę panu doręczał po dwa tysiące talarów, co uczyni rocznie siedmdziesiąt dwa tysiące franków.

— Ależ to zdumiewające! wyjąknąłem zmieszany.

— Jest to cyfra poważna, w rzeczy samej, odparł pan F. ponieważ te siedemdziesiąt dwa tysiące franków przedstawiają około półtora miliona kapitału, licząc rocznie po pięć od sta.

— Czy ów kapitał zostanie kiedyś moją własnością?

— Nic o tem nie wiem.

— Jakież węzły mogą mnie łączyć z osobą tak szczodrze mnie obdarzającą pieniędzmi?

— Oświadczyłem panu przed chwilą i powtarzam, iż nic niewiem w tym względzie, odparł notarjusz.

— W ciągu dalszego czasu czyż pan obowiązanym

będziesz również zachowywać tajemnicę?

— Zachowywałbym ją niewzruszenie, gdyby mi takowa powierzoną została i wówczas usłyszałbyś pan odemnie: „Nie mogę na to ci odpowiedzieć“. A skoro mówię: „Nic nie wiem“, chciej pan temu wierzyć.

— Może jednak panu wiadomo przynajmniej czy owa przyznana mi pensja nagle cofniętą kiedyś nie zostanie?

— Wiem, iż przez pierwsze dwanaście miesięcy będziesz ją pan odbierał najregularniej, ponieważ suma całkowicie złożona znajduje się w mym ręku, powiedział za dłuższy czas jednak poręczać nie mogę, wszak zdaje mi się, że niepodobna ażeby osoba, widocznie bardzo bogata, która się panem od jego lat dziecięcych zajmuje i wyrobiła ci tak znakomite w świecie stanowisko, miała kiedyś o tobie zapomnieć. Przypuszczenia te jakkolwiek na logicznej osnute podstawie, nie zdołają zastąpić pewności, to prawda. Sądzę wszelako, że niepotrzebujesz pan spoglądać w przyszłość z obawą. A teraz, czy pozwolisz udzielić sobą dobrą, przyjacielską radę?

— Najchętniej.

— Jeśli pan zechcesz zastosować się do niej, unikniesz wszelkiej szkodliwej dla ciebie ewentualności. W obecnem swem położeniu, będziesz miał ze strony tych osób zwróconą na siebie uwagę. Jesteś młodym, powaby wesołego życia pociągać cię będą ku sobie. Siedmdziesiąt dwa tysiące franków rocznie do rozporządzenia, są ogromną sumą. Możesz żyć dostatnio, a nawet świetnie, okazale, wydając połowę. Odkładaj resztę na wszelki wypadek, złóż to w moje ręce, upoważnij mnie do

umieszczenia tego na jakiej pewnej lokacji, a gdyby po upływie lat kilku obecna pensja przestała ci być nadsyłaną, utworzysz sobie skromny kapitał jaki pozwoli ci żyć bez trwogi o dalszą swą egzystencję.

Przyznając wysoką przezorność słowom pana F., przyrzekłem mu jeśli nie w zupełności zastosować się do jego rady, to w każdym razie mieć ją w pamięci. Schowawszy owe sześć banknotów do kieszeni i podpisawszy pokwitowanie z odbioru obecnem mojem nazwiskiem San-Rémo, pożegnałem notarjusza chcąc odejść. Zatrzymał mnie.

— Jeszcze słowo, rzekł, panie markizie. Owa osoba nieznana, a tyle dla ciebie życzliwa, niechcąc ażebyś ze spokojnego, regularnego życia w kolegium nagle przerzuconym został w hałaśliwą wrzawę wielkich hotelów, gdziebyś zmuszonym był stykać się z różnego rodzaju awanturnikami, wynajęła dla ciebie umeblowane mieszkanie. Jest to mała antresola, przy ulicy de Provence, skromnie, lecz z gustem urządzona. Oto adres, kwit, z opłaconego za trzy miesiące komornego i klucz od wspomnionego mieszkania. Służący, za którego uczciwość poręczyć mogę, stawi się dziś wieczorem na twoje rozkazy. Jest to chłopiec inteligentny, obeznany ze szczegółami potrzeb domowego życia w Paryżu, wskaże ci on dostarczycieli jacy nie wyzyskają twego niedoświadczenia. Gdybym ja sam panie, mógł ci być w czemkolwiek pożytecznym, przyjdź, proszę cię, rozporządzaj mną, a znajdziesz mnie zawsze gotowym na swoje usługi.

Pożegnawszy tyle uprzejmego notarjusza, udałem się do

mego mieszkania przy ulicy de Provence, zapytując sam siebie, czy marzę lub śnię na jawie?

— Rzeczywiście! zawołał baron, trudno uwierzyć w to, co mi opowiadasz! Z jakże wysoką delikatnością uczucia wszystko tu ułożono i przewidziano! Ręka i serce matki w tych szczegółach odgadywać się dają.

— Matki! powtórzył Andrzej cicho i smutno, jak gdyby mówił do siebie. Matki!

— Tak, i dobrej matki, dodał Croix-Dieu.

— Dla czego „dobrej?“ Powiedz baronie raczej „bogatej.“ Gdyby była dobrą ta moja matka i prawdziwie mnie kochała, dozwoliłaby mi się poznać.

— Ach! jak ty nie rozumiesz rzeczy, do czarta! zawołał Filip; wyobrażasz więc sobie, że ta kobieta była, wolną i mogła to uczynić?

— Nic nie dowodzi aby przeciwnie być miało.

— Ależ przekonać się dozwól, drogi Andrzeju, że jesteś owocem popełnionego przez nią błędu. To nie ulega żadnej wątpliwości. Twoja matka znajduje się na pewno pod władzą swojego męża, a obok tego należy z pewnością do świata arystokracji. Gdyby była tylko bogatą mieszczanką, nie przyszłaby jej myśl nabywania dla ciebie tej włoskiej willi wraz z tytułem markiza. Taka pani Dubois, Dupuis, lub pani Lenoir gdyby posiadały i po dwadzieścia miljonów, żadnej z nich upewniam cię, nie przyszłoby do głowy utytułowanie swego nieprawego syna.

— Bardzo być może.

— Nie tylko być może, ale jest pewnem. Proszę mów dalej.

— Zgadujesz ciąg dalszy bezwątpienia, mówił smutno młodzieniec, skrócę opowiadanie. Nie poszedłem za dobrą radą notarjusza, który domyślając się zapewne że była bezużyteczną, nie ponawiał jej więcej. Wpadłem w odmęt wesołego życia zabaw i rozkoszy, który miotał mną, jak wicher miota samotnym liściem uschniętym. Moje mieszkanie przy ulicy de Provence wydało mi się być niedostatecznem. Wynająłem więc ten pałac i umeblowałem go jak widzisz. Mam cztery konie, dwa powozy, trzech służących, no i kochanki. Pojmujesz więc łatwo, baronie, że owe siedmdziesiąt dwa tysiące franków renty, a raczej pensji, starczyć na to wszystko nie mogły. Pozostałe we mnie ostatnie iskierki prawości i zdrowego rozsądku nakazywały zmniejszenie budżetu wydatków, co uczyniłem, manewrując w ten sposób, ażeby przynajmniej ta suma wystarczyć mogła bez zaciągania znaczniejszych długów. Szczęśliwa gra w Monaco, pozwoliła mi pospłacać drobne należytości. Podczas wojny zaciągnąłem się do korpusu ochotników, a z moich oszczędności zapłaciłem resztę długu za powozy i konie. Półczwarta roku tak upłynęło; z pobieranej renty nic mi nie zostawało, lecz w zamian nie miałem żadnych do spłaty naglących terminów, prócz kilku tysięcy franków sklepowym dostarczycielom, jakie spłacać mogłem dowolnie. Myśl, ażeby hojność moich nieznanych dobroczyńców ukończyć się miała, nie przeszła mi wcale przez głowę. Zresztą odpędziłbym ją, jako śmieszną niedorzeczność, rzecz niepodobną do spełnienia. Przed czterema miesiącami, w dniu pierwszym Sierpnia, udałem się jak zwykle na ulicę Bellechasse i przesłałem moją

wizytową kartę notarjuszowi. Przyjął mnie natychmiast. Dostrzegłem jednak pewną zmianę w jego zachowaniu się. Wydał mi się on być jakimś smutnym, zakłopotanym, ale mówiłem sobie, notarjusz ma mnóstwo trosk osobistych, wypływających z jego zajęć obowiązkowych i nie zważałem na to zbyt wiele. Uścisnął podaną sobie moją rękę, lecz w sposób dziwnie wyjątkowy, w ten sposób, jak zaproszeni na pogrzeb ściskają rękę najbliższych krewnych nieboszczyka. Nie uśmiechał się już, jak poprzednio, co dostrzegłszy, uczułem, że i mnie uśmiech zamarł na ustach.

XVI.

— Począłeś obawiać się, nieprawdaż, pytał Croix-Dieu.

— Tak, odrzekł San-Rémo, jakaś nieokreślona trwoga mną zawładnęła. Po chwili milczenia pan F. uścisnął powtórnie mą ręką mówiąc:

— Odwagi młodzieńcze, odwagi!

— Co się stało? zawołałem.

— Ha! drogi mój kliencie, zmuszony ci jestem powiedzieć, iż nic dla ciebie nie otrzymałem.

Był to cios straszny. Zachwiałem się i czułem, żem pobladł.

— Odwagi! powtórzył notarjusz, nie dopuszczajmy rozpaczy. Być może, przyczyną pomienionej zwłoki w przesyłce jest tylko opóźnienie.

— Tak pan sądzisz? odparłem żywo, chwytając się tej ostatniej nitki nadziei.

— Nic nie wiem, wyrzekł, bo i zkądże mógłbym coś

wiedzieć? Przypuszczam tylko jakieś chwilowe roztargnienie.

— Nic pan więc dla mnie nie posiadasz w swej kasie, z czego mógłbyś mi coś udzielić jako zaliczkę?

— Nie, ponieważ od dwóch lat pieniądze przybywały co dwanaście miesięcy.

— A w ostatnich czasach?

— Na dwa, lub trzy dni przed każdym pierwszym dniem miesiąca, a niekiedy w wigilię dnia tego. Spodziewałem się, iż może nadejdą dziś rano. Kto wie czy nie nadeszlą ich w dniu jutrzejszym?

Potrząsnąłem głową.

— Nie liczę na to, wyjąknąłem zmieszany. Lecz w jakże kłopotliwem znajduję się położeniu.

— Te sześć tysięcy franków na jakie pan oczekujesz, są ci więc gwałtownie potrzebne? pytał pan F.

— Tak, nieodwołalnie.

— Nic przeto zaoszczędzić nie zdołałeś przez cztery lata z owych dwóchset ośmdziesięciu ośmiu tysięcy franków, jakie przeszły przez moje ręce?

— Ani grosza.

— Przyznasz, kochany baronie, że ów notarjusz miał wszelką sposobność do wypowiedzenia mi tu tęgiego morału, nie uczynił tego jednakże jako człowiek dobrze wychowany i prosił z najwyższą uprzejmością, abym przyjął od niego tytułem pożyczki bilet tysiąc frankowy. Odrzuciłem tę propozycję, mimo że mi była w nader delikatny sposób ofiarowaną.

— Gdyby pieniądze nadeszły, mówił pan F. dalej,

żegnając mnie uściśnieniem ręki, natychmiast pana o tem powiadomię.

Niestety! nie nadeszły one wcale. Postępując rozumnie, trzeba mi było zmienić niezwłocznie mój sposób życia, sprzedać meble, powozy i konie, odprawić służbę, pałac komu odnająć. Nic z tego nie uczyniłem. Jakaś głupia nadzieja mnie podtrzymywała. Wierzyłem, a raczej usiłowałem przekonywać sam siebie, iż niepodobna ażeby o mnie zupełnie zapomniano i że w nadchodzącym miesiącu podwójną pensję odbiorę, to jest dwanaście tysięcy franków. I otóż nic nie zmieniłem w trybie mego życia, z różnicą, że zamiast wszystko płacić natychmiast w bieżącym czasie, jak to dotąd było moim zwyczajem, począłem zaciągać długi i podpisywać weksle. Cztery miesiące tak upływały, bez żadnego widoku polepszenia. Nie pozostawał mi teraz żaden promyk nadziei. Widocznie owe osoby nieznane, jakie od lat dziecięcych czuwały nademną, opuściły mnie. Być może podupadły majątkowo a może umarły. Wierzyciele grozić mi poczęli, komornicy znaleźli drogę do pałacu. Dostarczyciele spożywczych produktów zaprzestali dawać na kredyt, nawet i twarze służących, którym nic dłużny nie byłem, spochmurniały, wyrażając niepokój i obawę. Zwątpienie wciskać się poczęło w umysły otaczających. W głębi duszy, surowo potępiałem sam siebie, bo jakże usprawiedliwić postępowanie tego, który zaciąga długi, wiedząc, że ich zapłacić nie będzie w stanie? A jednak mimo to wszystko, nie miałem siły wyrzec się próżnowania, zbytków i roskoszy. Brakło mi odwagi do zajęcia się jakąkolwiekbądź

pracą. Zresztą, w jaki sposób zarabiać na życie? Postanowiłem więc umrzeć i gdyby nie twoje ocalenie, kochany baronie, nie żyłbym już obecnie!

Żądałeś odemnie spowiedzi z mojego życia, masz ją w najdrobniejszych szczegółach. Znasz mnie teraz tak dobrze, jak ja znam siebie. Czy jesteś wszelako pewnym, iż mi wyświadczyłeś przysługę wytrącając mi z ręki rewolwer, który bez skandalu, cicho, byłby mnie wyzwolił od trosk i niemożebnej do zwalczenia egzystencji.

— Tak, jestem tego pewnym! rzekł baron, jak również mam pewność co do innej jeszcze okoliczności.

— Jakiej?

— Co do tej, o której mi wcale nie powiedziałeś.

— Ależ przysięgam ci.

— Nie przysięgaj ! przerwał Croix-Dien. Być może, iż wierzysz w to, czem pragniesz złudzić sam siebie, lecz ja cię przekonam ile się mylisz! Gdyby jedynie żądza zbytków i rozkoszy, a wstręt do pracy i obawa pędzenia życia przy skromnych środkach utrzymania, nasunęły ci myśl samobójstwa, byłbyś nikczemnym człowiekiem; a mimo wszystkiego, ty nim nie jesteś!

Andrzej San-Rémo pobladł, zmięszany.

— Cóż więc przypuszczasz? zapytał z cicha.

— Nie idzie tu o przypuszczenie, ale o pewność, rzekł baron. Chciałeś się zabić, opanowany strasznem zniechęceniem do życia, jakie cię przygniatało. Otóż powodem tego zniechęcenia, jest namiętność, paląca, głęboka, jaka zdaje ci się nie pozostawiać żadnej nadziei. Przepaść istnieje pomiędzy tobą, a tą którą kochasz!

Spadające na ciebie nagle ubóstwo zamknęłoby przed tobą podwoje świata arystokratycznego, wydrążając jeszcze głębiej tę przepaść. Powiedziałeś tedy sobie: Wicehrabina de Grandlieu, pokochałaby może markiza de San-Rémo, jednego z pięknych przedstawicieli high-lifu, lecz spojrzeć by z pewnością nie chciała na biedaka, zarabiającego z trudem tysiąc talarów w jakiem biurze, chodzącego w przypinanych mankietach i kołnierzyku, oraz łatanej kamizelce. Trzeba więc raz zkończyć! I ułożyłeś tę małą komedję, której rozwiązaniu ja przeszkodziłem.

Podczas gdy Croix-Dieu to mówił, palący rumieniec wystąpił na pobladłe przedtem oblicze Andrzeja.

— Ach! baronie, przerażasz mnie! wyjąknął przysłaniając twarz rękoma. Dobywasz z głębi duszy to, coby się ukryć pragnęło przed sobą samym. Czyliż posiadasz dar podwójnego widzenia?

— Nie! jedynie tylko doświadczenie, odpowiedział śmiejąc się Croix-Dieu. Obserwuję i patrzeć umiem.

— Któż jednak tobie powiedział?

— Że jesteś szalenie zakochanym w pani de Grandlieu?...

— Tak.

— Kto mi powiedział? Ty sam.

— Ja? w jaki sposób, kiedy?

— O! jakże jesteś naiwnym, drogi mój chłopcze! Codziennie, nie zbyt starannie ukryty w swoim powozie stawasz całemi godzinami przed pałacem Grandlieu, wyczekując na wyjazd wicehrabiny, za którą jak cień biegniesz do Bulońskiego lasku. Prócz tego, co wieczór

ponawiasz tenże sam manewr, śledząc tę młodą kobietę, czyli mąż jedzie z nią do teatru, gdzie następnie pożerasz ją oczyma z głębi swej loży i zdumiewasz się potem jeśli ktoś czyta w twem sercu? Wszakże to jawne, na Boga! Żeś zakochany nie dziwna, lecz cię uprzedzam, że twoja miłość djabelnie jest kompromitującą.

Andrzej, siedząc z opuszczoną głową, podniósł ją nagle.

— Wiesz zatem wszystko, baronie, rzekł, wszystko odgadłeś i zrozumiałeś, dla czego więc powstrzymałeś mnie od spełnienia samobójstwa? Czyż zdaje ci się, że w takich warunkach żyć mogę?

— Jak najlepiej.

— W jakim celu, z jaką nadzieją?

— W celu osiągnienia szczęścia. Z nadzieją zostania szczęśliwym.

— Cel niedościgniony, próżna nadzieja! Ja mój sen pogrzebałem na wieki w krainie marzeń

— Przeciwnie, staraj się o jego urzeczywistnienie.

— Jest że to możebnem?

— Nie istnieje niepodobieństwo dla człowieka silnej woli.

— Ależ pani de Grandlieu nie zna mnie wcale.

— Zatem cię pozna.

— Wszak powiedziałeś, baronie, przed chwilą, że pełna blasku ta patrycjuszka nie chciałaby spojrzeć na biedaka pracującego na swe utrzymanie, przypuściwszy jeszcze gdybym znalazł gdzie pracę.

— Nie potrzebujesz szukać jej wcale. Zachowasz tenże sam tryb życia, jaki prowadziłeś przez lat cztery.

Pozostaniesz w pałacu, zatrzymasz konie, powozy, służbę, wszystko!

— W jaki sposób mogę to uczynić, nie mając ani szeląga?

— Nie troskaj się o to. Ja jestem bardzo bogatym. Przedewszystkiem pospłacam twe długi, co jest dla mnie drobnostką i zobowiązuję się dawać ci na wydatki utrzymania domu. Polegaj proszę na mem przyrzeczeniu.

— Żartujesz, baronie!

— Przeciwnie, mówię na serjo!

— Z jakiego jednak powodu miałbyś to uczynić?

— Wprost jako przyjaciel, nic więcej. Wiadomo ci, że jestem kawalerem i mam pieniądze, wiele pieniędzy. Żywo mnie obchodzi to twoje całe położenie, zresztą, wbrew twojej woli ocaliłem ci życie, moim obowiązkiem jest, ułatwić ci je teraz. Jeżeli poczucie twojej godności osobistej, twoja ambicja sprzeciwia się temu, uspokoimy ją, uważając te pieniądze, jako prostą, bezterminową pożyczkę.

— Wiesz jednak dobrze, baronie, że nigdy, nigdy wypłacić ci jej nie byłbym w stanie.

— Nie chcę o tem wiedzieć! Jesteś bardzo pięknym mężczyzną, jesteś markizem. Kiedybądźkolwiek możesz zawrzeć świetne małżeństwo, a wtedy spłacisz mi to z posagu swej żony.

— Z posagu, powtórzył Andrzej. Wszak wiesz, gdzie oddałem całe me serce i mówisz mi o małżeństwie?

— Dla czegóż nie mógłbyś zaślubić swego uwielbianego bożyszcza?

— Co mówisz, baronie? Lecz to szaleństwo! A jej mąż?

Chcesz go więc zgładzić?

— Pan de Grandlieu ma o pięćdziesiąt lat więcej, niż jego żona. Wicehrabina będzie kiedyś bardzo bogatą wdową!

— Ach, szepnął Andrzej z uniesieniem, gdyby była wdową i kochała mnie, nie uważałbym na majątek. Niczem jest on dla mnie!

— Mój drogi chłopcze, rzekł Croix-Dieu, pozbądź się, proszę, raz na zawsze tych myśli z za światowych błękitów, pomnąc że: „Miłość bez pieniędzy jest tylko chorobą!“ Jeden z wielkich dawnych poetów ułożył ów aforyzm. Być może, iż jakiś wyraz zmieniłem w tem zdaniu, myśl jednak taż sama pozostała i jest jednako praktyczną. Zresztą bądź pewnym, iż rzeczy ułożą się jak najlepiej w świecie, chodziło tu tylko o nasze wspólne porozumienie się i otóż ono nastąpiło. Zgadzam się w zupełności. Ale jeszcze słowo. Znasz wszakże I mojego przyjaciela, Jerzego Tréjan’a.

— Znam, dla czego pytasz mnie o to?

— Ponieważ to on według wszelkiego prawdopodobieństwa wprowadzi cię do pałacu Grandlieu.

— On? zawołał Andrzej zdziwiony, artysta!

— Ów artysta jest szlachcicem, a szlachcic hrabią de Tréjan, zaś hrabia de Tréjan jest bliskim krewnym wicehrabiego Armanda de Grandlieu. Sądzę iż zrozumiałeś teraz?

XVII.

Na kilka miesięcy przed opowiedzianemi wyż szczegółami, Andrzej San-Rémo protegował pewną aktorkę z teatru Ménus-Plaisirs.

Panna Formoza, tak nazywała się owa brunetka, zyskała powodzenie w farsie: „Śpiewająca-studnia“ gdzie doskonale odgrywała rolę „żaby.“

Pomieniona rola składała się wprawdzie tylko z kilku wierszy i małego kupletu, lecz kształtna postać Formozy tak powabnie się przedstawiała pod jedwabnemi cielistej barwy trykotami, że przy wejściu na scenę powitaną została burzą oklasków, jakich nie szczędzili jej widzowie z pierwszych rzędów krzeseł.

Obdarzona nie zbyt piękną, ale nacechowaną dowcipem twarzyczką, zadziwiająco kształtnie zbudowana, śmiała do zuchwalstwa, pełna szyku, dość inteligentna panna Formoza pobierała w teatrze pensję, wynoszącą miesięcznie sto franków, lecz przyjeżdżała tamże powozem, uprzężonym w konia pół krwi, wartującego najmniej dwieście luidorów.

Andrzej San-Rémo, upodobawszy sobie ową osóbkę, zajmował się nią przez parę tygodni, a następnie, pozostał i na dłużej jej protektorem.

W świecie paryzkiej młodzieży, jak zresztą wszędzie, znajdujemy niestety wielu idjotów, z monoklem w oku, gardenią w butonierce, nie mających dosyć energji do oparcia się miłostkom tego rodzaju, wyczerpującym w przerażający sposób ich kieszenie. Do ich liczby należał Andrzej San-Rémo.

W pewien czerwcowy wieczór, w świeżo otwartym

teatrze Ménus-Plaisirs, zawieszono przedstawienia pod pozorem choroby jednego z głównych aktorów, rzeczywiście zaś z przyczyny braku widzów, jakich odstraszały panujące w tej porze roku upały. Panna Formoza, pragnąc przyjemnie spędzić czas wolny od występów, wygłosiła rozkaz młodemu markizowi:

— Pojedziemy dziś na obiad do restauracji pod „Czerwonym Młynem“ po obiedzie udamy się do cyrku, a z cyrku do Mabil’u. Zbiera się tam dziś wyższe towarzystwo.

Jakoż około ósmej wieczorem Andrzej z ową pseudo-aktorką, obiadowali we dwoje w restauracyjnym gabinecie przy ulicy d’Anui, a podczas obiadu dla urozmaicenia sprzeczali się z sobą.

Po dniu nadzwyczaj gorącym, nadszedł wieczór zapowiadający burzę. Powietrze przesycone elektrycznością, źle oddziaływało na nerwy Formozy. Drażniły ją żarty Andrzeja, aż wreszcie uniesiona gniewem, pochwyciwszy szklankę, rzuciła ją w twarz markiza, na szczęście bez szkody, poczem wziąwszy kapelusz, wybiegła z gabinetu zatrzaskując drzwi za sobą.

— Szczęśliwej podróży! wyszepnął San-Rémo z ulgą oddychając. Ach! gdybyś zechciała nie powracać więcej! Po chwili wyszedłszy na balkon, nie myślał już o zbiegłej kochance, lecz rozpatrywać się zaczął w wesołym krajobrazie pełnego zieleni ogrodu, po alejach którego uwijała się służba restauracyjna, nosząc półmiski piramidalnie napełnione potrawami.

Rozkoszna muzyka, to głośno brzmiąca, to przytłumiona, przebiegała po nad wierzchołkami drzew, otaczając

młodzieńca falą harmonji.

Noc zapadła. Lekki wietrzyk, biegnący od strony Sekwany, przyniósł wraz z sobą chłód i świeżość.

Andrzej, zadowolony samotnością, pogrążony w marzeniu, przepędził tak blisko pół godziny, poczem załatwiwszy rachunek, zapalił cygaro i wyszedł.

Stangret oczekiwał na ulicy z kabrjoletem uprzężonym we dwa siwej maści angielskie konie.

— Panie markizie, rzekł, spostrzegłszy nadchodzącego, panna Formoza, którą przed chwilą odwiozłem i do cyrku, kazała mi powiedzieć, że oczekuje tam na pana.

— Dobrze, wymruknął młodzieniec, a wsiadłszy do powozu, rzekł sam do siebie: „Może oczekiwać jak długo się jej podoba“.

I rozkazawszy stangretowi jechać wolno za sobą udał się pieszo do sali koncertowej na polach Elizejskich, zkąd dobiegały owe urocze dźwięki o jakich wspominaliśmy powyżej. Kupiwszy bilet wszedł do owego ogrodu „cnoty “ gdzie trzech archaniołów w postaciach kontrolerów, bronią nielitościwie wejścia wszelkim córkom Ewy pragnącym się tam dostać bez towarzystwa mężczyzny. Nie błyszczą wprawdzie zapalone pochodnie w rękach onych strażników moralności, surowość ich jednak w tym względzie jest nieprzełamaną.

Andrzej usiadłszy, przypatrywał się przechadzającym w około orkiestrowej rotundy, gdzie muzykanci, korzystając z przerwy, stroili swe instrumenty, ocierali ręce spotniałe, wysuszając zarazem i kufle piwa.

Nawykły do wybuchów swobodnej wesołości w Mabilu i

spędzający niejedną godzinę w ogrodzie „pod Bzami“, San-Rémo zauważył że budująca surowość obyczajów zachowywana w tym zakładzie zbyt go poważnym czyniła.

Nagle wśród tych rozmyślań, uczuł się być olśnionym, jak gdyby jakimś promiennem świetlanem zjawiskiem. Zdawało mu się że ujrzał jakoby przed swemi oczyma otwierające się szerokie widnokręgi horyzontów raju, o jakim nigdy nie śnił, nie marzył. To dziwne, nieznane mu dotąd wrażenie, jak wszystkie prawie fakty psychologiczne, miało najprostszą przyczynę.

Mężczyzna w sędziwym wieku, wyniosłej postaci o młodem prawie mimo srebrzystych włosów obliczu, ubrany z wyszukaną elegancją, zastosowaną jednak do lat poważnych, przesunął się przed markizem San-Rémo, wiodąc pod rękę jasnowłose, wysmukłe, cudnej urody dziewczę. Z tkliwą ufnością wspierała się ona na ramieniu tego dżentelmana, wydającego się być jej ojcem i uśmiechnięta poglądała weń swemi łagodnie patrzącemi błękitnemi oczyma. Andrzej pochwycił w przejściu następujący urywek rozmowy.

— Herminjo, drogie dziecię, mówił starzec, od tak dawna przechadzamy się, jesteś może znużoną?

— Tak, nieco, odpowiedziała z uśmiechem!

— Może chcesz wracać?

— Och! nie, zostańmy jeszcze, proszę! Ja tak lubię muzykę! Zresztą ten ruch bawi mnie wielce. Zostaniemy do końca, wszak prawda.

— Wszystko czego sobie życzysz, jest mojem życzeniem, wszakże wiesz o tem? rzekł starzec.

Pozostaniemy najchętniej, ale usiądźmy, spocząć ci trzeba. O! patrz, właśnie są opróżnione miejsca.

To mówiąc, wskazał krzesła obok tego, jakie zajmował San-Rémo.

Dziewczę usiadło, zwracając się plecami do Andrzeja, który zadowolnić się musiał chwilowem spoglądaniem na piękny profil nieznanej sąsiadki, gdy odwracała się w połowie rozmawiając ze swym towarzyszem. Podziwiał jej kształtną postać, jej piękne blond, włosy, podniesione na skroniach perłowej białości, aby utworzyć splot bujny na wierzchołku głowy, na którym zaledwie się wspierał maleńki kapelusik.

Dla czego młodzieniec upajał się tym widokiem? Dla czego jego serce, wstrząśnione jak iskrą elektryczną, doznawało dziwnego, nieznanego dotąd wzruszenia? Gdyby mu ktoś zadał to niedyskretne pytanie, młody markiz z pewnością nie potrafiłby na nie odpowiedzieć.

Koncert ukończył się nareszcie. Zaledwie ostatnie dźwięki orkiestry przebrzmiały, tłum rzucił się gwałtownie ku wyjściu. Zwróćmy uwagę na ów dziwny zwyczaj, iż widzowie lub słuchacze, których nic nie nagli, nie chcą zazwyczaj poświęcić kwadransa czasu, rzucając się w ciżbę, skoro muzyka umilknie, lub teatr się skończy.

Jaka jest przyczyna tego pośpiechu? Notujemy fakt, nierozwiązując go bynajmniej. Ów starzec z młodem dziewczęciem stanowili wyjątek w tym razie. Mieli wstręt bezwątpienia, do owego przeciskania się w tłumie, szturchań i sprzeczek, nieuniknionych tam, gdzie fala ludzi płynie za falą, a niekiedy nawet wybiega po za brzegi.

Wyszli ostatnimi, a raczej przedostatnimi, ponieważ najpóźniej wyszedł markiz San-Rémo.

Służący we francuskiej dworskiej liberji oczekiwał przy bramie, oświetlonej lampionami.

Skinął ręką. Kareta podjechała. Stopnie spuszczono. Starzec wraz z młodem dziewczęciem siedli w głębi na poduszkach. Lokaj zamknął drzwiczki i świetny ekwipaż wolnym truchtem odjechał.

Andrzej wsiadł do swego kabrjoletu, pochwycił lejce i ruszył z miejsca, trzymając się w pewnej odległości od karety, która minąwszy plac Beauveau, zniknęła pod sklepieniem bramy jednego z najpiękniejszych pałaców na przedmieściu św. Honorjusza.

Pewien, iż pozna ów pałac nazajutrz, markiz San-Rémo, zawrócił. Zamiast jednak pojechać do swego mieszkania, jeździł do godziny pierwszej nad ranem po opustoszałych alejach Bulońskiego lasku. Około drugiej powrócił. Wysiadając spostrzegł żywe światło błyszczące przez szyby okien pałacu.

— Kto u mnie jest? zapytał służącego, wchodząc do sieni.

— Panna Formoza, odparł zapytany.

Andrzej rzucił się niecierpliwie.

— Nie wyprzęgaj, rzekł do stangreta i wszedł.

Komedjantka widząc, że pan San-Rémo nie spieszy za nią ani do cyrku, ani do Mabilu, rozmyśliła się i uspokoiła. Pieniężne jej interesa, ucierpiałyby nie mało na tem tak nagłem zerwaniu. Zrywać więc nie należało, ale zręcznie rozdmuchać płomień, prawie wygasły, by zeń wydobyć

choćby ostatnią iskierkę. A zatem, wdzięczna, uśmiechnięta, z twarzą lekko pokrytą pudrem, rozpuszczonemi zalotnie na ramiona włosami, oczekiwała na przybycie markiza.

Nie można zaprzeczyć, iż przyzwawszy na pomoc wszelkich środków do podniesienia swej tak zwanej djablej piękności, była rzeczywiście powabną.

XVIII.

Tak, Formoza była powabną, lecz miała obecnie silną przeciwniczkę, jaka odniosła nad nią zwycięztwo. Od owego spotkania się na koncercie w ogrodzie pól Elizejskich, miłość tej aktorki stała się wstrętną dla Andrzeja.

W sposób grzeczny, ale stanowczy, prosił ją aby się bezzwłocznie zabrała, wracając do swego mieszkania przy bulwarze Hausmana.

— Kabrjolet oczekuje, aby cię odwieść, rzekł do niej!

Jutro nadeślę ci pewną kwotę pieniędzy, z której mniemam będziesz zadowoloną. Dobranoc.

— Słowem, wyrzucasz mnie za drzwi! zawołała Formoza.

— Bynajmniej, proszę cię tylko, abyś wracała do siebie.

— Jesteś prostakiem, gburem!

— Mogę być wszystkiem, czem zechcesz, ale powtarzam stanowczo, byś nie dawała dłużej oczekiwać na ulicy moim koniom.

Formoza, zrozumiawszy nareszcie, że ani gniew, ni kokieterja nic nie pomogą, zabierać się poczęła.

— Pamiętaj, ażeby pamiątka, jaką mi nadeślesz, była paczką znacznej objętości; ja takie tylko lubię, mówiła, wychodząc z pokoju.

— Dobrze, dobrze! wymruknął Andrzej, rad pozbyć się owego gościa co prędzej.

Turkot kabrjoletu oznajmił odjazd Formozy.

San-Rémo udał się na spoczynek, nie spał wiele tej nocy, a nazajutrz z rana udał się pieszo na przedmieście św. Honorjusza, gdzie wszedł do galanteryjnego sklepu, znajdującego się na wprost pałacu. Oglądając tam figurki z Japońskiej porcelany, rozmawiał ze sprzedającą.

— Powiedz mi pani, kto jest właścicielem tego tu naprzeciw pięknego pałacu? zapytał.

— Wicehrabia de Grandlieu.

— Jest to młody człowiek zapewne?

— Przeciwnie, w sędziwym prawie już wieku.

— A! to być może syn jego, którego mi pokazywano?

— Nie, panie, ktoś się pomylił, pan de Grandlieu nie ma syna, nigdy nie był żonatym.

— Mieszka więc sam, w tak obszernym pałacu? Ach! jakże go żałuję!

— Nie mieszka sam, ma przy sobie wychowanicę, pannę Herminię de Randal, sierotę, którą kocha jak własną córkę. Panna Herminja jest bardzo piękną, a przytem dobrą, łagodną. Często przychodzi tu do sklepu. Lubi piękne drobnostki i kupuje wiele. Powiadamiam ją, jak tylko mam coś nowego. Była u mnie wczoraj i patrz pan, wybrała to,

co jej dziś odniosę. Potrzeba było w tem pięknem cacku zrobić maleńką naprawę. Odłamał się jeden z kwiatów przy brzegu.

To mówiąc, kupcowa pokazała małe podłużne zwierciadło z ośmnastego stulecia w ramach z Saskiej porcelany, na brzegach którego dziecięce postacie igrały między kwiatami.

Andrzej San-Rémo, patrząc w owe zwierciadło, zdawał się dostrzegać w niem obraz czarującej twarzyczki dziewczęcia, spotkanego w ogrodzie.

— Za jaką cenę pani to sprzedałaś? zapytał.

— Za tysiąc franków, nie jest to zbyt drogo. Panna Herminja nie targuje się nigdy, ztąd, mimo że wicehrabia de Grandlieu jest bardzo bogatym, sprzedaję jego wychowanicy za możliwie najtańszą cenę.

— Rzeczywiście, pani, jak widzę tanio sprzedajesz. To zwierciadło warte więcej niż tysiąc franków, na dowód czego gotów jestem pani za niego tysiąc pięćset franków zapłacić. Zgadzasz się pani?

— Nie mogę przyjąć, choćbyś mi pan nawet ofiarował dziesięć tysięcy.

— Dla czego?

— Przedmiot ten już do mnie nie należy, jest on własnością panny de Randal.

— Być może, na przedstawienie pani pozwoliłaby go odstąpić komu innemu?

— Nie, panie, o to jej pytać nie mogę. Sądziłaby, iż pragnę wziąć zań wyższą cenę, gdyby to jednak było pańskiem życzeniem, mogłabym się postarać o zwierciadło

w podobnym rodzaju. Są to wprawdzie rzadko pojawiające się przedmioty, lecz znaleść je można.

San-Rémo przecząco odpowiedział. Coby dlań stanowiło podobne temu zwierciadło? Tego on pragnął jedynie, z przyczyny, iż należało do panny Herminii de Randal.

Dziwnern wydać się może, że ów markiz tak mało był obznajmionym ze szczegółami, dotyczącemi arystokratycznego świata stolicy i że nie znał chociażby tylko z widzenia wicehrabiego de Grandlieu, którego cały Paryż znał dobrze?

Przyczyna nader prosta.

Andrzej, oddany całkowicie rozkoszom życia, nie pomyślał nigdy o wejściu w koła patrycjuszów. Jego znajomości składała nader szczupła liczba osób, przeważnie towarzysze z kolegium. Po zatem, miał jedynie stosunki z młodzieżą spotykaną w salonach półświatka. Słowem nie należał on do liczby owych hulaków, włóczęgów, mimo, że z pozoru mógł zupełnie za takiego uchodzić.

Ów koncert wieczorowy na polach Elizejskich miał zwiastować Andrzejowi chwilę rozpoczęcia nowej ery życia.

Inaczej tłómacząc, za pierwszem spojrzeniem rozkochał się szalenie w pannie de Randal, a poddając się tej namiętności, wiedział zarazem, iż ona mu przygotowuje cały szereg smutków i zawodów, bo i czegóż mógł się spodziewać? Czego oczekiwać? Był człowiekiem bez nazwiska, któremu kupiono tytuł za pieniądze, by mu zapewnić jakiekolwiek stanowisko wśród świata.

Nic nie posiadał, gdy ów pozorny majątek, nie oparty na

żadnej trwałej podstawie, mógł zniknąć każdej chwili. Jak więc w tak opłakanych warunkach, ubiegać się o rękę dziewczęcia z arystokratycznej rodziny?

Gdyby nawet starał się być przedstawionym panu de Grandlieu, na co by się to przydało? Wicehrabia odmówić by mógł przyjęcia go w swym domu, a wtedy jakież straszne dla młodzieńca upokorzenie! W przeciwnym razie, gdyby nawet bywać mu dozwolono w pałacu na przedmieściu Honorjusza, jakież na przyszłość rezultaty z tej bliższej znajomości wyniknąćby mogły?

Andrzej badał głęboko te wszystkie szczegóły, przeklinał gorzko okoliczności towarzyszące jego urodzeniu, bez jakiegobądźkolwiek promyka nadziei, i jak fanatyczni palacze opium na Wschodzie, lub pochłaniacze haszyszu, upajał się codziennie tą zwolna zabijającą go trucizną.

Przepędzał dnie i wieczory na ściganiu pana de Grandlieu, z jego wychowanicą, ta jednak pogoń jego była o tyle dyskretną, tak dobrze ukrytą, iż ani wicehrabia ani młode dziewczę nie spostrzegli tej bezustannej obserwacji.

Nigdy młody markiz nie wymieniał nazwiska ani hrabiego, ani panny de Randal. Nigdy pytać się nie poważył o żadno z nich obojga. Była to miłość głęboka, prawdziwa, w najściślejszych tajnikach duszy zamknięta.

Pewnego dnia, około południa, we dwa miesiące po owym koncercie na polach Elizejskich, Andrzej San-Rémo wyjechał konno na przechadzkę w towarzystwie służącego i zwrócił się w ulicę Franchet, by dosięgnąwszy przedmieścia Honorjusza, przejechać przed pałacem Grandlieu, jak to miał zwyczaj czynić codziennie. Z ulicy

Magdaleny dostrzegł wielką liczbę powozów i karet, stojących przed okratowaniem pałacu. Lokaje w galowych liberjach tworzyli grupę różnobarwną, a pomiędzy niemi poznał służbę wicehrabiego.

Jakieś arystokratyczne zaślubiny odbyć się mają zapewne w kościele św. Magdaleny, pomyślał San-Rémo, a między zaproszonemi znajduje się pan de Grandlieu z wychowanicą.

Na tak niespodziewaną sposobność ujrzenia panny de Randal, serce młodzieńca gwałtownie bić poczęło. Zsiadł z konia, a oddawszy cugle służącemu, wszedł do kościoła, wspaniale przybranego, oświetlonego jak w dniach najwyższych uroczystości, napełnionego wonią kadzideł, pośród którego rozlegały się poważne dźwięki organów.

Tłum nieprzejrzany eleganckiego arystokratycznego świata zapełnił nawę kościelną.

Obrzęd, jaki sprowadził tu takie mnóstwo światowych znakomitości, był rzeczywiście małżeństwem. Andrzej nie mógł widzieć nowozaślubionych, zbyt wielka odległość dzieliła go od wielkiego ołtarza, na stopniach którego, wysłanych aksamitnym kobiercem klęczeli oblubieńcy.

Tuż obok niego dwaj młodzi mężczyźni rozmawiali pół głosem, a urywany szept ich rozmowy dobiegał uszu markiza

— Czarująco piękna, mówił jeden z nich; szkoda! i szczerze ją żałuję!

— Dla czego?

— Bo ona młoda a on tak stary.

— Co to znaczy, gdy jest olbrzymio bogatym. Jeżeli

pieniądz stanowi szczęście, winna być szczęśliwą. Zresztą to człowiek dobrze zakonserwowany.

— Mówią, że jest szalenie w niej rozkochanym.

— E! miłość starca.

— Pocieszać ją będziemy. Młodą żonę, starego męża, bawić potrzeba. Jako dziewica była świętością dla wszystkich, inaczej z nowozamężną.

— Lecz jedźmy. Obrzęd się skończył, nowo-zaślubieni wychodzą do zakrystji dla podpisania ślubnej intercyzy. Będzie ścisk niesłychany, wychodźmy.

— Nie! ja pozostanę, rzekł drugi. Chcę widzieć nowozamężną. Cudownie jest piękną w tym koronkowym welonie. Zresztą zaciekawia mnie ona.

— W czem takiem?

— Uważałeś z jaką pewnością siebie przechodziła tu, przed nami? Najmniejszego zmięszania, ani zarumienienia nie dostrzegłeś na jej twarzy. Niewinność wyjątkowa, lub udawanie. Jedno z dwojga.

— Czart to wie?

San-Rémo nie pragnął bynajmniej widzieć nowo-zaślubionej, o której ci panowie rozmawiali, widocznie nie znając jej wcale, pozostał jednak w miejscu, ażeby ujrzeć Herminię, wychodzącą z kościoła. Pozostali czekał.

Pół godziny tak upłynęło, poczem dał się słyszeć szmer głośny. Tłum rozstąpił się na obie strony, zostawiając wolne przejście nowożeńcom.

— Idą, już idą! zewsząd szeptano.

Andrzej, spojrzawszy, uczuł się, jak gdyby nagle pchniętym w serce sztyletem; czuł jakoby rozstępujący się

grunt pod nogami.

Herminja uśmiechnięta, w swym białym ślubnym stroju, szła zwolna pomiędzy dwoma rzędami obecnych w kościele osób, wsparta na ramieniu wicehrabiego Armanda de Grandlieu, swojego męża.

XIX.

Młody markiz, skoro to pierwsze wstrząśnienie moralne, wywołane ciosem gwałtownym, minęło, znalazł się pod portykiem, na platformie przed kościołem św. Magdaleny.

Tłum, wychodzący z kościoła, uniósł go tam z sobą tak, iż o tem nie wiedział.

Kareta wicehrabiego de Grandlieu, we wspanialej uprzęży szybko się oddalała, unosząc starca wraz z jego młodą żoną. Ekwipaże zaproszonych gości długim szeregiem podążały jedne za drugiemi, a pośród wrzawy słychać było trzask zamykanych drzwiczek od powozów.

Andrzej, jak człowiek, nagle z ciężkiego snu zbudzony, niemogący jeszcze w równowagę wprowadzić swych myśli, podszedł do swego konia, wskoczył na siodło i bezwiednie prawie skierował się ku przedmieściu św. Honorjusza, gdzie zwolnił bieg wierzchowca naprzeciw pałacu Grandlieu. Główna brama była na oścież otwartą. Kilka karet stało w głębi dziedzińca.

Wicehrabia, wierny starym zwyczajom, zamiast przepędzenia miodowego miesiąca gdzie na wsi u siebie, lub w podróży, wydawał śniadanie, dla małej liczby swoich

prawdziwych przyjaciół.

— Zamężna! szeptał jadąc San-Rémo. Ona zaślubiona temu starcowi. Gdy jednak przebiegł Łuk tryumfalny i aleję Cesarzowej, złagodniał wyraz jego oblicza. Co, mnie to zresztą obchodzi? pytał sam siebie. Jestem prawdziwie szalonym, zajmując się szczegółami najzupełniej dla siebie obojętnemi. Jakaż łączność istnieć może pomiędzy mną a obecną wicehrabiną de Grandlieu? Nie wie o mnie wcale. Ani jeden raz jej spokojne wejrzenie nie spotkało mego ognistego wzroku. Rościć jakieś prawa do jej serca, byłoby śmiesznością z mej strony. Czy miała nie wyjść za mąż. Dla czego? Nic oczekiwać ani spodziewać się nie mogłem. Przepaść dzieliła mnie od panny de Randal. I ta która mnie dzieli obecnie od pani de Grandlieu nie jest głębszą, ale przeciwnie, mniej może niebezpieczną.

Przyszły mu na pamięć wyrazy, wyrzeczone w kościele przez owych dwóch mężczyzn nieznanych.

— Mieli słuszność! wyszepnął. Dziewicą, była świętością dla wszystkich. Jako młoda żona starego męża, straciła ową aureolę. Teraz należy wicehrabiemu czuwać nad swym skarbem. Jeśli go ustrzedz nie potrafi, tem gorzej dla niego.

Nie twierdzimy aby powyższe uwagi markiza, moralnemi być miały! Przyznajemy im chętnie wysoką nawet niemoralność, lecz dziewięćdziesięciu na stu młodych ludzi, w ten sposób rezonują, zatem i Andrzej San-Rémo, puszczony bez przewodnika w wir zepsutych paryzkich obyczajów, nie mógł stanowić wyjątku z ogólnej reguły.

Odtąd powziął jedną myśl stałą, niepokonaną, by zostać przedstawionym pani de Grandlieu.

Wiemy wszelako, iż skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, towarzyszących jego urodzeniu, San-Rémo nie miał stosunków ze światem poważnym, a tem więcej ze sferą arystokratyczną, a obok tego pan de Grandlieu okazywał się bardzo skrupulatnym co do przyjmowania nowych gości w swym domu. Mimo to, siłą cierpliwości i różnych zręcznych zabiegów, młody markiz zdołałby może wytworzyć jakiś związek pomiędzy sobą, a panem de Grandlieu, gdy nastąpiła znana nam katastrofa. Mówimy tu o cofnięciu pensji, wypłacanej Andrzejowi. Znalazł się on natenczas pośród najbardziej upokarzających pieniężnych kłopotów, nie zaniechał jednak swojej miłości, która coraz głębiej w nim się rozwijała, ale odłożył nadal ów blady promyk nadziei.

Znamy tragiczne rozwiązanie, któremu przeszkodził Croix-Dieu, oraz projekta pomocy na przyszłość, przedstawione przezeń młodemu markizowi. W pomyślny sposób pozornie poprawiały one jego sytuację.

Młodzieniec, w chwili gdy wszystko rozpadało się około niego w ruinę, znalazł bogatego protektora, okazującego dlań prawdziwie ojcowską tkliwość, płacącego jego długi, ofiarującego mu do rozporządzenia swą niewyczerpaną kasę, przywracającego mu życie i obiecującego mu wreszcie urzeczywistnienie jego snów i marzeń, ów klucz do raju, jaki miał przed nim otworzyć podwoje pałacu Grandlieu. Nie dziwna więc, że z chwilą, gdy odszedł baron de Croix-Dieu, San-Rémo, pochwycony odradzającą się w

jego sercu nadzieją, wołał w szale upojenia:

— Pragnąłem umrzeć, bo wszystko mnie od „niej“ oddalało. Nastąpił cud, który nas zbliża ku sobie. Miłość każę mi żyć, bo „ona“ mnie kiedyś ukocha! Ot żadna potęga nie dorówna sile miłości! Herminia dziś nie wie, że ja istnieję, a jednak do mnie należy. Przeznaczenie stworzyło nas dla siebie nawzajem. Iskra mojej miłości wniknie w głąb jej duszy. Me pierwsze wejrzenie oddało mnie jej, jej pierwsze spojrzenie mnie ją odda! Przeszkody piętrzące się pomiędzy nami, łamać się będą jedne po drugich, druzgotane mą wolą! Herminia jest mojem dobrem, mem życiem! Kto mi ją bierze, kradnie mi ją! Odzyskać ją mam prawo, więcej niż prawo, wskazuje mi to obowiązek! Nie uchylę się przed nim!

Podczas gdy młodzieniec, rozgorączkowany namiętnością wygłaszał podobne szaleństwa, baron podążał szybko w stronę ulicy de Rome, uśmiechając się z szatańskiem zadowoleniem.

— Doskonale idzie! wyszepnął, zacierając ręce. Otóż Jerzy Tréjan i Fanny Lambert, Blanka Gravard, Oktawiusz i Regina, Andrzej San-Rémo i Herminia de Grandlieu, wszystkie te biedne muchy pochwycić się dozwoliły w sieć, jaką owikłała ich niewidzialna moja ręka! Jestem potężnym, niezaprzeczenie!

Powóz zatrzymał się, przed nowym, wspaniałym domem.

Croix-Dieu wszedł na wytworne marmurowe wschody, a dosięgnąwszy trzeciego piętra, zadzwonił do drzwi bogato rzeźbionych.

Pokojówka elegancko ubrana, pospieszyła mu otworzyć.

— A! to ty, panie baronie, rzekła, uśmiechając się poufale, zapewne chcesz widzieć się z panią?

— Rzecz naturalna.

— Śpi ona teraz.

— Jakto, o czwartej popołudniu?

— Ba! jeśli kto z nocy dzień robi.

— Grano więc w karty i hulano tu do rana?

— Ma się rozumieć, wszak to jest u nas zwyczajem. Nie! ja dłużej tego nie zniosę. Chcę prosić panią o uregulowanie mego rachunku.

— Nie rób głupstwa, miejsce jest dobre.

— Pomimo wszystkiego.

— No, no! ułagodź się. Obudź swą panią.

— Zakazała się budzić.

— Nie zważaj na to. Ja wszystko biorę na siebie.

— Wiem, że pan sprowadzasz tu deszcz albo pogodę, pójdź więc do buduaru, lecz idź ostrożnie przez salon, aby nie potrącić którego z tych panów.

— Jakto? powiadasz.

— No, jest ich tam czterech, którzy tyle przy kartach wypili szampana i Chartreus’a, że na nogach się utrzymać nie mogli. Śpią rozrzuceni po kątach salonu.

— Oktawiusz jest także?

— Ma się rozumieć. Biedny chłopiec! Doprawdy, panie baronie, żal mi go bardzo!

— Masz dobre serce.

— Och! on nie doczeka urządzenia nowego cmentarza na Mèry-sur-Oise! Pojedzie pociągiem kurierskim, całą siłą

pary, sam nie spostrzegłszy się nawet. Radzę mej pani aby zawczasu grób zamówiła dla niego. Mam słuszność, nieprawdaż?

— Źle mówisz! Ja czuwam nad nim. Oktawiusz jest moim protegowanym.

— Przyznam, panie baronie, że to djabelna jakaś protekcja! Zresztą jego to tylko dotycze i pana. Pamiętaj pan jednak zawczasu zamówić remizę u przedsiębiorcy pogrzebowego.

Croix-Dieu usiłował się uśmiechnąć z owego ponurego żartu, nie zdołał jednak tego uczynić i przygryzł tylko usta.

Pokojówka otworzyła drzwi do salonu, przez który przejść było trzeba, chcąc dostać się do buduaru.

Uderzony dziwnym i zarazem smutnym widokiem, baron zatrzymał się w progu.

Ów salon był to obszerny pokój kwadratowy, bogato, ale bez gustu umeblowany. Na ścianach, obciągniętych jedwabną ponsową materją, wisiały obrazy średniego pędzla, lecz we wspaniałych złoconych ramach. Meble pokryte były czerwonym aksamitem i dywan na podłodze zarówno był purpurowym. Wysoka szafka oszklona, zawierała kolekcję drobiazgów wątpliwej moralności, naprzeciw której znajdował się otwarty fortepian.

Pośrodku salonu stał stół owalny zielonem suknem wyklejony, a na nim dwa ośmio-ramienne kandelabry, w których od świec do szczętu spalonych, popękały krążki kryształowe. Tak na stole jak na kobiercu leżały stosy rozrzuconych kart do gry i marek różnego rodzaju. Z boku pod ścianą na drugim stole, widniał cały bataljon

wypróżnionych butelek z posrebrzanemi szyjkami jako i przyrząd do chłodzenia wina, w którym lód roztopiony zmienił się w wodę.

Trzeba się było dobrze rozpatrywać w owych szczegółach, a raczej je odgadywać, ponieważ aksamitne firanki całkowicie w oknach spuszczone tworzyły mrok w salonie.

Jeden z nocnych graczów leżał przewrócony na dywanie, z nogami podniesionemi wyżej niż głowa i chrapał głośno. Trzej inni między którymi znajdował się Oktawiusz Gavard, spali z drugiej strony na kobiercu w dziwnych pozach, przedstawiając w owym pół mroku kupę czarnych ubrań, białych gorsów od koszuli i pobladłych twarzy.

— Cześć odwadze nieszczęśliwych! wyszepnął Croix-Dieu z ironią. Zostali zwyciężeni, ale walczyli. Oto mi ludzie!

— I to mają być ludzie? powtórzyła pokojówka, wzruszając ramionami. Oh! prawdziwie nieszczęśliwi, dodała. Lecz pójdź pan za mną, panie baronie.

XX.

Croix-Dieu przeszedłszy wyż opisany salon, napełniony ciężką atmosferą winnego alkoholu z cierpką wonią cygar, przestąpił próg buduaru, gdzie na białym marmurowym kominku palił się ogień.

— Idę obudzić panią, wyrzekła służąca, ale uprzedzam, że nie pokaże się ona bez podmalowania. Będziesz pan

musiał czekać z jakie pół godziny. Oto dzienniki, kawa i likiery stoją na konsoli obok pudełka z cygarami. Uprzyjemniaj pan czas sobie.

— Cygańska gościnność, wyszepnął Croix-Dieu z uśmiechem. Proś przynajmniej swą panią, by się pospieszyła. Nie mam czasu na długie oczekiwanie.

Pokojówka odeszła, a po kwadransie Regina Grandchamps, ukazała się we drzwiach buduaru, zasępiona, źle uczesana, przyodziana widocznie w pośpiechu błękitnym peniuarem naszytym posrebrzanemi galonami.

Gdy pani Blanka Gavard mówiła o Reginie: „To potwór“ Croix-Dieu słusznie jej odpowiedział: Potwór ale „ładny.“

Regina Grandchamps nie była piękną, lecz posiadała w najwyższym stopniu ów powab, drażniący zmysły, owe faliste ruchy węża, ów wdzięk szatański, ten szyk podstępny, jaki niektóre tego rodzaju córy Paryża czynią stokroć razy więcej pociągającemi i niebezpiecznemi od wszelkich Wenus mitologicznych Olimpu. Regina miała dwadzieścia pięć lat. Szczupła, wysokiego wzrostu, ale nie chuda, posiadała giętkość żmii. Jej pulchne, okrągłe ramiona, łączyły się z tak szczupłą w stanie figurą, że bransoletka jakiej otyłej mieszczanki za przepaskę służyć by jej mogła. Nogi miała drobne, ręce bardzo białe lecz pospolitego kształtu, co oznajmiało plebejuszowskie tej kobiety pochodzenie. Las bujnych jasno-blond włosów, bardziej gęstych, niż długich, skręcających się w naturalne zwoje, otaczał jej głowę, wymykając się z pod emaljowanego grzebienia. Z pod owego srebrzysto złotego nakrycia głowy, niskie czoło, znamię silnej woli lub oporu

nieco naprzód wystawało z zarysowanemi na nim ciemnemi brwiami i dużemi o długich rzęsach jasnemi oczyma. Nos mały, nieco w górę zadarty, był arcydziełem kokieterji, a z pod ust grubych wyzierały zęby olśniewającej białości.

Regina wieczorem, tylko wieczorem używała różu, ażeby przy świetle nie okazać się zbyt bladą. Na jej matowej cerze twarzy można było dostrzedz przy dniu czerwone plamy, jakie pokrywała welutyną.

Oblicze, które opisaliśmy, umiało przybrać najróżnorodniejszy wyraz, wszak jego zwykłem znamieniem, gdyż młoda kobieta nie miała potrzeby uciekać się do udawania, była obojętność i nuda.

Regina lubiła silne perfumy, używała opoponaxu i innych, modnych woni, jakie wydzielały się z jej włosów, ubrania, tworząc w około niej denerwującą atmosferę.

— Baronie, wyrzekła wchodząc do buduaru, zmuszoną jestem powiedzieć ci, że jesteś bardzo niegrzecznym. Nie pozwalasz mi przespać się spokojnie, po tylu nocach bezsennych.

— Dla czego kazałeś mnie obudzić? Czyż się gdzie pali?...

— Tak, goreją serca, przez które przeszłaś, zostawiając w okół nieugaszone płomienie, odpowiedział Croix-Dieu z uśmiechem, całując rękę młodej kobiety.

Regina wzruszyła ramionami.

— Tylko bez madrygałów, wyrzekła pogardliwie. Chcesz może oświadczyć się, prosić o mą rękę?

— Niech mnie Bóg uchowa!

— Czego więc żądasz? Pisałeś do mnie wczoraj

względem Oktawiusza. Nie nierozumiem tego twojego listu.

— A jednak był jasnym. Pisałem, że trzeba pilnować tego chłopca, być dlań uprzejmą i niedręczyć go o pieniądze.

— Jesteś wybornym! Ja nie chcę brać z mego kapitału na wydatki domowe, które są bardzo znacznemi.

— Kwestja pieniężna regulować się odtąd będzie pomiędzy mną i tobą.

— Zgoda! Wszak wiesz, baronie, wolałabym się go pozbyć.

— Kogo, Oktawiusza?

— Naturalnie.

— Dla czego?

— Nudzi mnie ten głupiec. Wciąż gada mi o sześciu miljonach nieboszczyka „swego papy“ uskarża się na „mamę“ To nieznośne! Nie mam chwili swobodnej, noc i dzień u mnie przesiaduje. Pozbyć się go nie można.

— Cierpliwości, moja kochana. Pomyśl, że Oktawiusz, za jedenaście miesięcy będzie krociowym bogaczem.

Dziewczyna powtórnie wzruszyła ramionami.

— Eh! krocie, zawołała, on nigdy ich mieć nie będzie.

— Jakto, należą do niego, nikt mu ich zabrać nie może.

— Przed jedenastoma miesiącami odprowadzimy go na Pére-Lachaise, wiesz o tem dobrze, jesteś przekonanym.

— Przeciwnie, nie wierzę w to wcale. Oktawiusz jest silniejszym niż się wydaje.

— Mój kochany, nie Reginie Grandchamps opowiadaj te brednie! Znam się na tem dobrze. Trzech jemu podobnych

cherlaków w ciągu miesiąca prawie na mych rękach przeniosło się do wieczności. Lecz proszę nie mów o tem nikomu. Mogłoby mi to na opinji zaszkodzić.

Croix-Dieu, roześmiał się głośno.

— Tak, śmiej się, śmiej, mówiła młoda kobieta z podrażnieniem. Czy wiesz jednak, jak się nazywa to, co my czynimy, to jest ty wraz ze mną?

— Nie, nie wiem.

— To się nazywa morderstwem, zabójstwem.

— Och! jakież słowa tragiczne, wzięte z jakiegoś starego melodramatu.

— Mylisz się bardzo! to tylko prawda, najczystsza prawda. Tak! my go zabijamy, a w sposób bardziej nikczemny, podły, niż ten który zabija uderzeniem noża, ponieważ popełniamy tę zbrodnię kryjomo, nic nie ryzykując, zkąd prawo przeciw nam jest bezsilne.

— Jakież szalone warjackie myśli!

— Szalone? tak sądzisz? W każdym razie nie wesołe, prawda, lecz ciężko ponure. Pochwyciłeś w swe szpony to nieszczęśliwe dziecko, gdyż Oktawiusz jest jeszcze dzieckiem prawie. Pochwyciłeś go w wątłym stanie zdrowia, ze słabemi piersiami, podkopanemi gorączką, wyczerpanego z sił, chwiejącego się, przy kaszlu krwią plującego, i wtedy gdy ten nieszczęśliwy potrzebowałby spoczynku, spokojności, snu długiego, najtroskliwszych starań około siebie, ty rzucasz go w pijaństwo, grę w karty, dozwalając wstrząsać się temu słabemu organizmowi wzruszeniami gry, podnieceniem szampana. Tak! stokroć powtórzę, jest to nikczemne morderstwo! Masz widocznie

jakiś własny interes, coś ci zależy na śmierci Oktawiusza i zabijasz go w tym celu!

— Ja miałbym mieć w tem interes. Jaki, mów, proszę?

— Nie wiem w tej chwili, wszak pomyślawszy, odnajdę. Otóż i zgadłam, tak jestem na tropie!

— Doprawdy? zawołał baron szyderczo.

— Matka Oktawiusza jest twoją kochanką, mówiła dalej Regina, chcesz ją podobno zaślubić.

— Kłamstwo! zawołał żywo Croix-Dieu.

— Otóż, mówiła dalej młoda kobieta, nie zważając na zaprzeczenie barona, gdyby Oktawiusz umarł, przed dojściem do pełnoletności, matka wszystko odziedziczyłaby po nim. Jeden ze znanych mi adwokatów, mówił, że wdowa Gavard przyniosłaby ci w posagu miljony. To rozwiązuje zagadkę. Jest to rozumnie ale zarazem najnikczemniej obmyślane z twej strony.

— Milcz, zawołał Filip z podrażnieniem.

— Milczeć? powtórzyła Regina, dlaczego mam milczeć, pytam? dla czego? Jestem u siebie w domu! Jeżeli ci się niepodoba słuchać słów prawdy, odejść możesz. Nikt cię nie zmusza, abyś tu dłużej pozostawał.

— Jakiż wypływa rezultat z tego wszystkiego? zapytał po chwili milczenia baron mocno pobladły.

— Rezultat, że od tej chwili nie licz na mnie, abym służyła niegodnym twym planom. Nie chcę współpracować z tobą w tak nikczemnych celach. Idę natychmiast obudzić Oktawiusza, a poprosiwszy go grzecznie, ażeby mój dom opuścił, udzielę parę rad życzliwych, a wtedy kto wie czy nie pozyskam u niego tej ufności, jaką obdarza on swego

pseudo przyjaciela, barona Croix-Dieu.

— Zrobiłabyś to? Nie wierzę.

— Mamże cię przekonać? Idę w tej chwili.

To mówiąc Regina zwróciła się ku drzwiom, prowadzącym do salonu, gdzie spał Oktawiusz wraz z trzema nie wiele starszymi od siebie towarzyszami. Położyła rękę na klamce.

— Regino! zawołał groźnie Croix-Dieu, zrywając się od kominka przy którym siedział.

— Czego chcesz? Mów prędko.

— Jeżeli poważysz się przestąpić próg tego pokoju ja natychmiast wychodzę i niepowrócę tu więcej!

— Któż cię zatrzymuje? Szczęśliwej podróży!

— Zaczekaj, nie wszystko to jeszcze. Wyszedłszy ztąd, udam się do sądu, do prokuratora Rzeczypospolitej!

— Cóż mnie to obchodzi? odrzekła głosem zmienionym, usiłując ukryć wzruszenie.

— I tam, mówił dalej Croix-Dieu, będę się starał udzielić temu urzędnikowi nader interesujące dlań szczegóły o pewnej Julji Joubert, skazanej za dzieciobójstwo na pięć lat więzienia, a obecnie noszącej nazwisko Reginy Grandchamps. No, jakże? pójdziesz obudzić Oktawiusza? Idź, — nikt cię niezatrzymuje.

— Ach! rozbójniku, zbrodniarzu! wyszepnęła bledniejąc Regina. Pochwyciłeś mnie i trzymasz w swem ręku!

— Ha! ha! zaśmiał się baron, powracasz więc do rozumu, a ponieważ nigdy ci go nie brakowało, staraj się być uprzejmą dla Oktawiusza, okazuj mu szaloną miłość, ja chcę tego, żądam. Uczynisz więc zadość mej woli

nieprawdaż?

— Muszę, niestety! wyszepnęła z cicha.

Croix-Dieu, podszedł do młodej kobiety a ucałowawszy ją w oba policzki, wyszedł i wsiadł do powozu, wołając:

— James, na ulicę Le Sueur, pędź co sił!

XXI.

Pozostawiliśmy Jerzego Tréjan, w chwili przybycia jego do Fanny Lambert, gdzie został wezwanym pod pozorem złożenia narady co do przyozdobienia nowego buduaru.

Pokojówka otworzyła drzwi do salonu, w którym jej pani dnia tegoż przyjmowała barona Croix-Dieu.

Młodzieniec olśniony, oczarowany, zatrzymał się w progu. Wszystkie świece w małych świecznikach i dwóch dużych kandelabrach płonęły, oświetlając ów salon, poprzednio przez nas opisany.

Fanny Lambert z wachlarzem w ręku siedziała na fotelu przed kominkiem, oczekując uśmiechnięta. Miała na sobie jedwabną suknię blado różową, pokrytą koronkami, z rozrzuconemi po niej tu i ówdzie pękami dzikich róż, wstążką powiązanemi. Wolant koronkowy przyozdabiał brzeg trenu, po nad którym wiła się girlanda z dzikich róż. Stanik, głęboko wycięty, stroiły też same drobniejsze kwiaty. We włosach, ułożonych starannie, miała powpinane też same pęki róż.

Jerzy Tréjan nie zdołał za pierwszym rzutem oka objąć wszystkich szczegółów, lecz wdzięk niezrównany,

bogactwo otoczenia, a nade wszystko czarująca piękność młodej kobiety, wywołały w nim owo olśnienie, jakie z początku zaznaczyliśmy.

Fanny, dumna ze sprawionego wrażenia, jakie widocznem było w całej postaci przybyłego, spuściła powieki, a w jej zielonawo mieniących się oczach, zabłysł blask tryumfu. Podszedłszy naprzeciw Jerzego podała mu rękę.

— Jakżeś pan dobrym, żeś przybył, wyrzekła dźwięcznym głosem. Dzięki ci, drogi artysto.

— Sądzę, iż pani nie wątpiłaś, że przybędę, odparł młodzieniec zmieszany i drżący.

— Nie byłam pewną czy pan znajdziesz czas wolny dzisiejszego wieczora?

— Wiedziałem, że pani na mnie oczekujesz, a więc żadna zapora w świecie przeszkodzićby mi nie zdołała. Pani przekonaną byłaś o tem, wszak prawda?

— Tak, rzeczywiście, wierzyłam, przyznaję, że pan przybędziesz. Z całego serca jestem panu wdzięczną.

Jerzy szedł za wiodącą go ku sobie. Usiadła. On stał, pożerając ją oczyma, a gwałtowność pulsującego serca widoczną byłą prawie pod gorsem bielizny. Fanny patrzyła na niego, wciąż uśmiechnięta. Po kilku sekundach milczenia, ozwał się Jerzy

— Przeczytawszy bilecik pani sądziłem, iż mogę się spodziewać... Tu przerwał.

— Czego? zapytała. Czego pan miałeś się spodziewać?

— Że będziemy sami. Marzyłem o roskosznym sam na sam.

— Bardzo słusznie. Oznajmiłam służbie, iż nieprzyjmuję nikogo, bądź pan pewnym iż nieprzestąpię tego rozkazu.

— Mimo to jednak, pani mi nie poświęcisz całego wieczoru?

— Zkąd pan to wnosisz, dla czego?

— Zdaje mi się że ten strój...

— Niepodoba się może panu? pytała zalotnie Fanny.

— Niepodoba? ależ przeciwnie, jest on cudownie pięknym, lecz w każdym razie to toaleta balowa.

— Bezwątpienia. Jakiż ztąd wniosek?

— Że to nie jest zwykłe ubranie w domowym zakątku, przy filiżance herbaty.

Fanny śmiać się zaczęła.

— To prawda, rzekła po chwili. W ogólnem rozumieniu rzeczy masz pan słuszność najzupełniejszą. Ależ ja nie jestem taka, jak inne kobiety. Skoro pan lepiej mnie poznasz, nie będziesz się dziwił moim kaprysowi ani temu co ja czynię, a inne nie czynią. Lubię być we wszystkiem oryginalną. Czy mam słuszność, jako sędzia, zawyrokuj pan w tej sprawie. Piękna kobieta w pięknej toalecie jest ucztą dla wzroku, nieprawdaż?

— Bezwątpienia, rzekł Jerzy, jest to arcydzieło, ujęte we wspaniałe ramy.

— A więc, mówiła dalej Fanny, dla czegóżby piękna kobieta pogardzać miała owemi jak nazywacie wspaniałemi dla siebie ramami i na mniejszych zebraniach? Dla czegóżby zaproszone pani M. lub X. miały mieć ów wyłączny dla siebie przywilej, podczas gdy zaufane ich przyjaciółki ukazywaćby się musiały w swych sukniach

ściśle pod górę zapiętych? Krzyczącą byłoby to niesprawiedliwością. Otóż gdy tak dobry, jak pan, przyjaciel poświęca dla mnie swą cało wieczorową gdzieindziej zabawę, uważam sobie za obowiązek tak się przystroić dla niego, jakbym się przystroiła dla świata, czyniąc mu honory przy moim domowem ognisku. Tak sobie to wytłumaczyłam i nie przypuszczam byś pan mógł być z tego niezadowolonym.

Jerzy z pewnością nim nie był, co usiłował wyrazić, lecz głosem tak mocno wzruszonym, iż jego odpowiedź bardzo niejasno myśl przedstawiała.

Piękność Fanny Lambert, zdwojona, że tak powiemy wyż opisanym strojem wspaniałym, oszołomiała młodzieńca, w którego mózgu bezład panować zaczął od chwili wiadomej nam jego rozmowy z panem de Croix-Dieu. Mimo to Jerzy walczył całą siłą przeciw ogarniającemu go coraz bardziej oczarowaniu.

Nie ufając owym pół zwierzeniom barona i jego silnym argumentom co do moralnej strony tej kobiety, pragnął pozyskać w niej kochankę, mroziła go jednak myśl zamieniania tego rodzaju kokoty w hrabinę Tréjan, za pomocą praw legalnych. Trzymał się bacznie na stanowisku, czując, że w tak niebezpiecznem sam na sam nie znalazł przyjemności, jaką sobie obiecywał.

Jerzy podejrzewał zasadzkę i mówił sobie, że Fanny, odgadłszy budzącą się w nim miłość, a licząc na jego prawość charakteru uwieść go postanowiła, zawrócić mu głowę, a doprowadziwszy go do szału wydobyć z niego obietnicę małżeństwa, której dopełnienia żądałaby w jak

najkrótszym czasie.

Artysta więc postanowił czuwać bacznie nad sobą i w niebezpiecznem tyle spotkaniu zachować wszelką przytomność umysłu, jakaby mu niedozwoliła wyrzec jednego niepozornego, lub wikłającego go w dwuznaczną sytuację wyrazu.

Mimo to wszystko, żywo odczute wrażenie Jerzego widocznem było na jego twarzy na której Fanny Lambert, z rozkoszą czytała, jak w otwartej księdze, śledząc, co się dzieje w duszy tego młodego człowieka. Przygryzała sobie usta, aby nie wybuchnąć śmiechem, patrząc jak biedak walczy celem wydobycia się z kłopotliwego położenia, a dlatego aby rozproszyć jego obawy i uśpić podejrzenia wprowadziła rozmowę na grunt uspokajający.

— Drogi artysto, mówiła, odebrawszy mój mały bilecik, w którym tak niedyskretnie zawezwałam cię do siebie, odrywając może od pracy lub jakiej zabawy, co pomyślałeś o moim egoizmie?

— Uczułem się bardzo szczęśliwym, rzekł Jerzy, iż potrzebując rady, zażądałaś jej pani odemnie.

— Na serjo, poczęła Fanny, niezmiernie mi wiele zależy na szczęśliwym wyborze planu przyozdobienia mego buduaru, o czem pisałam w tym liście. Wyobraź pan sobie, że śnię o jakiejś nadziemskiej kreacji, o czemś dotąd niewidzianem, wytwornem, niezrównanie zalotnem. Czy jednak będziesz mi pan mógł poświęcić tygodnie, miesiące?

Jerzy miał już odpowiedzieć: Poświęciłbym ci całe me życie! Myśl jednak o zasadzce wstrzymała mu na ustach wyrazy.

— Będziesz pan przychodził codziennie, wszak prawda? mówiła Fanny z odcieniem naiwnej radości. Przyjedziesz z rana, a odjedziesz wieczorem. Śniadanie i obiad razem jeść będziemy. Będę patrzyła na pańską pracę przez dzień cały, a jeśli palisz, będę ci zwijała cygaretki. Ani chwili nudów! jakaż rozkosz, jakie szczęście! Zobaczysz, jak szybko ubiegną nam godziny! No, kiedyż pan rozpoczniesz i od czego?

— Rozpoczniemy, jak tylko pani zechcesz, odpowiedział, lecz w kłopotliwem jestem położeniu co do udzielenia odpowiedzi na drugą połowę tej kwestji. Wiem, że chodzi tu o buduar, ale najmniejszego o jego wymiarach i kształtach nie mam wyobrażenia.

— To prawda! zawołała wesoło Fanny. Mówię jak dziecko! Są chwile, wierzaj pan, gdzie jestem strasznie roztargnioną. Bądź pobłażającym, kochany artysto! Otóż ci pokażę mój przyszły buduar. Pokój ten, uprzedzam, wydaje mi się obecnie być bardzo brzydkim i z pewnością zarówno panu się niepodoba. Kazałam go oświetlić, ażebyś mógł dobrze poznać rozmiary. Pójdź pan, wrócimy tu dla dalszej rozmowy o naszym projekcie przy filiżance herbaty.

Fanny Lambert otworzyła małe drzwi, ukryte w ścianie salonu.

Pokój, do którego wszedł Jerzy Tréjan, był ośmiokątnym, średniej wielkości, z sufitem w kształcie kopuły. Dwa zapalone świeczniki i dwie lampy gazowe, rozlewały światło na białe obicie ścian, złotem przetykane, na którem wisiało kilka obrazów.

Jeden z nich, zajmując prawie całą ścianę, zwrócił uwagę

malarza. Uczucie podobne do otrzymanego ciosu w głąb serca wstrząsnęło nim całym, gdy spojrzał na ów obraz.

Był to portret mężczyzny w połowie naturalnej wielkości, w kostjumie myśliwego. Wysoko, w jednym z rogów obrazu, po lewej, wyrytą była tarcza herbowa, z książęcą u wierzchu koroną.

XXII.

Jeżeli to prawda, że zazdrość jest jednym z symptomatów miłości, Jerzy kochał Fanny Lambert o wiele więcej, niż to chciał wyznać przed sobą, kochał ją namiętnie, ponieważ spojrzawszy na ów obraz pomyślał bez wahania: „Oto jej kochanek“ i doznał owego przeszywającego, bolesnego uczucia, jakie opisaliśmy powyżej.

Przez kilka minut Jerzy Tréjan tak się pogrążył w swem nienawistnem rozpatrywaniu, że zapomniał prawie o obecności Fanny Lambert, poczem zwróciwszy się ku niej zapytał nagle.

— To książę Aleosco, wszak prawda?

Młoda kobieta zadrżała.

— Tak, to on, wyszepnęła z cicha, lecz zkąd pan wiesz? Kto ci powiedział? Czy znałeś kiedy księcia?

— Nie! na szczęście, dzięki niebu nigdy go nie widziałem. Lecz ta postać z ową koroną, w domu pani, zdaje się, że dość jasne? Po chwili milczenia dodał, podając rękę Fanny z przymuszonym uśmiechem: Racz pani,

proszę, mieć mnie za wytłumaczonego. Mimo, iż najgorętszem mojem życzeniem było służyć pani moją radą i pracą, rozważyłem, iż nie podobna mi jest rzucać się bezwiednie w kwestję, z której mógłbym nie wyjść z honorem. Do urzeczywistnienia projektu pani, potrzeba nadzwyczaj gętkiego, delikatnego talentu, czego niestety całkiem nieposiadam. Uznaję mą nieudolność w tym razie. Nie byłbym w stanie udzielić nawet pani jakiejkolwiek pożytecznej rady co do przekształcenia jej buduaru, zmuszony więc jestem ustąpić miejsca jakiemu zdolniejszemu artyście i proszę racz pani przyjąć moje przeproszenie i pożegnanie.

Fanny Lambert słuchała Jerzego z osłupieniem, które jeżeli nie było naturalnem, przekonywało o wielkim talencie tej komedjantki.

— Pańskie pożegnanie? powtórzyła, dla czego pożegnanie. Wszakże zaledwie pan przybyłeś i już mnie chcesz opuścić?

— Tak.

— A obiecałeś poświęcić mi cały wieczór?

— To prawda. Ale przy wejściu inny cel miałem. Ów cel nie istnieje teraz.

— Przypuszczam, iż niepodoba się panu przyjąć tej pracy, jaką być może uważasz za niegodną swojego, pędzla; czy nie możesz poświęcić mi godziny czasu na przyjacielską pogadankę przy kominkowym ognisku?

— Do czego służyć to może?

— Liczyłam na to. Pan mnie zasmucasz odmową. Czyż zasłużyłam na coś podobnego?

— Nigdy w świecie! Racz pani wierzyć, że ta odmowa, o jakiej mówisz, mnie najboleśniej dotyka samego.

— Czyż mogę w to wierzyć? Wszakże pan rozporządzasz dowolnie sobą.

Jerzy nic nie odpowiedział.

— A gdybym pana prosiła abyś pozostał? zaczęła błagalnym głosem.

Jerzy potrząsnął głową w milczeniu.

— Oparł-że byś się mej prośbie? pytała dalej. Chciał-żebyś odejść koniecznie.

— Musiałbym, wyjąknął Tréjan.

— Dla czego musiałbyś pan? milczysz. Co znaczy owo milczenie? Proszę, chciejmy porozumieć się sobą. Nagle, tak pan się zmieniłeś bez żadnych widocznych powodów. Coś panu przez myśl przebiegło. Coś, czego niema, nie odgaduję, nie rozumiem, ale co trzeba abym poznała. Twój pośpiech w usunięciu się ztąd, jest dla mnie prawie obelgą!

Jerzy uczynił gest zaprzeczenia.

— Cóż jest więc? mówiła Fanny. Pan niechcesz obrazić mnie ani zasmucić. Wierzę w to, lecz pomimo wszystkiego, niechcesz pozostać ze mną ani minuty dłużej! Możnaby sądzić, że się mnie obawiasz. Żądam rozwiązania owej zagadki, tak obchodzącej mnie z bliska. Mam prawo to wiedzieć!

— Chcesz pani? powtórzył Jerzy.

— Tak jest, chcę wiedzieć.

— Pomnij jednak pani, gdy będę mówił, że mówię, będąc posłusznym twemu wezwaniu.

— Będę pamiętała, przyrzekam!

— I nie będziesz gniewać się na mnie?

— Czyż wyglądam na gniewliwą kobietę? pytała Fanny z uśmiechem.

— I przebaczysz mi?

— Z całego serca. Przebaczyłam już nawet, ponieważ wydaje mi się niepodobieństwem ażebyś pan chciał mnie obrazić.

— I pozwolisz mi odejść jak to teraz chciałem uczynić, nie wypędzając mnie jednak?

— Pozostawię panu wszelką swobodę w tym względzie. Odprowadzę cię do drzwi a na progu podam ci rękę!

— Ha! zawołał z uniesieniem młodzieniec, niech się więc spełni twa wola. Posłuchaj więc o czem powinienem był zamilczeć, mimo próśb twoich i twoich rozkazów. Kocham cię szalenie!

— Pan mnie kochasz? powtórzyła Fanny z oznaką tajonego wzruszenia.

— Uwielbiam cię i jestem zazdrosnym!

— Zazdrosny! powtórzyła, obrzucając go pełnem tkliwości spojrzeniem.

— Tak, zazdrosnym! powtórzył Jerzy. Zazdrosnym o twoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Uciekam, ażeby zapomnieć o tobie i niechcę cię widzieć już nigdy aby nie jątrzyć mej rany! Tu duszę się, cierpię, umieram! Dom ten napawa mnie wstrętem, pełen wspomnień o twoim kochanku, zapełniony jego portretami.

Fanny wzdrygnęła się nagle, a podnosząc głowę z nieporównanie udaną godnością:

— Moim kochanku? zawołała, ach! nie spodziewałam

się takiej obelgi! O jakim pan mówisz kochanku! O kim mówisz?

— O nim! odpowiedział Jerzy, wskazując ręką na portret. O nim, o księciu Leonie Aleosco!

— Milcz! krzyknęła Fanny głosem tak nakazującym, że Jerzy uczuł się jak gdyby obezwładnionym. Pan mnie zobelżasz, panie. Zobelżasz mnie we własnym mym domu. Nie jestem kochanką księcia, ale jego żoną!

— Jego żoną? wyjąknął Tréjan. Pani jesteś zamężną?

Fanny Lambert skrzyżowała swe piękne białe ręce na piersiach, lekko przysłoniętych gazą i z podniesionem czołem, zaiskrzonemi oczyma, zbliżyła się ku artyście.

— Ach! zawołała, przeszywając go błyskawicznem spojrzeniem, dziwi cię to więc, że człowiek na tak wysokiem stanowisku chciał mnie zaślubić? Za kogoż to uważasz mnie, proszę? Byłam więc przed chwilą dla ciebie kurtyzanką zbogaconą przez księcia, a mimo to kochać mnie raczyłeś? dodała z dźwiękiem gryzącej ironii. Doprawdy, zbyt wielki to honor. Należy być wdzięczną, że mi go wyświadczyć raczyłeś.

— Ach! szepnął Jerzy, przebacz mi, przebacz. Pragnąłem milczeć, wiesz dobrze. Trzeba było pozwolić mi odejść. Nie byłbym cię obraził.

— I pozostałbyś w tym błędzie, chowając dla mnie pogardę? Nie! nie! stokroć razy lepiej że powiedziałeś.

— Nie wiedziałem o niczem. Mógłżem odgadnąć?

Fanny uspokoiła się nagle.

— To prawda, odrzekła z melancholijnym uśmiechem. Nie mogłeś zgadnąć że Fanny Lambert była księżną

Aleosco, jeśli nie dla świata to w obec Boga. Widziałeś we mnie wykolejoną awanturnicę, kobietę wolnych obyczajów, jaka wygrała wielki los na loterji hazardu! Jeden tylko człowiek zna moją tajemnicę.

— Baron de Croix-Dieu, nie prawda? przerwał Jerzy.

— Tak, baron de Croix-Dieu, który mnie nie zdradził, jestem tego pewną.

— Powtarzał mi, że nie zna kobiety godniejszej szacunku nad ciebie.

— I nie chciałeś mu wierzyć?

Jerzy w milczeniu opuścił głowę.

— Więcej niż on, wiem, ile godną jesteś uwielbienia, wyszepnął z cicha.

— A co do szacunku, mówiła dalej Fanny, pomyślałeś sobie, że baron jest starym szaleńcem! Ach! biedne my kobiety. Oto jak nas sądzą! Nie znając, pogardzają nami. Ha! rzecz to tak łatwa, pogarda.

— Jeszcze raz błagam, przebacz mi, mówił Jerzy, przebacz!

— Uczyniłam to już, odpowiedziała Fanny. Gorycz jedynie we mnie pozostała. Żałuję mego uniesienia. A teraz kochany panie, dodała, skoro otrzymałeś nie tylko przebaczenie, ale i objaśnionym zostałeś, teraz gdy wiemy, co myśleć o sobie nawzajem, nie zatrzymuję go dłużej. Przyrzekłam ci uściśnienie ręki, podaję ci ją życzliwie, bez urazy. Radabym ci powiedzieć „Dowidzenia“ lecz prawdopodobnie nie zobaczymy się więcej, a zatem: „Żegnam cię.“

— Jakto? wypędzasz mnie? wyszepnął smutno

młodzieniec.

— Pozwalam ci odejść, rzecz całkiem inna. Pragnąłeś, widzieć drzwi przed sobą otwarte, otwieram ci je.

— Przez krótką chwilę wszystko się zmieniło.

— Co? zawołała Fanny z szyderczym śmiechem, ta wielka miłość która doprowadzała cię do szaleństwa, wygasła tak nagle?

— Wiesz, że to nastąpić nie może. Wiesz, że ona nigdy nie wygaśnie!

Fanny się zadumała, a potem, wskazując ręką na portret.

— A zatem, nie jesteś już zazdrosnym o księcia? spytała.

— Kochasz go? wyszepnął Jerzy.

— Nienawidzę! ze wszystkich sił, lecz mimo wszystkiego, jest on mym mężem.

— Nienawidzisz go, powtórzył Tréjan z błyskającem radością spojrzeniem.

— O tyle, o ile na to zasłużył. Wiele by o tem mówić potrzeba było.

Jerzy padł na kolana przed Fanny Lambert i mimo oporu młodej kobiety, pochwycił natychmiast obie jej ręce.

XXIII.

— Co pan robisz? zawołała żywo, usiłując uwolnić dłonie, jakie Tréjan okrywał pocałunkami. Czy tracisz rozum artysto?

Powyższe słowa wyrzeczone były łagodnie, bez gniewu, Jerzy więc odrzekł z upojeniem:

— Tak, w rzeczy samej, straciłem rozum, równie jak serce, lecz odnajdywać ich nie chcę

Fanny śmiać się zaczęła.

— Wyraźnie mózgowe wzburzenie, odpowiedziała, szczęściem, choroba pochwycona w zawiązku, da się z łatwością uleczyć. Wezwij pan pomocy doktora specjalisty.

— Nie chcę się leczyć!

— Jak się podoba, lecz proszę podnieś się pan i uwolnij me ręce.

— Nie podniosę się, dopóki pani nie przebaczysz mi szczerze, z całego serca, tej całej wywołanej przezemnie, a tyle wstrętnej sceny.

— Już przebaczyłam, wszak powiedziałam to panu. Nie wierzysz mojemu słowu?

— Nie! żądam innego dowodu.

— Jakiego?

— Wykreśl pani raz na zawsze z pamięci tę ubiegłą chwilę. Niech ci się zdaje, żem teraz wszedł właśnie. Podejmijmy nasze projekta, tak nieszczęśliwie przerwane mojem szaleństwem. Poświęć mi pani ten wieczór, jaki całkowicie miał do mnie należyć.

— A gdybym się na to nie zgodziła?

— Skazałabyś mnie pani swoją odmową, na przepędzenie reszty życia w klęczącej jak teraz postawie.

— A trwało by to długo, nieprawdaż?

— Przeciwnie, bardzo krótko, gdybym pozostawał u stóp pani.

— Sądzisz pan zatem, iż będę wyczekiwała na łaskę uwolnienia mnie?

— Niestety! chcąc nie chcąc, musisz to pani uczynić. Jesteś uwięzioną przezemnie. Skrępowałem twe ręce.

Fanny wybuchnęła śmiechom, a szarpnąwszy się silnie, wyrwała swe drobne dłonie z rąk artysty i odsunęła się od niego. Żartobliwa jednak poprzednia rozmowa przekonywała Jerzego, iż wygrał sprawę. Fanny rzecz tę pojmowała tak samo.

— Podnieś się pan, wyrzekła i pójdź na herbatę. Uwięziona, byłabym się opierała, wolna, obdarzam cię łaską!

Młoda kobieta z filuternym uśmiechem potrząsnęła głową.

— Ani słowa zatem więcej o tych szaleństwach! zawołała, bo nie dam herbaty. Skoro ja chcę o wszystkiem zapomnieć, pan zapomnij również!

— O czem więc mówić? pytał Jerzy żałośliwie, jeśli zabraniasz mi wynurzyć to, co przepełnia me serce?

— O wszystkiem właśnie z wyjątkiem tego. Nie braknie przedmiotów do rozmowy. I otóż naprzód pomówmy o buduarze. Sądzę że obecnie, drogi artysto, nie uznasz może za rzecz ubliżającą swemu talentowi zajęcie się tą pracą?

— Talent, geniusz, wszystko poświęcę, pracując dla ciebie! zawołał Jerzy z zapałem. Cuda o jakich marzysz w rzeczywistość zamienię, lecz...

— Lecz co?

— Lecz żądam, aby ów tyle wstrętny dla mnie portret został na zawsze ztamtąd usuniętym.

— Jutro go tam już nie będzie, odpowiedziała Fanny, wszakże wolne miejsce dla ciebie pozostawić należy.

Podwójne znaczenie tego zdania, napełniło radością serce artysty. Ukrył wszelako wzruszenie i nic nie odpowiedziawszy, przeszedł wraz z Fanny do małego salonu.

Młoda kobieta zadzwoniła. Pokojówka ukazała się natychmiast, oczekując na rozkaz w milczeniu.

— Podać herbatę, wyrzekła pani.

W parę minut później serwis niesłychanie bogaty, którego filiżanki i cukierniczki ze starej serwskiej porcelany przechodziły wartością złoto, ustawiono na gerydonie, a woń chińskiej herbaty, ulatniająca się ze srebrnego imbryka, napełniała atmosferę swym czystym, ciepłym zapachem.

Nagła zmiana w uczuciach Jerzego, jaką przedstawiliśmy powyżej, nie powinna dziwić czytelników. Fanny Lambert, przedstawiając mu się jako żona księcia Aleosco, usunęła wszelkie podejrzenia z jego umysłu, niepodobna było albowiem przypuścić, aby kobieta zamężna, mogła jawnie używać na przynętę swoją piękność i wdzięki, zysk z nich pieniężny ciągnąc dla siebie. Nic więc nie przeszkadzało teraz Jerzemu, oddawać się całkowicie wybuchom swojej miłości.

Zdobycie serca Fanny Lambert, zwykłej gwiazdy zalotnego świata, nie byłoby zbyt wiele zaszczytu przyniosło artyście. Inna rzecz było zostać kochankiem czarującej kobiety, należącej przez związek książęcy do wyższej, arystokratycznej sfery. Jakież to świetne, pochlebne zwycięztwo?

— Oto filiżanka herbaty, chciej pan wziąć proszę, mówiła syrena, podając białą drobną rączką napój

woniejący. Tréjan wziął filiżankę, lecz jednocześnie! rękę Fanny.

— Co pan czynisz? zapytała żywo.

— Podziwiam.

— Tę porcelanę, nieprawdaż? Masz pan słuszność. Mówią, że ów serwis był niegdyś własnością pani Dubarry, dla której Ludwik XV kazał go Sévres wykonać. Jest to arcydzieło malowidła.

— Ach! zawołał Jerzy; pani Dubarry, Ludwik XV, Sévres, co mnie to wszystko obchodzi.

— Jak możesz tak bluźnić, profanie? Nie lubisz więc porcelany?

— Przeciwnie, szalenie ją lubię. Skoro panią jednak widzę przed sobą, ciebie tylko uwielbiam.

— Znowu te zwroty? Pamiętać proszę, że to zakazane!

— Nie rozkochany to mówi, ale artysta, rzekł Jerzy.

— Tak artyście, jak i rozkochanemu zabraniam mówić o sobie!

— Nie podobna mi być posłusznym w tym razie.

— Jeśli niepodobna, dobranoc! Wracaj pan do siebie. Mamże zadzwonić, ażeby pana odprowadzono?

— Wstrzymaj się pani, znalazłem pośrednią radę.

— Słucham jej.

— Niepodobieństwo to zniknąć może, ale pod pewnym warunkiem.

— Pod jakim?

— Że pani zadość uczynisz mej prośbie.

— To się znaczy?

— Że mnie obdarzysz tem zaufaniem, jakiem obdarzyć

raczyłaś pana de Croix-Dieu. Nie znam szczegółów, zbliska dotyczących panią, a radbym je poznać.

— Słowem, pan żądasz, bym ci opowiedziała historję mojego życia? Czyż tak wiele ci na tem zależy?

— Więcej nad wszystko!

— Nie będzie to wesołem, uprzedzam! Jestem dość młodą jeszcze, a tyle już bolesnych wspomnień mam z mego życia!

— Złe wspomnienia ulatniają się, smutki znikają, gdy się je przelewa w serce przyjaciela.

— Pan więc uważasz się za mego przyjaciela?

— Ach! zawołał Jerzy z uniesieniem, gdyby dla usunięcia od ciebie bólu, lub jakiej przykrości potrzeba było oddać życie, nie zawahałbym się tego uczynić!

— Przyjaciel, prawdziwy przyjaciel, mówiła jak gdyby do siebie, a jakiem by to dobrem było dla mnie! Czyż jednak wierzyć w to można? Związek przyjaźni pomiędzy młodym mężczyzną a ładną kobietą, ukrywa w sobie częstokroć nie miłość szczerą, pełną szacunku i poświęcenia, ale zuchwałe żądze, będące dla niej obelgą. A twoja przyjaźń Jerzy, na czem by była opartą?

— Na miłości, poświęceniu i wysokim dla ciebie szacunku.

— Nie chcę miłości, wiesz o tem dobrze!

— To tak jak gdybyś mówiła do żarzącego stosu. „Niechcę płomieni.“

— Jerzy! zaklinam, milcz!

— Będę milczał, aby stać ci się posłusznym. Usta moje niememi pozostaną, niezabronisz jednakże sercu uderzać

tylko dla ciebie i powtarzać przy każdem uderzeniu: „Kocham ją, kocham!“

Fanny Lambert, przymknęła z lekka powieki, pierś jej unosiła się przyspieszonem tchnieniem. Po chwili milczenia, podała rękę młodzieńcowi z gestem błagalnym i głosem przerywanym, jak gdyby walcząc sama z sobą, wyjąknęła z cicha:

— Jerzy! dajesz mi wiele cierpieć, o bardzo wiele.

— Ja daję ci cierpieć? zawoła! artysta, ależ na Boga dla czego?

— Cała postać młodej kobiety drżała, jak gdyby pod powtarzanemu ciosami potężnej elektryczności. Pobladła i z cicha odpowiedziała:

— Jeżeli prawdziwie mnie kochasz, odejdź! odejdź przez litość i nie powracaj tu więcej!

— Wypędzasz mnie po raz drugi, zawołał Tréjan.

— Nie wypędzam, lecz błagam, oddal się, oddal!

— Ależ dla czego!

— Ponieważ najwyższe z nieszczęść weszło tu wraz z tobą! Myśl o tem nieszczęściu przeraża mnie! Gdybym wierzyła twym słowom, gdybym cię pokochała, jakież byłoby me życie?

— Życiem kobiety szczęśliwej, kobiety kochanej.

— Nie dla mnie miłość, nie dla mnie szczęście. Mnie nie wolno jest być kochaną, ani szczęśliwą!

— Ależ to szaleństwo!

— Nie rozporządzam sobą. Jestem zamężną.

— Co to znaczy? Mąż którego się nie kocha, staje się wrogiem! Gdy łańcuch jest za zbyt ciężkim do

podźwignięcia, łamie się go natenczas, gdy więzienie jest nazbyt surowem, ucieka się zeń! Uwięzionemu służy prawo ucieczki!

— Innym kobietom wolno korzystać z tego prawa, wiem o tem. Wielu moim siostrom wybaczają ich błędy, dla mnie jednak pomimo, że moja przeszłość lubo bardzo nieszczęśliwa pozostała bez skazy, nie ma schronienia przeciw potwarzy i pogardzie! Jeden upadek, pozór nawet najlżejszy ku temu, obrzucono by mnie błotem, a błota ja nienawidzę!

XXIV.

Głębokie milczenie zalegało po ostatnich słowach młodej kobiety.

Fanny Lambert zdawała się być z sił wyczerpaną jak istota, usiłująca zwalczyć nadludzką energią miotające sobą uczucie. Jerzy wyrzucał sobie, iż niepoznał, mylnie osądził i zobelżył najniesprawiedliwiej, tego anioła cnoty i odwagi.

— Ach! baron de Croix-Dieu miał słuszność, mówił sam sobie, miał słuszność mówiąc, iż tu daremną jest wszelka moja nadzieja. Gdyby nawet Fanny mnie pokochała, opierać się będzie tak mojej, jako i swojej miłości. Znajdzie siłę ku temu, jestem pewny! Niechaj przeklętą, będzie chwila, w której tę kobietę spotkałem na mej drodze! Przygotowała mi ona całą przyszłość mąk i cierpienia!

Fanny nie pozostała jednak długo pogrążona w onem bolesnem obezwładnieniu. Zerwała się, wyprostowana, jak

się podnosi za pierwszym słonecznem promieniem kwiat na łodydze, pochylony przez burzę. Uśmiech powrócił jej na usta, zwykły wyraz szyderczego prawie ożywienia przybrała jej fizjognomia.

— Przebacz mi przyjacielu, wyrzekła, podając rękę artyście. Przedstawiłam ci się nieco szaloną, wszak prawda?

Jerzy przeczyć zaczął. Przerwała mu mowę.

— Na co się przydadzą owe banalne grzeczności, poczęła, nigdy im nie uwierzę. Znam siebie dobrze! Jestem nadzwyczaj wrażliwą, nerwową. Unoszę się i burzę, za lada drobnostką. Szczęściem owe kryzysa są krótkotrwałemi, zapanowawszy nad sobą wracam do spokojności. Przebacz mi proszę to uniesienie się moje. Mówiąc prawdę, oboje tu zarówno winni jesteśmy. Uniesienie łatwo się udziela. Dozwoliwszy mu się owładnąć, szedłeś za moim przykładem. Zawiniliśmy oboje, drogi przyjacielu, obecnie należy nam o wszystkiem zapomnieć i wykreślić z pamięci na zawsze wyrazy jakie powiedzieliśmy sobie nawzajem.

— Lecz... zaczął Jerzy.

— Nie, nie! żadnego, „lecz,“ zawołała Fanny wybuchając srebrzystym śmiechem. Pomnijmy na stare przysłowie: „Najkrótsze szaleństwa, są najlepszemi.“ Jedna rzecz tylko może i powinna zostać między nami, a ta jest dobra i szczera przyjaźń. Ofiaruję ci swoją i twoją przyjmuję, a ponieważ nie istnieje przyjaźń bez ufności, jestem gotową opowiedzieć ci to, co poznać pragnąłeś, to jest krótką historję mojego życia i mego małżeństwa. Chcesz że ją posłyszeć?

— Pytasz czy chcę? zawołał Tréjan.

— A więc posłuchaj. Ale przedewszystkiem nowa filiżanka herbaty, bo tamta oziębła; zapal obok tego cygaro. Lepiej się słucha paląc. Oto tytoń turecki, francuski i cygara. Jeśli pozwolisz, pójdę za twoim przykładem, bo i ja palę niekiedy. Jest to zły nałóg, wiem o tem, ale co począć, nawykłam do tego.

Lekka woń herbaty pomięszała się wkrótce z niebieskawym dymem cygaretek. Fanny wsparta o poręcz fotelu, w pozie doskonale wystudjowanej; patrzyła uśmiechnięta na Jerzego.

— Przedewszystkiem, powiedz mi, zaczęła, czy wiesz ile mam lat?

— Nie, odrzekł; zkąd mógłbym to wiedzieć?

— A więc, zgadnij.

— Wyglądasz na lat dwadzieścia, tak! najwyżej na lat dwadzieścia.

— Pochlebco! Mam lat dwadzieścia cztery. Źle, że się do tego przyznaję, nieprawdaż?

— Dla czego?

— Ponieważ za lat sześć, gdy będę miała trzydzieści, nie radabym sobie przyznać więcej nad lat dwadzieścia pięć a dzisiejsza moja otwartość, może mi przeszkodzić w tem kłamstwie. Ale mniejsza o to, mam jeszcze sześć lat przed sobą. Zaczynajmy.

„Jestem czystej krwi paryżanka, urodzona w Paryżu, na przedmieściu Montmartre pod numerem 54, w mieszkaniu więcej niż skromnem, na piątem piętrze, po nad dwiema antresolami. Mówmy otwarcie, była to facjata, a raczej mieszkanie na poddaszu, składające się z trzech pokoików,

jakie z łatwością pomieścić by się mogły w tym salonie.

Mej matki nie znałam wcale, zmarła ona wkrótce po mojem urodzeniu. Ojciec był artystą, prawdziwym artystą, który gdyby mu los więcej sprzyjał, mógłby był zostać sławnym. Pełnił on obowiązek drugiego skrzypka w orkiestrze opery. Był muzykiem z krwi i kości, komponował wyborowe dzieła, które nieszczęściem dla braku poparcia, nie znajdowały nakładcy. Owdowiawszy w dość młodym wieku, nie żenił się powtórnie, by mnie nie oddać opiece macochy. Kochał mnie do szaleństwa, czego dowodziły macierzyńskie starania, jakiemi mnie otaczał od lat młodocianych. Prócz szczupłej swej pensji nic nie posiadał. Żyliśmy w wielkiej oszczędności, graniczącej prawie z ubóstwem. Mimo to, mieliśmy służącą, ponieważ ojciec nie chciał pozwolić ażebym sobie niszczyła ręce i pracowała ciężko przy grubych robotach domowych. Byłam obok tego zawsze pięknie przezeń ubraną, a nawet bogato, co wzbudzało zazdrość w mych rówieśniczkach. Nosiłam suknie jedwabne, jakie ojciec przechowywał latami, naprawiane, lecz czyste i całe.

Byłam jedynym zbytkiem tego zacnego człowieka, dla mnie odmawiał on sobie wszystkiego. Gdy patrzył na mnie i słyszał że mnie chwalą, niezrównaną radością promieniało jego oblicze.

Opowiadam ci o tych drobnostkach, drogi przyjacielu, byś pojął w jak pełnej tkliwości wzrastałam atmosferze. Mogłam się nazwać szczęśliwem dzieckiem! Biedny mój ojciec. Ach! ja go tyle kochałam.

Krew artystyczna, płynąca w mych żyłach, objawiała się

mem żywem upodobaniem do muzyki. Raz posłyszawszy jaką arję, odśpiewałam ją doskonale i odegrałam na fortepianie. Mój głos dziecięcy obiecywał zostać kiedyś pięknym głosem.

Będzie to jedynem twojem dziedzictwem, mówił mi mój ojciec. Być może będę ci akompaniował kiedyś śpiewającej na scenie główne partje w „Żydówce, Hugonotach, lub Robercie Djable.“ Może cię ujrzę oklaskiwaną, przywoływaną, obrzucaną kwiatami, a wtedy za pomocą twych wpływów, przejdę na pierwszego skrzypka w orkiestrze.

Począł mnie kształcić w muzyce, w czem znaczne czyniłam postępy. Weszłam do Konserwatorjum doskonale przygotowaną. Pracując wiele, ukończyłam kursa z pierwszą nagrodą i otrzymałam zaproszenie do opery komicznej, gdzie występowałam, bez rozgłosu wprawdzie, lecz z powodzeniem. Byłam bardzo młodą, mój głos nie rozwinął się dostatecznie do wielkiej operowej sali w Paryżu. Zresztą, przed ukazaniem się na pierwszej scenie lirycznej, potrzebowałam nabyć to, co w języku teatralnym nazywają „obeznaniem się ze scenicznemi deskami.“

Kochając sztukę, śniłam o wielkości i stanie, a ojciec podniecał moje marzenia pełnemi zapału słowami, gdym mówiła o świetnej przyszłości, tryumfach i bogactwach, uczciwie nabytych.

Wielu ludzi a może i ty należysz do ich liczby, drogi mój Jerzy, wyobrażają sobie, że młodej kobiecie, żadną miarą życia teatralnego z życiem uczciwem pogodzić niepodobna. Mylą się oni, mogę cię upewnić mym własnym

przykładem. Nigdy młode dziewczę, żyjące na łonie rodziny, pod czujną opieką matki, nie było skromniejszem i czystszem, jak ja byłam, po przejściu kursów w Konserwatorjum i przy odbywanych próbach i repetycjach na scenie.

Byłam ładną, zwracałam na siebie uwagę, bo wiesz dobrze, iż najlichsza z komedjantek przez to samo, że należy do teatru, stawianą jest na piedestale. Bardzo wiele listów mi nadsyłano, lecz darłam je, nie czytając. Czyniono mi gorące oświadczenia miłości, wszak miałam swój właściwy sposób poskramiania wzrokiem niedyskretnych amantów, jaki mroził im słowa na ustach. Nie było w tem przesadzonej pruderji z mej strony, lecz jakaś niechęć, czyli niesmak raczej. Obyczaje, sposób prowadzenia rozmowy przez niektóre z mych towarzyszek, wstręt we mnie budziły. Żałowałam je, iż zapominały o swej kobiecej godności. Byłam, powtarzam ci, najzupełniej uczciwą, czego nie liczę sobie za zasługę bynajmniej. Szłam za głosem natury, bez wysileń i walki.

W dniach, w których nie grał w operze ojciec, przychodził po mnie po ukończonem przedstawieniu. Gdy obowiązek przykuwał go do orkiestry, wracałam sama, oczekiwałam na niego i razem spożywaliśmy naszą skromną wieczerzę. Szczupła ma pensja, dołączona do jego zarobku, wystarczała w zupełności na nasze utrzymanie. Byliśmy zupełnie szczęśliwymi.

To nasze szczęście o jakiem wspomniałam, zbyt było wielkiem, ażeby trwałem być mogło. Cios straszny miał wkrótce we mnie uderzyć i nieraz zapytuję siebie jak

przetrwać zdołałam coś podobnego!

Mój ojciec był człowiekiem wątłego organizmu, lecz jego zdrowie mimo to nie nasuwało żadnych obaw. Niepomnę by kiedykolwiek chorował. Pewnego wieczora, mimo że wolnym był od orkiestrowych obowiązków bo w dniu tym nie grano opery, nie przyszedł po mnie do teatru. Po raz pierwszy zdarzyło się coś podobnego. Zdumiona i przestraszona, szybko przybiegłam do domu.

Przebiegłam jak wicher cztery piętra, dzielące mnie od naszego mieszkania. Otworzywszy drzwi kluczem, jaki miałam przy sobie, uspokoiłam się zobaczywszy światło płonącej lampy w drugim pokoju.

Wbiegłam tam. Ojciec siedział nieruchomy przy kominku, z głową opartą na poręczy fotelu. Jedną rękę miał na dół opuszczoną. Zasnął widocznie, pomyślałam, oczekując na moje przybycie.

— „To ja! mój ojcze, wołałam radośnie, przebudź się, zasiądziemy do wieczerzy. Ileż mi sprawiłeś obawy nie przyszedłszy po mnie do teatru“!

Nie odpowiedział i nie poruszył się wcale. Pochwyciłam go za rękę. Ręka ta była zlodowaciała. Położyłam dłoń na piersiach. Serce nie biło wcale. Prawda ukazała mi się w całej okropności. Z okrzykiem rozpaczy, tracąc przytomność upadlam na podłogę w pobliżu fotelu, na którym spoczywał ojciec umarły.

XXV.

Mój okrzyk, pełen boleści, rozbrzmiał po całym domu, mówiła Fanny dalej. Wróciwszy do przytomności spostrzegłam iż kilka osób mnie otaczało, skrapiając mi głowę zimną wodą. Podniósłszy się, prosiłam aby odeszli i uklękłam przy ojcu, krzepiąc się nadzieją iż to jest może złudzenie i że jakaś iskra życia być może pozostała jeszcze w tem bezwładnem ciele.

Przybyły lekarz zniweczył to moje mniemanie.

I otóż zostałam sama na świecie!

Mój nerwowy, wrażliwy organizm, nie zdołał przenieść tak strasznego ciosu. Omdlałam powtórnie, a skoro po trzech tygodniach odzyskałam przytomność, ujrzałam się leżącą na łożu szpitalnem!

— Ach I jakież to straszne, zawołał Jerzy.

— Dla czego? zapytała Fanny.

— Ty, w szpitalu!

— Nic dziwnego, odpowiedziała. Dobrze uczynili, przenosząc mnie tam. W domu u siebie, opuszczona, samotna, byłabym umarła. Któż byłby mi udzielił tych starań, tyle potrzebnych w chorobie. Ktoby czuwał nademną nocami? Zkąd wziąć pieniądze na zapłacenie doktora i apteki? Choroba w Paryżu drogo kosztuje, mój przyjacielu! W szpitalu pielęgnowano mnie z najwyższą troskliwością i wierzaj mi, nie ma na całym świecie dzielniejszych dozorczyń po nad siostry miłosierdzia. One to ocaliły mi życie, rozwinęło się bowiem gwałtowne zapalenie mózgu, w jakim o uratowaniu mnie zwątpiono zupełnie.

Skoro niebezpieczeństwo minęło, szybko do zdrowia

wracałam. Ciało odzyskiwało swą siłę, lecz dusza smutną pozostała. Zdawało mi się, iż z tego smutku nigdy się już nie uleczę. Świat wydawał mi się być wielką pustynią, Paryż wstręt we mnie budził. Żałowałam, żem nie umarła.

Mimo to wszystko, żyć było trzeba. Wróciłam do teatru. Wszedłszy raz pierwszy na scenę, zalałam się łzami pośród wesołej arji, jaką śpiewać musiałam. Publiczność w pierwszej chwili wygwizdać mnie była gotową, lecz kilka osób obecnych w sali, a znających moją sytuację, powiadomiło o niej innych widzów i niezadowolenie zmieniło się w oklaski. Coś podobnego jednak nie powtórzyło się już więcej. Odnalazłam siłę, potrzebną do ścisłego wypełniania obowiązku, pragnąc uczciwą pracą zarabiać na życie. Był to natenczas mój cel jedyny. Kwestja artystyczna niemiała teraz powabu. Dla polepszenia bytu byłabym chętnie gotową opuścić świeżo rozpoczętą karjerę.

Jedynem mojem pragnieniem było wyjechać z Paryża. Zdawało mi się że zdala od tego miasta, gdzie śmierć zabrała mi najdroższą w życiu istotę, uczuję się mniej nieszczęśliwą. Jak jednak wyjechać przy zupełnym braku funduszów, chociaż nawet dyrekcja Opery Komicznej zwolniła mnie z zawartego kontraktu?

Traf przyszedł mi z pomocą w tym razie. Dyrektor jednego z Wiedeńskich teatrów przyjechał do Paryża dla skompletowania trupy artystów. Widząc mnie na scenie i posłyszawszy mój głos, przedstawił mi na świetnych warunkach opartą propozycję zaangażowania się do zebranego towarzystwa. We dwa miesiące później wystąpiłam w operetce francuskiej, wystawionej w Wiedniu

i zyskałam najzupełniejsze powodzenie.

Nie będę cię jednak nudziła przyjacielu, szczegółami mego teatralnego życia. Upływało tu ono podobnie jak i w Paryżu, z różnicą, że występowałam teraz pod przybranem nazwiskiem. Mogłam zostać gwiazdą pierwszorzędną, mam to przekonanie, okoliczności jednakże przeszkodziły temu.

Artyści francuskiej operetki drogo bywają płatni wszędzie, po za granicami naszego kraju. Po kilku latach wracają wzbogaceni do Paryża. Mówię tu o kobietach, uczciwie zarabiających pieniądze, moim zarówno celem było gdym przedstawiała szalone kreacje Offenbacha i Hérv'ego, zebrać co rychlej kilka tysięcy liwrów renty, ażeby żyć z nich we Francji, gdzieś w wiejskim zakątku, z swym smutkiem niepokonanym.

Tymczasowo, urządziłam się skromnie, lecz przyzwoicie. Zajmowałam wraz z pokojówką i służącym mały domek na przedmieściu, gdzie miałam powóz i konia dla wyjazdu i powrotu z teatru. Czyż potrzebuję ci mówić, że byłam zasypywaną miłosnemi biletami więcej jeszcze, aniżeli w Paryżu?

Pewnego wieczora podczas mego występu na scenie, bukiet rzucony przepiętym bransoletą, cisnęłam na deski z pogardą. Salwa oklasków w sali zabrzmiała. Mówiono wiele o tem mojem postąpieniu. Jedni wielce to chwalili, inni śmiesznem być uważali, ponieważ każda z artystek scenicznych musi być zalotną kobietą. Być może iż mają słuszność w tem swojem mniemaniu, lecz dzięki niebu wyjątki istnieją, jak wszędzie.

Po owej jawnej z mej strony demonstracji, nawała

miłosnych bilecików znacznie się zmniejszyła i zwolna całkiem prawie ustała. Odetchnęłam z ulgą, dziękując niebu, że owi don Żuanowie wrócili mi wreszcie spokojność.

Co powiesz? Jednocześnie gdym sobie to powtarzała, miała mnie spotkać nowa, całkiem nieprzewidziana niespodzianka.

Nigdy niezapomnę owego wieczora! Grałam Metellę w „Życiu Paryskiem“. Śpiewając w drugim akcie, uczulam nagle, (a było to fizyczne) jak gdyby podwójny płomień ognia na twarz mi uderzył, coś nakształt świetlanego rzutu, wydobytego z maszyny elektrycznej, jakiem oświetlają balety i widma fantastyczne.

Pomimowolnie spojrzałam ku parterowym lożom, umieszczonym w pobliżu sceny. W głębi jednej z tych lóż ujrzałam dwie źrenice, z fosforowym blaskiem utkwione w me oczy. Następnie dostrzegłam łysą czaszkę głowy, świecącą jak kość słoniowa między dwoma puklami jasno blond włosów; dalej jakąś wyniosłą kościstą postać, ubraną w biały krawat, frak czarny, na klapie którego po lewej stronie błyszczała wielka sprzączka djamentowa.

Tę dziwną charakterystyczną postać, po raz pierwszy ujrzałam w mem życiu i głęboko utkwiła się ona w mojej pamięci.

— Książę Aleosco, nieprawda? zapytał Tréjan.

— Tak, to był on, odpowiedziała Fanny.

— I bezwątpienia, mówił dalej artysta z odcieniem ukrytej zazdrości, pięknym ci się wydał, mimo tak niepowabnej postaci?

Fanny wzdrygnęła się niecierpliwie.

— Mówisz, jak warjat! zawołała, ów człowiek z kociemi iskrzącemi oczyma wywierał na mnie wrażenie, jakiegoś widma z powieści Hofmana, przyobleczonego w żywe ludzkie ciało.

Do zaciekawienia z jakiem się w niego wpatrywałam, łączył się rodzaj dziwnej trwogi. Nie jestem bojaźliwą, a mimo to wtedy strach mnie ogarniał. Ta jego elektryczne wejrzenie, uparcie zatopione w mojem obliczu do tego stopnia mięszało mnie i drażniło mi nerwy, że bez pomocy suflera byłabym się po kilkakrotnie pomyliła w mej roli.

Po skończonym akcie przywołałam reżysera, od lat wielu kierującego teatrem w Wiedniu, a ztąd znającego wszystkie prawie przebywające w tem mieście arystokratyczne postacie i przyprowadziwszy go do dziury wyciętej w kurtynie wskazałam mówiąc:

— Spojrzyj pan, proszę w głąb drugiej loży na parterze! Któż jest znajdujący się w niej mężczyzna?

— Jest to jedna z wybitnych zagranicznych osobistości, odpowiedział, książę Aleosco, wielki bogacz, przybyły wysłany tu w misji dyplomatycznej. Bądź ostrożną, dodał. Znany to bałamut i uwodziciel. Jestem pewien, że przypatrywał się tobie i to nie bez celu. Dostrzegłem zarówno i twoje roztargnienie.

Zaczęłam się śmiać, wzruszając ramionami.

— Nie żartuj, odparł reżyser poważnie. W „Metelli“ jesteś zachwycającą. Miej się na baczności, powtarzam. Jest to człowiek bardzo bogaty.

— Cóż mnie to obchodzi?

— Obsypie cię złotem i djamentami. Jest to przynęta, nader niebezpieczna dla cnoty.

— Wszak nie dla mojej.

— Powiedziałem ci wszystko, ostrzegłem. Do ciebie reszta należy, twoja to sprawa, nie moja!

Reżyser odszedł. Ja po skończonej roli wyszłam z teatru.

— Bukiet dla pani i karta, rzekła za kulisami odźwierna, zastępując mi drogę.

Bukiet pochodził od księcia. Bukiet był wspaniałv. Zwróciłam go jej zabraniając na przyszłość przyjmowania dla mnie podobnych podarków.

Mój powóz oczekiwał przy bramie teatralnej. Wsiadając dostrzegłam coś białego na siedzeniu. Był to drugi bukiet i drugi bilet od księcia.

Zniecierpliwiona i rozdrażniona, podarłam bilet i bukiet wyrzuciłam na ulicę.

— Jeżeli natrętny ów książę czatuje tu gdzie w pobliżu, pomyślałam sobie, zobaczy jaki użytek zrobiłam z jego kwiatów.

Przybyłam do siebie. Pokojówka oczekiwała mnie w progu.

— Przyniesiono to dla pani przed chwilą, rzekła zdejmując ze mnie futro i wskazując kartę i bukiet, leżące na pułeczce po nad kominkiem. Był to trzeci bukiet od księcia!

Uderzyłam nogą o ziemię do najwyższego stopnia rozdrażniona.

— „Otwórz okno! zawołałam.

Służąca spojrzała na mnie zdumiona.

— „Lecz pani, wyszepnęła z cicha, dwadzieścia pięć stopni mrozu na dworze!

— „Otwórz! rozkazuję ci. Natychmiast otwieraj!

Spełniła rozkaz. Nie zważając na mróz tak wielki, zbliżyłam się do okna i wyrzuciłam bukiet na ulicę.

Wprost mego domu, na przeciwległym chodniku stał jakiś mężczyzna, w futro odziany. Kwiaty padły u nóg jego. Zdjął kapelusz, ukłon mi składając, a wtedy dostrzegłam świecącą łysą czaszkę, kocie oczy i długie wąsy księcia Aleosco.

XXVI.

Pojmujesz, iż byłam do najwyższego stopnia zirytowaną i podrażnioną, mówiła dalej Fanny Lambert. Co mogło nadal wyniknąć, jeżeli po pierwszej chwili objawiało się tak natrętne mnie prześladowanie?

Byłam pewną, co do siebie, niepokoiła mnie jednak walka, jaką w przyszłości z tym człowiekiem staczać będę musiała. Przygnębiona tą myślą, przez całą noc oczu zamknąć nie mogłam.

Nazajutrz, wróciwszy z próby, zastałam bukiet i kartę wizytową na stole, w salonie. Rozpłomieniona gniewem, przywołałam pokojówkę. Udając zdziwienie, utrzymywała, iż nie wie, jakim sposobem ów bukiet z biletem znalazły się w pokoju, do którego prócz niej, nikt nigdy nie wchodził w mej nieobecności. Pozwoliłam jej zaprzeczać, ale zarazem powiadomiłam ją, że jeżeli jeszcze raz powtórzy się rzecz podobna, wypędzę ją bez przebaczenia.

Wieczorem dnia tegoż w teatrze, książę znów siedział w swej loży, a obok niego na krześle spostrzegłam ów nieodstępny bukiet, jakiego nieomieszkał rzucić mi na scenę podczas kupletów „Metelli“. Po skończonem widowisku, oddała mi bukiet odźwierna, pomimo mego zakazu; bukiet znalazłam w powozie i bukiet na progu mego mieszkania.

Trzy dni tak upłynęły sprowadzając wzrastającą nawałę kwiatów, aż wreszcie pewnego popołudnia, gdym korzystając z dnia, od próby wolnego, siedziała w mym saloniku, ucząc się roli, drzwi nagie się otworzyły, a w nich ukazał się książę Aleosco uśmiechnięty, ukłon mi składając.

Z razu, bojaźń mnie ogarnęła, lecz to uczucie przemknęło jak błyskawica. Czego miałam się obawiać? Wystarczyło otworzyć okno i wezwać na pomoc przechodniów w razie niebezpieczeństwa. Gniew mną zawładnął — w miejsce obawy. Postanowiłam skończyć raz na zawsze z owym nieznośnym natrętnikiem. Podniósłszy się z krzesła, przystąpiłam ku przybyłemu, a mierząc go wzrokiem od stóp do głowy:

— Pan jesteś księciem Aleosco? zapytałam.

— Tak piękna pani, odpowiedział, a jeśli zechcesz, twój najuczciwszy kochający sługa.

— A więc, pozwól sobie powiedzieć, zawołałam, że podobni tobie książęta, są ludźmi najniższej sfery! Ośmielasz się pan wejść do mego domu, wbrew wydanemu przezemnie zakazowi, przekupiwszy służbę. Przestępujesz próg mego pokoju, wiedząc, iż nie wypada mi przyjąć cię u siebie! Książę Aleosco, mimo żeś księciem, jesteś obok

tego gburem!

Uśmiechnął się, a na jego twarz bladą wystąpił rumieniec.

— E! odrzekł żartobliwie, obelgi wychodzące z tak pięknych ust, bywają względami do pozazdroszczenia temu, na którego są rzucane! Nie mogłem żyć dłużej nie widując ciebie, a gdybym cię był prosił pani o zaszczyt przyjęcia mnie u siebie, byłabyś prośbę na pewno odrzuciła. Należało więc postąpić jak ja uczyniłam i nie żałuję tego. Wiadomo ci zapewne, piękna pani, iż jestem szalenie w tobie rozkochanym, jak również wiadomo ci...

Chciał mówić dalej, przerwałam mowę.

— Tak, zawołałam, wiadomo ci, panie, zapewne, co uczyniłam z bukietami, jakiemi mnie uparcie obsypywałeś; wyrzuciłam je oknem i odtąd, uprzedzam, żaden kwiat, pochodzący od pana, nie wejdzie do mego mieszkania. Nie mogę, będąc słabszą fizycznie, znaglić pana siłą, byś wyszedł tąż samą drogą, jaką tu wszedłeś. Lecz oto drzwi. Wyjść proszę!

Książę jak był pąsowym, zbladł nagle.

— Ach! jakże jesteś okrutną! zawołał. Kobiety w ogóle są umiej surowemi w sprawach miłości.

— Może w pańskim kraju, z którego pochodzisz, odpowiedziałam.

— Źle czynisz, piękna pani, unosząc się gniewem, mówił uśmiechając się z ironią. Jestem pewien, że pożałujesz tego kiedyś, gdy mnie pokochasz.

Podobna bezczelność doprowadzała mnie do szału.

— Ach! zawołałam, pańskie zuchwalstwo przechodzi

wszelką granicę! Nienawidzę cię, nie cierpię! jesteś dla mnie wstrętnym!

— Nie smucę się tem bynajmniej, odrzekł, pokochasz mnie kiedyś.

— Niestety! Wolałabym umrzeć raczej.

— Nie umrzesz, nie! Będziesz zadowoloną z życia i szczęścia! Posiadanm wiele cierpliwości. Będę czekał, jak długo zechcesz. Jestem spokojny. I dla mnie chwila nadejdzie.

— Wyjdź pan, proszę po raz ostatni. Inaczej otworzę okno i zawołam!

Książę śmiać się zaczął.

— Chcesz zrobić skandal, a pfe! piękna pani. Znam paryżanki, wiele bardzo pięknych paryżanek, ale umiały żyć one. Ciebie kształcić dopiero potrzeba. Chętnie podejmę się tego, tymczasem do widzenia, mały szatanku. Jesteś na wskroś oryginalną i z tej przyczyny tyle cię kocham, a w przyszłości więcej jeszcze kochać będę.

Tu uśmiechnięty, złożył mi piękny ukłon i wyszedł.

Zatrzasnęłam drzwi za nim wołając: Idź do djabła!

Usłyszał mnie i przez drzwi odpowiedział:

— Z tobą piękna pani, poszedłbym do niego najchętniej. Wybierzemy się w te odwiedziny, gdy zechcesz.

Upadłam na fotel obezwładnioną, złamana, a nadewszystko mocno zaniepokojona. Widocznem było, iż ów książę zwiększy swe podstępne działania, a w jaki sposób przed niemi się uchronić? Jak uniknąć kiedyśkolwiek zastawionych na siebie sideł? Nie mogłam

teraz ufać, ani mej pokojówce, ani służącemu, przekupił on ich oboje.

Wypędzić ich i przyjąć inną służbę? Na co by się to przydało? Jak tych przekupił, przekupi i innych.

Prosić kogo o jakąś opiekę nad sobą? Nie znałam osobistości zajmującej wyższą, albo przynajmniej równą pozycję memu prześladowcy. Prócz tego, widziałam jasno, iż śpiewaczka komicznej opery, nie umiejąca się sama bronić przeciw galanterji wielkiego pana i wzywająca cudzej opieki, wyda się wszystkim w najwyższym stopniu głupią i śmieszną, ponieważ nikt nie uwierzy w niebezpieczeństwo, jakie ja przeczuwałam.

To właśnie niebezpieczeństwo, zawładnęło moim umysłem. Myślałam o niem bezustannie, zapytując sama siebie pod jaką formą ono się ukaże? Dosięgnąć mnie ono nie mogło ani w teatrze, ani na zewnątrz, groziło mi więc widocznie w mym domu, we własnem mojem mieszkaniu, pomiędzy dwoma memi niewiernemi służącemi, którzy gotowi byli każdej chwili za pieniądze wprowadzić księcia do mego pokoju.

Obejrzałam ów pokój najskrupulatniej, by się upewnić czy nie istnieje gdzie w ścianie jakie ukryte wejście, zrobione podczas mej nieobecności, jak to się zdarza w niektórych dramatach i romansach, ów ścisły przegląd uspokoił mnie nieco. Żadne drzwi tajemnicze nie znajdowały się w murze. Taftowa posadzka, pokryta podwójnym kobiercem, nie zawierała żadnego otworu. Garderoba nie miała wyjścia. Jedne, jedyne drzwi, prowadzące do sypialni łączyły się z salonem, a te drzwi

prócz zamku, były na zatrzask podwójny zamknięte.

Owóż co wieczór nie tylko zamykałam te drzwi na klucz i zapuszczałam zatrzaski, lecz jeszcze zastawiałam je stołem, na którym umieszczałam dwa fotele. W ten sposób niepodobna było poruszyć drzwi z zewnątrz, bez sprawienia hałasu, zdolnego przebudzić kilkoro śpiących ludzi.

Nie wszystko to jeszcze.

W moim teatrze zaniechano przedstawień „Życia paryskiego“ a rozpoczęto „Rozbójników.“ Grałam w tej operetce „Fiorellę“, a jako nieodłączne akcesorjum w pierwszym akcie zatknęłam za pas mojej czerwonej spódniczki mały sztylet damasceński z szesnastego stulecia, niezmiernie ostry, kończaty. To piękne cacko było moją własnością. Nosiłam go przy sobie bezustannie. W dzień idąc do teatru, w nocy, wracając do domu, miałam go w kieszeni mego ubrania. W nocy przed zaśnięciem, kładłam go pod poduszkę, przekonawszy się, iż łatwo z pochwy wydostawać się dawał, i dzięki temu wiernemu przyjacielowi, nie obawiałam się już nikogo.

Po zaprowadzeniu tych ostrożności, zdarzyło się to, co zwykle następuje w życiu, to jest, iż okazały się one całkiem bezpotrzebnemi. Książę Aleosco, którego przez cały tydzień spotykałam bezustannie i widywałam co wieczór siedzącego w swej loży, znikł nagle. Mówiono za kulisami iż wezwany w nowej misji dyplomatycznej wyjechał chwilowo. Jakaż rozkosz! jaka ulga dla mnie! Odetchnęłam pełnemi płucami!

XXVII.

Grałam „Fiorellę w Rozbójnikach“ po raz ostatni, opowiadała dalej. W następnych dwóch sztukach nie występowałam wcale. Dyrekcja zadowolona z mej gorliwej pracy, udzieliła mi urlop jedenastodniowy.

Z uwagi na panujące podczas tej zimy bardzo silne mrozy, dla ochronienia głosu od przeziębienia, kazałam sobie urządzić na saniach rodzaj karety, składającej się z zamkniętego pudła. Do tego ekwipażu zakładano dużego czarnego konia, szybko chodzącego w zaprzęgu.

Wyszedłszy z teatru pewnego wieczora o dwunastej, dostrzegłam w pobliżu bramy oczekujący na mnie mój powóz, z moim koniem i stangretem. Wsiadłam, a zatrzasnąwszy drzwiczki z pośpiechem, otuliłam się w futro. Woźnica ruszył z miejsca i sanie pomknęły szybko po stwardniałym śniegu. Zdawało mi się w chwili wyruszenia, że mój koń biegł szybciej, niż zwykle, co wyznam nie martwiło mnie wcale, pragnęłam bowiem znaleść się jak najprędzej w swoim zakątku. Pomimo jednak tego przyspieszonego biegu, kilkanaście, minut upłynęło, a powóz mój nie zatrzymywał się wcale.

Gęsta lodowa powłoka, wytworzona przez zimno na szybach karety, nie dzwoliła mi nic widzieć na zewnątrz, ani rozróżnić gdzie się znajdowałam. Spuściwszy jedno z okien, wyjrzałam, ale na ciemnej i pustej drodze po jakiej mknęły sanie nic dojrzeć nie mogłam. Hałas, wywołany spuszczeniem okna w powozie zdawał się jakoby dodawać rączości koniowi. Woźnica pędził tak szybko, iż ów bieg

oddech mi w piersiach tamował. Zkąd mój koń mógł nabrać tyle energji? Co się to znaczy? Miałżeby się rozbiegać? zapytywałam siebie z obawą.

Zawołałam na stangreta drżącym z trwogi głosem. Nie odpowiedział. Kazałam mu przystanąć. Nie usłuchał mnie. I otóż myśl, że wpadłam w zasadzkę, zabłysła mi w umyśle. Dla upewnienia się w tym względzie próbowałam otworzyć drzwiczki od karety. Oparły się, mimo moich wysileń, powstrzymywane widocznie jakimś ukrytym mechanizmem. Czekałam, zrozumiawszy wszystko! Był to obcy powóz i obcy koń, który mnie wiózł lecz powóz i koń zupełnie podobne do moich, tak z kształtu jak uprzęży. Nawet woźnica był podobnym do mego służącego, miał takież długie wąsy i czapkę futrzaną, wsuniętą na uszy.

Zasadzka nie ulegała zaprzeczeniu. Kto jej sprawcą? Powątpiewanie tu nie istniało wcale. Zdawało mi się, że widzę przed sobą nazwisko księcia Aleosco, iskrzące w ciemnościach nocy. Wstrzymywał się on widocznie przez czas jakiś od jawnego okazywania mi swych względów i sam nawet być może rozsiał wiadomość o swojem wyjeździe, aby uśpiwszy mą baczność, działać.

Cóż o mnie sądzisz, mój przyjacielu? Zdenerwowana i pełna obawy na początku grożącego mi niebezpieczeństwa, w miarę zwiększania się tegoż odzyskałam dzielność i siłę. Oburzenie wzrastało, ale nie obawiałam się wcale. Wsunąwszy rękę do kieszeni, poczułam w niej ukryty mój mały sztylet.

Koń mknął wciąż szybko, wyjechaliśmy po za obręb miasta, zostawiwszy za sobą ostatnie domy przedmieścia.

Sanie mknęły po śniegiem usłanej drodze, całkiem mi nie znanej. Po obu stronach tej drogi wysokie drzewa, pokryte szronem, podobne były do widm olbrzymich, wyciągających ramiona pośród ciemności z pod swoich białych całunów.

Szalona ta jazda tak długo trwała, iż o ile sądzić mogłam, ujechaliśmy najmniej mil kilkanaście. Zostawiłam szybę otwartą. Lodowaty wicher wpadał w głąb powozu. Zęby mi szczękały, nie ze strachu jednak, ale z zimna. Nagle, zwolnił się bieg konia. Woźnica wydał odgłos jakiegoś hasła. Posłyszałam skrzypienie zawias jakoby otwierającej się bramy. Sanie zmieniły kierunek i zjechawszy na bok z owej twardej drogi, zagłębiały się do połowy w miękkim śniegu.

Zdawało mi się, że wjechaliśmy w jakąś aleję, wiodącą do zamku, lub jakiegoś ustronnego domu i nie omyliłam się w mojem przypuszczeniu.

Wyjrzawszy oknem powozu dostrzegłam w niewielkiej odległości jakąś ciemną masę ze świetlanemi punktami. Koń szybciej biedz zaczął i po kilku minutach zatrzymał się przed peronem, z którego kamienne schody prowadziły po podwójnych drzwi oszklonych, dających wejście do sieni, oświetlonej kandelabrami o mnóstwie świec zapalonych.

Drzwi karety przy wejściu do owego zamku otwarły się same, niewątpliwie za pomocą mechanizmu ukrytego pod siedzeniem stangreta, a przezeń w ruch wprowadzonego.

Wysiadłam.

Będąc młodem dziewczęciem i zamieszkując z ukochanym mym ojcem na przedmieściu Montmartre,

czytywałam wiele romansów otrzymywanych z czytelni przy placu Breda. W wielkiej liczbie powieści tak nowych, jak starych, napotykałam kobiety i młode dziewczęta zawikłane w podobnych jak była obecna moja sytuacja i dozwoliłam się bezwiednie ogarnąć melodramatycznemu zainteresowaniu tą przygodą bardzo zwykłą niegdyś w dawnych dobrych czasach, lecz nader rzadko zdarzającą się w naszej epoce realnego życia.

I nastąpiła we mnie owa szczególna przemiana, iż bez najmniejszego przestrachu, ciekawość budziła się we mnie i pragnęłam tak żywo poznać „dalszy ciąg“ mego porwania jak niegdyś gdy z bijącem sercem przewracałam karty pochłanianego romansu, zapytując siebie: „Wielki Boże! cóż się stanie z tą biedną kobietą?“

Obecnie jednak zachodził ów ważny szczegół, że ową, „biedną kobietą“ ja byłam.

Zaledwie wysiadłam, gdy jakaś kobieta w podeszłym wieku, z pozoru wyglądająca na służącą, ukazała się we drzwiach pałacu, a złożywszy mi niski pokłon, pochylona prawie do ziemi, chciała całować me ręce, czego nie dozwoliłam jej uczynić. Z oznakami najgłębszego szacunku wprowadziła mnie do pałacowej sieni. Przystanąwszy tu zwróciłam się do mej przewodniczki zapytując:

Moja kobieto, powiedz mi gdzie jestem?

Służąca coś mi opowiadać zaczęła w swem rodowitem narzeczu, czego nierozumiałam wcale, ona zarówno nie znała francuskiego języka. W takich warunkach rozmowa pomiędzy nami stała się niemożebną.

Dała mi znak, ażeby pójść za nią, co uczyniłam bez

wahania. Weszła wraz ze mną na obszerne schody, pokryte perskim kobiercem, a oświetlone wielką latarnią zawieszoną u sufitu. Przebiegłyśmy razem galerję, pełną obrazów i myśliwskich trofei, aż wreszcie zaprowadziła mnie do apartamentu którego bogactwo i zbytek w zdumienie mnie wprawiły.

Nie będę ci opisywała szczegółowo owych cudów, zbieranych widocznie całemi wiekami, w salonach i sypialni, niezmiernych rozmiarów. Widziałeś, kochany artysto, bezwątpienia owe nieporównanej piękności obicia, meble, jakie się znajdują w muzeum w Cluny. Posadzka w sypialni, zamiast kobierca, była okrytą futrami z lisów błękitnych, których wartość wynosiła więcej nad sto tysięcy talarów. Z tego jednego szczegółu, możesz łatwo sądzić o reszcie.

Pozapalane świece w wielkiej liczbie, jak gdyby na jaką uroczystość, oświetlały wspomnione pokoje. Niesłychanie wielkie ogniska płonęły na czterech olbrzymich kominkach, rzucając żywe światło i ciepło. Wschodnie kadzidła, umieszczone w srebrnych przeźroczystych szkatułkach, rozsiewały rozkoszną woń do koła.

Stolik z jednen nakryciem, zastawiony był srebrnemi i kryształowemi naczyniami dziwnego starożytnego kształtu, oraz zimnemi i gorącemi potrawami, tudzież flakonami wina czerwonego, żółtego i złotawej barwy.

Ów widok nieznany do tego stopnia oddziałał na moją wyobraźnię, iż zapomniałam, że w owej chwili należało mi się zająć czem innem.

Służąca zaczęła znowu w swej niezrozumiałej dla umie

mowie coś opowiadać mi szybko i długo. Gestem nakazałam jej milczenie. Uciekła się do mimiki, dając mi znak, abym usiadła przy stole, gdzie usługiwać mi będzie.

Co wieczór, wróciwszy do siebie z teatru, jadłam lekką wieczerzę. Jest to zwykłym zwyczajem śpiewaków i aktorów, zmuszonych wcześnie obiadować a ztąd bez wielkiego apetytu. Po tak wczesnym posiłku, umierałam prawie z głodu i pragnienia.

XXVIII.

Przynęcający pozór zastawionych potraw zwiększał mój apetyt, tem bardziej, że jestem nieco łakomą. Co chcesz? posiadam wad za wiele. Siadłam więc przy stole. Nagle przyszła mi na myśl pewna uwaga.

— Rzecz nie zaprzeczona, mówiłam sobie, iż zostałam wplątaną w zawiły melodramat a nie masz podobnej sztuki w której by zdrajca nie użył na pomoc jakiegoś odurzającego narkotyku w postaci flakonu napełnionego likierem, lub winem. Nic mnie nie przekonywa, ażeby książę wierny owym tradycjom uśpić mnie tym sposobem nie pragnął. Stary to figiel, wiem dobrze, ale nieufność jest matką bezpieczeństwa. Postanowiłam więc być ostrożną w tym razie i odsunąwszy na bok smaczne potrawy, oraz wina topazowej i rubinowej barwy, poprzestałam na kawałku chleba i szklance wody ku wielkiemu osłupieniu służącej, która gestami usiłowała wyjawić swoje zdumienie.

Po skończeniu mej skromnej wieczerzy, wskazała mi

łóżko, wielkie monumentalne łoże, umieszczone na wzniesieniu, pod perską złotem przerabianą zasłoną, na której tak jak i wszędzie widniała haftowana mitra książęca z koroną. Potrząsnęłam głową, aby kobiecie dać poznać, że się nie udam na spoczynek, a następnie gestem wskazując jej drzwi, oznajmiłam że odejść może.

Oddaliła się, pomrukując z cicha.

Zostawszy samą, usiadłam w fotelu naprzeciw płonącego ogniem kominka i snuć poczęłam całe pasmo uwag, jakie nie były ponętne bynajmniej. W tem rozmyślaniu usnęłam znużona, a skoro się przebudziłam, wstrząsana złemi marzeniami, szary blask dzienny wpływał do pokoju przez szerokie szyby okien.

Zrazu pomyślałam o ucieczce, lecz jednocześnie przekonałam się, że to było niemożebnem. Sypialnia i salon, stanowiły oddzielne moje schronienie. Gdym chciała pójść dalej znalazłam wszystkie drzwi szczelnie zamknięte, a po za temi drzwiami nieomylnie czuwano.

Weszła służąca, z głębokim jak dnia poprzedniego ukłonem i zastawiła śniadanie, którego nie tknęłam zarówno jak wczorajszego obiadu, ponieważ dla znanych wyżej powodów, postanowiłam jeść tylko chleb i pić wodę.

Dzień wydawał mi się być długim nieskończenie, nie miałam więc sposobu uchronienia się przed przygniatającą mnie nudą.

Okna wychodziły na park obszerny, pokryty śniegiem. Ciemna zieleń sosen, rysowała się smutnie na białości gruntu i szarem tle nieba. Żadna żyjąca istota nie ożywiała rozległego widnokręgu.

Ze zmierzchem ukazała się służąca, ale tym razem w towarzystwie lokaja, który powstawiał świece w kandelabry i zapalił je; następnie położył dwa nakrycia na stole, jedno naprzeciw drugiego. Te dwa nakrycia oznajmiały że książę ukaże się nareszcie. Przygotowałam się na jego przyjęcie uzbrojona w gniew i pogardę.

Wkrótce posłyszałam przyśpieszone kroki w sąsiednim pokoju, drzwi się otworzyły, wszedł książę Aleosco.

Za pierwszem na niego spojrzeniem, zdumienie mnie ogarnęło. Spodziewałam się go ujrzeć zmięszanym, nieco zakłopotanym swym niecnym postępkiem. Omyliłam się jednak. Najswobodniej zbliżył się ku mnie, jak gdyby składając mi poufną wizytę.

Ubrany był w garnitur wieczorowy z nieodstępną na piersiach sprzączką djamentową. Trzymając w lewej ręce kapelusz, podał mi prawą z uprzejmym uśmiechem, do powitania. Cofnęłam mą rękę.

— Dzień dobry piękna pani, a raczej dobry wieczór, rzekł, jak gdyby nie zważając na ów ruch z mej strony.
Cieszę się niewymownie, iż mam zaszczyt nareszcie przyjmować cię u siebie.

— Ach! zawołałam z uniesieniem, nazywasz więc pan przyjęciem u siebie, porwanie kogoś przemocą i zamknięcie go na potrójny zamek? Tylko stróże więzienni okazują gościnność tego rodzaju!

Aleosco roześmiał się głośno i usiadł naprzeciw mnie, po drugiej stronie kominka.

— Proszę cię, moja kochana, rzekł do mnie, nie unoś się nadaremnie. Na co się bowiem to przyda? Gdybym cię był

prosił byś przyjechała do mnie w odwiedziny, nie zechciałabyś tego uczynić, wszak prawda?

— Ma się rozumieć!

— Wiedząc więc o tem, uwiozłem cię, ale łagodnie, z wszelkiemi przynależnemi względami.

— Lecz to nikczemne, to podle!

— Bynajmniej! Prowadziłem mą grę, nic więcej. Dałem ci odwet. Nie mogąc u siebie w domu wyrzucić mnie oknem, wyrzuciłaś mnie drzwiami, co było dla mnie obelgą. Nie nawykłem do czegoś podobnego. Powiedziałem więc sobie: „Musi ona przybyć do mnie, potrzebuję z nią pomówić.“ I oto przyjechałaś, jak widzisz...

— Tak za pomocą nikczemnej zdrady!

— Ale gdzież znowu! Za pomocą maleńkiej zasadzki i to w zupełnie dobrym tonie. I otóż jesteś. Przyjmij swój los dzielnie, z odwagą. Gdy niepodobna unikać czegoś, nie lepiej że z filozofią poddać się temu. Proponuję ci zawieszenie broni. Bądźmy na teraz dobrymi przyjaciółmi. Później zostaniesz mym wrogiem, jeżeli ci się podoba. Sądzę, iż przyszliśmy do wzajemnego porozumienia? Proszę więc o zaszczyt obiadowania wraz zemną! Wszakże nie zechcesz mi tego odmówić?

— Czyż podobna mi niechcieć? opowiedziałam z ironią. Znajduję się wszak u ciebie. Jestem uwięzioną. Jesteś tu panem i silniejszym nademnie. Masz wszelkie prawo narzucania swej woli. Lubo jestem posłuszną, ale protestuję przeciw temu!

Roześmiawszy się, zadzwonił. Służąca natychmiast się ukazała. Wyrzekł do niej kilka słów, jakich zrozumieć nie

zdołałam a potem, zwróciwszy się, rzekł do mnie:

— Ta kobieta usługiwać nam będzie. Obecność lokaja jest krępującą w podobnem sam na sam nieprawdaż?

— Niewiem! zawołałam. Takie sam na sam przytrafia mi się po raz pierwszy w życiu!

— Doprawdy? zapytał, patrząc we mnie z uśmiechem.

— I wiesz pan dobrze, że ono jest mi narzuconem, że jest mi wstrętnem!

— Ułożymy to wszystko jak najlepiej, odpowiedział, a teraz siadajmy do obiadu.

Tu podniósł się i podał mi rękę, którą odsunęłam.

Jak wiesz, mówiła Fanny zwracając się do Jerzego, tak dnia poprzedniego wieczorem jako i z rana, piłam tylko wodę i nic nie jadłam oprócz kawałka chleba. Głód mi dokuczał niesłychanie. Pomyślałam więc, ponieważ książę będzie jednocześnie jadł ze mną, wszelkie usiłowania w tym rodzaju jakich się obawiałam, niemożebnemi się staną.

Usiadłam naprzeciw niego. Nie jestem wstanie opisać ci mego nerwowego podrażnienia. Nie mogłam sobie wybaczyć, iż się znajduję przy stole tego zuchwalca, jakiego przed kilkoma dniami wyrzuciłam za drzwi, a który tak gorzki dał mi odwet, uwożąc mnie nikczemnie.

Gdyby moi towarzysze teatralni, za pomocą jakiej magicznej lornetki mogli mnie byli ujrzeć siedzącą przy księciu w jego mieszkaniu, nie mieliżby prawa czynić najhaniebniejszych przypuszczeń i uważać za obłudną komedję tego całego mojego z nim postępowania?

Wiem że pozory te byłyby najzupełniej mylnemi, lecz wyrzucałam sobie, żem im wyniknąć dozwoliła. Mówiłam

sobie, że byłoby dzielniej i godniej, przecierpieć głód odważnie, trzymając zdała prześladowcę i tak u niego, jak i u siebie, nie odpowiadać mu i nie słuchać go wcale.

Nieszczęściem było już zbyt późno na coś podobnego. Książę, jak gdyby pragnąc mnie uspokoić, przez cały czas trwania obiadu, nadzwyczaj grzecznym i powściągliwym się okazywał.

Być może, myślałam, chce mi dać tylko naukę, przekonywając mnie, żem niewłaściwie w sposób tyle brutalny przyjęła u siebie światowego człowieka, wielkiego pana, poczem dozwoli mi odjechać swobodnie, zauważyłam jednak, nie bez obawy, że pił wiele, a owe wychylane często kielichy zarumieniały mocno jego twarz bladą.

Mimo blasku mnóstwa świec, umieszczonych na stole pomiędzy nami, gdy jego kocie oczy wpatrywały się we mnie, odnajdowałam w owych źrenicach toż samo światło fosforyczne, jakie mnie uderzyło tak żywo, gdym go po raz pierwszy ujrzała w teatrze.

Bądź co bądź, obiad spokojnie się ukończył. Książę Aleosco skinął na służącą. Wyszła i powróciła z dwoma lokajami, którzy stół wynieśli.

Usiadłam w pobliżu kominka. Zniknęła we mnie ta dzielność i odwaga, o jakiej poprzednio mówiłam. Zaczęłam się obawiać. Serce mi w piersiach biło gwałtownie tamując oddech prawie.

Aleosco usiadł naprzeciw mnie z założonemi na krzyż rękoma. Czułam ciążące na sobie jego spojrzenie i nieśmiałam podnieść oczu, ażeby się z niem nie spotkać.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, jaką przerwał temi słowy:

— Teraz, moja kochana, porozmawiamy oboje poważnie:

XXIX.

Siedziałam niema i nieruchoma, jak gdyby nie słysząc słów jego. Książę mówił dalej.

— Wyznałem, że cię kocham, wszakże wiesz o tem?

— Tak, a ja odpowiedziałam, że pan jesteś wstrętnym dla mnie. Mamże ci to powtórzyć jeszcze?

— Nie! odrzekł, nie zadawaj sobie trudu. Kobiety zwykle mówią wbrew myślom i przekonaniu. O! znam ja je dobrze.

— Lecz mnie pan nie znasz!

— Na wskroś, jak inne, moja kochana, zresztą to nic nie znaczy. Jeżeli nie kochasz mnie teraz, nadejdzie chwila gdzie jeszcze pokochasz mnie szalenie.

— Nigdy! zawołałam.

— Ależ pomówmy proszę poważnie. Moje uczucie nie jest chwilowym kaprysem. Jest to miłość prawdziwa, głęboka, namiętna miłość.

— Co mnie to obchodzi?

— Powinno cię wiele obchodzić. Jestem bogaty, niezmiernie bogaty!

— W jakim celu pan mówisz mi o tem? zawołałam patrząc na niego z pogardą! Chcesz może ofiarować mi

pieniądze, sądząc, że jestem towarem do sprzedania?

— Nie! tak nie sądzę. Gdybyś zechciała się sprzedać, kupiłbym cię bez targu, upewniam!

— Choćbyś był nawet posiadaczem miljonów, nie byłbyś wstanie opłacić mojej wartości.

— To pewna, odrzekł. Ależ ja ci nie proponuję żadnego targu! Pfe! cóż za myśl!

— Proszę więc, wytłómacz się pan i nie obrażaj mnie, jak przystoi człowiekowi, zajmującemu tak wysokie stanowisko.

Aleosco począł obszernie się usprawiedliwiać, lubo nie dość jasno. Ów dyplomata był płodnym w różne wybiegi. Usiłował zmieniać postać rzeczy, przedstawiając ją w zupełnie fałszywem świetle.

Przekonywał, iż nie przedstawia mi targu, lecz sytuację nie tylko godną przyjęcia, ale niezmiernie ważną i świetną, ponieważ jak niegdyś Ludwik XIV-ty. raczył by uczynić ze mnie swoją „metressę“ zaszczyt tak wielki, jakiego nie udzielił żadnej z poprzednich swoich kochanek. Prócz tego zapewniłby mi majątek, złożywszy w me ręce akt w ścisłej formie sporządzony, a przyznający mi sześćdziesiąt tysięcy liwrów renty. Po pięciu latach stałej wierności kapitał od wspomnionej renty stałby się wyłączną moją własnością.

— Zatem rzecz ułożona, zgadzamy się oboje?

— Przeciwnie, odpowiedziałam. Wszak miałam zaszczyt oznajmić panu, iż nie jestem przedmiotem do sprzedania!

Wybuchnął gniewem.

Zrozumiałam że chwila stanowcza się zbliża.

Zerwawszy się z krzesła, zaczął szybko chodzić po

pokoju, a potem stanąwszy przedemną:

— Odmawiasz więc? zapytał przytłumionym głosem.

— Tak!

— A jednak musisz być moją ponieważ cię kocham, odparł z zaciętością. Zapominasz, że się znajdujesz w mym domu. Zapominasz, żem ja tu wyłącznym panem wszystkiego!

— Tak, jesteś panem swych koni, swych psów i służby, ale nie moim! Nigdy się nie jest panem kobiety która odtrąca od siebie. Człowiek, który używa siły przeciw kobiecie, jest podłym hultajem! zawołałam.

— Nie! jest on tylko człowiekiem który kocha, kocha do szału, a widzi się być odtrąconym. Dotrzymam co ci przyrzekłem, lecz moją być musisz!

Tu szybko zbliżywszy się ku mnie, chciał mnie pochwycić w ramiona.

Zerwałam się jednym skokiem i przebiegając pokój, jak strzała, schroniłam się do salonu, przewracając meble stojące na drodze, aby z nich utworzyć zaporę dla ścigającego mnie prześladowcy. Przez kilka minut jakie zdawały mi się być jak wiek długiemi, graliśmy w ten sposób oboje scenę z trzeciego aktu „Naszych przyjaciół.“ Pozostawał mi teraz ostatni środek obrony, uciekłam się do niego. Wyjąwszy z kieszeni mały sztylet, ową broń drobną z „Rozbójników“ dobyłam go z pochwy.

Książę roześmiał się głośno.

— Chcesz się więc bronić przeciw mnie tem cackiem? zapytał.

— Wyrwiesz mi go chyba wraz z ręką! odpowiedziałam.

Byłby to postępek, godny ciebie, ale oszczędzę ci trudu. Jeśli się zbliżysz choć o krok jeszcze, zabiję się!

— Mówi się tak zwykle, odrzekł szyderczo, lecz spełnia rzadko kiedy.

I jednocześnie przeskoczył stolik i dwa fotele, tę słabą barykadę, dzielącą mnie od niego.

Przyłożyłam szybko sztylet do piersi i nacisnęłam. Stal ostra, kończasta, jak w najlepszym angielskim scyzoryku, przebiwszy ubranie utkwiła mi w ciele. Krew wytrysnęła. Czerwona plama ukazała się na staniku mej jasno popielatej sukni.

Książę pobladł i cofnął się, wydając głuche mruknięcie.

— Ha! rzekł przytłumionym głosem, masz słuszność, postąpiłem jak głupiec. Odrzuć ten nóż!

— Skoro pan wyjdziesz z pokoju.

— Nie masz się czego obawiać, daję ci na to moje szlacheckie słowo!

— Sądzisz pan, że twoje słowo upewnić mnie jest w stanie?

— Przebacz mi straszną obelgę, lecz zasłużyłem na i nią, wyrzekł, odchodzę. Jeden wyraz tylko. Jestżeś niebezpiecznie zranioną?

— Nie sądzę. Na czas mnie powstrzymałeś!

— Może sprowadzić doktora?

— Nie! Chcę być samą, swobodną, ot! wszystko!

— Jutro będziesz wolną.

— Mogęż temu wierzyć?

— Daję ci na to powtórnie me słowo.

Tu Aleosco, zupełnie uspokojony, ukłonił mi się i

wyszedł.

Za chwilę potem, weszła służąca, przynosząc bandaże, kompresy, flakony z gojącemi środkami, słowem, całą aptekę. Zaczęła wydawać niezrozumiałe dla mnie okrzyki, połączone z jęczeniem, aż wreszcie uspokoił ją mój gest nakazujący milczenie.

Pytała znakami, czy pozwolę jej odpiąć swój stanik i obejrzeć ranę, która nieprzedstawiając niebezpieczeństwa, bardziej mi niż w pierwszej chwili dokuczała.

Wycisnąwszy krew, położyła kompres nasiąknięty płynem, przywiązawszy go pośrodku dwoma bandażami. Ta dobra kobieta mogła byłaby zostać pierwszego stopnia infirmerką. Po dokonaniu powyższej operacji, odeszła na moje skinienie.

Pojmujesz bezwątpienia, że po tylu silnych wzruszeniach potrzebowałam gwałtownie spoczynku, zobowiązanie księcia, spokojność mi wróciło. Przekonał się, że groźba odebrania sobie życia nie była z mej strony daremną. Mimo to wszystko, nie rozbierając się, noc całą przespałam w fotelu.

Nazajutrz rano, około dziesiątej, ukazała się służąca, przynosząc na srebrnej tacy kopertę, zaklejoną wielką lakową pieczęcią z herbem Aleoscó’w. Otwarłam ją z gorączkowem pośpiechem, przeczuwając iż coś ważnego w sobie zawiera.

List księcia był krótkim. Nie przypominam sobie dokładnie zawartych w nim wyrazów, lecz oto treść jego. Pisał mi książę, iż według uczynionego przezeń zobowiązania jestem wolną, że powóz czeka na moje

rozkazy, aby mnie odwieść gdzie mi się podoba, lecz obok tego nie mając odwagi sam osobiście ukazać się przedemną bez mego zezwolenia, prosi mnie o kilku minutową rozmowę. Wiadomość, jaką mi pragnie udzielić, jest rzeczą nader doniosłego znaczenia i zmieni ona. jak sądził, zupełnie moje zapatrywania. Gdybym zechciała go przyjąć u siebie, wystarczy uczynić służącej znak potwierdzający.

Niebezpieczeństwo zniknęło; ciekawość kobieca poczęła odzyskiwać swe prawa i nie miałam powodów by nie wysłuchać owej tyle doniosłego znaczenia mającej wiadomości. Skinęłam głową po kilkakrotnie, by dobrze dać poznać służącej moje zezwolenie.

Odeszła, a w kilka minut później książę się ukazał.

— Obawiam się, rzekł, iżby wczorajsze moje postąpienie, wywoławszy słuszny wstręt w tobie, nie stało się przeszkodą w udzieleniu mi tyle pożądanej chwili rozmowy. Cieszę się, iż przebaczywszy mi to, przyjąć mnie raczyłaś. Do chwili obecnej pogardzałem kobietami. Sądziłem, iż począwszy od córwieśniaczych, aż do najwyższej arystokratycznej damy, można wszystkie kupić za pieniądze i że w podobnym razie, chodzi tylko o grzeczne i umiejętne zaproponowanie ceny. Ty jesteś pierwszą która mi dowiodłaś, że się myliłem i pierwszą jaką pomimowolnie szanować jestem zmuszonym. Uczuwając ztąd dla ciebie tem większą miłość, wyrzec mi się ciebie niepodobna. Wiem, iż nie zechciałabyś nigdy zostać moją kochanką, a więc jeżeli zechcesz, będziesz mą żoną...

XXX.

Byłam do tego stopnia nie przygotowaną na podobną propozycję, mówiła dalej Fanny, żem w pierwszej chwili osłupiała.

— Twoją żoną? wyjąkałam z cicha.

— Tak, żoną, powtórzył.

— A zatem księżną Aleosco?

Książę przecząco potrząsnął głową.

— Nie, to niepodobna, odpowiedział.

— W jaki więc sposób mógłbyś być mym mężem, nie dawszy mi prawa do noszenia swego nazwiska i tytułu?

Książę Leon wytłómaczył mi, iż osobistości, należące do wysokich rodów arystokratycznych i zajmujące jak on, wybitne stanowiska społeczne, nie mogą się żenić bez uzyskania na to monarszego zezwolenia, a zaniesionej przezeń prośbie, w tym razie, z przyczyny, iż jestem tylko operetkową śpiewaczką, niechybnie by odmówiono.

— Ale natenczas cóż mi pan ofiarujesz? pytałam. Nie rozumiem tego wszystkiego?

— Ofiaruję ci, odrzekł legalne małżeństwo, lecz bez publicznego ujawnienia, co się nazywa związkiem morganatycznym. Jest to dostatecznem do uspokojenia wszelkich skrupułów z twej strony i pozwoli ci zająć znakomitą sytuację, jaką ci przedstawiam.

Poczynam rozumieć nareszcie, odpowiedziałam. Potajemne małżeństwo, w jakiej kaplicy zamkowej, błogosławione przez osobistość przebraną za księdza, w obec przekupionych świadków. Podobny zamiar nie

przynosi panu zaszczytu bynajmniej! Jest to środek nazbyt zużyty i dający się łatwo odgadnąć.

Książę zaczerwienił się, a potem pobladł.

— Sądzisz mnie więc być zdolnym do podobnie haniebnego podstępu, wyszepnął. Zatem uważasz mnie za ostatniego nędznika?

— Uważam za człowieka, dla którego wszelkie środki są dobremi, byle doprowadziły do celu. Co pan chcesz, sądzę cię z własnych twych czynów. Czy zapomniałeś szczegółów wczorajszego wieczora?

Aleosco opuścił głowę.

— Rzeczywiście, wyrzekł po chwili, zasłużyłem na pomienioną obelgę. Możesz nie ufać mojemu słowu, mam jednak sposób, jaki rozproszy twoje powątpiewania. Pisałem ci że jesteś wolną. Mój powóz może każdej chwili odwieść cię do twego mieszkania. Jeżeli zechcesz zostać mą żoną, obierz stolicę, w jakiej nastąpią nasze zaślubiny. Wybierz zarówno kościół i księdza, którego nakłonię ażeby te małżeństwo odbyło się bez rozgłosu, potajemnie. Widzisz więc, iż żaden podstęp nie istnieje tu z mej strony. Dozwalam ci odjechać. Zostawiam czas do rozmyślenia się. Proszę o przebaczenie zuchwalstwa do jakiego winnym się być czuję, lecz które chciej usprawiedliwić gorącą dla ciebie miłością. Jutro jeśli pozwolisz, przybędę do ciebie po odpowiedź, od jakiej zależy me szczęście. Wszak zgodzisz się i przyjechać mi pozwolisz?

Niepodobna było inaczej jak potwierdzająco odpowiedzieć, co też uczyniłam.

W kilka godzin później, wróciłam do mego małego

domku na przedmieściu, gdzie znalazłam pokojówkę i mego służącego, mocno zaniepokojonych mojem tak nagłem zniknięciem.

Stangret badany przezemnie, opowiedział, iż w przeddzień wieczorem, jakiś mężczyzna przyszedł do niego z rozkazem, jakoby przezemnie wydanym, by nieprzyjeżdżał z powozem po mnie do teatru, ponieważ jedna z mych przyjaciółek odwiezie mnie swoim. Pokojówka potwierdziła prawdę tego zeznania i tym sposobem manewr księcia wyjaśnionym mi został.

Resztę dnia i noc całą spędziłam na rozmyślaniu.

Nie kochałam mojego konkurenta, uczuwałam nie tylko obojętność, ale jakiś wstręt nieokreślony, musiałam jednak wyznać sama w obec siebie, iż odrzucać jego propozycję byłoby do niedowybaczenia szaleństwem i że nigdy już w życiu nie znalazłabym sposobu zapewnienia sobie bardziej uczciwej a świetnej przyszłości.

Co chcesz, mój przyjacielu? mówiła Fanny. My, córy Ewy tak jak skowronki, dajemy się chwytać na zwierciadła. Legalna żona księcia, mimo że to małżeństwo jawnem by nie było, stawała się prawie księżną, a perspektywa ta olśniewała, przyznaję, ubogą operetkową śpiewaczkę.

Aleosco, kochał mnie zapamiętale, wielka ofiara, jaką był gotów uczynić poświęcając dla mnie swą wolność, dostatecznie przekonywała mnie o tem! Być może, myślałam, będzie on dla mnie najlepszym z mężów i uczyni mnie szczęśliwą?

Bądź co bądź, skoro się ukazał nazajutrz z kolosalnym bukietem w ręku, a tym razem w najuczciwszym celu,

otrzymał odemnie przyzwalającą odpowiedź co doprowadzało go do szału radości.

Pewnego wieczora w następnym tygodniu, w pałacowej kaplicy księcia, nastąpiły nasze zaślubiny w obecności czterech świadków. Spisano według prawnych form akt małżeństwa i jedną z kopii tegoż mnie doręczono.

Nazajutrz po uzyskanem uwolnieniu z teatru zawiózł mnie książę do znanego mi już zamku, w którym przepędziliśmy trzy miesiące, nie widując nikogo.

Żona prawdziwie rozkochana w swym mężu, znalazłaby była może powab, w owem długiem sam na sam, pośród samotności, ja jednak, czując zupełną obojętność dla tego człowieka, nudziłam się śmiertelnie, dni i tygodnie wydawały mi się być nieskończenie długiemi.

Małżonek mój wyjeżdżał od czasu do czasu na dni kilka, a za każdym powrotem obsypywał mnie książęcej wspaniałości podarunkami. Były to po większej części drogocenne klejnoty. Miał wielkie upodobanie do biżuterii, lubił jaskrawe, zbytkowne toalety kobiet, i co wieczór ubrana w suknię balową, z djamentami we włosach, na szyi i ręku, obiadowałam z nim sama w wielkiej rzęsiście oświetlonej sali.

Po trzech miesiącach nudzić go zaczął pomieniony tryb życia, spostrzegłam to, lecz zamiast się smucić, cieszyłam, spodziewając, iż wkrótce ukończy się wreszcie to jednostajnie klasztorne a tak nieznośne mi życie.

— Rychlej czy później, zechcesz zapewne wyjechać do Wiednia, mówił mi pewnego rana, pojadę więc tam dziś, aby urządzić dla ciebie mieszkanie.

Przez dwa dni był nieobecnym, a powróciwszy zawiózł mnie do pięknego pałacu, z niesłychanym przepychem i zbytkiem urządzonego, oznajmując iż odtąd tu będę zamieszkiwała.

— A ty? zapytałam.

— Och! ja, odrzekł, wszak wiesz, że mam drugi, swój własny, moja kochana! Będę jednakże przyjeżdżał do ciebie codziennie.

— Tak? zawołałam, chcesz więc abym uchodziła w obec ludzi za twoją kochankę?

— To nieuchronne, odparł najobojętniej.

— Ależ ja jestem twą żoną.

— Nie zaprzeczam.

— I pozwolisz krążyć tyle ubliżającym obojgu nam wieściom?

Uśmiechnął się, jak gdyby przekonany, iż nic nie zdoła skalać jego honoru i odrzekł:

— Wynajdż sposób, zapobieżenia temu jeżeli możesz?

— Jest sposób, wyjawienie prawdy.

— Niepodobieństwo moja kochana, dla wiadomych już powodów. Powiedziałem naprzód, że nasze małżeństwo publikowanem być nie może.

Miał słuszność. Nie miałam prawa się uskarżać, zawiniłam.

Prowadziłam dom na wielką skalę. Cały Wiedeń wkrótce zajmować się począł piękną francuską śpiewaczką, tak wspaniale protegowaną przez księcia. Dozwolił obiegać pogłoskom niezaprzeczając i wkrótce przyjmować u mnie zaczął swoich poufnych przyjaciół, wydając świetne obiady

dla męzkiego towarzystwa, podczas których, jak twierdził, z niezrównanym wdziękiem pełniłam obowiązki gospodyni domu.

Zwykłymi gośćmi naszymi byli po większej części młodzi ludzie. Byli oni dla mnie pełni uprzejmości, w której jednak dostrzedz się dawał pewien brak przynależnego szacunku. Zasypywali mnie miłosnemi oświadczynami, wygłaszanemi to żartobliwie, to na serjo.

Mój małżonek śmiał się z tego, nie oburzając się wcale.

— Lecz twoi przyjaciele uważają mnie za kobietę lekkich obyczajów, traktując mnie w ten sposób, zawołałam dnia pewnego rozgniewana.

— Co ci to szkodzi? odrzekł, skoro masz przekonanie, iż jesteś uczciwą kobietą.

— Drażni mnie to dwuznaczne moje położenie.

— Przywykniesz do tego. Pośród wyższego świata, młodzież zarówno prowadzi romanse z zamężnemi kobietami, które w tym razie nie skrupulizują wcale.

— Ogłoś publicznie o naszem małżeństwie, a szanować mnie będą.

— Powiedziałem ci już dwukrotnie, że to jest niepodobieństwem. Pozostaw rzeczy jak są. Ufam ci w zupełności, i nie jestem zazdrosnym.

Nie zdołałam innej od niego otrzymać odpowiedzi, lecz odtąd poczęłam ozięble traktować jego przyjaciół, którzy w skutek tego nasz dom zwolna opuścili.

I książę zarówno coraz rzadziej nawiedzał mnie teraz, jego wizyty były coraz krótszemi, aż wreszcie dowiedziałam się od mojej pokojówki, że wynalazł sobie

kochankę w osobie włoszki, olśniewającej piękności, w której rozkochał się do szaleństwa.

Tem mocniej znienawidziłam go teraz, a chwilami wściekłość mnie opanowywała. Raniło to głęboko mą miłość własną, mą godność osobistą! Dla tego więc ten człowiek ożenił się ze mną, aby po kilku miesiącach mną wzgardzić? powtarzałam z boleścią. Czyżby w podobny sposób postępował gdybym jawnie, w obec wszystkich była jego żoną?

Uwagi te nie umniejszyły mojej rozpaczy, lecz podniecały przeciw niemu nienawiść.

Skoro przybył raz pierwszy, wypowiedziałam mu wszystko, com tylko miała na sercu. Słuchał mnie obojętnie, a gdym skończyła:

— Masz słuszność, nie przeczę! odrzekł, ale czyż moja w tem wina? Sądziłem, iż na zawsze kochać cię będę, a to tak prędko minęło. Żałować należy, żeśmy się połączyli, lecz sama tego żądałaś. Co nastąpiło, już się nie zmieni, starajmy się przynajmniej krępujące nas więzy o ile można lekkiemi uczynić! Tu w Wiedniu, nudzisz się zapewne?

— Śmiertelnie! zawołałam.

— Wracaj więc do Paryża, zabierz z sobą swoje klejnoty, za czekiem zaś, jaki ci natychmiast podpiszę, odbierzesz dwa miliony franków. Jeżeli zechcesz, zabierz mój portret, spojrzawszy nań może wspomnisz o mnie niekiedy. Staraj się być szczęśliwą, co sądzę przy posiadanym majątku z łatwością ci przyjdzie.

Po upływie tygodnia, byłam w Paryżu. We trzy miesiące później, kupiłam ten pałac.

Oto najwierniej opowiedziana historja mojego życia.

XXXI.

— I od owej chwili niewidziałaś księcia? zapytał Tréjan.

— Nie, odpowiedziała Fanny.

— Ani razu nie przyjechał do Paryża?

— Był może, ale go nie widziałam.

— Nie pisał do ciebie?

— Nigdy!

— Nie przysłał ani jednego listu?

— Ani jednego. Żadnego znaku życia, żadnej o sobie nie dał wiadomości. Będąc jego żoną nie istnieję dla niego. Być może tylko jako przeszkoda.

Spojrzenie artysty zapałało gniewem.

— I otóż od lat dwóch, żyję wyłącznie sama, mówiła Fanny, rozporządzając dowolnie moim majątkiem, mojem postępowaniem. Mogę ukazać się wszędzie mówiąc ze wzniesionem czołem „Jestem uczciwą kobietą“ nie obawiając się, aby mi ktoś fałsz zadał w tym względzie. Nie ma nic ukrytego, nic podejrzanego w mej egzystencji. Mimo to, nie bawię się w złudzenia. Wiem co o mnie mówią, ma się rozumieć w świecie, gdzie się zajmują pięknemi kobietami. Nazywają mnie zręczną, szczęśliwą awanturnicą, zbogaconą książęcym majątkiem i zastawiającą sidła na nową jaką zdobycz.

— Nie wierz temu, odparł Tréjan. Świat nie jest tyle niesprawiedliwym.

— Świat sądzi z pozorów, przerwała Fanny, a wszelkie pozory są przeciw mnie. Rozgłoszono że Aleosco był moim kochankiem. Czyż mogli mówić inaczej? Sam książę starał się rozpowszechniać te wieści, ażeby lepiej ukryć nasze małżeństwo. Pozbawioną jestem przynależnego szacunku, o czem ty Jerzy wiesz najlepiej, ponieważ tu wszedłszy, sądziłeś mnie, jak inni. Miałam słuszność mówiąc tobie, że nie mam prawa ni kochać ni być kochaną, ani szczęśliwą. Jeden błąd z mej strony, obrzucono by mnie błotem, a do wszelkiego błota wstręt czuję! Oto dla czego nie powinniśmy się widywać, dodała po chwili milczenia.

— Nie widzieć ciebie, wyszepnął Tréjan, czyż to podobna?

— Tak być musi, jest to koniecznem.

— Zapominasz, że cię kocham.

— Dla tego to właśnie trzeba wznieść zaporę pomiędzy nami. Obawiam się ciebie i siebie samej.

— W jaki sposób możesz mi zabronić widywania siebie?

— Ucieknę.

— Pójdę za tobą wszędzie.

— Udam się tak daleko i ukryję się tak dobrze, że mnie nie odnajdziesz.

— Jakto, wyjechałabyś z Paryża?

— Bezzwłocznie, jeśli mnie zmusisz ku temu.

— A więc, zawołał, zdruzgotałabyś mi serce?

— Byłaby to dla mnie jedna z największych boleści w mem życiu, lecz nie zawahałabym się przed nią.

— Przekładasz więc szacunek świata, po nad miłość i szczęście?

— Przeciwnie, żadnych poświęceń nie uczyniłabym dla świata, skoro mi odmawia szacunku, na jaki zasługuję, lecz nie chcę sama sobą pogardzać.

— Ach! zawołał Jerzy z uniesieniem, nie godnie postępujesz, pozwól to sobie powiedzieć!

— Cóż uczyniłam tak złego?

— Byłem spokojny, obojętny na wszystko. Nie słuchałem ciebie. Ty samowolnie rozbudziłaś we mnie miłość, w nieuleczone cierpienia!

— Czyliż wiedziałam, że kochać mnie będziesz? Czyżem starała się tobie podobać? Podbić cię zalotnością?

— Podobasz się, podbijasz serca, wbrew własnej woli i chęci. O! ty dobrze wiesz o tem. I dziś, dziś jeszcze, dla czego mnie tu wezwałaś?

— Nie wiedziałam, że twoja dla mnie sympatja w żywsze się uczucie zmieniła. Sądziłam, że zostanę dla ciebie towarzyszką, przyjaciółką nareszcie. Nie podejrzywając niebezpieczeństwa, nie badałam siebie.

— A obecnie!

— Powtarzam ci, iż się obawiam.

— Obawiasz się. Kochasz mnie więc?

— Niewiem, wyjąknęła z cicha. Niechcę wiedzieć i kochać cię niechcę. O! nie, nie, nie chcę.

— Ach, kochasz mnie więc, zawołał Tréjan z wybuchem radości.

— Nie, nie! powtarzała.

— Kochasz mnie, kochasz! wołał i pochwyciwszy ją w objęcia, przyciskał do serca, okrywając pocałunkami.

Wymknęła się, giętka jak żmija, a upadłszy na kolana,

wzniosła ręce błagalnie szepcząc przytłumionym głosem:

— Przez litość Jerzy, odejdź! Przeciwko księciu miałam na obronę nienawiść i sztylet, przeciwko tobie nic nie posiadam prócz prośby. Chciej być szlachetnym, pozostaw mnie, zaklinam!

— Będę posłusznym, ale zanim odejdę, powiedz, że mnie kochasz.

— A więc tak, kocham cię! Jestżeś zadowolonym? Odejdź!

— Pozwolisz mi się widywać?

— Tak.

— Wkrótce przybyć tu mogę?

— Jak zechcesz.

— Jutro, nieprawdaż?

— Tak, jutro. Lecz odejdź, odejdź!

Tréjan, pochwyciwszy powtórnie młodą kobietę ucałował ją a następnie wychodząc:

— Widzisz że jestem posłusznym, rzekł, do jutra zatem uwielbiana, do jutra!

Fanny po jego odejściu zbliżyła się do zwierciadła i długo się w niem przeglądała z uśmiechem artysty, zadowolonego z dokonanego dzieła. Siadła następnie przy kominku, a nalewając herbatę, szeptała z cicha:

— Biedny ten chłopiec zajmować mnie poczyna. Gotowam przejąć się mą rolą na serjo. Nie można być zbyt pewną siebie, dobrze że odszedł nareszcie. Zadzwoniwszy na pokojówkę, rozebrać się kazała, a udawszy się do łóżka, spała snem niespokojnym, pełnym marzeń, wśród których Jerzy Tréjan grał główną rolę.

* *
*

Opuściliśmy barona de Croix-Dieu w chwili, gdy po krótkiej bytności u Reginy Grandchamps wsiadł do powozu, wołając na swego woźnicę anglika:

— Ulica Le Sueur, pędź co sił!

Przyrzekł on dnia poprzedniego Fanny Lambert, iż przybędzie około czwartej, dla otrzymania wiadomości, jak się odbyło owo wieczorem sam na sam z Jerzym, a obecnie dochodziła już piąta godzina.

Fanny oczekiwała go niecierpliwie.

— Wybacz moją nieakuratność, rzekł wchodząc, ale nie gniewaj się na mnie. Pozornie tylko przewiniłem. Poruszyłem całe góry spraw od rana, lecz przystępujmy do rzeczy. Czyś odebrała wczoraj na czas moją depeszę?

— Tak i według twej rady, działałam stosownie do okoliczności.

— Był to jak gdyby los wielki na loterji. Szczęście widocznie nam sprzyja.

— Niezawodnie, że przyszło to w samą porę. Inaczej ów artysta nie byłby dla mnie dogodnym.

— Lecz wszystko dobrze poszło?

— Więcej niż dobrze! Byłam znakomitą: Przeszłam wszelkie oczekiwania! Sam osądź. Tu opowiedziała baronowi w krótkości całą scenę widzenia się z Jerzym.

— Przychodził on dziś po dwa razy, dodała z uśmiechem, ale kazałam służącym powiedzieć, że nie ma mnie w domu.

— Prowadzisz mistrzowsko tę rzecz, jak widzę, odparł Croix-Dieu. Myśl zawieszenia w buduarze portretu księcia, była arcydziełem. Prawdziwa to rozkosz współpracować z tobą, me dziecię. Posiadasz cudowną zdolność urozmaicania scen szczegółami. Gdyby kiedykolwiek nuda cię ogarnęła, weź się do pisania romansów, miałyby one szalone powodzenie! Otóż trzymamy Jerzego, skrępowanego od stóp do głowy. Jutro, będzie on u mnie na śniadaniu, dokończę dzieła. Ale, gdyby ci potrzebnym był akt ślubny, podpisany przez świadków, dostarczę ci go. Nic w nim brakować nie będzie, przyrzekam. Znajdą się na nim podpisy, legalizacja i pieczęcie. Będzie to tak prawdziwem jak natura!

— Jesteś cudotwórcą baronie! zawołała Fanny. Gdyby który z twoich przyjaciół zapotrzebował księżyca, znalazłbyś sposób zdjęcia go z obłoków.

— No, no! nie pochlebiaj mi zbyt wiele, odparł śmiejąc się Croix-Dieu. Poczem uścisnąwszy Fanny wsiadł do powozu i kazał się zawieść na ulicę Caumartin, gdzie wdowa Blanka Gavard, oczekiwała na niego z obiadem.

Co było prawdą, a co zmyśleniem, w opowiadaniu Fanny Jerzemu w dniu poprzedzającym wieczorem?

Odpowiemy na to w krótkości.

Wszystko było prawdą, oprócz jednego najważniejszego szczegółu, to jest jej małżeństwa z księciem. Skrupuły Fanny Lambert, złamały miliony książęce. Po kilku miesiącach pobytu jej w zamku, Aleosco zerwał z nią stosunek, Fanny wróciła do Paryża żyjąc tam niezmiernie okazale.

Sto tysięcy liwrów dochodu, zwiększone zręcznemi giełdowemi operacjami, pozwalały jej prowadzić dom na szeroką skalę, sytuacja jej jednak przeszkadzała w przyjmowaniu u siebie kobiet z wyższego uczciwego świata. Ztąd miewała tylko męzkie towarzystwo, w małej liczbie, dobrze dobrane, zajmujące w ogóle wyższe stanowiska.

Fanny nie miała obecnie żadnego kochanka, a jeśli mówiono o jej zalotności i lekkich obyczajach, było to prostem oszczerstwem.

Ów baron, w którym Fanny Lambert pokładała ufność bez granic, niewiele potrzebował zadawać sobie trudu, aby przekonać młodą kobietę, że powinna wyrabiać sobie w świecie stanowisko, do jakiego miała prawo, a takie mogła jedynie pozyskać przez uczciwe legalne małżeństwo. Gdy zaaprobowała ów pomysł, chodziło o wynalezienie męża. Baron podjął się to załatwić, rzecz naturalna.

Jaki powód popychał go do zamienienia Fanny Lambert w hrabinę Tréjan? Wkrótce się o tem dowiemy.

XXXII.

Filip de Croix-Dieu zajmował przy ulicy Saint-Lazare przyzwoite mieszkanie w antresoli, zbytkownie umeblowane. Jego salon mógł uchodzić za amatorską galerję obrazów, ściany albowiem niknęły pod płótnami wyborowego pędzla, tak dawnych mistrzów, jako i współczesnych artystów.

W urządzeniu jego sypialni, dostrzedz się dawała wielka surowość obyczajów. Meble, obicia, obrazy, wszystko to tchnęło niezmierną powagą.

Obszerna garderoba, przyległa do tegoż pokoju, przedstawiała przeciwnie widok jak gdyby toaletowego gabinetu jakiej podstarzałej zalotnicy. W owym pokoju, jak gdyby w aktorskiej garderobie, znajdowały się ustawione rzędami w porządku flaszki, słoiki, pudełka, pomady, perfumy, farby i pudry, mające służyć do zwalczenia spustoszeń, jakie czas we wdziękach poczynił.

Croix-Dieu, nie jeżdżąc nigdy we „dwójkę“ miał pomimo tego trzy konie w stajni i w remizie trzy powozy.

Rzadko kiedy obiadował u siebie, lecz śniadanie jadał codziennie, mając ku temu wykwalifikowaną kucharkę. Służba jego składała się ze stangreta anglika James’a, lokaja i parobka.

Zegar wydzwonił jedenastą godzinę. Lokaj otworzył drzwi salonu, oznajmując:

— Pan Jerzy Tréjan.

— Witaj kochany przyjacielu! zawołał baron, zbliżając się z wyciągniętą ręką ku artyście. Lecz, dodał, spojrzawszy na niego, co znaczy ta zmiana? Wyglądasz jak gość z tamtego świata. Czy jesteś chorym?

— Nie! odrzekł Jerzy.

— Spotkało cię coś nadzwyczajnego?

— Tak, w rzeczy samej.

— Szczęście, czy nieszczęście?

— Sam nie wiem.

— Jeżeli to tajemnica, nie nalegam o jej wyjawienie.

— Tajemnica? powtórzył Tréjan, nie mogę, nie powinienem jej mieć przed tobą. Widzisz mnie upojonego radością, a zarazem zrozpaczonego bez granic!

— Chodzi więc o Fanny Lambert? Widziałeś ją?

— Spędziłem u niej cały wieczór przedwczoraj. A! jest to anioł!

— Doprawdy?

— Ale ów anioł jest zaślubionym niestety!

— Wiedziałem o tem.

— A ukrywałeś przedemną?

— Musiałem milczeć, przyrzekłem.

— Pojmuję. Fanny mi opowiedziała całe swe życie.

— Życie bez skazy, życie najczystsze, nieprawdaż?

— Tak, zupełnie jak mi przedstawiłeś. Spostrzegłszy w jej buduarze portret księcia, a niewiedząc z jakich powodów on się tam znajduje, uniesiony zazdrością, wyjść chciałem. Fanny mnie zatrzymała. Natenczas pomimowolnie wyznanie miłości wybiegło z ust moich.

— Ach! do czarta! tego się właśnie obawiałem! Źle przyjęto owo wyznanie, jestem pewny!

— Przeciwnie. Fanny kocha mnie tyle, ile ja ją kocham.

— Powiedziała ci to? zawołał baron z doskonale udanem zdumieniem. Skoro tak, jesteś najszczęśliwszym z ludzi.

— Nie, mów raczej najnieszczęśliwszym!

— Dla czego?

— Ponieważ Fanny mi wyznała, że uważa naszą miłość jako nieszczęście dla nas obojga, że nigdy moją nie będzie, że nie chce widzieć mnie więcej i że ucieknie na krańce świata, gdyby tego było trzeba.

— Ha! uprzedziłem cię o tem.

— Wreszcie, wzruszona memi prośbami, postanowiła rozważyć to wszystko i pozwoliła mi być u siebie nazajutrz.

— Czego więcej żądasz? rzecz idzie dobrze.

— Ależ jak najgorzej! Nazajutrz, było to wczoraj, dwa razy jeździłem na ulicę Le Sueur i po dwa razy znalazłem drzwi przed sobą zamknięte. „Pani wyszła, nie ma jej w domu“ powiedziano mi.

— Być może wyszła w rzeczy samej?

— Nie wiedziałem, że to był rozkaz umyślnie przez nią wydany i oczekiwałem co chwila wiadomości że opuściła Paryż. Osądź o mojej rozpaczy? Jeśli wyjedzie gdzieś w kraj daleki, jak mi to zagroziła, nie mam pieniędzy by jechać za nią, a kocham ją do szaleństwa! Czuję iż nie widując jej, umrę! Ocal mnie przez litość, baronie!

— Lecz w jaki sposób?

— Masz na nią wpływ wielki. Poprzyj mą sprawę. Nakłoń ją, aby nie wyjeżdżała.

— Rzecz bardzo trudna, wyszepnął Croix-Dieu. Fanny jest kobietą niewzruszonej cnoty! Miłość, jaką uczuwa dla ciebie, przestrasza ją. Chce się ratować ucieczką przed niebezpieczeństwem. Obawia się ciebie i siebie samej.

— A! to jej własne wyrazy, odparł z cicha Tréjan. Możnaby sądzić, że je podsłuchałeś, baronie.

— Znam ją dobrze! Biedna kobieta! Ach! ten książę, ten książę, jak ona słusznie go nienawidzi! Obsypał ją bogactwem, to prawda, lecz jakaż zapora! Nie ma dla niej radości, dopóki on żyje, a na nieszczęście jest jeszcze dość młodym.

— A! gdybym go zabił? wyszepnął Jerzy z wzburzeniem.

— Zły sposób. Nie mógłbyś zaślubić pozostałej wdowy.

— Co czynić więc?

— Powiedz mi szczerze, zapytał Croix-Dieu, czy rzeczywiście czujesz, iż nie mógłbyś żyć, nie widując Fanny?

— Gdybym posiadał pewność niezaprzeczoną, że więcej już jej nie zobaczę, dziś, zaraz ztąd wyszedłszy rozsadziłbym sobie czaszkę wystrzałem, daję ci na to słowo honoru!

— Skoro tak, trzeba bronić twej sprawy i wygrać ją dla ciebie. Będę próbował i mam nadzieję, że mi się to uda, lecz przyrzecz mi w zamian, że będziesz mądrze postępował. Musisz mi dać słowo, iż jeżeli zdołam wyjednać, by Fanny pozostała w Paryżu, pozwoliła się tobie z sobą widywać, nie będziesz jej nigdy mówił o miłości!

— Będę milczał, przyrzekam, mimo, że to będzie dla mnie okrutnem!

— Pojadę więc dziś jeszcze do niej.

— Baronie, będę ci winien więcej niż życie! Skoro nadejdzie sposobność okazania wdzięczności, przekonasz się, że wdzięcznym być umiem.

— Możesz mi tego dowieść natychmiast, ponieważ chcę prosić ciebie o małą przysługę, odparł Croix-Dieu.

— Jakże jestem szczęśliwy! O cóż idzie?

— Wszak znasz jednego z moich przyjaciół, markiza de San-Rémo?

— Znam. Nie żyjemy z sobą wprawdzie w ścisłych stosunkach, lecz spotykaliśmy się nieraz w kółkach półświatka, witając nawzajem. Jest to chłopiec nader sympatyczny. Z całą przyjemnością załatwię ci dla niego, co mi polecić raczysz, baronie.

— San-Rémo jest zapalonym myśliwym, prawdziwy typ Nemroda. Proponuję mu obecnie nabycie pewnej ziemskiej posiadłości w Touvaine w pobliżu wielkich lasów twojego kuzyna, wicehrabiego de Grandlieu, który nigdy nie poluje.

— Poczynam rozumieć, odparł śmiejąc się Jerzy. Młody markiz chciałby otrzymać od mego kuzyna prawo polowania na jego ziemiach?

— To właśnie, a skoro otrzyma to zezwolenie, natychmiast przystąpi do nabycia własności, o jakiej ci mówiłem.

— Jest sposób pokonania trudności, odparł Jerzy.

— Jakiż to sposób? zapytał Croix-Dieu.

— Mój kuzyn, pragnąc posiadać portret swej młodej żony, zaszczycił mnie zamówieniem tej pracy. Przyprowadzi wicehrabinę do mej pracowni, gdzie lada dzień rozpoczną się posiedzenia. Usunę dla markiza San-Rémo zakaz surowy, jaki podczas wymienionych posiedzeń ma niedozwalać wchodzić nikomu. Jakiś zręcznie naprzód obmyślany powód, da mu możność przestąpienia progu mej pracowni, a wtedy natychmiast go przedstawię panu de Grandlieu, co w podobnych warunkach nie będzie przekroczeniem form towarzyskich. Po przedstawieniu niechaj markiz stara się zjednać dla siebie mego kuzyna i

niech go prosi o udzielenie sobie praw na polowanie. Jakże ci się wydaje ten mój plan, baronie?

— Wyborny! odrzekł Croix-Dieu, w ten sposób istotna rzecz ułoży się daleko lepiej.

XXXIII.

— Przyrzekłeś mi, baronie, być w dniu dzisiejszym u Fanny, mówił Tréjan odchodząc, niezapomnij o tem więc, proszę.

— Bądź spokojnym, niezapomina się, gdzie chodzi o wyświadczenie przysługi przyjaciołom, odrzekł Croix-Dieu. Każę natychmiast zaprzęgać i jadę. Być może, iż Fanny w domu nie zastanę. W takim razie powtórnie do niej pojadę i po mojem z nią widzeniu się, wyślę list do ciebie, mniej więcej przed wieczorem. Czekaj cierpliwie. Bądź odważnym i miej nadzieję.

Tréjan, wróciwszy do siebie, oczekiwał według poleceń barona.

Upłynęło popołudnie, wieczór się zbliżał. Artysta biegał zdenerwowany po swojej pracowni, potrącał Walentego, złorzeczył Fannie Lambert, przeklinał barona i sam siebie, snując najbardziej szalone pomysły. Przed dziewiątą godziną zadźwięknął dzwonek w przedpokoju. Jerzy zachwiał się i zadrżał. Uczuł, iż serce mu w piersiach nagle bić przestało.

— List do pana, rzekł, wchodząc Walenty.

Tréjan za pierwszym rzutem oka poznał adres,

nakreślony ręką barona. Rozdarł kopertę, pochłaniając następujące wyrazy:

„Przesyłam ci, kochany przyjacielu, dziennik wieczorowy, w którym znajdziesz coś bardzo dla siebie interesującego. Nie łada szczęście ci sprzyja! Uzbrój się w odwagę przeciw radości, jak nią zbroiłeś się w zamku. Jutro przyjdę ci powinszować.

Fanny, z którą widziałem się dziś o szóstej godzinie i która pomimo całej swady mojej wymowy, trwała niezachwianie w swoim szalonym projekcie wyjazdu, nic jeszcze o tem nie wie, ponieważ teraz dopiero posyłam jej egzemplarz tego samego dziennika. Twój, całem sercem tobie oddany

Croix-Dieu.“

— Co to znaczy? zapytywał Jerzy sam siebie, objęty tak silnem nerwowem drżeniem, iż zaledwie nadesłany sobie dziennik w ręku utrzymać był w stanie. Co może tu być tak dalece ważnego i dotyczącego z bliska mnie i Fanny?

Odpowiedź nastąpiła jednocześnie z zapytaniem. Artykuł zakreślony w dzienniku czerwonym ołówkiem pod rubryką „Różnych wiadomości“ zwrócił uwagę artysty. Brzmiał on tak:

„Dochodzi nas smutna pogłoska o przedwczesnym zgonie jednej ze znakomitych osobistości, dobrze znanej w kołach tutejszego sportu i high-lifu, która tak elegancją, jako i sympatją dla Francji, zjednała sobie u nas wielu przyjaciół.

Książę Leon Aleosco przeżywszy niespełna lat czterdzieści, zginął śmiercią tragiczną, zamordowany przez własnego służącego, podczas pobytu swego na wsi, w rozległych swych dobrach.

Książę, jak mówią, miał opublikować właśnie swój związek morganatyczny, zawarty z pewną francuską. Powyższy wypadek okrywa żałobą wiele rodzin ze sfer arystokratycznych, z jakiemi zmarły był spokrewnionym.“

Podkreślenie tekstu w dwóch wierszach powyżej, objaśnia czytelnikom współudział barona de Croix-Dieu, w tem ogłoszeniu.

— Ona wdową! Ona jest wolną! wyszepnął Tréjan po przeczytaniu.

Dziennik wypuścił z ręki, a sam, blady jak śmierć, upadł pół zemdlony na fotel, stojący w pracowni, wzruszenia jednak, wywołane radością, rzadko bywają niebezpiecznemi, szczególniej w wieku Jerzego.

Szybko odzyskał przytomność. Podniósł dziennik, przeczytał powtórnie zakreślony ołówkiem artykuł, by się przekonać iż nie uległ jakiejś halucynacji.

*
* *

Nazajutrz, około południa, Croix-Dieu, wszedł do pracowni. Jerzy, rzucił się w jego objęcia.

— Pomyśleć, że bez ciebie nic bym nie miał, wołał z uczuciem gorącej wdzięczności, ach! baronie jesteś dla mnie opatrznością!

— Dobrze, już dobrze! mówił, śmiejąc się Filip. Teraz ubieraj się prędko i jedź ze mną.

— Dokąd?

— Do Fanny, ma się rozumieć.

— Nie mógłżebym widzieć się z nią sam na sam? wyszepnął Tréjan.

— Masz przed sobą całą przyszłość owych sam na sam, zawołał Croix-Dieu. Wypada, abym ci dziś towarzyszył. Zastąpię ci miejsce ojca i ponowię oświadczyny, gdyż ją zaślubisz, nieprawdaż?

— Czy ją zaślubię, pytasz mnie o to?

— Czarująca kobieta! Ona uwielbia ciebie, a trzyma w swych drobnych rączkach pałac jak cacko i dwa miljony gotówki! Piękne to nieprawdaż? no! ale godzien tego jesteś w każdym razie.

W pięć minut Jerzy już był gotowym, a chyży kłusak irlandzki barona przebiegł szybko na ulicę Le Sueur.

Fanny, uprzedzona o odwiedzinach, oczekiwała. Podała do pocałunku czoło panu de Croix-Dieu, a rękę, z uśmiechem Jerzemu.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej powabnego po nad tę mniemaną wdowę, przybraną w żałobę. Czarna krepa, ufałdowana w około szyi, podwyższała olśniewającą białość jej cery, a długa powłóczysta suknia żałobna uwydatniała wysmukłe kształty postaci.

— Któżby przewidział, mój przyjacielu, wyrzekła, zwracając się ku Jerzemu, że mówiłam o zmarłym, gdym przed trzema dniami, opowiadała ci moje życie.

— Bóg skruszył okowy sprawiedliwie! zawołał

młodzieniec! Ów gbur bezrozumny, przez którego tyle cierpiałaś, zasłużył na śmierć podobną!

Fanny dotknęła dłonią ust Jerzego.

— Milcz, proszę! zawołała. Za życia być może, książę był mi nienawistnym, po zgonie, szanować go tylko należy!

— Niech będzie, jak żądasz, rzekł Tréjan. Tak w tem, jak i we wszystkiem, pragnę być ci posłusznym. Ów człowiek był zaporą mojemu szczęściu, zniknął, wieczny pokój jego duszy. Zapomnijmy o nim! Teraz możesz mnie kochać, być kochaną, szczęśliwą.

— Tak, wyszepnęła Fanny, ale zbyt wcześnie mówisz mi o tem. Widzisz, żem okryta żałobą.

— Moje dzieci, przerwał Croix-Dieu z powagą, błąkamy się po manowcach bezpotrzebnie; na co dyskutować w przedmiocie pośmiertnego szacunku, jakiego żaden z nas szczerze nie odczuwa? Mam do spełnienia misję, nader ważną, jaką chciałbym załatwić coprędzej. Pozwalasz mi na to?

Młoda kobieta skinęła głową potwierdzająco.

— A zatem, mam zaszczyt, kochana Fanny, prosić o twoją rękę dla mego przyjaciela, hrabiego Jerzego Tréjan, który na pewno umarłby z rozpaczy, gdybyś mu jej odmówiła, ponieważ kocha cię o tyle, o ile tylko kochać można!

— Wiem, że mnie kocha, odpowiedziała Fanny ze skromnym uśmiechem, i on zarówno wie, że go kocham. Oto moja ręka Jerzy.

Artysta z okrzykiem radości pochwycił podane sobie drobne różowe szpony i okrywał je pocałunkami.

— Lecz nasze małżeństwo nie może nastąpić w krótkim czasie, mówiła owa pseudo-księżna.

— Dla czego? pytał Jerzy.

— Od ośmiu dni zaledwie jestem wdową.

— Po mężu, który niepozwolił ci nosić swojego nazwiska, przerwał Tréjan.

— Pomimo to, był moim mężem w obec Boga. Winnam stosować się do przyjętych form towarzyskich i pozostawić jakiś przeciąg czasu pomiędzy nowym związkiem a dawnym, przez śmierć zerwanym. Jest to moim obowiązkiem. Taką jest moja wola!

Jerzy błagać zaczął. Fanny była niewzruszoną. Postanowiono, iż zaślubiny nastąpią po upływie miesięcy, a Jerzemu wolno będzie bywać codziennie jako narzeczonemu, w pałacu przy ulicy Le Sueur.

XXXIV.

Wprowadzamy czytelnika ponownie do pracowni Jerzego Tréjan, we dwa tygodnie, po wyż opowiedzianych wypadkach.

Obszerny ów pokój z najwyższą starannością jest przyozdobionym, w chwili, gdy przestępujemy próg jego.

Na nowej staludze, rozpięte białe płótno przy nąjkorzystniejszem świetle, oczekuje na przyjęcie mającego narodzić się szkicu.

Tréjan przechadza się ze szczególną starannością przybrany w swój kostjum artystyczny, czarną aksamitną

marynarkę i jasne pantalony. Nie oczekuje on jednak na Fanny Lambert, jak można sądzić z pozoru, ale na pana de Grandlieu mającego przybyć wraz z żoną na jej pierwsze posiedzenie do portretu.

Herminia, nie będąca dotąd nigdy jeszcze w żadnej malarskiej pracowni, cieszyła się naiwnie z tego pierwszego seansu, jak podróżą w jakiś kraj, dotąd sobie nieznany. Średniowieczne kufry, stojące w pracowni, stara porcelana, fajanse, zżółkniałe sztychy i szkice zawieszone na ścianach, wszystko to zwracało jej uwagę, zdumiewało ją i wyznała głośno, iż artyści wydają się jej być najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

Pan de Grandlieu słuchał z dobrotliwym ojcowskim uśmiechem szczebiotania swej młodej żony, chwilami jednak znikał ów uśmiech na jego ustach i posępniało spojrzenie.

Jerzy nie kryjąc zachwytu, jaki wywoływała jego kuzynka, wyznawał sam przed sobą że była to w rzeczy samej czarująca kobieta!

— Rozpoczynamy więc posiedzenie? pytała Herminia, zadowolniwszy swoją dziecięcą ciekawość.

— Każdej chwili, skoro rozkażesz, kuzynko.

— Wskaż mi pan zatem jak i gdzie mam usiąść.

— Tu, na tym fotelu w pełnem świetle.

— Czy trzeba zdjąć kapelusz?

— Tak, prosiłbym o to.

— Czy jestem dobrze uczesaną?

— Nazbyt dobrze.

— Jakto mam rozumieć?

— To znaczy, że radbym widzieć w twych pięknych jasnych włosach, kuzynko, trochę więcej nieładu. Ułożymy je, a raczej rozrzucimy, jeśli pozwolisz, we właściwym czasie.

— O zezwoleniu proszę nie wątpić. Zapewne wiele portretów kobiecych miałeś dotąd, kuzynie?

— Tak, kilkanaście.

— A więc upewniam, iż niemiałeś posłuszniejszego nademnie modelu. Przekonasz się o tem. Ile posiedzeń, odbyć będzie trzeba?

— Mniej więcej dwanaście, do piętnastu.

— A będę ładną na tym portrecie?

— Tak, jeżeli cię zrobię podobną, kuzynko.

— Komplement, dzięki za niego! odpowiedziała, śmiejąc się Herminia. Oznacz mi jaką mam przybrać pozę. Tak będzie dobrze?

— Nie zupełnie, aby być pełną wdzięku, bądź sama sobą, swobodną, jak zwykle, wszak to tak łatwo. Poza wtedy jest dobrą, gdy jest najzwyklejszą.

— Wolno mi rozmawiać?

— Z wszelką swobodą. Przyjdzie czas na milczenie, gdy zacznę rysować usta.

Tu Jerzy śmiałą i pewną ręką, kilkoma szybkiemi rzutami nakreślił szkic na tle białego płótna, poczem popatrzywszy bacznie na Herminię, zwrócił się do pana de Grandlieu.

— Złóżmy naradę, kuzynie.

— W jakim celu, pytał wicehrabia.

— Względem świeżo rozpoczętego portretu.

— A mnie pozwolicie mieć udział w owej naradzie? pytała Herminia z przymileniem.

— Bezwątpienia, a oto przedmiot narady, odrzekł Tréjan. Są dwa sposoby pojęcia i traktowania portretu. Mogę odmalować kuzynkę tak, jak się nam przedstawia obecnie, w aksamitnej sukni, djamentowych kolczykach i perłach na szyi, mogę odwzorować zarówno jej jasno blond główkę na purpurowej draperji, umieszczając w jednym z narożników obrazu, po lewej, podwójną tarczę herbową, Grandlieu i Randal'ów.

— Zdaje się że tak dobrze byłoby? odparł wicehrabia.

— Dobrze, bezwątpienia, lecz inna myśl przyszła mi obok tego. Zwróć uwagę, kuzynie, mówił dalej Jerzy, że wicehrabina ma pozór bardziej młodego dziewczęcia niźli kobiety zamężnej i że nawet sam Rafael nie wytworzyłby czystszej po nad nią dziewiczej postaci. Proponuję więc portret, któryby był jednocześnie obrazem. Gdybyś przyjął mój projekt wicehrabio, wymalowałbym kuzynkę w białej sukni, pośród parku, zalanego świeżem światłem porannem. Włożyłbym jej w rozrzucone włosy parę liści, skroplonych rosą, Mogłaby trzymać za wstążki swój słomiany kapelusz, oraz koszyczek napełniony polnemi kwiatami. Byłaby to bogini wiosny. Jakże uważasz mój projekt, kuzynie

— Ach! zawołała Herminja klaszcząc w ręce radośnie, zrób pan tak, to będzie prześliczne!

Jerzy pytał spojrzeniem wicehrabiego.

— Niech i tak będzie, rzekł on. Usuńmy tarczę herbową. Ze stratą strony heraldycznej obraz zyska na wdzięku i prostocie.

— A więc, rzecz postanowiona, do dzieła zatem! wyrzekł Tréjan. I jednocześnie szkicować zaczął w oznaczonym kierunku.

Po trzech bytnościach wicehrabstwa w pracowni, kontur dawał pojęcie o wysokiej wartości obrazu, a podobieństwo Herminii w zdumiewający sposób schwyconem zostało.

Za czwartem przybyciem gdy wszedł pan Grandlieu z małżonką, artysta, przywoławszy Walentego, wysłał go na miasto z jakiemś poleceniem.

— Zamknij wychodząc drzwi od przedpokoju i klucz zabierz z sobą, dodał, w rodzaju przestrogi.

Rozpoczęło się pozowanie.

Walenty jednak źle słyszał, albo zapomniał ostatnich wyrazów swojego pana, ponieważ wkrótce po jego wyjściu, otwarły się drzwi pracowni, a w nich najniespodziewaniej ukazał się Andrzej San-Rémo.

XXXV.

Przybyły zatrzymał się w progu, mocno zmięszany. Spostrzegłszy Herminię siedzącą naprzeciw Jerzego, a pana de Grandlieu nieco w głębi, po za niemi, zczerwienił się, stracił na razie przytomność, a postąpiwszy nieco naprzód z kapeluszem w ręku:

— Przebacz mi, rzekł, kochany artysto, lecz nie zastawszy nikogo w przedpokoju, ośmieliłem się przemknąć do twej pracowni. Niechcąc wszelako przeszkadzać, odchodzę.

Tréjan mocno był zakłopotanym.

— Ależ mój drogi, odrzekł ukrywając widoczne zakłopotanie, nigdy i w niczem przeszkadzać mi nie możesz, obecnie jednak, jak widzisz, mam pozowanie do portretu, a ztąd...

Mówił to zwolna, jak gdyby szukając wyrazów. Przyszła mu na myśl prośba pana de Croix-Dieu, w celu zaznajomienia Andrzeja z wicehrabią, która skutkiem pomienionego wypadku mogła całkiem się nie udać, a wiemy, ile zależało mu na tem by sobie nie narazić barona.

Pan de Grandlieu pospieszył z pomocą zakłopotanym.

— Przykro byłoby mi nieskończenie, wyrzekł powstając z krzesła, gdyby nasza obecność miała pozbawić kuzyna de Tréjan przyjemności przyjęcia pana u siebie. Pańska obecność w niczem nam nie przeszkadza. Zostań pan, proszę.

San-Rémo, wyszepnąwszy jakieś zaledwie dosłyszane podziękowanie, postąpił parę kroków i przystanął, objęty tak silnem zmieszaniem i wzruszeniem, że siłą woli zbierał przytomność, by nie stracić pojęcie, gdzie się znajduje i co czyni.

Herminia wpatrywała się z zaciekawieniem w tego młodego człowieka, rumieniąc się jak podrastająca panienka, a będąc pewną, iż nie po raz pierwszy go widzi, zaczęła szukać w pamięci.

Jerzy, odłożywszy na bok pędzle i paletę, zbliżył się do Andrzeja, a chcąc korzystać ze sposobności, zaprowadził go przed wicehrabiego.

— Pozwól kuzynie, rzekł, przedstawić sobie jednego z

moich najlepszych przyjaciół, markiza de San-Rémo.

Na głęboki ukłon Andrzeja starzec uprzejmie się odkłonił.

— Wicehrabia de Grandlieu, mój kuzyn, dodał Tréjan.

— Gdyby ów starzec przedstawił mnie swej żonie, pomyślał Andrzej, padłbym bez zmysłów u jej stóp na pewno.

Wicehrabia jednak nie miał zamiaru tego uczynić. Pierwsze lody przełamanemi zostały. Tréjan zabrał się do pracy, a malując, rozmawiał wiele z Herminią by ułatwić markizowi San-Remo zbliżenie się do pana de Grandlieu.

Andrzej, wstydząc się chwilowego swego zmieszania, szybko odzyskał zwykłą swobodę umysłu. Z podstępem właściwym rozkochanym, usiłował ująć sobie męża i prawdopodobnie osiągnął cel zamierzony.

— Panie wicehrabio, rzekł po dość długiej rozmowie, podwójnie się cieszę, że los, a raczej dobra ma gwiazda, przywiódłszy mnie tu, pozwoliła zostać ci przedstawionym, ponieważ wkrótce prawdopodobnie, zostanę twoim sąsiadem.

— W Touraine, czy w Normandji? pytał pan de Grandlieu.

— W Touraine, gdyż przystępuję do kupna posiadłości des Ridelles.

— A! jest to piękna wioseczka, granicząca z dobrami Grandlieu, gdzie spędzam zwykle parę letnich miesięcy, rzekł starzec. Posiadam tam lasy znakomite. Jestżeś pan myśliwym, panie markizie.

— I to zapalczywym, odrzekł, San-Rémo.

— A więc jeżeli kupisz de Ridelles, rozkażę moim strażnikom aby dozwolili ci polować dowolnie na całej leśnej przestrzeni.

— Gorące dzięki za tyle uprzejmości.

— Drobnostka, nie warta podziękowania, przerwał, śmiejąc się wicehrabia. Ja nie poluję.

— Pozwolisz mi pan złożyć ci we własnym twym domu wyrazy szczerej wdzięczności?

— Z całą przyjemnością będę oczekiwał pana na wsi w jesieni w Grandlieu.

Andrzej uczuł, jak gdyby mu ktoś strumień zimnej wody puścił na głowę. Nie mogło być grzeczniejszego wyrzeknięcia się od zaproszenia.

Wicehrabia gotów był go przyjąć w Grandlieu, ale widocznie niechciał go przyjąć w Paryżu. A więc podwoje pałacu na przedmieściu św. Honorjusza zamkniętemi dlań pozostały. Nalegać było niepodobna. Zrozumiał to młody markiz i wyszedł też niezadługo, podczas swej krótkiej wizyty. Zaledwie ośmieliwszy się przelotnie rzucić okiem na Herminię. Bądź co bądź jednak, uczynił krok ważny. Nie był już teraz nieznanym dla pana de Grandlieu, miał prawo powitać Herminię przy spotkaniu. Było to wiele, bardzo wiele, lecz zakochani są nienasyconymi.

* *
*

Pan de Croix-Dieu oczekiwał w tym dniu u siebie Andrzeja. Postanowiono, że ten ostatni, wyszedłszy z

pracowni Jerzego, wyjdzie zdać sprawę baronowi ze swoich odwiedzin.

— I cóż? zapytał Croix-Dieu, jestżeś zadowolonym?

San-Rémo przecząco potrząsnął głową.

— Cóż się stało? pytał Croix-Dieu, niespokojnie.

Andrzej ze smutkiem opowiedział szczegóły pierwszego widzenia.

— Widzisz, że wszystko źle idzie baronie, zakończył.

— Przeciwnie! zawołał Croix-Dieu, wcale tego nie widzę. Nie należy żądać więcej po nad możność. Chciałżebyś, aby mąż twej uwielbianej zaprosił cię zaraz jutro na obiad? Dowodem, iż musiałeś mu się podobać, jest udzielenie ci przezeń pozwolenia na łowy w jego lasach, a zarazem i zaproszenie do zamku Grandlieu.

— Tak, za sześć miesięcy, odrzekł z ironią San-Rémo, i to w przypuszczeniu, że kupię wioskę des Ridelies.

— Kupi się, jeżeli będzie potrzeba, odparł Croix-Dieu, ale być może obejdzie się bez tej ostateczności, i kto wie czy przed nadejściem jesieni nie zostaniesz wprowadzonym po pałacu Grandlieu, jako zażyły przyjaciel.

— W jaki sposób?

— Dziś nie wiem, ale że to nastąpi, przyrzekam. Główną rzeczą było, abyś został przedstawionym panu de Grandlieu, a skoro to już dokonanem zostało, śpij spokojnie, radzę ci jednak abyś się starał najczęściej spotykać, niby to przypadkowo, państwa de Grandlieu w miejscach publicznych, gdzie spotyka się zwykle ludzi wyższego świata.

— Już to uczyniłem, niestety jednak, baronie, prawie bez

powodzenia, wicehrabina nie raczyła nawet spojrzeć na mnie.

— To bardzo naturalne! byłeś dla niej natenczas nieznanym, zaginionym w tłumie. Dziś rzeczy się zmieniły, wie ona kim jesteś, musi zauważyć twoją obecność, a jej pierwszym ruchem, instynktownym i przypuszczalnie najzupełniej niewinnym, będzie spojrzenie rzucone na ciebie, bądź to na przechadzce, bądź też w koncertowej lub teatralnej sali. Resztę, proszę cię, zdaj na mnie.

* *
*

W jednym z bulwarowych teatrów w Paryżu miano przedstawiać sztukę pewnego nader wsławionego autora, bardziej romansopisarza niż dramaturga, która to sztuka przerobioną została dla sceny z jego własnej powieści.

Herminja po wyjściu za mąż czytywała z zaciekawieniem powieści autora dramatu, ztąd żywo zapragnęła uczestniczyć w jednej z owych uroczystości dramatycznych, łączących w jedno koło mnóstwo literackich znakomitości, jakich dotąd wcale nie znała, o czem, pozując na dwa dni przed tem w pracowni Jerzego objawiła swoje życzenie w tym względzie.

XXXVI.

Filip de Croix-Dieu, codziennie widując się z Tréjanem, wypytywał go szczegółowo o to, co mówiono w pracowni podczas bytności wicehrabiostwa de Grandlieu.

Dowiedziawszy się iż wicehrabia wraz z żoną będzie obecnym na tem przedstawieniu, uśmiechnął się z zadowoleniem a powróciwszy do siebie, otworzył mały karnet, zapełniony różnego rodzaju notatkami, kreślonemi pismem hieroglificznem, jakie on sam tylko zrozumieć był w stanie i pilnie wpisywać tam coś zaczął.

Następnie kazał się zawieść do dzielnicy Łacińskiej i wysiadł przed okazale urządzoną kawiarnią „Borgiów.“

Pomieniona kawiarnia licznie zapełniana wieczorem przez młodzież okoliczną, obecnie była pustą zupełnie.

Kobieta w podeszłym wieku, jak się zdawało kasjerka zakładu, pretensjonalnie ubrana, drzemała po za bufetem. Kilka młodych dziewcząt, między któremi i ładne się znajdowały, siedząc przy stolikach czytały dzienniki, lub grały z sobą w pikietę.

Dziewczęta posługujące, porzuciwszy dzienniki i grę w karty, otoczyły wchodzącego Croix-Dieu.

Baron powitał je miłym uśmiechem, a zbliżywszy się do wystrojonej damy, siedzącej przy kasie:

— Jeśli się nie mylę, rzekł, między uczęszczającymi do pani gośćmi, znajduje się kapitan Grisolles?

— Tak panie.

— Możebyś pani raczyła udzielić mi jego adres?

— Nie wiem gdzie mieszka, lecz udaj się pan w tym względzie do jednej z obecnych tu panien. Leokadjo, dodała, usłuż temu panu.

Powabna owa dziewczyna, mogąca bez wszelkich przygotowań wystąpić w „Niemej z Portici“ złożyła ukłon przybyłemu.

— Czem panu służyć? zapytała.

— Czemkolwiekbądź, wszystko mi jedno.

— Może zielonego Chartreus’u? to najbardziej lubię.

Croix-Dieu, skinąwszy głową potwierdzająco, zasiadł w jednym z rogów sali.

Panna Leokadja przyniosła na tacy butelkę i dwa kieliszki, a umieściwszy się bez ceremonii obok barona napełniła kieliszki, wychylając swój w okamgnieniu.

— Pan, zdaje się, zapytywałeś o kapitana Grisolles? Cóż pan chcesz od niego?

— Chcę mu zaproponować pewien interes.

— Korzystny interes, na którym możnaby było przynajmniej coś zarobić?

— Ma się rozumieć, rzekł baron z uśmiechem.

— Wyglądasz pan na człowieka z wyższego świata, ufam ci więc, mówiła Leokadja, i adres udzielę. Jedź pan przeto na bulwar św. Michała pod numer 127 i nie pytając odźwiernego wejdź na szóste piętro. Zobaczysz tam szare drzwi, na wprost schodów, a na nich naklejoną kartkę papieru z napisem: „Sala fechtunku.“ Zastukaj czterokrotnie raz po raz, a jeśli zastaniesz w domu Grisoll’a, z pewnością ci otworzy.

— Dziękuję za objaśnienia, rzekł Croix-Dieu, i podał jej sztukę dziesięcio frankową.

— Mam więc wydać jeden frank, pięćdziesiąt centymów, zapytała. Pójdę rozmienić.

— Zachowaj resztę dla siebie, za udzielenie objaśnień.

Tu wyszedł z kawiarni, a w kilka minut później wdrapywał się na szóste piętro domu przy bulwarze św. Michała.

Drzwi na wprost schodów oznaczonemi były kartką papieru z napisem: „Sala fechtunku.“

Zastukał czterokrotnie, w krótkich przerwach, a po kilku sekundach drzwi się otwarły i młody mężczyzna wpuścił przybyłego salutując go po wojskowemu.

Pokój, do którego wszedł baron, stanowiący całe mieszkanie kapitana Grisolles usprawiedliwił nazwę „Sali fechtunku.“ Florety, maski i rapiry porozwieszane tu były na ścianach, tak jednak była wązką ta izba, iż dwaj przeciwnicy, stanąwszy naprzeciw siebie, nie byliby w stanie postąpić czterech kroków bez uderzenia się o ścianę.

Mieszkańcem tej izby był przystojny chłopiec dwudziesto kilko-letni, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, z czarnemi gęstemi nieco kędzierzawiącemi się włosami, o śniadej cerze, wygolony starannie, prócz długich jedynie wąsów, w górę zakręconych.

— Czy mam przyjemność mówić z kapitanem Grisolles, pytał Croix-Dieu, z lekkim ukłonem.

— Tak, z byłym oficerem oddziałów Garibald’ego. Mogęż zapytać nawzajem o cel przyjemnej pańskiej wizyty?

— Przychodzę zaproponować panu pewien interes, rzekł baron.

— Zgoda! Jeśli jest dobrym, łatwo się porozumiemy. O cóż chodzi?

— O otrzymanie policzka, odparł najspokojniej Croix-Dieu.

Grisolles jednym skokiem cofnął się w tył, połyskując zaiskrzonemi oczyma.

— Jeżeli to żart, zawołał, przyznam, że nazbyt ryzykowny, gdyż uprzedzam pana, że mam zwyczaj surowo karcić płaskich żartownisiów.

Baron uśmiechnął się.

— Pozwól że mi skończyć, rzekł, powiedziałem, iż chodzi tu o otrzymanie policzka, obecnie zaś dodam i o danie pchnięcia szpadą.

Twarz Grisolla wypogodziła się w okamgnieniu.

— To co innego, zawołał, druga część pańskiej propozycji zmienia całkiem pierwszą. Z chwilą, gdy zadość uczynienie ma nastąpić po obeldze, rzecz staje się możebną do przyjęcia.

— Jakąż cenę nakładasz na to, kapitanie?

— Pomówmy naprzód o pierwszej połowie sprawy. Gdyby chodziło o wymierzenie komu policzka, natenczas żądałbym dziesięć luidorów, skoro jednak chodzi o otrzymanie, co jest rzeczą wielce nieprzyjemną, kosztować będzie drożej. Sądzę że pan to pojmujesz?

— A więc, niech będzie piętnaście luidorów.

— Zgoda! Jestem przystępnym w interesach.

— Pozostaje teraz pchnięcie szpadą. Ileż wart cios taki?...

— To zależy od okoliczności. Czy trzeba zranić niebezpiecznie przeciwnika, lub go odrazu położyć bez życia?

— Ni jedno, ni drugie, odrzekł Croix-Dieu. Trzeba mu tylko na ręku lub na ramieniu zrobić lekką ranę, dostateczną do powstrzymania pojedynku, z której mógłby się wyleczyć w ciągu tygodnia.

— Czy ów przeciwnik jest młodym?

— Tak.

— Dobrym strzelcem?

— Czwartego stopnia najwyżej.

— Będzież on zgodnie ze mną prowadził tę sprawę?

— O! nie. On weźmie ten pojedynek na serjo.

— Widzisz pan, w takim wypadku wystawiam się na ryzyko. Te niedołęgi, zapaliwszy się, zadają nieraz w swej niezręczności ciosy, szalenie niebezpieczne i podczas, gdy pamiętamy, ażeby ich oszczędzić, otrzymujemy sami pięć albo sześć pchnięć w bok ostrzem stali, co nie jest drobnostką.

— Miałżebyś się obawiać? zaśmiał szyderczo Croix-Dieu; ty, taki dzielny, odważny?

— Obawiać? zawołał Grisolles, żartujesz pan chyba! Badam jedynie tę sprawę z punktu handlowego widzenia rzeczy. Mogę w tym razie panu usłużyć, nie mniej wszelako, jak za pięćdziesiąt luidorów.

— Za wszystko, w ogóle?

— Nie, pięćdziesiąt luidorów za pchnięcie szpadą, a piętnaście za drugą część sprawy.

— To za drogo!

— A więc niech będzie, ogółem sześćdziesiąt luidorów, pięć panu ustępuję, z warunkiem że połowę naprzód mi zapłacisz, a drugą połowę złożysz pan w kasie kawiarni

Borgiów.

— Zgoda! odrzekł Croix-Dieu. A teraz posłuchaj.

Oto scenarjusz sztuki bohatersko-komicznej, w której odegrasz główną rolę.

XXXVII.

Nadszedł dzień pierwszego przedstawienia „Aspazji“.

Jak zaznaczyliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, nowa ta sztuka słynnego romansopisarza, wzbudzając żywe zaciekawienie powołała do sali teatralnej wyjątkowo świetną publiczność. Cała arystokracja znalazła tu swoich przedstawicieli, arystokracja sztuki, nazwiska, arystokracja majątku, jak i arystokracja występku.

Pilny obserwator, przeglądając loże i krzesła, odnalazłby w teatrze tego wieczora wiele osobistości, należących do niniejszej powieści.

Pan de Grandlieu wraz z żoną, zajmował lożę na wprost sceny. Zadowolona z urzeczywistnienia swego życzenia Herminia, uśmiechnięta i czarownie piękna w swej strojnej toalecie, przyciągała ku sobie spojrzenia męzkiej młodzieży, którzy nasyciwszy wzrok jej uroczym profilem Madonny, zwracali następnie lornety ku sąsiedniej loży w jakiej znajdowała się piękna brunetka, pani Blanka Gavard, która zapewne dla lepszego uwydatnienia swych wdzięków, dobrała sobie jakąś starą i brzydką towarzyszkę.

Ekrany na pół podniesione zakrywały wnętrza niektórych lóż, zkąd dobiegały wybuchy głośnego śmiechu.

Po nad temi ekranami ukazywało się to białe piórko maleńkiego kobiecego kapelusika, umieszczonego na wierzchołku nastrzępionych blond-włosów, to lśniący wachlarz, to bukiet kolosalny. Od czasu do czasu wychylały się ztamtąd postaci męzkiej młodzieży, lornetując po sali, poczem nagle znikały. Ową damą z białem piórkiem, wachlarzem i bukietem w ręku, była Regina Grandchamps, przybrana w jaskrawą toaletę; otaczało ją czterech anemicznych młodzieńców, kaszlących w głębi jej loży.

O piętro niżej, tuż pod nimi siedziała samotnie Fanny Lambert przybrana w piękny kostjum żałobny czarny, złotem haftowany.

Jerzy Tréjan, Filip Croix-Dieu i Andrzej San-Rémo, zajmowali krzesła w orkiestrze.

Naprzeciw Reginy Grandchamps, po lewej stronie sali, znajdowała się w loży para dobrze znanych osób paryżanom.

Był to właściciel niegdyś okrętu z Anvers, nazwiskiem Van Arlow, który osiedlił się w Paryżu przed dziesięcioma laty, z dwudziestu miljonami, w podwójnym celu, raz, aby umknąć przed żoną, powtóre, ażeby przejeść dochody, a w potrzebie nawet i kapitał z ładnemi kobietami półświatka.

Ów Flamandczyk tak dobrze wypełniał plan zamierzony, że mając lat sześćdziesiąt w chwili gdy przedstawiamy go czytelnikom, wyglądał na siedmdziesiąt pięć co najmniej. Trudno byłoby odnaleźć coś bardziej wstrętnego nad jego powierzchowność.

Kępki siwych włosów pokrywały miejscami jego ogołoconą czaszkę. Bielejące faworyty okalały twarz; żółtą,

pomarszczoną, bez wyrazu, prawdziwe oblicze obłąkanego z Salpetrière. Oczy przyćmione, bez blasku, ukryte pod sfałdowanemi powiekami ożywiały się nagle i świeciły, spotkawszy jaką ładną postać kobiecą.

Van Arlow krótki i gruby, posuwał się z wolna, podpierając laską, podczas gdy drugą rękę wspierał na ramieniu lokaja, z pomocą którego dochodził do obszernego swego powozu umyślnie dla siebie zbudowanego, a tak niskiego, iż pudło prawie dotykało ziemi.

Choroba mlecza pacierzowego, obezwładniwszy mu nogi, utrudniała chód jego. Najmniejszej siły żywotnej dostrzedz nie można było w tym sercu strupieszałym, ubranym mimo to według najświeższej mody i skropionym woniejącemi perfumami.

Kobieta, znajdująca się z nim w loży, jego towarzyszka cierpliwa, zrezygnowana, była przybraną w jedwabną suknię perłowego koloru. W jej uszach błyszczały djamentowe kolczyki, wartości co najmniej po pięćdziesiąt tysięcy franków każdy.

Przeszedłszy od dawna już drugi okres młodości, owa kobieta z oddalenia, przyjemne jeszcze sprawiała wrażenie.

Niegdyś powabna ta śpiewaczka z opery, posiadała sławę pierwszorzędnej piękności, a obok tego talent średniej miary, tryumfy jednak artystyczne mniej jej przynosiły, nad tryumfy serca. Siedząc obok starca otaczała go publicznie, najtkliwszemi staraniami.

W głębi loży stał służący, bez pomocy którego Van Arlow ruszyć się nie mógł.

Pozostaje nam jeszcze pomówić o trzech osobistościach.

Dwie z pomiędzy nich, mężczyzna i kobieta zajmowali odkrytą lożę. Kobieta mogła mieć lat przeszło pięćdziesiąt, przed dwudziestoma laty zajmowała się profesją akuszerki na bulwarze Batignolles, w domu Vignot'a i ztąd jest nam znaną.

Pani Angot siedząc na przedzie loży, była nadzwyczaj bogato, ale z najgorszem gustem ubraną. Potężny biust pani Angot, obciśnięty stalowym gorsetem, mógł był zastąpić korzystnie wystawę jubilerskiego sklepu. Czegóż bo tam nie było? Naszyjniki, łańcuchy, medaljony, brosze błyszczały na aksamitnym staniku koloru „solferino", rozsiewając kaskady złota i drogich kamieni! Było to brzydkiem, ale olśniewającem.

W prawej ręce trzymała piękną cyzelowaną o szkłach podwójnych lornetkę, przeglądając za jej pomocą kolejno loże i galerję, ze szczególną zaś uwagą przypatrywała się zebranym tu młodym kobietom. Znała ona przytem i wielu mężczyzn obecnych w teatrze, żaden z nich jednak, przechodząc obok jej loży, nie powitał jej ukłonem.

Towarzysz pani Angot umieścił się w cieniu w głębi loży, pozostawiając jej miejsce na przedzie, w pełnem świetle. Osobistość ta, dziwne sprawiała wrażenie. Wszystko w niej było niezdecydowanem, niepewnem, trudno było nawet oznaczyć wiek jego. Mógł mieć lat pięćdziesiąt, a może czterdzieści. Jego włosy rudawe, rozdzielone nad czołem na dwie równe części, spadały płasko ku uszom. Na obliczu gładkiem, wybladłem, trudno było doszukać jakiegobądźkolwiek wyrazu, czego

powodem były być może niebieskie okulary, przysłaniające mu oczy. Ubiór jego odznaczał się jakąś gminną pospolitością. Na garniturze stalowej barwy, miał zarzucone palto żółtawe, czarne rękawiczki i niski miękki kapelusz. Nie patrzył na nikogo, nie lornetował i nie przemawiał pierwszy do pani Angot, a gdy ona zwróciła się ku niemu, krótko jej odpowiadał, nie zmieniając postawy.

Pozostaje nam jeszcze pomówić, o jednym z widzów, zajmującym krzesło w orkiestrze, w tymże samym rzędzie, co pan de Croix-Dieu, lecz przedzielonym kilkoma osobami. Ów widz, ubrany na pół po wojskowemu, w huzarskich ciemo-błękitnych pantalonach i czarnym krótkim tużurku, lornetował kobiety przez małe o pojedynczem szkle okulary, pomuskując bezustannie palcami wypomadowane swe wąsy.

Był to ów pseudo-kapitan Grisolles, właściciel sali fechtunku, przyjaciel panny Leokadji, jednej z owych dziewcząt, posługujących w kawiarni Borgiów, istoty z dobrym sercem przychodzącej mu z pomocą swemi oszczędnościami, gdy się znajdował w kłopotach pieniężnych.

XXXVIII.

Afisz zapowiadał rozpoczęcie sztuki punktualnie na ósmą godzinę.

Jednocześnie reżyser za kulisami klasnął w dłonie trzykrotnie. Odegrano uwerturę i kurtyna podniosła się dla

odsłonięcia pierwszego aktu „Aepazji.“

Nie będziemy rozbierali sztuki, w jakiej obok widocznego niedoświadczenia i braku środków scenicznych, przebłyskiwał rzeczywisty talent i dowcip rozsiany obficie. Autor ufał w powodzenie, przesuwając przed oczyma publiki całą galerję typów tych grzesznic szkicowanych z natury, począwszy od wysłużonej kurtyzany, pokrytej djamentami, jakie są odznaczeniem występku, aż do zwykłej kokoty, ośmnastoletniej, debiutantki w owym zawodzie, oczekującej na pierwszy powóz i brylanty.

Ażeby nadać wypukłość swojemu dziełu, specjalne niejako piętno tym różnorodnym rolom, romansopisarz-dramaturg, żądał powierzenia ich rozmaitym kobietom, należącym więcej do świata galanterji, niż do teatru, lecz takim, które przeszły przez scenę zanim oddały się kultowi „Venus-Meretrix.“

Afisz zawierał więc liczbę dobrze znanych nazwisk, między jakiemi niektóre miałyby prawo pochlubić się rozgłosem w tym względzie.

Owóż pomiędzy temi nazwiskami, znajdowało się jedno, którego publiczność obeznana tak dobrze ze sprawami zakulisowemi, nie znała wcale, mimo, iż ono było umieszczonem „na widok“ pomiędzy głównemi artystami.

Afisz powiadamiał: „Panna Dinah Bluet na swój debiut odegra rolę Violetty.“

Niektórzy z dziennikarzy i autorów zapytywali siebie nawzajem:

— Dinah Bluet? co to jest, kto ona? Nikt nic nie

wiedział.

Jeden ze starych aktorów znalazł wszelako odpowiedź.

— Dinah Bluet, rzekł, jest to młoda dziewczyna przybyła z Belleville. Mówią, że posiada talent znakomity.

Rola w dramacie powierzona debiutantce była rzeczą pobudzającą ciekawość.

Violetta uosabiała uczciwość w sztuce, osnutej na tle złych obyczajów. Różne osobistości, działające w dramacie daremnie przez pięć aktów trud sobie zadawały, ażeby zachwiać cnotą ubogiego dziewczęcia. Hafciarka z powołania, była czemś w rodzaju Rigoletty, lub Mimi-Pinson. Miłość czysta, wrodzona uczciwość, broniły zwycięzko Violettę od uwiedzeń i zastawionych sideł.

Od pierwszej sceny, bohaterka dramatu; najbardziej wysłużona ze wszystkich światowych Aspazji traktowała Violettę szyderczo, kąsająco, w sposób nader zręczny. Postać dziewczęcia utworzona mistrzowską ręką autora, piękną była pod każdym względem.

Gdy w środku aktu Dinah Bluet weszła na scenę, objęta przestrachem, bliska omdlenia, na widok tak licznej publiki, ale ukrywająca bohatersko swą trwogę, dał się słyszeć w sali szept cichy, jak powiew wiatru, co było pomyślną wróżbą dla debiutantki.

Wszyscy widzowie, albo przynajmniej większa część zebranych, uczuwała się być nagle owładnioną jej wdziękiem naturalnym, o tyle Dinah Bluet zdawała się być żywem wcieleniem postaci, jaką przedstawiała.

Przyszła ta gwiazda sceniczna miała zaledwie lat siedmnaście. Była średniego wzrostu, drobna, szczupła, a

pełna powabu w każdem poruszeniu. Jedwabiste, ciemno blond włosy, gęste i długie otaczały twarz delikatną, inteligentną, odznaczającą się regularnością rysów, a więcej jeszcze wyrazem niezrównanej szczerości i prostoty. Duże oczy dziewczęcia o ciemno błękitnych źrenicach, powiekach okolonych długiemi rzęsami, wyrażały czystość i niewinność. Jasne czoło aktorki jaśniało dziewiczością, jak u Herminji de Grandlieu.

W jaki sposób wytłómaczyć tę podwójną aureolę promieniejącą po nad temi dwiema kobietami, z których jedna była zamężną, a druga należała do teatru, owego miejsca zguby?

Przyszłość nas o tem powiadomi.

Dinah Bluet, a raczej Violetta w swej roli ubogiej, uczciwej szwaczki przybraną była w skromną perkalikową sukienkę. Nic zwracającego uwagę niebyło w jej toalecie, a jednak mimo to wydawała się być bardziej elegancką, a nadewszystko więcej dystyngowaną, od aktorek w świetnych kostjumach, między któremi się ukazała.

Gdy wymówiła pierwsze wyrazy swej roli, zachwyt owładnął słuchaczów. Nigdy głos czystszy, bardziej krystaliczny, głębiej muzykalny nie rozbrzmiewał w owym teatrze melodramatu i pogwałconej deklamacji.

Szmer bardziej głośny, pochlebny, o jakim mówiliśmy powyżej, powtórzył się, lecz nieco już jawniej coś jak gdyby w rodzaju powstrzymywanych oklasków, nie klaskano jednak, lecz razem niezwykłą miano chęć ku temu.

Van Arlow, ów były właściciel okrętu z Anvers, siedział,

pogrążony w swej sennej nieruchomości, nakształt bożka Japońskiego, w chwili, gdy Dinah Bluet weszła na scenę. Posłyszawszy jej głos, drgnął nagle; jak gdyby iskra elektryczna wstrząsnęła jego otyłą postacią. Obwisłe jego powieki uniosły się zwolna, wyprostowały się wargi, podniósł głowę, a ująwszy w dłoń olbrzymią lornetkę, skierował jej szkła na debiutantkę. W miarę jak rozpatrywał się w szczegółach tej młodej powabnej postaci, jego twarz, zielonawo-zżółkniała stawała się rumianą, purpurową, a następnie fioletową prawie. Napływ krwi do głowy był widocznym, grożąc niebezpieczeństwem.

Panna Desjardins, tak nazywała się jego towarzyszka, była śpiewaczka, która odtąd poświęciła życie dla schwytania milionów Flamandczyka, zatrwożyła się nie mało. Utkwiwszy w starca nieruchome a gorejące spojrzenie, jakiem pogromcy poskramiają lwy i tygrysy, pochyliła się ku niemu, zapytując cicho:

— Co ci jest, mój przyjacielu? Co to znaczy? Co rozpatrujesz z tak natężoną uwagą, że aż żyły nabiegły ci krwią na skroniach? Spodziewam się, że nie ta debiutantka jest celem twych obserwacji, która nie umie ani się ruszać na scenie, ani się zatrzymać we właściwem miejscu, ani słuchać, ni mówić. Jeśli to ona tak zwraca twoją uwagę, winszuję! Jest to jakiś kopciuszek teatralny. Ach! mężczyźni! Do końca świata będziecie więc libertynami? Miejże wzgląd na mnie przynajmniej i nie czyń skandalu. Gdy zechcesz wystawiać się na widowisko, chodź sam do teatru. Jeśli nie przestaniesz przypatrywać się jej, natychmiast wyjdziemy! Rozumiesz!

Van Arlow był posłusznym. Odjął od oczu lornetkę. Ów skąpy milioner lękał się jak ognia panny Desjardins, która trzymała go silnie i mądrze trzymać umiała. Nie mógł obejść się bez niej, a jeśli miała jakie przelotne rywalki, pozostawały one przed nią w najściślejszem ukryciu.

W loży naprzeciw, zajętej przez pana de Grandlieu z małżonką, mówiono o debiutantce.

— Czyś zauważył to młode dziewczę? pytała Herminia, zwracając się do męża. Jak ją znajdujesz?

— Bardzo dobrze, odrzekł wicehrabia.

— Nieprawdaż? mówiła dalej pani de Grandlieu. Posiada ona niezwykłą dystynkcję, ładna, sympatyczna, pełna wdzięku, słowem bardzo mi się to dziewczę podoba. Inne miałam wyobrażenie o aktorkach z bulwarowych teatrów. Powiedz mi jaką ma ona reputację?

Pan de Grandlieu roześmiał się.

— Dlaczego śmiejesz się, zamiast odpowiedzieć? pytała Herminia.

— Ponieważ zmuszony jestem wyznać ci z zarumienieniem, drogie dziecię, mą absolutną nieświadomość co do teatralnego w ogóle personelu. Byłem tu wszystkiego trzy lub cztery razy w mem życiu, a nigdy nie słyszałem o pannie Dinie Bluet. Jest to, jak widzę, bardzo powabna artystka. Uczciwa jej fizjognomia przemawia na jej korzyść. O ile sądzę posiada ona rzeczywisty talent, lecz jest jeszcze młodą, być może kiedyś sławną zostanie.

— Masz słuszność, odrzekla Herminia, pozyska sławę, bo na nią zasługuje. Zobaczymy ją kiedyś występującą w

teatrze Komedji francuskiej.

— Ach! wyszepnął pan de Grandlieu, lepiej dla niej byłoby może, gdyby nieznana żyła gdzie w ukryciu, będąc szczęśliwą małżonką wybranego sercem człowieka, zdala od tych upojeń i zwodniczych oklasków.

W tym samym szeregu lóż, pani Blanka Gavard, lornetując młodą debiutantkę mówiła sobie:

— Jaka ona ładna w tej perkalowej sukience. Rzecz dziwna w jaki sposób te młode dziewczęta potrafią nadać sobie tyle wdzięku, ubrawszy się w materjał wartości zaledwie dziesięciu franków?

W odkrytej loży, sąsiadującej z krzesłami w orkiestrze, pani Angot po długiem przypatrywaniu się debiutantce, zwróciła się ku swemu towarzyszowi, szepcząc te słowa:

— Ładna ta mała, nieprawdaż? Wygląda z pozoru na uczciwą dziewczynę, lecz czyliż można ufać fizjognomii? Wyjdź proszę podczas antraktu do odźwiernego, teatru i gdyby było trzeba, daj mu dziesięć franków dla rozwiązania języka. Idź, proszę cię o to. Zwrócę, ci te pieniądze, a przynieś mi o niej wiadomości.

Milczący towarzysz odpowiedział gestem potwierdzającym, a wsparty o krzesło w głębi loży, siedział w zadumie, jak gdyby nie wiedząc o teatrze i o świecie całym.

W orkiestrze, Jerzy Tréjan, uwielbiał jako artysta skończoną piękność Diny Bluet, mówiąc sobie, że można by ją odmalować jako postać niewinności.

I Fanny Lambert ulegała pomimowolnie ogólnemu zachwytowi, wszak miejscem z całego teatru gdzie debiutantka sprawiała najżywsze wrażenie była loża, w której się znajdowała Regina Grandchamps, z Oktawiuszem Gavard.

XXXIX.

Ktokolwiekbądź zna obyczaje tych śmiesznych, młodych cherlaków, nazwanych złotą młodzieżą, wie dobrze, że dla tych panów najwyższym wyrazem szyku, jest blagowanie. Według ich fantastycznego kodeksu, brać cośkolwiek bądź na serjo, jest to „nie iść za prądem.“ Podziwiać coś „to gra przestarzała.“

Wierny owym tradycjom Oktawiusza Gavard wraz z dwoma swymi przyjaciółmi i Reginą Grandchamps, po obfitym wspólnym obiedzie, blagowali w najlepsze od chwili podniesienia zasłony, uważając aby roztropnie i cicho prowadzić swoje żarciki nie narażając się publice, która w szał wpada, gdy jej ktoś przeszkadza w rozrywce, żądając głośno natenczas wyrzucenia hałaśliwych.

Wszystko służyło na materjał do szyderstw tak dla Reginy, jako i trzech jej towarzyszów. Sztuka, dekoracje aktorzy, aktorki, ich toalety, przechodziły przez ogień ich bezlitośnych drwinek.

Po kilkakrotne „Tst“, silnie zaakcentowane, dało się słyszeć od strony parteru.

Dinah Bluet ukazała się na scenie.

Oktawiusz otworzył usta, by na jej wejście wygłosić

jakiś idjotyczny kalambur, spojrzawszy jednak na owo dziewczę spoważniał nagle i patrzył z uwagą.

Regina Grandchamps, przytłumiając wachlarzem swój głos ochrypły, jaki bywa u wszystkich prawie kobiet spędzających noce bezsenne, zaczęła wygłaszać jakieś dwuznaczne zdanie, którego Oktawiusz dokończyć jej nie dał.

— Ach! tst! przerwał nagle, Nieprzeszkadzaj!

— Dlaczego?

— Ponieważ sztuka mnie zajmuje, chcę ją posłyszeć!

— Posłyszeć, taką banialukę?

— Dla ciebie banialuka, mnie ona zajmuje, pomimo że nie jest zabawną. Pozostaw mnie więc proszę w spokoju.

Regina Grandchamps, której anemiczny towarzysz raz pierwszy tak śmiało stawił czoło, zwróciła się doń plecami, gryząc ze złości swą batystową chusteczkę.

Oktawiusz nie obawiał się jej gniewu. Zwrócił całą uwagę na scenę i młodą debiutantkę. Dwaj jego towarzysze, przejęci poszanowaniem dla sześciomilionowego spadkobiercy, poszli za jego przykładem i, nie przemówiwszy słowa, bacznie słuchali.

— Pierwszy akt dramatu przeszedł dobrze. Dinah Bluet, zapanowawszy nad sobą i pokonawszy obawę, rozwinęła w grze całą potęgą swego talentu. Powodzenie jej było zapewnionem.

Piękna jedna scena pozwoliła dziewczęciu przekonań publiczność, iż do posiadanych wdzięków łączy energię i siłę dramatyczną. Wybuchnęły oklaski.

— Brawo! krzyczał Oktawiusz ze wszystkich sił, Brawo!

brawo! brawo!

I zaczął bić rękoma z taką energią, że aż mu poodpadały guziczki od rękawiczek.

Regina patrzyła na niego z osłupieniem.

Oktawiusz, on, którego nic w życiu zachwycić nie było w stanie, Oktawiusz, ów przesycony życiem, zblazowany, bił oklaski? Świat się chyba przewraca!

Iskry gniewu posypały się z oczu Reginy.

Chwyciwszy za rękę młodzieńca przysunęła go siłą ku sobie, szepcząc przerywanym głosem:

— Ha! podobała się więc tobie ta sroka? Zajmuje cię. Uważasz że ładna?

— Ładna, nie przeczę, odrzekł, mnóstwo jest ładnych kobiet, wszak ona jest pociągającą, na honor! Jakież to świetne kontury!

Regina wzruszyła ramionami.

— Zaledwie przystojna. Piękność djabelska, wyrzekła z pogardą.

— Ma się rozumieć. Młodość i świeżość, w porównaniu z tobą.

Młoda kobieta z gniewem uderzyła nogą o ziemię.

— Zakochałeś się więc w tej lichej teatralnej włóczędze?

— Być może.

— Czemuż nie idziesz do niej ze swem miłosnem wyznaniem?

— Owszem, pójdę za chwilę.

— Dla czego nie zaraz?

— Masz słuszność, idę!...

Tu podniósł się z krzesła.

Regina trzymając go wciąż za rękę, nagliła by usiadł.

— Zabraniam ci, syknęła.

— Ba! zobaczymy.

— Jeżeli wyjdziesz, ja wyjdę z tobą. Jeżeli pójść do niej się ważysz, zrobię skandal! Zaprowadzą nas oboje do aresztu. Samotnie nie pójdziesz przynajmniej.

— Co! Tybyś się odważyła?

— Spróbuj.

Regina rzuciła okiem na swego anemicznego kochanka. Był zmienionym do niepoznania. Dzikość postanowienia zastąpiła łagodny zwykle wyraz jego twarzy, policzki mu gniewem pałały.

Zlękła się na serjo. Gotów dokonać co mówi, pomyślała.

Wszystko to, o czem mówimy, odbyło się cicho. Publiczność nie zwróciła uwagi na ową burzę huczącą w loży.

Zasłona zapadła pośród szalonego brawa, po którem nastąpiło ogólne wywoływanie, zwrócone jednak wyłącznie do Diny Bluet.

— Otóż wychodzę, rzekł Oktawiusz, biorąc kapelusz. Możesz teraz uczynić, co ci się podoba skoro spuszczono zasłonę, nic mnie to nie obchodzi.

— Idź! wyszepnęła. nie zatrzymuję cię wcale! Idź, zabłyśnij u stóp owej włóczęgi magiczną perspektywą sześciu milionów po zmarłym „swym papie.“

Oktawiusz wyszedł, nie odpowiadając i zatrzasnął gwałtownie drzwi za sobą.

Regina zwróciła się ku dwom pozostałym towarzyszom, którzy byli świadkami tej tyle żywej sprzeczki.

— Ha! zawołała, nad czem do czarta rozmyślacie oba? Zamiast siedzieć w miejscu nieruchomie, jak dwaj idjoci, trzymając laski w zębach, dopomóżcie mi w czemkolwiek.

Dwaj tak nazwani idjoci oznajmili gestem, iż są gotowi do wszystkiego.

— Znacie pana de Croix-Dieu? mówiła dalej, on jest tu, wiem o tem. Zajmuje krzesło w orkiestrze, lub może jest w której loży. Potrzebuję natychmiast się z nim widzieć. Idźcie go poszukać, przyprowadźcie tu, czekam. Spieszcie co prędzej!

Obaj młodzieńcy wybiegli, a w kilka minut później ukazali się z baronem.

— Co się stało? pytał Croix-Dieu. Widzę żeś zmięszana.

— Baronie! zawołała czy pamiętasz naszą ostatnią rozmowę i swoje groźby?

— Doskonale, odparł z uśmiechem, ale do czego to prowadzi?

— Do tego, że nie ja Oktawiusza, ale on chce mnie porzucić!

— Co mi znów opowiadasz! Widziałem się z nim dziś i nic nie wspominał mi o tem! Ani myśli kruszyć tak miłych dla siebie więzów!

— Nie myślał wtedy, lecz myśli teraz.

— Jakto, dla czego?

— Ponieważ zawrócił sobie głowę tą dziewczyną z wołowemi oczyma, Diną Bluet, dzisiejszą debiutantką.

— Czy być może, tak nagle, za pierwszem widzeniem? pytał, śmiejąc się baron.

— Nie śmiej się, bo to na serjo, mówiła. Zakochał się w

niej szalenie. Chwycił mój bukiet i rzucił jej pod nogi, a gdym gromiła że ją wygwizdam, chciał mnie udusić. I w chwili, gdy ci to opowiadam, on jej wyznaje swą miłość.

— Jakto, w teatrze?

—Tak jest pospieszyłam cię o tem powiadomić, ażeby nie być odpowiedzialną.

— I dobrześ uczyniła. Nie obawiaj się. Dziękuję za przestrogę. Pójdę zobaczyć co się dzieje i przyprowadzę ci skruszonego więźnia!

Tu Croix-Dieu, wyszedłszy z loży, zwrócił się w stronę bulwaru, którędy wchodzili artyści. Przy wejściu spostrzegł Oktawiusza, idącego z opuszczoną głową, zawstydzonego, jak lis, schwytany na gorącym uczynku.

XL.

Tłum publiczności zalegał bulwary, które w między-aktach stanowiły dla widzów rodzaj przyjemnej przechadzki.

Pan de Croix-Dieu, idąc naprzeciw Oktawiusza, rozdawał na prawo i lewo uściśnienia ręki, a zmuszony chwilowo zatrzymywać się dla udzielenia odpowiedzi znajomym, potknął się z lekka o osobistość w niebieskich okularach, jaką widzieliśmy w loży pani Angot.

— Przepraszam, rzekł, nie zwracając na niego uwagi.

Światło gazu padło na twarz barona.

Dziwna ta osobistość, opisana przez nas powyżej, spojrzała z razu przelotnie na pana de Croix-Dieu, następnie

z głębszą uwagą i, z gestem osłupienia, wcisnąwszy na oczy kapelusz, oddaliła się z takim pośpiechem, że omal nie wywróciła Andrzeja San-Rémo, dążącego w przeciwną stronę.

— Niezgrabiasz! zawołał młody markiz.

— Przepraszam, szepnął nieznajomy. Uczyniłem to pomimowolnie.

Na dźwięk tego głosu, drgnął Andrzej San-Rémo, a spojrzawszy na owego mężczyznę, stanął zdumiony.

— Panie, rzekł z lekkim zmieszaniem, tylko dwa słowa.

— Wybacz pan, odrzekł nieznajomy, spieszę się bardzo.

— A jednak ja muszę z panem pomówić.

— To niepodobna. Czekają na mnie.

— Zdaje mi się, że pana poznaję.

— Mylisz się pan, jestem zupełnie obcym. Dobranoc!

Tu ów mężczyzna w niebieskich okularach wślizgnął się jak węgorz w głąb tłumu.

Andrzej chciał biegnąć za nim, przeszkodził mu w tem Croix-Dieu, przytrzymawszy go za rękę.

— Zkąd to zmieszanie? zapytał.

— Baronie, ja się nie mylę, odrzekł San-Rémo, to on! jestem pewny.

— On, lecz kto taki?

— Ów człowiek, który mnie zabrał ze wsi i przywiózł do Paryża. On zna na pewno moją rodzinę.

— Widziałeś tego człowieka?

— Tylko co. W niebieskich okularach, niskim kapelusz, żółtawym paltocie. Wbiegł w tłum, niemoże być daleko.

— Pójdźmy szukać go razem.

Andrzej z baronem w pogoń się udali. Zniknął ów nieznajomy, a mimo to był w pobliżu. Wszedłszy do pobliskiej kawiarni zdjął palto, aby nie zostać poznanym i śledził przez szyby obu mężczyzn, którzy nie odnalazłszy go weszli na salę w towarzystwie Oktawiusza Gavard.

Zmieszanie tego ostatniego i jego mina żałosna, miały najprostsze w świecie powody.

Podniecany groźbami Reginy, wbiegł na schody artystów, w przekonaniu, że sztuka monety dwudziesto-frankowej, dana odźwiernemu, otworzy mu wejście za kulisy i pozwoli złożyć miłosne wyznanie Dinie Bluet, cerberzy jednak teatralni bywają czasem niewzruszonymi. Oktawiusz właśnie trafił na jednego z takich, a gdy zbyt natarczywie nalegać zaczął, ów odźwierny, stary żołnierz, pominąwszy wszelką etykietę, powitał go jak należało.

Oktawiusz, wykręciwszy się na pięcie, odszedł co prędzej.

Mężczyzna w niebieskich okularach, Czekał na podniesienie się zasłony w teatrze, a skoro rozpoczął się drugi akt sztuki, zajął miejsce w loży pani Angot.

— I cóż, zapytała go, pozyskałeś jakie objaśnienia?

— Otrzymałem i nic nie kosztują. Mówiono o tej debiutantce w kawiarni

— Cóż mówiono?

— Że to mądry ptaszek.

— Na serjo to mówiono?

— Na serjo.

— Nie ma żadnego kochanka?

— Ani jednego.

— Żadnego nawet kuzynka?

— Żadnego. Ale w to miejsce ma coś innego.

— No, cóż takiego?

— Starą swą ciotkę.

— Mieszka z nią razem?

—Tak.

— Jakaż to kobieta ta ciotka?

— Mówią, że nader przyzwoita osoba. Zresztą chciej pani sama z nią się zapoznać, jeżeli tego potrzebujesz..

— Masz adres jej mieszkania?

— Nie mam. A może pani chcesz pójść zaraz do owej debiutantki?

— Nie, dziś mi pójść do niej nie wypada. Jest mnóstwo osób znajomych w sali, z któremi spotkać bym się niechciała. Po widowisku zobaczę według okoliczności.

Tu przerwała rozmowę towarzysza, który, podniósłszy na czoło okulary, zrobił tutkę z ręki, przykładając ją do oczu, by tym sposobem twarz zakryć sobie, rozpatrywał się po lożach, galerji i orkiestrze.

Spostrzegłszy pana de Croix-Dieu, a obok niego siedzącego Andrzeja San-Rémo, drgnął powtórnie.

— Zmienili się oba, ale ich poznaję. Uśmiechnął się i dodał: Jeden obok drugiego, to dziwna! Gdzie oni u czarta poznajomili się z sobą?

*

* *

Jak mówiliśmy powyżej pierwszy akt przedstawienia, poszedł bardzo dobrze; nie udały się jednak dalsze.

Autor, zręczny romansopisarz, ale niedoświadczony dramaturg, nie rozważył, że publiczność chociażby była złożoną z ludzi chwiejnej moralności, łatwo nabiera niesmaku do treści realistycznej, słyszanej na scenie, która jej się w książce podoba.

Powodzenie Diny Bluet zachwiało się tak, jak i reszty artystów.

Gdyby był się udał ów dramat, debiutantka mogłaby była stanąć odrazu między pierwszorzędnemi gwiazdami. Z upadkiem jego trzeba jej było rozpoczynać debiut na nowo.

Croix-Dieu przez cały ciąg czwartego aktu przebywając w loży Blanki Gavard zmuszonym był słuchać wybuchów gniewu tej pięknej wdowy, która, wskazując wachlarzem miejsce, zajmowane przez Reginę Grandchamps, wołała głośno umyślnie, aby być słyszaną przez sąsiadów.

— Patrzaj, baronie, na ową wstrętną istotę. Widzisz jak tryumfująca, zuchwała rozkłada się śmiało, wystawiając na pokaz swoje wymalowane oblicze i zbytkowną swą toaletę, kupioną za moje pieniądze!

Pani Gavard myliła się. Oktawiusz nie wrócił do loży Reginy, a nie znalazłszy wolnego przejścia, stanął przy wejściu do orkiestry, wśród innych widzów, ściśniętych jak śledzie w beczce, jeden obok drugiego.

Van Arlow, korzystając z chwili roztargnienia panny Desjardins, która końcami palców przesyłała ukłony dawnym przyjaciołom, szepnął coś na ucho swojemu lokajowi, który skłoniwszy się głęboko, stanął

wyprostowany, z uśmiechem na ustach.

Podczas ostatniego aktu, zamienili z sobą porozumiewające się spojrzenia Croix-Dieu z kapitanem Grisolles.

Zapadła zasłona i rozpoczęła się utrudniona czynność wychodzenia, pośród natłoku i nieładu, nieuniknionego we wszystkich teatrach Paryża z przyczyny przejść zbyt ciasnych.

Baron nie poruszył się z miejsca dopóki nie upewnił się iż pan de Grandieu wraz z żoną siedzą w swej loży, oczekując na przerzedzenie się tłumu, poczem wyszedł z orkiestry w towarzystwie Andrzeja San-Rémo, kierując w ten sposób, ażeby się znaleść w korytarzu tuż po za kapitanem Grisolles, który udawał, iż niezna go wcale, prowadząc pod rękę jakiegoś wyłysiałego mężczyznę, w tymże jak sam rodzaju! Grisolles wraz ze swym towarzyszem szli za wciąż płynącym tłumem i wraz z idącymi po za sobą baronem i Andrzejem, doszli do korytarza, wiodącego do lóż sąsiednich.

W owej to chwili, Herminia otulona w futro, ukazała się po nad schodami, z prowadzącym ją pod rękę panem de Grandlieu.

Filip de Croix-Dieu, trącił jak gdyby wypadkiem, w ramię kapitana Grisolles.

— Tak, rzekł tenże pomieszanym głosem, jak gdyby kończąc zresztą przed tem rozmowę, tak mój kochany, żołnierze poznali się na naszej wartości, ale arystokraci siedzieli bezczynnie, sprzedając Francję Prusakom. Prowadzili z wrogami układy, podczas gdy myśmy krew

przelewali! Spojrzyj na owe krzyże, jakiemi przyozdabiają, swe piersi. Oni nam je ukradli! Oto jeden z nich, patrz, patrz! I ten nosi czerwoną wstążeczkę w butonierce. Ha! ja go znam. Jest to wicehrabia de Grandlieu, pozujący na bohatera, jeden z tych podłych wielu!

Pan de Grandlieu zatrzymał się blady z osłupienia i gniewu, słysząc podobne obelgi, kalające jego nazwisko, jakie na twarz mu padły w rodzaju najhaniebniejszego policzka. Szarpnął się, chcąc wyswobodzić ręce do których przytuliła się drżąca z przerażenia Herminia i skoczyć na oszczercę. Zanim jednak zdołał tego dokonać, Andrzej San-Rémo, pochwycił za barki kapitana Grisolles, a wykręciwszy nim w powietrzu jak piłką, wyciął mu dwa potężne policzki.

Koniec tomu drugiego.

I.

Przez kilka sekund w korytarzu, zapełnionym wychodzącą z teatru publicznością, powstał zamęt nieopisany.

Grissolles, przyprowadzony do wściekłości otrzymanem spoliczkowaniem, zapomniawszy, iż wziął za to pieniężne wynagrodzenie, chciał rzucić się na Andrzeja San-Rémo i rozpocząć walkę na pięście. Croix-Dieu i Jerzy Tréjan

zaledwie powstrzymać zdołali zapienionego garybaldyjczyka.

— Ha! krzyknął przerywanym głosem, zapłacisz mi to krwią swoją, nędzniku!

— Owszem, rzekł Andrzej spokojnie, mimo, że widzę, iż mam do czynienia z ostatnim z nikczemników, zrobię ci ten zaszczyt i będę się bił z tobą. Oto mój bilet wizytowy.

— Nawzajem i mój. Jutro cię zabiję!

— Jak ci się podoba, możesz nie szczędzić mnie w pojedynku.

Pan de Grandlieu, zbliżywszy się do Andrzeja, uścisnął mu rękę i wyrzekł:

— Mocno żałuję panie markizie, żeś pan, uniósłszy się gniewem, uderzył tego człowieka. Byłbym sam pomścił wyrządzoną mi przezeń zniewagę. Uległeś szlachetnemu rycerskiemu oburzeniu. Dzięki ci, żeś stanął w mojej obronie, spotkanie jest teraz nieuchronnem! Chcesz że mnie przyjąć za jednego z twych świadków?

— Ah panie wicehrabio, wyjąknął San-Rémo, przyjmuję z głęboką wdzięcznością ów zaszczyt, jakim obdarzać mnie raczysz.

— A ja cię proszę byś pozwolił mi być drugim sekundantem, ozwał się Tréjan, popchnięty naprzód nieznacznie przez barona Croix-Dieu.

— Dobrze, odparł San-Rémo. Lecz jakże się nazywa ów pan?

I rzuciwszy okiem na doręczoną sobie wizytową kartę, czytał głośno: „Kapitan Grisolles, były oficer, ordynans wschodnich oddziałów Garibaldego“. Bardzo dobrze...

— Patrz! rzekł po chwili zwracając się do Tréjana, jak stojąc tam zdala, spogląda na nas z twarzą rozwścieczonego buldoga. Pomów z nim zaraz, proszę, mój Jerzy, i oznacz godzinę w której przyślesz mu świadków i ułóż się o miejsce spotkania. Pragnąłbym bardzo załatwić się jutro z tą sprawą.

Tréjan poszedł do wyzywającego i ułożono, że sekundanci Grisolla przybędą o ósmej z rana do pracowni Jerzego na ulicę Laval i że natychmiast po ich widzeniu się nastąpi pojedynek.

Wicehrabia oczekiwał na bulwarze przy swoim powozie, w którym umieścił Herminję. Jerzy opowiedział mu ułożone szczegóły i pan de Grandlieu obiecał przybyć do swego kuzyna przed ósmą godziną.

— Otóż, mój kochany, mówił baron do Andrzeja.

San-Rémo, podczas gdy Tréjan rozmawiał z Grisollem i panem de Grandlieu, szalone masz szczęście, do pozazdroszczenia!

— W czem takiem? pytał San-Rémo.

— Mówiłem ci, jak sobie przypominasz, przed kilkoma dniami, że niezadługo wejdziesz jako poufny przyjaciel do pałacu męża Herminji.

— A więc?

— A więc, byłem prorokiem! Błogosław twoją szczęśliwą gwiazdę. Najzdolniejszy z dramaturgów nie zdołałby do takiej doskonałości doprowadzić i w tak pomyślny sposób zarówno rozwiązać węzła wypadków. Sam osądź!... Jakiś błazen znieważa wicehrabiego, który nie zna go wcale. Ty się tam znajdujesz... Stajesz w obronie

starego szlachcica!... Wyzywasz jego przeciwnika! Idziesz się bić za niego! Zostawszy zwycięzcą, staniesz się najlepszym jego przyjacielem! Gdy otrzymasz ranę, kochać cię będzie jak syna. Cóż sądzisz o tem wszystkiem? Odpowiedz!

— Mówię, odparł San-Rémo z uśmiechem, że miałbyś słuszność baronie, gdyby nie istniała trzecia szansa, o jakiej zapomniałeś.

— Jaka?

— Ta, że mogę nie być ani zwycięzcą, ani ranionym, lecz poledz na miejscu, przeszyty kulą lub pchnięciem szpady.

Croix-Dieu wzruszył ramionami.

— To niepodobna! odpowiedział. Zbadałem uzdolnienie twojego przeciwnika. Przypuśćmy, że posiada zręczność pierwszorzędną w fechtunku, albo strzelaniu, o czem zresztą nie wiemy, junacy tego rodzaju znalazłszy się na stałym gruncie, wobec prawdziwej szpady, lub rury rewolwerowej, tracą pewność ręki i bystrość rzutu oka. Prócz tego jestem fatalistą. Wszystko łączy się i przygotowywa według mnie, by rzucić w twoje objęcia uwielbianą przez ciebie Herminję. Zapisano w przeznaczeniu, że tryumf otrzymasz zupełny i że nic w świecie. słyszysz mnie, nic, nie będzie w stanie powstrzymać, ani opóźnić szybkiego ziszczenia się twych pragnień.

— Mówisz to, w tak głębokiem przekonaniu, baronie, iż mimowolnie chciałoby ci się uwierzyć, rzekł Andrzej.

— Lepiej mi jeszcze uwierzysz po dokonanem

spotkaniu.

— Dla czego nie starałeś się być jednym z mych sekundantów, baronie? pytał San-Rémo.

— Ponieważ skoro pan de Grandlieu ofiarował ci swoje usługi w tym celu, osądziłem, iż przyjemniej mu będzie dzielić je ze swym kuzynem Jerzym Tréjanem, niż ze mną nieznanym. Bądź pewnym, że i w tym razie również się nie mylę.

— Jakąż bogatą posiadasz inteligencję, panie de Croix-Dieu. Wszystko przewidujesz, myślisz o wszystkiem, mówił San-Rémo. wpatrując się weń ze zdumieniem.

— To moja siła, moja potęga, odparł z uśmiechem baron.

Tréjan, zbliżywszy się, przerwał rozmowę.

— I cóż? zapytał Croix-Dieu.

— Świadkowie zbiorą się u mnie jutro, o ósmej z rana, odrzekł artysta.

— Będziesz mi towarzyszył? pytał barona San-Rémo.

— Niepodobna! Mam oznaczoną schadzkę na tę godzinę, lecz zobaczymy się po pojedynku. Śpij dobrze, drogi mój chłopcze i bądź zupełnie spokojnym. Ja odpowiadam za wszystko.

Po wzajemnych uściśnieniach ręki, Andrzej odprowadził Tréjana na ulicę de Laval, podczas gdy Croix-Dieu, wsiadłszy do powozu, udał się na bulwar św. Michała, a przybywszy do domu pod numer 127, zapukał czterokrotnie do mieszkania kapitana.

Grisolles, zajęty okładaniem zimną wodą swoich nabrzękłych policzków pospieszył mu otworzyć.

— Ach! to pan, zawołał, spostrzegłszy przybyłego. Tam,

do pioruna, właśnie chciałem z tobą się widzieć.

— Pospieszam złożyć ci moje powinszowanie, rzekł baron. Znakomicie odegrałeś swą rolę!

— Moją rolę! powtórzył Grisolles, z wściekłością uderzając nogą o ziemię. Ha, pan nazywasz to rolą? była to więc komedja? Uprzedzam cię, że ta komedja w krotce zamieni się w zupełny dramat. Przebiję ostrzem szpady na wylot tego małego markiza, jak się nadziewa na rożen kurczęta.

— Co, co? zawołał baron, udając zdziwienie, ponieważ spodziewał się w rzeczy samej wybuchu gniewu kapitana. Czyż wszystko to, co się odbyło przed godziną nie było naprzód ułożonem i przewidzianem?

— Nie było przewidzianem, że otrzymam policzek wartujący trzysta tysięcy franków, jaki ci odstąpiłem za dziesięć luidorów. W miejscu jednego, otrzymałem dwa uderzenia i to jakiego kalibru! Widzę jeszcze dotąd dwa miljony świec przed oczyma. Ten twój przyjaciel powinien się trudnić zabijaniem wołów w rzezalniach dla rozrywki! Spojrzyj na mnie. Pięknie będę jutro wyglądał, jeżeli te znaki na twarzy przejdą w kolor fioletowy! Do kroć tysięcy piorunów, nie płaci się pieniędzmi za rzecz podobną! To wymaga krwi i mieć ją będę! mieć muszę!

— Uspokój się!

— Nigdy! a raczej uspokoję się wtedy, gdy nieco krwi upuszczę temu wściekłemu bokserowi!

— Posłuchaj mnie...

— Idź do djabła!

— Mój przyjaciel uderzył cię może zbyt silnie i dwa

razy, w miejsce jednego, przyznaję.

— A! przyznajesz nareszcie? zawołał szyderczo Grisolles.

— Skutkiem czego, mówił dalej Croix-Dieu, gotów jestem zmienić nasze pierwotne układy.

— Do mnie to należy, przerwał Garybaldyjczyk, zostałem znieważonym, wybrałem szpadę, a sześć pchnięć ostrzem w brzuch tego młokosa, ułożą rzecz jak trzeba.

Baron wzruszył ramionami.

— Co zyskasz na tem? zapytał.

— Zadowolenie zemsty.

— Licha uczta, do czarta! Jesteś człowiekiem inteligentnym, lubisz się bawić, znasz wartość złota, masz kochanki.

— Nie daję kobietom pieniędzy! zawołał z gniewem Grisolles.

— Być może, ależ kobiety nie stanowią jeszcze całej rozkoszy życia. Butelka szampana, wiesz dobrze, warta więcej po nad parę kropel krwi. Ułóżmy się zatem. Otrzymałeś dziesięć luidorów, gotów ci jestem drugie tyle dopłacić, przyjmujesz więc?

— Nie!

— Cóż chcesz więc?

— Powiedziałem już. Chcę przedziurawić skórę tego markiza. Jest to moją stałą ideą.

— Dam ci piętnaście luidorów.

— Nie przystaję!

— Dwadzieścia.

— Idź do czarta!

— Dwadzieścia pięć nareszcie, a uprzedzam, iż jeśli trwać będziesz w swoim uporze, pojedynek nie nastąpi wcale.

— Doprawdy, zawołał szyderczo Grisolles. Ciekawym, w jaki sposób mógłbyś temu przeszkodzić?

— W sposób nader prosty. Powiadomię policję, i na placu spotkania znajdziesz kilku żandarmów. No! jakże ci się to podoba?

Wyraz „policja“ i „żandarmi“ wywarły magiczny wpływ na mniemanego eks-kapitana. Opuścił głowę i przez parę sekund stał pogrążony w dumaniu.

— Daj do djabła banknot na tę sumę, rzekł i nie kłopocz żandarmów.

Sprawa została załatwioną. Croix-Dieu otworzył pugilares, a po wypłaceniu, wyszedł z „sali fechtunku,“ gdy jednocześnie Leokadja, bufetowa panna z kawiarni „Borgiów,“ biegła do swego przyjaciela.

— Dobrze zrobiłem, żem przyszedł, myślał baron, schodząc z szóstego piętra. Ten łotr byłby go zabił?

— Dobrze, żem przyjął, powtarzał sobie Grisolles, zabiję go mimo to wszystko, a następnie wyznam, żem to pomimowolnie uczynił.

Pan de Grandlieu, wsiadłszy do powozu po ułożonych warunkach pojedynku, znalazł Herminię drżącą z trwogi i wzruszenia.

— Cóż teraz nastąpi? pytała młoda kobieta. Czyż pan de San-Rémo będzie się jutro pojedynkował z tym nikczemnikiem?

— Tak jest, żadnego nie widzę sposobu dla

przeszkodzenia temu.

— Ach! to okropne! Lecz pomyśl, gdyby ten młody człowiek zginął?

— Byłoby to strasznem nieszczęściem, w jakiem niepocieszyłbym się nigdy, gdyż dla mnie ryzykuje swe życie ów odważny, a nieroztropny młodzieniec.

Herminia zamilkła, nie odzywając się już do chwili, w której powóz zatrzymał się przed pałacowym peronem. Myślała o Andrzeju, na którego obojętnie patrzyła przed dwiema godzinami jeszcze, a który teraz przedstawiał się jej wyobraźni w olbrzymio bohaterskich rozmiarach.

Zaiste baron Filip de Croix-Dieu był zręcznym ponad wyraz człowiekiem!

II.

Na kilka minut przed ósmą, nazajutrz z rana, pan de Grandlieu przybył do Jerzego Tréjan.

O ósmej świadkowie kapitana Grisolles dzwonili już do drzwi i Walenty wprowadził ich do pracowni.

Jeden z nich był ową wyłysiałą wąsatą osobistością, z którą szedł Grisolles, prowadząc się pod rękę przy wyjściu z teatru, drugi jego towarzysz, szczupły, mały mężczyzna o kędzierzawych włosach, trzymał w ręku tyrolski kapelusz. Gęsta długa broda, na dwie połowy rozdzielona, spadała mu na kamizelkę. Pantalony miał, w buty wysokie włożone.

Ci obaj przybyli, mieli tak dziwne i podejrzane fizjonomie, że wicehrabia z Tréjanem zamienili pomiędzy

sobą zaniepokojone spojrzenie. Trwożyli się, widząc młodego markiza, oddającego swe życie w ręce porucznika,, jaki nie zdołał sobie dobrać innych ludzi, po nad „przyjaciół i braci“ tego rodzaju.

Wzajemne porozumienie się trwało kilka minut. Grisolles, jako zobelżony, miał prawo broń wybierać.

Świadkowie oznajmili, że wybrał szpadę.

Postanowiono, że spotkanie nastąpi za dwie godziny, to jest punktualnie o dziesiątej, w oznaczonem miejscu wśród lasku Winceńskiego, po czem przyjaciele owego kapitana, salutując po wojskowemu obecnych, odeszli.

— Jak ci się zdaje, kuzynie? Możebym poszedł Andrzeja o warunkach powiadomić, zapytał Tréjan.

— Pojadę wraz z tobą, mój chirurg czeka w powozie. Wziąłem z sobą na wypadek szpady i szkatułkę z rewolwerami, odparł wicehrabia Grandlieu.

Wicehrabia wraz z Jerzym udali się do pałacyku przy ulicy Boulogne, gdzie zastali pana de Croix-Dieu, próbującego broni z Andrzejem.

Pan de Grandlieu odpowiedział z zimną obojętnością na ukłon barona, ku któremu instynktownie czuł wstręt nieprzezwyciężony, w zamian, z gorącą życzliwością uścisnął dłoń Andrzeja.

— O której godzinie, wicehrabio, nastąpi spotkanie? pytał ten ostatni.

— O dziesiątej, w lasku Winceńskim. Przyjedziemy po ciebie.

— Każę zaprządz do mego powozu.

— Dobrze, będzie jechał za nami, ponieważ pojedziesz

moim.

Powyższe zajście miało miejsce w połowie Lutego, jednego z najokrutniejszych w roku miesięcy, trudno bowiem wyobrazić sobie czas bardziej ponury i przykry, w chwili, gdy lando wicehrabiego i powóz Andrzeja wjechawszy do Wińceńskiego lasku, zatrzymały się u brzegu alei, w pobliżu oznaczonego miejsca spotkania.

Croix-Dieu został w powozie młodego markiza, pragnąc z oddalenia przypatrywać się pojedynkowi.

Stary dwukonny fiakr stał już przy drodze, ów fiakr przywiózł Grisoll'a z jego świadkami. Garybaldyjczyk, jak powiedzieliśmy, był bardzo urodziwym chłopcem a swoją piękną urodę uważając jako kapitał, ciągnął z niej dochody. Nieszczęściem ów kapitał uczuł się mocno nadwerężonym od wczoraj. Czerwone znaki na twarzy przybrały podczas nocy barwę błękitną, w żółtą wpadającą. Prócz tego, szerokie czarne koło otaczało prawe oko Grisoll'a, którego nabrzękła powieka przymkniętą była do połowy. Napróżno Grisolles starał się przyprowadzić do jakiej takiej jednostajności swe zeszpecone oblicze, pokrywając je grubą warstwą ryżowego pudru. Wyglądał jak dziki człowiek tatuowany i zamączony, jak Pierrot. Wściekłość widniała na jego obliczu.

Przedwstępne punkta szybko ułożonemi zostały.

Świadkowie Grisoll'a przyjęli szpady, dostarczone przez pana de Grandlieu. Wybrano grunt walki. Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie i owe uroczyste wyrazy: „Dalej panowie!“ zabrzmiały wymówione przez wicehrabiego.

Wyższość potężna Grisoll'a w rzutach szpadą, dawała się

dostrzedz za pierwszem spojrzeniem.

Pojął San-Rémo, że ma do czynienia z nielada zapaśnikiem, a niepokój jego świadków, w trwogę się zmieniać począł, wicehrabia wszakże i Jerzy, uspokoili się nieco, spostrzegłszy, że Grisolles zdawał się jakoby szczędzić Andrzeja.

— Bezwątpienia, myśleli sobie, jakaś cząsteczka szlachetności tleje widocznie jeszcze w głębi duszy tego hultaja. Nie chce on nadużywać swojej przewagi w robieniu bronią i usuwa się przed zwycięztwem, jakieby mu przyszło z łatwością zmienić w morderstwo.

W rzeczy samej tak wnosić było można. Grisolles powstrzymywał się, ale hamował swą siłę z takiem matematycznem wyrachowaniem, iż pięść jego, nie tracąc na giętkości, jak stal była twardą. Wyraz jego twarzy zmieniał się stopniowo. Gniew ustąpił miejsca ironii. Uśmiechał się teraz z pod swych czarnych zawiesistych wąsów, ukazując rzędy białych zębów, jak tygrys, czyhający na zdobycz.

Andrzej, spokojny na początku walki, zaczął tracić krew zimną, widząc szyderczą fizjognomię Garybaldczyka. którego obroty szpadą, szybkie jak piorun, mieszały wszystkie jego ataki. Począł uczuwać znużenie, a jednocześnie i tracić cierpliwość.

— Ha! mój mały panie markizie, zawołał nagle Grisolles, masz silną rękę, jak widzę, do policzkowania ludzi, lecz djablo miękką do obrony! Trzeba było mieć więcej odwagi i zastanowienia, gdy się tak umie słabo władać bronią! Mógłbym cię był już zabić ze dwanaście

razy w ciągu tych trzech minut. Sądzę że wiesz o tem?

— Powściągnij pan gminne swe żarty i zabij mnie, jeżeli zdołasz, odparł San-Rémo.

— Nic nie nagli, mamy czas przed sobą. Jest zimno, rozgrzać się trzeba, mówił z szyderczym uśmiechem, odbijając ciosy Grisolles.

Gniew począł owładać Andrzejem.

— Ach! myślał, gdybym mógł dać dobrą lekcję temu bezczelnemu błaznowi!

Podwoił ataki ze wściekłą gwałtownością, nie bacząc na chronienie siebie, a szukając jedynie punktu przez który szpada, prześlizgnąwszy się, dosięgnąć by mogła piersi przeciwnika. Udało mu się to prawie i rozpaczliwym ciosem drasnął go w ramię.

Grisolles rzucił się nagle jak szalony.

— Ha! ha! zawołał, chcesz mnie dosięgnąć. A więc koniec żartom. Baczność młodzieńcze! Staraj się pomnieć na przyszłość, jak wypada zachować się w podobnej sprawie. Cios mój niechaj ci posłuży za naukę!

I z zaciśniętemi zębami, namarszczonemi brwiami, odbił natarcie z tak gwałtowną siłą, że odrzuciwszy na dziesięć kroków broń Andrzeja San-Rémo, ostrze swej szpady zatopił mu w piersiach.

Stal, przebiwszy na wskroś prawą, stronę płuc, wyszła drugą stroną pod ramieniem.

— Herminio! umieram dla ciebie, wyszepnął cicho San-Rémo. Zachwiał się z rozłożonemi rękoma i byłby upadł na ziemię pokrytą śniegiem, gdyby wicehrabia wraz z Jerzym nie podbiegli aby go podtrzymać.

Grisolles, salutując zakrwawioną szpadą jak gdyby w sali fechtunku po ukończonej lekcji, zawołał:

— Wzywam panów na świadków, że wszystko odbyło się według zastrzeżonych prawideł.

Nikt mu nie odpowiedział. Wtedy, zawróciwszy się do swoich sekundantów, dodał:

— Odjeżdżajmy!

Włożył palto, wdział kapelusz i wszyscy trzej udali się spieszno ku oczekującemu na nich fiakrowi.

Pan de Croix-Dieu, siedząc w powozie Andrzeja, nie mógł dokładnie rozeznać, co się działo po za drzewami, otaczającemi miejsce spotkania. Widział jedynie przez ogołocone z liści gałęzie, jak upadł młodzieniec po długiej walce, a ów upadek, oznajmujący ciężką ranę, napełnił go trwogą. Potrzebował, aby San-Rémo żył, ponieważ z jego śmiercią wszystkie plany, tak osnute przezeń zuchwale, rozpadłyby się w ruinę. Grisolles zbliżał się ze świadkami. Baron zastąpił drogę eks-kapitanowi.

— I cóż? zapytał.

— Cóż, odrzekł rębacz, zapłaciłeś mi pan za cios, zadany szpadą. A więc go zadałem. Nic ci nie winienem... Bądź zdrów!

— Ależ było postanowione, zawołał Croix-Dieu, że będziesz szczędził tego młodego człowieka. Dotrzymałżeś słowa?

— Tak, do milion djabłów, dotrzymałem i bardzo skrupulatnie, bośmy się bawili przez dziesięć minut, podczas gdym go mógł zabić w paru sekundach.

— Dla czego upadł?

— Dla tego, że mimo mojej powściągliwości rzucił się na mnie jak szaleniec.

— Zatem, jest niebezpiecznie ranionym? śmiertelnie być może?

— Nic niewiem. To mnie, nie obchodzi. Czyż od nas zależą te rzeczy?

— Kapitanie! oszukałeś mnie nikczemnie! wołał Croix-Dieu!

Grisolles uderzył nogą o ziemię, stojąc w groźnej postawie.

— Do pioruna, odrzekł, nie przyprowadzaj mnie do wściekłości! Czy znowu szukasz ze mną zaczepki, lecz już na swój własny rachunek? W takim razie gotów jestem ci służyć. Przyślij mi sekundantów, oto mój adres. A teraz zostaw mnie w spokoju!

I w towarzystwie dwóch swoich godnych przyjaciół wsiadł do fiakra.

Baron nie zważając na obecność wicehrabiego z którym zetknąć się nie chciał, pobiegł na miejsce spotkania. Ujrzał tam leżącego Andrzeja bez przytomności, bladego, z zamkniętemi oczyma, krew broczyła mu się ustami, przy każdem odetchnięciu, a chirurg mówił do pana de Grandlieu, klęczącego na śniegu i podtrzymującego to bezwładne ciało:

— Zdaje się, panie wicehrabio, iż ten biedny młodzieniec jest już dla nas na zawsze straconym!

— Zabity, dla mnie, jęknął pan de Grandlieu. Ach! to straszne! straszne, to okropne!

III.

Osoby, znające dobrze Paryż, wiedzą, że wyjście artystów z teatru po widowisku, przedstawia nieraz ciekawy widok.

Gdy na bulwarach grają dramat, mający powodzenie, pewna część publiki, nie należącej do arystokracji, oczekuje na „zdrajcę“ ażeby mu złorzeczyć i na aktora przedstawiającego główną rolę „ szlachetnego“ aby go oklaskiwać. Melingue i Dumaine, otrzymywali niegdyś takie owacje.

Przejdźcie około północy w porze zimowej przez passaż Panoramy, gdy w teatrze na bulwarze Montmartre grają jaką kilkoaktową sztukę ze statystkami, a ujrzycie tam zebrany cały klub owej wyblakłej młodzieży, z podniesionymi u paltotów aż ku uszom kołnierzami, naciśniętemi po same oczy kapeluszami, z ręką w kieszeni, cygarem w ustach, bijących nogami o chodnik, dla rozgrzania się, a rzucających zaciekłe spojrzenia ku przewidywanym rywalom, wymrukującym pół głosem kuplety z jakiej operetki.

Wskutek pierwszego przedstawienia „Aspazji“, zaledwie kilka takich osobistości przechadzało się obecnie o północy, na bulwarze św. Marcina, śledząc wychodzących z teatru artystów.

Grający „główną rolę,“ oraz przedstawiający zdrajcę nie otrzyma, li tego wieczoru ani złorzeczeń, ani oklasków, entuzjaści galerji i paradyzu odeszli spokojnie do domów.

We drzwiach ciasnego korytarza, słabo oświetlonego

kinkietem, zapełnionego po obu ścianach porozlepianymi afiszami, ukazało się. młode dziewczę przyodziane grubym szalem tartanowym, z główka, wciśnięta w błękitny flanelowy kapturek. Tuż za dziewczęciem szła jakaś wysoka, szczupła, kobieta, w podeszłym wieku, ubogo ubrana, niosąc pakiecik w ręku.

— Ach! jakiż czas przykry! przemówiła.

— Zimno moja, ciotko, odpowiedziało dziewczę, śnieg będzie padał na pewno. Śpieszmy by przybyć do domu co prędzej, dodała, biegnąc lekkim krokiem przez bulwar w kierunku ulicy de Lancry.

Kapturek nie dozwalał widzieć jej rysów twarzy, lecz krystaliczny dźwięk głosu, zdradzał Dinę Bluet. Gdy obie kobiety oddaliły się o kilkadziesiąt kroków, trzy osobistości, wyczekujące pod teatrem, odłączywszy się z grupy, poczęły iść za niemi. Każda, z nich jest dobrze nam znaną. Pierwszą był Oktawiusz Gavard, drugą mężczyzna w błękitnych okularach, a trzecią nareszcie, lokaj Flamandczyka Van Arlow'a.

Spostrzegłszy że dążą w jednym kierunku i prawdopodobnie w jednym celu, spojrzeli na siebie z razu ze zdumieniem, następnie z nieufnością, poczem poczęli zmieniać pozycję. Mężczyzna w błękitnych okularach zwolnił bieg, przybrawszy minę obojętną, Oktawiusz zatrzymał się, dla zapalenia cygara, lokaj wreszcie, przyspieszył kroku w ten sposób, ażeby wyminąć obie kobiety, chcąc w czyn wprowadzić ową, tak znaną policjantom zasadę: „Iść za kim, wyprzedzając go."

Dinah Bluet wraz z ciotką, weszła w ulicę de Lancry.

Mężczyzna w niebieskich okularach znajdował się o dwadzieścia kroków po za niemi. Oktawiusz również o tyleż.

Dziewczę obejrzało się z obawą.

— Ciotko, wyszepnęła z cicha, zdaje się, iż ktoś idzie za nami.

— Cóż nam to szkodzi? odpowiedziała stara kobieta. Nie mamy przy sobie nic takiego, co mogłoby stanowić przynętę dla złodziei, lecz widzę że ty się obawiasz?

— Tak, trochę, a nawet wiele. Wszak oto strażnik miejski, może go przywołać?

— Ależ, szalona, nie czyń tego! Czy sądzisz, że w Paryżu nie wolno iść za kobietami? Iluż biegało za mną tych panów! To pochlebia. Mężczyźni nie ścigają nigdy brzydkich kobiet. Trzeba się do tego przyzwyczaić, moje dziecię. Ilu idzie za nami tych ludzi?

— Dwóch, zdaje mi się.

— Razem idą obadwaj?

— Nie; każdy oddzielnie.

— Zatem, jest ich trzech?

— Jakto?

— Widzisz tego lokaja w długim liberyjnym surducie, z kokardą przy kapeluszu? Wysłanym on został widocznie przez jakąś znakomitą osobistość. Spostrzegłam to zaraz i przekonasz się, że on nie wejdzie w ulicę, des Marais, ale zatrzyma się, patrząc, czy idziemy w prawo lub lewo, czy wprost przed siebie. Ach! ja mam wzrok bystry moje dziecko!

Stara kobieta nie myliła się bynajmniej; następstwa

potwierdzały jej przewidywania. Dinah Bluet nic nie odpowiedziała, myśląc, że ciotka miała słuszność.

Zatrzymały się obie przed starym wysokim domem przy ulicy des Marais Saint-Martin i Dinah dzwoniła po kilkakrotnie zanim odźwierny furtkę w bramie otworzył.

Gdy weszły i zamknęły drzwi za sobą, mężczyzna, w niebieskich okularach poszedł dalej z miną obojętną, spojrzawszy jednak bacznie poprzednio na numer domu. Oktawiusz toż samo uczynił, a spostrzegłszy wlokącego, się fiakra, wsiadł weń, rozkazując się zawieść na ulicę Caumartin.

Po raz pierwszy od wielu tygodni anemiczny spadkobierca miljonów nocował w domu.

Mężczyzna w okularach, zatrzymał się, spojrzał na odjeżdżający powóz, a następnie zwrócił się w stronę, z której przybył, będąc pewnym, iż ów służący tak samo uczyni, poczem zwolnił kroku, tak iż ten ostatni wkrótce go dosięgnął, a korzystając z chwili, gdy ten przechodził obok niego:

— Pozwól pan, rzekł, dwa słowa.

— Hę? co takiego? rzekł sługa, wyniośle, mierząc spojrzeniem od stóp do głowy niezbyt elegancko ubranego nieznajomego. Nie zatrzymuj mnie pan, dodał, nie znam cię wcale.

— Ale za to ja ciebie znam doskonale, odparł mężczyzna. Pełnisz obowiązki u pana Van Arlowa?

— Cóż z tego? pytał lokaj zuchwale.

— Wiem, dlaczego przyszedłeś tu w nocy, mam zwyczaj być jednak dyskretnym i nie mieszam się w sprawy, które

mnie nie obchodzą.

— Dlaczego więc mnie zatrzymujesz?

Mężczyzna w okularach wyjął z kieszeni dwie sztuki monety po sto sous, a następnie pugilares, z którego kartę wydobył.

— Zatrzymuję cię, odrzekł, prosząc byś przyjął odemnie tę oto drobnostkę na piwo i oddał swojemu panu ten bilet.

— Bilet, od kogo?

— Od pewnej damy, którą on zna dobrze, z jaką widywał się już niejednokrotnie, a która poleca się jego pamięci. Spojrzawszy na kartę, będzie on już wiedział, od kogo pochodzi takowa.

— Nic więcej?...

— Jak na teraz, nic, widzisz że cię to w niczem nie narazi. Co więcej, zjedna ci jeszcze wynagrodzenie od twego pana.

— No, zrobię to, czego żądasz.

— Oto dziesięć franków i karta. Lecz oddaj ją do rąk samemu panu, tak, aby panna Desjardins tego niewidziała. Jest to rzecz ważna.

— Rozumiem, odrzekł służący.

Tu obadwaj się rozeszli i, podczas gdy mężczyzna w okularach oddalał się, zacierając ręce, lokaj, zbliżywszy się do gazowej latarni czytał wyrazy umieszczone na karcie danej sobie przez niego.

Była ona więcej niż średnich rozmiarów, z grubego białego glansowanego papieru według dawnej mody ze złoconemi brzegami.

Oto dosłowne powtórzenie wypisanych na niej wyrazów:

Pani de SAINT-ANGOT
WDOWA.
Specjalistka w kojarzeniu małżeństw.
Pierwszorzędne rozległe stosunki. Majątki i posagi, od jednego do pięciu miljonów. Szczegóły, kontrolowane przez lekarzy i notarjuszów stron interesowanych. Wszelka rękojmia bezpieczeństwa. Pewność wyjątkowa.
Dwadzieścia lat działalności powodzenia.
Uczciwośc! Takt! Dyskrecja!
Oddzielne salony do wzajemnego porozumiewania się.
Dwa wyjścia.
Ulica des Saussies Nr. 205.

Służący po odczytaniu karty śmiać się zaczął.

— Poczynam rozumieć, rzekł wsuwając bilet do kieszeni. Mogę bezpiecznie oddać to panu, gdyż jak się zdaje, znać on musi tę damę.

Mężczyzna w okularach minąwszy bulwar, zwrócił się na prawo i zatrzymał się przy drewnianem oparkanieniu, okalającem ruiny spalonego teatru de la Porte-Saint-Martin, jakiego odbudowanie miało się rozpocząć z nadchodzącą wiosną. Wdział swoje palto żółtawe i otulił się weń, gdyż ostry wiatr mroźny smagał go dobrze i przechadzał się tam i napowrót, na przestrzeni dwudziestu kroków, jak gdyby na kogoś czekając.

Oczekiwanie to trwało blisko godzinę. Wreszcie dały się słyszeć przyspieszone kroki i człowiek, w uniformie publicznego posłańca, nadbiegł zdyszany.

— A jesteś pan, zawołał, czekałeś długo zapewne, ale

nie moja w tem wina. Należało mi uczciwie zarobić sto sous, jakie od ciebie otrzymałem i drugie sto, jakie mi przyrzekłeś, nie prawdaż?

— No i cóżeś zrobił?

— Śledziłem owego jegomościa, którego mi pan pokazałeś przy wyjściu z teatru. Rozmawiał długo na bulwarze z jakimiś mężczyznami, poczem wsiadł do swego powozu. Uczepiłem się w tyle i pędziliśmy jak pociągiem drogi żelaznej aż do bulwaru św. Michała Nr. 127, gdzie wysiadł. Wtedy powiedziałem sobie: „Nie, on tu nie mieszka, gdyż powóz wraz z koniem, pozostały na ulicy.“

— I cóż?

— Ha! cóż, powrócił ów pan. Wsiadł do swego pudła, ja znowu uczepiłem się w tyle i jechaliśmy tak aż na ulicę Saint-Lazare pod numer... Woźnica stanąwszy przed domem, zawołał „Brama.“ Drzwi się otwarły, powóz wjechał i zamknięto za nim. Powiedziałem wtedy: A więc tu mieszka. Czekałem jeszcze chwilę i zobaczyłem światło zapalające się w oknach antresoli, a potem owego pana, wyglądającego lufcikiem na ulicę. Wyśledziłem więc jego gniazdo. Starając się skrupulatnie spełnić polecenie, pędziłem jak wiatr z powrotem i jestem. Proszę, powiedz pan czym dobrze się sprawił?

— Dzielnie mój kochany.

Tu ów mężczyzna w okularach, zapisawszy na karcie karnetu numer domu przy ulicy Saint-Lazare, wręczył sto sous posłańcowi, poczem odszedł z uśmiechem zadowolenia.

IV.

Sądzę panie wicehrabio, że ów biedny młodzieniec jest dla nas na zawsze straconym, powiedział chirurg do pana de Grandlieu po zbadaniu owej strasznej rany, zadanej Andrzejowi przez kapitana Grisolles. Wiemy iż Filip de Croix-Dieu, przybiegłszy natenczas, słyszał te słowa.

— Przebacz mą niedyskrecję panie wicehrabio, zawołał, nie mogłem jednak pokonać mego niepokoju i trwogi, widząc z oddalenia upadającego pana de San-Rémo, dla którego uczuwam ojcowskie prawie przywiązanie.

Mąż Herminji poruszył głową w milczeniu.

— A zatem, twierdzisz pan, mówił baron, zwracając się do chirurga, że rana jest niebezpieczną?

— Niebezpieczną, a nawet śmiertelną, lękam się, panie.

— Nie ma więc sposobu ocalenia, albo chociażby przyniesienia ulgi temu nieszczęśliwemu?

— Będę próbował oswobodzić płuca, przez puszczenie krwi, nie mamy innego środka; jeżeli pozostaje jaka szansa ocalenia, szansa niestety bardzo słaba, znajduje się ona w tem tylko jedynie.

Chirurg odsunął w całej długości rękaw koszuli Andrzeja, związał ramię i naciął żyłę. Krew z razu wolno się sączyła, kropla po kropli, znacząc bruzdę ciemno purpurową na białej delikatnej skórze, następnie silniej wytrysnęła. Ciśnienie na płucach widocznie się zmniejszyło, bo krew na ustach ukazywać się przestała.

Raniony wydał głębokie westchnienie, nie otwierając jednak oczu wcale.

Wicehrabia de Grandlieu, Jerzy Tréjan i baron śledzili przebieg operacji i jej rezultaty, z gorącą uwagą i łatwym do zrozumienia niepokojem.

— I cóż? wyszepnął pan de Grandlieu.

— Skutek przewyższa moje nadzieje, przyznaję, rzekł chirurg, nie chciałbym jednak łudzić panów próżną nadzieją, bo żaden stanowczy rezultat nie został dotąd otrzymanym.

— A jednak mu widocznie lepiej?

— Bezwątpienia, aby to polepszenie jednak się utrzymało, trzeba ażeby się utworzyła krew zakrzepła i zatrzymała krwotok wewnętrzny. Wówczas to nastąpi chwilowe uspokojenie, pomimo czego nie zniknie niebezpieczeństwo. Różnorodne komplikacje wyniknąć tu mogą.

— Zwalczysz je pan. Nauka zdziałać może wiele, rzekł wicehrabia.

— Nauka działa, a Bóg rozrządza.

— Czy będzie można przenieść chorego?

— Tak sądzę.

— Do powozu?

— Nie, nigdy! ruch powozu byłby zabójczym dla niego. Potrzebujemy noszów, materaców i dwóch ludzi.

— Wszystko to znajdzie się w Vincennes, rzekł żywo Jerzy. Wsiądę w powóz biednego Andrzeja i jadę natychmiast.

— A ja, jeśli pan wicehrabia pozwoli, dodał Croix-Dieu, wyjmę poduszki z jego landa aby z nich utworzyć prowizoryczne posianie dla ranionego.

— Czy pozwolę? zawołał wicehrabia. Ach! dziękuję ci, panie baronie, żeś pomyślał o tem.

Tréjan przybył z dwoma silnymi wieśniakami, zaopatrzonymi w nosze, używane do przenoszenia chorych do szpitala, podczas niejednokrotnie zdarzających się wypadków na ulicy. Położywszy na nich wciąż bezprzytomnego młodzieńca, nakryto go płótnem, zawieszonem na drążkach, dla ukrycia przed wzrokiem ciekawych.

Pan de Grandlieu, Jerzy, baron i chirurg, nie chcieli wsiąść do powozów, szli pieszo za niosącymi zranionego, upominając wieśniaków, by unikali wszelkich wstrząśnień mogących zaszkodzić choremu. Od czasu do czasu chirurg zatrzymywał niosących, zaglądając pod płótno dla przekonania się, czy chory oddycha jeszcze.

Potrzeba było dwie godziny czasu na przejście z Winceńskiego lasku do pałacyku Andrzeja przy ulicy Boulogne.

Podróż ta nie pogorszyła cierpień chorego. Położono go na łóżku, z ciągle zamkniętemi oczyma. Jego przejrzysto blade oblicze sprawiało wrażenie maski, na wosku odciśniętej. Słaby oddech, poruszający w nieregularnych przerwach piersiami młodzieńca, oznajmia jedynie o tlejącem tam jeszcze życiu.

Chirurg, zapytywany przez pana de Grandlieu, odpowiedział iż zdaje mu się, że krwotok wewnętrzny został powstrzymanym, ale podwójna ta rana zaogni się na pewno a jednocześnie wyniknie gorączka. Czyli więc młody markiz, tak osłabiony wielkim upływem krwi, nie

ulegnie pod siłą tego cierpienia? Oto kwestja, której rozwiązać naprzód nikt nie byłby w stanie. Ta, pełna przenikającej groźby odpowiedź i zaniepokojenie widoczne na twarzy tego człowieka nauki, napełniały trwogą obecnych.

Pan de Grandlieu zmuszony wracać do siebie, dla udzielenia wiadomości Herminji, którą od rana pozostawił w wielkiem nerwowem podrażnieniu, przyrzekł chirurgowi, iż, powróciwszy za parę godzin, nie opuści już zranionego i odjechał na przedmieście św. Honorjusza.

Po raz to pierwszy w życiu córka Klotyldy de Randal nie miała odwagi pomyśleć o zwykłej starannej swej toalecie. Nie pozwoliła zręcznej swej pokojówce czesać wspaniałych swych jasno blond włosów, które w bujnych splotach, wymykając się z pod emaljowanego grzebienia, rozsypywały się w nieładzie po jej ramionach.

Miała na sobie biały negliż, jeden z tych świetnych peniuarów, pokryty cały haftami, koronkami, wstążkami, będących chlubą młodych mężatek miljonerek. Fryza, z delikatnych koronek, otaczając delikatną szyję Herminji, była zmiętą, jak gdyby nosząc ślady niejednokrotnego opuszczenia głowy na piersi. Policzki jej matowo blade stanowiły dziwną sprzeczność z różowemi kokardami, przystrajającemi jej negliż. Delikatny odcień błękitnawy, zarysowywał się pod jej pięknemi oczyma.

Napróżno kamerdyner wchodził trzykrotnie z oznajmieniem:

— Śniadanie na stole, pani wicehrabino.

Nie poruszyła się, nie weszła do jadalni.

Służący szeptali sobie nawzajem:

— Pan wyjechał rano, równo ze dniem i nie powraca. Pani chodzi jak obłąkana, zapomniawszy o śniadaniu. Tu, coś niezwykłego się dzieje!

O trzeciej po południu, otwarła się nareszcie pałacowa brama i lando wicehrabiego wjechało w dziedziniec. Herminja nie czekając, aby małżonek wszedł do salonu, wybiegła naprzeciw niemu, wołając:

— I cóż?

Pan de Grandlieu przygarnął ją z lekka ku sobie i dotykając ustami z ojcowską tkliwością jej czoła.

— Cóż, drogie dziecię, odpowiedział, broniący najsprawiedliwiej sprawy, nie zawsze bywają szczęśliwymi.

Herminja zatopiła badawcze spojrzenie, pełne trwogi w spochmurniałej twarzy małżonka.

— A więc, wyszepnęła cicho, pan de San-Rémo?...

— Raniony.

— Niebezpiecznie?

— Tak.

— Śmiertelnie?

— Nie śmiem ci odpowiedzieć, na to pytanie.

— Dlaczego?

— Ponieważ chirurg, w chwili gdym odjeżdżał, niestracił zupełnie nadziei ocalenia go, lecz i nie upewniał.

Wspominaliśmy, że Herminja była bladą. Na te wyrazy zbladła jeszcze bardziej. Pokonywając jednak z bohaterską siłą swą trwogę:

— Pójdźmy, odpowiedziała, opowiesz mi wszystko, co zaszło, nic nie ukrywając.

Weszli oboje razem do salonu; pan de Grandlieu opowiedział jej żądane szczegóły, kończąc temi słowy:

— Widzisz, drogie dziecię, markiz przypłacić może, życiem swój czyn nierozważny; dał jednak dowód niezaprzeczony swego wzniosłego serca, i szlachetnego, charakteru. To piękne życie zgaśnie w samem rozwiciu i ja będę temu przyczyną! Osądź ile cierpieć muszę! Jak ciężka mnie boleść rozdziera!

— Ach! wyszepnęła Herminja, pojmuję to wszystko, rozumiem!

— Zaledwie poznałem tego młodzieńca, mówił wicehrabia, gdyż jeden, jedyny raz tylko widziałem go, jak sobie przypominasz, w pracowni naszego kuzyna Tréjana. Podobał mi się, mówiłem nawet ci o tem. I teraz, gdy śmierć mu grozi, śmierć, poniesiona w mojej obronie, czuję, jak gdyby jakieś tajemnicze węzły ściśle nas z sobą wiązały. Zdaje mi się, jak gdybym go znał od dawna i kochał gorąco, szczerze! Pojmujesz-że to Herminjo?

— W zupełności pojmuję, szepnęła młoda kobieta.

— Wracam natychmiast do niego, rzekł pan de Grandlieu, po chwili milczenia.

— Tak jedz, jedź, co prędzej! Długo tam pozostaniesz?

— Niezbyt długo. Powrócę aby ci udzielić wiadomość. Uzbrój się w odwagę, me dziecię, bo jakieś dziwne przeczucie mówi mi, że ta wiadomość pomyślną nie będzie.

Tu wyszedł.

Herminja krokiem wolnym, niejako automatycznym, krokiem pogrążonej w śnie magnetycznym, wyszła z salonu i udała się do bocznego pokoju, urządzonego dla niej w

rodzaju kapliczki.

Ów cichy zakątek, poświęcony modlitwom, był arcydziełem gustu, sztuki i bogactwa.

Wszystkie przedmioty, gromadzone w owej kapliczce, sięgały bardzo dawnych czasów i były nieocenionej wartości. Znajdowały się tu nader kosztowne obicia, starożytne srebro, rzeźby, wykonane odręcznie przez jakiegoś nieznanego artystę, malowidła na szkle, emalje bizantyjskie, relikwiarze misternej roboty i klęcznik z piętnastego wieku, cały w koronkę rzeźbiony na dębowem drzewie. Poduszka z czarnego aksamitu, obszyta srebrnym galonem, wyścielała stopnie klęcznika, na wierzchu którego leżała książka do nabożeństwa, a raczej manuskrypt w formie książki, ozdobiony wytwornemi miniaturami. Po nad klęcznikiem na ścianie, widniał mały krucyfiks z kości słoniowej. Ów skromny krzyżyk, dziwnie odbijał pośród wspaniałych przedmiotów wysokiej wartości artystycznej, a jednak był on dla Herminji droższym po nad wszystkie bogactwa owej kapliczki.

Przed dwudziestu dwoma laty spoczywał on na piersiach umierającej jej matki pani de Randal i pan de Grandlieu chcąc tę pamiątkę zachować dla sieroty, otrzymał go od księdza, przybyłego na ówczas do mieszkania pani Angot, dla udzielenia ostatniego namaszczenia Klotyldzie.

Herminja uklękła, a całując krucyfiks, jak niegdyś to uczyniła jej matka, wyszepnęła cicho:

— Boże Wszechmocny! Boże dobry! Boże sprawiedliwy! ocal życie temu szlachetnemu młodzieńcowi, który je naraził w obronie starca! Co by uczynił syn dla

ojca, on to uczynił dla człowieka, który mnie wychował! Pozwól mu żyć, o Boże! Jest on mi bratem. Kocham go, kocham!

V.

Ze smutnem w duszy przeczuciem, jechał pan de Grandlieu z przedmieścia św. Honorjusza do pałacyku przy ulicy de Boulogne.

Chirurg, baron i Jerzy Tréjan, nie odstępowali ani na chwilę chorego.

Gdy wicehrabia wszedł do pokoju, Croix-Dieu znajdował się przy łóżku Andrzeja. Jerzy i chirurg rozmawiali cicho, stojąc przy oknie, a ich wyraz twarzy nie zwiastował nic pocieszającego.

Pan de Grandlieu nie odważył się nawet zadać zapytania.

— Niestety! panie wicehrabio, szepnął mu chirurg do ucha, nic pomyślnego. Powikłania, jakie przewidywałem, nadchodzą, objawiają się najniebezpieczniejsze symptomaty.

— A więc, zapytał starzec, i ta słaba nadzieja jaką nam ukazałeś, zniknęła?

— Nie istnieje ona już teraz, do ocalenia, cudu chyba byłoby trzeba. Pan de San-Rémo nocy nieprzeżyje!

Wicehrabia opuścił głowę, lewą ręką otarł nieznacznie łzę z oka, a po chwili milczenia zbliżył się do łóżka, Croix-Dieu żywo postąpił parę kroków naprzeciw niemu, a poruszeniem ręki zatrzymując go, rzekł:

— Na imię nieba, panie, nie zbliżaj się pan, zaklinam!

— Dla czego? pytał starzec.

— Rozpoczyna się agonja tego nieszczęśliwego, jest to widok zbyt smutny!

— Co dla mnie znaczy smutny widok? odrzekł pan de Grandlieu. Znajdę odwagę, gdy będzie trzeba, patrzeć na śmierć tego, który dla mnie umiera.

Baron, nie ośmielając się stawić nowego oporu, usunął się dając wolny przystęp starcowi.

Jego bezskuteczne usiłowania dla powstrzymania od zbliżenia się ku ranionemu wicehrabiemu, nie były bez powodu. Andrzej miał gorączkę a w tej gorączce, wymawiał po kilkakrotnie imię Herminii.

Pan de Grandlieu pochylił się nad łóżkiem.

Palące na twarzy rumieńce i straszne gwałtowne wzburzenie, zastąpiły bladość i bezwładność młodzieńca. Jego oczy szeroko otwarte, patrzyły w próżnię, przed siebie. Bezwątpienia nie rozeznawały one przedmiotów naturalnych, bo błyszczały to zachwytem, to gniewem, to jakoby obawą widm, wytworzonych gorączką. Widoczna, że szyderczo groźne oblicze kapitana Grisolles i urocza postać Herminii przesuwały się kolejno przed niemi. Usta młodzieńca poruszały się, jak gdyby dla wymówienia wyrazów, wydawały jednak tylko dźwięki niewyraźne.

Croix-Dieu śledząc ich poruszenia, odgadywał imię pani de Grandlieu, lecz wicehrabia dosłyszeć tego nie mógł.

Po kilku minutach zaszła nowa zmiana, w stanie cierpień ranionego. Rodzaj konwulsji począł wstrząsać jego członkami. Zerwał się nagle, jak człowiek, chcący gdzieś

biegnąć, upadł na poduszki i leżał bez ruchu, podobny do skostniałego już trupa.

— Boże, mój Boże, wyszepnął pan de Grandlieu, miałżeby to być koniec? Czyż on już żyć przestał?

Chirurg położył dwa palce na pulsie Andrzeja.

— Nie jeszcze, odrzekł, ale powtarzam trzebaby cudu, by tę noc przeżył.

Pan de Grandlieu, nie chcąc pozostawiać przez dłuższy czas Herminii w smutnej samotności, z sercem ściśnionem, prosząc chirurga, ażeby przysłał zawiadomienie do pałacu, chociażby wśród nocy, gdyby wbrew straconej nadziei objawiło się polepszenie, lub gdyby na wszelki wypadek katastrofa nastąpiła.

Baron równie wyszedł niezadługo. Nic go nie zatrzymywało obecnie w tym domu. Andrzej żyjący był dla niego drogocennem narzędziem, pożytecznem, niezbędnem. Co znaczyło dlań teraz owo narzędzie, gdy śmierć rozbić je miała? Oznajmił wszelako, iż około północy przybędzie, dla powzięcia wiadomości.

Przy konającym pozostał tylko Tréjan z chirurgiem.

Artysta, mimo swej słabości charakteru jaką zaznaczyliśmy. miał serce złote. Z głębokiem przekonaniem uważał swoją dorywczą znajomość z markizem, jako związek dawnej przyjaźni i nie chciał. aby młodzieniec wydał ostatnie tchnienie, nie mając przy sobie przyjaciela, któryby zamknął mu oczy.

Baron wsiadłszy do powozu, kazał jechać stangretowi na ulicę de Rome i podczas drogi myślał:

— Los sprzysiągł się przeciw mnie teraz! Sprawa tak

znakomicie skombinowana! Projekt tego pojedynku był arcydziełem! Przegrywam wielką partję, mając wszelkie szanse wygranej! Andrzej przypłaca to życiem. Biedny chłopiec, lecz jego wina. Dla czego uderzył owego błazna tak silnie? Ach! ów Grisolles, jakież nikczemne to zwierzę! Zostaje teraz Oktawiusz. Czy i on wymknie mi się jak tamci się wymknęli? Być może. Gdy szczęście odwracać się pocznie, wszystko w proch się rozpada!

Przybywszy do Reginy Grandchamps, Croix-Dieu znalazł ją w bardzo złym humorze.

Wiemy, że Oktawiusz nie wrócił już do jej loży poprzedniego wieczora, a prócz tego przez cały dzień następujący ani się pokazał, ani dał znaku życia.

— Niech idzie, gdzie mu się podoba ów głupiec! zawołała, opowiedziawszy baronowi szczegóły sytuacji. Mało dbam o niego! Przypomnij sobie, że od dawna porzucić go pragnęłam i byłabym to uczyniła, gdybyś mi nie był zagroził, lecz w każdym razie, według reguły życia towarzyskiego, uprzedzić kogoś w takim wypadku należy. Postąpił jak gbur, jak prostak! Twój Oktawiusz jest błaznem i rzecz skończona!

— Przyprowadzę ci jutro dezertera, rzekł baron! lecz odtąd pilnuj go dobrze. Staraj się zjednać dla siebie, pomnij na jego miliony!

Tu pożegnawszy Reginę, udał się wprost do mieszkania Oktawiusza.

— Ach! zawołał otwierając mu drzwi służący z wybuchem szczerej radości, pan baron wielce się czemś zadziwi i zarazem ucieszy.

— Zadziwię się i ucieszę, z czego?

— Pan Oktawiusz nocował dziś w domu, spał tu i jadł śniadanie! Wyszedł na chwilę, lecz zaraz powrócił, jest teraz u siebie. Prawdopodobnie upomnieniom pana barona zawdzięczamy tę szczęśliwą zmianę.

— Zdaje się, że moje rady wpływ rzeczywiście tu wywołały, odparł śmiejąc się Croix-Dieu. Cieszę się, widząc, o ile cię obchodzi, Dominiku, dobro twego pana. Idź oznajmij mu, żem przyszedł.

W parę minut potem baron wszedł do mieszkania młodego Gavarda.

Oktawiusz usłyszawszy otwierające się drzwi a w nich spostrzegłszy wchodzącego pana de Croix-Dieu, zwrócił się ku niemu wołając:

— A! to ty, baronie? Dobrze, żeś przyszedł. Jestem bardzo zajęty, ale mi nie przeszkadzasz. Siądź, proszę, porozmawiamy.

— Mimo że mogę okazać się niedyskretnym, rzekł Croix-Dieu, radbym wiedzieć, co ty tam piszesz u czarta?

Oktawiusz wyprostował się, a na jego wychudłem obliczu zajaśniał wyraz próżności i zadowolenia.

— Co piszę? powtórzył, nigdy byś nie zgadł baronie, o przenigdy w życiu. Wolę ci więc od razu powiedzieć, bawię się literaturą, improwizuję wiersze. Tak jest na honor!

— Co? ty piszesz wiersze? Ty, Oktawiuszu? zawołał baron osłupiały.

— Nie wyglądam na to, wszak prawda? a jednak, tak jest, mój drogi!

— Zkąd ci jednak przyszło pisać poezje. Wczoraj nic nie

oznajmiało tej zmiany.

— Tak, lecz od wczoraj zaszło coś bardzo ważnego w mem życiu. Dużo się rzeczy zmieniło.

— Cóż takiego?

— Baronie, kocham! kocham szalenie! ja, Oktawiusz Gavard! I cóż ty na to powiesz?

VI.

W planach pana de Crois-Dieu leżało, by udawał iż o niczym nie wie.

— Ha!ha! odrzekł śmiejąc się. Czy można wiedzieć kto jest przedmiotem tej tak nagle wznieconej miłości?

— Jest to anioł!

— No i aniołowie mają imiona.

— Dinah Bluet, jej imię.

— Cóż to za Dinah Bluet?

— Młoda, utalentowana aktorka! Znasz ją?

— Bynajmniej

— Widziałeś ją przecież wczoraj, baronie. Debiutowała w „Aspazjach!“

— A! przypominam sobie. Mała osóbka, średnio uzdolniona.

Oktawiusz zerwał się z krzesła.

— Co? średnio uzdolniona? zawołał, baronie nie powtarzaj mi tego! Najpowabniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek znalazło się na deskach teatru. Cudowne oczy, które sprawiają zamęt w głowie, usta maleńkie, a jaka

kibić, jaka rączka!... Średnio uzdolniona. A! jak możesz mówić coś podobnego?

— Nie będę z tobą dyskutował, odrzekł Croix-Dieu, daremno bym czas tracił. Widzisz wszystko przez różowe szkło. Masz zawróconą głowę. Ale to przeminie!

— Nigdy!...

— Ileż razy to samo powtarzałeś!

— Prawda, ale wtedy sam nie wiedziałem co mówię.

— Mogę ci wymienić kilka pięknych kobiet, w jakich się kochałeś.

— Był to chwilowy kaprys, nie miłość.

— Kochałeś Reginę Grandchamps?

— To znaczy że się nią zajmowałem. Jest to kobieta, znana w wyższym półświatku. Wiesz dobrze baronie, iż gdy powiedzą o kim: On jest z Reginą Grandchamps, to dodaje szyku. Była to próżność z mej strony, ale nie miłość, bo dzisiaj dopiero znam to prawdziwe uczucie. Gdybyś wiedział baronie, jakie to dobre, piękne, szlachetne uczucie! Zdaje mi się, żem był starym i nagle odmłodniałem. Nie poznaję sam siebie!

— I cóż zamyślasz uczynić?

— Kochać Dinah, wyznać jej miłość, być przez nią kochanym, szczęśliwym!

— Ale czy ona cię kocha?

— Do czarta! Miłość udziela się, jak ospa.

— Kto wie? Może znajdziesz rywali.

— Bywali? Żartuję sobie z tego! Wyzwę ich, stanę do pojedynku i obetnę ręce lub nogi. Bić się o Dinę. Ach jakież to szczęście!

— Czy wiesz jej adres?

— Wiem, od wczoraj. Domyślasz się zapewne żem ją śledził po widowisku. Mieszka przy ulicy de Marais-Saint-Martin.

— Piękna część miasta, nie ma co mówić! Rozmawiałeś z nią?

— Niepodobna było. Miała przy sobie jakąś starą kobietę. Zapewne to jej ciotka. Zresztą trzech nas biegło za nią. Gdyby nas było nawet dwunastu, nie troszczyłbym się oto. Niechnoby się który poważył stanąć pomiędzy mną i Diną, nauczyłbym go. Przeszedłszy całą ulicę des Marais, dobrze zauważyłem ów dom. Rozmawiałem także z odźwiernym teatralnym. Dowiedziałem się wiele. Dinah jest uczciwą, ale ubogą. Mówię ci, że to jest anioł! Zobaczę ją dziś wieczorem. Ale co ci jest, baronie? pytał Oktawiusz wpatrując się w stojącego przed sobą pana de Croix-Dieu.

Baron w rzeczy samej zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

— Co mi jest? odrzekł, lepiej nie pytaj mnie o to.

— Lecz powiedz, proszę.

— Martwi mnie to, o czem opowiadasz.

— Dlaczego?

— Ty, Oktawiusz Gavard, na takiem stanowisku, tak znany, chcesz zostać jednym z tych śmiesznych z jakich cały świat szydzi bezustannie?

— Ja śmiesznym?

— Ma się rozumieć. Czyż można większe głupstwo popełnić, po nad rzucenie się w objęcia dziewczyny, bez żadnego szyku, przybyłej niewiadomo zkąd i produkującej

się na deskach czwartorzędnego teatru? Gdyby występowała w Varietes lub Palais-Royal, uszłoby jeszcze, lecz na bulwarach! to zbrodnia nie do wybaczenia! Zostawmy melodramaty głupcom i zbogaconym handlowcom z ulicy des Bourdonnais. Co powiedzą, co pomyślą o tobie?

— Niech sobie mówią i myślą, co im się tylko podoba! odrzekł żywo Oktawiusz! Żartuję sobie z tego! Otrzymałem cios w serce, prawdziwy cios miłości. Znam teraz to tylko. Co zaś do szyku, o jakim mówisz baronie, to Dinah Bluet, posiada go więcej w jednym małym swym palcu, niż wszystkie te damy, należące do starej gwardji, a gdy będzie miała piękny powóz i suknie, robione u pierwszorzędnej modystki, niechaj ją wtedy zobaczą!

— Zatem z Reginą Grandchamps skończone?

— Skończone, baronie, na wieki skończone I Oktawiusz tam więcej niepowróci.

— Pozwól sobie jednak powiedzieć, że opuszczasz w sposób nieco brutalny tę biedną Reginę.

— Jak na to zasłużyła.

— Cóż jej masz do zarzucenia?

— Gdy zdarzyło się, żem na czas nie mógł jej dostarczyć pieniędzy, wyprawiała sceny, krzyczała że wyrzuci mnie za drzwi. Przyznasz, baronie, że to nie było wcale przyjemnem.

— Źle uczyniła, lecz bądź co bądź, ona bardzo cię kocha.

Ktoby tam wierzył w jej miłość. Kocha mnie tak, jak się kocha drzwi więzienia.

— Byłem u niej, zanim tu przyszedłem, wyrzekł Croix-

Dieu. Nie umie sobie wytłómaczyć twego nagłego wczoraj zniknięcia, ani w dniu dzisiejszym twej nieobecności. Jest bardzo zaniepokojoną, zmartwioną, płakała.

— Czy prawdziwemi łzami? zawołał śmiejąc się Okrawtusz. Trzeba ci było, baronie, zebrać choć jedną i oprawić sobie w spinkę do gorsu. Cudownie by to wyglądało! Ona płaczącą! Ha! ha! pocieszy się prędko. A skoro tylko dostanę trochę pieniędzy, poślę jej na otarcie łez jaki podarek z biżuterji, do którego dołączę mą kartę, aby wiedziała od kogo to pochodzi, te panie bowiem nieraz miewają bardzo krótką pamięć i nazwisk zapominają zupełnie.

Croix-Dieu zrozumiał, że wszelkie usiłowania w celu sprowadzenia Oktawiusza do Reginy Grandchamps byłyby daremnemi. Rodząca się miłość w młodzieńcu czyniła go na wszystko inne obojętnym: Nie podobna go było nawet podejść pochlebianiem jego próżności. Pozostawiwszy przeto przyszłego spadkobiercę miljonów, jego tworzeniu poezji, odszedł mocno strapiony, nie tracąc jednak nadziei, że jakaś nieprzewidziana przeszkoda przerwie ściślejszą znajomość pomiędzy Oktawiuszem a młodą aktorką i szukał sposobu odnalezienia owej przeszkody, gdyby potrzeba było przyjść w pomoc losowi.

— Gdzie jechać? pytał go James, widząc, że baron wsiadłszy do powozu nie wydaje żadnego rozkazu.

— Na bulwar, rzekł Filip. Zatrzymaj się przy ulicy Magdaleny, wysiądę i pójdę pieszo.

Udał się na obiad, wyszukawszy restaurację, w jakiej nigdy dotąd jeszcze nie jadał. Tak mocno był strapionym i

zadumanym, iż nie chciał spotkać kogobądź-kolwiek ze znajomych.

Im mocniej ufamy w swoją szczęśliwą gwiazdę, tem łatwiej upadamy pod najlżejszem niepowodzeniem. Jest to reguła bez wyjątków.

Baron zniechęcony przestał wierzyć w szczęście, jakie mu dotąd sprzyjało, a wypadki nagromadzone w ciągu dwudziestu czterech godzin usprawiedliwiały to jego pognębienie.

W celu ściśle tajemniczym ów pająk paryski osnuł sieć w około Tréjan'a i Fanny Lambert, Andrzeja San-Rémo i Herminji de Grandlieu, Oktawiusza Garard i Reginy Grandchamps.

Dwie, z owych tak starannie uknutych intryg, bezpowrotnie runęły.

Croix-Dieu z fatalną nieprzezornością rzucił Andrzeja na szpadę kapitana Grisolles.

Oktawiusz, zerwawszy pęta w najważniejszej chwili, wymykał się z zabójczych uścisków Reginy Grandchamps. Był rozkochanym na serjo. Dinah Bluet, zostawszy jego kochanką obejmie nad nim wpływ nieograniczony. Na jaki cel użyje pomienionego wpływu? Czy nie zostanie spadkobierczynią owych sześciu miljonów, tak chciwie pożądanych przez przyszłego małżonka wdowy Blanki Gavard?

Na myśl podobną dreszcz wstrząsnął baronem.

Pozostawali jedynie przeszkodą Tréjan i Fanny Lambert: ci jednak nie mogli zawrzeć małżeństwa przed upływem dwóch i pół miesięcy. A dopóki owe tyle uroczyste „tak“

legalnie wygłoszonem nie zostanie, związek ten rozchwiać się może.

Myśląc o tem wszystkiem i powtarzając sobie owe szczegóły, Croix-Dieu ukończył swój obiad samotny, a zapaliwszy cygaro, udał się pieszo do swego mieszkania.

— Trzy listy przyniesiono do pana, rzekł mu służący. Położyłem je nad kominkiem.

Croix-Dieu spojrzał na adresy. Pismo na jednym z tych listów było mu zupełnie nie znane. Wziął go i otworzył przed innemi. List zawierał co następuje:

„Panie baronie!

„Jeden z twych dawnych przyjaciół, który nie posiadał jak ty, zdolności lub szczęścia do wytworzenia sobie tak świetnej sytuacji, poważa się odwołać do twej wspaniałomyślności, z tem większą ufnością, iż zna do głębi wszystkie twe sprawy.

Ów przyjaciel potrzebuje na przyzwoite urządzenie się dziesięciu tysięcy franków, drobnostki, jak widzisz. Liczy na pewno że je mu przyślesz jutro banknotami w kopercie, poste-restante, pod inicjałami: X. Y. Z.

Odmowa z twej strony jest niemożebną; w każdym jednak razie uprzedzam cię, iż najmniejsze opóźnienie w przesyłce mogłoby sprowadzić dla ciebie opłakane następstwa!

Bądź więc punktualnym, panie baronie, z uwagi na własne twe dobro i przyjmij naprzód wyrazy wdzięczności swego starego przyjaciela.

X. Y. Z.“

„P. S. Na wypadek gdybyś z fałszywego punktu widzenia rzeczy zapragnął osądzić to moje żądanie i przysłał na pocztę paru policyjnych agentów, w miejsce przesyłki pieniężnej, uprzedzam cię, że X. Y. Z. naówczas byłby zmuszonym przedstawić cię wzajemnie tym panom lecz już jako hrabiego Loc Earn’a i Roberta. Saulnier.“

Croix-Dieu blady, z rozszerzonemi źrenicami, przebiegał list do końca. Po przeczytaniu ostatnich wyrazów list wypadł mu z drżącej ręki.

— Ha! wyjąknął z cicha, otóż cios ostatni, a najstraszniejszy!... Jedna, jedyna tylko ludzka istota mogła napisać list podobny, a tą jest Sariol!... Sariol więc żyje! Sariol mnie odnalazł! Sariol trzyma mnie w swym ręku! Wszystko rozpada się w około mnie! Przepaść i ruina zewsząd! to okropne!

VII.

Z ostatnich wyrazów poprzedzającego rozdziału, czytelnicy przekonali się zapewne o tożsamości barona Filipa de Croix-Dieu z Robertem Loc-Earn’em.

W jaki sposób ów kochanek Henryki, zabójca Sariola, ów bandyta, którego spotkaliśmy po wyjściu z więzienia w Poissy dzwoniącego wieczorem do opustoszałego pałacu d’Auberive i nadaremnie szukającego na wyspie Saint-Denis swojego syna Andrzeja, jakiemi nowemi środkami,

ów nędznik zdobył sobie tak wysokie stanowisko w Paryżu, pod przybranem nazwiskiem, którego mu nikt nie ośmielił się zaprzeczać i żył w spokoju z policją, tak zwykle bystro przenikającą niektóre tajemnicze egzystencje? Jest to historja wysoce dramatyczna, prawdziwa tragedja Paryża, jaką pragniemy w krótkości opowiedzieć.

Pewien bogaty bankier, niemiec z pochodzenia lecz naturalizowany we Francji, baron Worms mieszkał w 1865 roku ze swoją młodą i urodziwą, żoną, w pałacu pomiędzy ulicą Magdaleny a parkiem Monceaux.

Pałac ów poprzedzony dziedzińcem i położonym po za sobą ogrodem, składał się z obszernego korpusu i dwóch bocznych pawilonów.

Wyłączne apartamenta barona i sale przyjęcia, znajdowały się na parterze, na pierwszem piętrze zaś główne mieszkanie. W prawym pawilonie mieściły się biuro banku, w lewym stajnie, remizy i mieszkanie dla służby.

Co wieczór, woźny biurowy, nazwiskiem Jan Lépaul były żołnierz, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, stawiał sobie przy kasie łóżko obozowe i przed zaśnięciem kładł pod ręką nabity rewolwer.

W dniu ósmym kwietnia, o godzinie siódmej rano ów dzielny człowiek z lekkiem sercem i czystem sumieniom rozpocząwszy swą zwykłą czynność porządkowania, wybiegł nagle z biura na dziedziniec. Był bladym jak trup, drżał konwulsyjnie. Chwiejąc, się, podbiegł do mieszkania odźwiernego, który wystraszony tą naglą zmianą w całej postaci woźnego, cofnął się zapytując:

— Co się stało, panie Lépaul? wyglądasz jak obłąkany!

— Co się stało? wyszepnął były żołnierz głosem złamanym, nieszczęście, zbrodnia! i to zbrodnia przerażająca! Pan baron zamordowany!

— Zamordowany? powtórzył odźwierny bledniejąc. Lecz gdzie? Jak? Kiedy? pytał z przerażeniem.

— Ciało leży na kobiercu, przy kasie, brocząc we krwi, mówił woźny. Zbrodnia została widocznie spełnioną tej nocy.

— Tej nocy! I nic nie słyszałeś?

— Nic!

— A kasa?

— Otwarta i opróżniona...

— Morderstwo więc z włamaniem. Jakiż straszny wypadek! Co począć?

— Nie pozostaje nic, jak biedz do komisarza policji. Trzeba, aby natychmiast przybyli. Nic nie mów przedtem nikomu, o tem co zaszło. Pani baronowa później się dowie o swojem nieszczęściu.

— Zkąd to mogło wyniknąć? mruknął odźwierny, wzruszając ramionami. Kto wie czy owej śmierci nie wywołało bankructwo? Biedna pani baronowa! Prawdę mówiąc, nie była ona z nieboszczykiem szczęśliwą! Ale, nie moja to sprawa. Cóż jednak z nami się stanie?

— Boże miłosierny! Skoro pomyślę że baron wrócił w dobrym humorze o północy, a teraz, brr! dreszcz po skórze przebiega! Biegnę do komisarza. Stań w mojem miejscu przy, drzwiach, panie Lépaul.

Woźny zajął miejsce odźwiernego, który z pośpiechem

wybiegł na ulicę. W pół godziny potem ukazał się komisarz w towarzystwie sekretarza i czterech żołnierzy, dla strzeżenia wyjścia. Przed wejściem do pałacu wysłał dwóch posłańców, mianowicie jednego do sądu, z powiadomieniem o popełnionej zbrodni, żądając przysłania urzędnika i sędziego śledczego, drugiego zaś do naczelnika policji, prosząc o nadesłanie sobie najzręczniejszych agentów.

Czekając na przybycie tych urzędników, którzy obowiązani byli rozwinąć najściślejsze śledztwo, obejrzał starannie z zewnątrz i wewnątrz położenie pałacu, czuwając, ażeby wszystko pozostało w miejscu nienaruszonem, tak, jak było w chwili wykrycia zbrodni.

— Czy istnieje jeszcze jakie inne wyjście prócz tego tutaj? pytał odźwiernego.

— Z tej strony, nie panie, lecz po za pałacem jest ogród a w murze ogrodu mała furtka.

Dwóch żołnierzy umieszczono przy głównem wyjściu, a dwóch innych przy furtce ogrodowej.

— O której godzinie przybywają urzędnicy do biura bankowego? pytał komisarz.

— Na kilka minut przed dziewiątą, odrzekł odźwierny.

— Dozwól wejść tym panom, poznawszy ich dobrze, nikt jednak niech nie wychodzi z pałacu pod żadnym pozorem, bez mego specjalnego upoważnienia. Kto pierwszy spostrzegł trupa pana de Worms?

— Ja, odrzekł woźny.

— Jak się nazywasz?

— Jan Lépaul.

— Jakie obowiązki pełnisz w tym domu?

— Sypiam w biurze i porządkuję te sale co rano. W dzień biegam za posyłkami.

— Jakąż to wstążeczkę nosisz przy butonierce?

— Wstążeczkę od wojskowego medalu.

— Jesteś więc byłym żołnierzem.

— Tak, z czasów Włoskiej kampanji.

— Dobrze, oprowadź mnie.

Jan Lépaul zwrócił się w stronę biura, komisarz wraz z sekretarzem szli za nim.

— To tu, panie, rzekł były żołnierz z cicha, wskazując palcem drzwi na pół przymknięte.

Komisarz wszedłszy, oniemiał przez chwilę z trwogi wobec strasznego widoku, jaki mu się nagle przedstawił.

Bankier leżał na wznak, rozciągnięty na kobiercu, z zaciśniętemi rękoma, pośród wielkiej kałuży krwi zakrzepłej. Rana, skutkiem przerżnięcia gardła, była tak szeroką i głęboką, że nieszczęśliwy musiał umrzeć piorunującą śmiercią, nie wydawszy najmniejszego krzyku. Jego oczy otwarte wyrażały przerażenie.

Nie było jakichkolwiek śladów, aby ów pokój, w którym spoczywał trup bankiera, miał być przed chwilą widownią jakiej gwałtownej sceny. Meble znajdowały się na właściwych miejscach. Świeca stojąca na stoliku wypaliła się do ostatka. Kasa, jedna z owych kas nowej konstrukcji, udaremniająca najzuchwalsze usiłowania złodziei, była na oścież otwartą. Klucz, tkwiący w zamku, przekonywał widocznie, że włamanie miejsca nie miało.

Komisarz, zbliżywszy się do tej kasy żelaznej, zaczął

przeglądać jej wnętrze. Znalazł tam akcje bankowe i różne inne walory, prócz czego kilka worków drobnej monety po tysiąc franków w każdym, lecz ani jednego rulonu złota, ani jednego banknotu. Widocznie złoczyńca nie chciał sobie robić kłopotu z unoszeniem tych worków, ani też zabierać mogących go skompromitować wartościowych papierów.

Po dokonaniu tego przeglądu, komisarz zasiadł przy biurku kasjera i zaczął spisywać protokół. Zaledwie rozpoczął tę tyle ważną czynność, weszli razem do pokoju, sędzia śledczy, pomocnik tegoż, sekretarz i pisarz sądowy.

VIII.

Pomocnik sędziego, pan de Faviéres był młodym dwudziestosiedmioletnim mężczyzną, ładnym, eleganckim światowym młodzieńcem, lecz obok tego i bardzo zdolnym, który za pomocą wysokich protekcji otrzymał miejsce w sądzie Paryża, sędzia śledczy przeciwnie, osiwiały w pracy sądowniczej, miał lat około pięćdziesięciu.

Wieloletnie jego doświadczenie trwogą napełniało zbrodniarzów, których najbardziej zawikłane podstępy wykrywał z nieporównaną zręcznością rozwiązując najzawilsze kombinacje.

Obalał odrazu, w jednej chwili, długo i mozolnie przygotowane „alibi,“ niedozwalając pozorom wywieść się w pole. Można mu było zarzucić tylko nieco uporu. Wytworzywszy raz sobie o czem przekonanie, trzymał się go zacięcie, zachwiać się nie dając. Jego powierzchowność

pozbawioną była wszelkiej dystynkcji, a ubiór całkiem zaniedbany. Ów sędzia nazywał się Boulleau-Duvernet.

Przybywszy na miejsce tej tajemniczej zbrodni, jakiej sprawcę wykryć potrzeba było, pan de Faviéres był mocno wzruszonym, a to wzruszenie dziwić nas nie będzie, skoro powiemy, że znał osobiście ofiarę. Niejednokrotnie bywał na obiadach u bankiera, a dla pani baronowej zachowywał uwielbienie, pełne poszanowania, dosięgające miłości prawie.

Obecnie na widok leżącego trupa tego człowieka, którego rękę ściskał przed kilkoma dniami, pan de Faviéres zbladł nagle i wyperfumowaną batystową chusteczką otarł krople potu, spływające mu po czole.

— Czy pani baronowa została o tem powiadomioną, pytał komisarza policji?

— Nie wiem, rzekł zagadniony.

Pan de Faviéres powiedział coś cicho sędziemu śledczemu, a ten przywołać kazał pokojówkę pani Worms.

Po kilku minutach ukazała się panna Hortensja, młoda i ładna subretka. Weszła, drżąc cała. Na widok zakrwawionego trupa, krzyknęła, ukryła twarz w ręku, omal nie zemdlała.

— Uspokój się, moje dziecię, rzekł do niej pomocnik sędziego łagodnie, i powiedz nam, czy pani baronowa została powiadomioną o tym strasznym wypadku.

Dziewczyna uspokoiła się nieco, poznawszy pana de Faviéres, którego widywała w pałacu.

— Jestem pewną, szepnęła, że pani o tem nie wie.

— Zkąd pochodzi ta twoja pewność?

— Nikomu oprócz mnie nie wolno wchodzić do pani z rana, a otrzymałam rozkaz nie budzenia jej nigdy przed dziewiątą godziną.

— Może teraz tam pójdziesz? A nie wspominając zupełnie o spełnieniu tej strasznej zbrodni, dodał pan de Faviéres, powiedz jej, że proszę bym mógł być co najrychlej przez nią przyjętym. Gdyby panią baronową zdziwiło to moje żądanie o tak niewłaściwej godzinie, oświadcz, że nie przybywam jako odwiedzający, lecz jako urzędnik. Wyrazy te, przygotują już niejako panią Worms do strasznej wiadomości, jaką jej przyniosę. Spiesz się i wracaj co rychlej z odpowiedzią

Hortensja wyszła.

W chwili, gdy drzwi otwierała, nowa osobistość ukazała się w progu, składając niski ukłon obecnym urzędnikom.

Był to młody mężczyzna dwudziestoośmioletni, średniego wzrostu, bardzo szczupły, skromnie ubrany, nie odznaczającej się niczem powierzchowności nawet gminnej nieco. Jego twarz matowo blada, z sinawemi na policzkach konturami, starannie wygolona, nadawała mu pozór prowincjonalnego aktora, przybyłego dla zaciągnięcia się do jakiej trupy w Paryżu. Czarne gęste włosy miał krótko przycięte.

— Jak się masz, Jobin, rzekł mu pan Boulleau-Duvernet, z gestem protekcjonalnej dobrotliwości. Prefektura cię tu przysyła?

— Tak, panie sędzio śledczy, odrzekł przybyły, pan naczelnik policji oddaje mnie pod pańskie rozporządzenie.

— Cieszę się, że wybrał ciebie. Jesteś agentem

gorliwym, inteligentnym, sprytnym, byłeś mi w wielu razach nader pożytecznym.

Jobin zarumieniony z ukontentowania na oddawane sobie pochwały, ukłonił się powtórnie i założył na nos binokle o szkłach podwójnych, jakie tłumiły blask jego czarnych oczu, niezwykle ruchliwych.

— Panie sędzio, rzekł komisarz policji, wskazując na Jana Lépaul, oto tutejszy woźny biurowy, który, wszedłszy najpierwszy do tego pokoju, spostrzegł trupa barona i powiadomił mnie o zbrodni.

Na znak sędziego śledczego, pisarz sądowy położył przed sobą arkusz stemplowego papieru i siadł gotów do pisania, lecz zanim pan Boulleau-Duvernet wygłosił pierwsze zapytanie, nieprzewidziany wypadek wywołał ogólne osłupienie.

W chwili, gdy sędzia śledczy chciał przemówić i pisarz umoczył pióro w kałamarzu, ukazała się pokojówka, Hortensja.

Była przerażająco bladą, chwiała się, zaledwie siłą utrzymując aby nie upaść i wszedłszy, wsparła się o ramę drzwi, nie będąc w stanie przemówić.

Obecni spojrzeli na nią ze zdumieniem.

Pan de Favières zadrżał z obawy. Przyszła mu myśl, że dziewczyna przynosi wiadomość o nowem nieszczęściu, nowej zbrodni, że baronowa zarówno jak jej mąż, padła pod ciosami morderców.

— Widziałaś panią, rozmawiałaś z nią? zapytał.

— Chciałam wykonać dane mi polecenie, wyjąknęła pokojówka. Weszłam do pani, szukałam jej, wołałam. Pokój

jest pustym, łóżko nietknięte, widocznie pani nie nocowała w pałacu. Mordercy pana barona uprowadzili ją, to pewna!

Wymówiwszy te słowa, dziewczyna łkać zaczęła.

Sędzia śledczy spojrzał na Jobin'a.

Oczy agenta iskrzyły pod szklarni okularów. Jednakie podejrzenie zrodziło się razem w umyśle urzędnika i jego sługi.

— Jakie było pożycie z sobą państwa baronów? zagadnął nagle sędzia pokojówkę.

Gdy Hortensja zawahała się z odpowiedzią, pan de Favières odrzekł: Miałem szczęście znać zbliska panią i pana Worms; często ich widywałem. Baron, jeżeli można wierzyć niektórym złośliwym pogłoskom, pozwalał sobie na pewne małe wykroczenia po za domem, na co jego żona patrzyła z pobłażaniem. Ztąd mam przekonanie, że żyli oba zgodnie. Było to bardzo dobrane małżeństwo.

Hortensja w czasie powyższego opowiadania poruszała głową, gdy skończył pan de Favières.

— Dobrane małżeństwo, zawołała, ach! nie wierz pan temu! Pani baronowa była w rzeczy samej łagodną, najlepszą w świecie istotą. Znosiła wszystko z anielską cierpliwością, nie skarżąc się nigdy, mimo to jednak, cierpiała wiele! Serce jej oniemal nie pękało z żałości. Płakała często, o! bardzo często!

— Tak, wymruknął sędzia śledczy.

Wymienił powtórnie spojrzenie z Jobin'em, poczem, zbliżywszy się do pana de Favières, wziął go pod rękę i poprowadził do okna, szepcząc z cicha:

— A gdybyśmy się też znaleźli w obec zemsty kobiecej?

co pan myślisz o tem?

De Favières zadrżał.

— Ach! zawołał żywo, to niepodobna, niepodobna!

— Dla czego?

— Baronowa jest bardzo młodą, wątłą, delikatną. Jest to trzcina, jaką najlżejszy powiew wiatru zgiąć byłby w stanie. Pominąwszy fizyczne niepodobieństwo, jej drobna ręka drżąca niezdołałaby nigdy zadać ciosu podobnego temu, jaki zabił barona.

— Trzeba wziąć pod uwagę to nerwowe podrażnienie, jakie nieraz tworzy cuda, rzekł sędzia, gniew stokroć pomnaża siłę.

— Przypuśćmy. Ależ ta opróżniona kasa? Kobieta znieważona w przystępie bólu i rozpaczy, zabija dajmy na to swojego męża, ale nie kradnie tuż obok jego trupa!

— Kto wie? odparł pan Boulleau-Duvernet, widząc się zgubioną po dopełnionej zbrodni, nie uciekałaby nie zabrawszy z sobą pieniędzy!

De Favières opuścił głowę w milczeniu. Nie czuł się być przekonanym, ale nie znalazł na razie odpowiedzi.

— Jak wytłómaczyć, powiedzieć mi proszę, nieobecność baronowej w pałacu, o czem służba niewiedziała wcale? pytał dalej sędzia.

— Nie wiem, błądzę jak pan, w ciemnościach, pewien, iż wkrótce światło zabłyśnie.

— Ba! liczę na to, wymruknął stary urzędnik; a potem zwróciwszy się do pokojówki:

— Jak się nazywasz? zapytał.

— Hortensja Hardy.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia jeden.

— Od jak dawna pozostajesz w służbie u pani Worms?

— Od dwóch lat. Przyjęłam u pani ten obowiązek zaraz po jej małżeństwie.

—Kochasz swoją panią o ile się zdaje?

— O! tak, tak panie. Kocham ją z całego serca! Jest ona tak dobrą. Wszyscy ją w pałacu kochamy. Wszyscy ją żałujemy. Nie należy oskarżać umarłych, potrzeba jednak wyznać że nieboszczyk pan baron dawał jej cierpieć wiele!

— Znali więc słudzy to złe względem żony postępowanie barona?

— Znali to wszyscy, nie tylko słudzy! Pan baron na wszystko sobie pozwalał, nie kryjąc się z tem wcale. Ileż razy wprowadzał tu damy z pół światka przez tę furtkę ogrodową? Mówiono o tem w kuchni, kredensie, spiżarni, w oficynach. Zapytaj pan kamerdynera, on panu wiele opowie. Ach! działy się tu obrzydłe skandale!

— Jak ci się zdaje? zapytał sędzia śledczy pokojówkę po chwili milczenia, być może, iż pani Worms urażona w swojej kobiecej godności, opuściła pałac, by schronić się do swojej rodziny?

— Nieumiem odpowiedzieć na to zapytanie, odparła dziewczyna. Nie wiem, czy pani miała jakich krewnych, nikt nigdy tu nie przychodził.

— O której godzinie widziałaś swoją panią wczoraj wieczorem poraz ostatni?

— Na kilka minut przed północą.

— Wróciła zkąd zapewne?

— Nie; pani wczoraj wcale niewychodziła. Zadzwoniła na mnie wieczorem, lecz zamiast kazać jak zwykle rozebrać się, powiedziała, że już dnia tego mych usług potrzebować nie będzie i pozwoliła mi udać się na spoczynek, co też bezzwłocznie uczyniłam.

— Jak wyglądała baronowa podczas tego twego krótkiego z nią się widzenia?

— Wydała mi się bardzo wzruszoną i bardzo smutną. Widząc ją bladą, z zaczerwienionemi oczyma, ośmieliłam się zapytać czy nie jest chorą? Odpowiedziała mi że cierpi na silny ból głowy ale że to przeminie.

— Pani Worms dużo gości przyjmowała u siebie? pytał dalej sędzia.

— Tak, panie, przeważnie mężczyzn. Nudziło to i utrudzało panią, ale co było począć? pan baron z całym prawie Paryżem miał znajomości.

— Między tą liczbą odwiedzających było zapewne kilka osób zostających w bardziej zażyłych stosunkach z panem i z panią baronową?

— Tak, dwóch lub trzech, lecz nadewszystko...

— Któż taki?

— Wicehrabia Gilbert de Presles.

— Młody człowiek?

— Tak, młody piękny chłopiec, bardzo elegancki.

— Często tu bywał?

— Prawie codziennie.

— A wczoraj?

— Był pomiędzy trzecią a piątą godziną. Pan baron nadzwyczaj uprzejmie przyjmował wicehrabiego, a skoro

wróciwszy z giełdy zastał go w pałacu, zatrzymał go na obiad.

— Wiadomy ci jest adres mieszkania pana de Presles?

Tak panie: mieszka on przy ulicy Neuve de Mathurins pod Nr. 21.

— Czy jego zachowanie się, nie nasuwało powodów do jakich uwag, plotek, komentarzy?

— O! nigdy panie! zawołała z gorącem przekonaniem. Nigdy, nigdy w świecie żadne z nas nie pozwoliłoby sobie powiedzieć coś podobnego! Wiedzieliśmy wszyscy, iż pani baronowa jest cnotliwą kobietą. Ja również jestem uczciwą dziewczyną, gdyby mi więc przyszło poręczyć w tym względzie za panią, nie wahałabym się ani chwili!

Gdy Hortensja kończyła te słowa, zegar marmurowy stojący po nad kominkiem w gabinecie, wydzwonił dziesiątą godzinę.

Agent oznajmił, że kasjer przyszedł i oczekuje w korytarzu wraz z całym personelem urzędników banku.

Sędzia kazał wyjść pokojówce, a wydał rozkaz wprowadzenia kasjera.

Po chwili ukazał się tenże. Był zmieszanym i mocno wzruszonym. Widok leżącego trupa sprawiał na nim straszne wrażenie. Zbladł, trząsł się cały, usta mu drżały.

— Ach! jęknął głucho, z widocznym w mowie akcentem niemieckim, jest to więc prawdą? Czy podobna uwierzyć? Baron zamordowany! Jakaż zbrodnia, jakie straszne nieszczęście! Wybaczcie memu zmięszaniu, panowie, dodał zwracając się do sędziego i komisarza, ten który tu leży bez życia, był dla mnie tak dobrym! On uczynił mnie tem, czem

jestem. Obdarzał mnie pełnem zaufaniem. Wszystko mu zawdzięczam, wszystko mu winienem. Kochałem go, gorąco kochałem!

Wzruszenie uwięziło głos w gardle kasjera, łzy spływały po jego bladych policzkach.

— Uspokój się pan, proszę, rzekł sędzia łagodnie. Nie potrzebujesz nam tłómaczyć, pojmujemy dobrze twą boleść. Zaczekam chwilę, ażeby ci zadać potrzebne zapytania. Oby twe odpowiedzi przyniosły nam światło, jakiego tak potrzebujemy!

— Niestety! wyszepnął kasjer, poruszając głową, nic niewiem, nic absolutnie! Fatalna owa wiadomość uderzyła we mnie przed chwilą niespodziewanie, jak piorun! Pytaj mnie pan panie sędzio. Mimo przytłaczającego mnie smutku, potrafię nad sobą zapanować i znajdę siłę na udzielanie ci odpowiedzi.

— Zaczniemy więc, skoro się pan czujesz nieco uspokojonym, rzekł sędzia, wskazując pisarzowi aby notował. Pańskie nazwisko?

— Fryderyk Müller.

— Wiek?

— Lat czterdzieści cztery.

— Jesteś pan żonatym?

— Nie, panie.

— Pełnisz obowiązki kasjera w biurze bankierskiem pana barona de Worms

— Tak, panie.

— Od jak dawna?

— Od pięciu lat, lecz na dwa lata przed objęciem posady

kasjera, byłem już urzędnikiem w tym domu. Zostałem poleconym baronowi przez jego korespondenta z Berlina. Do owego czasu, przebywałem w Niemczech, rodzinnym mym kraju.

— Jak wysoka pensję pan tu pobierasz?

— Ośmnaście tysięcy franków.

— Kiedy pan widziałeś barona Worms po raz ostatni?

— Wczoraj w południe.

— O której godzinie wyszedłeś pan z biura?

— Jak zwykle, o trzy kwadranse na piątą po południu.

— Jaką sumę pieniędzy w kasie pozostawiłeś?

Fryderyk Müller wyjął z kieszeni mały portfel, cały zapisany cytrami.

— Sześćset dziewięćdziesiąt tysięcy franków, rzekł, spojrzawszy na ostatnią kartę.

— W jakich papierach ta suma, znajdowała się w kasie?

— Czterysta czterdzieści pięć tysięcy franków w biletach bankowych, dwanaście tysięcy w złocie, ośm tysięcy w monecie po sto sous, a w różnych innych walorach około dwustu dwudziestu pięciu tysięcy franków.

— Zatem banknoty i złoto tworzyły razem według pańskiego opowiadania sumę wynoszącą czterysta pięćdziesiąt franków? Powiedz mi pan, pytał dalej sędzia, czy ta, tak ważna kradzież nie zachwieje kredytu tutejszego bankierskiego domu i nie sprowadzi wypadku zawieszenia wypłat?

— Nigdy! w żadnym razie. Mamy złożone w banku dwa miliony. Wystarczyłby podpis właściciela, aby je ztamtąd odebrać.

— Ile było kluczy do tej kasy?

— Dwa klucze.

— Jeden z nich znajdował się u pana zapewne?

— Tak. Drugi pozostawał w ręku barona.

— Gdzież ten klucz pański?

— Proszę oto jest, zawsze on się przy umie znajduje.

— Zatem klucz drugi, utkwiony w zamku kasy, byłby tym drugim, należącym do barona?

— Tak jest, bezwątpienia.

— Czy baron zawsze nosił ów klucz przy sobie?

— Nie jest mi to wiadomem. Wiem tylko, że kładł go zwykle w prawą kieszonkę kamizelki.

— Jobin! zawołał sędzia śledczy, zobacz!

Agent, poprawiwszy szybko binokle, ukląkł przy trupie i delikatnie wsunął dwa palce swej ręki w kieszonkę. wskazaną przez Müllera. Wydobył ztamtąd dwadzieścia sztuk złotej monety, czerwony ołówek i mały grzebyczek w słoniową kość oprawny. W drugiej kieszonce znajdował się jedynie bardzo piękny zegarek złoty, repetjer.

— Nie ma żadnego kluczyka, odpowiedział, ale spostrzegam jakiś zgnieciony papier w lewej ręce trupa. Czy mam otworzyć tę rękę i wyjąć z niej papier?

Mimo potężnych wysiłków kasjera w celu zapanowania nad sobą, twarz jego wyrażała przerażenie, zbladł nagle, a potem mocno się zaczerwienił.

— Na wszystko czas przyjdzie, rzekł sędzia. Wkrótce zajmiemy się pomienionym papierem.

Agent powstał.

Pan Boulleau-Duvernet rozmyślał przez parę minut,

poczem zaczął dalej badanie prowadzić.

— Sądzę, rzekł wskazując ręką, sądzę, że zamek przy tej kasie żelaznej, posiada jakieś tajemne kombinacje?

— Rzeczywiście, odparł Fryderyk Müller. Cztery gwoździe, wbite około zamku, odpowiadają czterem literom alfabetu. W chwili zamykania kasy tworzymy z tych czterech liter wyraz, który zmieniać można następnie według woli. Ktoby pochwycił klucz, daremnie by zeń pragnął użytkować, nie znając tego wyrazu, i nie nastawiwszy nań odpowiednio mechanizmu. W braku tej przedwstępnej operacji, najbardziej nawet cierpliwy popsułby zamek daremnie i klucz złamał.

— Jak często zmienialiście panowie pomienione litery?

— Mniej więcej co dwa tygodnie.

— A wczoraj, na jaki wyraz kasa została zamkniętą?

— Na nazwę kobiecą: „Zina.“

— Czy inne osoby znały, lub mogły znać ów wyraz, wybrany przez pana? badał dalej sędzia.

— Znał go tylko baron Worms, rzekł kasjer. Za każdy raz, zmieniając kombinację zamku, oddawałem mu na kartce papieru wypisany wyraz, by tym sposobem mógł sprawdzać rachunki w mojej nieobecności lub wziąć z kasy pieniądze w razie potrzeby.

— Jak często mu to się zdarzało?

— Trzy razy w ciągu lat pięciu najwyżej, a nigdy dla przeglądania moich rachunków, lecz aby pożyczyć z kasy kilka biletów tysiąc frankowych.

— Nie przypuszczasz pan, ażeby ktoś z obcych osób mógł pochwycić ów „wyraz tajemniczy“ skreślony na

kartce papieru i oddany przez pana baronowi?

— To bardzo możebne. Żadnych wszelako przypuszczeń czynić nie chcę. Nic niewiem co mój pryncypał robił z tą kartką po jej odebraniu. Jedynym pewnym, niezaprzeczonym szczegółem jest to, że chcąc ten zamek otworzyć, trzeba było posiadać klucz do niego i znać ów wyraz. Wypada ztąd, że baron zaskoczonym został przez zbrodniarza, w chwili, gdy sam otwierał te kasę.

Gest, potwierdzający sędziego, dowodził że i on podziela to zapatrywanie.

— Prosiłbym pana, mówił pan Boulleau-Duvernet, o udzielenie mi niektórych szczegółów co do wspólnego pożycia barona z jego żoną.

— To zapytanie w kłopot mnie wprawia, odrzekł Fryderyk Müller. Pan Worms zapraszał mnie wprawdzie niejednokrotnie do siebie na obiady i bale. Wtedy to oboje małżonkowie zdawali się pozostawać z sobą w najlepszej harmonii. Czy było tak, skoro znaleźli się sami? Na to nie jestem w stanie panu odpowiedzieć.

— A jednak panu wiadomo zapewne, że baron uchodził za człowieka lekkich obyczajów?

— Wiem, iż go oskarżano że ma kochanki, a przez to unieszczęśliwia swą żonę. Mówiono nawet o jakiejś gorszącej, publicznej scenie, przy której nie byłem obecny. Rzadko jednak głoszono przy mnie o czemś podobnem. Moje przywiązanie do pryncypała dobrze było znanem. Wiedziano, że mnie to boli, gdy znieważano tego, któremu tyle zawdzięczałem. Byłbym zresztą potrafił nakazać milczenie tym złośliwym językom.

— Taka szlachetność uczuć, zaszczyt panu przynosi, rzekł sędzia. Nie pytam wreszcie o barona Worms, lecz co do jego żony.

— Powtarzam, iż bardzo rzadko widywałem panią baronowę, z wyjątkiem przyjęć oficjalnych, zaledwie ją znalem. Zdawała mi się być osobą rozumną, powabną, nieco nerwową być może i egzaltowaną, taką mi się być wydała, nie twierdzę jednak, aby nią była w rzeczy samej.

— Zanim pan wszedłeś tutaj, do tego gabinetu, czy wiedziałeś że pani baronowa opuściła dziś w nocy ten pałac?

Ruchliwa twarz Müllera wyrażała zdumienie i smutek.

— Nie wiedziałem, nic nie wiedziałem! zawołał, załamując ręce. Ach! nieszczęśliwa!

Wymówiwszy tę parę wyrazów jak gdyby pomimowolnie, przerwał i zakrył twarz rękoma.

— Co pan chciałeś powiedzieć? Dla czego nie kończysz? pytał sędzia.

— Nic panie, nic! szeptał Müller z widocznem zmięszaniem. Myśl jakaś szalona przemknęła mi nagle, ale już zniknęła. Nie chciej pan jej badać. Nie pytaj mnie zaklinam, bo niemógłbym ci dać objaśnienia.

Pan Boulleau-Duvernet nie miał potrzeby zapytywać. Odgadywał straszne oskarżenie, ukryte pod widocznem powstrzymywaniem się kasjera.

Rozpoczął szybko badanie Jana Lèpaul. Były ów żołnierz nie mógł w niczem oświecić sprawiedliwości. Żaden hałas pośród nocy nie przerwał jego snu spokojnego. Znalazł rano wszystko nietkniętem. Zamki nienaruszone,

jak je zostawił wieczorem, ztąd twierdził i utrzymywał z głębokiem przekonaniem, że nikt od strony biura nie mógł wejść w nocy do gabinetu kasjera.

Po dokonanem przesłuchaniu, sędzia śledczy rozkazał odejść Lèpaul'owi i Fryderykowi Müller, polecając im zarazem, aby nie wydalali się z pałacu, będąc gotowymi na jego wezwanie i na miejscu popełnionej zbrodni pozostał wraz z swym pomocnikiem de Faviéres, komisarzem policji, agentem i pisarzem.

— Jobin, rzekł zwracając się ku agentowi, mówiłeś o jakiejś kartce papieru, znajdującej się w ręku trupa. Daj nam ten papier.

Agent przyklęknął powtórnie, wydobył z trudnością z zaciśniętych i skostniałych palców zmarłego, kartkę niebieskawego papieru, jak gdyby pomiętą drżącą ręką w przystępie uniesienia gniewu, a rozwinąwszy ją zwolna, położył na kolanach otwartą, gładząc rękawem dla wyrównania zagięć i fałdów.

Przy tej czynności czytał ukradkiem wyrazy, znajdujące się na niej a kreślone wielkiem pismem, na odwrót widocznie, jak gdyby podrabianem. W miarę czytania, czarne źrenice agenta iskrzyły się pod szkłami okularów jak dwa rozżarzone węgle.

— Oto jest, panie sędzio, rzekł agent z poszanowaniem, podając pół arkuszyk niebieskawego papieru, widocznie oddarty z większego arkusza przez jakąś niezręczną, lub bardzo spieszącą się rękę.

— Ha! zawołał sędzia z oddźwiękiem tryumfu po przeczytaniu. Odgadłem od razu! Cóż na to powiesz, panie

de Faviéres? dodał, podając mu papier.

Urzędnik wziąwszy ćwiartkę czytał głośno:

„Panie baronie. Jeden z uczciwych ludzi, całem sercem tobie oddany, który jednakże z powodów osobistych pragnie pozostać nieznanym, nie mogąc ścierpieć ażebyś był nadał oszukiwanym przez żonę niewierną i obłudnego przyjaciela, powiadamia cię, że pani baronowa opuści pałac nocy dzisiejszej i uda się do Belgji z wicehrabią de Presles, swoim kochankiem.

Skoro odbierzesz ten list, będzie może czas jeszcze przeszkodzić ich ucieczce. Zanim odjadą, radzę ci sprawdzić jak najprędzej pieniądze, złożone w kasie żelaznej, możesz ją bowiem znaleść opróżnioną“.

— A cóż? pytał sędzia śledczy z uśmiechem zadowolenia, gdy jego pomocnik ukończył czytanie. Co powiesz na to?

— Mówię, że ten list, jako anonim, niczego jeszcze nie dowodzi, odparł de Faviéres.

— W każdej innej okoliczności przyznałbym panu słuszność w tej mierze, zawołał Boulleau-Duvernet, tu jednak autor listu zasługuje na wiarę, ponieważ przestrogę jego stwierdzają dokonane czyny. Sprawiedliwość odtąd nie będzie się błąkała w manowcach, bo winni są jej już znani. Wszak to rzecz jasna, jak słońce, niezaprzeczona jak oczywistość.

— Zatem, według pana, baronowa Worms... zaczął de Faviéres.

— Jest wspólniczką popełnionej zbrodni! przerwał sędzia z głębokiem przekonaniem. Uważaj pan dobrze.

Mówię: „wspólniczką” a nie wykonawczynią. Miałeś pan słuszność, twierdząc, że ręka kobiety jest zazbyt słabą na wymierzenie ciosu podobnego rodzaju. Nie baronowa go zabiła, ale wicehrabia Gilbert de Presles na żądanie swojej kochanki!

Pan de Feviéres cofnął się z gestem zaprzeczenia.

— Ależ na Boga! zawołał Boulleau-Duvernet, z mylnego punktu, mój pomocniku, zapatrujesz się na tę sprawę! Błędne co do tego żywisz przekonanie.

— W rzeczy samej pomimo wszystko, przekonać mnie pan nie zdołałeś...

— W jaki więc sposób i czem pana przekonać? Gdyż wreszcie powtarzam, jest to wszystko tak jasne, jak dzień! Mógłbym przedstawić w najdrobniejszych szczegółach tę scenę morderstwa, jaka tu działa się wczoraj. Mógłbym, powtarzam i uczynię to, posłuchaj mnie pan tylko. Baron wczoraj wieczorem wszedł tu, pełen ufności, nic nie podejrzewając. Po otrzymaniu listu bezimiennego, poszedł do żony. Nie znalazłszy jej, pewien, iż uciekła już ze swoim kochankiem, chciał sprawdzić znajdujące się w kasie pieniądze, jak mu to radził uczynić ów tajemniczy korespondent. I właśnie w chwili, gdy otwierał tę kasę, pan de Presles rzucił się na niego i jednym ciosem, ciosem strasznym, zamordował go od razu, Natychmiast po spełnieniu zbrodni ów przestępca stał się złodziejem. Zabrał złoto, banknoty i uciekł ze swoją wspólniczką. Cóż mówisz na to, kochany mój pomocniku? Sądzę, iż moje dowodzenie jest prostem, logicznem?

— Jest ono prawdopodobnem, przyznaję, wyszepnął de

Faviéres, a jednak powiadam, że gdybyś pan znał baronowę, zmieniłbyś swe przekonania.

Sędzia uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Może to być pociągająca, urocza kobieta, odrzekł, nie przeczę. To jednak niczego nie dowodzi. Jesteś jak widzę bardzo jeszcze młodym, panie de Faviéres. Piękna twarzyczka i wyższy wielkoświatowy sposób zachowania się, bierzesz za przekonywające dowody niewinności. Skoro ci kiedyś jak mnie zbieleją włosy w tem naszem ciężkiem rzemiośle, nie będziesz ufał pięknym kobietom i tkliwemu wyrazowi ich oczu.

Jobin siedział w zamyśleniu.

— Czy pan sędzia raczy mi pozwolić, zapytał, ażebym ściśle zbadał ów list bezimienny?

— Chętnie pozwalam, odrzekł stary urzędnik; podając mu kartkę papieru. Przejrzyj to mój kochany i zakomunikuj nam swoje uwagi.

Jobin zdjął binokle, które widocznie wkładał dla przysłonięcia blasku swych bystrych oczów, a dobywszy z kieszeni szklanną lupę, silnie powiększającą, zaczął przy pomocy tej lupy śledzić z natężoną uwagą szczegóły pisma i zagięcia istniejące na papierze. Po kilku sekundach, drgnął nagłe z gestem zadumania.

— Co się stało? zapytali razem sędzia i pan de Faviéres.

— Rzecz nader ważna, odpowiedział Jobin. W chwili gdy ten list został doręczonym baronowi Worms, atrament na ostatnich linjach jeszcze wyschnąć nie zdołał.

— Co mówisz? zawołał Boulleau-Duvernet, to niepodobna!

— A jednak tak jest, rzekł agent. I to nie zaprzeczenie, czego zaraz dowiodę. Wystarczy spojrzeć przez szkło powiększające na trzy ostatnie linje pisma, by stwierdzić, że litery kreślone w kształcie arabesek, skutkiem świeżego jeszcze płynu, łączą się z sobą na zgięciach papieru, przebijając na najmniejszej szramie. Nikt inny jak baron Worms, nie mógł tak zwinąć i zgnieść tego listu w palcach, w przystępie wściekłości. Wpadł on mu więc przed oczy w chwili, gdy ów autor bezimienny kończył swe dzieło.

— To dziwne, w rzeczy samej, wyszepnął pan de Faviéres, skonstatowawszy że agent nie mylił się w swoich domniemywaniach.

Sędzia śledczy ująwszy lupę i papier, zaczął się przypatrywać tak szczegółowo jak Jobin.

— Prawda! wyrzekł po chwili. Jest w tem coś niezwykłego, tajemniczego, niepojętego; co wywraca od razu wszelkie moje idee. Jak bowiem przypuścić, ażeby osobistość, pisząca tę denuncjację, oddała ją baronowi przed wyschnięciem atramentu? Potrzebaby było pisać to w jego obecności. Ależ w takim razie krócej byłoby powiedzieć?

— Może ów list bezimienny dostał się do rąk pana Worms przed jego przybyciem do pałacu? zauważył de Faviéres.

— Być może, odparł sędzia. Zaraz się o tem dowiemy.

I rozkazał agentowi przywołać kamerdynera.

— Jak się nazywasz? pytał go sędzia.

— August Mavet.

— Pozostawałeś w służbie u barona Worms?

— Tak panie. Od lat czterech pełnię tu obowiązki kamerdynera.

— Oczekiwałeś na swego pana wczoraj wieczorem?

— Jak zwykle.

— O której godzinie powrócił?

— Kilka minut po północy.

— Zauważyłeś że był zamyślony, wzburzony?

— Niech Bóg zachowa! Pan baron wrócił w najlepszym humorze, bardzo wesoły. Nucił sobie arję jaką śpiewała panna Schneider w „Pięknej Helenie.“

— Czy nie trzymał w rkęu jakiego papieru?

— Żadnego. Miał na ręku ściśle opięte paljowe rękawiczki, zdjął je spokojnie i położył na stoliku, gdzie zapewne dotąd jeszcze leżą. Następnie zasiadł przy biurku i napisał list krótki, a oddawszy mi go, kazał przesłać według adresu, rano, przed śniadaniem, co właśnie miałem uczynić, gdym się dowiedział o tym strasznym wypadku.

— Do kogo ów list był adresowanym?

— Do pewnej damy...

— Daj mi go...

— Oto jest.

Sędzia śledczy wziąwszy kopertę, wyczytał te słowa: „Pannie Alinie Pradier. Ulica Frydlancka.“ Cóż to za panna Pradier? zapytał.

— Jest to, panie, wyjąknął kamerdyner z zakłopotaniem, jest to dama, młoda i piękna dama, jaką zna cały Paryż pod innem nazwiskiem. Panowie zapewne o niej słyszeli? dodał, zwracając się do obecnych. Nazywają ją powszechnie „Pomarańczką“, ponieważ kiedyś w młodości sprzedawała

podobno ten owoc w Marsylji.

— Zatem pomieniona osoba była jedną z kochanek pana Worms, pytał sędzia.

— Zmuszony jestem przyznać, iż pan baron okazywał jej wiele względów.

— Po oddaniu ci tego listu, co robił twój pan?

— Pytał mnie czy jego przyjaciel, wicehrabia de Presles był tu wieczorem. Odpowiedziałem, że nie był; wtedy kazał mi odejść, oznajmując iż sam się rozbierze.

— Pan de Presles był przyjmowanym przez barona, jako zażyły przyjaciel?

— Tak, panie. Znajdował się tu, jak gdyby we własnym domu. Bywał codziennie.

— Opisz mi go jak wygląda.

— Piękny mężczyzna, kształtny, elegancki, pełen szyku, ma około dwudziestu siedmiu lat. Wysoki, szczupły, szatyn, oczy szare, wąsy blond prawie, bardzo długie, bez faworytów. Maleńka blizna na prawym policzku, świadczy o zadraśnięciu szpadą w pojedynku.

— Możesz odejść, rzekł sędzia do kamerdynera, a podpisawszy protokół, polecił dwom agentom udać się na ulicę Neuve de Mathurins pod Nr. 21 i przyprowadzić wicehrabiego de Presles, jeśli ów elegancki młodzieniec nie opuścił dotąd Paryża.

Podczas wyżprzytoczonego badania ukazał się Jobin powtórnie dziwnie zmieszany. Wyraz jego spojrzenia, głęboka zmarszczka pomiędzy brwiami, świadczyły, iż jego umysł pracował wiele a burza wrzała pod czaszką.

— Jestem na tropie! wyszepnął półgłosem.

— O czem mówisz, coś odkrył? zapytał go sędzia.

— Może nic, a może wiele! rzekł agent. Być może iż się mylę, a kto wie czyli nie trzymam klucza od zagadki.

— Przystępuj do rzeczy bez omówień, zawołał żywo de Faviéres.

— Przyszła mi myśl, mówił dalej Jobin, że ów list bezimienny nie był czem innem, jak zastawionem sidłem na bankiera.

— Sidłem? powtórzyli razem obaj urzędnicy. Zkąd i dlaczego?

— Przypuśćmy, że zbrodniarz, ktokolwiekbądź by nim był, ukrył się w pałacu. Pragnie pochwycić tę znakomitą sumę pieniędzy złożonych w kasie, o których znajdowaniu się tam jest przekonanym, niewzruszony wszelako zamek i tajemnicza jego kombinacja stawiają opór jego chciwości. Szuka sposobu któryby znaglił barona do otwarcia samemu tej kasy i odnajduje go nareszcie. Wie, iż właściciel mieszkania nadejdzie! Oczekuje więc jego przyjścia. Pisze z pośpiechem te kilka wierszy oskarżenia, umieszcza je w miejscu widocznem, tak, aby za wejściem barona wpadły mu przed oczy, a potem, gdy szelest kroków nadchodzącego się zbliża, ukrywa się po za szafę, lub za firankę i czeka. Bankier wchodzi do gabinetu, spostrzega list bezimienny, chwyta go, pożera oczyma, gniecie w drżących rękach i biegnie do kasy, by się przekonać, czy denuncjacja nie skłamała. Jest to chwila rozstrzygająca. Morderca rzuca się z podniesionym nożem. Baron upada jak piorunem rażony przy otwartej kasie. Zabójca kradnie pieniądze i ucieka, zapomniawszy, że zostawił po za sobą w

zaciśniętej dłoni zmarłego dowód niezaprzeczony swej zbrodni, dowód przygnębiający, który poprowadzi sprawiedliwość na drogę wykrycia prawdy, a następnie i pochwycenia winnego.

— Nader logiczne twierdzenie! Zręcznie obmyślane, wołał sędzia. Wszystko to jest tak prawdopodobne, że nieomal prawdziwe się zdaje! Dziwiłbym się nawet gdyby powyższe twe przypuszczenia błędnemi okazać się miały! Prowadźmy dalej teraz nasze badania. Trzeba nam zwiedzić przedewszystkiem apartamenta baronowej.

Przywołana Hortensja, pokojówka, służyła urzędnikom za przewodnika.

Sędzia śledczy pan Boulleau-Duvernet był amatorem przedmiotów sztuki i artystycznie wykonanych drobiazgów. W wolnych chwilach zwiedzał sale wyprzedaży.

Gdy przechodząc spostrzegł w apartamencie baronowej arcydzieła z różnych epok, oczy mu się zaiskrzyły, a jego oblicze wyrażało najżywszą radość, z chwilą jednakże przestąpienia progu sypialni, przybrał zwykłą surowość i utkwił wzrok w portrecie naturalnej wielkości, w bardzo bogatych ramach, zawieszonym naprzeciw hebanowego łóżka, wspaniale srebrem i słoniową kością inkrustowanego.

— To baronowa, nieprawdaż? zapytał.

— Tak, odrzekł pan de Faviéres, jakże ją pan znajdujesz?

— Piękna, niestety! zbyt piękna, jaka szkoda! Posiadać tak ujmujące łagodne oblicze, zamieszkiwać w raju i zabić swojego męża, czyli raczej co na jedno wychodzi, kazać go zabić swojemu kochankowi, okraść kasę, uciec do obcego

kraju, przygotowawszy sobie tym sposobem okropną przyszłość, bo jeśli nie gilotynę i rusztowanie, to dożywotnie więzienie, nie licząc zgryzot sumienia! A! jak kobiety są szalonemi nieraz! Jestże podobnym ów portret? zapytał po chwili.

— Jak żywy, odparł de Faviéres.

Pędzel jednego z wielkich artystów, odtworzył rzeczywiście z wielkim talentem delikatne rysy twarzy i kształtną postać młodej kobiety.

— Wspaniałe malowidło! wyszepnął sędzia, wpatrując się w ów portret z zachwytem. Rzecz nieporównanie piękna! Słowa te nie zdołały rozproszyć smutku pana de Faviéres. Nie mógł pogodzić się on z myślą ujrzenia na ławie oskarżonych, walczącej przeciw obwinieniu o morderstwo tej czarującej istoty, jaką przed kilkoma dniami uwielbiał ze czcią i poszanowaniem.

Jobin pochłaniał wzrokiem ów portret.

— Kłamliwa piękność! mówił, ktoby pomyślał, że ta twarz, tak łagodna i szczera, ukrywa brudną duszę zbrodniarza, że delikatne te ręce kalają plamy krwi! Patrząc na tę kobietę o wejrzeniu niewinnego dziecka, któżby nie pomyślał: „Jest to anioł.“ Tak, anioł występku niestety, kradzieży i zbrodni!

— Pisz pan, zawołał sędzia śledczy na pisarza i zaczął dyktować rysopis baronowej, zwracając uwagę na szczegóły portretu, kolor oczu i włosów, a nawet na owe maleńkie ciemne znamię, po którem tak łatwo można było poznać tę nieszczęśliwą kobietę. Panno Hortensjo, dodał, zwracając się do pokojówki, sądzę że znasz doskonale

garderobę swej pani?

— Tak jest, odpowiedziała.

— Łatwo ci więc będzie, przejrzawszy pozostawione tu ubrania, powiadomić mnie w jakiej sukni pani baronowa wyjechała z pałacu?

— Pójdę do garderoby.

Pokojówka weszła do przyległego pokoju, zastawionego szafami, w których od dołu do góry wisiały różnych barw i kształtów bogate kobiece ubrania.

— Pani baronowa, rzekła Hortensja wróciwszy po kilku minutach, wyjechała w ubiorze, jaki miała wczoraj na sobie, to jest w czarnej jedwabnej sukni. Miała włożyć czarny kastorowy kapelusz, przybrany aksamitem i przyodziać się długim szalem indyjskim.

— Żadnych bagażów z sobą nie zabrała?

— Nic prócz podróżnego skórzanego worka, w jakim zwykle, wyjeżdżając do morskich kąpieli, umieszczała klejnoty, dla wzięcia ich z sobą.

W chwili gdy Hortensja kończyła te słowa, przyspieszone kroki dały się słyszeć w przyległym salonie.

— Wracają agenci, wysłani przez pana na ulicę Neuves de Mathurins, rzekł Jobin.

Dwaj mężczyźni we drzwiach się ukazali. Mieli rozpromienione oblicza.

— I cóż? zapytał pan Boulleau-Duvernet.

— Wicehrabia de Presles jest nieobecnym od wczoraj, rzekł jeden z agentów, wyjechał w podróż i nie wiedzą kiedy powróci.

— Czy macie inne szczegóły?

— Całą ich pakę, panie sędzio. Z razu odźwierny nie chciał wcale z nami rozmawiać, z góry na nas spoglądając. Pokazaliśmy mu nasze karty. Natychmiast zmienił ton mowy i rozwinął przed nami cały szereg następnych opowiadań.

„Wczoraj wieczorem około jedenastej wicehrabia de Presles, który jak się zdaje nie jest bogatym, ponieważ nie trzyma nawet służącego, wszedł do tegoż, portjera, kazał mu znieść ciężką walizę i przywołać fiakra. W pięć minut później jechał pomienionym powozem Nr. 720, postawiwszy na siedzeniu przed sobą walizę. Przed odjazdem, dał luidora odźwiernemu, powiedziawszy, że zapewne nie prędko powróci. Woźnica jego, poczciwy chłopiec wszystko nam opowiedział, poznał on z kim ma do czynienia. Pan de Presles wysiadł w uliczce, przyległej do małej furtki, przebitej w murze. Jest to furtka ogrodowa, w tutejszym pałacu. Fiakr czekał tam przeszło godzinę. Wicehrabia przechadzał się po trotuarze, paląc cygaro. W parę minut po północy dobył klucz z kieszeni, otworzył furtkę i wszedł do ogrodu. W pół godziny później, ukazał się pan de Presles, w towarzystwie jakiejś zakwefionej damy, widocznie zmieszanej i drżącej. Dama wsiadła pierwsza, on później i rozkazał jechać do Hotelu „de Brabant,“ jednego z tych małych pałacyków z umeblowanemi pokojami, położonego w prost stacji północnej drogi żelaznej. Właścicielka hotelu opowiedziała nam, że ów pan z panią przybywszy do niej około godziny pierwszej w nocy, wzięli dwa pokoje i odjechali pierwszym pociągiem, wychodzącym z rana. Nie mogliśmy się nic

więcej dowiedzieć. Woźnica fiakra Nr. 720 nazywa się Pidoux, przywiózł nas tu i oczekuje na dole. Zatrzymałem go na wypadek, gdyby pan sędzia chciał otrzymać od niego jakie zeznania.

— Doskonale! rzekł Boulleau-Duvernet zacierając ręce. Pierwszy pociąg, rzekł, wychodzi z Paryża o siódmej minut 50 rano, a przybywszy na granicę o pierwszej minut 40 przejeżdża przez Mons i Blanc-Misseron. Sędzia śledczy spojrzał na zegarek. Wskazywał on kilka minut po jedenastej. Wszystko dobrze idzie, rzekł do komisarza policji, podając mu arkusze, opatrzone swoim podpisem. Wsiądź pan do fiakra, oczekującego na dole, jedz do biura telegrafu. Każ wysłać pomienione depesze do swego kolegi w Blanc Misseron, który natychmiast po dokonanem przyaresztowaniu, niechaj sąd zawiadomi telegramem, jaki mi tu doręczą, ponieważ jeszcze w miejscu pozostanę. Rozkaż pan również powiadomić w Pałacu Sprawiedliwości, aby działano według moich wskazówek.

Komisarz udał się dla spełnienia powierzonej sobie misji, a badanie ciągnęło się dalej, szczegółów jego wszelako przytaczać nie będziemy, ponieważ większa część tychże, nie interesowałaby czytelników.

Cała służba barona została kolejno przesłuchaną; żadne z tych zeznań jednak nie rzuciło nowego światła na sprawę.

Przeszukano ogród. Slady eleganckiego obuwia na wysokich obcasach wicehrabiego de Presles znaleziona odciśnięte na piasku głównej alei. Ślady te prowadziły aż do drzwi pałacowych.

Z zeznań zarządzającego remizą, jasno się okazywało, iż

pan de Presles posiadał podwójny klucz od furtki ogrodowej, co przekonywało, iż jego stosunki z baronową od dawna istniały. Ów szczegół w akcie oskarżenia stanowił punkt nader ważny, ponieważ pani Worms w takim razie, będąc sama winną, traciła prawo oskarżania się na niewierność małżeńską, a nadewszystko do ukarania go morderstwem.

Ogólne badanie, poprzedzające zwykle ściślejsze szczegółowe śledztwo, dobiegało do końca, gdy przybył posłaniec z sądu, przynosząc zapieczętowaną kopertę pod adresem pana Boulleau-Duvernet.

Pomieniona koperta zawierała telegram komisarza policji z Blanc-Misseron.

— Mamy ich! zawołał sędzia, rzuciwszy okiem na treść telegramu. Oto co nazwać można energicznie i żywo poprowadzoną sprawą.

I czytał głośno:

„Przyaresztowania dokonano za przybyciem pociągu z Paryża o godzinie pierwszej minut czterdzieści. Wicehrabia de Presles i baronowa Worms rozłączeni i pod dobrą strażą. Tożsamość ich nie ulega zaprzeczeniu. Oczekujemy poleceń sądu paryskiego.

Komisarz policji Joliet.“

Spojrzawszy na rozkład jazdy dróg żelaznych pan Boulleau-Duvernet skinął na agenta.

— Jobin, rzekł do niego podpisze rozkaz sprowadzenia ich tu. Odjedziesz dziś wieczorem z dwoma agentami,

pociągiem wychodzącym o szóstej minut dziesięć. Przywieziesz obwinionych tej nocy i za przybyciem do Paryża osadzisz ich w Conciergerie. Gorąco pragnę przewodniczyć jutrzejszemu badaniu.

— Dobrze, panie sędzio, rzekł agent.

— Pilnuj, ażeby wicehrabia i baronowa jechali w dwóch oddzielnych przedziałach. Tobie oddaję straż nad tą młodą kobietą. Dwaj inni agenci będą czuwali nad panem de Presles. Zachowajcie przynależne względy dla uwięzionych, ale zarazem stosujcie się ściśle do wydanych przezemnie rozporządzeń.

— Niech pan sędzia całkowicie zaufać mi raczy, zarazem proszę najusilniej, o wydanie rozkazu ażeby nikt przed moim powrotem nie przestąpił pokoju w którym zbrodnia spełnioną została. Postanowiłem odbyć ścisłe przeszukiwania w tym gabinecie, jakie mam nadzieję nie będą bezrozumnemi.

— Przeszukiwania, w jakim celu? pytał sędzia zdumiony. Winni są już w naszem ręku. Przy pierwszem badaniu wszystko wyznają. Czegóż trzeba więcej? Nigdy sprawa bardziej jasną i prostszą nie była.

— Tak, odparł agent. Bezwątpienia, mnóstwo zebranych strasznych dowodów zbrodni obciąża pana de Presles i panią Worms, wszak między tem wszystkiem dostrzegam wiele niedostatecznie wytłumaczonych szczegółów, wiele punktów ciemnych, na jakie pragnąłbym rzucić światło.

— Jakto? miałżebyś jeszcze nie być przekonanym o wspólwinie wicehrabiego i baronowej? zawołał sędzia osłupiały.

— Niczemu nie zaprzeczam. Pan sędzia uważa, że są winnymi, niech i tak będzie, w głębi duszy jednak, inaczej jestem przekonany, ośmielił się wygłosić Jobin, śledząc spojrzeniem fizjognomię pana Boulleau-Duvernet.

— Na czem opierasz to swoje odmienne przekonanie?

— A gdyby mieli wspólnika? Gdyby ktoś trzeci należał do spełnienia tej zbrodni?

— Wspólnika? powtórzył sędzia. Któżby nim był.

— A! to właśnie, co odkryć nam trzeba, a jakkolwiekbądź trudna będzie to sprawa, nie tracę nadziei, iż zdołam ją do skutku doprowadzić, jeżeli pan sędzia przez dni kilka zostawić mi raczy wolne pole działania o co przed chwilą upraszałem.

— Zgoda! rzekł pan Boulleau-Duvernet po chwili rozwagi. Wiesz że pokładam w tobie zaufanie. Po dokonanej sekcji, sam zamknę drzwi gabinetu w którym znajduje się kasa, schowam klucz i nie oddam go, jak tylko tobie.

Jobin zadowolony podziękował sędziemu, a założywszy binokle, zabrał upoważnienie do przywiezienia obwinionych podpisane przez pana Boulleau-Duvernet, spojrzał raz jeszcze na portret baronowej i wyszedł, zatrzymawszy się na dziedzińcu pośród grupy służących i urzędników, dla usłyszenia co mówią.

W ich całej rozmowie nic nie znalazł dla siebie godnego uwagi, nabył jedynie przekonania, że zmarły baron nie wiele przez służbę był żałowanym, a natomiast ogólne współczucie zwracało się ku pani Worms. Dziwiono się, a nadewszystko smucono jej zniknięciem, a nikt nie

przypuszczał ani na chwilę, by miała być pośrednio lub bezpośrednio wspólniczką morderstwa swojego męża.

— „Vox populi vox Dei!“ wymruknął Jobin. Sprawdza się to niekiedy, często nawet, ale nie zawsze. Bądź co bądź, wyjaśnić muszę to wszystko, inaczej nie byłbym chyba Pamfiljuszem Jobin’em.

To mówiąc wszedł do pierwszej, jaką napotkał restauracji, zjadł tam obfite śniadanie, wypił butelkę wina a przywoławszy fiakra, kazał się zawieść na ulicę des Orfevres, gdzie na czwartem piętrze zajmował skromne mieszkanie. Wszedłszy do siebie, minął pusty przedpokój i otworzył do sypialni, a raczej obszernej garderoby.

Za pierwszym rzutem oka można byłoby sądzić, iż to jest aktorska gotowalnia. Wzdłuż ściany, na hakach, wisiało mnóstwo kostjumów, począwszy od niebieskiej płóciennej bluzy malarskiego robotnika, wapnem poplamionej i najrozmaitszych uniformów, aż do czarnego fraka, z purpurową wstążeczką przy butonierce. Po nad każdym z owych kostjurnów wisiała peruka, potrzebna do skompletowania przebrania.

Pod jednem z okien pokoju, wychodzącem na ulicę, przez które falą wpływało światło słoneczne, stał wielki stół z ruchomem w pośrodku zwierciadłem.

Najrozmaitsze bielidła w postaci płynu i maści, słoiki z blanszem i różem, farba sinawa, ołówki pastelowe, słowem najrozmaitsze przedmioty, jakich używają aktorzy przed ukazaniem się na scenie, zalegały szeroki stół w malowniczym nieładzie.

Jobin przez parę chwil tylko pozostawał w owym pokoju

i nie użył żadnego z wyż wymienionych przedmiotów dla zmienienia swej fizjognomii. Wziął nieco pieniędzy, wsunął w kieszeń mały rewolwer, wdział ciepłe palto w przewidywaniu chłodnej nocy i udał się do prefektury policyjnej, gdzie prosił o wskazanie sobie dwóch towarzyszów podróży.

O szóstej godzinie znalazł ich na stacji i wsiadł wraz z nimi na pociąg dążący ku granicy. Tam, zasiadłszy wygodnie w rogu kanapy, przymknął oczy i zdawał się drzemać. Pozornem to jednak było, nie spał on wcale, lecz myślał.

Podczas gdy Jobin jechał w stronę Belgii, sędzia, śledczy kazał przenieść na pierwsze piętro skostniałe ciało bankiera. Położono je w ubraniu na wspaniałem łóżku stojącem w sypialni.

Opieczętowano wszystkie meble. Agenci otrzymali rozkaz wvkonywania ścisłego nadzoru wewnątrz i zewnątrz pałacu: a ponieważ baron za życia należał do sekty izraelitów, zawezwano rabina z najbliższej synagogi by przybył odbyć modlitwy przy zmarłym według żydowskiego rytuału.

Należało unikać najmniejszej zwłoki w wypłatach, któraby mogła zaniepokoić pewną część handlu Paryzkiego. Urzędnicy wezwali w tym celu kasjera, Fryderyka Mŭller i dali mu upoważnienie do pełnienia nadal czynności dotychczasowych w biurze, jako i podnoszenia z Banku pod osobistą odpowiedzialnością sum, potrzebnych na wypłaty, aż do dnia, w którym rozpocznie się likwidacja interesów bankierskiego domu Worms.

Tym sposobem nikt ze znajdujących się w interesach z bankiem zmarłego barona trwożyć się niepotrzebował i unikniono wszelkiej katastrofy.

Fryderyk Mūller żywo oceniał wysoką mądrość w tych rozporządzeniach, lecz skoro posłyszał, że ów pokój w którym stała kasa, a który był dotąd jego gabinetem pracy, został aż do nowych poleceń zamkniętym, zbladł nagle i zadrżał. Przypomniał sobie, iż różne papiery zamknięte w tej kasie byłyby mu koniecznie potrzebnemi do uregulowania pewnych rachunków.

Było to jednak daremne. Sędzia śledczy, jak wiemy, dał zobowiązanie Jobin'owi w tym względzie, od którego nie odstąpił, i kasjer musiał odejść, nie otrzymawszy dla siebie wyjątku.

Na chwilę przed wyjściem z pałacu, pan de Faviéres przypomniał sędziemu, że nieprzeczytał listu, oddanego przez barona kamerdynerowi wczoraj wieczorem, a adresowanego do panny Aliny Pradier.

— Masz słuszność! rzekł pan Boulleau-Duvernet, kto wie, czyli ów list nie zawiera czegoś dla nas ważnego.

Rozłamał pieczątkę i czytał:

„Lilino! Ach! jakże byłaś zachwycającą tego wieczora, istny djabełek, mimo żem ci odmówił drobnostki, udzielenia dziesięciu tysięcy franków, jakich odemnie żądałeś.

Ależ ta odmowa była tylko żartem z mej strony, moja gołąbeczko! Na dowód czego idę natychmiast do kasy, do tej mojej grubej kasy, jak ją nazywasz, mimo że już północ minęła, wezmę z niej piętnaście biletów tysiąc frankowych,

najpiękniejszych, najnowszych, jakie odnajdę i przyniosę ci je jutro, o drugiej godzinie, przed pójściem na giełdę.

Ów dodatek pięciu tysięczny będzie nagrodą za żart uczyniony przezemnie. Całuję cię w oba twe śliczne oczęta. Kochający cię na zawsze, twój baron

Nataniel.“

Takiemi były ostatnie wyrazy, nakreślone przez barona Worms, na pięć minut przed zgonem.

IX.

Pamfiliusz Tymoteusz Jobin, liczący dwudziesty siódmy rok życia w kwietniu 1865 roku, którego przedstawiliśmy, był jedynym synem właściciela korzennego sklepu przy ulicy des Deux-Portes-Saint-Sauveur. Ów kupiec, owdowiawszy wcześnie, marzył jedynie o karjerze adwokackiej dla syna. W tym celu młody Jobin uczęszczał na kursa do kolegium, leniwy jednak i ociężały, czuł wstręt do łaciny i greczyzny, natomiast pochłaniał zażarcie romanse złe, dobre i średnie. Rósł tym sposobem w zupełnem umysłowem zaniedbaniu, w zamian czego wyobraźnia chłopca rozwijała się w sposób zdumiewający, podniecana romansami, wytwarzanemi tak przez mistrzów, jako i mniej znanych autorów.

Nęciły go pragnienia okazałego życia high-lifu, konie pełnej krwi, młode kokoty, gra w karty, zakłady, pojedynki i tym podobne.

Pośród tych marzeń różnobarwnych, na jakie poglądał

otwartemi oczyma, Pamfiliusz Jobin przechodził nie zbyt pospiesznie klasy kolegium, z trudnością awansując do wyższych, a nie była to droga, wiodąca do adwokatury, zawierającej w naszych czasach tyle obowiązków do spełnienia, prowadzącej do tak wysokich godności, do ministerjów.

Kończył lat dwadzieścia, gdy jego ojciec umarł skutkiem przeziębienia, zostawiwszy prócz dobrze zaopatrzonego sklepu sto sześćdziesiąt tysięcy franków w papierach procentowych. Jobin, usamowolniony przez radę familijną, znalazł się posiadaczem dziesięciu tysięcy liwrów renty.

Ów skromny dochód pozwolił mu żyć dostatnio, na łonie spokojnej ciemnoty. Lecz młody spadkobierca spostrzegł, że owe banknoty mogą mu posłużyć na środek do uciech wszystkiego rodzaju, jakie niegdyś błyszczały przed jego oczyma podczas czytywania ulubionych romansów.

Wynajął sobie przedewszystkiem w bogatej części miasta mały lokal w antresoli, jaki zapełnił gustownemi meblami. Kupił dwa konie, zgodził lokaja i groma, miał wielu przyjaciół i kilka kochanek.

Nie dziwna przeto, iż w ciągu lat czterech zrujnował się zupełnie. Ileż innych w jego miejscu w ciągu miesiąca byliby stracili te nędzne dwieście tysięcy franków.

Gdy konie wraz z przyjaciółmi i kochankami zniknęły z ostatnim kuponem renty, Jobin sprzedał ruchomości, za jakie dostał tysiąc talarów, schronił się do małego pokoju w drugorzędnym hotelu i po raz pierwszy zapytał sam siebie, z czego mu odtąd żyć przyjdzie?

Jobin zapalił się uniesieniem dla bohaterów,

współczesnej policji owych żyjących narzędzi działań opatrzności. Mówił sobie że nie masz piękniejszej roli ponad pełnienie obowiązku przez tych ludzi, inteligentnych, odważnych, poświęcających swe życie obronie prawdy i sprawiedliwości, stawiających mężnie czoło wszelkim niebezpieczeństwom.

Wzniosłe i romantyczne ich egzystencje, pełne walk i tragicznych wypadków pociągały go niepokonanie. Odkrywał w sobie zdolności, mogące go wyprowadzić na świetne stanowisko, i po długiem rozważaniu, poszedł do naczelnika policji, ofiarując mu swoje usługi.

Śledztwo co do jego poprzedniej działalności nakazanem zostało. Wykryło ono, iż postępowanie Jobin'a. było zupełnie czystem, wolnem od wszelkich podejrzanych czynów. Upoważniono go do rozpoczęcia czynności, a pierwsze sprawy, w jakich dozwolono mu złożyć dowody swej żywej inteligencji i gorliwości w pełnieniu obowiązku, zjednały mu szacunek naczelników i przychylność sądu.

W prefekturze koledzy nazywali go ogólnie „ Binoklem." uważając go jako zdolnego i bystrego chłopca.

Odnalazł właściwą dla siebie drogę, ale laury sławnego niedyś Lecocq'a zasnąć mu nie dawały. Pragnął trafić na jakąś wyjątkową sprawę, jedną z tych ciemnych spraw zagmatwanych, w której wszyscy błądzą, z wyjątkiem policyjnego agenta, wiedzionego instynktem i dobrą gwiazdą, chwytającego pośród ciemności nić sprawy przewodnią. Podobna sprawa może od razu postawić człowieka między pierwszorzędnymi.

Jadąc w stronę Belgji Jobin zapytywał siebie, czyli

zabójstwo barona Worms będzie dla niego tą sprawą?

X.

Podczas, gdy ów agent policyjny oddawał się wyż wymienionemu rozmyślaniu, pociąg biegł szybko ku granicy Belgijskiej.

Noc była dżdżystą i czarną, w chwili, gdy zatrzymał się na ostatniej stacji francuskiej.

Jobin, wysiadłszy wraz z towarzyszącymi sobie kolegami, udał się do komisarza policji, który w przekonaniu, że sąd paryski niezwłocznie rozpocznie działanie, oczekiwał na tejże stacji przybycia agentów.

Pokazawszy upoważnienie, wydane sobie i podpisane przez sędziego śledczego, zapytał Jobin, w jaki sposób dokonano przyaresztowania?

— W sposób najprostszy, odrzekł komisarz, bez hałasu i skandalu, wszystko zrobiło się gładko i szybko. Zaledwie kilku podróżnych zwróciło uwagę na to co zaszło. Wicehrabia de Presles i baronowa Worms znajdowali się sami, w oddzielnym przedziale wagonu. Zadziwiająca dokładność nadesłanych rysopisów, ułatwiła mi wielce zadanie, uniemożliwiając błąd wszelki w tym razie. Nadewszystko baronowa została przezemnie za pierwszym rzutem oka poznaną, po barwie swych włosów i małem znamieniu na lewym policzku“. Pani jesteś baronową Worms, a pan wicehrabia de Présles?“ zapytałem nagle, otworzywszy drzwiczki wagonu. Pobledli oboje i spojrzeli

na mnie z obawą, lecz ani jedno, ni drugie niezaprzeczało swojej tożsamości bo zresztą wszelkie przeczenie z ich strony nie zostałoby przyjętem przezemnie. „Jestem komisarzem policji, powiedziałem. Powierzono mi nader przykrą misję, przerwania państwu podróży. Spełniam rozkazy, nadesłane mi telegrafem z Paryża. Raczcie państwo wysiąść. “

— I wysiedli? pytał Jobin.

— Natychmiast bez żadnego oporu.

— Niepowiedziawszy ani słowa? o nic nie zapytując?

— W najzupełniejszem milczeniu.

— Znać było na nich przestrach jednakże?

— Nie, wydawali mi się tylko mocno przygnębionymi. Baronowa drżała tak silnie, że zaledwie na nogach utrzymać się zdołała. Biedna kobieta! taka powabna, tak pociągająca. Wicehrabia de Presles zarówno nie ma fizjognomji zbrodniarza. Mam nadzieję, iż się rozproszy ciążące na nich podejrzenie. Chodzi tu tylko o mały grzeszek miłosny, jak sądzę.

— Mylisz się pan, odparł Jobin; chodzi tu o morderstwo.

— Co mówisz? zawołał, morderstwo?

— Popełnione na osobie barona Worms przez wicehrabiego de Presles, kochanka jego żony, ze współudziałem tejże. Tak jest niestety, kończył agent. Morderstwo wraz z kradzieżą kilkuset tysięcy franków.

— Ależ to straszne! zawołał komisarz. Ufaj że teraz ludzkim fizjognomiom. I zbrodnia ta dowiedzioną została?

— Nie śmiem odpowiedzieć twierdząco na to zapytanie, rzekł Jobin, mimo, że ciężko obciążające okoliczności

gromadzą się przeciw wicehrabiemu i baronowej. Przyznaję jednak, że i te ciężko obwiniające okoliczności bywają nieraz tak zwodniczemi, jak ludzkie oblicza. Nie utrwaliłem sobie jeszcze przekonania kto spełnił tę zbrodnię. Lecz gdzież są nasi zbiegowie?

— Nie spodziewając się, że posłyszę o takiem morderstwie, a widząc że mam do czynienia z ludźmi wyższego świata, powstrzymałem się od osadzenia ich w więzieniu. Znajdują się w hotelu, tuż obok stacji, rozdzieleni, ma się rozumieć i strzeżeni przez żandarmów. Powiedz, czym źle postąpił?

— Bynajmniej, dobrześ pan uczynił, lecz wicehrabia de Presles miał między swemi bagażami znacznej objętości walizę, czyś pan ją zatrzymał?

— Ma się rozumieć. Waliza tu się znajduje. Jest do twego rozporządzenia, również jak worek podróżny, skórzany, dość ciężki, który wicehrabia miał przewieszony na sobie.

— To najlepsze ze wszystkiego. Jak prędko odejdzie pierwszy pociąg w stronę Paryża?

— Za godzinę, minut trzydzieści pięć, odrzekł komisarz spojrzawszy na zegarek.

— Pojedziemy tym pociągiem, mówił Jobin, a teraz proszę każ mnie pan zaprowadzić do hotelu, w którym znajdują się obwinieni.

— Sam pana zaprowadzę.

Po upływie kilku minut zatrzymali się obaj przed, domem, dość skromnym z pozoru, oberżą raczej niż hotelem, zawierającym na parterze obszerną jadalnię, salę

bilardową i kawiarnię, na pierwszem piętrze zaś, kilka umeblowanych pokoi.

Drewniane prostopadłe schody prowadziły na pierwsze piętro, przecięte w całej długości korytarzem, na jaki wychodziły drzwi ponumerowane. Po prawej mieściły się parzyste numera, nieparzyste po lewej.

Duża okrągła latarnia z zakopconemi szkłami, zawieszona u sufitu, oświetlała korytarz. Dwóch siedzących żandarmów z rękoma na pałaszach opartemi, pełnili straż przy dwojgu drzwiach naprzeciw siebie będących. Podnieśli się, widząc nadchodzącego komisarza.

— Pani Worms zamieszkała pod numerem trzecim, rzekł tenże do Jobina. Pan de Presles, naprzeciw pod czwartym. Nic nowego? zapytał jednego z obecnych żandarmów.

— Nic, panie komisarzu, odrzekł zapytany, salutując po wojskowemu. Więźniowie rozdzieleni nie stawiają władzy najmniejszego oporu. Panicz pod 4-tym numerem, przechadzał się po pokoju wzdłuż i wszerz, przez dwie godziny. Gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, usiadł i nieporusza się wcale. Dama z pod numeru 3-go jest spokojną, tak że nie daje znaku życia. Sądziliśmy że śpi, a ona łkała od czasu do czasu, tak gorzko i serdecznie, że aż człowieka przenikało do głębi. W rozkazie było poleconem, ażeby ich nie pozbawiać pokarmu, przyniesiono im wieczerzę, lecz wątpię aby czegośkolwiek dotknęli.

— Panie komisarzu, rzekł Jobin, ja wejdę do baronowej.

— Chcesz, ażebym ci towarzyszył?

— Nie, wołałbym raczej wejść sam, jeżeli pan na to pozwolisz.

— Wejdź! Przedstawiasz tu sąd i prefekturę, jesteś wyłącznym panem swych działań.

Agent, ukłoniwszy się, wszedł pod numer 3-ci i przymknął drzwi za sobą, nie zamykając ich jednak zupełnie.

Świeca płonąca po nad kominkiem w mosiężnym lichtarzu, oświetlała słabo ów pokój, nader skromnie umeblowany. Baronowa siedziała zwrócona do drzwi plecami, a wsparłszy obie ręce na stoliku, zakrywała twarz niemi.

Obok na talerzach stało nietknięte jedzenie. Na łóżku leżał rzucony kapelusz podróżny i wielki szal indyjski o którym przy określeniu ubioru swej pani wspominała Hortensja. Obcisły stanik czarnej jedwabnej sukni uwydatniał kształtne kontury postaci młodej kobiety. Rozrzucone sploty jej popielatych włosów rozsypywały się w nieładzie po ramionach, zwiększając jej piękność.

Baronowa siedziała do tego stopnia nieruchomie, iż sądzić można było że usnęła.

Na szmer źle spojonych desek podłogi, jakie zatrzeszczały pod butami Jobin’a, obróciła się nagle a spostrzegłszy stojącego w pobliżu młodego mężczyznę w postawie pełnej poszanowania, składającego jej ukłon, podniosła się i odkłoniwszy z lekka, oczekiwała na rozpoczęcie rozmowy.

Na kilka godzin przed tem, jak przypominają sobie czytelnicy, Jobin, z natężoną uwagą śledził portret baronowej, umieszczony w jej sypialni i odfotografował go, że tak powiemy, w najdrobniejszych szczegółach w swojej

pamięci.

Obecnie, spostrzegłszy stojący naprzeciw siebie oryginał tego portretu, wpatrywał się weń ciekawie, stwierdzając zadziwiające podobieństwo malowidła i modelu, zdumiewając się, ażeby jeden dzień troski i boleści mógł sprawić podobne spustoszenie na owej młodej, tak wielce powabnej postaci.

Były to też same czyste, regularne rysy twarzy, ale zmienione, uwiędłe prawie pod naciskiem zgryzoty.

Matowa białość policzków, z lekka zabarwionych rumieńcem, zupełnie prawie zniknęła. Na przeźroczysto bladej cerze twarzy, dawały się dostrzedz miejscami plamy sinawe. Na nabrzmiałych, zaczerwienionych powiekach młodej kobiety widniały czarniawe obwódki, jakby podkreślone ołówkiem. Rodzaj mgły pochodzącej z łez, bezustannie wylewanych, przyćmiewał blask jej ciemno błękitnych oczów. Purpura ust pobladła.

Stojąc nieruchoma i niema, Walerja Worms w swej czarnej sukni, z utkwionem przed siebie spojrzeniem, rozpuszczonemi włosami, zdawała się być ujawnieniem trwogi i boleści. Pozostała mimo to piękną, lecz piękną jak męczennica, a nie obwiniona.

Nie uszło to uwagi Jobin’a, który wiedząc dobrze, że kobiety stosownie do okoliczności umieją układać fizjognomię z wyższym talentem po nad najbieglejszego aktora, był przekonanym, że owa zbiegła była zbyt młodą jeszcze, aby módz zostać tak wytrawną komedjantką w podobnie groźnych okolicznościach.

— Mamże zaszczyt mówić z panią baronową Worms?

zapytał.

— Jestem w rzeczy samej baronową Worms, odpowiedziała Walerja. A pan kto jesteś?

— Jestem agentem jednego z oddziałów Paryskiej policji, delegowanym przez prefekta na rozkaz prokuratora Rzeczypospolitej.

Posłyszawszy wyrazy: „agent jednego z oddziałów Paryskiej policji, prefekt, prokurator“, pani Worms zachwiała się tak silnie, że zmuszoną była wesprzeć się ręką o poręcz krzesła stojącego w pobliżu aby nie upaść. Po kilku minutach, pokonawszy owo wzruszenie zapytała?

— Cóż pan chcesz odemnie?

— Mam rozkaz zawieźć panią do Paryża.

— Kiedy?

— Bezzwłocznie, tej nocy.

Drżenie konwulsyjne opanowało powtórnie baronową.

— Do mego męża, nieprawdaż? wyjąknęła z przerażeniem. Ach! na imię nieba zaklinam, wszystko na świecie, wszystko! aby nie to! Przewiniłam, tak! srodze przewiniłam, przyznaję, mimo że nie jestem tak dalece winną jak się wydawać to może. Mój błąd jest winą w oczach świata, zbrodnią nawet może w obec prawa. Zasłużyłam na ukaranie. Niech na mnie wyrok wydadzą, niechaj mnie zamkną w więzieniu, lecz odprowadzić mnie do mego męża, oddawać mnie jemu, panie! to byłoby nazbyt okrutnem! Ach! gdybyś pan wiedział ilem wycierpiała, ulitowałbyś się nademną! Wolałabym umrzeć natychmiast, niż się ukazać przed panem Worms! Gdy nie miał mi nic do zarzucenia, byłam już wtedy tak

nieszczęśliwą! a teraz gdym zawiniła przeciw niemu. Ach! on w to uwierzy, wierzyć będzie niezachwianie. Boże! co czeka mnie teraz?

Jobin zadrżał na te wyrazy.

Niepodobieństwem było, aby go oszukiwano w tyle ważnej chwili. Łzy które płynęły strumieniem z oczu pani Worms, niemogły być udanemi łzami. Widocznie owa kobieta obezwładniona, złamana boleścią, ta kobieta którą drżenie przestrachu wstrząsało od stóp do głowy, która wyciągała ku niemu swe ręce błagalnie, ona nie grała komedji!

Agent uczuł, jak owo zwątpienie pojawiające się przed nim w pierwszych chwilach śledztwa owładać nim powtórnie zaczęło.

Baronowa nie była winną tej zbrodni. Nie wiedziała nawet że morderstwo spełnione zostało. Wierzy w to, że jej mąż żyje. Przekonanie to utrwalało się w umyśle agenta, wszak nic na jego twarzy odgadnąć myśli tego człowieka nie dozwalało.

— Widzę, że pan baron, zaczął po chwili, wzbudza głęboki wstręt w pani?

— Tak, nienawidzę go! to prawda.

— Masz pani zapewne ważne powody do uskarżania się na niego?

— Ja się nie uskarżam, uważałabym to za zbyt niegodne dla siebie i żałuję, że okrzyk rozpaczy wybiegł pomimowolnie z ust moich. Posłyszawszy, że pan chcesz mnie odprowadzić do domu mojego męża, nie byłam w stanie zapanować nad sobą!

— Nie mam prawa badania pani więcej, odrzekł Jobin, lecz widzę, że pani jesteś bardzo nieszczęśliwą! Niewiedziałaś więc pani, że wtedy, gdy wspólne pożycie nie do zniesienia ciężkiem się staje, jest sposób uchronienia się odeń. Istnieją środki prawne, legalne.

— Jakie?

— Dajmy na to separacja sądowa.

— Separacja, zawołała pani Worms, a! mój mąż nigdy by się na to nie zgodził! Znam go ja dobrze i dla tego to uciec postanowiłam. Nie udało mi się to obecnie, śmierć tylko może rozkruszć moje więzy!

— Śmierć barona Worms, nieprawdaż? zapytał Jobin, wlepiając nieruchomie wzrok w baronową, jedno z tych spojrzeń, przenikających do głębi duszy.

— Nie ja mówię o śmierci, odpowiedziała młoda kobieta. Niech mnie Bóg uchowa pomimo wszystko com wycierpiała, bym miała życzyć nieszczęścia człowiekowi, którego noszę nazwisko.

Odpowiedź tę wygłosiła z takim oddźwiękiem szczerości, że Jobin uczuł się być do głębi wzruszonym.

— Powiedziałaś mi, pani, rzekł po krótkim przestanku, że pan baron nie zezwoliłby na rozłączenie?

— Tak, jestem tego pewną.

— Jak sądzić więc mogłaś pani, że po ucieczce ścigać cię nie będzie?

— Panie, przysięgam, że ani na jedną chwilę nie postawiłam sobie tego zapytania, lecz spodziewałam się, że stanąwszy na obcej ziemi, zatracę ślad wszelki za sobą, żyjąc w ukryciu, pod zmienionem nazwiskiem.

Zamierzyłam podróżować wiele, szukać długo miejsca, zanim wybiorę dla siebie schronienie, w którembym zniknęła na zawsze!

— Ależ to drogo kosztuje taka koczownicza egzystencja, mówił agent. Wicehrabia de Presles bogatym być musi bezwątpienia.

Fala krwi uderzyła z serca na twarz baronowej i okryła ją rumieńcem.

— Nie wiem, odpowiedziała, to mnie nie obchodził Pan de Presles ofiarował mi tylko swoje usługi i poświęcenie. Nic więcej od niego bym nieprzyjęła, on dobrze wie o tem.

— Zatem pani musisz posiadać osobiste znaczne środki pieniężne? Gdy się opuszcza swój kraj bez nadziei powrotu, zabiera się z sobą natenczas zwykle grube sumy!

— Zabrałam to, panie, odpowiedziała, wskazując leżącą na krześle skromną torbę podróżną, o jakiej Hortensja mówiła sędziemu śledczemu.

Tu, nacisnąwszy sprężynę, wyjęła z torby kilka pudełek z klejnotami, jakie otworzyła. Były tam różne garnitury biżuterji, brylanty, perły, rubiny wielkiej wartości.

— Ach! te przeklęte klejnoty! zawołała. Miałam je prawo zachować, są one wyłączną moją własnością. Pan Worms umieścił je w koszyczku narzeczonej, jaki mi ofiarował w wigilję owych nieszczęśliwych zaślubin. Zapisane są one w kontrakcie, więc mogę niemi rozporządzać dowolnie. Tenże sam kontrakt przyznaje mi na własność sumę trzysta tysięcy franków, lecz niechcę się o to upominać. Nie, niechcę, o nic się nigdy nie zgłoszę.

— Dlaczego? Może owe trzysta tysięcy franków

stanowiły posag pani?

— Nie. Byłam ubogą, zupełnie ubogą! Nic nie wniosłam, jak tylko samą siebie, niestety!

— Lecz baron Worms, przyznawszy pani te trzysta tysięcy franków, okazał wielką wspaniałomyślność, wysoką szlachetność charakteru.

— Tak, masz pan słuszność, wyszepnęła Walerja, opuszczając głowę, był on szczodrobliwym.

— Racz mnie pani posłuchać, zaczął po chwili Jobin, i zechciej się czemśkolwiek posilić. Będziesz pani potrzebowała wiele siły do zniesienia oczekujących panią utrudzeń. Za godzinę odjedziemy.

— Do Paryża? powtórzyła baronowa ze drżeniem.

— Tak, pani, do Paryża. Wydano mi polecenia, jakie spełnić muszę.

— Niech i tak będzie, poddaję się temu, odpowiedziała, skoro inaczej być nie może. Wiem jednak, że istnieje dom jakiś w którym zamykają dopóki sprawiedliwość nie wyda wyroku, kobiety, mnie podobne, winne z pozoru, które zapomniały o swoich obowiązkach. Jakkolwiekbądź srogiem i smutnem byłoby życie w tym domu, błagam jak o łaskę zaprowadź mnie pan tam. Wszak to od pana zależy, nieprawdaż?

— Nie pani. Jestem niczem więcej, jak tylko posłusznem narzędziem, odbieram rozkaz jak żołnierz i jak żołnierz go wypełniam. Jutro, czyli raczej dziś jeszcze, bo już jest po północy, staniesz pani przed urzędnikiem, który rozstrzygnie o pani losach.

— Czy ów urzędnik będzie na mnie oczekiwał przed

mojem widzeniem się z mężem i w nieobecności tegoż? zapytała baronowa.

— Bezwątpienia!

— A więc, opowiem mu wszystko, on ulituje się nademną. Dobrze pan mówisz. Potrzeba zebrać mi siły. Usłucham pana.

Tu wzięła kawałek chleba z mięsem z talerza.

— Wdzięcznym pani jestem za przyjęcie mej rady, rzekł, kłaniając się Jobin. Za chwilę przyjdę po panią.

I zwrócił się ku drzwiom.

— Jeszcze słowo, wyrzekła pani Worms.

Agent powrócił.

— Wydajesz mi się pan być dobrym człowiekiem, zaczęła Walerja, zechcesz więc może pomimo całego rygoru odpowiedzieć na jedno moje zapytanie.

— Jeśli tylko będę, mógł uczynić to bez narażenia się władzy.

— Powiedz mi pan więc, proszę. Pan de Presles w niczem tu nieprzewinił. Jest on wolnym, nieprawdaż?

— Z przykrością zmuszony jestem oznajmić, iż znajduje się on w tej samej, jak pani sytuacji.

— Uwięziony dla mnie, z mojej przyczyny? zawołała pani Worms, załamując ręce, Boże, mój Boże! Ileż kosztować go będzie to jego szlachetne dla mnie poświęcenie. Pozwól mi pan przynajmniej z nim pomówić.

— Nie mogę, wszelka, rozmowa pomiędzy panią a panem de Presles jest najsurowiej wzbronioną!

— Jakto? nawet w pańskiej obecności? Chciałabym mu powiedzieć tylko jedno słowo, jedno, jedyne, które pan

słyszeć będziesz.

— Nie nalegaj, pani, przerwał agent. To, o co pani, prosisz jest niepodobieństwem, postawiłoby mnie to w konieczności nie wypełnienia rozkazu, który ściśle wykonać jestem obowiązany.

To mówiąc Jobin ukłonił się i wyszedł.

Komisarz, oczekujący w korytarzu pytał go ciekawie:

— No i cóż? dowiedziałeś się czego? Wyznała ci coś ta młoda dama?

— Poważam się zwrócić uwagę pana komisarza, rzekł agent, iż nie upoważniono mnie do prowadzenia żadnych badań. Czynność moja ogranicza się na przedwstępnem zwykłem sądowem postępowaniu. Wspomniona więc sprawa ani na krok się nie posunęła. Pozwól mi pan pójść teraz do pana Presles.

Jobin wszedł do pokoju pod numer 4-ty.

Gilbert de Presles, jak o tem mówił żandarm, przebiegając gorączkowo pokój przez czas długi, rzucił się wreszcie na krzesło znużony. Skoro wszedł Jobin, podniósł się i zbliżył ku niemu.

— Panie, zawołał, zbliżając się do Jobin’a, od wielu godzin, od pierwszej chwili mego niewyjaśnionego przyaresztowania, spotykam ludzi, którzy nie wiedzą lub niechcą mi nic powiedzieć. Jeżeli pan coś wiesz, powiedz mi proszę, za co i dla czego uwięziony zostałem?

Jobin utkwił w obliczu pana des Presles toż samo badawczo spojrzenie, za pomocą którego poprzednio pragnął wniknąć w głąb duszy baronowej.

Wicehrabia nie spuścił wzroku.

— Zapytujesz mnie pan o powód przyaresztowania? rzekł zwolna agent. Zdaje mi się, iż lepiej niż każdy kolwiekbądź inny pan znać to winieneś?

— Przysięgam na honor, nic niewiem.

— Na honor, doprawdy? odparł Jobin z ironją.

— Ach! zawołał Gilbert, pan mi nie wierzysz?

— Tak jest, nie wierzę!

Usłyszawszy owo, tyle ubliżające sobie zaprzeczenie, pan de Presles zawrzał gniewem, zapomniawszy o swej sytuacji. Oburzył się w nim człowiek z wyższego świata. Oczy mu się zaiskrzyły.

— Panie! zawołał z groźbą, podchodząc do agenta, stojącego nieruchomie, panie, powtarzam strzeż się pan!

— Radzę panu mówić mniej głośno, odparł Jobin.

Wicehrabia, wspomniawszy na otaczające go okoliczności, nieco się uspokoił.

— Któż pan jesteś? zapytał wyniośle, mierząc wzrokiem przybyłego.

— Jestem agentem paryskiej prefektury.

Wymówiwszy pogardliwym tonem tę monosylabę, pan de Presles usiadł, zwróciwszy się plecami do mówiącego.

Nastąpiła chiwila milczenia.

Jobin patrzył z rodzajem politowania na tego pięknego młodzieńca, którego całe zachowanie się znamionowało w nim człowieka z wyższych sfer społeczeństwa.

— Czyż w taki sposób przedstawia się winny? zapytywał sam siebie. Jeśli on rzeczywiście zabił barona Worms, jest mistrzem w sztuce udawania.

Wicehrabia zarówno sobie powtarzał:

— Jestem pozostawiony łasce i niełasce tego agenta, jeżeli go urażę pogardą, zemścić się może, nie tylko na mnie ale i na baronowej. Należy go oszczędzać zarówno dla siebie, jako i przez wzgląd na nią.

Powstawszy z krzesła, zwrócił się do Jobina.

— Upewniałem pana przed chwilą, zaczął spokojnym tonem, że niewiem powodu mego przyaresztowania; jest to najczystszą prawdą, niepodobna mi nawet przypuścić, ażeby pan Worms, powiadomiony, niepojmuję jakim sposobem o mej obecności w pociągu, którym jechała jego żona, mógł sądzić iż było to rzeczą naprzód uplanowaną i ztąd aby mógł wnieść skargę przeciw nam obojgu? Podobne przypuszczenie byłoby tak dla mnie jako i baronowej ciężką obelgą!

— Jestżeś pan pewnym zarówno, odparł Jobin, że traf o jakim pan mówisz, sprowadził pana wraz z panią Worms o północy do „hotelu Brabant,“ jadących w jednym powozie?

— Ach! zawołał Gilbert z głosem pełnym rozpaczy, i o tem więc także panu Worms doniesiono? Zatem ta nieszczęśliwa kobieta jest zgubioną! A jednak przysięgam panu na moją duszę, że ona nie jest winną. Ach! ten Niemiec, on będzie dla niej bez litości!

— Przyznasz pan jednak, że niewinność pani Worms w podobnych okolicznościach, wyrzekł z uśmiechem Jobin, musi wydać się jej mężowi podejrzaną.

— E! odparł wicehrabia, pozory często mylą, pan o tem wiesz najlepiej, śledząc zbrodnie różnego rodzaju. Zresztą gdyby baron uważał się być obrażonym przezemnie, jestem na jego rozkazy. Niechaj mnie zabije, jeżeli pragnie krwi

dla zmycia plamy, wytworzonej w jego wyobraźni, lecz niech nie zobelża swej żony, bo ona nieprzeżyłaby podobnie skandalicznego procesu.

— Ha! wyszepnął Jobin, o tyle jednak głośno, że został posłyszanym przez pana de Presles, gdyby tu rzeczywiście chodziło tylko o proste uwiedzenie żony.

Wicehrabia spojrzał ze zdumieniem.

— Gdyby chodziło o proste uwiedzenie? powtórzył, jest więc jeszcze coś innego? Co, co takiego. Mów proszę!

— A kasa otwarta, zrabowana, zniknione banknoty, jestże to niczem, drobnostką, pan sądzisz?

— Spełniono więc kradzież? zawołał de Presles.

— Więcej niż na czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków. Piękna suma, nieprawdaż?

— I ja jestem posądzony o ową kradzież? Jestem przytrzymany jako złodziej?

— A o cóż innego mógłbyś pan być oskarżonym i za co przyaresztowanym?

Okrzyk przerażenia wybiegł z piersi Gilberta de Presles. Oblał się rumieńcem, a potem zbladł, i zachwiawszy się, jak uderzony nagłym ciosem w głowę, omal nie upadł na ziemię.

Jobin podbiegł, aby go podtrzymać. Nie było potrzeby. Nastąpiła natychmiastowa reakcja. Wicehrabia odzyskał krew zimną, podniósł głowę z dziwnym uśmiechem i rzekł:

— Nie! to nazbyt głupie, bezsensowne przypuszczenie. Chybia się celu, gdy się przechodzi po za granicę prostego rozumu. Baron zaślepiony w swej nienawiści, pragnie mnie skalać, znieważyć. Niech pomni jednak, że hańba ta spadnie

na jego własną głowę!

— Cóż pan więc sądzisz? zapytał Jobin osłupiały na powyższe wyrazy wicehrabiego.

— Sądzę, że pan Worms, okradł sam siebie, by mieć zasadę do rzucenia na mnie oskarżenia. Jestem wszelako spokojny. Sprawiedliwość wyświetli ową nikczemność. Cóż pan teraz z nami uczynić zamierzasz?

— Zawiozę państwa do Paryża.

— Jak prędko?

— Za chwilę.

— Tem lepiej. Radbym jak najspieszniej znaleść się w obecności sędziego, prowadzącego tę sprawę. Czy mogę pomówić z panią Worms?

— Niepodobna.

— Mamy więc oddzielnie podróżować?

— Tak, w dwóch oddzielnych wagonach, a przed wyjazdem pozostaje mi jeszcze przykry obowiązek do spełnienia.

— Jaki? pytał de Presles.

— Upewnić się muszę, czy pan nie masz jakiej broni, przy sobie ukrytej.

Wicehrabia rzucił się gniewnie.

— To znaczy, że pan chcesz mnie zrewidować, zapytał głucho.

— Jest to koniecznem, niezbędnem.

— Poczynaj więc pan.

Agent przesunął z lekka rękami po ubiorze młodzieńca i nie znalazł nic podejrzanego.

— Dwóch moich podwładnych, będą panu towarzyszyli

w podróży, wyrzekł po chwili, mam nadzieję iż na brak grzeczności z ich strony pan się uskarżać nie będziesz. Ale ostrzegam pana, nie zadawaj im żadnych zapytań, ponieważ otrzymali najściślejszy rozkaz unikania rozmowy. Dodam zarówno, iż wszelkie usiłowania z pańskiej strony w celu wyswobodzenia się z pod nadzoru, byłyby daremnemi i mogłyby tylko pogorszyć pańskie położenie.

Pan de Presles na to wszystko wzruszył ramionami i Jobin wyszedł z pokoju najmocniej przekonany, że wicehrabia nie zabił barona Worms; wszak jednocześnie zapytywał siebie, w jaki sposób mógłby dowieść niewinności jego w tej zbrodni, jeżeli rzeczywiście jej nie popełnił?

Daremnie szukał punktu, rozstrzygającego ową zagadkę.

Komisarz powiadomił go, że czas już udać się na stację aby zdążyć na pociąg, jadący do Paryża.

Jobin wyszedł pierwszy z hotelu wraz z panią Worms, która przygnębiona trwogą i zgryzotą, zmuszoną była wesprzeć się na jego ramieniu by przebyć przestrzeń kilkudziesięciu kroków. Następnie wyszedł wicehrabia, eskortowany przez dwóch policjantów, a po za niemi nieco w oddaleniu dwóch żandarmów.

Kazano mu czekać na platformie.

Napróżno szukał wzrokiem baronowej, nie spostrzegł jej wcale. Jobin ją zaprowadził do biura, zawiadującego stacją, by uchronić tę młodą kobietę przed wzrokiem ciekawych.

Pociąg nadjechał, lecz w żadnym z przedziałów miejsca wolnego znaleść nie było można, dodano więc wagon na żądanie komisarza policji.

Pan de Presles zajął miejsce w pierwszym przedziale, wraz z agentami. Jobin zaprowadził baronową do drugiego i usiadł naprzeciw niej.

Przy słabem świetle lampki, zawieszonej u góry, nie mógł dojrzeć jej twarzy przysłoniętej gęstą woalką, lecz całe jej zachowanie się wyrażało tak głęboką rozpacz, że uczuł prawdziwą litość dla nieszczęśliwej.

Przez całą drogę pani Worms płakała bezustannie, a Jobin układał sobie w myślach wytyczne punkta przeciwśledztwa, jakie postanowił rozpocząć na własny rachunek, niezależnie od prowadzonego przez pana Boulleau-Duvernet.

Przybyli wreszcie do Paryża. Jobin wysłał depeszę do kogo należało. Dwa fiakry na stacji oczekiwały. Wicehrabia z żandarmami wsiadł do jednego z nich, pani Worms z Jobin'em do drugiego i oba powozy wyruszyły w stronę Conciergerie.

Osadziwszy tu uwięzionych, nie dając sobie nawet czasu do pójścia na śniadanie, pobiegł do pałacu sprawiedliwości, i kazał powiadomić pana Boulleau-Duvernet iż oczekuje na jego polecenia.

Sędzia nie dał długo na siebie oczekiwać i natychmiast po ukończeniu badania, w jakiem przewodniczył, kazał wprowadzić przybyłego.

— No i cóż, Jobin? zapytał. Nieopóźniłeś się ani o minutę. Jesteś wcieloną ścisłością, to dobrze! Jakąż mi przynosisz wiadomość? Wicehrabia i baronowa pod pierwszem wrażeniem tak niespodziewanego przyaresztowania, wyznali zapewne swą zbrodnię?

— Nie, panie sędzio, nic nie wyznali, nawet grzechu uwiedzenia, czemu pani Worms zaprzecza najusilniej.

— Jakież było ich zachowanie się?

— Jak bywa ludzi uczciwych, oskarżonych niesprawiedliwie.

Tu opowiedział w krótkości sędziemu znane nam już szczegóły. Gdy skończył, pan Boulleau-Duvernet potrząsnął głową wołając:

— Tam do pioruna! z nielada jak widzę silnymi przeciwnikami walczyć nam przyjdzie.

— Panie sędzio, zaczął nieśmiało Jobin, nie wiem doprawdy jak mam wyrazić moje przekonanie, lecz zdaje mi się, że ztąd pochodzi ta ich siła, ponieważ są niewinnymi.

Boulleau-Duvernet cofnął się nagłe.

— Co, co? zawołał, co mówisz?

Jobin powtórzył poprzednio wyrzeczone słowa.

— Ależ to szaleństwo! rzekł sędzia. Posiadamy przeciwko nim całe stosy dowodowi Wszystko ich obwinia, wszystko !

— Wiem o tem, dla tego to powtarzam raz jeszcze, jestem najmocniej przekonanym, że nie są winnymi.

XI.

Pan Bolleau-Duvernet wzruszył ramionami.

— Miej się na baczności Jobin, ostrzegam, wyrzekł poważnie. Agent policyjny winien przedewszystkiem

unikać złudzeń i paradoksów. Widzę że stoisz na fałszywej drodze. Chcesz przeczyć oczywistości, o jakiej człowiek ze zdrowemi zmysłami nie może wątpić na chwilę.

— Lecz panie sędzio, zaczął Jobin.

— Dość! przerwał tenże surowo. Nie mam ni czasu, ni chęci do dyskutowania z tobą. Zostałeś owładnionym, jak dziecko przez ludzi, których w ciągu dziesięciu minut znagłą do wyznania zbrodni. Gdzie jest waliza pana de Presles?

— W sądowej kancelarji.

— Cóż się w niej znajduje?

— Woreczek z biżuterją baronowej i torba podróżna wicehrabiego.

— Cóż jest w tej torbie?

— Nie wiem. Jest na klucz zamkniętą, a ponieważ zabraną została panu de Presles w chwili jego przyaresztowania, sądziłem, iż nie należy mi jej otwierać, aż w obecności pana sędziego.

— Przynieś te przedmioty i złóż je na mojem biurku. Powiedz mi od jak dawna zostali oboje zaaresztowani i czy nie porozumiewali się z sobą, jakem cię o to upominał.

— Nie zamienili z sobą ani jednego wyrazu.

— Dobrze! Idź do Conciergerie i rozkaż w mojem imieniu aby mi natychmiast dostawiono wicehrabiego de Presles, a sam zaczekaj na dalsze moje polecenia. Możesz mi być potrzebnym lada chwila.

Jobin niezadowolony, iż go tak źle zrozumiano, ukłonił się i wyszedł.

W dziesięć minut później Gilbert de Presles wszedł do

gabinetu pana Boulleau-Duvernet.

Sędzia, wskazawszy ręką krzesło, stojące przed biurkiem, rzekł:

— Usiądź pan!

Gilbert spełnił polecenie.

— Panie, zaczął głosem, jakiemu napróżno dźwięk zwykły nadać usiłował, agent policyjny, wysłany wczoraj za pańskim rozkazem dla przyaresztowania mnie, dał poznać, że ciąży na mnie haniebne podejrzenie. Oskarżony jestem o kradzież! Zachodzi tu jakaś przerażająca pomyłka, jakieś straszliwe nieporozumienie.

Spieszę usprawiedliwić się z tyle niepodobnego zarzutu co najrychlej!

— Proszę zaczekać na zapytania, przerwał oschle sędzia. Panie pisarzu, pisz pan, dodał, zwracając się do siedzącego urzędnika. Po chwili Boulleau-Duvernet rozpoczął badanie.

— Pańskie nazwisko? zapytał.

— Gilbert, Ireneusz, wicehrabia de Presles.

— Wiek?

— Lat dwadzieścia siedm.

— Jesteś pan żonatym.

— Nie, kawalerem.

— Gdzie pan się rodziłeś?

— W zamku de Presles, w Pikardji.

— Zamek ten należy do pana?

— Został sprzedany przed piętnastoma laty, z chwilą nastąpionej likwidacji interesów.

— Gdzie pan mieszkasz?

— W Paryżu, Neuve des Mathurins Nr. 21.

— Czem się dotąd zajmowałeś?

— Uczęszczałem na kursa prawa i zdałem egzamina. Jestem adwokatem.

— Nie jesteś pan jednak zapisanym na tablicy porządkowej?

— Nie jestem i nigdy nie byłem.

— Cóż pan więc robisz?

— Nic.

— Jesteś bezczynnym. Musisz więc pan posiadać majątek?

— Bardzo mały. Mój ojciec stracił wszystko prawie na nieszczęśliwych spekulacjach. Odziedziczyłem tylko pięćdziesiąt tysięcy franków.

— To daje dwa tysiące pięćset liwrów renty. Z tak szczupłym funduszem trudno prowadzić światowe życie, jakie pan prowadzisz.

— Jeden z bliskich krewnych, mój wuj, markiz de Faverne, przychodzi mi z pomocą, wypłacając roczną pensję w ilości tysiąca talarów.

— Lecz czyż te pięć tysięcy pięćset franków wystarczają panu na konieczne potrzeby życia i koszta, eleganckiego pańskiego ubrania?

— Mam wiele znajomości pośród wyższego świata. Grywam szczęśliwie w wista.

— A! pieniądze z gry. I pan je rachujesz pomiędzy swoje dochody?

— Dla czego nie?

Nastąpiła chwila milczenia, poczem sędzia śledczy, patrząc w oczy panu de Presles, rzekł nagle:

— Pan jesteś kochankiem pani Worms?

Gilbert drgnął i zaczerwienił się.

— Nie, panie! odparł stanowczo. Nie, po sto razy nie! Pan znieważasz tę najuczciwszą z kobiet!

— Zaprzeczasz więc pan oczywistości?

— Gdzież jest ta oczywistość? wskazać mi proszę! Zachowuję dla pani Worms głęboką życzliwość, poszanowanie i poświęcenie bez granic. To głośno wyznaję i szczycę się z tego, lecz niepozwolę nikomu odnajdować czegośkolwiekbądź plamiącego w moich stosunkach z tą zacną kobietą!

— Powiedz mi pan proszę, badał dalej sędzia, na czem spędziłeś onegdajszy wieczór, począwszy od jedenastej godziny? Uprzedzam pana, by ci oszczędzić bezużytecznych wybiegów, że szczegółowe spędzanie przez ciebie tego czasu, wiem co do minuty.

— Dlaczego więc pytasz mnie pan o to?

— Nie przybyłeś pan tu ażeby mnie badać, lecz aby odpowiadać, zawołał groźnie sędzia. Odpowiadaj więc!

— A zatem, panie, wyjąknął wicehrabia, przybyłem w powozie, nieco przed północą, do furtki ogrodowej, znajdującej się po za pałacem barona Worms. Wszedłem do tego ogrodu.

— Miałeś pan klucz od tych drzwi?

— Miałem go, odparł Gilbert zaledwie dosłyszanym głosem.

— Otrzymałeś go od baronowej, ma się rozumieć, a ten ten klucz otwierał ci nie tylko ogród, ale i dom i sypialnię żony bankiera.

— Fałsz! zawołał Gilbert. Nigdy ani razu, przysięgam, nie przestąpiłem w nocy progów tego pałacu.

— Zatem, pan twierdzisz, że twoje nocne schadzki z panią Worms miały miejsce w ogrodzie?

— Tak panie, z różnicą, że to, co pan nazywasz schadzką, było tylko poufną pogadanką, trwającą kilka minut zaledwie.

— Powróćmy jednak do onegdajszego wieczora, zaczął sędzia. O północy znajdujesz się pan w ogrodzie. Baronowa przychodzi aby połączyć się z panem, wszakże tak

— Tak, panie.

— Cóż potem nastąpiło?

— Odprowadziłem panią Worms do powozu, który nas zawiózł do „Hotelu Brabant“ gdzie wziąłem dwa pokoje. Baronowa noc przepędziła w jednym z tychże a z rana wsiedliśmy razem na pociąg, jadący do Brukselli.

— Tym sposobem uwiozłeś pan żonę bankierowi i utrzymujesz, że pomiędzy tobą a tą kobietą istniały jedynie przyjacielsko braterskie stosunki.

— Utrzymuję, ponieważ jest to prawdą.

— Dla czego więc ją pan uwiozłeś?

— Ażeby ją wyswobodzić z opłakanej egzystencji, narzuconej jej przez męża, w jakiej pomimo całej bohaterskiej odwagi wytrwać dłużej nie była w stanie.

— Zatem pan Worms unieszczęśliwiał swą żonę?

— Tak, panie.

— W jaki sposób?

— Wszelkiemi jakie istnieją sposobami. Upokarzał ją z przerażającem okrucieństwem, wyrzucał jej w najbardziej

gminnych wyrazach, że ją zbogacił, zaślubiając. Utrzymywał stosunki z kobietami najniższej kategorji i do tego stopnia posuwał swoją bezczelność, że te zhańbione istoty sprowadzał w głąb małżeńskiego domostwa.

— Stawiasz pan ważne dowody, w rzeczy samej, rzekł Boulleau-Duvernet, ale jak dotąd nie zostały one potwierdzonemi.

— Są to fakta publicznie znane, odparł Gilbert de Presles. Skandale, o jakich mówię, po kilkakrotnie się powtarzały. Sam nawet byłem świadkiem jednego z podobnych.

— Dobrze. Śledztwo to wykaże. Według słów pańskich, odegrywałeś pan rolę bezinteresownego pocieszyciela. pani Worms?

— Tak panie.

— Trudno uwierzyć, ażeby człowiek, tak jak pan młody, nie uczuł dla tyle pięknej i nieszczęśliwej kobiety głębszego uczucia po nad prostą przyjaźń.

— Nie analizowałem tego, co się we mnie działo, rzekł wicehrabia. Wiedziałem tylko, że mój najwyższy szacunek dla baronowej dorównywał mej dla niej życzliwości i poświęceniu bez granic. Oto wszystko, panie!

— Jakie pan miałeś nadal zamiary, gdyby ci się udało dostać na obczyznę? badał dalej sędzia.

— Postanowiłem podróżować z panią Worms, oboje pod przybranemi nazwiskami, a podróżować tak długo, dopóki wszelkie ślady za nami zatraconemi by nie zostały, a następnie, umieściwszy baronową w jakiem odosobnionem schronieniu, poświęcić dla niej moje życie.

— Niezmiennie w sposób platoniczny?

— Tak, panie. Obecnie wydaje się to panu być nieprawdopodobnem, skoro jednak poznasz pan tę, o której mówimy, łatwo zrozumiesz, o ile czystem być może uczucie przez nią wzbudzone!

— Mówiłeś pan o długich podróżach i o jakiejś w ukryciu tajemniczej egzystencji. Czy jednak można się puszczać daleko z kilkoma tysiącami franków? jakiemi pan rozporządzałeś?

— Pani Worms zabrała z sobą klejnoty wysokiej wartości, łatwe do spieniężenia!

— A! zatem pan postanowiłeś żyć z osobistych dochodów baronowej?

Żywy rumieniec oblał purpurą blade policzki wicehrabiego.

— Panie, zawołał, cóż uczyniłem, byś mnie traktował w podobnie poniżający sposób. Być na koszcie kobiety! Jakiem prawem posądzasz mnie pan o taką nikczemość?

— Odpowiadać proszę! zaczął surowo Boulleau-Duvernet, na jakie źródła dochodu pan rachowałeś?

— Miałem swe własne pieniądze.

— Ile?

— Blisko pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Gdzie są te pieniądze?

— W mojej torbie podróżnej, jaką mi zabrano w chwili przyaresztowania.

Sędzia zdjął z biurka torebkę skórzaną, na maleńki zamek zamkniętą i podał ją wicehrabiemu.

— Oto przedmiot, o którym mówimy, rzekł. Proszę ją

otworzyć.

Pan de Presles spełnił polecenie.

Boulleau-Duvernet wyjął z jednego przedziału torebki pakiet banknotów, a z drugiej trzy rulony złota po tysiąc franków każdy. Przeliczył bilety, było ich czterdzieści pięć po tysiąc franków.

— Czterdzieści pięć tysięcy franków, rzekł. Jakim sposobem podobna suma znalazła się w pańskiem ręku?

— Rzecz bardzo prosta. Sprzedałem moje renty na giełdzie przed trzema dniami.

— Agentowi wymiany? Jego nazwisko?

— Juljusz Bleury...

— Zatem w pomienionym kapitale mieści się wszystko co pan posiadałeś, prócz udzielanego funduszu przez pańskiego krewnego?

— Tak, panie.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Boulleau-Duvernet nagle, jak gdyby chcąc zaskoczyć z nienacka nieprzygotowanego, rzucił zapytanie:

— A cóżeś pan zrobił z temi czterystoma pięćdziesięcioma siedmioma tysiącami franków w zlocie i banknotach, które zabrałeś baronowi Worms po usiłowanem zabójstwie?

Pan de Presles, usłyszawszy te słowa, zerwał się z tokiem oburzeniem, iż żandarmi stojący w kątach gabinetu, sądząc że obwiniony chce się dopuścić jakiego gwałtownego czynu, podbiegli by go pochwycić za ramiona, wicehrabia jednak upadł na krzesło, jak człowiek rażony piorunem.

— A więc, wyszepnął zaledwie dosłyszanym głosem, zatem, nie tylko o kradzież, ale o zabójstwo zostałem oskarżony?!

— Objaśnię pana w jaki sposób się to wszystko spełniło, rzekł Boulleau-Duvernet, chwytając wrażenia i treść opowiadania Jobina. Znalazłszy się w pałacu, w chwili wyjścia zeń z baronową, postanowiłeś pan zabrać pieniądze, jakie naówczas znajdowały się w kasie. Silne zamki i tajemnicza ich kombinacja, oparły się temu zamiarowi. Natenczas przyszła myśl, panu, ażeby żelazną tę szafę otworzył sam bankier. Pan Worms nadchodził. Słyszałeś pan jak się zbliża. Byłeś pewnym, iż szmer najlżejszy mógłby zwrócić jego uwagę i znaglić go do wyjścia. Nakreśliłeś więc szybko, zmieniając charakter pisma te oto kilka wierszy.

Tu sędzia śledczy wydobył z pośród mnóstwa nagromadzonych na biurku papierów list bezimienny i przeczytał go głośno.

— Następnie, ciągnął sędzia dalej, położyłeś ów list w widocznem miejscu, ukrywszy się po za jakimś sprzętem lub firanką, wstrzymując oddech, nakazując milczenie biciu własnego serca i oczekiwałeś, jak tygrys pod cieniem krzaka, czyhający na swą ofiarę! Pan Worms wszedł, spostrzegł list bezimienny, przeczytał go, a chcąc przekonać się bezzwłocznie, otworzył kasę. Nadeszła chwila stanowcza. Skoczyłeś do niego, jednym ciosem noża przebiłeś i uciekłeś, obładowany, jego pieniędzmi. Otóż ta wstrętna scena morderstwa i kradzieży, przedstawiona w najdrobniejszych szczegółach, ta scena, o której sądziłeś, iż

na zawsze nieznaną pozostanie! Szczęściem, Bóg czuwa i oddaje w ręce sprawiedliwości nie gasnącą nigdy pochodnię. Cóż mi pan na to odpowiesz?

Gilbert blady jak śmierć, nie wyrzekł ni słowa. Osłupienie i groza w posąg zmieniły go prawie. Nic w nim nie było żyjącego, prócz oczu, błędnie patrzących przed siebie.

— Milczysz pan? zawołał Boulleau-Duvernet z oddźwiękiem tryumfu. Brak ci odwagi, ażeby zbrodni zaprzeczyć? Ha! dobrze czynisz, zachowując milczenie, żadne albowiem twe zaprzeczenie nie zdołałoby przyćmić tak jasnej prawdy. Mamy dzięki niebu ważniejsze dowody moralne, nie ulegające wątpliwości. Posiadamy głos, o którym sądziłeś iż zaniemiał na zawsze, a który przemówi. Morderczy nóż, jakim się uzbroiłeś, źle posłużył twej drżącej dłoni. Rana, zadana przez ciebie, nie była śmiertelną! Człowiek, którego zabiłeś żyje i oskarża cię!

Pan de Presles drgnął, drgnieniem trupa, dotkniętego iskrą elektryczną. Wyraz radości zapromieniał na jego twarzy, a sędzia osłupiały tak przeciwnym rezultatem temu, jakiego oczekiwał, pytał sam siebie, czyli oskarżony nie dostał obłąkania?

— Ha! zawołał Gilbert, baron więc żyje, widział złodzieja, widział zabójcę. Jestem ocalony!

— Mówię że ciebie oskarża, wyszepnął Boulleau-Duvernet, nieco zmieszany.

— Być może, odparł de Presles, wierzyć temu muszę, ponieważ pan mi to mówisz, ale widoczna że ma gorączkę i w niej majaczy. Co mnie to zresztą obchodzi? Nadejdzie

dzień, w którym ustąpi gorączka, spokój mu wróci z pamięcią, a w tym dniu otrzymasz pan wyświetloną prawdę. Baron Worms jest złym mężem, ale nic dotąd nie przekonało ażeby był złym człowiekiem, i nawet gdyby się uczuwał być śmiertelnie obrażonym i żywił ztąd dla mnie nienawiść, bądź pan pewnym, iż niebyłby zdolnym do tak nikczemnego czynu i nie dozwoliłby sprawiedliwości posądzać o zbrodnię niewinnego człowieka. Żądam natychmiastowej konferencji z baronem. Nie odmawiaj mi pan tej łaski! Będę się starał zbłąkaną myśl jego wrócić do przytomności. Wyjdę od niego usprawiedliwionym, oczyszczonym z haniebnego posądzenia. Ach! panie, zaklinam, nie opóźniaj tej chwili, jaką radbym okupić połową mojego życia!

Nigdy pan Boulleau-Duvernet nie uczuł się być bardziej zakłopotanym.

Baron Worms, jak o tem zapewne nie wątpią czytelnicy, umarł niestety.

Sędzia śledczy był przekonanym, że ożywiając go, zada tm sposobem stanowczy cios obwinionemu. Wymówione przezeń wyrazy: „Człowiek, którego zabiłeś żyje i oskarża cię!“ powinny były według niego wyrwać zbrodniarzowi wyznanie prawdy. Skutek bezzwłoczny mógł był uwieńczyć ów zręcznie wyzyskany pomysł, gdyby Gilbert de Presles był rzeczywiście zabójcą. Jego niewinność psuła kombinacje sędziego, a Boulleau-Duvernet, nie chcąc przypuścić uniewinnienia, rujnującego do szczętu tyle niezbitych według niego dowodów, nie mógł pojąć, ani zrozumieć zachowania się oskarżonego. Zadumawszy

chwilę, powziął postanowienie.

— Wobec trupa swojej ofiary, pomyślał, on zdradzić się musi. Dobrze! zgadzam się, niechaj i tak będzie, rzekł głośno. Zezwalam na konfrontację, jakiej pan żądasz.

— Dzięki ci, panie, dzięki! zawołał de Presles. Jestem ocalony!

W kilka minut potem dwa fiakry dążyły w stronę pałacu barona Worms. W pierwszym znajdował się sędzia śledczy z pisarzem, w drugim pan de Presles z Jobin'em i drugim agentem.

Od rana zbity tłum ludzi oczekiwał naprzeciw pałacu, mimo iż nie było nic do widzenia, ciekawych jednak nie brak w podobnych okolicznościach.

Na rozkaz pana Boulleau-Duvernet otwarto główna bramę i oba powozy wjechały w dziedziniec pałacu z niezadowoleniem zebranych.

Sędzia z czterema innemi osobistościami, wszedł na pierwsze piętro, rozkazawszy Jobin'owi zatrzymać pana de Presles w przedpokoju, przyległym do mieszkania bankiera, a sam wraz z pisarzem przestąpił próg tegoż apartamentu.

Mówiliśmy powyżej, że ciało barona Worms spoczywało na łóżku w sypialni.

Nadaremnie usiłowano zamknąć mu powieki. Skostniałość trupia opierała się temu i oczy umarłego, szeroko otwarte, o źrenicach zamglonych, bez blasku, przedstawiały coś przestraszającego. Jedwabna chustka, założona na szyję barona, pokrywała straszną ranę, przez którą życie uleciało.

Sędzia posłał pisarza po Jobina, któremu przyciszonym

głosem dawał jakieś zlecenia.

Agent, poruszywszy głową na znak, iż zrozumiał, wyszedł z pokoju i wrócił za chwilę, prowadząc z sobą pana de Presles. Boulleau-Duvernet wskazał ręką w stronę łóżka, mówiąc:

— Baron Worms jest tam. Zbliż się pan!

XII.

Pan de Presles szedł pewnym krokiem w stronę łóżka, usiłując przebić wzrokiem mrok, panujący w pokoju, z przyczyny zapuszczonych u okien firanek. W owym ciemnym pół mroku, rysowały się niewyraźnie kształty ciała, leżącego na łóżku. Niepodobna było rozeznać rysów twarzy i jej ponurej bladości. Gilbert po paru sekundach, zwrócił się do sędziego, zapytując z cicha:

— Zdaje mi się że śpi. Czy można go przebudzić?

Boulleau-Duvernet nic nie odpowiedział.

— Baronie! zaczął młodzieniec po chwili milczenia, posłuchaj mnie, zaklinam! Czy mnie poznajesz? To ja, Gilbert de Presles. Oskarżają mnie o podwójną zbrodnię, której wiesz, żem nie popełnił. Przychodzę z ufnością odwołać się do twego honoru i prawości charakteru.

Wymówiwszy z cicha te słowa, wicehrabia czekał ze ściśnionem sercem.

Nic nie przerwało głębokiej ciszy w pokoju.

— Na imię nieba, baronie, odpowiedz! mówił dalej Gilbert. Jedno słowo wymów przynajmniej, jedno, jedyne,

by przekonało, że mnie słyszysz.

Sędzia śledczy skinął ręką. Na ten znak umówiony, Jobin wraz z drugim agentem, rozsunęli nagle u okien firanki, wpuszczając strumień światła do żałobnej sypialni.

Gilbert zadrżał.

Marmurowe oblicze barona, te oczy, nieruchome szeroko otwarte, jasno świadczyły o nastąpionej śmierci.

Młodzieniec załamał ręce z wyrazem głębokiej boleści.

— Ależ on umarł, zawołał, on umarł!

— Zabity przez ciebie, odrzekł Boulleau-Duvernet i szybkiem poruszeniem, odjąwszy chustkę z szyi bankiera, dodał: Czy poznajesz tę ranę twą ręką zadaną?

Dreszcz konwulsyjny wstrząsnął Gilbertem, nie odwrócił jednak utkwionego w trupa spojrzenia i przez parę minut smutno się weń wpatrywał.

— Oto twoja ofiara! mówił sędzia śledczy, zdziwiony tem zachowaniem się obwinionego. Czyliż w jej obecności ośmielisz się zaprzeczać, że nie byłeś zabójcą?

— Ha! zawołał pan de Presles, zastawiliście więc na mnie sidła! Byliście więc tak mocno przekonanymi o mojem występku, że rachowaliście, iż zdziwienie moje i przestrach wyrwie mi z piersi wyznanie tak strasznej, zbrodni, na myśl o której wstręt ogarnia i groza! Omyliliście się panowie! Spojrzyjcie na mnie, proszę. Czy wyczytacie na mojej twarzy obawę, albo zgryzoty sumienia? Sądzicie chyba, że jestem jednym z tych zatwardziałych kryminalistów, zachowujących się spokojnie pośród krwi. A więc, z ręką wzniesioną nad trupem, przysięgam że jestem niewinny!

To mówiąc, Gilbert przyklęknął na podłodze. A gdyby Bóg raczył cud uczynić, ciągnął dalej, gdyby dozwolił wybiedz jednemu choć słowu z tych ust nieruchomych, potwierdziłyby one, żem nie spełnił tej zbrodni!

— Zuchwałe bluźnierstwo! zawołał Boulleau-Duvernet.

— Nie! to panie siła czystego sumienia, odrzekł powstając wicehrabia.

Próba widocznie się nie udała. Konfrontacja przyniosła przeciwne, wbrew oczekiwanym rezultaty, które można było uważać za przychylne dla pana de Presles.

— Wyprowadzić obwinionego, zawołał Boulleau-Duvernet.

Gilbert pochyliwszy głowę przed trupem, sam się umieścił pomiędzy dwoma agentami i wyszedł wraz z nimi z pokoju.

— Nie! nie, po sto razy nie! mówił Jobin, schodząc głównemi schodami. Młodzieniec ów nie był sprawcą tej zbrodni? Kto jednak w takim razie? Mnie odkryć należy winowajcę i odkryję go sam, ponieważ zacny ów sędzia, pewien, że schwytał winnego, nic mi w tem nie dopomoże.

Jednocześnie Boulleau-Duvernet myślał sobie:

— Nic go nie zmieszało, nic nie wzruszyło! Ów nędznik jest bardziej zatwardziałym, niźli sądziłem. W jaki sposób przekonać go o popełnionym występku? Będzie walczył do ostatka! Jakaż zbrodnicza organizacja! Jaka energja! Jaka krew zimna! Jeden mnie tylko szczegół zdumiewa, dla czego on pozostawił ów list bezimienny w ręku trupa, a następnie, co zrobił z ukradzionemi pieniędzmi?

I zeszedł z pisarzem na dziedziniec.

Wieść o przybyciu sędziego śledczego z agentami rozbiegła się i po tej części pałacu, gdzie znajdowało się biuro bankierskie i pracowali urzędnicy.

Gdy Boulleau-Duvernet przechodził dziedziniec, zastąpił mu drogę jakiś wysoki szczupły, mężczyzna, o bladej cerze twarzy, kędzierzawych włosach i zapytał z niemieckim akcentem:

— Pan sędzia śledczy mnie niepoznaje?

— A pan jesteś, jeśli się nie mylę, kasjerem domu Worms? odrzekł zagadniony.

— Fryderyk Müller, tak panie.

— Może mi pan przynosisz jakie wskazówki co do tej smutnej sprawy którą się zajmujemy?

— Nieszczęściem nie panie, lecz chciałbym prosić o jedną łaskę?

— O cóż takiego?

— Zabroniłeś pan najsurowiej wchodzić komubądźkolwiek do pokoju, w którym zbrodnia spełnioną została. Otóż w biurku, znajdującem się tamże, pozostał papier, zapełniony cyframi, rodzaj bruljonu, jaki miałem przepisać nazajutrz, a który jest mi niezbędnie potrzebnym dla poparcia mej rachunkowej odpowiedzialności. Racz mi pan pozwolić zabrać ów papier.

Boulleau-Duvernet przywołał Jobin’a. Ów agent wsiadł już do fiakra z panem de Presles i drugim policjantem. Na rozkaz sędziego wysiadł i przybiegł.

— Jobin! rzekł tenże, po odwiezieniu obwinionego do Conciergerie powrócisz tu i wprowadzisz tego pana do zamkniętego na twoje żądanie pokoju, od którego daję ci

klucze. Będziesz obecnym przy poszukiwaniu przezeń papieru, potrzebnego mu do sprawdzania rachunków.

— Dobrze panie sędzio, rzekł sługa policyjny, odbierając klucze z uczuciem żywej radości, a zarazem wlepiając badawcze spojrzenie w kasjera, który z zupełnym spokojem ów wzrok wytrzymał. Będę się starał powrócić w jak najkrótszym czasie, dodał zwracając się do Fryderyka Müller i służyć będę panu.

W trzy kwadranse później, sędzia kazał wprowadzić do swego gabinetu panią Worms, której twarz blada zaczerwienione oczy, obok łez, spływających po jej policzkach, czyniły ją stokroć piękniejszą i bardziej zajmującą, budząc pomimowolną litość w panu Boulleau-Duvernet. Opierał się jednak temu wzruszeniu, mówiąc sobie, że powierzchowna ta boleść była jedynie maską obłudy i rozpoczął natychmiast badanie.

— Nazwisko pani? zapytał.

— Walerja Worms.

— Nazwisko rodziców?

— Langier.

— Wiek?

— Dwadzieścia jeden lat.

— Gdzie pani się rodziłaś?.

— W Paryżu.

— Jak dawno jesteś zamężną?

— Od dwóch lat.

— Rodzice pani żyją?

— Nie, jestem sierotą!

— Czy pani wniosłaś baronowi Worms jaki posag?

— Nic. Byłam ubogą, zupełnie ubogą.

— Małżeństwo pani było więc zawartem ze skłonności?

— Tak, ze strony mojego męża, tak panie.

— Gdzie pan Worms panią poznał?

— W rodzinie pewnego znakomitego przemysłowca, dla mnie życzliwej, gdzie byłam nauczycielką córek. Miałam lat szesnaście, gdy ojciec mnie odumarł, pozostawiwszy mi jako jedyne bogactwo, bardzo wysoką edukację, którą zużytkowałam, obrawszy zawód nauczycielki.

— Czy pan Worms w ślubnym kontrakcie przyznał dla pani odpowiednią sumę?

— Tak, trzysta tysięcy franków, a obok te cenne klejnoty.

— Postąpienie to, przyznasz pani, świadczy o wysokiej jego bezinteresowności. A jednak nie kochałaś pani swojego męża.

— Uczuwałam wdzięczność dla niego ale miłości nigdy, to prawda.

— Dla czego więc go zaślubiłaś?

— Ach! panie, któraż z młodych dziewcząt mając serce wolne, a moje było wolnem natenczas, nie jest rada zamienić przykrej, zależnej sytuacji, pełnej trosk i upokorzeń, przy życiu z dnia na dzień, na tak świetną, pozycję, jaka została mi ofiarowaną? Zresztą nie znając całkiem życia, sądziłam, że moja wdzięczność dla człowieka może się kiedyś zamienić na trwalsze i głębsze uczucie.

— Jak dawno pani poznałaś wicehrabiego de Presles?

Na blade lica baronowej wystąpił żywy rumieniec. Zakrywszy twarz drobnemi rączętami wyszepnęła Z cicha:

— Pan de Presles był jednym z domowych przyjaciół. Znałam go od chwili moich zaślubin.

— A korzystając z owej przyjaźni męża pani i ufności, jaką go tenże obdarzał, pan de Presles starał się pani przypodobać?

— To znaczy, iż stał się dla mnie jednym z najbardziej poświęcających się przyjaciół.

— Twierdzisz więc pani, że pomiędzy wicehrabią a tobą istniała tylko przyjaźń?

— Tak! przyjaźń najczystsza, braterska.

— A jednak miewaliście z sobą schadzki nocami?

Baronowa opuściwszy głowę, milczała.

— Trzeba odpowiedzieć, ozwał się sędzia.

— Schadzki bardzo rzadkie, bardzo krótkie i tylko w ogrodzie, nigdy u mnie w domu, nigdy! odpowiedziała Walerja zaledwie dosłyszanym głosem.

— Wicehrabia otrzymał od pani klucz do furtki ogrodowej?

— Tak panie.

Tu nastąpiło jeszcze kilka zapytań co do klucza,, jak częstemi bywały te schadzki dwojga zakochanych, ponieważ sędziemu zdawało się być niepodobnem, ażeby, pan de Presles nie bywał nigdy nocą w pałacu.

— Zdaje się, iż pani masz jakieś powody do uskarżania się na swego męża?

— Ja się nie uskarżam, zawołała żywo Walerja. Och! nie, ja nie uskarżam się wcale! Baron, obdarzył mnie majątkiem i świetną pozycją. Czegóż potrzeba, więcej? Na co mogłabym się uskarżać?

— Gdyby pan Worms nie popełniał ważnych błędów w pożyciu domowem, jak wtedy wytłómaczyć i usprawiedliwić ucieczkę pani?

— Ależ panie, ja niechcę jej tłumaczyć ani usprawiedliwić. Opuszczając dom mego męża, popełniłam, winę, przyznaję, była to jednak wina szaleństwa, bez najmniejszej myśli o zdradzie!

— Pan de Presles mając pani towarzyszyć na obczyznę, musiał się odpowiednio ku temu przygotować. Jak dawno projekt podróży został ułożonym pomiędzy nim a panią?

— Na dwa dni przed jego wykonaniem.

— Zapewne obawiałaś się pani ścigania? Dla czego więc nie wyjechałaś nocnym pociągiem, co dawałoby ci możność przebycia granicy zanim zdołanoby spostrzedz twoje zniknięcie?

— Zdarzało się, iż niekiedy pan Worms przychodził do mnie około północy, wróciwszy do pałacu, tego dnia również nastąpić to mogło.

— Zapewne to pan de Presles nalegał ażeby ucieczka nastąpiła po powrocie barona do domu?

— Nie panie. Wicehrabia nie miał innej woli po nad moją.

— O której godzinie przybył po panią tego wieczora?

— Wszedł do ogrodu nieco przed północą, zbliżył się do bocznych drzwi, jakie z zewnątrz otworzyłam i wyjechaliśmy w kilka minut po północy.

— Gdzie baron znajdował się natenczas? w owej chwili?

— W swoim apartamencie. Nie zeszłam, aż gdym posłyszała, że on się znajduje u siebie.

— I natychmiast wsiadłaś pani do powozu, jaki na was oczekiwał?

— Tak, panie.

— I oczekiwałaś w nim pani na nadejście wicehrabiego?

— Nie panie. Pan de Presles znajdował się przy mnie. Nie opuścił mnie ani na chwilę.

— Przeciwnie opuścił on panią.

— Upewniam pana, że nie!

— Odszedł powiadam, oddalił się przez czas potrzebny, ażeby okraść męża pani, a następnie go zabić!

Zaledwie Boulleau-Duvernet wymówił te straszne wyrazy, pani Worms zerwała się z obłąkanym wzrokiem przerażająco pobladła.

— Okradł, zabił, powtarzała chrapliwym głosem niemogącym jej przejść przez gardło. I jego to oskarżają, o podobną zbrodnię, jego, Gilberta?

Zachwiała się, a rozłożywszy ku górze obie ręce, jakby szukając oparcia, padła bez zmysłów na ziemię.

XIII.

Podczas gdy rozgrywała się ta scena w gabinecie sędziego śledczego, Jobin wróciwszy do pałacu barona Worms, powiadomił kasjera, że gotów jest mu towarzyszyć.

— Idę z panem, rzekł Müller, i nie zabiorę ci wiele czasu. Parę minut wystarczą mi na potrzebne poszukiwania. Gabinet, w którym znajduje się kasa, posiada dwoje drzwi, nie licząc bocznego wejścia, prowadzącego do mego

nieodżałowanego pryncypała! Jedne z tych drzwi wiodą do biura, możemy więc wejść niemi. Masz pan klucz przy sobie?

— Mam, odparł Jobin.

Agent otworzył drzwi i cofnął się zostawiając wolne przejście kasjerowi, pilnie go obserwując, z ową wrażliwą ciekawością właściwą policjantom.

Fryderyk Müller przestąpiwszy próg pokoju, zatrzymał się naprzeciw brunatnej krwawej plamy, w miejscu gdzie bankier padł zamordowany. Blade oblicze kasjera przybrało wyraz głębokiego smutku. Powieki zwilżyły mu się łzami.

— Tyle krwi! wyszepnął, ach! biedny baron! Tak młody, bogaty, szczęśliwy, skończyć w sposób podobny? Ach jakże to bolesne!

— Morderca tem bardziej jest winnym, ozwał się Jobin poważnie. Człowiek, który taki żal po sobie zostawia, musiał być uczciwym i dobrym. Obudzasz pan najżywszą dla siebie sympatję. Sądzę iż bezwątpienia naznaczą pana likwidatorem?

— Nie wiem tego, być może, to prawdopodobne. Nikt bowiem interesów pieniężnych domu Worms nie znał lepiej nademnie.

— Byłyż finanse tu pomyślnemi?

— Prosperowały wspaniale! Spadkobiercy barona znajdą czyste, zlikwidowane miliony, nie mówiąc o kapitałach, poumieszczanych w różnych spekulacjach. Są to jednakże rzeczy obojętne dla pana. Nie chcę zabierać ci czasu, wziąwszy niezbędnie potrzebny mi dokument.

Biurko Fryderyka Müller stało naprzeciw kasy żelaznej

pod ścianą, a po nad niem znajdowało się okienko, otoczone mosiężnem okratowaniem z ruchomemi drzwiczkami.

Fryderyk Müller usiadł na fotelu pokrytym zieloną skórą, który był zwykłem jego siedzeniem i wziąwszy w rękę kilka zeszytów rachunkowych, zaczął je przeglądać kolejno.

Jobin stojąc tuż obok niego, nie tracił go z oczu na chwilę, przybierając pozór zupełnej obojętności.

— Gdzież u licha zarzucił mi się ten arkusz? wymruknął kasjer niby, do siebie, dość jednak głośno ażeby zostać słyszanym. Ów straszny wypadek tak zaćmił mi pamięć, nigdy dotąd niezawodzącą że mi jej dziś kompletnie brakuje.

— Szukaj pan zwolna, nic nie nagli, rzekł agent.

Müller otworzył księgi zapełnione listami i różnemi notatkami, jakie przeglądał najstaranniej.

— Ach! zawołał nagle, dobywając papier zapisany cyframi. Otóż czego szukałem. Patrz pan!

Tu podał arkusz papieru Jobin’owi.

Agent rzuciwszy nań okiem, zwrócił mu go mówiąc:

— Dla mnie, jest to bazgranina. Lecz gdzie ja nic nie widzę, tam pan widzisz jasno. Rzecz główna, iż pan odnalazłeś dokument. Nie mamy tu już co robić.

Kasjer, w miejsce odpowiedzi, dobył z kieszeni mały kluczyk i włożył go w zamek szuflady.

— Mam tutaj, rzekł, niektóre papiery, nie dotyczące bankowego domu, osobiste moje listy, które wolno mi jest zabrać jak sądzę?

Tu chciał otworzyć szufladę. Jobin powstrzymał mu rękę, wołając żywo:

— Nie! nigdy! Nic z tego pokoju wyniesionem być nie może, oprócz arkusza z cyframi jaki pan trzymasz w ręku.

— Mam honor powtórzyć panu, że tu nie chodzi o żadne finansowe papiery, ale o moje własne korespondencje, rzekł kasjer.

— Zrozumiałem to doskonale i jestem przekonany o ścisłości pańskiego twierdzenia, rozkaz jednakże wydany, jest świętością dla żołnierza, a ja jestem żołnierzem sprawiedliwości, chciej pan wiedzieć o tem. Spoczywa na mnie odpowiedzialność, a obok tego mam i sumienie. Otrzyma pan upoważnienie od sędziego śledczego, a cały pałac natenczas wynieść ci pozwolę.

Gniew i niezadowolenie, jakiego ukryć nie był w stanie, ściągnęło muskuły twarzy Müllera, wydrążając głęboką bruzdę pomiędzy jego brwiami, zapanowawszy jednak nad sobą, odrzekł ze spokojem:

— Dobrze, nie nalegam więcej.

— Tem lepiej, odparł Jobin, ponieważ byłoby to z pańskiej strony darenmem. Jestem machiną, niczem innem jak machiną, którą ludzkie ręce kierują. Bądź przekonanym że twoje tajemnice uszanowanemi zostaną.

— Moje tajemnice? ja nie mam żadnych!

— No! te jakieś pańskie listy i osobiste papiery. Nie spocznie na nich żadne ciekawe spojrzenie. Zachowaj pan u siebie klucz od szuflady. Jeżeli pan sędzia będzie to uważał za rzecz potrzebną, powiadomi pana i otworzy szufladę w twej obecności.

Kasjer wstał z krzesła w milczeniu. Jobin zauważył jednak, że pomimo pozornego spokoju w obliczu Müllera, nozdrza mu się rozdymały, a w oczach błyszczał ogień tajonej wściekłości.

Wyszli obadwa z pokoju, gdzie zbrodnia pozostawiła krwawe swe ślady.

Agent zamknął drzwi na klucz, Müller poszedł zająć zwykłe miejsce w biurze, z czego korzystając Jobin pośpieszył do jednego z policjantów, pełniącego nadzór nad pałacem.

— Z wyższego rozkazu, rzekł, biegnij do najbliższego ślusarza. Pokaż mu swoją kartę i przyprowadź go tu z sobą, zaopatrzonego w narzędzia potrzebne do otwarcia zamku skomplikowanego, ażeby w nim nic nie zepsuć, nie złamać. Powiedz mu, że tu nie chodzi o otwarcie drzwi ale szuflady.

Czekając na przybycie agenta ze ślusarzem, Jobin szedł w stronę pokoju, jaki opuścił przed chwilą. Szedł z opuszczoną głową, poszeptując z cicha:

— Ów kasjer daremno chciał zapanować nad sobą. Jego niepokój był widocznym i niezadowolenie. Czuwał i układał wyraz fizjognomii, wszak trudno myśleć o wszystkiem od razu. Nozdrza mu się wzdymały, w oczach błyszczała nienawiść. Co u djabła może być w owej szufladzie?

To mówiąc, Jobin wszedł do pokoju, a usiadłszy na stojącem przed biurkiem fotelu, otworzył bezwiednie arkusze bibuły, leżącej mu pod ręką i przeglądał z roztargnieniem znajdujące się tam notatki.

Nagle drgnął i wydał okrzyk zdumienia a pochwyciwszy

kawałek niebieskawego papieru na jakim nic nie było napisane, oglądać go zaczął z uwagą.

Ów papier stanowił niezaprzeczenie część, albo ćwiartkę większego arkusza, z jakiego nieuważnie i z pośpiechem oddartą została, ponieważ oddarcie to zamiast być równem, przedstawiało wzdłuż nieregularności jakie przyrównać można do zębów piłki żelaznej.

Przyłożył ćwiartkę niebieskawą do oka, pod światło dzienne i dostrzegł rysujące się w przezroczu litery tworzące ten wyraz: „nia w Essone.“

— Papiernia w Essone, powtórzył Jobin, dałbym moją głowę że na kawałku bezimiennego listu znajdę dopełniających sześć liter tworzących wyraz „papier“ jakich tu właśnie brakuje i że te z brzegu powyrywania zgodzą się z sobą. Odnalazłem rzecz wielkiej wagi. Jestem na śladzie. Przewodnia nić sprawy znajduje się w mojem ręku. Potrzeba tylko iść za nią.

To mówiąc, schował starannie w portfel ów papier niebieskawy, gdy wszedł wysłany policjant ze ślusarzem, zaopatrzonym w pęk kluczów i narzędzi różnego rodzaju.

Zamek w biurku nie przedstawiał wiele trudności skomplikowanych. Po kilku minutach szuflady otwartemi zostały, w głąb których spojrzawszy, Jobin przekonał się, że zawierały one nader szczupłą liczbę listów i notatek.

— Dziękuję ci mój kochany, rzekł do robotnika wsuwając mu w rękę sto sous, za godzinę powróć tu, ażeby zamknąć to wszystko i uporządkować.

Zostawszy sam ze swym podwładnym, Jobin wyjmował jedne po drugich listy adresowane do kasjera domu Worms

i przebiegał je wzrokiem.

Pierwsze z tych listów odnoszące się wyłącznie do spraw osobistych Müllera były mało znaczącemi. Nakoniec w głębi szuflady, znalazł dwie małe paczki, jedną przewiązaną sznurkiem czerwonym, a drugą wstążką błękitną.

Rozwiązawszy czerwony sznurek paczki, Jobin spojrzał na adres pierwszego listu. Brzmiał on w tych słowach:

„Poste restante. Pan F. M. Nr. 1004“

Marka oznaczała biuro pocztowe na Placu Giełdy. Data sięgała czasu przed czterema miesiącami.

— Zobaczmy, zobaczmy! wyszepnął agent. Wydobył list z koperty i rozwinąwszy go drgnął spojrzawszy na drukowany nagłówek:

„Agencja Roch i Fumel. Objaśnienia poufne wszelkiego rodzaju. Poszukiwania dłużników. Przedstawienie projektów małżeństw. Ulica Montmartre Nr. 131“.

„Nasz kasjer ma, widzę, stosunki z agencją Roch i Fumel, jaka jest współzawodniczką z nami i piszą do niego poste-restante. To ciekawe na honor!

Treść listu była nader zwięzłą, brzmiała ona w tych słowach:

„Panie. Zamiar dokonany. Otrzymane potrzebne objaśnienia. Oczekuję pana jutro, w galerji Viviennes, o godzinie ósmej wieczorem.

Sta. Pi.“

„P. S. Potrzebuję dwudziestu franków“.

Jobin skrzywił się z niezadowoleniem.

— Brak szczegółów, rzekł, przejrzyjmy inne listy.

Druga koperta nosiła tenże sam adres. List w niej pomieszczony zawierał oznaczenie nowej schadzki, tenże sam dziwny podpis Sta. Pi. i post-scriptum w tych słowach:

„Potrzebuję dwudziestu franków“.

Trzeci, czwarty i piąty list, oddzielone tygodniową przerwą czasu, zawierały tęż samą treść prawie, z różnicą miejsca schadzek i godzin. Dopisek dwudziestu franków wciąż był jednakim.

Jobin śmiać się zaczął.

— — Ów biedny Sta. Pi... pomyślał, wciąż potrzebował dwudziestu franków. Jakże go żałuję!

Szósty list, różnił się nieco, mimo że jego zwięzłość była taż sama.

„Panie! Główne, a niezmiernie ważne objaśnienia otrzymano co do dwóch osobistości i ich działania. Schadzkę oznaczam na dziś wieczorem, w galerji Orleańskiej.

Sta. Pi.“

P. S. Potrzebuję pięćdziesięciu franków“.

— Do czarta! wyszepnął Jobin. Potrzeby pana Sta... Pi... wzrastają jak widzę! Pięćdziesiąt franków. Mądry młodzieniec!

Siódmy list oznaczał schadzkę, z żądaniem dwudziestu franków.

Ósmy wreszcie oznajmiał:

„Panie! Na jutro postanowione. Przyjdź pan dziś do

agencji o wpół do szóstej. Będę na ciebie oczekiwał. Piękna robota. Zobaczysz.

Sta. Pi.“

P. S. Potrzebuję stu franków!“

— Co chciał rozumieć ów Sta. Pi... wyszepnął agent, pisząc: Na jutro? Miałożby to oznaczać dzień, wyjazdu baronowej i pana de Presles? Ciemność, lecz, ją rozjaśnię, gdy poznam tego nienasyconego Sta. Pi... Chybabym się nie nazywał Jobin, gdybym nie znalazł sposobu wydobycia zeń tej tajemnicy!

Tu rozwiązał błękitną wstążkę owijającą drugi pakiecik woniejący perfumami Ess-bouquet i przerachował listy. Było ich sześć. Wszystkie bez marek pocztowych i bez adresów, posiadały monogram A. P.

Jobin powyjmował je z kopert.

Zawierały one po kilka wierszy zaledwie, kreślonych kobiecym charakterem pisma. Podajemy te listy dosłownie.

Nr. 1. „Jesteś wcieloną miłością, mój Fred., marzyłam o tobie. Przyjdź dziś wieczorem. Jutro zapłacić trzeba tapicerowi. Nie zapomnij przynieść z sobą pięciu tysięcy franków na załatwienie z nim rachunku, inaczej byłabym zgubioną. Całą wiarę pokładam w tobie mój Fred.“

Nr. 2. „Najmilszy mój bebe; nie przychodź dziś wcale. Idę do mojej chrzestnej zamieszkałej w Saint-Germains. Ta biedna kobieta mocno jest słabą. Smutno mi, ale pocieszam się, myśląc o tobie. Jeden z moich powozowych koni okulał. Pójdź do handlarza, dobierz mi drugiego do pary.

Wszak wiesz że ciebie tylko jednego kocham na zawsze mój Fred.“

Nr. 3. „Co mnie obchodzić może twoja pozycja i jakieś tam towarzyskie względy? Mężczyzna, który nieśmie ukazać się z kobietą, jest głupiem zwierzęciem. Musisz mi towarzyszyć dziś wieczorem do Variétés, albo na spacer. Pragnę mieć lożę pierwszego piętra. Widzisz ile ustępstw ci robię? Grałam wczoraj w bakara u Kory i nie nadaremno! Mam dług wynoszący sto luidorów, przynieś je, a okażesz się nad wyraz uprzejmym i grzecznym.“

Nr. 4. „Och! szkaradny Fred., nieznośny zazdrośniku! Szpiegujesz mnie więc przez swoją policję? Ależ mój kochany ona cię okrada! Wszystko to są głupstwa daremne! Gdybym cię zdradzała, miałabym pieniądze, a najlepszym dowodem iż cię nie zdradzam, że ich nie mam! Pamiętaj że jutro przypada termin wypłaty handlarzowi za konia. Przynieś dziś wieczór trzy tysiące pięćset franków. Gdybyś mnie nie zastał, zaczekaj, będę u Anny.“

Nr. 5. „No i cóż zatem? A więc tak mój dobry, jest to prawdą. Cóż chcesz ażebym robiła i z czego — mam żyć? Jesteś samolubem. Gdybyś mnie kochał tak jak twierdzisz, pragnąłbyś przedewszystkiem ażebym była szczęśliwą. Czyż podobna ci walczyć z tak grubą rybą? Wyjaw wszystko, jeżeli ci się podoba. A jeśli nie czujesz się być zdolnym do walki, zachowaj się lepiej spokojnie. Zresztą co ci to pomoże? Jeżeli nie służy ci wejście głównemi drzwiami, możesz wchodzić małemi, które nie są gorsze od tamtych. No i jakżeci się to zdaje?“

Nr. 6. „Tak? a zatem wszystko skończone! Rozstajemy

się z sobą. Sądzę, że pan poczujesz się do obowiązku zapłacenia ostatniej należytości tapicerowi, wynoszącej pięć tysięcy franków w dniu 30 bieżącego miesiąca. Racz przyjąć wyrazy poważania?“

Jobin dodał cyfry pieniędzy, żądanych w korespondencji.

— Piętnaście tysięcy sto franków! zawołał, w ciągu czterech miesięcy, prócz innych ubocznych sum zapewne. Pan kasjer musiał mieć grube pieniądze! Niemógł zatem nic zaoszczędzić z swej pensji.

W głębi szuflady, pod listami „Sta.. Pi...“ i panny A, znajdowały się różne notatki rachunkowe z wymiany weksli i operacji giełdowych, większość których stratę wykazywała.

Jobin, przejrzawszy je potrząsnął głową.

— Ho! ho! gra na giełdzie. Smutny i ostateczny środek, gdy nie można czerpać pełnemi rękoma w kasie, napełnionej cudzemi pieniądzmi! Rzecz dziwna, jak ów Fryderyk Müller wydaje mi się być podejrzanym. Kto może być owa panna A. P. pisząca tak pięknym stylem i ortografią?

Myślał przez chwilę, a potem jak gdyby uderzony jakiemś nagłem światłem zawołał:

— A! gdyby to była Alina Pradier, kochanka barona Worms? Dla czego nie? Tą grubą rybą, o jakiej ona w liście wspomina, że walczyć przeciw niej niepodobna, byłby w takim razie sam bankier. Rywalizacja miłosna pomiędzy kasjerem a pryncypałem, wzrastająca bezustannie potrzeba pieniędzy. Kto wie czy tu nie leży rozwiązanie zagadki? Czy jednak ta kobieta jest Aliną Pradier?, W jaki sposób o

tem się dowiedzieć?

Postawiwszy to zapytanie, Jobin rozmyślać począł na nowo, a po kilku sekundach rzekł sam do siebie:

— Sta. Pi... o tem mnie powiadomi.

Skopjowawszy kilka listów z owej prywatnej korespondencji, związał czerwonym sznurkiem i błękitną wstążką obie paczki i położył je na dawnem miejscu.

Przybyły ślusarz zamknął kluczem zamek, a skoro zniknął ślad wszelki dokonanych poszukiwań, Jobin wyszedł z pałacu barona i wróciwszy do siebie na ulicę des Orfévres, zmienił się na wytwornego eleganta, przywdziawszy wykwintne ubranie i bez straty czasu udał się pod numer 151 na ulicę Montmartre, gdzie znajdowały się biura agencji Roch i Fumel.

Jobin, otworzywszy drzwi, wszedł do pokoju średniej wielkości, zapełnionego numerowanemi księgami prawie aż do sufitu; obok czego, znajdowało się kilka krzeseł i biurko, przy którem siedział Fumel wspólnik pana Roch, były adwokat.

— Przybywasz pan dla otrzymania poufnego objaśnienia?

— Tak.

— W prywatnej czy handlowej sprawie?

— W prywatnej.

— Interes pieniężny?

— Nie, panie...

— Zatem sercowa sprawa?

— Tak jest.

— Chodzi więc?

— O pewną damę, piękną damę.

Fumel uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Dobrze, odpowiedział. Nazwisko tej damy?

— Alina Pradier.

— Doskonale! Sprawy, dotyczące kobiet, Są wyłączną specjalnością Picolet'a, jednego z najzręczniejszych naszych pracowników. I podniosłszy głos zawołał. Hej! Stanisław!... Stani!... chodź no tu na chwilę mój chłopcze.

— Stanisław Picolet, pomyślał Jobin: Sta. Pi... toż samo... Mam go nareszcie.

Otwarły się drzwi główne. Wszedł Stanisław Picolet, spojrzał ciekawie na Jobin'a, a następnie, zwróciwszy się ku Fumelowi, czekał na zapytanie.

Sta. Pi... był młodzieńcem dwudziesto-czteroletnim, tego wzrostu co nasz agent policji, szczupły, lecz bardzo biednie ubrany.

— Stani, rzekł do niego Fumel, używając tego zwykłego skrócenia. Ów pan, nowo przybyły klient do naszego domu, pragnie pozyskać objaśnienia o pewnej damie. Przejrzyj notatki mój Stani.

Młodzieniec dobył z kieszeni obdarty portfel, kawałek ołówka i siadł gotów do pisania.

— Panie, rzekł Fumel, zwracając się do Jobin'a, zechciej powtórzyć nazwisko pomienionej osoby.

— Alina Pradier, wygłosił agent.

Dziwny uśmiech wybiegł na usta Stanisława Picolet.

— Już napisałem, rzekł. Jej adres?

— Ulica Frydlancka.

— Cóż pan życzy wiedzieć?

— Dla panny Aliny Pradier uczuwam wiele sympatji, lecz mało ufności, rzekł Jobin. Czynię dla niej stosunkowo wielkie ofiary, a mam powody wątpienia o jej moralności. Chciałbym przeto wiedzieć dokładnie, jak o niej sądzić w tej mierze, tak co do jej przeszłości, jako zarówno i teraźniejszości.

— Poznasz pan wymienione szczegóły w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Mamże przesłać panu te objaśnienia?

— Nie trzeba, sam przyjdę po nie, lecz zwłoka czterdziestu ośmiu godzin, to nazbyt długo. Czy nie możnaby pozyskać coś prędzej?

— Nie podobna! Policja żądałaby najmniej trzech dni czasu; my jednak jesteśmy zręczniejsi niźli agenci prefektury.

Jobin uśmiechnął się pomimowolnie.

— Pojutrze, na godzinę czwartą po południu sprawa już będzie przygotowaną, rzekł Stani, i salutując po wojskowemu przybyłego, wykręcił się na pięcie i wyszedł.

— A teraz, kochany panie i nowy nasz kliencie, rzekł Fumel, wypada nam pomówić o kwestji pieniężnej. Upewniam pana, iż wygórowaną nie będzie. Mamy ustanowioną taksę na sprawy tego rodzaju. Zwyczajem agencji jest wszakże odbierać połowę umówionej należności z góry przed rozpoczęciem interesu, a drugą połowę po dostarczonych objaśnieniach.

— Och! biedne moje oszczędności, pomyślał Jobin.

Zaczął się targować o wysokość wynagrodzenia z tak wielką energją i oporem, że otrzymał ustępstwo od taksy ustanowionej i złożywszy pieniądze na ręce Fumela, odszedł.

Na pierwszym przedziale wschodów spotkał Stanisława Picolet, który nań widocznie tam oczekiwał.

— Ugodziłeś się pan z pryncypałem? zapytał go żywo.

— Tak.

— I zapłaciłeś?

— Ma się rozumieć. Oto pokwitowanie.

— Czekaj pan na mnie w kawiarni, na rogu ulicy Croissant. Przyjdę tam za pięć minut, ponieważ mam panu coś ważnego do powiedzenia, coś bardzo ważnego

Zadowolony z obrotu sprawy, Jobin udał się w miejsce wskazane, a usiadłszy w kącie przy stole, przeglądał dzienniki. Po kilku minutach ukazał się Stani... podszedł ku agentowi i zaczął rozmowę zapytaniem:

— Co mi podać każesz?

—Wszystko, co zechcesz. Rozporządzaj.

— Zgoda! Widzę, żeś dobry chłopiec. Hej! garson; zawołał, dwa jaja na miękko, kawałek szynki, butelka Maçou i kieliszek koniaku!

Posługujący stał w zamyśleniu.

— Ten pan zapłaci, dodał — Stanisław wskazując Jobin’a.

Garson nie wahał się dłużej.

— Kłopoczą mnie tu, z przyczyny starego rachunku — nędznych siedmnastu franków, wyszepnął Picolet, lecz, ja

mam sposób. Cofnę moją klientelę a będę uczęszczał do Brébant'a. Ale nie o to tu chodzi. Roch i Fumel są łotrami; wyobraź pan sobie, że niemogą się obejść bezemnie, a pozwalają umierać mi z głodu! Nigdy ani grosz jeden nie spłynie do mej kieszeni.

— Ztąd potrzebujesz pan bezustannie dwudziestu, franków: ozwał się Jobin, przypomniawszy sobie o owym postscriptum w listach Sta. Pi.

Młodzieniec spojrzał na mówiącego ze zdziwieniem i nieufnością, sądził wszelako, iż zdanie powyższe odnosiło się do zaległego rachunku w kawiarni, o jakim mówił przed chwilą.

— Tak niestety! odrzekł, wciąż potrzebuję dwudziestu franków. Sądzę że będziesz tyle względnym i dasz, mi czterdzieści?

— To zależy od okoliczności, odpowiedział Jobin. Nie jest to o ile mniemam ani podarunek, ani pożyczka jakiej żądasz odemnie. Cóż mi więc ofiarujesz w zamian za dwa luidory?

— Objaśnienia, dotyczące Aliny Pradier natychmiast, bezzwłocznie.

— Jakto, już je otrzymałeś? zawołał agent udając zdziwienie.

— Mam je przy sobie, jak najściślejsze! Nic w nich nie brakuje. Za te dwa żółte pieniążki, otrzymasz pięćset szczegółów. No! jakże ci się to podoba?

— Targ dokonany, odparł Jobin sięgając po portmonetkę.

— Słyszałeś pan zapewne o morderstwie jakie narobiło tyle wrzawy, zaczął Picolet, schowawszy pieniądze do

kieszeni.

— O zabójstwie barona Worms?

— To, to, właśnie! Otóż w tej sprawie mam najlepsze wiadomości. A więc, bankier Worms, był kochankiem tej panny. Odebrał ją swojemu kasjerowi, niejakiemu Fryderykowi Müller, który ukrywając przedemną swój adres i nazwisko, pisywał listy poste-restante, sądząc iż pozostanie mi nieznanym. Co więcej, ów Müller posełał tej jak ją zowią „Pomarańczy“ grube pieniądze. Zkąd je brał? Nie moja to sprawa. Śledziłem go zarówno i ztąd znam wszystkie szczegóły.

— Nie ulega więc wątpliwości, pomyślał Jobin, iż jest to ta sama kobieta. Trzeba dowiedzieć się o reszcie.

Stanisław Picolet, po zjedzeniu jaj, chciwie pochłaniał szynkę i wypróżniał butelkę.

— Patrząc na pański dobry apetyt, zaczął Jobin, sądzićby można, iż pan nie jadłeś śniadania?

— Przeciwnie, jadłem kiełbasę z kawałkiem chleba, ale to znaczy tyle co nic.

— Masz pan apetyt do pozazdroszczenia.

— Jadłbym trzy dni z rzędu bez przerwy.

— Zapraszam więc pana na obiad.

— Doprawdy? każesz mi pan dać obiad wspaniały?

— Przy ulicy Montorgeuil, pod skałą Caneale.

— Ach! jest to mojem marzeniem! Lecz wybacz, kochany kliencie, iż cię zapytam, zkąd pochodzi dla mnie nieznanego tyle życzliwości z twej strony?

— Rozmowa z tobą przyjemność mi sprawia, lubię tego rodzaju małe tajemnice i jestem pewny, że przy obiedzie

opowiesz mi coś jeszcze bardziej ciekawego o Alinie Pradier, baronie Worms i kasjerze.

— I o żonie bankiera, dodał Picolet.

— Jakto, znasz baronowę, zapytał żywo Jobin.

— I wicehrabiego de Presles, zarówno! Znam wszystkich, w całym Paryżu. Ach! możesz wierzyć mojemu słowu, że policyjni agenci wobec mnie są niczem.

Jobin skrzywił się pomimowolnie, lecz rychły uśmiech pokrył owo skrzywienie.

Było to ciekawem w rzeczy samej, widzieć jednego z najzręczniejszych policyjnych agentów, czerpiącego objaśnienia od jakiegoś pobocznego członka agencji Koch i Fumel.

Zapłaciwszy za spożyte przez Picolefa śniadanie, Jobin, niechcąc go stracić z oczu ani na chwilę, z uderzeniem piątej godziny udał się wraz z nim do restauracji na ulicę Montorgeuil, gdzie wszedłszy do oddzielnego gabinetu, zadysponował wytworny obiad z likierami, jakie powinny były rozwiązać język gościowi.

Picolet zresztą lubił mówić wiele. Mówił zatem bez przerwy, a tak długo że o dziesiątej wieczorem, jeszcze znajdowali się obadwaj w restauracyjnym gabinecie, gdzie Sta. Pi... kompletnie pijany, wylewał łzy, ściskając z rozczuleniem agenta, który nawzajem przyrzekał dlań być bratem i ożenić się co prędzej, by mu dać możność czuwania nad swoją żoną i powiadamiania go, gdyby miała nastąpić jaka katastrofa małżeńska.

Jobin niepotrzebował już dowiadywać się więcej, wiedział wszystko, co tylko samemu było Picoletowi

wiadomem.

Nie przytaczamy szczegółowo opowiadań tego ostatniego, którego wpływ dobrych potraw i silnego wina, czynił wymownym więcej, niżby było potrzeba. W zamian wyjaśniamy okoliczności, jakich nie mogła znać agencja domu Roch i Fumel.

Baron Worms przed zawarciem małżeństwa należał do kategorji ludzi pozbawionych wszelkiego poczucia moralności, nieumiejących stawić oporu namiętnościom jakiegobądźkolwiek one byłyby rodzaju. Jego wielki majątek, którego pierwotne źródło było zupełnie nieznanem i nadzwyczaj pomyślny wciąż obrót pieniężnych interesów czyniły zeń, finansistę wysoce poważanego w świecie giełdowym.

Jedną rzecz tylko ów naturalizowany Niemiec przekładał po nad pieniądze. Były to roskosze miłości. Uwielbiał kobiety, a niestały w swoich fantazjach, zmieniał często kochanki.

Przed kilku laty, jak wiemy, zajął się młodem dziewczęciem, sierotą, Walerją Langier, jaka w domu pewnego bogatego przemysłowca pełniła obowiązki nauczycielki i swojemi bezustannemu grzecznościami skompromitował ją do tego stopnia, że straciła miejsce.

Widząc biedne dziewczę osamotnionem, bez żadnych środków utrzymania, przekonany iż trzyma ją w swem ręku, kupić ją postanowił. Walerja jednak sprzedać się nie chciała. Odepchnęła ze wzgardą świetne ofiary barona w taki sposób, że bankier straciwszy wszelką nadzieję uczynienia z niej swojej faworyty, rzucił się na pociechę po

otrzymanej odmowie, w rozpustę wszelkiego rodzaju.

Chybił jednakże celu. Nie tylko że o niej nie zapomniał, ale co gorsza, ów początkowo kaprys chwilowy, zmienił się w nim w gwałtowną namiętność. Powiedział sobie natenczas, iż bez tego młodego dziewczęcia żyć mu niepodobna i za jakąbądź cenę, mimo iż był wrogiem małżeństw w ogólności, postanowił zaślubić Walerję.

XIV.

Nie olśniona bynajmniej tym wielkim niespodziewanym majątkiem, młoda dziewczyna przyjęła oświadczyny, pana Worms i ów dziesięcio miljonowy bankier, chcąc się okazać wspaniałomyślnym, przyznał Walerji w ślubnym kontrakcie, jako jej posag, sumę sto tysięcy talarów, obdarzając ją obok tego klejnotami wysokiej wartości.

Nastąpiły zaślubiny.

Przez cztery pierwsze miesiące, młoda pani baronowa czuła się być dość szczęśliwą.

Ów były Niemiec, pragnąc poszczycić się niezwykłą pięknością swej żony, zaczął dostarczać jej zabaw i rozrywek różnego rodzaju, rzuciwszy ją tym sposobem w wir światowy, tak, ażeby nuda i smutek nie zdołały zbliżyć się ku niej; poczem wierny dawnym swoim zwyczajom, usunął się od niej, tak jak to czynił dotąd ze swemi kochankami.

Zobojętnienie zastąpiło miłość, nie pozostawiając nawet owego tkliwego szacunku, w miejsce zniknionej

namiętności.

Pozostawiwszy żonę na stronie, pan Worms z najwyższym cynizmem zaczął prowadzić życie wolnego libertyna. nie kryjąc się z wydatkami wielkich sum na kobiety z półświatka, ukazując się wszędzie w towarzystwie kurtyzanek najbardziej znanych w Paryżu, posuwając bezczelność aż do przyjmowania tych kobiet nocą, w swoim oddzielnym apartamencie, wobec własnych służących.

Mimo całej pobłażliwości Walerji, niepodobna było, by jako legalna małżonka, urażona w swej osobistej godności, nie uczuła owej obelgi. Obojętność, byłaby przyjęła bez szemrania, ale zniewaga tego rodzaju, rodziła pogardę, a pogarda, oburzenie. Odważyła się na wypowiedzenie kilku bardzo delikatnych uwag i na kilka skarg cichych.

Za pierwszem odezwaniem się, baron zamknął jej usta brutalnie, odpowiadając jej z niemiecką opryskliwością, że zaślubiwszy ją bez majątku i dawszy jej tak świetną pozycję, nie wolno jej się oskarżać i że będzie działał dowolnie tak teraz, jak i w przyszłości.

Walerja opuściła głowę, otarła łzy i milczała, żałując i gorąco owych czasów, gdzie uboga, lecz niezależna, utrzymywała się z udzielania lekcji. W owej epoce pracy i niedostatku, nadzieja przynajmniej ją podtrzymywała. Obecnie o szczęściu marzyć już nie wolno jej było.

Osamotnionej pośród bogactwa, żadna nie pozostawała nadzieja. Rozwiane sny niepowrócą już więcej.

Myliła się jednak tak sądząc.

Znalazł się pocieszyciel.

Wicehrabia Gilbert de Presles był od dwóch lat poufnym przyjacielem bankiera, jednym ze stałych gości w jego mieszkaniu. Żywa sympatja, jaką uczuwał dla Walerji od pierwszych chwil jej małżeństwa, wywołała uczucie głębokiej litości, gdy widział tę młodą kobietę zdradzaną przez męża, osamotnioną, znieważaną. Uczucie to szybko zmieniło się w miłość i powiedzmy od razu, w miłość dzieloną przez panią Worms, która z całą tkliwością uciekała się do tego ożywczego źródła.

Spieszymy dodać, że owa miłość była czystą, bez skazy, coś w rodzaju braterskiej przyjaźni, przynajmniej ze strony baronowej. Oboje młodzi i piękni, pokochali się nawzajem, nigdy wszelako ich ust nie złączył pocałunek.

Rzecz pewna, iż wicehrabia żywił w głębi duszy nadzieję, iż w bliższej lub dalszej przyszłości, ta kobieta oprzeć się nie zdoła obustronnemu gorącemu uczuciu, ukrywał jednak myśl tę głęboko i Walerja z niezachwianą ufnością wierzyła w ów platoniczny związek dusz, w czem znajdowała jedyne swe szczęście i zapomnienie boleści.

*
* *

Zeznania uczynione panu Boulleau-Duvernet, wkrótce po popełnionej zbrodni, powiadomiły nas, że Fryderyk Müller przedstawiwszy się za poddanego niemieckiego, był od lat siedmiu urzędnikiem, a od pięciu kasjerem w bankierskim domu pana Worms.

Przez te ostatnie pięć lat, Müller mógł rościć w rzeczy samej prawo do nazwy wzorowego kasjera. Niezmordowaną wytrwałość w pracy, pilność, zdolność, uczciwość, te tyle cenne zalety, w wysokim stopniu jednoczył on w sobie.

Mimo pozorów światowego człowieka, żył skromnie, unikał sposobności do zabaw, wynająwszy mały domek dla siebie przy ulicy de Neuilly, starając się jak najmniej wydawać, zbierając znaczne oszczędności z swej pensji.

Baron Worms cieszył się niewymownie ze swego pracownika i błogosławił berlińskiego korespondenta za nadesłanie sobie tak wyjątkowo doskonałego człowieka.

Pewnego wieczora, Fryderyk Müller nie mogąc wymówić się od zaproszenia jednego z kolegów, udał się na obiad do restauracji. Uczta w jakiej uczestniczyło pięciu zaproszonych, była nadzwyczaj ożywioną i przeciągnęła się do północy.

Fryderyk Müller ażeby nie okazać się dziwakiem, poszedł z towarzyszami na bal opery, gdzie spotkała go niespodziewana przygoda.

Jakaś kobieta, ująwszy go pod rękę, zaczęła go intrygować z przyczyny jego ponurej i smutnej fizjognomii.

Była ona wysokiego wzrostu, zamaskowana. Czarny kapturek pokrywał jej głowę, pod fałdami jedwabnego domina rysowała się kształtna postać, a głos mimo że nieco chrypliwy, wskazywał młodą istotę. Silna woń perfum wydzielała się z jej ubrania.

Müller odpowiedział z razu obojętnie na jej zaczepki. Zdawał się być wahającym i zakłopotanym, jak człowiek,

do którego przemawia ktoś obcym językiem, w miarę jednakże, gdy owo domino rozwijało zastosowane do niego dowcipne żarciki, kasjer barona Worms zmienił się powoli; obłudna niemiecka powaga znikła z jego oblicza, zostawując miejsce wesołej efronterji doświadczonego hulaki emeryta i wkrótce odpowiadać zaczął z werwą, dorównywającą dowcipowi swej towarzyszki. Zapędził się tak dalece w swem oszołomieniu, że domino zawołało ze zdumieniem:

— Ależ mój niemiecki kasjerze, ty jesteś na wkroś paryżaninem!

— Znasz mnie więc? zapytał Müller?

— Tak, trochę, od dnia, w którym mi wymieniałeś czek, przez okienko swej kasy. Mówię ci otwarcie, bardzo mi się podobałeś. Lecz jedźmy na kolację, a raczej na śniadanie, ponieważ to już piąta nad ranem.

W gabinecie, domino zdjęło maskę i Müller przypomniał sobie iż w rzeczy samej widział niegdyś tę osobę.

Była to Alina Pradier, piękna brunetka z bujnemi splotami włosów tak czarnemi, iż barwa ich mieniła się w granatową prawie i czarnemi, piekielnie ognistemi oczyma.

Alina była istotą niebezpieczniejszą niż wiele jej podobnych.

Wychodząc tegoż samego dnia z pałacyku przy ulicy Frydlanckiej. w którym zamieszkiwała ta niegdyś kupcowa pomarańcz, Müller postanowił posłać tej swojej nowej kochance bransoletę złotą za dwadzieścia pięć luidorów. Nazajutrz jednak, rozmyślił się i sam zaniósł ów podarunek!

Po upływie tygodnia, szalenie zaszołomiony, a co więcej wściekle zazdrosny, pozyskał już nazwę „pana“ u pokojówki owej kokoty.

Przez trzy miesiące utrzymywał się ów związek przy pomocy wielkiej liczby listów w rodzaju tych jakie przytoczyliśmy powyżej.

Müller nie szczędząc pieniędzy, stał niezachwianie na zdobytej pozycji kochanka Aliny aż do dnia w którym spostrzegł iż jest zdradzanym. Co począć? Bardziej niż kiedykolwiek rozkochany badać ją zaczął, Alina Pradier skłamała, rzecz naturalna, spostrzegł to od razu i postanowił ją śledzić.

Od godziny dziewiątej z rana do czwartej po południu, kasjer przykuty jest do kasy, jak szyldach na warcie. Wszelka wycieczka jest niepodobną. Müller wynalazł na to sposób. Inni zrobią za niego to czego sam zrobić nie mógł.

Prospekt agencji Roch i Fumel jaki wpadł mu w ręce, przywiódł go na ulicę Montmartre. Stanisław Picolet otrzymał zlecenie szpiegowania Aliny Pradier, a kasjer dla ukrycia swego nazwiska rozkazał adresować listy pod inicjałami poste-restante w biurze pocztowem przy ulicy Rousseau, którędy codziennie przechodził wracając z biura.

W krótkim czasie przekonał się, że jego podejrzenia były uzasadnionemi. Miał rywala a tem groźniejszego, że był nim jego własny pryncypał, baron Worms.

Mąż Walerji, zawrócił sobie głowę Aliną Pradier, i rzecz nie do uwierzenia, roztoczyła ona nad nim absolutną władzę, dzięki zapewne wyższości wad swoich i zapanowała tak nad nim, jak dotąd żadna z kobiet.

Pewnego wieczora, a raczej pewnej nocy, wprowadzonej pod dach małżeński Alinie Pradier, przyszła fantazja zwiedzić sale przyjęcia w pałacu.

Pan Worms, zawsze i we wszystkiem posłuszny na jej skinienie, oprowadzał ją z zapaloną świecą w ręku.

— Bardzo to piękne, odpowiedziała popatrzywszy chwilę, radabym jednak widzieć to wszystko przy pełnem gazowem oświetleniu.

—- Chcesz? rozkażę natychmiast oświetlić, zapytał śmiejąc się baron.

— Jakto, tej nocy?

— Jednej chwili, w oka mgnieniu. Powiedz że życzysz sobie, a obudzę kamerdynera i w ciągu dziesięciu minut nastąpi illuminacja.

Alina Pradier potrząsnęła głową.

— Nie! Ja mam inną myśl, lepszą. Wydaj bal, ja na nim będę, zadecydowała stanowczo.

Baron spojrzał na swoją kochankę z osłupieniem. Mimo, że nawykł do kaprysów owej kobiety, wyż wymieniony jednakże przez nią, zdawał mu się przechodzić granicę najbardziej rozbujałej fantazji.

— Cóż to? co znowu? zawołała z gniewem Alina. Dlaczego patrzysz na mnie tak osłupiałemi oczyma, jak gdybym powiedziała coś szalonego?

— Jakto? Ty chcesz przyjść na bal do mnie, tu, do pałacu?

— Tak, chcę!

— Do mojej żony?

— Do twojej żony, do ciebie! Tak!

— Ależ to niepodobna, niepodobna! powtarzał.

— Ach! tępa głowo! zawołała z podrażnieniem. Jeśli bal będzie maskowy, któż zgadnie że ja na nim jestem?

Baron uspokojony, uśmiechać się zaczął.

— To prawda, odpowiedział, to prawda! Masz myśl doskonałą!

Nazajutrz pan Worms, którego cynizm nie cofał się przed najhaniebniejszem szaleństwem nakazanem przez Alinę, rozesłał po Paryżu liczne zaproszenia na bal „kostjumowo-maskowy,“ jaki miał się odbyć u niego w następującym tygodniu.

Przez cały tydzień rysownicy, krawcy i szwaczki renomowane, zasypanymi byli zamówieniami, jak niegdyś w przeddzień słynnego balu, wydanego przez księcia de Morny, jaki zostawił tyle pamiętnych wspomnień.

Przyszedł nareszcie ów wieczór tak niecierpliwie oczekiwany.

Około dziesiątej wieczorem, powozy zajeżdżać poczęły z zaproszonymi przed peron pałacu.

Pan Worms w kostjumie finansisty, złotem drapowanym z czasów Ludwika XV-go, stał w małym salonie dotykającym przysionka, odbierając osobiście karty zaproszenia, jakie podawał mu lokaj w porcelanowej, wazie japońskiej.

Baronowa z odkrytą twarzą, w skromnym kostiumię wieśniaczki Bretońskiej, czarownie była piękną tego wieczora. Przyjmowała ona przybywających w progu wielkiego salonu. Wszyscy oni prawie wymieniali swoje nazwiska, witając ją ukłonami.

Gilbert de Presles, zachwycająco piękny w ubiorze Palikara, pożerał ją wzrokiem.

Pomiędzy gośćmi, mężczyzna wysokiego wzrostu w kostjumie Armeńczyka stał nieruchomy pod oknem, nie mówiąc nic do nikogo, widocznie wyosabniając się z ogólnej wrzawy i wesołości.

Był to Fryderyk Müller, ponury, smutny, przygnębiony znaną nam troską, pełen nienawiści dla barona od chwili, w której tenże odebrał mu Alinę Pradier.

Salony zwolna się zapełniały.

Dwie niewidzialne orkiestry, umieszczone w górnej trybunie między krzewami raźno przygrywały. Organizowały się kadryle i bal dochodził kulminacyjnego punktu ożywienia.

Północ wybiła. Rytm uroczego walca cichnąć już zaczął. Obie orkiestry umilkły. Nagle szmer powstał ode drzwi wielkiego salonu, zbliżając się i rosnąc z każdą chwilą.

Ze strony męzkiej ów szmer wyrażał zachwyt i zdumienie, ze strony żeńskiej zdumienie wraz z oburzeniem.

Obecni powstali z miejsc swoich. Każdy miał coś do powiedzenia na ucho sąsiadowi swemu, albo sąsiadce.

We drzwiach salonu ukazała się kobieta majestatycznej postaci i bez najmniejszej oznaki zakłopotania szła pośród grupy osłupiałych gości.

Ta kobieta, której górną część twarzy pokrywała aksamitna półmaska, posiadała godne podziwu kształty plastyczne, odkryte więcej niżby przyzwoitość tego wymagała.

Była to Alina Pradier w kostjumie Oceanidy, jaki bywa jedynie widywanym w sztukach sensacyjnych niższego rodzaju, wobec publiki mniej drażliwej na względy przyzwoitości.

— Ależ to arcydzieło gustu i piękności, myśleli mężczyźni.

— Ach! to haniebne! szeptały kobiety.

Baron Worms po wejściu Oceanidy ukrył się wśród zaproszonych, złorzecząc nazbyt mitologicznemu przebraniu swej faworyty.

Oceanida zdawała się tego nie spostrzegać i zachowywała się tak swobodnie i śmiało, jak Wenus w „Orfeuszu w piekle.“

Zaproszeni zgromadzili się w około baronowej Worms, zarzucając ją pytaniami, jakie można streścić w tych słowach:

— Piękna osoba, lecz ekscentryczna. Zdaje się że sama przybyła? Twarz ma ukrytą pod maską, poznać jej zatem nie można. Tobie jednakże baronowo jako gospodyni domu, zapewne musi być znaną?

— W rzeczy samej, znać ją powinnam skoro znajduje się u mnie w salonie, wyjąknęła z pomięszaniem Walerja, podczas gdy jej serce dziwna uciskała trwoga, mimo to nieodgaduję, niewiem kto może być ona.

— Baron jednak wiedzieć powinien wszak sam odbiera karty zaproszonych gości?

— To prawda, pójdę zapytać go o to.

Tu pani Worms przeciskać się poczęła przez tłum zaproszonych szukając męża, którego odnalazła nareszcie.

— Mój przyjacielu, rzekła do niego z lekkiem zakłopotaniem, przychodzę do ciebie jako posłanniczka od obecnych tu dam. Dziwią się, niepokoją, mówiła dalej baronowa, obecnością osoby pięknej, niezaprzeczenie, ale ubranej w dziwnie nieprzyzwoity kostjum.

— Tak, kostjum jest nieco drastycznym, odrzekł pan Worms. Te włoszki mają tak mało taktu i zastanowienia. Nawykłe do obnażonych w swym kraju posągów, naśladują je przy przebraniu, nie widząc w tem nic złego.

— A! jest to więc Włoszka?

— Tak moja droga. Dama wysokiego rodu, niezmiernie bogata! Markiza de Mentano.

— Po raz pierwszy słyszę to nazwisko, wyszepnęła Walerja.

— I ja przed dwoma dniami nie znałem go wcale! Bądź jednak spokojną, to co ci mówię, jest autentycznem. Ambasador Włoski pisał do mnie wczoraj, polecając mi swoją szlachetną rodaczkę i prosząc dla niej o zaproszenie na nasz bal.

— Zaprosiłeś więc zapewne i markiza wraz z jego żoną?

— Nie, ona sama przebywa w Paryżu. Uspokój więc proszę, obecne tu damy, których skromność cierpiałaby może na niedyskrecji tego kostjumu.

Walerja odeszła a za chwilę później zaczęło krążyć po salonie to zdanie z ust do ust powtarzane:

— Jest to wielka dama włoska, protegowana przez ambasadora.

I przygłuszono rodzący się skandal.

Orkiestry grać zaczęły i tłum młodzieży otoczył

Oceanidę, zapraszając ją do następujących kadrylów.

Podawszy rękę jednemu z nich, dozwoliła się prowadzić.

Zadziwiło jednak kawalera owej mniemanej cudzoziemki, kilka drastycznych wyrazów, wybiegłych z różowych jej ust pomimowolnie, ale młodzieniec ów mało podróżując po świecie, wytłumaczył sobie, że w owym pięknym kraju Italii gdzie kwitnie pomarańcza, wszystkie wielkie damy w podobny sposób się zachowują.

Kilka bufetów zaopatrzonych w zbytkowne potrawy i napoje umieszczono na galerji przyległej do wielkiego salonu.

Młodzieniec zaprowadził tam piękną Włoszkę.

— Może pani pozwoli podać sobie kilka kropel wina szampańskiego? zapytał.

— Dobrze, odpowiedziała, nie tylko kilka kropel, ale cały kieliszek i to pełny po brzegi.

Wychyliła go, następnie drugi, a potem trzeci.

— No! teraz dobrze się czuję, dodała, idźmy rozpocząć polkę, potrzebuję ruchu, uczuwam jak gdyby chodziły mi mrówki po nogach.

Mniemana markiza odwiedzała bufet po kilkakrotnie, racząc się Cliquot’em pomięszanym z winem Bordeaux i ponczem palonym, skutkiem czego kompletnie sobie podpiła.

Po wychyleniu ostatnich tamże kieliszków, stanęła pośród zebranych gości a chwiejąc się z boku na bok, zawołała.

— Precz tańce salonowe i przekleństwo im wraz z obłudą salonów! Zbierajcie się w około mnie młodzieńcy,

zobaczycie jak się to zdobywa kawalerów! Zobaczycie czegoście dotąd niewidzieli! Tam gdzie panuje przymus nie ma zabawy!

I zerwawszy szybkim ruchem maskę, odkryła obecnym oblicze Aliny Pradier przezwanej „Pomarańczą.“

XV.

Wielu młodych ludzi i niektórzy ze starszych mężczyzn znali osobiście Alinę. Wszyscy wiedzieli o jej bliskich stosunkach z baronem Worms. Nastąpiło więc ogólne osłupienie, w połączeniu ze wstrętnem zgorszeniem. Szmer oburzenia i dające się słyszeć wykrzykniki, zdradzały stan umysłów zebranych tu gości.

Pani Worms wszystko widziała, wszystko zrozumiała.

Śmiertelna bladość pokryła jej oblicze. Przez parę sekund wahać się zdawała, poczem powziąwszy stałe postanowienie, zbliżyła się ku swemu mężowi, który starał się nie stracić równowagi umysłu, wobec ogólnego a tak jawnego oburzenia.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia, grupy się rozstąpiły, dając wolne przejście znieważonej małżonce w jej własnym domu.

Walerja położyła rękę na ramieniu barona i rzekła zaledwie dosłyszanym głosem.

Nie oskarżam cię, panie, żebyś był wspólnikiem nikczemnego planu, jaki się odbył przed oczyma zebranych. Przypuszczam że cię oszukano, nadużyto twej dobrej wiary

i wszyscy przekonają się o tem jeżeli przez szacunek dla mnie i znajdujących się tu osób, wypędzisz natychmiast ztąd tę kobietę!

Baron mocno się zarumienił. Czuł słuszność żądania ze strony żony. Żałował gorzko nie haniebnego czynu, jaki popełnił, lecz następstw mogących wyniknąć z tego.

Pozostawało mu jedyne honorowe wyjście z owego położenia. Należało mu, zebrawszy całą energję, wyrzucić za drzwi ową nikczemną istotę, tego obrzydłego skandalu. Nie miał ku temu odwagi, przeto postanowił siłą brutalności wydobyć się z przygniatającego go położenia.

— Czyś zmysły straciła? odrzekł usiłując onieśmielić Walerję surowością głosu. Ma więc być zwyczajem w naszym domu znieważanie gości? Innej ja grzeczności oczekiwałem z twej strony! Ktokolwiekbądź wstąpi w nasze progi, szanowanym być powinien! Kto czyni mi zaszczyt odwiedzenia mnie, nie odmówi zaszczytu i pozostania u mnie na dłużej!

— A więc ta kobieta?

— Ta „pani“ jest moim gościem, zawołał baron z gwałtownością, wskazując gestem Alinę. Nakazuję ci ją szanować!

— Nie każesz więc jej odejść?

— Nie! i bronić jej będę, gdyby było trzeba nawet przeciw tobie!

— A zatem ja jestem tutaj zbyteczną? wyjąknęła Walerja. Zatem ja wyjść ztąd powinnam?

— Jeśli tak sądzisz, możesz to uczynić!

Pani Worms zadrżała, przejęta zgrozą. Spojrzała na męża

i Alinę Pradier.

Blade oblicze barona przedstawiało wyraz dzikiego, niewzruszonego postanowienia.

Alina zwycięzko się uśmiechała.

Pani Worms z okrzykiem ciężkiej boleści, chwyciwszy się za głowę jak obłąkana, wybiegła z salonu, podczas, gdy w około niej i po za nią rozlegał się szmer głębokiego współczucia i litości.

Zaledwie zniknęła ta nieszczęśliwa kobieta, szmer ustał, a jego miejsce zajęło tak pogardliwe milczenie, że pan Worms, nie zdolny stawić dłużej czoła burzy, wywołanej swoim cynizmem, chwycił za rękę Alinę, wołając:

— Wychodź pani!... Mają słuszność. Nadużyłaś mej dobrej wiary. Nie tu jest miejsce dla ciebie!

I wyprowadził ją, a raczej wywlókł aż do przysionka, gdzie zarzuciwszy jej płaszcz na ramiona, rozkazał kamerdynerowi odprowadzić ją do powozu, sam zaś powrócił do salonu, gdzie starał się wytłómaczyć obecnym ów skandal, wynikły z nadużycia jego ufności przez włoskiego ambasadora.

Słuchano przez grzeczność owych objaśnień, pozornie dając niby im wiarę, wiedziano jednak dobrze co o tem sądzić i powyżej opisane przez nas zdarzenie tak ujemnie oddziałało na zebranych, że zabawa odrodzić się już nie zdołała.

Piękności zaproszone przez barona, uważały się słusznie za ciężko obrażone przez wprowadzenie kobiety z półświatka do ich towarzystwa, obok czego poczytywały sobie za obowiązek stanąć po stronie znieważonej pani

Worms.

Napróżno obie orkiestry z podwójną werwą wygrywały walce i kadryle, rozpoczęło się wyludnianie salonu i wkrótce w owych rozległych, rzęsiście oświetlonych apartamentach pozostało jedynie kilku amatorów ostatniego kotyljona.

Walerja wyszedłszy schroniła się do zimowego ogrodu, słabo oświetlonego, pełnego bujnej wegetacji, zacienionego zielenią na kształt dziewiczego lasu, przyległego do galerji, na której zastawionemi były bufety.

Gilbert de Presles szedł za nią, zbaczając roztropnie wśród tłumu zebranych, aby zapobiedz wszelkiej niedyskretnej ciekawości; zaś kasjer Fryderyk Müller, niemy świadek skandalu wywołanego przez Alinę Pradier, postępował ostrożnie za wicehrabią.

Walerja upadła na ławkę umieszczoną w ciemnym zakątku zimowego ogrodu i ukrywszy twarz w dłoniach, gorzko płakała. Nagle zadrżała i wybiegające łkanie stłumiło się w jej piersiach.

Pan de Presles ukląkł przed nią.

Po raz pierwszy oddała swe drobne ręce pocałunkom tego, którego dotąd kochała jak brata.

Czyż można było uważać to za winę z jej strony? Biedna kobieta tak potrzebowała być przez kogoś kochaną.

— Ach! Gilbercie, szepnęła, ty jeden mi tylko na świecie pozostajesz. Zbyt wiele na mnie spada niezasłużonego wstydu, zbyt wiele otacza mnie niegodziwości! Dziś zniewaga publiczną się stała. Bóg świadkiem na nią nie zasłużyłam. Czuję iż braknie mi sił do zniesienia czegoś

podobnego! Osłoń mnie swoją opieką, Gilbercie. Broń mnię i ocal!

Oddzielony od wicehrabiego i Walerji pnącemi się tylko krzewami i liśćmi, po za któremi się ukrył, Fryderyk Müller był niewidzialnym świadkiem powyższej rozmowy. Posiadł tajemnicę dwóch istot, gorąco się kochających, mimo, że ani jednego wyrazu miłości nie wymówiły ich usta. Domyślił się, że Gilbert posiadać musiał klucz od furtki. Poznał ich nocne schadzki w małej altance ogrodowej i z radością szeptał sobie:

— Baron Worms zabrał mi moją kochankę. Nadejdzie dzień niezadługo, w jakim rzucę mu w twarz zdradą jego żony! Niewinna dotąd owa platoniczna tkliwość inne wkrótce przybierze rozmiary.

Nazajutrz Müller wrócił do agencji Roch i Fumel, i połączył się na nowo z prawą ręką tegoż zakładu, nieoszacowanym Picolet’em.

Sta... Pi. został proszonym przezeń o rozpoczęcie swej śledczej pracy, wszakże tym razem nie nad Aliną Pradier, ale nad żoną barona Worms.

Picolet rozpoczął bezzwłocznie swój nadzór po nad zakochanemi, co lubo nie przyniosło na razie rezultatów pożądanych, w dalszej przyszłości nie chybiło celu.

Baron Worms okazywał się być coraz więcej brutalnym, coraz bardziej zobelżał swą żonę, czyniąc tym sposobem wspólne pożycie małżeńskie niemożebnem.

Pewnego dnia w przystępie szalonego gniewu, poważył się unieść rękę na Walerję.

Od owej to chwili zrodziło się w umyśle baronowej

postanowienie ucieczki dla uchronienia się raz na zawsze od tyle wstrętnej i ciężkiej egzystencji.

Picolet, któremu owo nowego rodzaju szpiegowanie bardzo do gustu przypadało, podsłuchał plan wyjazdu dwojga zakochanych, o czem nie omieszkał powiadomić Müllera.

Pisząc: „na jutro postanowione“ znaczyło to, że nazajutrz Gilbert de Presles z baronową mieli wyjechać z pałacu.

Ów współpracownik agencji Roch i Fumel, jak wiemy, w stanie podpiłym, opowiedział te rzeczy szczegółowo Jobinowi, biorąc go za młodzieńca szalenie zakochanego w Alinie Pradier, a tem samem wielce o nią zazdrosnego. Zakończył opowiadanie temi słowy:

— Otóż ociekli oboje, jak sobie to ułożyli. Lecz niech mnie djabli porwą, jeślim nie przewidywał, że przed ową ucieczką wyporządkują na czysto kasę bankiera.

— Zatem pan sądzisz, że to oni zabrali pieniądze? zapytał Jobin.

— Dobre zapytanie! Któż więc inny mógłby to zrobić? Sądzę że nie pan, ani ja zarówno.

— Ileż osób wiedziało o ich wyjeździe? badał dalej: agent.

— No! dwie osoby, ja i pan kasjer.

— Nikt więcej?

— Nikt! Gotów jestem położyć na to głowę pod gilotynę.

— Dobrze, dobrze! rzekł Jobin głośno, a w duchu pomyślał: Skoro tak, mam sprawę, w kieszeni!

XVI.

Późno wieczorem wyszedł nasz agent z restauracji „pod Skałą Caneala“, zostawiwszy Stanisława Picolet w stanie upitym.

Wsiadłszy do fiakra, kazał się zawieść na ulicę Frydlancką do panny Aliny Pradier.

Przyjemna owa osóbka oczekiwała na przybycie pewnego, bardzo bogatego przemysłowca, jaki jej w dniu poprzednim został przedstawionym i wydała najsurowszy rozkaz swej służbie nie wpuszczania nikogo, prócz wyż wymienionej osobistości.

Jobin na kartce papieru nakreślił te słowa: „Ze strony pana prefekta policji“ rozkazując pokojówce doręczyć natychmiast ów papier swej pani.

Jakoż nastąpił bezzwłocznie skutek pożądany i agent został wprowadzonym do buduaru Aliny.

Znalazł ją bardzo wzburzoną i niespokojną, mimo że usiłowała ukryć swoje wzruszenie.

— A! to pan, zawołała, który przychodzisz ze strony policji?

— Tak pani. Oto moja karta agenta.

— Co to znaczy? Czego chcą odemnie? Ja nie zrobiłam nic złego. Powiedz pan, czy mi zagraża jakie oskarżenie?

— Nie, upewniam, jeżeli pani odpowiesz szczerze na kilka przezemnie zadanych ci pytań; w przeciwnym razie, oczekuje cię Saint-Lazare.

— Zapytaj mnie pan, wołała z trwogą, odpowiadać będę

prawdę, najczystszą prawdę. O czem chcesz ażebym ci mówiła?

— Oznacz mi pani cyfrę pieniędzy, jakie Fryderyk Müller, kasjer pana Worms wydał na ciebie przez kilkomiesięczny czas trwania związku waszego, lecz proszę o ścisłe oznaczenie sumy!

Alina Pradier miała zwyczaj, jak wiele jej koleżanek zapisywania u siebie regularnie przychodów i wydatków. Służącą jej do tego oprawną księgę położyła przed Jobin'em:

— Otóż co pragnąłem wiedzieć, rzekł tenże zsumowawszy ogół do 60,000 franków wynoszący. Pomnij pani, dodał, że nikt na świecie, a nadewszystko Fryderyk Müller wiedzieć nie powinien że ja tu byłem, i że pani ze mną się widziałaś. W razie najmniejszej niedyskrecji czeka cię Saint-Lazare!

Przestraszona Alina milczeć przysięgła i agent wsiadłszy do fiakra kazał się wieść do mieszkania pana Boulleau-Duvernet.

Ów sędzia śledczy był w domu. Siedział nad aktami tej sprawy, studjując je pilnie.

— Ty, u mnie? O tej godzinie? zawołał, widząc wchodzącego Jobin'a. Czy masz mi coś nowego do powiedzenia.

— Tak jest, panie sędzio.

— Tem lepiej, ponieważ ów wicehrabia wraz z baronową sprawiają mi wiele kłopotu. Podczas mego długoletniego prawniczego zawodu, nie spotkałem podobnie zatwardziałych hultajów. Panią Worms doprowadziło to aż

do zemdlenia, prawdziwego omdlenia, skonstatowanego przez lekarza. Nie chcą się przyznać do niczego. Potrzebaby nam było mieć przeciwko nim jakieś przekonywające ważne dowody; masz że takowe?

— Zdaje mi się że je pozyskałem.

— Dowody ich zbrodni?

— Przeciwnie, ich niewinności.

Boulleau-Duvernet zerwał się z fotelu ale tym razem nie zgromił Jobina jak poprzednio.

— W takim razie, odrzekł po chwili milczenia, któżby według ciebie mógł być zabójcą barona?

— Odpowiem na tę kwestję lecz niech pan sędzia przed tem zapytać pozwoli, czy ów list bezimienny, pisany do pana Worms znajduje się w aktach leżących na tym biurku?

— Oto jest, rzekł sędzia.

Wziąwszy go Jobin, wyjął z pugilaresu ćwiartkę niebieskawego papieru, znalezionego przezeń w bibule kasjera i przyłożył ją do listu. Nie tylko że wycięcia obu kawałków zgadzały się z sobą najzupełniej, ale wyrazy widoczne wewnątrz: „Papiernia w Essone“ łączyły się również doskonale.

— Ha! zawołał Jobin z dźwiękiem tryumfu, byłem o tem przekonany! Teraz mogę powiedzieć z absolutną pewnością: Mordercą barona Worms jest Fryderyk Müller!

— Ależ to szaleństwo!

— Ja mówię że prawda.

— Dowody, przedstaw mi dowody!

— Posiadam ich wiele! Na ich zebranie to właśnie zużytkowałem dzisiejsze popołudnie i wieczór. Niech pan

sędzia wybaczyć raczy pewne nielegalności w mojem postępowaniu choćby ze względu na wieńczący je skutek.

Tu opowiedział on w krótkości szczegóły, wiadome czytelnikom.

Po kilkakrotnie w czasie jego opowiadania sędzia brwi marszczył z niezadowoleniem, nie przerywał jednak mowy agenta, a gdy ten skończył:

— Masz słuszność, rzekł. Zgadzam się z tobą w zupełności. Fryderyk Müller zrabował kasę, aby wywrzeć zemstę na tym, który mu zabrał tę kobietę. Powiadomiony przez swego szpiega o wyjeździe baronowej z wicehrabią, korzystał z ich ucieczki, ażeby zwalić na nich cały ciężar zbrodni i zgnębić ich pod nawałem pozornych dowodów. Dokonałeś mistrzowskiego dzieła, demaskując tego łotra, Jobin'ie. Jestem z ciebie zadowolony. Nie należy zatem pozwolić aby tak niebezpieczny złoczyńca wymknął się z rąk sprawiedliwości. Udzielę ci pełnomocnictwo ujęcia go i sprowadzenia, jakie wykonasz jeszcze tej nocy.

Boulleau-Duvernet wziąwszy arkusz papieru, zapełnił go, podpisał i podał Jobinowi. Agent schował pomieniony arkusz do portfelu, ale nie ruszył się z miejsca.

— Na co czekasz, zapytał go sędzia.

— Prawdziwy zaszczyt przynosi mi pańskie oświadczenie iż pan jesteś ze mnie zadowolonym, wyszepnął Jobin z lekkiem zakłopotaniem, polegając na tem, upraszałbym o położenie we mnie całkowitego zaufania, a tem samem i odłożenie do jutra wieczorem przyaresztowania Müllera.

— Dlaczego ta zwłoka?

— Podobna jemu osobistość posiada tysięczne sposoby do wymknięcia się z rąk sprawiedliwości, znajdzie on nawet środek za pomocą którego oczywistość zmieni w zwątpienie. Ja więc zobowiązuję się przeszkodzić wszelkim jego wybiegom i zmuszę go do wyznania winy wprzód zanim stanie przed panem sędzią.

— Ty to uczynisz? jakim sposobem?

— Racz mnie pan, błagam, nie badać w tym względzie.

Boulleau-Duvernet zamyślił się chwilę.

— Niech i tak będzie, rzekł, nie badam cię o szczegóły twojego planu. Działaj według własnego przekonania, lecz bądź ostrożnym, bacz pilnie aby ów nędznik z rąk ci się nie wymknął.

— Niech pan sędzia będzie spokojnym. Będę osobiście czuwał tej nocy nad małym domkiem w którym ów kasjer zamieszkuje. Jutro z rana dwaj agenci zastąpić mnie przyjdą i nie stracą go z oczu na chwilę. Oni to doręczą mu rozkaz przyaresztowania. Gdyby Fryderyk Müller wiedziony instynktem uciec chciał drogą żelazną, w drodze pochwycić go zdołają.

— Daję ci pełnomocnictwo w tej sprawie.

— Dzięki panu sędziemu za tyle zaufania, rzekł Jobin i wyszedł.

Nazajutrz z rana kasjer o zwykłej godzinie, udał się pieszo do biura bankierskiego Worms, śledzony w pewnej odległości przez jednego z kolegów Jobin’a.

Drugi policjant, stał na stanowisku około domku i dostrzegł przybywającą z miasta służącę Müllera, która otworzywszy drzwi kluczem weszła do mieszkania. Po

ukończeniu swojej roboty odeszła koło południa.

Agent pozwolił jej oddalić się na pewną odległość, poczem doścignąwszy ją, przedstawił posiadane upoważnienie i zaprowadził do komisarza policji, który uspokoiwszy wystraszoną kobietę, kazał jej pozostawić sobie klucz od mieszkania kasjera, polecając aby do jutra rana nigdzie z domu nie wychodziła.

Po zamknięciu biur, Fryderyk Müller poszedł do kawiarni, gdzie długo i uważnie wczytywał się w gazetę sądową publikującą szczegóły o „Sprawie Worms“, przyaresztowaniu osobistości podejrzanych o morderstwo, jako i obciążających je dowodach.

Następnie udał się jak zwykle na obiad do angielskiej restauracji, przy ulicy Magdaleny, z tamtąd na Pola Elizejskie na przechadzkę i wrócił na ulicę de Neuily około dziewiątej wieczorem.

Ów mały domek w jakim zamieszkiwał, dziś już nie istnieje. Wznosił się on w pobliżu fortyfikacji, był jedno piętrowym. Na parterze znajdowała się jadalnia, salon i kuchnia. Na pierwszem piętrze gabinet pracy i dwie sypialnie. Po za domkiem znajdował się maleńki ogródek, zacieniony kilkoma drzewkami, wychodzący na drogę wiodącą w pole. Za to wszystko Fryderyk Müller płacił rocznie komornego tysiąc dwadzieścia franków.

Gazowe latarnie umieszczone w pewmej od siebie odległości, słabo oświetlały tę ulicę, szczególnie podczas ciemnych nocy.

Kasjer wracając do domu, nie zwrócił uwagi na fiakr stojący o kilkadziesiąt kroków dalej, przed sąsiednim

domem. Otworzywszy drzwi, zapalił zapałkę, minął pierwsze piętro a wszedłszy do pokoju tak skromnie umeblowanego jak cela zakonnika, zapalił lampę.

Zaledwie zdołał to uczynić, zabrzmiał głos dzwonka od strony bramy tak gwałtownie iż kasjer drgnął pomimowolnie.

— Co to znaczy? pytał sam siebie z niepokojem. Nie spodziewam się nikogo. Nigdy nikogo tu nie przyjmuję. Kto może dzwonić o tej godzinie? Ktoś się pomylił bezwątpienia, lub który z uliczników zadzwonił dla zabawki.

Powtórnie przedłużone a bardziej gwałtowne dzwonienie, zadało kłam jego twierdzeniu.

Müller podbiegłszy ku oknu otworzył je i wychylił się na zewnątrz.

Przy bramie jakaś czarna postać stojąca na chodniku rysowała się wyraźnie.

— Czego pan żądasz? zapytał kasjer.

— Pragnę się widzieć z panem Müller, odrzekł głos, na dźwięk którego zadrżał pytający.

— Cóż pan chcesz od niego? badał dalej.

— Odpowiem ci na to panie Fred, skoro mnie wpuścisz do swego Luwru, co radzę ci uczynić jak najprędzej dla ułatwienia rozmowy.

— Kto jednak jesteś?

— Ha! ha! niepoznajesz mnie po głosie? zaśmiał się pytający, to dziwna. Nie lubię wygłaszać mego nazwiska na ulicy. Proszę więc otwórz, ponieważ mam nader ważne szczegóły do udzielenia ci panie Fred, szczegóły nie

cierpiące zwłoki.

— Idę, rzekł Müller zamykając okno.

I otworzywszy w biurku szufladę, wyjął z niej mały rewolwer, wsunął go do kieszeni i szedł z lampą w ręku, żeby otworzyć.

— Nie jest to grzecznie dać wyczekiwać na ulicy biednemu Sta Pi. zawołał przybyły, wpadając z pośpiechem w dziedziniec.

— Ach! to pan, panie Picolet, odrzekł kasjer poznając w mroku szczutą postać i blade oblicze współpracownika agencji Koch i Fumel.

— No! tak, ja jestem. Czyż cię to dziwi panie Müller?

— Zkąd znasz moje nazwisko, mój adres?

— Jakież to naiwne zapytanie, odrzekł Picolet śmiejąc się głośno. Czyliż pan nie znasz mojego rzemiosła jakie mi nakazuje wszystko i o wszystkiem wiedzieć? Gdym pisywał do pana listy poste-restante, pod inicjałami F. M. wiedziałem już wtedy, iż mam zaszczyt korespondować z panem Fryderykiem Müller, kasjerem barona, Worms i nie mało krwi sobie napsułem widząc z pańskiej strony tak mało przezorności w zachowywaniu „incognito.“

— W jakim celu przychodzisz pan dziś do mnie?

— Ażeby porozmawiać.

— Cóż pan mi masz do powiedzenia? Służyłeś mi pan, ja ci zapłaciłem, skwitowaliśmy się nawzajem.

— Nie dosyć na tem. W pomienionej okoliczności musimy przeprowadzić dyskusję. Ja pana uważam jako mojego dłużnika i mam nadzieję że w ciągu pięciu minut pan przyznasz mi słuszność w tym względzie.

Müller potrząsnął głową przecząco.

— Płacę, com winien, odpowiedział; nigdy więcej.

— Zgoda, lecz jeżeli pan dłużnym coś jesteś?

— Nic dłużny nie jestem.

— Tak pan uważasz? No! to od chwili w której pożegnam się z panem, pójdę do pewnego sędziego śledczego, o którym zdaje mi się pan słyszałeś, do sędziego Boulleau-Duvernet i prosić go będę ażeby on uregulował pomiędzy nami rachunek, skoro pan niechcesz sam tego uczynić.

Kasjer zbladł jak ściana.

— Nie rozumiem o co chodzi? wyjąknął zmieszany.

— No! to pan jutro zrozumiesz, odparł Picolet. Dobranoc panie Fred, wybacz że cię napróżno kłopotałem. Odchodzę.

— Jakto, nie wyjaśniwszy mi słów swoich?

— Wszak pan mnie słuchać nie chciałeś.

— Przeciwnie. Mów pan. Wejdź ze mną.

— To co innego. Stajesz się pan grzecznym jak widzę i jestem pewny że w krótkim czasie obadwaj porozumieć się zdołamy.

Müller szedł po wschodach prowadząc przybyłego za sobą do pokoju.

— Siądź pan, rzekł wskazując mu krzesło i jednocześnie przenosząc lampę w głąb pokoju, dla ukrycia przerażającej bladości swej twarzy. Powróciwszy, siadł i zaczął: Mówiłeś mi pan o sędzim śledczym, co to ma znaczyć? Dla czego?

— Sądzę iż pan o tem wiesz dobrze.

— Nic niewiem.

— A zatem będę miał przyjemność powiadomić pana.

Pracowałem dla ciebie kochany panie Fred, i sądzę że pan byłeś z mych drobnych usług zadowolonym.

Müller rzucił się niecierpliwie.

— Do rzeczy! zawołał, przystępujmy do rzeczy.

— Ależ to właśnie jądro kwestji. Jesteśmy w całej pełni. Wszakże pan wiesz ile od ciebie z trudem wydostałem podczas bezustannego śledzenia Aliny Pradier, barona Worms, baronowej jego żony i wicehrabiego de Presles, ich przyjaciela. Nędzną sumę dochodzącą najwyżej czterystu franków.

— Cóż mnie to obchodzi? Dałem więcej niż ugodziłem!

— Powinno pana wiele obchodzić. Jestem biedakiem, bez żadnych środków utrzymania. Czwartą część życia spędzam na ustawicznem bieganiu za sztuką dwudziestofrankową, jaka rzadko kiedy pochwycić mi się daje. Czy to nazywa się życiem, zapytuję pana, jeśli się ma jak ja upodobanie do zabaw i chęć do wyławiania pieniędzy? A więc zaprzysiągłem sobie iż jeśli kiedykolwiek znajdę sposobność do pozyskania majątku, chwycę się tego obiema rękami i wymknąć się temu nie pozwolę. Taka właśnie sposobność dziś mi się wydarza, trzymam ją i nie wypuszczę nigdy!

— Pozwoliłem panu mówić, nie przerywałem, rzekł kasjer, wyznam jednakże iż coraz mniej pana rozumiem.

— Panie Fryderyku Müller, potrzebuję stu tysięcy franków, zawołał Picolet.

— Może pan spodziewasz się dostać je odemnie?

— Stanowczo, ma się rozumieć!

Müller wzruszył ramionami.

— Jesteś pan żartownisiem, albo szalonym!

— Ni jednym, ni drugim, odrzekł Picolet. Mówię na serjo, w pełnej przytomności zmysłów. Daj mi pan sto tysięcy franków, to cię nie zrujnuje, zostanie ci jeszcze trzysta pięćdziesiąt siedm tysięcy z tej sprawy. Piękny grosz zaiste!

Müller zerwał się z krzesła.

— Co, co pan mówisz? wyjęknął wzburzony.

— Mówię że zabrałeś pan czterysta pięćdziesiąt siedm tysięcy z kasy barona Worms, zamordowawszy go, i że mnie się należy część z tego!

— Ach! nędzniku! zawołał kasjer gotów skoczyć z zaciśniętą pięścią na przybyłego.

Picolet nie poruszając się z miejsca, powstrzymał go, ukazując siedmiostrzałowy rewolwer, poczem rzekł:

— Nie czyń głupstw nadaremnie. Moje postanowienie jest niewzruszonem, zresztą nie zrobię ci nic złego. Nie służąc w policji, nie jestem zobowiązanym do oskarżania ciebie. Daj mi sto tysięcy franków, a stanę się twoim wspólnikiem, zachowując tajemnicę, która pomimo wszystko djabelnie jest podłą. No jakże zgadzasz się na moją propozycję?

Fryderyk Müller odzyskał krew zimną.

— Jesteś zuchwałym łotrem! rzekł z pogardliwą ironją, ten jednak proponowany mi szantaż nieprzyjdzie do skutku! Czegóż mam się obawiać z twej strony, co mi zależy na tak głupiem i śmiesznem oskarżeniu? Mordercy barona Worms znajdują się już w rękach sprawiedliwości, widać że o tem nie wiesz, lub zapomniałeś. A więc powiadamiam cię o

tem, i przypominam. Nie tylko jesteś nędznikiem panie Picolet lecz jesteś i głupcem.

Przybyły wstawszy, ukłonił się komicznie i odrzekł:

— Dzięki za komplement, panie kasjerze. Wszystko to bardzo piękne, ale błąkamy się w manowcach. W ów wieczór popełnionego morderstwa, od jedenastej do godziny pierwszej po północy, znajdowałem się w ogrodzie, od którego klucz mi dałeś. Jakaś dziwna myśl przyszła mi do głowy. Postanowiłem jako amator prowadzić dalej śledztwo rozpoczęte przez ciebie. Zachciało mi się widzieć naocznie wyjazd dwojga rozkochanych. Widziałem jak odjeżdżali pozostawiwszy za sobą otwartą bramę. Wiedziony ciekawością a może i myślą jakiego zysku, wemknąlem się do pałacu. Widziałem jak palce ci drżały gdyś kreślił wyrazy w liście bezimiennym, jaki później znaleziono w ręku zmarłego. Widziałem wchodzącego barona Worms. Widziałem... Mamże dokończyć co potem widziałem?

— Nie! wykrzyknął Müller, przytłumionym głosem. Milcz! milcz!

— Wszystko to zapisałem sobie w najdrobniejszych szczegółach w przewidywaniu iż gdyby mnie spotkał jaki wypadek, sędzia Boulleau-Duvernet odebrałby nazajutrz nader pewną drogą, ów mały dokument. No! jakże teraz, przyjmujesz mą propozycję?

— Tak.

— Dasz mi sto tysięcy franków?

— Dam, lecz pod warunkiem.

— Pod jakim?

— Że otrzymawszy te pieniądze wyjedziesz na trzy miesiące z Paryża.

— Lecz będę mógł później powrócić?

— Tak, bo w ciągu tych trzech miesięcy zrobię co mi pozostaje do zrobienia.

— Zgadzam się i czekam na pieniądze.

— Mniemam iż sądzisz mnie być tyle przezornym, iż banknotów jakie policja odkryć by mogła, nie trzymam u siebie. Są one umieszczone w pewnem miejscu. Dziś w nocy wydostać ich nie mogę, wszak jeśli podejrzywasz że cię chcę oszukać, pozostań u mnie, a jutro równo z dnia brzaskiem zapłacę ci za twoje milczenie.

— Nie! wypłacisz mi je natychmiast! zawołał przybyły innym zupełnie głosem, który nie był dźwiękiem mowy Picoleta. Musisz zapłacić, za oddaną sobie przysługę!

To mówiąc, zerwał perukę z wypomadowanemu na skroniach puklami, odrzucił przyprawione wąsy i zamiast cynicznej twarzy Stanisława Picolet, Müller ujrzał przed sobą szydercze oblicze Jobin’a.

— Fryderyku Müller, aresztuję cię w imieniu prawa! mówił agent dalej. Oto wydane mi ku temu upoważnienie! Bez oporu więc, zapowiadam! Wiesz że jestem uzbrojony. Komisarz policji oczekuje we fiakrze, przed bramą z dwoma silnymi agentami. Poddaj się więc, radzę!

Kasjer wydał okrzyk wściekłości, jak dzikie zwierzę nagle w zasadzkę schwytane, szukał wzrokiem wyjścia nie znajdując go wcale.

Jobin spokojny, uśmiechnięty, bawił się rewolwerem.

Po upływie sekundy i Müller się uspokoił.

— Poddaję się, rzekł głucho.

— Najlepiej uczynisz.

Agent zbliżywszy do ust świstawkę, wydał z niej dźwięk ostry.

— Powiadamiam, rzekł, komisarza i moich kolegów, że sprawa ukończona. Wejdą tu. Bądź spokojny, mają oni klucz od twojej służącej.

Słychać było otwierające się drzwi od ulicy.

Fryderyk Müller wybuchnął dzikim śmiechem, a włożywszy rękę do kieszeni, wyjął z niej rewolwer i w mgnieniu oka wystrzelił trzykrotnie w Jobin'a.

Agent padł jak masa bezwładna na podłogę.

Zabójca wywrócił lampę, zapanowała głęboka ciemność w pokoju pełnym krwi.

XVII.

Policja naprzód przewiduje wszystko. Komisarz i agenci zaopatrzyli się w małą zakrytą latarnię, jaką otworzyli wchodząc do domu. Trzy strzały rewolwerowe rozległszy się w milczeniu nocy, powiadomiły o jakiejś ponurej tragedji rozgrywającej się na pierwszem piętrze.

Przebiegłszy szybko schody, weszli do pokoju gdzie odbyła się scena wyż przez nas opowiedziana.

Jobin leżał rozciągnięty na podłodze pośród kałuży krwi, jakiej upływ zwiększał się z każdą chwilą. Był on przedmiotem jaki naprzód wpadł wchodzącym przed oczy.

Nieszczęśliwy agent nie dawał znaku życia. Jeden z

policjantów podniósł go, chcąc obejrzeć rany.

— Natychmiast się nim zajmiemy, wyrzekł komisarz, przedewszystkiem jednak trzeba nam szukać i odnaleść mordercę.

Sypialnia nie zawierała najmniejszego zakąta, żadnej kryjówki, w której Fryderyk Müller mógłby się ukryć po nowej swej zbrodni.

Przeszukano dwa inne pokoje; były prawie próżne, zaledwie cośkolwiek umeblowane.

Jedno z okien, dostrzegli szeroko otwarłem a to okno wychodziło na ogródek.

— On tędy uciekł, rzekł jeden z policjantów. Piętro jest dość wysokie i być może że ów łotr połamał nogi w upadku.

Nie tracąc czasu, zeszli wszyscy na dół.

Deszcz od kilku dni wciąż padał. Głębokie ślady obcasów dostrzedz się dawały w rozmiękłej ziemi ogródka. Takież same ślady prowadziły do nieco wzniesionego muru, wychodzącego na drogę. Kilka kamieni obrosłych bluszczem leżało pod murem i dla człowieka lekkiego, z silnem postanowieniem, przeskoczyć go było igraszką.

— Uciekł nam ten łotr! zawołał komisarz. Piękna wyprawa zaiste.

— Ba! odrzekł jeden z agentów, da się to wszystko powetować. Gdyby spróbował dziś w nocy wyjechać z Paryża, jutro go schwytają. Wszystkie oddziały żandarmerji odbiorą nakaz depeszami, a zabójca ten jest łatwym do rozpoznania. Nie odważy się jechać drogą żelazną, upewniam. Zbyt jest przezornym aby wpadł w wagon, jak

w zastawioną pułapkę. Nie to mnie jednak niepokoi.

— Cóż więc takiego?

— Jobin. Tak dobry chłopiec. Zdolność pierwszorzędna! Szczerze go żałuję! A jednak sam winien temu co nastąpiło. Pragnął sam działać, aby pozyskał sławę gorliwego agenta i otóż jaki los sobie zgotował!

— Być może ocalić go jeszcze zdołamy.

— Miejmy nadzieję, ale ja na to nie liczę.

Komisarz z agentami wrócił na pierwsze piętro.

Rozebrano Jobin'a i spostrzeżono z przerażeniem że trzy kule przebiły ciało. Powstrzymano krew szarpiami i bandażami i przeniesiono bezwładnego do fiakra wioząc go do najbliższego szpitala.

Doktór służbowy zbadał ranionego i ku wielkiemu zdumieniu obecnych oświadczył, iż jakkolwiek głębokiemi były zadane rany, żadna z nich nie zdawała się być śmiertelną i że gdyby nie nastąpiły jakieś nieprzewidziane komplikacje, agent może powrócić do zdrowia za kilka tygodni.

Boulleau Duvernet oczekiwał niecierpliwie zawiadomienia, jakie oddałoby w jego ręce człowieka, którego odtąd uważał za wyłącznego sprawcę tych zbrodni. Około jedenastej godziny wieczorem ujrzał wchodzącego do siebie komisarza policji, mocno niezadowolonego, który mu opowiedział nastąpione szczegóły bynajmniej nie korzystne dla ścigających mordercę.

Sędzia śledczy usiłował się uspokoić powtarzając, iż jeśli dziś nie schwytano zbrodniarza, jutro go na pewno schwytają.

W oczekiwaniu jednak na spełnienie tego, trzeba było co prędzej rozstrzygnąć o losie baronowej i wicehrabiego, których niewinność nie ulegała teraz zaprzeczeniu, wobec nowego morderstwa i ucieczki kasjera.

Boulleau-Duvernet spędził noc całą na redagowaniu raportu, prosząc, ażeby Izba Sądowa wydała w jak najkrótszym czasie rozkaz wrócenia wolności uwięzionym.

Wyszedłszy z Conciergerie Walerja Worms miała zaledwie kilkuminutową rozmowę z panem de Presles i udała się dla przepędzenia roku żałoby do jednego z tych domów religijnych, gdzie przyjmują damy pensjonarki.

Odnajdziemy niezadługo wicehrabiego i baronową, obecnie jednak nadmienić musimy, iż po upływie dni kilku, pani Worms powiadomioną została, iż odnaleziono w papierach bankiera testament, własną ręką kreślony w miodowych miesiącach małżeństwa.

Mocą owego testamentu, baronowa pozostawała ogólną spadkobierczynią majątku.

Cyfra owej tak niespodziewanie pozyskanej fortuny, dosięgała jedenastu milionów!

Powróćmy wszakże do Fryderyka Müller, który dla wielu czytelników nie jest może tak całkiem nieznanym, jakby to zdawać się mogło.

Położywszy Jobin’a trzema strzałami z rewolweru, Müller wbiegł do sąsiedniego pokoju, a zamknąwszy drzwi za sobą, otworzył okno i na ryzyko, skoczył z pierwszego piętra w ogród. Stanął szczęśliwie na nogach i nawet w głowie nie zamąciło mu się wcale. W minutę później, znajdował się na wierzchołku muru z którego zeskoczył na

drogę wiodącą w obręb fortyfikacji.

— Umknąłem zręcznie! wyszepnął. Jestem ocalony!

Pewien, iż przez kilka minut co najmniej będą przeszukiwać jego mieszkanie, szedł przez ulicę de Neuilly krokiem spokojnym i udał się w stronę Łuku Tryumfalnego, gdzie wsiadłszy do fiakra kazał się wieść do rogatek Tronowych. Następnie wszedł do pierwszego lepszego domu, z którego wyszedł natychmiast, zapytawszy odźwiernego o jakiegoś zmyślonego lokatora, który to manewr powtarzał po kilkakrotnie w różnych odmiennych częściach Paryża i nakoniec około godziny pierwszej po północy, zapłacił fiakrowi, wysiadłszy na rogu ulicy świętego Dominika.

Wyłącznym celem tej jego nocnej przejażdżki było pozyskanie możności pozostawania jak najdłużej w powozie. Spojrzawszy na oddalający się fiakr, Müller poszedł dalej o kilkadziesiąt kroków i zadzwonił do wysokiej jakiejś kamienicy. Drzwi otworzyły się. Głęboka ciemność panowała w bramie. Odźwierny gaz zagasił przed udaniem się na spoczynek. Ów łotr właśnie na to rachował.

— Kto idzie? pytał odźwierny przez szybę swego okienka.

— To ja, ojcze Andrzeju, ja, Godard, rzekł kasjer głosem, w którym nie było śladu niemieckiego akcentu.

— A! wróciłeś więc już pan ze wsi, panie Godard?

— Jak widzisz ojcze Andrzeju.

— Może pan chcesz światła?

— Nie, mam przy sobie zapałki. Nie przychodźcie jutro do mnie zbyt rano. Jestem znużony i chcę spać długo.

Kasjer udał się schodami na piąte piętro i wszedł do małego mieszkania składającego się z dwóch pokoików.

Na cztery miesiące przed tem w przewidywaniu mogących nastąpić wypadków, najął to mieszkanie pod nazwiskiem Godarda, podając się za właściciela ziemskiego w okolicach Pontoise, pragnącego mieć stałe pomieszczenie w Paryżu.

Od czasu do czasu przychodził tam nocować, zwykle po północy i w przyjaznych stosunkach zostawał z odźwiernym.

Zamknąwszy drzwi za sobą, zapalił dwie świece, zdjął flakon szczelnie zamknięty z półeczki starego biurka i trzecią część płynu z pomienionego flakonu nalał w miednicę napełnioną czystą wodą.

Zanurzywszy głowę w tej mięszaninie zmył nią silnie swe włosy, z których zniknęła barwa rudawa, a stały się one zupełnie czarnemi.

Następnie położył się i spał spokojnie przez kilka godzin. Wstawszy nad ranem, przystrzygł sobie faworyty i z wprawą komedjanta przygotowującego się do wystąpienia na scenie, przyprawił sobie czarną jedwabistą brodę, a po nad górną wargą długie zakręcane wąsy.

Ukończywszy to, założył na nos binokle i przejrzawszy się w zwierciadle wyszepnął:

— No! tu, nie przyjdą mnie szukać, na pewno zresztą pan Godard właściciel ziemski z departamentu Seine i Oise nie jest bynajmniej podobnym do niemieckiego kasjera Fryderyka Müller, jak ów Fryderyk Müller nie jest podobnym do hrabiego Loc-Earn’a.

Ów były kochanek Henryki, wypuszczony z domu poprawy w Poissy, miał przy sobie kilka banknotów tysiąc frankowych zaoszczędzonych przezeń z pensji sekretarza i intendenta, jakie zdołał wsunąć w kieszeń w chwili zaaresztowania go w pałacu d'Auberive.

Po niespodziewanym wejściu Henryki do klasztoru i zniknięciu dziecka wraz z rybakami z wyspy Saint-Denis. Robert Loc-Earn, nie chcąc rozpoczynać na nowo awanturniczego życia w nizkich sferach społecznych, gdzie policja mogłaby go odnaleść, osądził, że pobyt w Paryżu był dlań niepodobnym przez lat kilka.

Postanowił więc opuścić Francję i szukać fortuny w Hamburgu i Baden.

Ów nędznik, jak go znamy, ze świetną intelligencją przyswajał sobie łatwo wszelkie cudzoziemskie narzecza. Nauczył się w kolegium języków niemieckiego, włoskiego, ruskiego i angielskiego.

Przeżywszy lat trzy po drugiej stronie Renu, mówił tak biegle po niemiecku jak gdyby zrodzony w tej narodowości.

Pragnąc ze znanych nam powodów zmienić francuskie swe pochodzenie, przedstawiał się jako Badeńczyk i wyrobił sobie akt urodzenia na nazwisko Fryderyka Müllera.

Z biegiem czasu namiętność gry opanowała do tego stopnia Roberta Loc-Earn'a, czyli raczej Fryderyka Müllera, że straciwszy na szulerce wszystkie pieniądze, znalazł się nagle bez żadnych środków utrzymania.

Pozostawało mu jedynie wystrzelić sobie w skroń z rewolweru. Traf niespodziewany nadarzył mu sposobność

do zawarcia znajomości z pewnym Prusakiem, ze strony którego zjednał sobie sympatję eleganckiem wielko światowem zachowaniem się i bystrą inteligencją.

Ów młodzieniec, syn bogatego bankiera widząc kłopotliwe położenie tego, którego sądził być swoim współziomkiem, ofiarował mu miejsce w biurze swojego ojca.

Loc-Earn przyjął propozycję, wypełniał przyjęte obowiązki z nadzwyczajną gorliwością i zadowoleniem zwierzchników, gdy baron Worms zażądał przez korespondencję wysłaną do jednego z kolegów, przysłania sobie urzędnika ze znajomością obcych języków, ów Berlińczyk wysłał mu Fryderyka Müllera z najlepszemi rekomendacjami.

Wiemy, iż po upływie dwóch lat, ów mniemany Badeńczyk został kasjerem.

Przez cale lat siedm Loc-Earn działał jak uczciwy człowiek, mimo przerażająco skalanej swojej przeszłości, a być może nawet dla tego.

Porównywając swe przeszłe życie pełne niebezpieczeństw i niepokojów, ze swą obecnie czynną egzystencją, uczciwą zapełnioną pracą, kasjer przyznawał sobie, że przyjemnie jest zasypiać wieczorem bez trwogi, aby zostać obudzonym nazajutrz przez komisarza policji i żandarmów.

Ów łotr spodziewał się po upływie dwudziestu lat gorliwej pracy zostać posiadaczem dość okrągłej sumki pieniędzy, z jakiej niepotrzebowałby zdawać rachunku ludzkiej sprawiedliwości.

Nieszczęściem jednak ta jego nowa moralność była moralnością wyrachowania i samolubstwa, nie oparta na żadnej z tych trwałych podstaw honoru i wierzeń, jakie jedynie nadają człowiekowi niewzruszoność w jego prawości.

Otóż jak wiemy, Loc-Earn który dotąd nigdy nie kochał, nigdy, nawet Henryki d'Auberive, owej uroczej, istoty, zaszołomiony namiętnie w Alinie Pradier, wypróżnił dla niej swą kasę, wydał wszystkie oszczędności, a chcąc pokryć deficyt zaczął grać na giełdzie, co zamiast dopomódz, pogorszyło jego położenie.

Na kilka dni przed owym balem kostjumowym, wydanym przez barona Worms, Müller poznał, że niepodobna mu będzie przeciągnąć dłużej nad kilka tygodni sfałszowania ksiąg rachunkowych, mimo że to czynił z wielką zręcznością.

Dowiedziawszy się o istniejącej miłości pomiędzy Walerją Worms a panem de Presles i ich projekcie odjazdu, przyszła mu myśl spełnienia ostatniej jeszcze kradzieży i zrzucenia tego wszystkiego na rachunek zbiegów.

Wieczorem, w dniu odjazdu baronowej i Gilberta de Presles, wemknął się w głąb ogrodu a potem do pałacu, gdzie zapaliwszy świecę otworzył kasę, wyjął z niej złoto, banknoty, a zamknąwszy ją chciał uciec, gdy posłyszał na bocznych schodach kroki powracającego pana Worms.

Zaledwie zdołał zgasić świecę i zapuścić firanki u okna, gdy ukazał się bankier z lampą w ręku, przybywający po piętnaście tysięcy franków dla Aliny Pradier. Otworzył kasę a ujrzawszy ją opróżnioną, spojrzał w około siebie

obłąkanym wzrokiem.

Zatrzymał spojrzenie na firance, której lekkie poruszenia fałdów całkiem źle zrozumiał.

— Okno być musi otwarte, rzekł sam do siebie i tędy umknął ów złodziej.

Postąpił parę kroków aby upewnić się o tem.

Kasjer niechybnie mógł zostać odkrytym. Baron przyzwałby pomocy, nastąpiłoby przyaresztowanie, sąd i galery.

Loc-Earn nosił zawsze przy sobie sztylet w kieszeni. Skoczył jak tygrys i baron w jednej chwili z przerżniętem gardłem padł nie wydawszy krzyku.

Morderca natenczas z potwornym spokojem zapalił świecę, oddarł kawałek papieru, nakreślił list bezimienny pismem zmienionem i nie dozwoliwszy nawet zaschnąć ostatnim wierszom, zgniótł papier i wsunął go w rękę zmarłego.

Reszta szczegółów jest nam wiadoma.

Od owej chwili miesiąc upłynął.

Mniemany Godard właściciel ziemskiej posiadłości w departamencie Seine i Oise pod pozorem dręczących go bólów reumatycznych nie wychodził z mieszkania, gdzie odźwierny przynosił mu obiady i dzienniki.

Po upływie dwóch tygodni, ów więzień dowolny zauważył iż przestano zajmować się sprawą Worms'a. Wszelkie poszukiwania policji w celu odnalezienia Fryderyka Müller były nadaremnemi. Sądzono że ów łotr przemknąwszy się przez granicę, uciekł do Niemiec.

Nikt nie przypuścił, ażeby kasjer mógł się ukrywać w

Paryżu i zwolna zapominać o nim poczęto.

Pawdziwa broda odrosła przez ten czas mniemanemu Godardowi pod przyprawną brodą; z końcem miesiąca poznał że ta ostatnia była mu niepotrzebną. Przemiana była kompletną. Nie podobna byłoby dostrzedz obecnie jakiejkolwiekbądź łączności z owym Francuzem o czarnym zaroście, a tym niegdyś niemieckim kasjerem z rudemi włosami i faworytami.

Müller oznajmił wreszcie swojemu odźwiernemu, że reumatyzm go opuścił i powraca na wieś. Jakoż w rzeczy samej opuścił Paryż, uwożąc z sobą czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków, skradzionych baronowi Worms.

Wielu innych hultajów tego rodzaju, zadowolniłoby się tą sumą. Loc-Earn jednak skutkiem poprzednich swoich stosunków z Aliną Pradier uczuł wzrastające w sobie pragnienie zbytku, wytwornego życia i roskoszy rożnego rodzaju.

Jak niegdyś marzył o posiadaniu majątku pana d’Auberive, tak teraz śnił o milionach.

Dla jakich planów oddalił się więc z Paryża?

Najprzód sądził, iż wypada mu żyć w pewnej odległości od tego wielkiego miasta, dopóki sprawa Worms nie przejdzie w stan całkiem zapomnianego wspomnienia. Następnie uczuwał konieczną potrzebę stworzenia sobie nowej indywidualności, utrwalonej na niezaprzeczonych dowodach, zważając, iż wszelkie przybrane nazwiska niedostatecznie pokryćby mogły jego zbrodniczą przeszłość.

Ażeby dosięgnąć owego upragnionego celu postanowił

zwiedzić kraj cały, w oczekiwaniu na jakiś szczęśliwy traf i dobrą gwiazdę.

Jedno i drugie pomyślnie mu posłużyło.

Pewna miłosna awantura, zawiązana na drodze żelaznej, powiodła go we Franche-Comté, do małej wiejskiej oberży w Cusane, w pobliżu Baume-les-Dames.

Pewnego wieczora gdy zapaliwszy cygaro stanął we drzwiach tego zajazdu, podziwiając malowniczy krajobraz rozścielający się przed jego oczyma, spostrzegł pomiędzy tem zwaliska starego zamku feudalnego, z czworograniastą wysoką wieżycą, sięgającą prawie aż pod obłoki.

— Co to za ruiny? pytał oberżystę.

— Są to zwaliska zamku Croix-Dieu.

— Piękna nazwa, wyszepnął Loc-Earn.

— Baronowie de Croix-Dieu w dawnych czasach, mówił dalej oberżysta, byli bogatszymi nawet od hrabiów Cavabas. Wszystkie lasy i ziemie uprawne w okolicy do nich należały, począwszy od Pont-les-Moulins, aż po drugiej stronie do Gruillon, a nawet dalej. Wszystko to zwolna zniknęło.

— Rodzina zatem wygasła?

— Nie ze wszystkiem, ale już prawie.

— A! istnieją więc jeszcze baronowie Croix-Dieu?

— Tst! wyrzekł oberżysta, kładąc palec na ustach.

Loc-Earn usiłował odgadnąć powód tego nagłego znaku milczenia, gdy spostrzegł nadchodzącego małego zgarbionego starca, w długim połatanym surducie, w czapce wełnianej na głowie i drewnianych sabotach.

Ów starzec trzymał w ręku koszyk, a w nim

wypróżnioną butelkę i drugą flaszkę mniejszej objętości, oraz blaszany półmisek.

— Janie Simon, rzekł drżącym głosem do oberżysty, każ mi podać za dwa sous chleba, za dwa również zupy, za cztery sous mięsa, za cztery wina i za sześć sous wódki.

— Natychmiast, panie baronie, rzekł właściciel zajazdu, odbierając koszyk z naczyniami, w który miał włożyć tę skromną żywność w zamian za otrzymane dziewięćdziesiąt centymów.

— Żegnam pana barona, ozwał się wynosząc koszyk napełniony pokarmem.

— Do widzenia, Janie Simon, rzekł starzec. I szedł chwiejnym krokiem drogą, którą przybył.

— Cóż to za dziwna osobistość? pytał Loc-Earn.

— Jest to ostatni z baronów Croix-Dieu, odparł zapytany. Sądziłbyś pan zapewne iż ma on lat z dziewięćdziesiąt, gdy rzeczywiście, liczy dopiero rok siedmdziesiąty. Nie dziwna! Ów biedny człowiek odmawia sobie wszystkiego, z wyjątkiem kieliszka wódki, jaka, go podtrzymuje na siłach. Widziałeś pan co sobie kupił. Jest to żywność na dwa dni dla niego.

— Jest skąpym?

— Nie! jest tylko ubogim. Trzysta franków rocznej renty panie, niema co z tem wiele wojować.

— Zamieszkuje w zamku?

— Nie, mieszka on w starym domu, zbudowanym w tych zwaliskach przez jego dziada którego to budynku, rzecz prosta nie jest w stanie utrzymać. Leci tam woda podczas deszczu, jak z fontanny.

— Sam mieszka?

— Sam zupełnie. Nie ma żony, dzieci, ani służącej. Miał brata znacznie młodszego od siebie, który wyjechał z kraju od dawna, zaciągnąwszy się do jednej z armii cudzoziemskich, nie chcąc służyć we Francji. Mówią, że ów brat umarł, na pewno jednak nie jest to wiadomem. Co zaś do tego starca, nie pożyje on długo. Kiedykolwiekbądź znajdziemy go skostniałym na posłaniu. Zresztą nie zależy mu wiele zapewne na tak cieżkiem i smutnem życiu.

Robert Loc-Earn spał mało tej nocy, a myślał wiele. Nazajutrz z rana poszedł do ruin zamczyska i zaczął rozmawiać ze starcem, który mimo słabej pamięci przypomniał sobie, iż przed kilku laty odebrał wiadomość o śmierci swojego brata, chwalił położenie zamczyska, piękne widoki i nakoniec za kupno tych ruin żądał okrągłą sumę dziesięć tysięcy franków płatne natychmiast w brzęczącej monecie.

Dziesięć tysięcy franków, pięćset franków rocznej renty, to bogactwo dla ubogiego!

Loc-Earn zgodził się i akt sprzedaży zamczyska został tegoż samego dnia podpisany przez obie traktujące strony u notarjusza w Baumes-les-Dames.

Wracając z miasta w starym wynajętym powozie, były Fryderyk Müller wyjął z kieszeni pięćdziesiąt luidorów a zabłysnąwszy temi nowemi sztukami złota przed oczyma zdumionego starca rzekł do niego:

— Ofiaruję panu te tysiąc franków w zamian za familijne twoje papiery i korespondencje twojego brata i to natychmiast jeżeli zgadzasz się na moją propozycję.

Ugoda została zawartą.

Loc-Earn polecił sobie dostarczyć w merostwie tej wioski akt urodzenia barona Croix-Dieu, zmarłego na obczyźnie, przekonawszy się pierwej, że ów akt niebył nigdy przed tem zapisanym w księgach stanu cywilnego. Zostawszy odtąd właścicielem zamku, Croix-Dieu wyjechał z Franche-Comté, zobowiązawszy oberżystę, aby od czasu do czasu dawał mu wiadomość o starcu.

XVIII.

Załatwiwszy się z tem, zajął się przeglądaniem listów kreślonych przez Filipa Croix-Dieu do jego starszego brata.

Korespondencja ta powiadomiła go, że ów francuski szlachcic służył jako oficer w armii Austryackiej, że był bezżennym, że szybko awansując, pozyskał kilka krzyżów wojskowych, poczem pewnego dnia, podał się nagle do dymisji.

Ostatni list jego, pisany przed czterema laty, oznajmiał o udaniu się w podróż do Azji, gdzie bezwątpienia śmierć go zaskoczyła.

Po upływie trzech miesięcy były kasjer barona Worms otrzymał list od oberżysty z Cusane. Ostatni z baronów Croix-Dieu nie cieszył się długo otrzymaną fortuną, umarł, tknięty atakiem paraliżu.

Loc-Earn wyjechał bezzwłocznie do Austrji, gdzie kazał sobie dostarczyć duplikaty legalizowane, służby pana de Croix-Dieu, jak również dowody posiadanych przezeń

orderów.

Wróciwszy do Francji w 1868 roku wynajął w Paryżu pod nazwiskiem Filipa de Croix-Dieu antresolę przy ulicy Saint-Lazare, którą urządził sobie nader przyzwoicie i elegancko.

Filip de Croix-Dieu przedewszystkiem przedstawił się pewnemu staremu szlachcicowi francuskiemu, któremu historja jego mniemanej rodziny była dobrze znana a przez jakiego został nader życzliwie przyjętym w przekonaniu, że to był prawdziwy Croix-Dieu, powracający z obczyzny.

Przy protekcji tego szlachcica, podwoje wszystkich domów arystokratycznych do jakich wejść podobało się Loc-Earnowi, przed nim się otwarły.

Przed upływem pół roku, baron stał się człowiekiem mody, wziętym, pożądanym, wydatkującym bez liczenia się z pieniędzmi, grającym grubo w karty, płacącym w ciągu dwudziestu czterech godzin swe długi przegrane i nie mającym żadnych wierzycieli.

Gdyby dziwiło kogoś, jak mógł prowadzić życie światowe, rozległe, ze skromnych dochodów, jakie mu przynosiły pieniądze, skradzione z kasy pana Worms, powiemy, że ów łotr zuchwały, miał obok tego i inne źródła, których tajemnicę wkrótce odsłonimy i że obok tego był pewien, iż rychlej czy później pochwyci w swe ręce miljony, jakiemi dopełni naruszony kapitał.

Lecz otóż doszliśmy do punktu, na którym zatrzymaliśmy się w pierwszej części naszego opowiadania, dla cofnięcia się w przeszłość głównej osobistości naszej powieści.

Czytelnicy zrozumieją teraz przerażenie owego Croix-Dieu po odebraniu listu bezimiennego podpisanego inicjałami: X. Y. Z, jaki jedynie Sariol mógł napisać.

Ów list, jak sobie przypominamy, powiadamiał:

„Jeden z twych dawnych przyjaciół, któremu szczęście nie sprzyjało w osiągnieniu tak świetnej, jak twoja sytuacji, odwołuje się do twej wspaniałomyślności, z tem większą ufnością, iż zna do głębi wszystkie twe sprawy.“

Ostatnie wyrazy przejęły drżeniem mniemanego Croix Dieu.

O jakich sprawach mówił to Sariol? O czem mógł wiedzieć? Czyliżby fatalność miała go powiadomić o prawdziwem nazwisku zabójcy barona Worms?

Bądź co bądź, gdyby nawet ów nieznajomy znał jego odległą przeszłość, byłoby już to równie przerażająco niebezpiecznem.

Jakakolwiekbądź denuncjaja, zwróciłaby nań uwagę policji i Croix-Dieu nie mógł bez drżenia spojrzeć przed siebie, gdzie ukazywał mu się sąd z wyrokiem na galery.

— Co począć? zapytywał sam siebie po dziesięciokrotnem odczytywaniu tego listu, jaki wymykał mu się z rąk drżących. Wyjechać z Paryża, to ruina? Zresztą uciekać przed niebezpieczeństwem bez walki, rzecz podła! Będę walczył! tak, walczyć będę! powtarzał. Dość czasu mi pozostanie, skoro się ujrzę zgubionym, do rozsadzenia sobie czaszki wystrzałem z rewolweru. Od jutra działać poczne. Noc niesie dobrą radę. Zobaczymy!

Po monologu tym, gorączkowo wypowiedzianym, potrzebując ruchu, powietrza, dla uspokojenia nerwów,

chodził przez dwie godziny po Paryżu, na los szczęścia, nie wiedząc gdzie i dokąd idzie. Około północy znalazł się na placu Bastylii.

Przypomniał sobie naówczas, iż wypadałoby mu dowiedzieć się czegoś o Andrzeju San-Rémo, wsiadłszy przeto do fiakra kazał się zawieść na ulicę Boulogne, z tem silnem przekonaniem, iż dowie się tam o śmierci tego młodego człowieka. Omylił się jednak tym razem.

Gdy wszedł do pokoju, oświetlonego bladym blaskiem nocnej lampy, doktór wychodził ztamtąd właśnie, aby w przyległym gabinecie przespać się nieco i Jerzy Tréjan, leżąc na szezlongu, znajdował się w pobliżu łóżka chorego.

Posłyszawszy otwierające się drzwi, spojrzał, położył palec na ustach i zbliżył się ku wchodzącemu.

— I cóż? zapytał Croix-Dieu z cicha uścisnąwszy rękę artysty. Mam nadzieję iż nie usłyszę złej wiadomości?

— Nie mogę powiedzieć, iż mu jest lepiej, lecz stan jego zdrowia nie pogorszył się.

— Szczegóły, opowiadaj co prędzej szczegóły!

— Gdybyś pan przybył przed pięcioma minutami, byłbyś się widział z doktorem. Znajduje się on w sąsiednim pokoju, gotów przybyć na każde wezwanie. Nie chce mi czynić nadziei, ale wydaje mi się być mniej niespokojnym. Nie mogę wierzyć, ażeby wyrok przezeń wydany, miał być niezmiennym. Nie wyobrażasz pan sobie ile żywię współczucia i szczerej życzliwości dla tego młodego człowieka, którego poznałem przed kilkoma dniami. Gdyby umarł opłakiwałbym go gorączkowo, lecz on nie umrze. Nie. Musimy go ocalić! Śpi daleko spokojniej niż w chwili,

gdy pan ztąd odchodziłeś, pójdź, zobacz i osądź!

Croix-Dieu, zbliżywszy się do łóżka, ujrzał, że nadzieje Jerzego nie były złudzeniem.

Przerażająca skostniałość ciała, jaka nastąpiła po konwulsjach, zniknęła. Blade oblicze Andrzeja spokojnie spoczywało na poduszkach. Oddech równy unosił piersi szeroka jedynie krwawa plama na białem cienkiem prześcieradle przypominała tragedję, odbytą w lasku Winceńskim i pchnięcie szpadą Grisoll'a. Gdyby nie owa plama, można byłoby sądzić, iż się widzi przed sobą śpiącego rekonwalescenta po długo przebytej chorobie.

— Więc jakże ci się zdaje, baronie? zapytał Jerzy po chwili milczenia.

— Masz słuszność, odparł Croix-Dieu, stan zdrowia ranionego jest mniej niebezpiecznym, nieszczęściem jednak nie będąc lekarzami, nie możemy się nazbyt oddawać nadziei.

— A jednak ów jego spokój głęboki.

— Jest dobrą wróżbą, to pewna. Czy wszakże będzie on długotrwałym?

Jednocześnie jak gdyby na potwierdzenie słów barona, zmieniła się fizjognomia Andrzeja.

Nie przebudził się, ale rzucił nagle. Silny rumieniec zapałał na jego policzkach, cała fizjognomja wyrażała jakąś egzaltację a raczej uwielbienie, usta na wpół otwarte szeptały cichym głosem wyrazy:

— To ona! tak, to ty, pani! O! ja ciebie poznaję. To ty jesteś. Podnieś, błagam, tę woalkę. Odkryj twe cudne oblicze po raz ostatni przed memi oczyma, które już jutro

zamkną się na wieki! Nie odmawia się prośbie umierających, a ja umieram! Żyć u stóp twoich, lub umrzeć dla ciebie, pani, było moim przeznaczeniem. Nie mogąc żyć, kochając ciebie, chcę umrzeć z tą miłością w mem sercu. Będzie to szczęściem dla mnie! Ach! gdybyś wiedziała jak ja cię kochałem! Gdybyś wiedziała!

Głos Andrzeja coraz słabszym się stawał. Usta jego się poruszały, lecz słów, jakie wymawiał, zrozumieć niepodobna było. Głowa, uniesiona nieco, opadła zwolna na poduszki. Oblicze chorego promieniało jakąś nadziemską radością, jak gdyby zjawisko, które ujrzał w przystępie gorączki, podniosło zasłonę na jego prośbę.

— O kim on mówi? pytał cicho Jerzy barona.

— O kobiecie, którą kocha, a którą ujrzał w marzeniu.

— Któż jest ta kobieta?

— Nie wiem tego.

Andrzej poruszył się znowu, a wsparty na łokciu, usiłował podnieść się i usiąść. Było to daremne, za zbyt był osłabionym, ażeby mu pozwolono na taką nieroztropność.

— Gdzie ona jest? pytał jak gdyby z obłąkaniem. Stała tu, w tem miejscu gdzie ty stoisz. Mówiłem do niej, odpowiadała mi, gdzie ona?

— Moje drogie dziecię, zawołał Croix-Dieu, ujmując rozpaloną rękę młodzieńca, prócz nas nie ma nikogo w tym pokoju.

— Mówię ci, że ją widziałem, rzekł chory. Ukryłeś ją przedemną. Dla czego mnie oszukujesz? To źle, to okrutnie!

— Ależ uspokój się, proszę.

W czasie powyższej rozmowy między baronem i Andrzejem, Jerzy poszedł obudzić doktora i przyprowadził go z sobą.

— Ja chcę ją widzieć, chcę widzieć, powtarzał San-Rémo z podrażnieniem.

— Wypij to, a zobaczysz ją, rzekł lekarz.

— Ręczysz że ją zobaczę?

— Ręczę na pewno.

Andrzej, ująwszy szklankę, wypróżnił ją szybko. Wzburzenie natychmiast ustąpiło. Oczy chorego zamknęły się pomimowolnie, nadszedł sen, lecz był on gorączkowym, coraz silniejszy rumieniec ukazywał się na jego policzkach.

— Cóż sądzisz obecnie, doktorze, o chorym? pytał Croix-Dieu.

— Dotąd nic jeszcze. Jeżeli rozpoczynająca się gorączka nie zgnębi ranionego, zostanie nam nadzieja ocalenia mu życia.

— Przed kilkoma godzinami nauka na śmierć zawyrokowała chorego, pomyślał Croix-Dieu. Jeżeli natura go ocali, nabiorę odwagi i walczyć będę dalej! Zwróciwszy się do Jerzego Tréjan wyszepnął z cicha: Będę czuwał wraz z tobą przy naszym przyjacielu.

Jerzy uścisnął rękę barona.

— Wiem, że pan go kochasz na równi ze mną, bo znasz go dłużej odemnie

Służący Andrzeja wszedł cicho na palcach, szepcząc baronowi:

— Przybył lokaj, przysłany przez wicehrabiego de Grandlieu, zapytując o stan zdrowia mojego pana.

— Odpowiedz mu, rzekł Jerzy, iż za kilka minut sam przybędę do pałacu pana de Grandlieu.

Mimo, iż powyższe wyrazy cicho wymienione zostały, nazwisko „de Grandlieu“ przebiegło około uszu Andrzeja. Otworzył oczy, słuchając z natężoną uwagą, ale nie wyrzekł słowa, nie poruszył się wcale i skoro odszedł służący, przymknął w milczeniu powieki.

Jerzy, ubrawszy się szybko, pojechał na przedmieście św. Honorjusza.

Było zaledwie wpół do dziewiątej, gdy przybył do swego kuzyna. W chwili gdy wchodził tam Tréjan, jedna z firanek poruszyła się zlekka. Ukryła się po za nią Herminia, drżąca z niepokoju, przyodziana z pospiechem w biały wełniany peniuar, z rozsypanemi jedwabistemi włosami na ramionach.

— Gdyby stan jego był bez nadziei, myślała, będą chcieli ukryć prawdę przedemną. Będą mnie traktowali jak dziecko, które oszczędzać należy. Nie powiedzą mi wszystkiego, a ja wszystko chcę wiedzieć!

Oto dla czego się ukryła. Był to jedyny powód, tak sądziła przynajmniej, jej niewinnego podsłuchiwania.

Jerzy wszedł do gabinetu.

— Czy żyje jeszcze? zapytał go nagle Armand de Grandlieu.

— Żyje, kuzynie, żyje!

— Ach! dzięki Wszechmocnemu! Nie opuściłeś go od wczoraj?

— Ani na minutę.

— Jakże przeszła noc i wieczór? Co mówi doktór?

Opowiedz mi wszystko, niczego niepomijając. Najdrobniejsze z pozoru szczegóły mają dla mnie niezmierną wagę.

Tréjan rozpoczął skrupulatne opowiadanie faktów od chwili, w której pan de Grandlieu opuścił ranionego, a pragnąc zadowolnić swojego kuzyna, nie zaniedbał powtórzyć i tego epizodu, w którym San-Rémo, objęty gorączką, ujrzał postać ukochanej, mówił jej o swej miłości, zaklinając, aby uniosła z twarzy zasłonę.

Na te wyrazy, Herminia uczuła dziwny ból, uciskający jej serce, nie zdając sobie sprawy z tego bolesnego wzruszenia.

— Zatem, szepnęła z pomimowolną goryczą, on kocha! i będąc tak bliskim śmierci zwraca ostatnią myśl swoją ku tej nieznajomej! Poczem usiłując zapanować nad sobą, dodała. O! ta, którą on wielbi, musi go bardzo kochać nawzajem. Jest on tak szlachetnym, pięknym, odważnym. Któżby nie ubóstwiał takiego człowieka? Uwielbia go ta kobieta, jestem tego pewną. Biedna! ileż musi cierpieć wiedząc, że został ranionym, że jest umierającym! Żałuję ją z całej duszy. Dla czego jednak przy nim jej nie ma? Wszakże jej miejsce jest przy łożu tego konającego.

Réjan ciągnąc dalej opowiadanie, doszedł do miejsca, w którem doktór przepowiadał pomyślny obrót cierpienia i nie tracąc nadziei, ufał w możność uzdrowienia chorego.

— Ach! wyszepnął pan de Grandlieu, nie próżno zawołałem: „Dzięki Wszechmocnemu.“ Ważny fakt jak widzę spełnił się od wczoraj, ponieważ kryzys, jaki śmierć zwykle sprowadza, przynosi nam dziś nadzieję. Dzięki ci,

drogi kuzynie, po tysiąc razy dzięki za tak pocieszającą wiadomość. Wracaj do tego zacnego chłopca, który zasługuje ażeby go kochano. Pójdę uspokoić biedną Herminię, której nerwowe wzruszenie zatrwożyło mnie wczoraj i która z tego powodu bezsennie noc spędziła. Za godzinę przybędę tam do was.

Herminia niesłuchała więcej. Uciekła do swego pokoju, a otworzywszy drzwi do kapliczki, weszła tam, uklękła i w gorącej modlitwie dziękowała Bogu za ocalenie chorego.

Wyszedłszy ztamtąd, zrzuciła peniuar i położyła się w łóżko jak gdyby zeń wcale nie wstawała.

Za chwilę weszła pokojówka oznajmując, iż wicehrabia chce widzieć się z panią, czy zatem wejść może?

— Dobrze, odpowiedziała Herminia, niech wejdzie.

Armand de Grandlieu, zbliżył się do łóżka i dotknął ustami czoła swej młodej małżonki.

— Drogie dziecię, rzekł, nasz kuzyn Tréjan był u mnie przed chwilą, przynosząc mi wiadomość o markizie San-Rémo.

— Jaką? wyszepnęła młoda kobieta z widocznem zmieszaniem.

— Modliłaś się o ocalenie ranionego, jestem tego pewny, zagadnął pan de Grandlieu.

— Tak! z całego serca, odpowiedziała.

— Otóż twoja modlitwa została wysłuchaną. Straconą wczoraj nadzieję dziś odzyskujemy.

Herminia, spuściwszy oczy, słuchała.

Wicehrabia powtórzył opowiadanie artysty, zamilczając jednak szczegóły o miłosnych halucynacjach Andrzeja.

— Dla czego on to ukrywa przedemną? zapytywała siebie Herminia. Dla czego chce, abym ja o tem nie wiedziała? Miałżeby Andrzej San-Rémo kochać występną jaką miłością?

— Wiadomość ta sprawia ci przyjemność, nieprawdaż? pytał pan de Grandlieu, kończąc opowiadanie.

— O! tak, szczęśliwą mnie to czyni nad wyraz!

— Módl się więc jeszcze, drogie moje dziecię. Proś Boga gorąco. On słucha głosów czystych, anielskich a z pomiędzy wznoszących się ku Niemu, mało jest podobnie niewinnych twej prośbie.

Rumieniec pokrył blade policzki Herminii. Pochwała starca zdawała się jej być nie zasłużoną. Od kilku chwil czuła jak gdyby ciążącą plamę na nieskalanej dotąd swej duszy.

Ukrywając przed mężem, że słyszała całą jego rozmowę z Jerzym Tréjan i udając, że świeżo dowiaduje się o tem wszystkiem od niego po raz pierwszy, skłamała chybiając dotychczasowej prawości swojego życia.

Pierwszy błąd został spełnionym.

XIX.

Artysta wróciwszy do pokoju ranionego, po swojej krótkiej wizycie w pałacu przy ulicy św. Honorjusza, oznajmił baronowi, że pan de Grandlieu wkrótce przybędzie.

Croix-Dieu odgadując instynktownie wstręt, jaki budził

w wicehrabi, unikał jego obecności. Potrzeba mu było prócz tego wolnego czasu do ułożenia odpowiedzi na ów list bezimienny otrzymany w dniu poprzedzającym, którego autorem niezaprzeczenie był Sariol.

Odszedł więc z ulicy de Boulogne i wrócił do siebie, gdzie odczytawszy po raz ostatni ów list tyle groźny, wsparł rozpaloną głowę na ręku, pogrążony w głębokiem rozmyślaniu. Zadumę ową zawrzeć można w tych słowach:

— Odmówić mu niepodobna! Co znaczy dla mnie posiadanie kilku banknotów mniej albo więcej, gdy mam przed sobą pewność pochwycenia w krótkim czasie milionów? Trwoży mnie to tylko, że Sariol zachęcony powodzeniem pierwszego swego „szantażu“, na tem żądaniu niepoprzestanie. Wymagania jego wzrastać będą bez granic. Nie zostawi mi chwili spokoju. W jaki sposób zażegnać niebezpieczeństwo? Istnieje środek jedyny z dzisiejszego wroga zrobić sprzymierzeńca, wciągnąwszy go zręcznie w tę sprawę. Pozostanie on zawsze niebezpiecznym, wiem o tem, lecz wyrównają się szanse, jeżeli on trzyma mnie w swym ręku i ja nawzajem trzymać go będę. Jak wszelako ów łotr działać zamierza? Tu leży kwestja. Dawniejsze wspomnienia wzbudziły w nim nieufność zapewne. Pokonać go niepodobna, a będzie mnie trzymał w swej mocy dopóki pozostanie w cieniu. Bądź co bądź, będę próbował, w każdym razie zyskam przynajmniej na czasie!

Powziąwszy takie postanowienie Croix-Dieu zasiadł przy biurku i nakreślił szybko zmienionym charakterem pisma list następujący:

„Jeżeli się nie mylę, ów bezimienny korespondent jest rzeczywiście moim dawnym przyjacielem przeciw któremu przewiniłem, czego dotąd wyrzucać sobie nie przestaję.

Niezaprzeczonym dowodem szczerości mego wyznania jest pośpiech z jakim dopełniam niniejszą przesyłkę, mimo głębokiego przeświadczenia, iż znajomość przezeń wszystkich spraw moich niczem mi zaszkodzić nie może. To co winien byłem społeczeństwu spłaciłem. Przeszłość dziś dla mnie nie istnieje. Mam wszelkie prawo do tytułu jaki noszę obecnie, a przez ów silny pancerz nikt dosięgnąć mnie nie jest w stanie.

Być może znajdę sposobność stania się użytecznym panu X. Y. Z. więcej niż w dniu dzisiejszym. Proszę go zatem, nie o to, ażeby mi się dał poznać, jeżeli pragnie zostać nieznanym, lecz aby mi wskazał jakikolwiek bądź sposób prowadzenia z sobą dalszej korespondencji.

Niechaj się nie obawia X. Y. Z. żadnej zasadzki z mej strony. Nie chwyta się lisa dwa razy na jedną przynętę.“

Croix-Dieu wsunąwszy ów list w kopertę wraz z dziesięcioma biletami tysiąc frankowemi, nakreślił na niej te słowa: Paryż. Poste-restante X. Y. Z.

Zamknąwszy następnie list, pieczątką z przybranymi inicjałami, poszedł z nim do pocztowego biura, przy ulicy Saint-Lazare.

Dwa dni upłynęły. Croix-Dieu, mocno zaniepokojony, nie odbierał na swój list żadnej odpowiedzi.

Pomienione milczenie bezimiennego korespondenta, dorównywające odmowie wejścia z nim w dalsze stosunki, zdawało mu się zawierać w sobie straszną groźbę. Nic

jednak na to poradzić nie mógł. Oczekiwać było trzeba.

Przy ulicy de Boulogne wszystko szło dobrze.

Andrzej San-Rémo żył. Żaden z niebezpiecznych objawów jakich się doktór obawiał, nie ukazał się wcale. Nie można było powiedzieć, ażeby chory zostawał na drodze uzdrowienia, groźne wszelako położenie usuniętem zostało.

Gorączkowe przypadłości następowały w przerwach regularnych, wraz z majaczeniem, objawiającem się w sposób jednaki. Andrzej widział Herminię stojącą przy swojem łóżku. Zaklinał ją gorącemi słowy by uchyliła zakrywającą jej twarz woalkę! Skoro to uczyniła, usiłował się podnieść dla pochwycenia uroczego zjawiska, przyciśnięcia jej do serca, poczem opadał na poduszki promieniejący radością, złamany znużeniem.

Po przeminięciu onych kryzysów następował spokój bezwzględny. Dziwił się i gniewał, iż widzi w około siebie samych tylko mężczyzn, brał bowiem ową gorączkową halucynację za rzeczywistość.

Nerwowe drżenie, niezrozumiałe dla doktora, opanowało Andrzeja gdy wicehrabia Armand przyszedł go odwiedzić. Trwoga ogarniała chorego na myśl iż Herminia, ukazawszy mu się powtórnie, może się znaleźć w obecności swojego męża.

Na trzeci dzień z rana, pan de Grandlieu otrzymał od swego rządcy depeszę powiadamiającą go, że w nocy dnia poprzedniego pożar wzniecony jakąś zbrodniczą ręką pochłonął budynki jednego z najobszerniejszych folwarków i całe zapasy zboża, w śpichrzach zgromadzonego. Cyfra

poniesionych strat była ogromną.

Przedstawiciele Towarzystwa ubezpieczeń wraz z sądowymi urzędnikami udali się bezzwłocznie na miejsce wypadku. Obecność tamże właściciela była nieodwołalnie potrzebną. Zaklinano go, aby przyjeżdżał.

Armand, mimo, iż wielce było dlań przykrem rozłączenie się z Herminią, wahać się nie mógł. Zatelegrafował aby mu przysłano powóz na stację najbliższą zamku de Grandlieu, poczem udał się na ulicę de Boulogne dla powzięcia wiadomości o zdrowiu markiza San-Rémo i ucałowawszy swą żonę, pojechał na pociąg drogi żelaznej, wychodzący z Paryża o godzinie 10-tej minut 45 z rana, upewniając, iż nieobecność jego nie potrwa dłużej po nad czterdzieści ośm godzin.

Herminią po raz pierwszy w życiu znalazła się samą, zupełnie osamotnioną w owym wielkim pałacu którego była królową. Odosobnienie to cięższem jej było do zniesienia, niż o tem z razu sądziła.

Uczuwała ona głębokie serdeczne przywiązanie córki dla pana de Grandlieu, z którym się dotąd nigdy nie rozłączała od lat młodocianych, a którego to przywiązania nie zmniejszyło zawarte później małżeństwo.

Ciągła obecność tego człowieka tak ujmującego i młodego, mimo jego lat sędziwych i białych włosów, człowieka, dla którego najwyższą radością i szczęściem było zgadywać jej myśli, spełniać życzenia i chęci, stała się dla niej zwyczajem, a nawet potrzebą życia.

Godziny płynęły jej smutnie i długo. Daremnie patrzyła na karty książki otwartej przed sobą. Myśl rozerwana

gdzieindziej ulatywała. Zamknąwszy książkę siadła do fortepianu. Klawisze pod dotknięciem jej palców, wydawały żałosne, pełne skarg melodje.

Wicehrabina wsparła się na fotelu przed ogniskiem kominka w sypialni, przytłoczona jakimś nieznanym sobie dotąd smutkiem.

Wśród tej zadumy, postać Andrzeja San-Rémo nagle się jej ukazała. Ujrzała go przed sobą bladego, bezwładnego. Niezwykła trwoga ją ogarnęła, wyobraziła, sobie, że umarł.

Daremnie sobie powtarzała, że mąż jej przynosił uspokajające wiadomości o zdrowiu chorego. Mówiła, sobie że ją oszukiwano i że wczorajsze polepszenie, dziś na złe zmienić się mogło. Śmierć miewa swoje fantazje. Ileż to razy widzimy umierających ranionych,, których zdrowie się niespodziewanie polepszyło, wszakże i doktór nie twierdził, ażeby Andrzej uniknął już niebezpieczeństwa.

Zapragnęła po raz ostatni widzieć umierającego.

Co działo się w tej biednej duszy ciężką zgryzotą nękanej? W tem sercu, rozdzieranem boleścią?

Wiemy, iż Herminia tego sama nie pojmowała.

Widzieliśmy tę młodą kobietę na klęczkach, całującą krucyfiks na którym niegdyś spoczywały usta umierającej jej matki. Szłyszeliśmy ją wołającą w uniesienia gorącej wiary:

„Boże Wszechmogący! Boże dobry! Boże sprawiedliwy, ocal tego szlachetnego człowieka, który z narażeniem życia stanął w obronie starca! Coby uczynił syn dla ojca, on to uczynił dla niego, którego jestem córką! Pozwól mu żyć, o Boże! jest on dla mnie bratem, kocham go, kocham!“

To co Herminia czuła i myślała natenczas, czuła i dzisiaj zarówno. W co wierzyła wtedy, wierzyła i teraz.

Nie przepuściła ani na chwilę by to uczucie, przepełniające jej serce miało być występną namiętnością.

Załamywała ręce, powtarzając głośno bezwiednie.

— Zanim umrze, ja chcę, ja muszę go widzieć!

I gdyby pan de Grandlieu znajdował się przy niej natenczas byłaby mu powiedziała:

— Zaprowadź mnie do tego, który umiera dla ciebie.

Była jednakże samą, nie chciała wtajemniczać w swój zamiar nikogo ze służby, a dla kobiety zajmującej podobnie wysokie jak ona stanowisko, urzeczywistnienie podobnego żądania otoczone jest tysiącem przeszkód niezwalczonych.

Wahała się długo, to popychana trwogą, to zwyciężana przestrachem, aż wreszcie wyszepnęła z cicha:

— Gdybym nie poszła, czuję, iż dostałabym obłąkania tej nocy.

Nie wahała się dłużej.

Uderzyła godzina dziewiąta wieczorem, powietrze wilgotne i mgliste przez dzień cały pogorszyło się jeszcze. Wiatr huczał po wierzchołkach dachów, deszcz smagał po szybach. Nie zważała na to wcale.

Przywoławszy swą pokojówkę, kazała się jej jak zwykle rozebrać, rozpalić ogień na kominku, posłać łóżko, co gdy dziewczyna uczyniła, rozkazała jej nie wchodzić do swego pokoju pod żadnym pozorem aż nazajutrz o dziewiątej rano.

Nie jednokrotnie podczas pogodnych dni lata, gdy wicehrabina zapragnęła na przechadzkę wyjść pieszo, pan de Grandlieu prowadził ją na Pola Elizejskie przez małą

furtkę, zrobioną w okratowaniu ogrodu.

Wiedziała ztąd ona, gdzie się znajdował klucz od tych drzwi, weszła do gabinetu swojego męża, a powróciwszy zamknęła się na klucz, czego dotąd nigdy nie czyniła, włożyła czarną suknię, najskromniejszą, jaką znalazła w swej garderobie, zarzuciła czarny płaszcz na ramiona, włożyła na głowę maleńki czarny aksamitny kapelusz, zakryła twarz woalką i drżąca, lecz z silnem niezłomnem postanowieniem, zeszła na dół ukrytemi schodami.

We dwie minuty później, znajdowała się w ogrodzie.

Deszcz lał potokami.

Jako posiadaczka trzystu tysięcy liwrów rocznej renty, dziesięciu powozów w remizach, czternastu koni na stajni, wychodząc jedynie pieszo w czas pogodny i pewny, nie miała parasola. Niepomyślała o tem wcale i mknąc odważnie po mokrym piasku, szła mimo ulewy aż do furtki jaką otworzyła z trudnością pośród głębokich ciemności, oczekując w nadziei spotkania jakiego przejeżdżającego fiakra. Nieszczęściem jednak, podczas ulewy jak zwykle, powozy te stają się niewidzialnemi. Po upływie kilku minut przekonana, iż czekać będzie napróżno, wyszła udając się w stronę ulicy Royal.

Spostrzegłszy się osamotnioną w ciemnej i pustej alei, gdzie pierwszy lepszy nocny włóczęga mógł napaść ją nagle, uczuła przestrach, mrożący krew w jej żyłach. Trwoga ta jednak nie zdołała złamać jej postanowienia. Zamiast zatrzymać się lub wrócić, przyśpieszyła kroku.

Nie doznała jednak żadnej napaści. Jakiś fiakr opróżniony, wracając, zatrzymał konia, a ujrzawszy idącą

pieszo pośród ulewy młodą kobietę, której ubranie mimo zmoczenia deszczem odznaczało się wytworną elegancją zawołał:

— Oto mój powóz, może wsiądziesz pani?

— Dobrze, odpowiedziała żywo Herminia. Zbliżyła się, a kładąc rękę na drzwiczkach, dodała: Wynajmuję cię na godzinę.

— Na godzinę, w taką niepogodę? zawołał, śmiejąc się woźnica, nigdy w życiu! Nie zgodzę się na to. Mając już odjechać, zwrócił się jeszcze. Dziesięć franków zresztą za godzinę, rzekł, jeżeli pani zechcesz, zdecyduj się prędko.

— Dobrze, odpowiedziała wicehrabina, zapłacę, ile żądasz.

— Tak się to mówi przy wsiadaniu do fiakra, zaczął woźnica, a gdy się przybędzie na miejsce, poczynamy się targować według taksy. Nie lubię sprzeczek. Zapłać mi pani naprzód, inaczej nie pojadę.

Herminia sięgnęła do kieszeni, ale znalazła ją próżną.

Jak wszystkie kobiety, otoczone służącemi i nigdy niewychodzące same, nie myślała o noszeniu przy sobie pieniędzy. Portmonetka jej z kilkoma sztukami złota pozostała w pokoju.

Woźnica, spostrzegłszy ów gest nieznajomej, roześmiał się głośno.

— Znam ja to, rzekł, znam dobrze. Zapomniane niby pieniądze. Gdybym był mniej przezornym, zostałbym oszukanym. Pfe! to nie ładnie, moja młoda pani!

I zaciął konia, chcąc odjeżdżać.

Pani de Grandlieu uczuła, iż siły nagle ją opuszczają,

była bliską omdlenia. Zimno ją na wskroś przejmowało. Zdjąwszy z siebie zegarek z łańcuszkiem, podała go woźnicy.

— Weź to, wyrzekła, wartość tego przedmiotu przewyższa stokroć twoje żądanie. Zapłaciwszy, odbiorę to od ciebie.

— Zgoda! rzekł, w każdym razie warto to więcej nad dziesięć franków. Wsiadaj pani. Dokąd mam cię zawieść?

Herminia wiedziała od męża adres markiza San-Rémo, wskazała numer i ulicę.

Stary powóz zatętnił po bruku żałośliwie i w ciągu kwadransa zatrzymał się przy ulicy de Boulogne, przed znanym nam pałacykiem.

Pani de Grandlieu wysiadłszy, zadzwoniła.

Jerzy Tréjan po kilku bezsennych nocach czuwania odjechał do siebie, pozostawiwszy barona przy chorym.

Andrzej San-Rémo spał.

Croix-Dieu siedząc przy stoliku, oświetlonym lampą, czytał dzienniki, gdy we drzwiach ukazał się lokaj markiza, szepcząc cicho:

— Panie baronie. W salonie czeka jakaś dama, która chce widzieć mojego pana.

— Dama? powtórzył Croix-Dieu. Cóż to za dama?

— Nie wiem tego, po raz pierwszy tutaj ją widzę.

— Pójdę sam rozmówić się z tą damą, odrzekł Croix-Dieu. Czeka powiadasz w małym salonie?

— Tak, panie baronie!

Baron wyszedł do przyległego pokoju, spojrzawszy na uśpionego Andrzeja.

Herminia oczekiwała w łatwem do zrozumienia wzruszeniu. Ujrzawszy wchodzącego, zadrżała. Obcy więc człowiek miał zostać świadkiem tak szalonego kroku z jej strony? Uspokoiła się jednak, będąc pewną, że przez woalkę nie dojrzy jej rysów twarzy, a ponieważ nie znała go wcale, wniosła ztąd że i on zapewne jej nie zna.

Jedno spojrzenie wystarczyło Croix-Dieu, do rozpoznania tej kształtnej, pełnej wdzięku patrycjuszki.

Ukłonił się, zapytując:

— Pani pragniesz widzieć mojego przyjaciela, Andrzeja San-Rémo?

Pani de Grandlieu skinęła głową potwierdzająco.

— Zapewne pani wiadomo, że markiz San-Rémo został ranionym ciężko, niebezpiecznie ranionym?

— Czyliżbym się tu znajdowała inaczej? szepnęła młoda kobieta. Jest bardzo chorym nieprawdaż? A może — umiera?

— Nie! dzięki niebu! Stan jego był bez nadziei, polepszenie jednak nastąpiło i mimo że obawy nasze istnieć nie przestały, bardzo się wszelako one zmniejszyły.

— Pan mówisz prawdę? Mogęż temu wierzyć?

— Przysięgam na honor! Zresztą, możesz pani za chwilę upewnić się sama, skoro będę miał zaszczyt zaprowadzić panią do sypialni, gdzie markiz spoczywa, spiąć spokojnie.

O tak, zaprowadź mnie pani zawołała. Nie wątpię o tem, co mi mówiłeś, lecz tak jestem pełną trwogi, że wtedy dopiero się uspokoję skoro zobaczę go sama!

— Skoro tak, racz więc pójść pani, rzekł Croix-Dieu.

Koniec tomu trzeciego.

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/007}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/008}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/009}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/010}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/011}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/012}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/013}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/014}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/015}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/016}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/017}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/018}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/019}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/020}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/021}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/022}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/023}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/024}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/025}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/026}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom

4.djvu/027}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/028}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/029}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/030}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/031}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/032}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/033}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/034}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/035}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/036}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/037}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/038}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/039}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/040}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/041}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/042}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/043}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/044}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/045}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/046}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/047}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/048}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/049}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/050}}

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/051}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/052}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/053}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/054}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/055}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/056}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/057}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/058}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/059}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/060}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/061}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/062}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/063}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/064}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/065}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/066}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/067}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/068}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/069}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/070}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/071}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/072}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/073}} {{subst:Strona:PL X de

Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/074}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/075}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/076}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/077}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/078}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/079}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/080}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/081}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/082}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/083}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/084}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/085}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/086}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/087}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/088}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/089}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/090}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/091}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/092}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/093}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/094}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/095}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/096}} {{subst:Strona:PL X de Montépin

Tragedje Paryża tom 4.djvu/097}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/098}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 4.djvu/099}} — Szczęśliwej drogi, ale ostrzegam, pilnuj pan dobrze swych oczów. Stara jest wściekle zagniewaną, a pomnij pan szpony ma ostre i długie!

— Nie lękam się jej bynajmniej.

— Gdyby zaś przyszła jej wypadkiem chęć zaduszenia pana, otwórz drzwi i wołaj, a przybiegnę nauwczas z pomocą.

— Dziękuję, mam nadzieję, że nie będzie to potrzebnem.

— Ale zapomniałem pana powiadomić, że panna Melania chodziła dziś rano radzić się tego prawnika, który tu mieszka na pierwszem piętrze i że wyszedłszy od niego, mówiła coś głośno, o komisarzu i sądzie. Strzeż się pan przeto!

— Nie przestrasza to mnie, bądź pewnym.

Odźwierny wrócił do swej stancyjki, a Oktawiusz Gavard. przeszedłszy schody, dzwonił do tych drzwi, po za któremi tylekroć razy z bijącem sercem oczekiwał na ukazanie się Diny.

Przyspieszone kroki dały się słyszeć wewnątrz pokoju, skrzypnął klucz w zamku, i długa chuda postać starej panny ukazała się w progu.

Była zmienioną do niepoznania. Jej blond rudawa peruka nie pokrywała jej skroni i kościstej ogołoconej czaszki. Kępki rzadkich siwiejących włosów, jeżyły się w około głowy. Twarz wychudła, niepokryta białą farbą, miała cerę zielonawą, nos w kształcie dzioba drapieżnego ptaka,

przejrzystym być się wydawał; małe, szare oczy pałały złością piekielną.

— Pani jesteś panną Melanią Perdreau? zapytał oschle Gavard.

— Tak, ja nią jestem, odpowiedziała mierząc przybyłego wzrokiem od stóp do głowy. Czego pan żądasz?

— Powiem to pani w mieszkaniu.

Powyższe słowa młodzieniec wymówił tak nakazującym tonem, że stara panna, mrucząc, usunęła się, aby dozwolić wejść przybyłemu i zamknęła drzwi idąc za Oktawiuszem do pokoju, w którym niegdyś bywał tak często.

— Oświadczam panu, wyrzekła, iż nie jestem bynajmniej usposobioną do prowadzenia rozmowy, jak również czasu nie mam do stracenia, mów więc krótko, treściwie, w jakim celu przychodzisz!

— Przynoszę pani wiadomość o twej siostrzenicy, odparł Oktawiusz, ironicznie na nią spoglądając.

Melania Perdreau drgnęła i chwyciła go za rękę.

— Pan wiesz gdzie ona jest? pytała.

— Wiem.

— Do ciebie schroniła się być może wczoraj, uciekłszy odemnie?

— Tak, jest u mnie.

— Znałeś ją pan przed tem?

— Znałem.

Silny rumieniec wystąpił na zżółknięte policzki starej panny. Z jej źrenic tryskały iskry, podobne do roznamiętnionych zdobyczą oczu jadowitej jaszczurki. Konwulsyjne drganie wstrząsało jej ciałem, podczas gdy

wołała zdławionym wściekłością głosem:

— Ach! nędzniku... bandyto... uwodzicielu!... Więc to ty... ty?... Domyślałam się. że istnieje jakiś potajemny związek pomiędzy nią a tobą. Ha! wykradasz dziewczęta matkom, nędzniku, ja byłam więcej niż matką dla mej siostrzenicy, i sądzisz że ci to ujdzie bezkarnie!... Sprowadzić z uczciwej drogi małoletnią dziewczynę, porwać ją wśród nocy?... Ha! ja znam prawo. Galery czekają cię za to... galery! Natychmiast sprowadzam komisarza policji, żandarmów. Każę cię przyaresztować zbrodniarzu, i to jak najprędzej!... Musisz mi ją powrócić. Zobaczymy! zobaczymy!

Zniecierpliwiony Oktawiusz uderzył nogą o podłogę i wykrzyknął z taką siłą i stanowczością, jakiej nikt by się nie spodziewał odnaleść w jego wątłym organizmie:

— Milcz! nakazuję ci, nędznico! milcz, gdyż inaczej ów komisarz, którym mnie grozisz, przybędzie tu, ale dla pochwycenia ciebie, i będziesz zmuszoną zdać przed sądem rachunek z potwornego czynu, spełnionego przez ciebie i twoich wspólników!

Melania pobladła.

— Nędzny potworze! wołał dalej młodzieniec, ty wiesz, co ja przez to rozumiem. Wiesz dobrze, że Dinah, nawpół umierająca uciekła z tego obrzydłego domu, do którego ją zaprowadziłaś. Wiesz, że ją sprzedałaś, a dla dokonania haniebnego tego targu, uśpić ją było potrzeba! Narkotyk ów był trucizną! Otrułaś własną swą siostrzenicę. Jest to rzecz dowiedziona! Jedno słowo z mej strony, a skażą cię na dożywotnie więzienie, jeśli nie na galery!

Stara panna, objęta trwogą i przerażeniem, upadła na kolana, drżała jak w febrze, zęby jej szczękały.

— Miłosierdzia! nie chciej mnie gubić! wołała wyciągając ręce błagalnie ku odwracającemu się od niej ze wstrętem młodzieńcowi. Pragnęłam jej szczęścia. Tylko jej szczęścia!

Tu chciała z prośbą objąć kolana przybyłego.

Oktawiusz z pogardą odepchnął ją nogą.

— Precz odemnie! zawołał, a gdybyś poważyła się kiedyś osnuć plan, podobnie haniebny, nie będę miał litości nad tobą!

— Będę milczała, przysięgam!

— Podnieś się i posłuchaj mnie.

Melania Perdreau powstała.

— Gdyby Dinah była umarła, zaczął Oktawiusz, lub gdyby ci się było udało ją zniesławić, nic w świecie nie zdołałoby cię uchronić z przed wyroku sądowego. Oczekiwałyby cię ciężkie roboty i kajdany, jakie na całe życie odłączyłyby cię od świata. Prawdziwy cud ocalił ją, z tej więc przyczyny gubić cię nie chcę, przysiądz jednakże mi musisz, że nigdy, słyszysz mnie, nigdy, nie poważysz się pomyśleć o czemś, coby jakąkolwiek bądź przykrością lub krzywdą zagrażało twej siostrzenicy.

— Ach! nigdy tego nie uczynię, nigdy! przysięgam!

— Napisać więc musisz i położyć swój podpis, że od dziś zrzekasz się najzupełniej wszelkich praw władzy i opieki nad siostrzenicą, jakie ci dotąd legalnie służyły. Dodasz obok tego, że Dinie służy odtąd prawo zupełnego sobą rozporządzania, że może żyć zdala od ciebie i że jej

nigdy zmuszać nie będziesz, aby znosiła twoją obecność u siebie, w jakichkolwiek bądź okolicznościach.

Melania stała nieruchoma, z pochyloną głową w milczeniu.

— Jak to, wahasz się? zawołał młodzieniec. Ha, jak ci się podoba. Sprawiedliwość zmusi cię ku temu, czego dobrowolnie nie chcesz uczynić. Drzwi więzienia oddzielą cię od twej siostrzenicy w sposób trwalszy, nad wszelkie twoje piśmienne zobowiązania.

— Ach! zawołała żywo stara panna, jestem gotową podpisać wszystko, co zechcesz. Nie waham się, ale rozważam jedynie.

— Co takiego?

— Moją tak smutną odtąd sytuację. Poświęciłam całe moje życie, aby zapewnić jakąśkolwiek przyszłość temu dziewczęciu. Kochałam ją na swój sposób, pragnęłam jej dobra. Inaczej je pojmowałam. Obiecywałam sobie, że kiedyś będzie ona jeździła karetą, obsypana klejnotami. Tyle kobiet tak się urządza. Gniewa cię to i drażni, mój panie, nie mówmy więc o tem więcej.

— Tak, nie mówmy o tem, zawołał głucho Oktawiusz, niemówmy, jeżeli pragniesz, aby ci to uszło bezkarnie.

— Otóż jestem dziś starą i ubogą, mówiła dalej Melania, tak biedną, że zaledwie na jutro mam suchy kawałek chleba. W dniu jutrzejszym Dinah odbierze swą pensję miesięczną z kasy teatralnej. Żywiła mnie z tego. Z czegóż ja będę żyć teraz? mówiła Melania, przyjdzie mi chyba umrzeć z głodu lub żebrać! Nie, nie, oskarż mnie pan raczej. Niech na mnie wyrok wydadzą, tem lepiej. W

więzieniu żywić mnie będą przynajmniej!

I wybuchnęła łkaniem załamując ręce z rozpaczą.

— Pomimo wszystko nie umrzesz pani z głodu, wyrzekł Oktawiusz, jestem bogatym.

Jak słońce po burzy, przebijające się z po za chmur, gdy nagle oświetli sposępniałą okolicę, coś podobnego zapromieniało na obliczu tej starej panny. Podniosła głowę, łzy płynąć z jej oczu przestały.

— Pan jesteś bogatym? zawołała, i ja cię nie znałam? Ach! jakiż sprzeczny zbieg okoliczności! Kochasz Dinę i ja nie wiedziałam o tem? Ależ potrzeba ci było mnie to powiedzieć. Bylibyśmy się odrazu porozumieli. Usiądź pan proszę, spocznij na chwilę.

X.

Bieg dalszy i zakończenie rozmowy pomiędzy Oktawiuszem, a Melanią Perdreau łatwo odgadnąć można.

Po kwadransie, młodzieniec wychodził z domu przy ulicy des Marais, unosząc zobowiązanie, podpisane przez starą pannę, że odtąd nie będzie się mieszała do spraw swej siostrzenicy pod żadnym pozorem.

W zamian za owo przyrzeczenie Oktawiusz zobowiązał się dostarczać jej kwotę, wystarczającą na przyzwoite utrzymanie. Obok czego zagroził Melanii, iż gdyby się poważyła zbliżyć choć raz jeden do Diny, pensja miesięczna, jaką jej wyznaczył, całkowicie wstrzymaną zostanie, skutkiem złamania przez nią jednego z głównych

punktów umowy.

Nikczemna owa istota, otrzymała piętnaście luidorów, jako zaliczkę, i posłaniec odniósł Dinie pozostawioną przez nią u ciotki skromną garderobę.

Powiedzą czytelnicy i nie bez słuszności może, iż nic w świecie nie mogło być haniebniejszego po nad zawarcie takiego układu pomiędzy Oktawiuszem Gavard i ciotką Melanią. Tak, w rzeczy samej. Nie tylko ta ostatnia nie została ukaraną za swe nikczemne postępowanie, lecz zyskiwała szczęśliwą sytuację, wygody jakich żadna uczciwa praca dostarczyć by jej nie była w stanie.

Nagroda udzielona przestępstwu, subwencja ofiarowana infamii, nie jest że ostatnim wyrazem niemoralności?

Zgadzamy się na to zupełnie, prosząc o cierpliwość czytelników.

Podczas, gdy nasz przyjaciel Gavard, rozmawiał z Melanią, powóz pana de Croix-Dieu zatrzymał się przed pałacykiem przy ulicy des Saussaie.

Baron, wysiadłszy, zadzwonił, i rzekł do otwierającego mu drzwi lokaja:

— Oddaj proszę tę wizytową kartę pani Angot.

Dama z bulwaru Batignolles była w niezwykle złem usposobieniu. Spędziła noc bezsennie, wstrząsana obawą, daremnie usiłując zadrzemnąć na poduszkach garnirowanych koronkami i miękkim puchu. Prócz doszczętnego zburzenia jej pięknych projektów wskutek ucieczki Diny, czuła się być mocno zaniepokojoną.

Tamerlan-Sariol wysłany równo z dnia brzaskiem do Melanii Perdreau, przyniósł wiadomość, że dziewczę do

ciotki wcale nie powróciło.

Co stało się z Diną? Ukrywała się, lecz gdzie? Prawdopodobnie u któregoś z kochanków, ciotce nieznanych. Kto wie, czyli ów rozkochany, posłyszawszy o całem zajściu poprzedniego wieczora, nie namówi debiutantki do wniesienia skargi przed sąd Paryża, lub policję?

W takim razie śledztwo byłoby nieuchronnem, a co wyniknąć by mogło, gdyby policja rozpoczęła przeszukiwania w tajemniczym pałacyku przy ulicy des Saussaies?

Owóż pani Angot, postanowiwszy w dniu tym nie przyjmować nikogo, zaniechała zwykłych starań w toalecie, i nie umalowała się wcale.

Rzuciwszy okiem na podany sobie bilet barona de Croix-Dieu, mruknęła:

— Nie znam go, zwracając się do służącego. Mówiłeś, że nie ma mnie w domu? zapytała.

— Nie wiedziałem, że pani dziś nie przyjmuje.

— Trzeba było wiedzieć. Powiedz temu panu, że jestem cierpiącą i widzieć się z nim dziś nie mogę.

Służący wyszedł, lecz wrócił za chwilę.

— Cóż jeszcze? pytała pani Angot. Odszedł ów przybyły?

— Nie, pani. Nalega, ażeby mógł być przyjętym. Polecił oznajmić, że ważne nadzwyczaj szczegóły, jakie ma pani do udzielenia, nie mogą go narazić na najmniejszą zwłokę.

— Kto jest ów pan? Czy to młody mężczyzna?

— Młody, niezupełnie, lecz bardzo przyzwoity z pozoru.

Ma wstążeczkę trójkolorową przy butonierce. Koń, zaprzężony do jego powozu, wart najmniej z jakie trzy tysiące franków. O! jest to jakaś wyższa osobistość.

— Czy ogień pali się na kominku w salonie?

— Tak pani.

— A więc, wprowadź go tam, i proś, aby zaczekał.

Pani Angot ubrała się z pośpiechem. Założyła przyprawne włosy, nakryła je czepkiem, i po upływie kwadransa wyszła na przyjęcie barona.

Przypatrywała mu się z uwagą, oblicze jego wszelako obcem się jej wydało, zkąd była przekonaną, iż po raz pierwszy widzi tego człowieka.

Nic zresztą nie było w tem nieprawdopodobnego.

Filip de Croix-Dieu, jak wiemy, całkiem obecnie był niepodobnym do Roberta Loc-Earn’a i aby dowieść tożsamości obu, potrzeba było na to bystrego wzroku Sariola, a nadewszystko jego osobistej, zaciętej nienawiści.

Baron, przeciwnie, poznał odrazu pod masą otyłości, rysy twarzy, i pełne miodowej słodyczy zachowanie się akuszerki z bulwaru Batignolles. Trzymała ona w ręku wizytowa kartę, oddaną przez przybyłego lokajowi.

— Z panem baronem de Croix-Dieu mam zaszczyt mówić? zapytała z ukłonem.

— Tak pani.

— Czy mogę wiedzieć powód przyjemnej pańskiej wizyty?

— Nic pani w świecie prostszego. Znudzony długim celibatem i rozkoszami wesołego życia, marzę o cichym rodzinnym zakątku, jednem słowem pragnę się ożenić.

— Życzenie bardzo naturalne, zkąd jednak przyszło panu na myśl, ażeby udać się do mnie?

— Nic dziwnego. Wszakże się pani trudnisz kojarzeniem małżeństw.

— Nie ja jedna tylko w Paryżu, nieszczęściem ze szkodą publicznej moralności. Lecz proszę panie baronie chciej mnie objaśnić, skutkiem czego pan mi udzielasz pierwszeństwo przed innemi tego rodzaju?

— Dobra sława pani biura małżeństw.

— Nie inne powody?

— Żadne inne, upewniam.

Pani Angot z uśmiechem lekko się ukłoniła.

— Mam lat czterdzieści ośm; mówił dalej baron. Posiadam nazwisko i tytuł poważny, zdrowie doskonałe, charakter łatwy w pożyciu, a obok tego pięćdziesiąt tysięcy franków rocznej renty.

— Ależ to świetne! zawołała właścicielka agencji.

— Cóż pani w zamian za to możesz mi ofiarować?

— Ach! panie baronie, stawiasz mnie w wielkim kłopocie pod względem wyboru. Moje rejestra zawierają majątki i posagi od jednego do pięciu milionów. Żądasz pan wielkiego majątku?

— Przed wszystkiem piękności.

— Godna uwielbienia bezinteresowność. Życzyłbyś pan młodej panny, czy wdowy?

— Młoda wdowa, czy młoda panna, wszystko mi jedno. Rzecz główna aby podobała mi się ta osoba.

— Panie baronie, konkurenci podobni panu są niesłychanie rzadkiemi wyjątkami. Proszę, chciej pan pójść

ze mną do gabinetu. Przejrzę moje księgi. Przedstawię panu różne partje małżeńskie, przedstawię również i fotografie, a skoro pan się na coś zdecydujesz, urządzimy spotkanie. Gdybyś pan zechciał widzieć osobę, niebędąc przez nią widzianym, i to zrobić można. Wypadek taki jest u mnie przewidzianym.

— Jak widzę, agencja małżeństw pani, przewyższa wszelkie inne w tym rodzaju, wyrzekł Croix-Dieu, idąc za właścicielką do jej buduaru, w którym znajdowało się biurko, kasa i rejestra.

Pani Angot, zdjąwszy z łańcuszka od zegarka kluczyk maleńki, otworzyła nim kłódkę księgi in folio, w jakiej mieściła się lista wdów i panien, i przerzucała szybko stronice pokryte nazwiskami i objaśnieniami różnego rodzaju.

Spostrzegłszy ją, zagłębioną w poszukiwaniach, baron rzekł najnaturalniejszym tonem, patrząc na nią przez lornetkę:

— Ale, jak się też miewa Sariol?

Matrona drgnęła i nagle podniosła głowę, lecz jej wzruszenie, gdyby ono było nawet prawdziwem, trwało zaledwie sekundę. Spojrzała w oczy mówiącemu z miną zdumioną, zapytując:

— Sariol? któż jest ów Sariol, baronie, powiedz mi proszę?

— Jest to pewien dzielny chłopiec, jakiego pani znasz od dwudziestu dwóch lat, odrzekł Croix-Dieu.

Pani Angot przybrała minę obrażonej.

— Sądzę, iż pan baron jest za zbyt dobrze wychowanym

człowiekiem, odpowiedziała, ażeby choć na chwilę pragnął zawstydzić gminnym żartem, uczciwą kobietę. Widocznie tu zachodzi jakaś pomyłka.

— Tak? odrzekł Croix-Dieu; zatem pani nie znasz Sariola?

— Nie znam go wcale, i po raz pierwszy mogę pana upewnić, słyszę to nazwisko.

— Niech i tak będzie. Ale przynajmniej znasz pani pannę Anitę?

— Panna Anita jest moją pokojówką, odpowiedziała. Zkąd pan wiesz o niej?

— Wiem wiele rzeczy, przerwał Croix-Dieu. Pozwól mi kochana pani zachowywać się u siebie swobodnie. Potrzebuję parę słów powiedzieć pannie Anicie, w obecności pani, ma się rozumieć.

— Lecz panie...

— Będę pani bardzo wdzięcznym jeżeli ją tu przywołasz.

— Jednak...

— I to natychmiast, jeżeli łaska.

Baron prosił tonem rozkazującym, jakiemu właścicielka agencji małżeństw opierać się nie mogła. Zadzwoniła trzy razy, i owa niegdyś panna z pierwszorzędnego magazynu, bezzwłocznie przybiegła.

— Pani, rzekł Croix-Dieu, wyjmując z portfelu list, i podając jej takowy, będziesz pani, sądzę, o tyle grzeczną, iż zajmiesz się tem.

Pokojówka spojrzała na adres.

— Wszakże to do mnie, zawołała.

— Niezupełnie. Nazwisko pani jest w rzeczy samej,

nakreślone na kopercie, lecz ta koperta zawiera w sobie list, przeznaczony dla X. Y. Z. któremu jestem pewien, doręczysz go pani w jak najkrótszym czasie.

Pani domu słuchała wszystkiego z otwartemi ustami, wytrzeszczonemi oczyma.

— Treść tego listu dotyczy w sposób wyłącznie osobisty panią Angot, mówił Croix-Dieu dalej, skąd nie wątpię, że X. Y. Z, zechce jej go zakomunikować jak najśpieszniej. O! X. Y. Z. jest uprzejmym chłopcem! Tu baron wstał i ukłonił się dodając: Pomówimy w innym dniu, kochana pani, o projekcie wiadomego małżeństwa, Obecnie spieszę się bardzo, składam więc pożegnanie i odchodzę. Nie wyprowadzaj mnie pani, proszę. Sam dobrze drogę odnajdę.

Ukłonił się powtórnie, i wyszedł, a minąwszy salon udał się na schody.

— Ależ to jakiś warjat! zawołała pani Angot po chwili milczenia.

— Szaleniec niebezpieczny! obawiam się go odpowiedział Sariol, wchodząc ukrytemi drzwiami. Wszystko słyszałem. Anito, oddaj mi ten list.

— Co to znaczy, Eugeni? pytała pani Angot z niepokojem.

— Zaraz się dowiemy.

Sariol, rozdarłszy podwójną kopertę, przebiegł wzrokiem nakreślone przez barona wyrazy. Twarz jego nagle się zasępiła.

— Do djabła! zawołał.

— Cóż jest, na Boga, co jest? Nie przestraszaj mnie

Eugeniuszu, wołała matrona.

— Co jest? posłuchaj.

I godny wspólnik wdowy de Saint-Angot po odejściu Anity zaczął czytać głośno:

„Jestem więcej niż kiedykolwiek wzruszony dobrotliwemi chęciami ze strony mego starego przyjaciela i korespondenta X. Y. Z., ale nie czując się być zupełnie przekonanym o jego dobrych co do mnie zamiarach, winienem mu objawić swe zdanie, co też i czynię.

Wczoraj wieczorem, młoda debiutantka Dinah Bluet, uciekła na wpół umierająca z domu pani de Saint-Angot.

Haniebne zamiary, poprzedzone otruciem belladoną, zostały spełnionemi na tej młodej dziewczynie. Ażeby jej życie ocalić, potrzeba było przyzwać w pomoc cudów nauki.

Jeden z najsłynniejszych lekarzy Paryża, doktor B. spisał protokół otrucia z jego skutkami, i zastosowanemi przeciw temu środkami, dzięki którym pokonał niebezpieczeństwo.

Rola odegrana przez X. Y. Z. w owej potwornej sprawie jest znaną. Uprzedzam go więc, iż gdyby mu chęć przyszła przypominać sobie niektóre czyny, pokryte dwudziesto dwu letniem przedawnieniem, wspomniony protokół złożonym zostanie prokuratorowi Rzeczypospolitej, wraz z dowodami.

Nie jest to groźbą z mej strony, ale przestrogą.

Do miłego widzenia. Pozdrowienie.“

Ów krótki list, zręcznie skreślony, mógł służyć za wzór zuchwałej przebiegłości. Croix-Dieu pisał na los szczęścia o wniesieniu skargi do sądu, uderzył tem w słabą stronę

dwojga nikczemników, i dosięgnął celu.

Pani Angot blada jak śmierć pod warstwą różu, który z przestrachu z policzków jej poodpadał, załamywała ręce.

— Na imię nieba! jesteśmy zgubieni!

— Dla czego zgubieni? pytał Sariol, odzyskawszy swą zwykłą bezczelność.

— Ponieważ nas skompromitowałeś, fatalnie skompromitowałeś!

— Ja? Ach! to za wiele, zawołał Sariol. Ja? który bezustannie upominam cię o roztropność w postępowaniu. Ja? który ci wczoraj mówiłem: Bądź ostrożną! Czy nie obawiasz się, ażeby dzisiejsza wieczorowa sprawa nie sprowadziła nam jakich kłopotów? To dziewczę jest małoletniem. Cóżeś mi na to odpowiedziała? Ciotka jest tu obecną i za wszystko odpowiada. Czego się obawiać u czarta?

— Miałam słuszność tak mówiąc. Ty sam jesteś przyczyną tego, co nastąpiło.

— Ja? Nie!.. ty wyraźnie jesteś szaloną!

— Dobrze, przekonajmy się więc, czy to ja dzisiaj rozum straciłam, lub czy ty straciłeś go wczoraj, przyrządzając to wino.

— Przyrządziłem je według twojego rozkazu.

— I ja ci rozkazałam abyś miał tak ciężką rękę i nie wiedział co robisz? Rozkazałam ci uśpić ją, a nie otruć!

— E! doza nie była zbyt wielką.

— Mówię ci, że tak.

— A ja powiadam że nie! Najlepszym tego dowodem jest, że dziewczyna się przebudziła.

— Jesteś niezgrabiasz, niedołęga!

— A ty jesteś bezprzykładnie niesprawiedliwą.

— Wepchnąłeś mnie w kłopot i ambaras po szyję.

— To kłamstwo.

— Zadajesz mi fałsz? Ach! ty nędzniku!

Tu oboje przyskoczyli do siebie, spoglądając wzajem zaiskrzonemi oczyma.

Pani Angot czerwieńsza od raka ugotowanego, chwyciła swemi dwiema grubemi pięściami za barki Sariola, spostrzegłszy jednak groźny wyraz jego oblicza, obawiać się poczęła by w swej wściekłości nie posunął się za zbyt daleko, przeciwnik ów wszakże nagle się uspokoił.

— Nie zapominam o względach, jakie mężczyzna dobrze wychowany zachowywać dla płci pięknej powinien, wyrzekł z ironicznym uśmiechem. Ta walka na dzioby trwa za zbyt długo i do niczego nie doprowadzi. Niepoznano się tu na mojej wartości, obrażając mnie. Porzucam dom, w którym osobista moja godność nie pozwala mi nadal zamieszkiwać. Żegnam panią! Wracam do mego pokoju po zabranie rzeczy, i odjeżdżam.

Zaciekły gniew pani Angot zmienił się w rozczulenie.

— Chcesz odjechać? wyjąknęła, odjechać Eugeni? Nie! ty nie mówisz na serjo o porzuceniu mojego domu. To być nie może!

— Za kwadrans odjadę, by nie powrócić tu więcej.

— Eugeni! ty tego ni uczynisz, nie! jestem pewną! Ja nie mogłabym żyć tu samotnie! Ach! gdybyś wiedział jak przywiązałam się do ciebie!

— Okazujesz to, obsypując mnie obelgami rzekł Sariol.

— Czyż moja wina, że skutkiem żywości charakteru za zbyt się unoszę niekiedy? Porzućmy wszelką urazę. Dostaniesz gratyfikację. Cóż, zgoda, nieprawdaż? Nie odjedziesz stąd, pozostaniesz?

— Sposób, któremu oprzeć się niepodobna.

— Ach! jak to dobrze! Widzę że jesteś rozumnym człowiekiem. Zamiast się kłócić pomiędzy sobą, radźmy co począć przeciw grożącemu nam niebezpieczeństwu.

— Gdybyś mnie była wysłuchała przed chwilą, byłbym cię przekonał, że to niebezpieczeństwo nie jest w rzeczywistości tak strasznem, jak się być wydaje.

— A jednak baron de Croix-Dieu wie wszystko, i zgubić nas może.

— To prawda, lecz tego nie uczyni.

— Jesteś pewnym?

— Najzupełniej.

— Dla czego ci więc grozi?

— Przepraszam, źle zrozumiałaś. List jego, jak sam to pisze, jest przestrogą, a nie groźbą. Nasza tajemnica w jego ręku podaje mu broń, to prawda, ale broń obronną, a nie zaczepną. Obawiał się mnie, teraz się nie obawia, jest to jedyna zmiana, jaka zaszła w całej sytuacji. Nie dotknie on mnie, jestem przekonanym, a byłbym ostatnim niedołęgą, gdybym nie odnalazł wkrótce sposobu pochwycenia go w me ręce.

— Ach! Eugeni, wołała pani Angot uspokojona, pozostaniesz na zawsze wzorem przebiegłych i zręcznych ludzi, nie znajdzie się taki, któryby pokonać cię zdołał. Pozwalam ci ucałować mą rękę.

Tamerlan-Sariol według swego niezmiennego zwyczaju wykonał polecenie. Czyż nie miał na widoku przyobiecanej gratyfikacji?

Porzućmy niezdrową atmosferę pałacyku przy ulicy des Saussaies, w głąb której, jako napełnionej zabójczemi miazmami nie wnikalibyśmy, gdyby nasz tytuł „Tragedje Paryża“ nie zmuszał do zejścia w ową. błotnistą kałużę. Połączmy się z naszą małą przyjaciółką Diną Bluet, w pokoiku wynajętym przez nią dnia poprzedniego.

Dochodziła dwunasta w południe. W przeddzień wieczorem, otrzymało dziewczę wraz z bielizną i ubraniem bilecik tej treści:

„Wszystko idzie dobrze, droga, ukochana. Nie obawiaj się teraz nikogo. Śpij snem spokojnym. Kochaj mnie i pomyśl o mnie przed zaśnięciem. Myśl o mnie, gdy się przebudzisz. Do jutra ukochana.

Twój Oktawiusz.“

Ze spokojnym umysłem, zadowolonem sercem, nie przewidując, że przyjdzie jej walczyć z ukrytym wrogiem, stokroć niebezpieczniejszym w swej jednej osobie, niźli Melania Perdreau i pani Angot złączone razem; z nieprzyjacielem, którego chciwość pochwycenia sześciu milionów Oktawiusza Gavard czyniła nieubłaganym, Dinah zasnęła snem spokojnym, głębokim, marząc o szczęśliwej przyszłości.

Gdy obudziła się rano, lekka bladość na jej obliczu świadczyła jedynie o przebytych wzruszeniach i utracie

nieco krwi przy udzielanym ratunku.

Dobra kobieta, która wynajęła dziewczęciu ów pokoik z gabinetem, czyniła propozycję dostarczania Dinie codziennie śniadania i obiadu za przystępną cenę.

Zgodziwszy się na to nasza debiutantka, uwolnioną tym sposobem została od wszelkich kłopotów o swój byt materjalny.

Około dwunastej, ubrała się, i wyjechała do teatru. Jak wiemy był to dzień wypłaty. Dinah odebrawszy swą pensję, miała wychodzić, gdy reżyser przywołał ją ku sobie.

— Oto repertuar na jutro, rzekł do niej. Przybądź pani o trzy kwadranse na dwunastą. Posyłałem do pani. Czy mieszkasz jeszcze przy ulicy de Marais?

Dziewczę podało adres nowego mieszkania, a przechodząc, przeczytała na afiszu tytuł nowej sztuki pięcioaktowej.

I wróciła pełna radości do swego mieszkania, patrząc w przyszłość, przedstawiającą się jej w barwach różowych, zadowolona ze swej odzyskanej wolności i swobody, nie czując nad sobą wstrętnej postaci swej ciotki.

Zaledwie kwadrans upłynął, wszedł Oktawiusz.

Podała mu rękę z uśmiechem.

— Witaj, mój przyjacielu! wyrzekła, i rozpatrz się w mem skromnem mieszkaniu. Nie ma tu zbytku, to prawda, ale pociągająca prostota, która więcej warta. Ta czysta podłoga, białe firanki, łóżko biało zasłane, wszystko to mnie zachwyca! A co najwięcej, nie ma tu ciotki Melanii z jej wiecznemi a nigdy nie dającemi się urzeczywistnić pragnieniami. Tu przynajmniej dozwolono mi zostać ubogą

i czuć się szczęśliwą.

Nastąpiła chwila milczenia. Oktawiusz rozglądał się po pokoiku, zaledwie cośkolwiek umeblowanym, lecz o czystości istnie flamandzkiej, pełnym dziewiczej świeżości, i porównywał go do cichego zakątka raju.

— Lecz otóż mówimy o ubóstwie, poczęła Dinah z uśmiechem, znasz przysłowie: „Kto płaci długi, zbogaca się.“ I ja chcę się zbogacić płacąc moje. Oto dwadzieścia franków, jakie dłużną ci jestem. Za kredyt serdecznie dziękuję.

Młodzieniec przycisnął do ust otrzymaną sztukę złota.

— Dino, ukochana! zawołał, z tym luidorem nie rozłączę się nigdy. Być może, iż kiedyś utracę owe sześć milionów po nieboszczyku mym papie, tej jednak sztuki złota strzedz będę. Każę ją jutro wydrążyć dla zawieszenia na breloku od zegarka. Umarłbym raczej z głodu niżbym ją zmienił!

Dziewczę śmiać się zaczęło z uniesienia rozkochanego, wszak łza rozrzewnienia zawisła jej na powiece.

Reszta południa przemknęła jak błyskawica w serdecznej pogadance.

Około piątej, służąca właścicielki mieszkania weszła z oznajmieniem że obiad gotowy.

Dinah zwróciła się do Oktawiusza.

— Chcesz ze mną obiadować? zapytała. Zapraszam cię.

— Przyjmuję z rozkoszą, odrzekł, lecz pozwól mi pójść poszukać jakiej porcji dla siebie.

— Pozwalam, jedynie ze względu, ażebyś nie był zbyt głodnym. Idź prędko i powracaj.

Młodzieniec wybiegł i wrócił po kilku minutach,

przynosząc ciasta, owoce i butelkę wina Bordeaux. Dinah dostarczyła rosół i kawałek mięsa z sałatą.

Przyszły spadkobierca milionów upewniał, iż nieprzypomina sobie aby mu kiedykolwiek obiad tak wybornie smakował.

XI.

Dinah Bluet była obecną nazajutrz na czytanej próbie, na jaką została wezwana.

Nowy ów dramat był dziełem głośnego i zasłużonego na tem polu autora.

Dziewczęciu podobała się niezmiernie jej rola, i wróciła do domu uradowana. Dalsze próby nazajutrz się rozpoczęły.

Odtąd życie dwojga rozkochanych płynęło cicho, regularnie, co ktoś mógłby nazwać jednostajnością, dla nich to jednak było życiem pełnem uroku.

Dinah codziennie do południa pozostawała w teatrze, skąd wracała do siebie na obiad. Oktawiusz zaraz potem przybywał i godziny szybko mijały w owem niewinnem sam na sam aż do północy.

Niekiedy młodzieniec towarzyszył na inne widowiska, swej młodej przyjaciółce, umieszczając się wraz z nią, w jakiej przyciemnionej loży. Odwoził ją do drzwi mieszkania żegnając słowami:

— Do jutra, ukochana!

— Do jutra, odpowiadało dziewczę, do jutra, myśl o mnie.

I rozstawali się z sobą marząc o błogiej nazajutrz, znów chwili spotkania.

Oktawiusz szanował Dinę tem więcej, im bardziej pogardzał innemi kobietami, a dziewczę nie potrzebowało zarówno walczyć przeciw rozbudzonej w swem sercu miłości poznawszy to uczucie z najczystszej, najbardziej idealnej strony.

Po upływie miesiąca nowa sztuka pierwszy raz przedstawioną została.

Powodzenie było zupełne. Cała prasa jednozgodnie sławiła talent Diny Bluet. Oktawiusz naówczas zmienił nieco swoje dotychczasowe zwyczaje. Godziny popołudniowe przepędzał w pokoiku na przedmieściu de Temple, i został stałym abonentem parterowej loży w której przesiadywał niegdyś podczas przedstawień „Aspazyj.“ Nie rzucał jednakże teraz bukietów Dinie; dziewczę prosiło go usilnie ażeby tego zaniechał.

— Nikt nie wie w teatrze, że znamy się z sobą, mówiła, ta mała codzienna owacja z twej strony mogłaby zwrócić uwagę, czego unikać należy.

Młodzieniec, lubo niechętnie, był posłusznym woli ukochanej.

Sześć tygodni upłynęło od owego pamiętnego wieczora, w którym Dinah w tejże samej sali teatralnej ukazała się raz pierwszy w „Aspazjach“ po którem to przedstawieniu nastąpił pojedynek Andrzeja San-Remo z kapitanem Grisolles.

Po długiej rekonwalescencji, rozpoczął się powrót do zdrowia młodego markiza.

Podwójna blizna na piersiach i pod ramieniem zamknęła straszną ranę zadaną szpadą Garybaldczyka. Wielkie osłabienie i bladość twarzy, były jedynemi śladami okrutnych cierpień Andrzeja.

Pozostawiliśmy Herminię de Grandlieu bezprzytomną, leżącą w ciężkiej gorączce zapalenia płuc, nastąpionego w chwili, gdy wicehrabia de Grandlieu wracał pospiesznie z Touraine, a którego to powodu choroby lekarz nie mógł odgadnąć.

Doktor mimo głębokiej nauki i doświadczenia, nie mogąc usunąć złego, przygoił je chwilowo. Trafne leczenie, energiczne środki i najtroskliwsze starania, pokonały rozwinięte nagle zapalenie płuc. Niebezpieczeństwo, na myśl o którem pan de Grandlieu zmysły tracił prawie, zaledwie się ukazawszy, zniknęło: Herminia jednak była ciężko chorą, a jej powrót do zdrowia trwał niemniej długo, jak rekonwalescencja Andrzeja San-Remo.

Pierwsze kwietniowe słoneczne promienie roskosznie rozświetlały lazury; powietrze znacznie się ociepliło świeżo rozwite liście wydobywały się z pączków drzew na zewnątrz, gdy Herminia blada i chwiejna, wsparta na ramieniu męża, wyszła z pokoju po raz pierwszy, a zeszedłszy na peron z pałacowych schodów zbliżała się w stronę ogrodu, gdzie na topniejącym śniegu, pod ulewą spadającą potokami, spędziła noc tak straszną.

Ujrzawszy ów domek drewniany na skraju ogrodu, będący natenczas jedynem dla niej schronieniem, pomimowolnie zadrżała.

Z wielkim wysiłkiem, podtrzymywana przez pana de

Grandlieu. obeszła trawnik, rozciągający się pomiędzy pałacem a Elizejskiemi polami.

Doktor przybyły na swą codzienną wizytę, spotkał w ogrodzie wicehrabiego wraz z żoną.

— Brawo, moja pacjentko! zawołał. Jakżem szczęśliwy, że cię tu widzę. Słońce i czyste powietrze, oto dwa olbrzymie środki pomocnicze, dwaj nasi prawdziwi uzdrowiciele, jakich nam Bóg zsyła. Wszelkie przepisy i fakultety całego świata, nie są w stanie ożywić tyle powracającej do zdrowia rekonwalescentki, jak jeden promień słoneczny spadły z nieba!

— Wszak moja Herminia uważać się może za zupełnie ocaloną? pytał pan de Grandlieu.

— O! tak, niezaprzeczenie! rzekł lekarz. I gdybym to mógł powiedzieć o innych mych chorych, spałbym spokojnie, czego, wierzaj mi pan, bardzo potrzebuję!

— A jednak, wyszepnęła wicehrabina, czuję się bardzo osłabioną. Gdyby które z owych maleńkich ptasząt, przelatujących z gałęzi na gałęź, dotknęło mnie swojem skrzydełkiem, zdaje mi się iżbym upadła.

— Szybko ustąpi to osłabienie i siły powrócą, rzekł lekarz z uśmiechem, a zwróciwszy się do pana de Grandlieu: Pańska małżonka, dodał, dla odzyskania sił i zdrowia potrzebuje oddychać bardziej ożywczem powietrzem, niźli je mamy w Paryżu. Wywieź ją pan na wieś, na parę miesięcy, w jakie tylko zechcesz strony, mniejsza o okolicę, aby szerokie przestrzenie mogły ją otaczać w około, a wieczorowy wietrzyk przynosił jej zapach leśny.

— Gdyby do Touraine, doktorze, pytał wicehrabia.

— Mówię: „Dokąd pan zechcesz.“ Aprobuję Touraine. Klimat rozkoszny, szerokie horyzonty, przyroda bogata i płodna, trudno lepszy wybór uczynić.

— Pojedziemy zatem do Grandlieu. Jakże ci się zdaje Herminio?

— Zgadzam się na wszystko, co zechcesz, mój przyjacielu.

— Kiedyż pozwoliłbyś nam wyjechać, doktorze?

— Od jutra, sądzę. Pani wicehrabina będzie w stanie znieść trudy podróży. Gdyby ją to nawet znużyło nieco, nie zaszkodzi.

— Zatelegrafuję więc aby mój rządca przygotował w zamku mieszkania, i w ciągu trzech dni wyjedziemy.

Jednocześnie pan de Grandlieu odwiedzał w pałacyku przy ulicy de Boulogne powracającego do zdrowia Andrzeja: któremu oznajmiono o chorobie Herminii wtenczas, skoro wszelkie niebezpieczeństwo zniknęło, z obawy niepogorszenia w skutek niepokoju stanu jego zdrowia.

Nazajutrz po wyż przytoczonej rozmowie z doktorem, wicehrabia pojechał z rana odwiedzić młodzieńca. Znalazł go już chodzącym po pokoju, mimo że zwolna i chwiejnym krokiem. Ściskając podaną sobie rękę starca. Andrzej zarumienił się. Ilekroć razy znalazł się w obecności męża Herminii, mięszał się widocznie, krew uderzała mu do głowy.

— Moj drogi chłopcze, rzekł wicehrabia, przychodzę aby pożegnać się z tobą.

Rumieniec zniknął z twarzy Andrzeja.

— Pożegnać, zkąd, dla czego, zapytał.

— Oboje z żoną wyjeżdżamy z Paryża.

San Remo zbladł nagle.

— A! państwo wyjeżdżacie, powtórzył. I na długo?

— Na dwa lub trzy miesiące.

— Jak prędko?

— Pojutrze.

— I dokąd?

— W okolice Touraine, do Grandlieu.

— Czy wolno zapytać, panie wicehrabio, o powód tego nagłego wyjazdu, o którym przed kilkoma dniami nic pan nie wspominałeś.

— Nie myślałem o tem, w rzeczy samej, wyjazd ów został mi nakazanym przez lekarza, który oznajmił, że świeże wiejskie powietrze posłuży wielce do zupełnego uzdrowienia mej żony, której rekonwalescencja przeciąga się zbyt długo.

— Tak, wyszepnął smutno młodzieniec, świeże wiejskie powietrze, to życie, to zdrowie i siła! I mnie nakazano wyjechać na słońce i powietrze.

— Cóż ci przeszkadza?

— Pomyśl pan, czyż mogę? rzekł Andrzej. Jestem sam na świecie. Takie oddalenie się w miejsca nieznane, wśród obcych, byłoby dla mnie zbyt smutnem. Zamiast odżyć tam, umarłbym!

— A więc ja, zawołał pan de Grandlieu, idąc za popędem swego szlachetnego serca, ja mam plan pewien na myśli. Łatwo będzie uniknąć tej samotności i odłączenia,

jakie cię słusznie przestraszają.

— W jaki sposób? pytał z bijącem sercem San-Remo.

— Wyjeżdżamy pojutrze, jak mówiłem, powtórzył wicehrabia. Herminia, jak się spodziewam, wkrótce odzyska potrzebne siły do pełnienia obowiązków gospodyni domu. Wszak było pomiędzy nami ułożone, pamiętasz, że na jesieni mieliśmy polować razem? Przyspiesz zatem twój przyjazd. Przyjedź w przyszłym miesiącu, i przyjmij na kilka tygodni gościnność w zamku de Grandlieu.

Andrzej o mało nie zemdlał z radości. Żywy rumieniec wystąpił mu na policzki. Żyły na skroniach tętniły mu gwałtownie.

— Jak to, zawołał, tyle dla mnie życzliwości.

— Proszę, ażebyś zechciał być moim gościem. Proszę, i pragnę tego. Nie odmawiaj. Odrzucenie mej prośby wielką by mi przykrość sprawiło.

— Przyjmuję, przyjmuję, Bóg widzi z jak żywą wdzięcznością! wołał młodzieniec, omal nie zdradziwszy się tym gwałtownym porywem i wzruszeniem w głosie, którego dźwięki biegły mu wprost z serca.

— A podczas twojego u nas pobytu, mówił dalej Armand de Grandlieu, będziesz mógł zwiedzić wioskę des Ridelles, jaką nabyć zamierzasz. Zostaniesz naszym sąsiadem. Wszystko się jak najlepiej ułoży. Zatem rzecz, postanowiona?

— Tak, postanowiona...

— Odchodzę więc mój drogi chłopcze, lecz cię nie żegnam, ale mówię: Do widzenia.

Wicehrabia wyszedł zostawiając Andrzeja prawie

bezprzytomnego z radości.

XII.

Wróciwszy do pałacu, wicehrabia wszedł do pokoju Herminii, która znużona nieco odbytą dnia poprzedniego przechadzką, wypoczywała na łóżku.

Rozmawiali o mnóstwie szczegółów, odnoszących się do mającego wkrótce nastąpić wyjazdu, do urządzenia się w Touraine, gdy przed odejściem pan de Grandlieu rzekł do niej:

— Ale, muszę ci też oznajmić pewną wiadomość. W przyszłym miesiącu, skoro zupełnie powrócisz do zdrowia, będziemy na wsi mieć gościa. Wybaczysz mi, iż bez twojego upoważnienia dopełniłem zaproszenie ku któremu myśl nagle mi przyszła. Andrzej de San-Remo, mając sobie zalecone świeże wiejskie powietrze, przyjedzie na kilka tygodni do Grandlieu.

Cień zawieszonych nad łóżkiem aksamitnych firanek, padając na twarz Herminii, nie dozwolił spostrzedz wicehrabiemu nagłej zmiany w jej obliczu.

Nic nie odpowiedziała na słowa męża.

— Milczysz? zapytał z obawą. Może źle uczyniłem ı idąc za głosem sympatji, jaką mam dla tego młodego człowieka? Miałożby jego do nas przybycie jaką przykrość ci sprawić?

— Zkąd ta myśl? pytała Herminia, słabym, przyciszonym głosem.

— Ztąd, iż obawiam się, że ten mój projekt niepodobać ci się może. Powiedz mi szczerze. Wszystko to jeszcze da się odmienić. W ostatnim razie zamiast do Touraine, pojedziemy do Włoch lub Nicei, i odwołanie mojego zaproszenia dałoby się tym sposobem usprawiedliwić tak, że pan de San-Remo aniby się domyślił przyczyny, nie chowając tem samem za to najmniejszej, urazy.

— Nie zmieniaj swoich projektów, wyszepnęła Herminia, aprobuję wszystkie, jakiekolwiek są one.

Uspokojony Armand wyszedł z pokoju żony, a młoda kobieta, pozostawszy sama przycisnęła obie ręce do silnie bijącego serca, wyszeptując cicho:

— Być przy nim... Spędzać razem dni całe... bezustannie... całe tygodnie... po tem szaleństwie, jakie popełniłam... po owych słowach, jakie wygłosił w gorączce?... Nie!.. tak dla niego jak dla mnie sytuacja do niezniesienia!.. Czyż on powinien był przyjąć zaproszenie Armanda?.. Nigdy... nigdy w świecie!.. Nie odmówił... lecz nie przyjedzie. Napisze do niego w razie potrzeby, prosić go będę, aby nie przyjeżdżał...

Nazajutrz pan de Grandlieu wraz z żoną wyjechał do Touraine.

W miesiąc później San-Remo otrzymał list, wszak nie od Herminii, lecz od wicehrabiego. List ten przypominał młodzieńcowi jego obietnicę, dodając, że był oczekiwanym.

Telegram Andrzeja odpowiedział:

„Wyjeżdżam pierwszym pociągiem. Serdeczne pozdrowienie“.

We dwie godziny potem jechał drogą żelazną.

Filip de Croix-Dieu odprowadził go na stację, i z uśmiechem tryumfu, usłyszawszy świst lokomotywy, zatarł ręce z radością, powtarzając jak ów „Rodin“ w „Żydzie wiecznym tułaczu“:

— Dalej! dalej!

*
* *

— Jerzy! oto moja ręka, zostanę twoją żoną, wyrzekła Fanny Lambert do Jerzego Tréjan, nazajutrz po dniu, gdzie artykuł, zamieszczony w jednym z dzienników francuskich, oznajmiał o przedwczesnej śmierci księcia Leona Aleosco. Artykuł ów lekko zmodyfikowany przez barona de Croix-Dieu znalazł powtórzenie w innych gazetach miejscowych.

Pamiętają zapewne czytelnicy okrzyk radości, jaki wybiegł z piersi artysty całującego piękne różowe szpony tej lwicy z wdziękiem sobie podane. Pamiętają zarówno, że owa pseudo-księżna dodała:

— Lecz nasze małżeństwo zawartem być zaraz nie może.

— Dla czego? zapytał.

— Zaledwie od tygodnia jestem wdową.

— Po mężu, który ci bronił używać swojego nazwiska?

— Mimo to był moim mężem w obec Boga. Powinnam ze względu na samą siebie stosować się do form towarzyskiej przyzwoitości i pozostawić wymagalny przeciąg czasu pomiędzy nowym związkiem a tamtym przez śmierć zerwanym. Jest to moim obowiązkiem nietylko wobec świata, lecz i moją wolą. Za trzy miesiące

nastąpią nasze zaślubiny.

Daremno Jerzy nalegał.

Fanny Lambert, jak wiemy, chciała zaślubić tylko sławnego artystę, potrzeba więc jej było trzech miesięcy czasu na wytworzenie swemu przyszłemu mężowi jakiejś pozornej, chociażby wziętości i chwały, przy pomocy barona de Croix-Dieu, znanemi nam już środkami.

Sposoby te, uwieńczonemi zostały pełnem powodzeniem.

Baron zakupił u kupca przy ulicy Lafitte pół tuzina obrazów roboty Jerzego Tréjan. Obrazy te podsuniętemi zostały do galerji wyprzedaży sławnych mistrzów pędzla, ściągającej do pałacu przy ulicy Drouot wszystkich amatorów i milionerów Paryża.

Pozostawione same sobie biedne te płótna, pomimo ich rzeczywistej wartości, byłyby mogły otrzymać bardzo skromną cenę, lecz Croix-Dieu przy pomocy dwóch zręcznych agentów, rozpoczął ogień bojowy na całej linji, i po zapalczywej pozornej walce, został ich nabywcą za tak bajecznie wysokie ceny, jakie jedynie osiągał Meisonier i Gerôme.

Zapłacił za nie gotówką a podstawiona przezeń osoba poszła nazajutrz do delegowanego ku prowadzeniu wyprzedaży komisarza aby zastawić je, i odebrać od niego wyłożone na kupno banknoty, które wróciły do pugilaresu, z jakiego wyszły wczoraj.

Rzecz ta tak dobrze i dyskretnie poprowadzoną została, iż nikt nie podejrzywał w tem najmniejszego kuglarstwa.\

Rozgłos otoczył nazwisko de Tréjan.

— Straciłem węch i wzrok wyraźnie, mówił sobie Vibert, ów kupiec obrazów, którego sylwetkę naszkicowaliśmy w pierwszej części tej książki. Nie powinienem był odmawiać zaliczki, żądanej przez Jerzego Tréjan i oznaczyć mu termin pięcioletni. Było tu sto tysięcy franków do zarobienia! Ach! jakim niedołęgą ja jestem!

Idąc za radą Filipa de Croix-Dieu, a zachęcany obok tego przez Fannę, Jerzy postanowił wykończyć i dać na przyszłą wystawę w Salonie portret tej młodej kobiety malowany w kostjumie bachantki, o czem, gdy posłyszano, tłumy ciekawych przybywały do jego pracowni, aby obejrzeć to płótno, które, jak wiemy, w rzeczy samej było cudem talentu i pracy.

Uniesieniom nie było granic. Współkoledzy młodego malarza, nie ukrywali zarówno swego uwielbienia. Kronikarze dzienników zajmowali się gorąco tem niewydanem jeszcze dziełem, głosząc naprzód, że obraz ten będzie ozdobą wystawy.

Niektórzy wróżyli medal artyście. Inni mówili o wstążeczce Legii honorowej.

Dzień ślubu został oznaczonym.

Kontrakt w przeddzień podpisano. Wyszczególniono w nim posag narzeczonej, pałac oszacowano, opisano klejnoty, zupełnie jak w protokole jubilera.

Jerzy nie przynosił nic więcej po nad talent i nazwisko.

Reguła rozdziału majątkowego zastrzeżoną została, a na żądanie Jerzego, jego małżonka miała sama administrować majątkiem.

Fanny Lambert pragnęła otoczyć blaskiem i

wystawnością dzień swoich zaślubin, nieszczęściem jednak znała tylko męzkie towarzystwa; stosunki zaś Tréjan'a nie sięgały po za świat artystyczny.

Croix-Dieu podwoił starania w tym razie. Rozesłał zaproszenia nie tylko swoim przyjaciołom, ale i przyjaciołom tychże przyjaciół.

W dziennikach ogłoszono parafię, dzień i godzinę obrzędu.

Skoro więc owa pseudo-księżna przybyła w wytwornym powozie, z herbami i koroną hrabiowską Tréjan'ow, zbity tłum ciekawych, pociągniony mniemaną sławą Jerzego i znaną pięknością Fanny, zapełniał nawę i oba boki kościoła.

Ów tłum z małemi wyjątkami nie przedstawiał się sympatycznie.

Nie wiedząc o historji wdowieństwa wynalezionej przez barona, różnie sądzono Jerzego. Niektórzy z obecnych szeptali sobie wzajem:

— Czarownie piękną jest dziś ta Fanny. Pojmuję, że ją uwielbia, a nawet że ją zaślubia.

Inni mówili:

— Gdyby on był bogatym, a ona ubogą, łatwo by się to wszystko dało wytłumaczyć, lecz jest przeciwnie. Ztąd wniosek...

W ogóle głosy opinii publicznej można było streścić w tych słowach:

— Ów artysta zaślubia ladacznicę zbogaconą przez księcia. Pędzel, plamił być może niekiedy farbą mu ręce, teraz miljony jej, błotem mu je skalają!

Oto pod jaką wróżbą Fanny Lambert została hrabiną de

Tréjan.

XIII.

Nazajutrz po wyjeździe Andrzeja do zamku de Grandlieu, baron udał się na bulwar świętego Michała, pod numer 127. Przeszedł liczne piętra dzielące go od „Sali fechtunku“ kapitana Grisolles, a doszedłszy szóstego, zatrzymał się i po cztery kroć we drzwi zapukał.

Drzwi się otwarły, a w nich ukazała się kędzierzawa głowa i cyniczne oblicze Grissolla, z jego obłudnem spojrzeniem.

— Ach! to ty baronie. Mów o co chodzi.

— Mieliśmy już z sobą poprzednio interes, do którego się wynająłeś, zaczął Croix-Dieu.

— A z którego pozostało mi nader przyjemne wspomnienie, przerwał Grisolles, mimo, że za ów cios zadany szpadą nie miałeś dla mnie dość słów podziękowania. Zresztą nie chowam za to do ciebie urazy. Powiedz mi, czy ów mały markiz, któremu na twój rozkaz przedziurawiłem skórę, przeszedł do krainy, z której się nie powraca więcej?

— Nie! on żyje, wyzdrowiał.

— Niemasz więc powodu uskarżać się na mnie. Jeżeli mu trzeba powtórnie krwi upuścić, jestem na twoje rozkazy. Do kroć tysięcy piorunów, jaka pięść, jakie uderzenie! Dotąd jeszcze czuję te dwie jego łapy na swojej twarzy! Przez dwa tygodnie nosiłem ich ślady. Czy o niego to

chodzi.

— Nie!

— O kogóż więc i o co?

— O operację tego samego rodzaju.

— I znowu o klakę do odebrania? Wiesz dobrze, że to byle czem nie jest.

— Gdyby było niczem nie płacono by ci za to.

— Nader logiczne twierdzenie. Któż ma być moim przeciwnikiem?

— Pewien dobry młodzieniec.

— Który mnie tak powita jak twój djabelski markiz?

— On? nigdy w świecie! Ten biedny chłopiec jest tak słabym, że podmuch wiatru wywrócićby go był w stanie.

— Zna on szermierkę?

— Naznaczysz go dziesięć razy z rzędu, nie dopuszczając do odbicia ciosu.

— Żądasz więc, aby go oszczędzać i tylko zadrasnąć z lekka?

— Przeciwnie, na dobre zabić go trzeba!

— Do djabła! Nienawidzisz więc, jak widzę, tego dobrego młodzieńca?

— Przeszkadza mi on w sprawie z pewną kobietą.

— Rozumiem.

— Podejmiesz się tego?

— Przeszkoda nie zachodzi z mej strony. Uprzedzam jednak, że to drogo będzie cię kosztowało. Podniosłem ceny spraw takich.

— Cóż za to żądasz? zapytał baron.

— To zależy...

— Od czego?

— Jestem człowiekiem zasad. Powiedz mi więc przedewszystkiem, jakiego to rodzaju jest sprawa?

— Potrzeba ci będzie wziąść pod rękę kobietę a odpowiedzieć zuchwale jej kochankowi, któremu rzecz prosta, nie podoba się ta twoja poufałość.

— Rozumiem. Będzie cię to kosztowało baronie sto luidorów.

— Do djabła, za drogo!

— Nie targujmy się. Wszelkie targi, to rzecz w złym tonie, zresztą byłoby to daremnem. Nie opuszczę ani jednego grosza. Wolno ci godzić się, albo nie godzić.

— Niech będzie więc sto luidorów, rzekł Croix-Dieu.

— W brzęczącej monecie, ma się rozumieć.

— Ufam ci w zupełności, odparł przybyły. Odbierzesz swoje pieniądze przed rozpoczęciem sprawy.

— Co do tego zgoda. Kiedyż działanie rozpocząć potrzeba? pytał Grisolles.

— Dziś, nie zwlekając.

— Godzina i miejsce?

— Godzina, kilka minut przed północą, miejsce tenże sam teatr, w którym staczałeś walkę z markizem San-Remo.

— Rzecz ciekawa, na honor! zawołał kapitan. Te obie więc sprawy mają łączność z sobą?

— Nie zupełnie. Tu wyzwanie nastąpi nie w teatralnym przysionku, lecz na bulwarze, po widowisku, przy wyjściu artystów.

— Chodzi tu może o jaką komedjantkę?

— Tak. Przypominasz sobie tę małą osóbkę debiutującą

w „Aspazjach?“

— Dinę Bluet?

— Ją, właśnie.

— A! ładna dziewczyna. W oko mi wpadła. Ta cała sprawa gładko mi pójdzie jak rękawiczka. Czy ją wziąć będzie trzeba pod rękę?

— Tak, weźmiesz ją.

— Doskonale! Odegram mą rolę najnaturalniej. A ów dobry młodzieniec?

— Nie mam potrzeby wskazywać ci go. Rzuci się sam na ciebie jak tygrys.

— To prawda. Będziesz przy tem obecny baronie?

— Będę... Będę wszystko widział, ale przezornie ukryję się w cieniu. Pojmujesz, iż muszę okazać się obcym całej tej sprawie, tem więcej, że ów dobry młodzieniec uważa mnie za swego przyjaciela.

— Jakiż to głupiec!

— Przybiegnie do mnie po dokonanej sprzeczce i zechce ażebym był jednym ze świadków w pojedynku.

— I przyjmiesz?

— Ma się rozumieć.

— A! jesteś baronie prawdziwym mężczyzną! Mało spotkać można tak dzielnych ludzi.

*
* *

Wieczorem kapitan Grisolles udał się na widowisko, i zasiadł w pierwszym rzędzie krzeseł tuż po za orkiestra.

Nigdy dotąd nie miał podobnie bezczelnej i zuchwałej miny. Nigdy końce jego długich, czarnych wąsów bardziej zwycięzko podkręconemi nie były.

Podczas antraktów, stał zwrócony plecami do rampy, w kapeluszu na bok włożonym, z wygiętym torsem, lornetując obecne na przedstawieniu kobiety.

Za podniesieniem kurtyny, skoro Dinah Bluet ukazała się na scenie, kapitan objawiał swe uwielbienie z tak wielką energią, i tak hałaśliwie oklaskiwał młodą, aktorkę, że zwrócił tem ogólną na siebie uwagę.

Oktawiusz Gavard wychylał się z loży, patrząc zaiskrzonym wzrokiem na tego fanatycznego klakiera, którego zapał prostaczy i niewłaściwe brawa kompromitowały Dinę.

Tu i ówdzie głośne: „Tst... tst...“ słyszeć się dało.

Garybaldczyk obróciwszy się, rzucił na spektatorów tak dzikie i wyzywające spojrzenie, że każdy dla uniknięcia zwady z podobnie gminną osobistością, ustąpić jej wolał.

Oktawiusz wściekał się z gniewu.

— Gdyby on zaczął świstać, powtarzał sobie, milczeć by mu kazano, ja sam bym to uczynił. Lecz w jaki sposób zabronić komuś oklaskiwania?

W antrakcie, między ostatnim obrazem, Grisolles udał się w oznaczone miejsce, a otrzymawszy z rąk barona dwa banknoty tysiąc frankowe, wrócił zadowolony do krzeseł przy orkiestrze.

Przy ukończeniu sztuki, Dinah Bluet została na scenie aż do zapuszczenia zasłony.

— Będzie potrzebowała z dziesięć minut czasu ażeby

zmienić ubranie, pomyślał awanturnik, zaczekać należy.

Stał w miejscu patrząc na płynący tłum publiczności, poczem wyszedł zapaliwszy cygaro, a stanąwszy przy bocznych drzwiach, zdziwił się nie dostrzegłszy tu nikogo.

— Gdzież jest ów dobry młodzieniec? zapytał siebie. Miałżeby pozwalać swojej kochance wychodzić dziś samej? Tem gorzej dla barona, jeżeli sprawa do skutku nie przyjdzie. Nie z mojej winy. Stanąłem na stanowisku. Nie zwraca się raz otrzymanych pieniędzy! Do kroć piorunów pięknie byłoby, gdyby ta mała olśniona, oczarowana moją urodą, w nieobecności owego dobrego młodzieńca przyjęła me serce i rękę. Zyskać pieniądze i ową piękną, to zysk nie lada!

Podczas gdy mówił to sobie, kilka minut upłynęło. Drobny deszcz zaczął padać. Zegary wydzwaniały północ. Widowiska wszędzie się pokończyły. Na wilgotnych chodnikach asfaltowych, z rzadka dostrzedz było można jakiegoś opóźnionego przechodnia spieszącego do domu.

— Na pewno ów dobry młodzieniec nie przyjdzie, wymruknął Grisolles z zadowoleniem. Byłby już tu, gdyby miał przybyć.

Oktawiusz jednak znajdował się niedaleko.

Posłuszny żądaniu swej młodej przyjaciółki, pragnącej jak najmniej zwracać uwagi koleżanek, oczekiwał na nią co wieczór w powozie, na bulwarze, wprost bocznych drzwi teatralnych. Dziewczę przychodziło do niego i odwoził ją do mieszkania.

Po kilku sekundach Dinah wyszła nareszcie.

Spojrzała w około siebie, a dostrzegłszy chodnik

deszczem zmoczony, uniosła zręcznie brzeg sukni, i nie otwierając nawet parasola, chciała przejść w poprzek ulicę, aby się dostać na bulwar.

Grisolles zastąpił jej drogę.

— O! piękne dziecię, nie tak prędko, wołał zatrzymaj się proszę. Ten, na którego oczekujesz, nie przybył, ja jestem gotów zastąpić go z korzyścią jak sądzę.

Dinah zdziwiona, lecz dotąd jeszcze spokojna, wierząc w jakąś nastąpioną pomyłkę, wstecz się cofnęła.

— Pan się mylisz, odpowiedziała, nie znam pana wcale. Pozwól mi przejść proszę.

— Uważasz mnie więc za głupca? odparł śmiejąc się Grisolles. Ja miałbym ci uciec pozwolić? nigdy w życiu! Znam panią doskonale panno Dino, czego dowodem są moje gorące dla ciebie oklaski. Musiałaś przecie mnie zauważyć podczas przedstawienia? Siedziałem w pierwszym rzędzie krzeseł, za orkiestrą i biłem brawo, że omal nie popękały mi ręce. Należy odwzajemnić ów hołd z mej strony. Zabieram cię z sobą, ofiaruję ci fiakra oraz kolacyjkę z najdelikatniejszych, przysmaków złożoną, z szampanem i słodyczami. Ja za to wszystko zapłacę. Nie obawiaj się.

— Odejdź pan! zawołało dziewczę ogarnięte obawą. Powtarzam że chcę przejść.

— Głupstwo! zawołał Garybaldczyk wybuchając śmiechem. Nie mnie to brać mój ptaszku na podobną wędkę! Znam ja się na tem, mając rozległe stosunki z kobietami. Byłabyś chyba pierwszą z dziewcząt, która się mnie obawiasz, a to nieprawdopodobne! Jedźmy więc. Otóż

właśnie i fiakr nadjeżdża. Opróżniony, widocznie los nam sprzyja. Hej! woźnico! wołał podjedz tu ze swoją budą!

Chwycił pod rękę Dinę, a przytrzymując ją silnie, usiłował dociągnąć ku stojącemu fiakrowi.

Biedne dziewczę obawiało się wywołania skandalu, obawiało nadewszystko narażenia na zwadę Oktawiusza. Wyrywała się więc w milczeniu przez kilka sekund. Cóż jednak mogła poradzić przeciw brutalnej sile napastnika? Zrozumiawszy to, postanowiła wołać o pomoc.

— Ratuj mnie Oktawiuszu! krzyknęła rozpaczliwie.

— Mówię ci, że nieobecnym jest twój kochanek, daremno go przyzywasz, odparł śmiejąc się Grisolles. Zabiorę cię z sobą, wbrew twojej woli.

Głos Diny przyzywającej ratunku, uderzył w serce Gavard'a.

Wyskoczył z powozu, w mgnieniu oka przebył dzielącą go przestrzeń, i wściekłość go ogarnęła gdy ujrzał swą ukochaną pomimo jej oporu uprowadzaną przez mężczyznę o długich czarnych wąsach, jaki przez cały ciąg widowiska tak go irytował swemi hałaśliwemi oklaskami.

— Ha! zawołał rzucając się na Grisolla, jeszcze ów błazen?!.. Podły nędzniku, jak śmiesz napastować tę kobietę? Ty zwierzę brudne, poważasz się dotykać Diny? Otóż wymierzam ci naukę jakiej potrzebujesz nikczemny!

I trzymaną w ręku giętką elegancką laskę podniósł na Garybaldczyka.

Ręka ta jednak nie opadła.

Grisolles, który jak wiemy był biegłym w szermierce, spostrzegłszy gest Oktawiusza, wypuścił Dinę. Lewą ręką

pochwyciwszy pięść młodzieńca, ścisnął ją, jak w kleszczach. Prawą zaś wyrwał podniesioną laskę, której złamane bólem palce Gavard'a utrzymać nie były w stanie. Skruszywszy ją na dwoje, odrzucił kawałki.

— Ot! tak się robi! rzekł śmiejąc się głośno. Skwitowaliśmy się, mój piękny paniczu. Gdybyś mnie był dotknął, zabiłbym cię na miejscu!

Oktawiusz nie posiadał się z wściekłości.

— Ha! ja cię nauczę! wołał, nie ujdzie ci to bezkarnie!

I chciał skoczyć na Grisoll'a aby go spoliczkować.

Dinah rzuciła się pomiędzy nich, a otaczając drżącemi rękoma swego przyjaciela szeptała:

— Na imię nieba Oktawiuszu, przez miłosierdzie nademną, odejdź od tego człowieka. Nie jest on godzien twojego gniewu. On zasługuje tylko na pogardę!

— Znieważył ciebie! ukarać go winienem, wołał przyszły spadkobierca milionów, daremnie chcąc się uwolnić z uścisków drobnych rączek jakie go otaczały Jest to jakiś łotr nikczemny!

— Dość tych wyrazów, moja ty tekturowa lalko! zahuczał głośno Grisolles. Uderzenie laską znaczy tyle co spoliczkowanie. Uważam to za cios otrzymany z twej strony. Oto moja karta wizytowa, czekam na twoją.

Sprawa nagle zwrot inny przybrała. Nie było teraz nowy o walce na pięści, ale o pojedynku. Oktawiusz się uspokoił.

— Wolę to, odrzekł, chwytając kartę Garybaldczyka a podając mu swoją.

— Moi świadkowie przyjdą do pana jutro o dziewiątej, mówił Grisolles.

— Moi, oczekiwać ich będą, odparł młodzieniec.

— Dobranoc moja miłości! mówił Grisolles zwracając się ku Dinie. Jutro już śmiać się nie będziemy. Będziesz potrzebowała zapewne wkrótce pocieszyciela. Pomyśl więc o mnie.

I wybuchnąwszy śmiechem po wygłoszeniu tego wstrętnego żartu, nasunął na prawe ucho kapelusz, zapalił zgaśnięte cygaro, i zbliżył się do fiakra, przywołanego przed kilkoma minutami.

Oczekiwał nań tam przy drzwiczkach mężczyzna wysokiego wzrostu, z twarzą ukrytą do połowy podniesionym kołnierzem paltota.

— Na kogo pan czekasz? zapytał Grisolles.

— Na ciebie kapitanie.

— Ach! to ty baronie. Widziałeś co zaszło?

— Wszystko widziałem.

— Farsa odegrana z twojem zadowoleniem, jak sądzę, a także i z mojem. Znalazłem sposób uniknięcia policzka.

— Winszuję ci twojej zręczności. Rzecz tę mistrzowsko poprowadziłeś! A teraz powiedz mi o której godzinie poślesz swych świadków do tego młodzieńca?

— O dziewiątej z rana, punktualnie. Mniemam iż nie znajdujesz przeszkody ażeby spotkanie jutro z rana nastąpiło?

— Żadnej, a nawet bardzo jestem z tego zadowolony. Nienawidzę zwłoki i odkładania spraw ważnych. Udziel swym świadkom potrzebne objaśnienia. Jeżeli będę, jak to przypuszczam jednym ze świadków tego młodego człowieka, wszystko pójdzie dobrze. Jesteś znieważonym,

służy ci prawo wyboru broni, wybierasz więc szpadę, nieprawdaż?

— Naturalnie.

— Nadewszystko nie oszczędzaj go, proszę.

— Bądź spokojnym.

— Odchodzę. Ów młodzieniec przybędzie do mnie napewno za jakie pół godziny, potrzeba ażeby zastał mnie w domu.

Croix-Dieu podszedłszy do swego powozu oczekującego nań o sto kroków dalej, pojechał w kierunku ulicy Saint-Lazare.

W czasie powyższej rozmowy obu tych łotrów, Oktawiusz prowadził do powozu chwiejącą się ze wzruszenia i przestrachu Dinę, a dopomógłszy jej wsiąść, odwiózł ją do jej skromnego mieszkania.

Nerwowe drżenie wstrząsało biednem dziewczęciem; rzewne łzy spływały na jej policzki; Trzymała w obu swych dłoniach ręce swojego przyjaciela i ściskała je konwulsyjnie.

— Dino, ukochane me dziecię! szeptał młodzieniec; czego się tak obawiasz i płaczesz? Odrzuć ten smutek. Przelękłaś się, rzecz naturalna, teraz jednakże powinnaś się uspokoić, wszak widzisz, że wszystko załatwionem zostało.

Głośne łkanie wydobyło się z piersi dziewczyny.

— Załatwione, powtórzyła złamanym głosem, uważasz więc to za rzecz skończoną?

— Bez wątpienia! Odszedł ów błazen, któremu zapłaciłem jak należy za jego niecne postąpienie, i nigdy już więcej, nigdy o nim nie usłyszysz.

— Ach! Oktawiuszu, wszak jutro masz się pojedynkować, zawołała wybuchając płaczem.

Młodzieniec udał zdziwienie.

— Pojedynkować? zawołał, co za myśl! Zkąd możesz przypuszczać, ażebym ja się bił z takim nędznikiem?

— Widziałam, i dobrze słyszałam. On ci dał swoją kartę i zażądał twojej. Jego świadkowie przyjdą do ciebie jutro z rana.

— I cóż to znaczy? Nic, głupstwo to wszystko!

— To znaczy, że bić się będziesz!

— Ależ nigdy w świecie! Nie ma dnia aby po wyniknionej sprzeczce nie wymieniano kart pomiędzy sobą, a mimo to nie pojedynkują się, nie biją. Przedewszystkiem przedstawże sobie drogie ukochane dziecię, że ludzie tego jak on rodzaju lubią udawać bohaterów. Słysząc ich, zdawałoby się, że rozrąbią w szczątki pułk, cały! Umyślnie to czynią dla blagi. Dają jakąś tam podstawioną kartę, a żadnych potem świadków nie przysyłają wcale.

— Ten przyśle swoich, jestem tego pewną.

— Nie wierzę temu. A gdybym nawet w tym razie się mylił, świadkowie ustanowieni są dla polubownego załatwienia spraw takich.

— Czy jednak będziesz mógł w ten sposób i tę załatwić?

— Dla czego nie? Załatwię na pewno, a raczej dozwolę aby załatwioną została.

— Ten człowiek ciebie wcale nie obraził, mówiła dalej Dinah, mnie tylko napastować zaczął brutalnemi swemi grzecznościami.

Na te słowa uczuło dziewczę jak ręka Oktawiusza w jej

dłoni zadrżała.

— Groziłeś mu, podniosłeś na niego swą laskę, mówiła dalej.

— Tak, ale go nie uderzyłem, przerwał młodzieniec drżącym z lekka głosem.

— Ma prawo żądać od ciebie usprawiedliwienia a nawet przeproszenia. Czyliż to zrobisz?

Oktawiusz chciał odpowiedzieć potwierdzająco, mimo jednakże gorącej chęci uspokojenia dziewczyny, uczuł jak gdyby zraniony ptak zatrzepotał się w głębi jego serca, a ta boleść wraz z oburzeniem złamała jego wolę.

— Ja usprawiedliwiać się? zawołał, usprawiedliwiać, przepraszać nędznika, który znieważył moją ukochaną Dinę, moją jedyną miłość! Nie! nigdy w świecie! Gdybym był zdolnym do podobnej nikczemności, jakże pogardzałbym sobą samym, i ty natenczas miałabyś zupełne prawo odtrącić mnie, jak ostatniego z hultajów! Dziewczę wybuchnęło łkaniem; przez kilka chwil przemówić nie była w stanie.

— Ach! widzisz wyjąknęła, nareszcie, widzisz, że pojedynkować się będziesz.

— A więc, tak! będę się bił za ciebie, jestem z tego szczęśliwy i dumny! Chwilę owego pojedynku policzę między najpiękniejsze dni mojego życia. Nie obawiaj się Dino. Bóg nas nie rozdzieli! Nie idę walczyć ukochane dziecię, ale zwyciężyć.

— On cię zabije! jęczało dziewczę, zabije! I nie zobaczę cię więcej!

Tu westchnąwszy głęboko, wsparła głowę na ramieniu

Oktawiusza.

Powóz zatrzymał się przed domem na przedmieściu, du Temple.

— Do licha! szepnął wysiadając Gavard, zemdlała.

Zadzwonił do bramy, a wróciwszy do powozu wziął na ręce wiotką postać dziewczęcia i z podwojoną siłą nerwowem wzburzeniem, przebiegł liczne piętra dzielące go od znanego nam pokoiku. Ułożywszy Dinę na łóżku, pukał do drzwi mieszkania właścicielki.

— Co się stało? pytała taż przybiegając.

— Biedne to dziewczę zemdlało, odrzekł, mam nadzieję iż pani nie odmówisz starań ze swej strony aby ją przyprowadzić do przytomności.

— Bądź pan spokojnym, odpowiedziała wdowa. Pokochałam jak matka to dziecię. Wszelki ratunek udzielonym jej zostanie. Zkąd jednak przyszło owo omdlenie?

— Wskutek gwałtownego przestrachu i wzruszenia. Znieważono ją przy wyjściu z teatru. Wyzwałem owego nędznika. Jutro mam pojedynek. To ją tak strasznie przeraziło.

— Wielkie nieba! wołała wdowa wznosząc w górę ręce. Pojedynek! jakież nieszczęście! mogą pana zabić!

— Mówisz pani toż samo co ona, wyrzekł uśmiechając się Oktawiusz. Ludzie codziennie prawie pojedynkują się, a rzadko kiedy ktoś zabitym zostaje. Lecz blisko już pierwsza nad ranem, muszę biegnąć zamówić świadków. Polecam sercu pani to ukochane dziewczę. Udziel jej wszelkiej opieki, a skoro odzyska przytomność, staraj się pani ją

uspokoić. Będzie to dobry uczynek z twej strony.

Tu pochyliwszy się nad łóżkiem, dotknął ustami bladego czoła dziewczyny i wybiegł spiesząc jak wicher po schodach.

Wsiadłszy do powozu, kazał jechać do barona, de Croix-Dieu na ulicę Saint-Lazare, rozkazując pędzić co sił, a dobywszy z kieszeni wizytową kartę przeciwnika, czytał przy świetle latarni:

„Kapitan Grisolles. Były oficer ordynans Garibaldiego, Bulwar świętego Michała Nr. 127.

— Grisolles, kapitan Grisolles, powtarzał Oktawiusz; zdaje mi się jakobym znał to nazwisko. Lecz gdzie, zkąd? niewiem. Przypomnieć sobie nie mogę.

Powóz zatrzymał się przed domem, w chwili, gdy pierwszą nad ranem wydzwaniał zegar na kościelnej wieży.

— Pan baron jest w domu? pytał Oktawiusz odźwiernego.

— Wrócił przed pół godziną, i zdaje się że jeszcze nie śpi.

Młodzieniec wbiegł do antresoli, gdzie czuwający lokaj wprowadził go do salonu.

Filip de Croix-Dieu wyszedł na jego spotkanie.

— Wizyta o tak spóźnionej godzinie przekonywa mnie, iż coś nadzwyczajnego zajść musiało, rzekł podając rękę przybyłemu. Cóż to takiego powiedz mi proszę.

— Pojedynek, odparł Gavard.

— Może być niczem, lub bardzo ważnym, to zależy od przeciwnika.

— Oto jego nazwisko, rzekł Oktawiusz.

Croix-Dieu spojrzał na kartę.

— Ach! zawołał, to dziwne.

— Słyszałem gdzieś, coś, o tym jegomości, wyrzekł młodzieniec, lecz gdzie, przypomnieć sobie nie mogę. Znasz go baronie?

— A! wiem już, wiem! Mówią że to zapalczywy rębacz ten Grisolles?

— Tak, niestety! rzekł Croix-Dieu.

— Wszystko mi jedno. Ufam, że nie zginę. Zgadujesz teraz baronie co mnie sprowadza do ciebie?

— Chcesz abym był jednym z twych świadków? Nieodwołalnie. Przyjmuję, naprzód przyjmuję. A teraz powiedz mi czy nie możnaby jakoś załagodzić tej sprawy?

— Nigdy w świecie!

— O cóż poszło? Jaki powód do zwady?

Oktawiusz w krótkości opowiedział to, co baron, znał lepiej od niego.

— Osądź więc, dodał, wszelkie układy są tu niemożebnemi, trzeba stanąć do walki.

— Przyznaję to niestety! Ach! nierozważna młodości! dodał Croix-Dieu poważnie. Wszakże cię przestrzegałem, przypomnij sobie, że z tej twojej znajomości z ową komedjantką, wyniknąć mogą różnego rodzaju przykre dla ciebie następstwa. Wierzyć mi nie chciałeś.

— Proszę cię baronie, nie obwiniaj Diny. Uwielbiam ją! Przykrość mi tem czynisz.

— Że ją uwielbiasz, aż nadto dobrze wiem o tem, lecz dzięki jej, masz przed sobą pojedynek.

— Czyż to jej wina?

— Nie, bezwątpienia. Gdybyś był jednak nie porzucał Reginy Grandchamps, nie potrzebowałbyś bić się jutro. Zresztą, co się stało, już się nie zmieni. Kogoż zamierzasz wziąść na drugiego świadka?

— Znam na nieszczęście tylko młodych lekkomyślnych ludzi: nie śmiałbym ci proponować żadnego z nich na partnera.

— Napiszę więc do pana de Streny, rzekł Croix-Dieu. On mieszka obok ciebie, na bulwarze Magdaleny. Po otrzymaniu tego listu, stawi się na wezwanie, jestem pewny, i przybędziemy oba do ciebie na pięć minut przed świadkami kapitana.

— Kochany baronie! wołał Oktawiusz, jakże ci mam dziękować?

— Nie dziękuj, to będzie najlepiej. Jak dawno, powiedz mi, nie miałeś broni w użyciu?

— Od dość dawnego czasu. Nie byłem nigdy herkulesem, wiesz dobrze. Szermierka mocno mnie utrudzała. Po pięciu minutach walki czułem jak gdybym miał połamane stawy. Będę musiał przed tem wypić butelkę dobrego wina.

— Czy czujesz przynajmniej w sobie jakąkolwiek bądź siłę?

— Tak, trochę. Mój nauczyciel fechtunku znajdował we mnie zdolności zdumiewające, mówił, że przy usilnej pracy, mógłbym zostać wprawnym szermierzem. Wszakże, jak wiesz, baronie, zaniedbałem się w pracy, zkąd rzecz naturalna zostałem na tym punkcie, gdzie byłem.

— Mam u siebie florety, maski, rękawice, możebyś

zechciał spróbować fechtunku, pytał Croix-Dieu.

— Na co, do czego? trudziłbym się najniepotrzebniej w świecie. Nie zrobisz ze mnie szermierza w ciągu dziesięciu minut. Nie miałbyś nawet czasu wskazać mi zaczepnego ciosu. Bądź mimo to spokojnym, baronie. Stanąwszy na placu walki, dobrze zachowywać się będę. Przybiorę bohaterską minę, a gdyby wypadkiem cios śmiertelny we mnie ugodził, polegnę jak na dzielnego przystało! Będziesz ze mnie zadowolonym! Teraz wracam do domu, ażeby zasnąć na parę godzin i przyprowadzić tym sposobem do równowagi moje nerwy. Zresztą potrzebuję coś także napisać.

Croix-Dieu nakreślił szybko kilka wierszy na ćwiartce papieru, którą zabrawszy z sobą Oktawiusz wrócił do swego mieszkania.

Dominik na niego oczekiwał.

— Ach! panie, wołał poczciwy sługa, obawiać się poczynałem, że pan już nie powrócisz tej nocy, i mocno mnie to trapiło. Odkąd pan w domu więcej przebywasz, wyglądasz tak dobrze, iż przyjemnie jest patrzeć na pana.

— Nie troszcz się mój dobry, odrzekł młodzieniec, nie powrócę już do tego idjotycznego sposobu życia, jakie niegdyś prowadziłem. Nie! nigdy! Bądź o to spokojnym. Powiedz mi jednak, czy apartament po zmarłym niegdyś mym ojcu pozostał w takim stanie, jak był nienaruszonym.

— Tak jest, paniczu. Od śmierci nieboszczyka nic tam nie zmieniono, a matka pańska nigdy tam odtąd nie wchodziła.

— Papa za życia musiał posiadać kodeks, nieprawdaż?

— Kodeks? powtórzył służący.

— No... kodeks... Zbiór praw, tom gruby, oprawny, z różnokolorowemi brzegami i podpisami.

— Tak panie, wiem że on posiadał taką książkę, a nawet radził się jej często. Widzę ją, jak gdyby przed sobą. Wiem nawet gdzie ona leży.

— Idź więc poszukaj jej, i przynieś do mego pokoju.

W pięć minut potem służący przyniósł książkę żądaną.

— Dziękuję, rzekł Oktawiusz, teraz możesz pójść spać, wysłuchaj jednakże przedtem mojego polecenia. Jutro z rana, a raczej dziś rano, przed dziewiątą godziną, przyjdzie tu do mnie baron de Croix-Dieu, wraz z jednym ze swych przyjaciół.

— Na śniadanie? pytał Dominik.

— Nie na śniadanie, odrzekł uśmiechając się młodzieniec, ale to wszystko jedno. Skoro przybędą, wprowadzisz ich do mnie natychmiast. W kilka minut później przybędą dwaj inni panowie, jakich nie znasz wcale. Nie daj im czekać i wprowadź ich bezzwłocznie do małego salonu.

— Boże, wielki Boże! ależ to są szczegóły przedwstępne do pojedynku! wołał służący bledniejąc. Panie Oktawiszu, najdroższy paniczu, miałżebyś pan zamiar bić się z kim?

Gavard wzruszył ramionami.

— Chodzi tu w rzeczy samej o pojedynek, odpowiedział, a świadkowie obu przeciwników oznaczyli sobie schadzkę tu u mnie, nie ja to jednak mam stanąć do spotkania. Znasz pana Lorimey, jednego z moich przyjaciół, o niego właśnie to chodzi. On ma się pojedynkować!

— A! to szczęście! zawołał Dominik, oddychając swobodnie, tamten przynajmniej nie jest moim paniczem, nie jest spadkobiercą sześciu milionów, niech się bije ile tylko mu się podoba!

Tu odszedł uspokojony.

Oktawiusz, zostawszy sam, otworzył kodeks i zaczął przeglądać w nim dział testamentowy z większą uwagą niż kiedykolwiek w swem życiu to czynił.

Skończywszy owo przedwstępne badanie, wziął wielki arkusz papieru, i zwolna, starannie, pięknem, czytelnem pismem kreślił następne wyrazy, zatrzymując się co chwila dla zajrzenia w kodeks.

„Dziś w dniu dwudziestym drugim kwietnia, tysiąc osiemset siedmdziesiątego drugiego roku, o godzinie drugiej nad ranem, piszę własnoręcznie, kładę datę, i podpisuję ten testament, ażeby jako autentyczny nie podlegał żadnemu zaprzeczeniu, korzystając tym sposobem z przywilejów, zawartych w artykule 970, w dziale I-ym, rozdziale V-ym, tytule II-gim kodeksu cywilnego.

Na mocy artykułu 904, w rozdziale II-im w tymże samym tytule stanowiącego: „Małoletni doszedłszy lat szesnastu wieku, nie może rozporządzać majątkiem, jak tylko testamentowo, i tylko do wysokości połowy posiadanego mienia, jakiem prawo rozporządzać mu pozwala.“

Mam prawo pomimo nieskończonych lat dwudziestu jeden rozporządzić połową zostawionego mi majątku przez zmarłego mojego ojca, niegdyś Antoniego Gavard, fabrykanta rumu w Villette.

Majątek ów, umieszczony w akcjach Banku francuskiego, i innych wartościowych papierach, dosięga, sumy sześciu milionów.

Przekazuję przeto z owych sześciu milionów, trzy miliony, mej ukochanej przyjaciółce Dinie Bluet, w chwili obecnej aktorce teatralnej, a niechcąc ażeby jakakolwiekbądź wątpliwość lub podejrzenie padło na uczciwy zamiar pomienionego legatu, przysięgam na mój honor, że Dinah Bluet nigdy nie była i nie jest moją kochanką, lecz tylko przyjaciółką, życzliwą, serdeczną, przyjaciółką, siostrą prawdziwą dla mnie, nic więcej, oraz że wierzę w jej zacność i cnotę tak, jak wierzę w Boga!

Pomieniony mój zapis trzech miljonów czynię bez żadnych zastrzeżeń, ani jakichkolwiek warunków. Błagam wszelako moja ukochaną Dinę o opuszczenie teatru, skoro żyć przestanę: nie jest to wszelako nakazem z mej strony, lecz prośbą do niej z po za grobu.

Piszę pomieciony testament na kilka godzin przed pojedynkiem, w jakim zabitym być mogę. Gdybym poległ w owern spotkaniu, proszę tych wszystkich, którzy mnie kochali o niezapomnienie mnie zbyt prędko.

Pozostawiam nieco długów, których cyfra stosunkowo nie jest zbyt wielką. Wykazu szczegółowego tychże nie załączam, będąc pewnym, iż w razie mej śmierci wierzyciele po wypłacenie im należytości sami się zgłosić nie omieszkają. Pragnę, ażeby pomienione długi bez żadnych zaprzeczeń zaspokojonemi zostały; nie z zapisu jednak logowanego Dinie Bluet, ale z trzech miljonów dla matki pozostałych.

Byłem wielokroć razy przyczyną trosk mej matce. Żałuję tego, i proszę ją o przebaczenie; nie proszę jej jednak o wybaczenie mi mej śmierci, bo po niej, jestem pewien, że wkrótce się ona pocieszy

Oktawiusz Gravard“.

Młodzieniec odczytał z żywem wewnętrznem zadowoleniem akt przez siebie zredagowany, który prócz innych zalet posiadał jasność niezaprzeczoną.

Nacieszywszy się dowolnie swem dziełem, złożył arkusz na osiem części, wsunął go w kopertę, zapieczętował wielką pieczęcią z czarnego laku, i nakreślił na wierzchu tradycjonalne wyrazy: „Mój testament“.

— Zabiorę tę kopertę, rzekł, i przed pojedynkiem oddam baronowi de Croix-Dieu, tym sposobem mogę być pewnym, że ona nie zginie, gdybym poledz miał w tej walce.

Pomienione tyle naiwne postanowienie, dowodzi jak mało ufności pokładał biedny młodzieniec w swej matce.

Dokonawszy rzecz tyle ważną, jaka mu ciążyła na sercu, spokojny teraz o przyszłość swej Diny, położył się, i zasnął głęboko, dając ukojenie swym nerwom i wzmocnienie duszy.

Zbudziwszy się przed ósmą rano, wstał i zaledwie ubrać się zdołał, gdy wszedł Croix-Dieu wraz z panem de Strenv.

W kilka minut później zadźwięczał dzwonek w przedpokoju, i ukazał się we drzwiach Dominik, widocznie pomieszany.

— Panie Oktawiusza, rzekł z zakłopotaniem, przybyły dwie osoby, dwóch panów...

— Wszakże ci poleciłem, ażebyś ich wprowadził, skoro tylko wejdą, odparł młodzieniec.

— Lecz ci panowie mają tak podejrzane fizjonomie, a obok tego pytali się o obywatela Gavard, oto ich karty.

Tu Dominik podał swojemu panu dwie karty od gry, treflowego waleta i asa karowego, obie zatłuszczone, podarte.

Na odwrotnej stronie tych kart nakreślone były ręcznem pismem nazwiska:

„Gravat... Tiroux.“

— Wprowadź ich, zawołał Oktawiusz. Są to świadkowie byłego oficera Garibaldego, dodał, zwracając się do barona Croix-Dieu i pana de Streny. Zostawiam panów wraz z niemi.

I odszedł do sypialni w chwili, gdy się otwierały powtórnie drzwi małego salonu.

XIV.

Pan Gravat! pan Tiroux, wygłosił Dominik.

— Czy wyraz „obywatele“ gdybyś go dodał obok naszych nazwisk, skaleczył by ci język? wymruknął jeden z przybyłych, jacy obadwa nie są dla nas zupełnie obcymi, ponieważ towarzyszyli oni Grisollowi podczas jego pojedynku z Andrzejem San-Remo.

Gravat był mężczyzną wysokiego wzrostu, chudym,

łysym, z ponurą o długich wąsach fizjonomią.

Tiroux, mały, wyschnięty, z kędzierzawerni włosami, nosił siwiejącą brodę rozdzieloną na dwie połowy, jaka spadała mu na zatłuszczoną kamizelkę. Wysokie buty zachodzące na pantalony i spiczasty tyrolski kapelusz nadawały mu postać jakiegoś chciwego łupu starego bandyty.

Dwa te ubogie zbiedzone czarty, miały pozór podrogatkowych rzezimieszków, które to jednak zajęcie sądząc po ich wychudzonych postaciach, nie przynosiło im widocznie wiele korzyści.

Wzajemne porozumienie się świadków bardzo krótko trwało, i warunki spotkania wprędce ułożonemi zostały.

Croix-Dieu główny świadek Oktawiusza Gavard stwierdził, że Grisolles został znieważonym, a tem samem służyło mu prawo wyboru broni.

Postanowiono jednomyślnie, że pojedynek nastąpi tegoż dnia na szpady, w wyciętej części lasku Vincennes, tam, gdzie Garybaldczyk śmiertelnie zranił markiza San-Rémo. Spotkanie miało nastąpić punktualnie o jedenastej godzinie.

Dwaj równi sobie wartością koledzy i przyjaciele, odeszli zadowoleni, spiesząc się bardzo, ponieważ Grisolles przyobiecał im śniadanie w kawiarni.

Śniadanie, za taką przysługę? Jakież liche wynagrodzenie! Biedne ubogie dwa szatany, wiele im wybaczonem będzie, ponieważ wiele głodu widocznie cierpieli.

Skoro świadkowie Oktawiusza opowiedzieli mu wszystko, zaaprobował warunki.

— Każę zaprządz, rzekł, do powozu mej matki. Ona nigdzie zwykle nie wyjeżdża przed czwartą godziną, nie będzie więc nawet wiedziała, że powóz był branym z remizy. Przejeżdżając ulicą Auber’a, wstąpimy po zabranie doktora Bernier.

Na kilka minut przed jedenastą, lando zatrzymało się w lasku Vinceńskim, na trzydzieści kroków od miejsca oznaczonego.

Grisolles wraz z dwoma towarzyszami nie przybył jeszcze, lecz w głębi alei dawał się dostrzedz fiakr, pędzący z pośpiechem, którego woźnica biczem okładał konie.

— To oni, mruknął Croix-Dieu.

— Tu oto, w tem samem miejscu bił się, o ile pomnę, twój przyjaciel, baronie, markiz San-Rémo? wyrzekł Oktawiusz.

— Tak, tu, w posępny dzień Lutego. Wszystko w około było szare i smutne. Zimno było, śnieg spadał wielkiemi piatami na wilgotną ziemię. Można było sądzić, iż przygotowuje całun dla zmarłego. Jakaż różnica z dzisiejszą pogodą

— Tak, odparł uśmiechając się Gavard, jest to szczęśliwą dla mnie wróżbą, zaiste.

W rzeczy samej, w wilią dnia wieczór deszcz padał ale od rana wiosenne słońce ciepłe, pogodne, świeciło na błękicie bez chmur. Tu i ówdzie drobne kropelki błyszczały jak djamenty na rozkwitających fiołkach i gęstej zieloności krzewów. Jedynie tylko stare dęby nie rozwinęły się jeszcze.

Fiakr zbliżał się z pośpiechem. Potrzeba mu było paru

minut dla przybycia do celu.

Oktawiusz ujął pod rękę swego zdradliwego przyjaciela.

— Baronie! rzekł, okazywałeś mi zawsze tyle serdecznej życzliwości.

— I szczerej, dodał Filip Croix-Dieu.

— Liczyłem na to, czego dowodem, że chcę cię prosić jeszcze o ostatnią przysługę.

— Cokolwiekbądź jest, rozporządzaj mną według woli.

Gavard wyjął z kieszeni znaną nam kopertę.

— Weź to baronie, rzekł, podając ją panu Croix-Dieu, a gdyby mi sądzono było ledz w pojedynku, co jest prawdopodobnem, uczyń tak, ażeby moja wola uszanowaną została.

— Cóż jest w tej kopercie?

— Mój testament.

— Baron drgnął na te wyrazy i zmarszczył brwi pomimowolnie, wprędce jednakże zmusił się do uśmiechu.

— Jakaż ponura myśl cię owładnęła, mój drogi, wyszepnął.

— Może to tylko przezorność.

— Ależ rezultat spotkania nie będzie szkodliwym, jestem pewny!

— Kto wie, odparł młodzieniec. Bądź co bądź, zobowiązujesz się baronie dopełnić, co jest nakreślonem w testamencie — Ma się rozumieć, skoro tak życzysz. Upewniam cię jednak, że te twoje rozporządzenia nie mają żadnej wartości. Są one niczem wobec prawa.

— Tak sądzisz. A dla czego

— Ponieważ będąc małoletnim, niczem rozrządzać nie

możesz.

— Otóż to właśnie mylisz się baronie! zawołał tryumfująco Gavard. Służy mi prawo rozporządzania połową mego majątku, to znaczy trzema milionami. O! na tym punkcie jestem swego pewny! Pracowałem przez większą część nocy, radziłem się „Kodeksu cywilnego.“ Tytuł II-gi. rozdział II-gi, artykuł 904. A co? nie spodziewałeś się, ażebym był tak dobrze z prawem obeznany!

— I te trzy miljony przeznaczasz? pytał Croix-Dieu głosem, w którym nie zdołał pokryć wzburzenia.

— Tak, przeznaczam, i daję, no, zgadnij komu?

— Dinie Bluet być może?

— Nie inaczej! Biedne ukochane dziewczę! Przynajmniej będzie bogatą, uchronię ją od nędzy! Znam ja ją dobrze. Te miliony nie zdołają powstrzymać jej łez, ani ukoić ciężkiej głębokiej boleści, gdyby sprawa na złe dla mnie się obróciła. To nie Regina Grandchamps, baronie. Nie! Dinah mnie kocha dla mnie samego!

— Twoja wola uszanowaną zostanie, wyrzekł Croix-Dieu, chowając do portfelu kopertę. A raczej, dodał, spełnioną ona będzie. Wszak nie otrzymasz najlżejszego nawet zadraśnięcia, jestem przekonany. Lecz oto twój przeciwnik ze świadkami. W ciągu dziesięciu minut wszystko się rozstrzygnie.

Grisolles wysiadł z fiakra z godnemi swemi towarzyszami Gravatem i Tiroux; który trzymał pod ramieniem szpady, przeznaczone do walki, owinięte suknem zielonem.

Oktawiusz przyniósł także swoją.

— Ha! panno Dino Bluet, myślał Croix-Dieu oddaliwszy się nieco. Trzy miljony dla ciebie, szczęściem, że niedostałaś ich jeszcze!

Potrzeba było tylko obecnie uregulować ostatnie szczegóły spotkania, to jest wyrzucić losem wybór szpad i gruntu.

Podczas gdy pan de Streny rzucał w powietrze sztukę złota z popiersiem Napoleona, a Gravat krzyczał: Żądamy jego oblicza! Filip de Croix-Dieu zbliżył się niepostrzeżenie do Grisolla i szepnął mu w ucho:

— Otrzymałeś sto luidorów, a więc, jeśli zabijesz na miejscu tego młodego człowieka, jeśli on padnie nie wymówiwszy jednego słowa, w pięć minut po ukończonej walce, dostaniesz jeszcze odemnie pięćdziesiąt luidorów!

— Wystarcza, odparł lakonicznie Garybaldczyk.

Gravat podniósł z ziemi rzuconą sztukę złota.

— Oblicze! patrzajcie, zawołał.

Ów biedak pałał gorącą chęcią wsunięcia tej pięknej, błyszczącej sztuki złota do kieszeni, trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, nie śmiał tego uczynić.

— Użyte zostaną moje szpady, i wybieram to miejsce, zawołał Grisolles, zdejmując ubranie.

Oktawiusz za jego przykładem zdjął tużurek i kamizelkę.

— Daj mi swój zegarek, rzekł baron, widząc iż młodzieniec trzyma w palcach chronometr.

— Nie. odparł Gavard, mam powód dla którego z nim się nie rozłączę.

I przyłożył do ust luidor, oddany sobie przez Dinę Bluet,

który wciąż nosił na łańcuszku w rodzaju breloka. Wsunął zegarek w kieszeń pantalonów, i uczepił haczyk łańcuszka w dziurkę z prawej strony szelki.

Dwaj przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie ze szpadami w rękach.

— Dalej panowie! zawołał baron.

Przedstawiając w pierwszej części tej książki szczegóły pojedynku Andrzeja San-Rémo, zaznaczyliśmy groźną wyższość Grisoll'a w robieniu bronią, nad jego przeciwnikiem, wyższość, która postrzedz się dała od pierwszych chwil walki.

Otóż potrzeba nam przyznać, że markiz San-Rémo był szermierzem pierwszorzędnym w obec Oktawiusza Gavard; przynajmniej bronić się umiał, podczas gdy ten ostatni nie bronił się wcale.

Brakowało mu zimnej krwi, aby skorzystał z niektórych zasad szermierki, jakie w pamięci mu pozostały. Lekcje pobierane przezeń w sali fechtunku, wirowały pomieszane w jego mózgu.

Nie obawiał się, zapewnić możemy, ów odrodzony hulaka, blask jednak słońca, padający na ostrza szpad oślepiał go, szczęk ścierającej się stali o stal, oszałamiał. Nic sobie już teraz nie przypominając, wywijał szpadą na los szczęścia z silnem postanowieniem zadraśnięcia swojego przeciwnika, bez użycia jednak sposobów, jakie potrzeba było zastosować ku temu.

— Do kroć piorunów! myślał Grisolles, nie chciałbym okradać barona, lecz ten młodzieniec bardzo licho się broni, przysięgam aż żal bierze nacierać na niego!

I, objęty rodzajem wstydu ów garybaldczyk, chciał, jeżeli nie pozyskać należycie, to przynajmniej upozorować pozyskanie zapłaconych sobie pieniędzy, przedłużając walkę umyślnie, którą zakończyć mógł, gdyby mu się podobało za jednym stanowczym ciosem.

Igra! z Oktawiuszem Gavard, jak kot igra z myszą, chcąc ją oszołomić pod swemi szponami, zanim zdruzgocze ją, życiem drgającą.

Biedny młodzieniec utrwalał się w złudzeniu, że kapitan dosięgnąć go nie może i myślał w najlepszej wierze:

— Doprawdy, rzecz zdumiewająca! Jestem silniejszy, niż sam o tem sądziłem!

Nadeszła chwila, w której Grisolles dostrzegł oznakę niecierpliwości na zmarszczonej ponuro twarzy barona, co wytłumaczył sobie:

— Uważa, że za długo się bawię. Oczekuje ciosu. Skończmy więc nareszcie.

Skończyć było łatwą dlań rzeczą.

Wprawny ów rębacz odciął żelazem chwiejne uderzenie przeciwnika, jakie tak mało mu zagrażało, i całą siłą wymierzył cios w prawą stronę ciała młodzieńca, cios, który powinien był na wskroś go przeszyć od razu.

Z wielkiem zdumieniem, jego szpada zamiast przejść przez ciało i muskuły, zgięła się na jakimś twardym Punkcie, jakby na stalowym pancerzu. Brakło mu zre- sztą czasu na wyjaśnienie tego zjawiska.

Podczas gdy usiłował wydobyć kończate ostrze swej broni, zatopione w luidora Diny Bluet, w ów tkliwy talizman miłości, jakie stal przez wpół zarysowała,

Oktawiusz broniąc się machinalnie, zatopił szpadę w piersiach Grisolla. jaka przeszła na wskroś pod ramieniem kapitanowi.

Garybaldczyk krzyknął chrapliwie, i wyrzuciwszy ustami kałużę krwi, upadł na ziemię.

— Ten człowiek umarł! rzekł doktor Bernier pochyliwszy się nad nim.

XV.

Widząc Grisolla na wznak upadającego, zalewającego krwią trawnik, z szeroko otwartemi oczyma, rękoma na krzyż założonemi, baron zbladł śmiertelnie.

Dwaj towarzysze garybaldczyka głucho mruknęli, troska była widoczną na ich fizjonomiach.

Croix-Dieu myślał o straconych sześciu milionach, Tiroux i Gravat o przepadłem śniadaniu.

Pomimo wszystko, ich smutek nie mógł porównać się z zawodem, jaki w chybionych zamiarach spotkał przyszłego małżonka pani Blanki Gavard.

Oktawiusz nie upojony bynajmniej tym tak niespodziewanem zwycięztwem, był owładniony więcej zdumieniem, niż pychą.

Jak niegdyś Dawid po zabiciu olbrzyma Goliata, nasz młodzieniec zdumiewał się patrząc na wywrócone swą ręką owo potężne ciało. Spoglądał spokojnie a nawet smutno, myśląc:

— Pomściłem Dinę!

Wiedziony jednak wrodzoną sobie szlachetnością dodawał:

— Zabiłem człowieka, a z pewnością ma ukochana Dinah nie pragnęła śmierci tego zuchwalca.

Co zaś do pana de Croix-Dieu, wewnętrzne jego wzburzenie nigdy długo nie trwało. Z jakiejkolwiek bądź spadł wysokości, podnosił się natychmiast. Silna jego ufność w samego siebie, nasuwała mu jednocześnie myśl blizkiego odwetu; odzyskiwał równowagę umysłu, a razem krew zimną.

I obecnie tak było.

Zbliżywszy się do Oktawiusza, uścisnął mu ręce z taką serdecznością, że najzręczniejszy obserwator cienia nieszczerości w tym uścisku dostrzedz by nie zdołał i rzekł głosem jakoby drgającym ojcowską tkliwością:

— Dzielnym się okazałeś, drogi mój chłopcze. Winszuję ci! Jestem dumnym z ciebie! a skoro się wszystko skończyło, i dobrze skończyło, dzięki niebu, pozwól mi sobie powiedzieć, że to widocznie jak gdyby jakiś cud działał; z takiem bowiem jak twoje niedoświadczeniem, nie pojmuję w jaki sposób mogłeś pokonać tak silnego przeciwnika? Nie wyobrażasz sobie jak drżałem o ciebie! Powiedz, czy nie zostałeś ranionym?

— Zdaje się że nie, odparł młodzieniec, odwzajemniając uściskiem uścisk barona, mimo to twierdzić nie mogę, czy mnie nie dosięgnął.

— Jakto? nierozumiem.

— W ostatniej chwili otrzymałem z ręki przeciwnika cios tak silny, żem zachwiał się cały. Było to coś, jakby

uderzenie, powstrzymane na jakimś twardym punkcie opornym. Jak gdyby ostrze kończatej laski dosięgnąwszy mnie skruszonem nagle zostało. Gdyby to ostrze szpady weszło mi w ciało, przecięło by mi płuca na dwoje!

— To dziwne! a w której części tak dosięgnionym zostałeś?

— Tu! rzekł Oktawiusz, przykładając rękę do prawej strony piersi. I jednocześnie wydał okrzyk zdumienia.

Jego palce napotkały złoty pieniądz, dany przez Dinę Bluet, i za dotknięciem stwierdziły, iż został on zgiętym na połowę.

— Co się stało? pytał Croix-Dieu.

— Ach! wykrzyknął z uniesieniem Gavard, przed chwila mówiłeś baronie o cudzie! Miałeś słuszność to mówiąc! Cud w rzeczy samej ocalił mi życie, tak! cud, i siła miłości! Gdyby nie moja kochana Dinah, leżałbym bez życia tam, gdzie leży ów człowiek!

— On dostał pomięszania zmysłów, pomyślał baron patrząc na Oktawiusza.

— Sądzisz żem zwarjował? rzekł tenże, nie! dzięki niebu. Nie możesz tego zrozumieć, a jednak rzecz to tak prosta!

I odczepiwszy zegarek z łańcuszkiem przedstawił go baronowi. Widzisz tego luidora, zapytał; oto talizman jaki ocalił mi życie! On to powstrzymał cios, zadany mi przez kapitana Grisolles. Ów talizman pochodzi od Diny. Pożyczyła odemnie sztukę złota na kilka godzin i oddała mi to. Możnaż zaprzeczyć oczywistości?

Nie! baron nie przeczył tym razem. Wziąwszy ów złoty

pieniądz, przypatrywał mu się z uwagą, i stwierdził, że Oktawiusz się nie mylił.

— Na honor! rzekł, mówisz prawdę. Jest to wypadek, w którym należałoby powtórzyć słowa Merre'go wyrzeczone w podobnej okoliczności: „Oto pieniądz dobrze umieszczony"! I dodał w myśli: Skoro na mojej drodze spotkam przeszkodę, łamię ją i druzgoczę! To dziewczę staje mi przeszkodą, zdruzgotać ją muszę.

Snując powyższe zdanie, Croix-Dieu uśmiechał się do Oktawiusza.

— Wybacz baronie, rzekł tenże, lecz Dinah wiedząc o pojedynku umiera pewnie z obawy. Biegnę rozproszyć jej smutek, wszak to pojmujesz?

— Najzupełniej.

— Nic nas tu obecnie nie zatrzymuje. Ów nieszczęśliwy miał swoich świadków, którzy mówiąc pomiędzy nami, nie pomyśleli, by mu najprostszych starań udzielić. To jednak do nas nie należy. Odjeżdżajmy. Wysiądę w pobliżu Chateau-d'Eau. Powóz mej matki zostawiam do twego rozporządzenia, ma się rozumieć, iż zabierzesz z sobą pana de Streny i doktora.

— Dobrze, rzekł Croix-Dieu, odjeżdżajmy.

— A! zawołał Oktawiusz, jeszcze jedno słowo baronie. Zanim wsiądziesz do powozu, oddaj mi mój testament proszę; obecnie jest on całkiem bezpotrzebny, i mam nadzieję, że nie tak prędko potrzebnym będzie. Odkąd kocham mą uwielbianą Dinę, życie pięknem być mi się wydaje!

Filip otworzywszy portfel, wyjął kopertę z czarną

lakową pieczęcią i podał ją Gavard’owi.

— Cóż myślisz z tem robić? zapytał.

— Podrę lub spalę, czy ja wiem? A raczej nie! dodał po chwili. Ów testament jest arcydziełem! Gdybym potrzebował układać go powtórnie, nie udałoby mi się może tak dobrze. Zamknę go tak, jak jest zapieczętowany w szufladce mojego biurka. Znajdziesz go tam baronie, gdyby nastąpiło coś nieprzewidzianego. Mam twoją obietnicę. Dane słowo szanować należy.

Croix-Dieu wzruszył ramionami.

— Znów te ponure myśli, zawołał, przed pojedynkiem miały one pewną rację bytu, teraz jednakże są całkiem bezsensownemi!

— Widzisz wszelako, że pomimo to nie zginąłem, odrzekł, uśmiechając się Gavard.

Oktawiusz, baron, pan de Streny, i doktor Bernier odkryli głowy przechodząc około trupa Grisolla, a nawet złożyli pokłon dwom jego świadkom, którzy być może przez roztargnienie nie odwzajemnili się im ukłonem, i wsiedli wszyscy czterej do powozu udając się w stronę Paryża.

— Sądzisz więc, doktorze, że temu nieszczęśliwemu żadną miarą życia uratować niepodobna, że on nieodwołalnie zgubiony? pytał Gavard.

— Człowiek zgubionym jest bezpowrotnie wtedy, nigdy zatrzymuje się pulsacja serca, rzekł lekarz. Temu nie wróżę nawet dziesięciu minut życia; nauka nic tu nie poradzi. Gdyby nie owa niezaprzeczona pewność, nie opuszczałbym go, bądź przekonanym. Raniony nieprzyjaciel przestaje być wrogiem.

Dwaj towarzysze poległego, oczekiwali niecierpliwie odjazdu jego przeciwnika ze świadkami.

Silne zaniepokojenie było widocznem na ich fizjonomiach. Przemyśliwali nad ważną kwestją, pragnąc jak rychlej rozwiązania takowej, a kwestją tą było: „Czy Grisolles ma przy sobie pieniądze?“

Gdyby ich nie miał, sytuacja stałaby się djabelnie ciężką do rozwikłania. Czem zapłacić fiakra, wynajętego na godzinę? Historyjkami i kalamburami trudno zaspokoić woźnicę żądającego sześć franków.

Owóż, skoro się tylko znaleźli sami przy ciele garybaldczyka, Gravat i Tiroux poczęli chciwie przetrząsać kieszenie zmarłego i z ulgą wreszcie odetchnęli.

— Do pioruna! był bogatym ów Grisolles, wymruknął Tiroux.

— Los mu sprzyjał nie lada, dodał Gravat.

— Nie tak jak nam, zawołali oba.

— Będziemy mieli przynajmniej czem zapłacić fiakra, powtórzył Tiroux.

— A reszta zostanie dla spadkobierców, ozwał się jego towarzysz.

— Czy miał tylko tych sukcesorów?

— Musiał ich mieć.

— A gdybyśmy niemi byli my sami! Jesteśmy trochę z nim spokrewnionymi?

— Po raz pierwszy to słyszę, zwarjowałeś?

— Przestańmy gadać, zawołał Tiroux. Umieram z głodu. Wszak wiesz, że obiecał nam sute śniadanie.

— Biedny Grisolles! Tak rad był nas dobrze ugościć!

— Była to ostatnia jego wola!

— Ostatnia wola winna być szanowaną!

— Uszanujmy więc ją. Idźmy na śniadanie.

Po upływie kwadransa, dwaj towarzysze kapitana, zawieźli jego ciało, w którem zdawała się błąkać jeszcze jakaś iskra życia, do szpitala w Vincennes, i złożyli na ręce zarządzającego szpitalem pieniądze znalezione w kieszeniach ranionego, pieniądze zapłacone za krew Oktawiusza.

Gravat i Tiroux, przyznać musimy na ich dobrą stronę, zachowali jedynie kwotę ściśle potrzebną na zapłacenie śniadania, a pożywieni do syta, i rozweseleni opuścili restaurację, gdzie Grisolles przyrzekł po pojedynku sprawić im poczęstunek.

Późnym wieczorem wracali do Paryża, mocno podchmieleni, krzycząc i śpiewając, za co jako za naruszenie publicznego spokoju, wzięto ich do aresztu.

Oktawiusz wysiadł z powozu na rogu bulwaru Woltera, zwrócił się w stronę placu Chateau d’Eau, skąd, biegł z pośpiechem ku przedmieściu du Temple, i wszedł do domu, gdzie Dinah objęta niewysłowioną trwogą oczekiwała na jakąkolwiek bądź z pola walki wiadomość.

Tak mieszkanie wdowy, jak i pokoik dziewczęcia; wychodziły na małe podwórko podobne do głębokiej studni, zkąd dziewczę nie miało nawet pociechy by w oknie wyczekiwać mogła na przybycie ukochanego.

Właścicielka mieszkania, zacna i litościwa kobieta, dzieliła w pewnej mierze obawę i niepokój swojej lokatorki. Siedziała przy niej od rana, usiłując umacniać dziewczę

moralnemi sentencjami, nużąc ją swem wielomówstem poważnem.

Dinah mówić jej pozwalała, nie słuchając wcale zagłębiona w swych myślach i cierpieniu.

Służąca wdowy, Aniela, postawioną była przez swoją panią na schodach dla pilnowania powrotu Oktawiusza, i powiadomienia naprzód o jego przybyciu.

Młodzieniec ukazał się nagłe, jak pierun. Posłuszna wydanemu sobie nakazowi dziewczyna wołać zaczęła:

— Pani, panienko! Otóż jest, nadchodzi!

— Milcz! zawołał Oktawiusz, wsuwając jej w rękę luidora, ani słóweczka! Chcę je zejść niespodzianie.

I przeskakując po kilka schodów naraz, otworzył nagle drzwi i wszedł wołając: Otóż jestem!

Dinah zerwawszy się z krzesła, krzyknęła, zbladła, i pobiedz chciała ku wchodzącemu, bezsilna jednak upadła na ręce swego przyjaciela, lecz tak niewysłowienie szczęśliwa, iż czuła, że takiej chwili szczęścia umrzeć już można.

XVI.

Zamek de Grandlieu był jedną z owych uroczych miejscowości, jakie po nad brzegami Loary zachwycają turystów.

Ta wielko-pańska, niemal książęca siedziba, zbudowana za panowania Ludwika XIII-go, przez jednego z pradziadów wicehrabiego Armanda, na wzgórzu lesistem,

panuje wspaniale nad szeroko rozciągającym się pięknym krajobrazem.

Rozległe łąki, zasiane kwieciem i wielkiemi drzewami, przerzynają tu i owdzie między wyniosłościami wzgórz maleńkie miniaturowe jeziora, na których pływają majestatycznie łabędzie śnieżnej białości.

Blisko od miesiąca, jak wiemy, wicehrabia z Herminią zamieszkiwał we wspanialej tej rezydencji. Przewidywania doktora spełniły się najściślej.

Ożywcze powietrze Touraine cudownie oddziaływało na młodą kobietę, wracając jej jednocześnie siły i świeżość. Po upływie trzech tygodni nie pozostał najmniejszy ślad osłabienia; chorobliwa bladość zniknęła z jej twarzy.

Wicehrabina przechadzała się całemi godzinami po parku, jeździła konno wraz z mężem, nie doznając najmniejszego utrudzenia.

Nieszczęściem owo tak szybkie uzdrowienie nie zmniejszało jej cierpień moralnych. Podczas gdy ciało Herminii odzyskiwało pełne zdrowie, umysł pozostał ciężko chorym.

Przedstawiliśmy w krótkości czytelnikom trwogę i niepokój tej młodej kobiety, skoro pan de Grandlieu powiadomił ją że Andrzej de San-Rémo przyjedzie do nich w gościnę.

Widzieliśmy ją, gdy usiłowała napróżno stłumić gwałtowne bicie swego serca. Słyszeliśmy ją szepcącą:

— Przy nim! Razem bezustannie, przez całe dnie, tygodnie, po moim czynie szaleństwa, po wyrazach, jakie mu się wyrwały w przystępie gorączki? Tak dla mnie jak i

dla niego sytuacja nie do zniesienia! Nie odmówił zaproszeniu Armanda, ale nie przyjedzie. Napiszę do niego, gdyby było trzeba, zaklinając ażeby nie przyjeżdżał.

Herminia jednak nie napisała; a gdy po upływie miesiąca wicehrabia jej powiedział.

— Oto list do Andrzeja San-Rémo, wypadało mu przypomnieć jego obietnicę, dodałem iż jest oczekiwanym. Czy zgadzasz się na to drogie dziecię, ażeby ten list dziś odszedł?

Młoda kobieta pochyliła głowę dla ukrycia rumieńca:

— Nie znajduję żadnej przeszkody, odpowiedziała.

Tym sposobem posłaniec odwiózł list na pociąg wieczorowy.

Nazajutrz z rana podczas śniadania służący ukazawszy się we drzwiach, podał na srebrnej tacy panu de Grandlieu kopertę z niebieskawego papieru.

Armand rozdarł kopertę.

— To od Andrzeja! zawołał. Telegram krótki, lecz jasny, posłuchaj: I czytał głośno. „Wyjeżdżam pierwszym pociągiem. Serdeczne pozdrowienia San-Rémo.“

Herminia zachwiała się na krześle. Dziwny ją zawrót ogarnął.

— Poczciwy chłopiec, nie przedłużył ani na minutę odpowiedzi, mówił pan de Grandlieu; pragnie tak żywo do nas przyjechać, jak my go przyjąć pragniemy. Nieprawdaż Herminio?

— Bezwątpienia, odpowiedziała bezwiednie, nie pojmując nawet prawie sama co mówi.

Wicehrabia zwrócił się do służącego.

— Niechaj zaprzęgną punktualnie na czwartą godzinę kare konie do mego kabrjoletu, będę sam powoził. Mały omnibus w pocztowej uprzęży niech jedzie na stację wraz ze mną, dla zabrania bagażów markiza. Wydaj w stajniach polecenia.

Służący wyszedł, ażeby spełnić rozkazy.

— Lecz co ci jest me dziecię? zawołał pan de Granddlieu, zdumiony dziwną nieruchomością Herminii i ponurym wyrazem jej twarzy, miałażbyś być znowu cierpiącą?

Młoda kobieta przecząco potrząsnęła głową.

— A zatem, mówił dalej Armand, bliskie przybycie naszego gościa, na jakie wczoraj chętnie się zgodziłaś, dziś widocznie przykrość ci sprawia?

Herminia powtórnie poruszyła głową.

— Nie, odpowiedziała, to nie to.

— Cóż zatem?

— Niewiem sama.

— Zdawało mi się, że znajdowałaś upodobanie, w naszej samotności, mówił wicehrabia. Może przewidywane zmiany w zwyczajach domowych przestraszają cię?

— Być może, w rzeczy samej.

— Uspokój się zatem. Andrzej de San-Rémo nie będzie uprzykrzonym gościem.

— Lubisz tego młodego człowieka, wyjęknęła Herminia. Widzę, że bardzo go lubisz.

— Któż by go nie lubił? odrzekł pan de Grandlieu, zwłaszcza po okazanem dla mnie poświęceniu, którego omal nie przypłacił życiem. Owo szlachetne uczucie, za

głosem którego biegł Andrzej, tak rzadko dziś napotykać się daje, że je uwielbiać należy! Zdaje mi się, że San-Rémo jest moim synem, i chciałbym ażebyś jemu prawdziwą siostrą się stała.

— Siostrą? powtórzyła wicehrabina. Czemuż bym dlań nie miała być siostrą?

— Byłbym szczęśliwym, gdyby tak być mogło, mówił dalej Armand: a rzecz to tak łatwa! Udziel to dobro swem sercem Andrzejowi. Wszakże odmówić nie zechcesz?

— Dobrze, odpowiedziała raczej gestem, niż słowem.

— Mam więc z twej strony na to przyrzeczenie, mówił pan de Grandlieu, i proszę ażebyś jako gospodyni domu czuwała nad dobrobytem naszego przyjaciela. A teraz powiedz mi gdzie go umieścimy?

— Zamek zawiera liczne apartamenta, odpowiedziała Herminia, jak gdyby z roztargnieniem.

Wicehrabia uśmiechnął się.

— Jestem pewien, rzekł, iż sądzisz że nazbyt wiele troskam się o wygodę dla tego młodzieńca, nie odgadłaś prawdy jednakże. Jest to rzeczywiście bardzo młody człowiek, i jego wiek upoważniałby mnie do postępowania z nim bez ceremonii; lecz jednocześnie pomnij, jest on rekonwalescentem, a to nakazuje nam traktować go jak gdyby miał czoło pokryte zmarszczkami i siwiejące włosy. Proponowałbym dla niego apartament „Utraconego raju,“ będzie tam miał od rana pierwsze słoneczne promienie, a z okien jest widok tak piękny, że ożywić by zdołał nawet umierającego.

— Dobrze, odpowiedziała Herminia, pójdę tam po

południu i urządzić każę wszystko jak najlepiej, stosownie do twojej woli.

— Dzięki ci drogie dziecię! jesteś aniołem! odrzekł, całując ją w czoło.

Młoda kobieta nic nie odpowiedziawszy smutno się w uśmiechnęła.

Mający służyć apartament na mieszkanie dla Andrzeja San-Rémo składał się z przedpokoju, salonu, sypialni, i garderoby, z której boczne schody przeznaczone dla służby, dotykały parteru.

Ów apartament zwano „Utraconym rajem," ponieważ plafon owalny salonu, malowany al fresco przedstawiał Adama i Ewę po spełnionym grzechu, wygnanych z raju przez anioła z wielkiemi skrzydłami, dzierżącego w prawej ręce płonącą pochodnię.

Wspaniałe umeblowanie zastosowane było do starożytności zamku, pośród którego znajdowały się i współczesne sprzęty, łączące z owym zbytkiem wygodę, jakiej nie znali pradziadowie nasi.

Herminia dotrzymując danego słowa mężowi, poszła wraz z jego kamerdynerem do tego apartamentu, czuwając osobiście nad szczegółami urządzenia dla przyszłego gościa, co z razu czyniła jakoby z przymusem, następnie z żywem, gorącem zajęciem.

Skoro wszystko w należyty ład i porządek wprowadzonem zostało, udała się do cieplarni, a wybrawszy tam kwiaty, kazała je zanieść do „Utraconego raju," i ustawiła własnemi rękoma na konsolach, tak w salonie jak i sypialni, ażeby nadać mieszkaniu pozór

wiosennej świeżości.

Zajęcie to zabrało jej znaczną cześć popołudnia.

Pan de Grandlieu wszedłszy do owego apartamentu, nie mógł się dosyć nachwalić wytwornego gustu w urządzeniu.

— Przyjedziemy tu, dodał, około piątej, oba z markizem, i pożegnawszy żonę wyszedł by wyjechać po Andrzeja.
Herminią wróciwszy do swego pokoju, upadła na krzesło, i ukrywszy twarz w dłoniach wybuchnęła łkaniem.

XVII.

Zkąd ów ból nagły, objawiający się łzami i łkaniem, bez żadnej z pozoru przyczyny? Zkąd to gorączkowe wzburzenie?

Trwoga wywołała w młodej kobiecie tę troskę.

Herminia poczęła badać swe serce, a spojrzawszy w głąb jego, zadrżała. Od chwili wyjazdu z Paryża, myśl o Andrzeju San-Rémo nie opuszczała jej na chwilę. Najdrobniejsze szczegóły odnoszące się do tego młodzieńca, nasuwały się jej na pamięć i zajmowały jej umysł znękany. Pojmowała dobrze że Andrzej de San-Rémo nie mógłby nigdy być dla niej bratem, że całkiem inne, gwałtowne, upajające uczucie, jakie uczuwała dla niego, nie miało nic wspólnego z siostrzanem przywiązaniem.

— Tak więc, powtarzała z przerażeniem, ja kocham, ja, której kochać nie wolno! Oddałam jemu swe serce, to serce, które jest własnością innego! Ach! jakże jestem występną!

Herminią codziennie to sobie powtarzała, codziennie wyrzucała sobie ze wzrastającą obawą nikczemną słabość ducha, jaka znaglała ją do milczenia, codziennie mówiła sobie:

— Pozwoliłam mu przyjechać, wiedząc że on mnie kocha, czując, że kocham go nawzajem. I patrzeć będę jak w mojej obecności uściśnie on uczciwą rękę mojego męża w swej dłoni!.. Ach! to szczyt zdrady... najwyższa nikczemność!.. Nie!.. tego nic uczynię!.. Powiem wszystko Armandowi... Powiem: „On cię oszukuje... Nie w twej obronie bił się Andrzej San-Rémo... On to uczynił dla zbliżenia się ku mnie... Ja się go obawiam... Lękam się siebie samej... Ocal mnie!.. Każ mu odjechać...“ Tu zamilkła.

Złamana trwogą i wyrzutami sumienia, wyczerpana w walce ze wzrastająca, namiętnością jaka tryumfowała nad nią mimo oporu z jej strony, chciała mężowi wszystko opowiedzieć, pragnęła z całej duszy to uczynić, niestety! brakło jej ku temu odwagi.

Upływały godziny, dnie i tygodnie mijały w tej bezustannej walce, Herminia milczała. Teraz było zapóźno. Żadna ludzka siła nie zdołałaby powstrzymać Andrzeja San-Rémo od przybycia za godzinę. Oto dla czego Herminia płakała.

*

* *

W miarę zbliżania się chwili powrotu, łzy Herminii osychały: opuściła na kolana obie ręce, i patrzyła w dal przed siebie tem błędnem, nieruchomem spojrzeniem, przez jakie nic sic nie widzi, gdy jednocześnie rodzaj strasznego zamętu ogarniał jej umysł.

W rzeczy samej, doznawała ona jak gdyby obłąkania na myśl, że za chwilę przyjdzie jej spotkać się z tym młodym człowiekiem, którego wcale nie widziała od owego nieszczęsnego wieczora.

Z trwogą zapytywała siebie, jak Andrzej ośmieli się do niej przemówić, i czyli ona zdoła mu odpowiedzieć? Wyraz ich oblicza, drżenie głosu, czyli nie zdradzą wzruszenia, jakie ich ogarnie pomimowoli?

Czyliż pan de Grandlieu za jednym rzutem oka niezbada istniejącej między obojgiem tajemnicy?

Owóż, jak powiedzieliśmy, raczej niżeli ściągnąć na siebie najmniejsze podejrzenie ze strony męża, Herminia umrzeć by wołała.

Wicehrabia wraz ze swym gościem miał przybyć o piątej godzinie. Trzy kwadranse na piątą wydzwonił zegar zamkowy.

Słabe światełko świadomości położenia zabłysło pośród chaosu myśli młodej kobiety.

Fatalne spotkanie było nieuchronnem, należało się doń przygotować, nakazać spokój swej twarzy; wdziać maskę, kłamać, oszukiwać było potrzeba!

Herminia powstała z krzesła, i przejrzała się w zwierciedle. Bladość policzków i czerwoność oczu, od łez nabrzękłych, mocno ją zatrwożyły.

Niewinna owa występna, wyczytała cały poemat zakazanej miłości na swej zmienionej twarzy.

Wszedłszy do sypialni, ułożyła sploty rozrzuconych włosów, jakie w przystępie nerwowego podrażnienia potargała rękoma, obmyła oczy zimną wodą, i aby zatrzeć ostatnie ślady łez na policzkach, natrzepała je pudrem ryżowym, którego białość przywróciła jej zwykłą cerę twarzy.

Po użyciu niezbędnych tych środków, wszelkie oznaki wewnętrznej burzy, jaką przebyła, zniknęły.

Był na to czas w rzeczy samej.

Piąta uderzyła na wieżowym zegarze. Wicehrabina, zbliżywszy się ku oknu, wyjrzała.

Kabrjolet mijał okratowanie dziedzińca. San-Rémo siedział w nim obok pana de Grandlieu. Na ten widok serce młodej kobiety przez kilka chwil bić nagle przestało.

— Wyjść trzeba, szepnęła. Czy jednak znajdę siłę ku temu? Czy znajdę odwagę? Czuję jak gdyby umrzeć mi przyszło za chwilę.

I chwiejąca się wyszła z pokoju, dziwną jednakże sprzecznością jaka się zdarza w podobnych okolicznościach, w miarę jak schodziła ze schodów, trzymając się poręczy żelaznej, energia jej powracała.

Istnieją niebezpieczeństwa, jakie przerażając nas zdała, wydają się nam mniej okropnemi, skoro bliżej z niemi spotkać się nam przyjdzie.

Tak było z Herminią i Andrzejem San-Rémo. Młodzieniec zarówno przez czas swojej podróży drogą żelazną, jako i w drodze do zamku doznawał nie mniejszej

trwogi i wzruszenia, jak pani de Grandlieu.

Spotkanie nastąpiło przy wejściu do salonu.

— Droga Herrninio, mówił z uśmiechem wicehrabia, oto przyjaciel, na przybycie którego oczekiwaliśmy. Potwierdź moje wyrazy, że z całą serdecznością przyjętym on w naszym domu zostanie.

Córka Klotyldy de Randal spojrzawszy na Andrzeja dostrzegła wzruszenie na jego twarzy, które zresztą bardzo naturalnie wytłumaczyć się dało pełnem ojcowskiej tkliwości przyjęciem starca.

— Upewniam pana, panie markizie, wyrzekła drżącym nieznacznie głosem, że przyjaciel mojego męża może tu liczyć na najżyczliwszą gościnność. Wszystko co od nas zależeć będzie, ażeby panu uczynić pobyt w naszym domu przyjemnym i dla zdrowia zbawiennym, uczynimy, chciej pan temu wierzyć.

— Dzięki ci pani, odpowiedział a raczej wyjąknął Andrzej, bardziej zmięszany nad wicehrabinę. Dzięki z całego serca. To pełne dobrotliwości przyjęcie, wzrusza mnie do tego stopnia, iż nie jestem w stanie wyrazić wszystkiego co czuję.

— Pojmujemy to dobrze oboje z Herminią, ozwał się z uśmiechem pan de Grandlieu, porzućmy więc ów ceremonialny formularz, jakiego dotąd używamy. Gdy przychodzi żyć na wsi przez całe tygodnie pod jednym dachem, poufność bratersko-koleżańska jest niezbędną. Podajcie więc sobie ręce moje dzieci, bo wszak oboje dziećmi zarówno mojemi jesteście.

Andrzej nie ruszył się z miejsca. Herminia zawahała się,

po chwili jednak wyciągnęła rękę. San-Rémo ująwszy tę drżącą dłoń drobną, skłonił się z poszanowaniem, dotknąwszy jej z lekka ustami.

— To powitanie wasze nie jest jeszcze zupełnie swobodnem, naturalnem, zaczął śmiejąc się wicehrabia. Nie jest ono owem uściśnieniem ręki jak ja rozumiem, szczerem, serdecznem, po angielsku. Wielko-światowa galanterja zbyt wiele zajmuje w niem miejsca. Jutro jednakże będzie lepiej, jestem tego pewnym i zwolna, nieznacznie przyjdzie owa upragniona pewność braterska. Po upływie miesiąca zdziwilibyście się sami, gdyby zauważono, że nie jesteście sobie bratem i siostrą. A zwracając się do Herminii dodał: Nasz gość kochany posiada zapewne apetyt rekonwalescenta, o której godzinie nam więc obiad podadzą!

— O szóstej, punktualnie.

— Obecnie jest już po piątej, mówił pan de Grandlieu. Zaprowadzę cię więc mój drogi markizie do twego apartamentu, gdzie zaniesiono już twoje bagaże. Będziesz, tam mógł swobodnie zrzucić swoje podróżne ubranie, a przywdziać obiadową toaletę. Ale zastrzegam, bez fraka i białej kamizelki, bez gardenii w butonierce. Odrzućmy te formy będąc pomiędzy sobą. Zapomnijmy całkowicie o Paryżu. Skoro nikogo obcego wśród nas nie będzie, stańmy się pomiędzy sobą wieśniakami.

San-Rémo ukłoniwszy się powtórnie pani de Grandlieu, odszedł z wicehrabią.

— Rzecz dziwna, myślała Herminia, zostawszy samą. Jego obecność, której się tak obawiałam, spokój mi

przynosi. Zkąd więc i dla czego ów przestrach, jaki mnie tak dręczył? i doprowadzał prawie do obłędu? Andrzej znajduje się tu, i nie lękam się go wcale. Patrzy na mnie, a nic nie objawia w nim zmięszania, jakiego się spodziewałam. Sądzić by można, iż nie pamięta tego co zaszło, a może i w rzeczy samej o tem zapomniał? Być może iż to namiętne wyznanie, było jedynie wybuchem gorączkowego szału, i po ustąpieniu gorączki zniknęło, nie pozostawiwszy śladów ani w umyśle, ni w jego sercu? A może ja wówczas byłam w gorączce? Ach! oby Bóg dał aby tak było! Gdybym, w moim szaleństwie walczyła z widmami. Gdyby Andrzej nie myślał o mnie wcale, i ja zarówno, abym nie uczuwała dla niego nic co do uczucia miłości podobnem być może. Gdybym jedynie zawiniła złudzeniem. Jakiż dla mnie spokój natenczas, jaki wypoczynek, jakie szczęście! Wrócić do rozumu i prawdy. Zasypiać co wieczór z czystem sumieniem, spokojem w duszy. Ach| byłoby dla mnie to niebem! Tak być powinno, dodała. Tak być może, ja chcę, ażeby tak było.

Biedna Herminia mówiąc: „Ja chcę* mówiła to z dobrą wiarą. Niewinne, czyste to dziewczę usiłowało się uspokoić, nie wiedząc, jak słabą jest wola kobiety, gdy przyjdzie jej walczyć z sercem, i gdy ono jej nawzajem powiada: „Ja tak chcę.“

Trudnem byłoby, a nadewszystko za zbyt rozwlekłem opisywanie chaosu myśli Andrzeja San-Rémo, skoro pan de Grandlieu oddalił się, wprowadziwszy go przeznaczonego dlań apartamentu w „Utraconym raju.“ Poprzestaniemy więc na krótkiem zebraniu szczegółów.

Po owych bezrozumnych odwiedzinach Herminii w pałacyku przy ulicy de Boulogne, Andrzej przekonał się iż jest gorąco przez tę młodą kobietę kochanym; a twierdzenie w tym względzie barona de Croix-Dieu, którego doświadczenie w sprawach miłości nie mogło ulegać powątpiewaniu, wzmacniało w młodzieńcu tę pewność. Skutkiem tego oczekiwał on z trwogą chwili spotkania z Herminią obawiając się kompromitującego zmięszania z jej strony.

Widzieliśmy w jak sposób poważny, a nawet obojętny nastąpiło owo spotkanie. Najzupełniejszy brak wszelkiego zakłopotania wicehrabiny, którego o ile obawiał się Andrzej, o tyle go i pragnął w swym dzikim egoizmie rozkochanego, sprawiło mu gorzkie rozczarowanie. Nie mógł zrozumieć ni pojąć zachowania się Herminii.

Nie mogła ona zapomnieć tego namiętnego okrzyku miłości, jaki wybiegł z ust jego za ukazaniem mu się tej młodej kobiety w sypialni, obecnie widząc ją tak spokojną i zimną, wytłumaczyć sobie nie umiał owej podwójnej zagadki.

— Jeżeli ona, powtarzał sobie, przebaczyła mi tę pomimowolną urazę, jeśli poznawszy całą mą miłość nie powstrzymała swojego męża od przyjęcia mnie w swym domu, świadczy to, iż mnie kocha! Czyż o tem wątpić można? Ależ natenczas jakąż potężną siłę posiada nad sobą owa kobieta? Jak może do tego stopnia ułożyć twarz swoją, by nic w niej nie zdradziło o mej tajemnicy serca? W przeciwnym razie, gdyby mnie ukochała i ową lodowatą, wzgardliwą prawie obojętnością bronić się przeciw mnie

pragnęła, może uważać natenczas mą miłość jako obelgę, moje szalone wyznanie jako brak przynależnego dla siebie szacunku, i zamiast przyjąć pod swoim dachem zuchwalca, winna ze względów logicznych zamknąć przed nim na zawsze drzwi swego domu. Co się dzieje w sercu tej kobiety? któż mi to wytłumaczyć jest w stanie?

XVIII.

We dwa tygodnie po swojem przybyciu do zamku de Grandlieu, Andrzej San-Rémo około drugiej po południu jechał konno na stację drogi żelaznej, gdzie wicehrabia Armand oczekiwał niegdyś na jego przybycie.

Miał wrzucić tam w skrzynkę pocztową list do barona de Croix-Dieu.

Ponieważ ów list zawierał szczegóły, odnoszące się do dwóch głównych osobistości naszej powieści, powtórzmy go dosłownie.

„W dniu wczorajszym otrzymałem słów kilka od ciebie, baronie, i spieszę ci na nie odpowiedzieć.

Zaniepokojony, jak piszesz, mojem milczeniem, troskasz się o szkodliwe następstwa zadanej mi rany, która omal na tamten świat mnie nie wysłała, i zapytujesz, czy jestem zadowolony z mego pobytu w Grandlieu, oraz czy urzeczywistnienie mych marzeń się zbliża?

Przed wszystkiem uspokój się co do mego zdrowia. Ożywcze powietrze w Touraine wywarło skutek nadspodziewany. Nigdy nie czułem się być zdrowszym i

silniejszym, jak teraz. Używam konnej przejażdżki przez całe popołudnia, a gdyby to była pora polowania, spędzałbym dnie całe na łowach, nie czując znużenia.

Tyle co do strony fizycznej, która jest zadawalniająca, jak widzisz. Z moralną nie jest tak dobrze wyznać to muszę.

Otrzymałem od ciebie, baronie, dowody wysokiej życzliwości i poświęcenia. Jesteś jedynym moim przyjacielem; znasz do głębi stan mojej duszy. Widziałeś jeśli nie rodzącą się, to wzrastającą miłość, jaka napełnia moje serce, podniecałeś mnie do tej miłości, gdy zrozpaczony umrzeć chciałem. Gdyby nie ty, dziś szczątków by ze mnie nie pozostało; nie byłoby nawet o mnie wspomnienia

Czyż mógłbym więc zachowywać tajemnicę przed tym, któremu tyle winienem?

W chwili, gdy opuszczając Paryż, ściskałem twą rękę przed drzwiczkami wagonu, moja radość granic nie miała, pamiętasz zapewne? Byłem nadzieją szczęścia oszołomionym, które to szczęście tak upragnione przezemnie, ukazywało mi się pełne blasków, w niedalekiej przyszłości.

Otóż drzwi raju otwarły się przedemną; przestąpiłem próg Edenu.

Powinienbym więc i nader słusznie nazwać się najszczęśliwszym z ludzi. Tymczasem tak nie jest. Czuję się być bardzo nieszczęśliwym! Nieszczęśliwym, żyjąc obok tej, którą uwielbiam; nieszczęśliwym, patrząc na nią bezustannie, rozmawiając z nią, oddychając powietrzem jakiem ona oddycha.

Tak! wszystko to, co powinno stanowić mą radość, w rozpacz mnie wprowadza!

Zapytasz baronie czym rozum utracił? Byłem szalonem zaprawdę, gdym ślepo w cud wierzył; teraz już nim nie jestem.

Najprzód przyjęcie ze strony Herminii było nacechowane lodowatą obojętnością. Powitała mnie jako obcego, jako zupełnie prawie sobie nieznanego.

Ja dla niej nieznanym! Ja? po tem, co nastąpiło wobec ciebie? Po uczynionem z mej strony wyznaniu, jakiem miała prawo obrazić się, a o którem zapomnieć nie mogła.

Przyjąłbym jej gniew, nienawiść, ale obojętność, nie! to za wiele!

W pierwszej chwili łudziłem się nadzieją, że pod tem lodowałem przyjęciem, kryło się powstrzymywane wzruszenie, że z biegiem czasu maska ta spadnie, roztopnieją śniegi. Było to możebnem, nieprawdaż? ponieważ pierwsze nasze spotkanie nastąpiło wobec męża.

Omyliłem się jednak.

Dnia następnego, gdym znalazł się sam z Herminią, wyraz jej twarzy pozostał niezmiennym, obojętność jednak, taż sama.

Pan de Grandlieu, najlepszy, najszlachetniejszy z ludzi, pragnął, ażeby pomiędzy mną a jego żoną zapanowała poufność braterska. Wicehrabina w jego obecności przyjęła tę propozycję z zimnym uśmiechem. I ten uśmiech nie pojawia się nawet, skoro sam na sam pozostaniemy. Jeżeli spojrzy na mnie, jej wzrok surowym się staje, mówi urywanemi słowami, ręka jej nie drży, spotkawszy

wypadkowo dłoń moją.

Tak bywa codziennie, pojmujesz więc moje katusze, baronie? Przebywamy całe dni z sobą bezustannie, a skoro wieczór nadejdzie, zliczyć mi trudno ran w zbolałem mem sercu.

Oto czego po tylu nadziejach doczekałem! Jest to upadek z wysoka, w jakim życie utracić można.

Czegoż mogę się spodziewać w przyszłości? Niczego. Gdyby Herminia mnie kochała mimo tylu przeciwnych pozorów, gdyby posiadała bohaterską siłę do ukrywania swojej tkliwości, jakiż cud mógłby ją znaglić do wyjawienia mi tego uczucia? Nie widzę żadnych ku temu sposobów.

Jeżeli zaś przeciwnie, uczuwa ona dla mnie wzgardliwą obojętność, jak wszystko niestety o tem mnie przekonywa, obojętność ta wzrastać będzie, i zwolna stanę się dla niej przedmiotem wstrętu i znudzenia.

Pojmujesz, kochany baronie, iż niepodobna istnieć mi dłużej w podobnej egzystencji, i przyznasz iż najlepszym środkiem byłoby odjechać.

A więc odpowiem ci, że nie! Jakkolwiek bądź okrutnemi byłyby moje cierpienia, zbrakło by mi odwagi do opuszczenia tego domu, w którym mimo całego ogromu boleści, znajduję się obok ukochanej przynajmniej.

I otóż co postanowiłem:

Markiz de Lantree, właściciel sąsiedniego zamku organizuje konne gonitwy dżentlemenów, w których przyjmie udział wyższa sfera Paryzkiego high-lif’u. Wyścigi te nastąpią za dwa tygodnie w parku markiza.

Przygotowują tor w tej chwili i przeszkody.

Pan de Grandlieu posiada zarodową stajnię, w której znajduje się kilka cennych okazów, między innemi ogier czteroletni Tonto. Jeżdżę na nich co rano, a mimo, iż są djabelnie fantastycznemi, dość dobrze porozumiewamy się z sobą, co dotąd nikomu się nie zdarzyło.

Pan de Grandlieu pokłada wielkie nadzieje w zdolnościach swych szybkonogich wychowańców, a pragnąc okazać publicznie ich wartość, prosił mnie, ażebym na projektowanych gonitwach dosiadł „Tontona,“ który zręczniej przesadza płoty od sarny.

Przyobiecałem to, i dotrzymam słowa.

Owóż jeżeli żadna zmiana nie nastąpi w zachowaniu się względem mnie Herminii, postanowiłem w dniu owych wyścigów w Lantree zabić się „przez nieroztropność“.

Wiesz dobrze baronie, że w biegu z przeszkodami nic łatwiejszego. I podczas, gdy liczni widzowie wypadku wygłaszać będą we wzruszających słowach ubolewania nad mą niezręcznością, albo szaleństwem, jednocześnie doręczonym zostanie odemnie list pośmiertny pani de Grandlieu, w którym wyjawię jej, że umieram dobrowolnie, nie będąc przez nią kochanym.

Będzie to dla mnie zemstą, i razem pociechą. Zresztą, któż wie? Może ukocha mnie ona wtedy, skoro już będzie za późno?

Na tem kończę mój list, zapytując siebie, czym go potrzebnie napisał, i smucę ciebie brakiem wesołości. Ściskam cię serdecznie, zostając na resztę życia tobie oddanym i wdzięcznym

Andrzej San-Rémo.

Nazajutrz rano, Filip de Oroix-Dieu, otrzymawszy ów list, rozdarł z pośpiechem kopertę. Przeczytał go od początku do końca, marszcząc brwi z niezadowoleniem. Po przeczytaniu zmiął papier, i wzruszył ramionami.

— Uczyni to, o czem pisze, wyszepnął, jest to warjat marzyciel, ale nie człowiek poważny. Myśl o pozbawieniu się życia w najrychlejszym czasie, w manię się u niego zmieniła. Otóż i projekt samobójstwa następuje po pchnięciu szpadą Grisolla, i po wymierzeniu rewolweru, jaki w szybę okna wycelowałem natenczas! Mówią, że miłość rozumnym czyni człowieka. Nie jego to. Miłość do idjotyzmu go prowadzi! Jakichż nadludzkich wysiłków użyć mi będzie potrzeba, aby przywrócić do równowagi ów umysł spaczony. Mam nadzieję, iż tego dokonam, lecz sprawa będzie ciężka. Szczęściem, że stawka, o jaką pokusić się warto, pokryje poniesione trudy.

Trzy dni upłynęły. Czwartego około południa, kamerdyner pana de Grandlieu, wręczył markizowi list, bez marki pocztowej, na kopercie którego adres widocznie był kreślony zmienionym charakterem.

— Kto przyniósł ten list? pytał San-Rémo.

— Posługacz stacyjny przyniósł go w tej chwili, rzekł służący. Oczekuje na odpowiedź pana markiza.

Młodzieniec, otworzywszy kopertę, drgnął pomimowolnie, poznawszy pismo barona.

Ów list zawierał te słowa:

„Nie dziw się, drogi mój chłopcze, że pomieniony bilet

zostanie ci doręczonym przez umyślnego posłańca. Pragnę zachować najściślejsze incognito.

Przyjechałem osobiście na stację, gdzie w oberży na ciebie oczekuję dla porozmawiania z tobą w wiadomej okoliczności, a za którą to naszą pogadankę, jestem pewny, że wdzięcznym mi będziesz.

Gdybyś mi słownie odpowiedział, nie udzielaj posłańcowi adresu. Nazywam się krótko pan Filip.

Wkrótce więc do widzenia. Twój na zawsze

Filip.“

— Gdzie jest posłaniec? zapytał Andrzej.

— Czeka w oficynie panie markizie.

— Przyślij go tu do mnie.

Andrzej, wsunąwszy w rękę sto sous posłańcowi, rzekł do niego:

— Powiedz panu Filipowi, że za pół godziny przybędę.

Koniec tomu czwartego.

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/007}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/008}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/009}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/010}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom

5.djvu/011}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/012}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/013}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/014}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/015}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/016}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/017}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/018}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/019}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/020}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/021}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/022}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/023}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/024}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/025}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/026}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/027}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/028}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/029}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/030}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/031}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/032}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/033}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/034}}

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/035}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/036}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/037}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/038}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/039}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/040}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/041}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/042}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/043}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/044}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/045}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/046}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/047}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/048}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/049}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/050}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/051}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/052}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/053}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/054}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/055}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/056}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/057}} {{subst:Strona:PL X de

Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/058}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/059}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/060}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/061}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/062}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/063}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/064}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/065}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/066}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/067}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/068}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/069}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/070}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/071}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/072}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/073}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/074}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/075}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/076}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/077}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/078}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/079}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/080}} {{subst:Strona:PL X de Montépin

Tragedje Paryża tom 5.djvu/081}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/082}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/083}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/084}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/085}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/086}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/087}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/088}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/089}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/090}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/091}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/092}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/093}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/094}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/095}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/096}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/097}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/098}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 5.djvu/099}} — Będziesz ztąd do niej pisywał?

— Niech Bóg uchowa!

— Zatem wyrzekasz się spokojnie, z rezygnacją owej miłości, która niegdyś była twem życiem?

— Poddaję się nieszczęściu, które uderzyło we mnie jak gromem. Przyzywam całej odwagi, aby nie upaść pod

śmiertelnym tym ciosem.

— Godna podziwu filozofia do jakiej nie sądziłem cię być zdolnym. Winszuję ci Andrzeju takiego męztwa! Cóż teraz zamyślasz uczynić?

— Szukać będę rozrywek. Będę się starał zapomnieć!

— Ha! ha! coraz lepiej! Stałeś się nagłe rozumnym jak mędrzec. Zbawienie na tej drodze czeka cię nieodwołalnie! Licz i na moją pomoc w tej mierze. Jednak na twojem miejscu nieporzucałbym tak prędko partji, przedstawiającej szansę wygranej.

San-Rémo potrząsnął głową.

— Gdybyś słyszał panią de Grandlieu, odrzekł, mówiłbyś inaczej. A jeżeli, o czem nie wątpię baronie, jesteś dla mnie prawdziwie życzliwym, zmień proszę tak dla mnie przykry przedmiot rozmowy. Nigdy mi nie mów o Herminii.

— Zastosuję się do twojej woli drogi mój chłopcze, odparł Croix-Dieu; nie wspominajmy o tem już więcej. Czy wiesz że nasz przyjaciel Jerzy Tréjan ożenił się przed niedawnym czasem?

— Słyszałem, że zawarł jakieś dziwne małżeństwo, tak mi przynajmniej mówił pan de Grandlieu.

— W każdym razie, zaślubił kobietę którą kochał, kobietę zachwycająco piękną, a obok tego i milionerkę.

— Tak, lecz zkąd ona przyszła do posiadania owych milionów?

— To nas nie obchodzi. Co do mnie, wierzę w uczciwe źródło pochodzenia owych pieniędzy, a nie wątpiąc o morganatycznem małżeństwie Fanny z owym księciem,

wierzę zarówno i w jej wdowieństwo.

— Tem lepiej dla Jerzego, którego szczerze poważam.

— Ta nowa hrabina lubi szalenie światowe towarzystwa. Otwiera w dniu dzisiejszym świetne u siebie przyjęcia. Przyślą zapewne ci zaproszenie. Może chcesz ażebym cię tam wprowadził dziś wieczorem?

— Dziękuję.

— Przyjmujesz więc?

— Przeciwnie, odmawiam.

— Dla czego?

— Nie dla mnie miejsce tam gdzie się bawią.

— A przed chwilą mówiłeś że będziesz szukał rozrywek?

— Bezwątpienia, ale uczynię to później. Teraz byłoby na to zawcześnie. Smutne moje oblicze wniosłoby zimno wśród szczęśliwych ludzi.

Croix-Dieu nie nalegał już więcej. Rozmowa przeciągnęła się jeszcze czas jakiś, poczem Andrzej odszedł, pożegnawszy barona.

— Ha! ha! ów chłopiec nie ufa mi, pomyślał Croix-Dieu, chce prawdę ukryć przedemną, i wierzy naiwnie iż oszukać mnie zdoła. Nie ze mną jednak to sprawa! Gdyby to wszystko było na prawdę zerwanem, ów głupiec rozkochany miałby inną minę i wróciłby do swego poprzedniego postanowienia rozsadzenia sobie czaszki kulą z rewolweru. Rzecz widoczna, iż obecnie bardziej niż kiedy oboje rozkochani już się z sobą porozumieli. Wicehrabina wygnała go z domu pozornie, by być posłuszną ostatnim skrupułom swojej zachwianej cnoty, ale za miesiąc

przyjedzie z mężem do Paryża. Wtedy to nadejdzie chwila działania. Oczekujmy, czuwając.

Wejście służącego przerwało wątek myśli Filipa Croix-Dieu.

— Jakiś przybyły mężczyzna, rzekł lokaj zostawił kartę i prosi pana barona o chwilę rozmowy.

Croix-Dieu spojrzał na podany sobie bilet. Wyryte na nim były te słowa:

P. Vergeot, Notarjusz z Boissy Saint-Leger.

— Czego u djabła chcieć może ta osobistość odemnie? zapytał głośno i dodał: Wprowadź pana notarjusza.

Pan Vergeot ukazał się w progu z głębokim ukłonem, postąpiwszy trzy kroki znowu się ukłonił, a przebywszy odległość dzielącą go od barona, pochylił się raz ostatni z podwójną czołobitnością.

Ów przybyły przedstawiał typ całkiem oryginalny w obecnym czasie, gdzie notarjusze, nie różnią się od reszty śmiertelników, tak zachowaniem się jak i ubiorem.

Wysoki, chudy, w białym krawacie przy czarnym fraku, w czarnej pod szyję zapiętej kamizelce, w czarnych, nieco przykrótkich pantalonach, z pod których wyzierały białe pończochy i trzewiki lakierowane, arcykomicznie wyglądał.

W prawej ręce okrytej czarną rękawiczką, trzymał niski kapelusz z szerokiemi skrzydłami, a pod lewem ramieniem wielką skórzaną czarną tekę wypchaną papierami.

Twarz jego sinawo blada, nie miała żadnego zarostu. Ciemno błękitne okulary zakrywały oczy rzucając cień na policzki.

— Mamże przyjemność mówić z panem baronem de

Croix-Dieu? pytał przybyły równie dziwnym głosem jak cała jego osoba.

— Z nim samym, odparł zapytany, i ze swej strony mam honor prosić pana abyś mi co rychlej wyjawił powód swojego przybycia: Przedewszystkiem racz pan spocząć nieco.

— Chętnie przyjmuję to zaproszenie, wyrzekł pan Vergeot siadając, i będę się starał jasno a kategorycznie rzecz wytłumaczyć. Ponieważ jednak szczegóły jakie mam zakomunikować są charakteru ściśle poufnego, tajemniczego prawie, radbym pozyskać od pana barona upewnienie, czy żadne ucho niedyskretne podsłuchać nas tu nie będzie mogło?

— Niema zwyczaju u mnie ażeby ktoś podsłuchiwał za drzwiami, odpowiedział Filip zdziwiony tem zapytaniem przybyłego, jedynie tylko mój lokaj mógłby tu wejść niespodziewanie. Może pan życzysz ażebym zamknął drzwi z wewnątrz? dodał po chwili.

— Prosiłbym o to.

— Wyraźnie agent przybrany lub warjat, pomyślał baron obracając klucz w zamku. Zdarzają się warjaci niebezpieczni, agenci zaś zwykle takiemi bywają.

Wracając koło swojego biurka, wyjął nieznacznie z pomiędzy rozrzuconych książek i wsunął do kieszeni mały rewolwer. Gdy wrócił do przybyłego, ten siedział położywszy obok siebie kapelusz.

Rozłożywszy na kolanach swoją wypchaną tekę skórzaną, otwierał ją zwolna, i ku wielkiemu zdziwieniu Filipa, dobył z pośród papierów potężny rewolwer, który

umieścił w głębi kapelusza.

— Niech się pan baron nie dziwi obecności tej broni w moim notarjuszowskim bagażu, rzekł uśmiechając się ironicznie. Moje urzędowe obowiązki znaglają mnie, niekiedy do odbywania podróży w nocy, po bezludnych drogach, a mając przy sobie ważne dokumenty, drogocenne akta, testamenty, obowiązany jestem w przewidywaniu mogącego nastąpić wypadku w broń się zaopatrzyć.

— Masz pan słuszność, odparł Croix-Dieu niecierpliwie spoglądając na zegarek. Lecz wyznam panu mam bardzo mało wolnego czasu. Przystępujmy więc proszę do rzeczy.

— Do celu, panie baronie, jestem ku temu gotowym. Jeden wyraz, a raczej jedno krótkie zdanie objaśni pana lepiej nad długą rozmowę o ważności mojej wizyty. Jestem notarjuszem jednego z pańskich serdecznych przyjaciół, i z jego strony przychodzę.

— Któż jest ten ów przyjaciel?

— X. Y. Z.

Croix-Dieu przyzwał całej odwagi aby nie zadrżeć.

— Ach! to nie warjat, pomyślał, lecz agent policyjny. Sariol pozwolił sie schwytać i zdradził mnie, zdradził! Lecz udawajmy dalej.

— Niedosłyszałem panie notarjuszu, mówił obojętnie Croix-Dieu. Jakie pan wymieniłeś nazwisko?

— To nie nazwisko panie baronie, odrzekł przybyły, lecz trzy litery, trzy najprostsze litery alfabetu.

— Nie rozumiem.

— Te trzy litery znaczą: „Sariol.“

— Co to jest Sariol? Nie rozumiem.

— W takim razie racz panie baronie sięgnąć pamięcią do dwóch swoich dawnych przyjaciół, hrabiego Loc-Earn’a i Roberta Saulnier. Będzie im obu nader przyjemnie, jestem przekonany, odświeżyć twą pamięć.

Croix-Dieu uczuł jak krople potu występują mu na skronie. Nieopisana trwoga ścisnęła mu serce. Usiłował jednak przybrać dobrą minę i zakładając ręce na piersiach rzekł:

— Zapytuję sam siebie od kilku minut panie notarjuszu, czyli posiadasz zdrowe zmysły, i nie ukrywam tego, iż mówi mi przeciwnie moje przekonanie. Wybieraj zatem między temi trzema alternatywnami: Albo jesteś szalony, albo żartowniś, lub też wmięszany naiwnie w jakie qui-pro-quo. Nie znam i nigdy nie znałem człowieka z takiem nazwiskiem. Zakończmy rzecz tę więc jak najprędzej, a jeżeli celem twojej wizyty jest mnie zabawiać nonsensami, oświadczam ci że nie mam na to czasu.

— Niepoznawać, wypierać się swoich przyjaciół, swoich kochanych, najlepszych przyjaciół, ach! jak to niegodnie! mruczał przybyły żałośliwym tonem.

— Czy jeszcze?.

— Ach! panie baronie, jakże mnie martwisz ciężko!

Croix-Dieu powstał.

— Przywołam służącego, rzekł, każę pana wyprowadzić.

Pan Vergeot podniósł się również nie zapomniawszy wziąść w lewą rękę kapelusza, w głębi którego znajdował się rewolwer, a zdejmując swoją perukę i okulary zawołał:

— Dość już tych błazeństw mój stary! Zresztą jeżeli ci się podoba bawić dalej, nie kładę temu przeszkody.

Rozmyślaj się i decyduj!

— Sariol! wyjąknął głosem stłumionym baron.

— Nareszcie mnie przecie poznałeś?

— Nie przypuszczałem abyś posiadał sztukę tak doskonałego przetwarzania się.

— Sądziłeś iż ty tylko posiadasz ów monopol. Powinieneś był jednak spodziewać się mego przybycia, skoro we wczorajszym swym liście żądałeś odemnie oznaczenia ci schadzki.

— Dlaczego nie zawiadomiłeś mnie o tem? Na co to przebranie? pytał Croix-Dieu.

— Co chcesz, mój kochany? Pamiętam dobrze nasze spotkanie pod „Koszem kwiatów““, w tem czarującem ustroniu, gdzie tak smacznie się jadło i piło obficie. Pamiętając co mi się tam przytrafiło, jestem teraz ostrożnym. Masz brzydki zwyczaj krótkiego rozcinania stosunków z przyjaciółmi. Zatem pojmujesz teraz dla czego się strzegę? Spróbuj ofiarować mi kieliszek wina lub rumu, zobaczysz czyli go przyjmę od ciebie? Otóż dowiedz się, że ja cię wtedy podszedłem, aby samemu nie zostać podstępnie schwytanym. Stoi przed bramą mój fiakr wynajęty na godziny, posunąłem przezorność do tego stopnia, że kazałem zapytać się woźnicy twego odźwiernego, czy pan baron de Croix-Dieu jest u siebie w domu? Wiedzą więc żem przybył do ciebie. Wszedłem tu zdrów i cały, i tak też ztąd wyjdę.

— Nieufność niesprawiedliwa, jaka mnie obraża i smuci, rzekł baron.

— Tra! ta! ta! nie pleć głupstw przynajmniej.

Potrzebujesz mnie, rzecz jasna! Nie odmawiam mojego współpracownictwa, spodziewając się iż mi ono przyniesie znaczne korzyści, wszak zawiadamiam, że w razie, gdybyś żywił przeciw mnie jakieś ukryte złe zamiary i chciał ponawiać swe figle z dawnych dobrych czasów, wiedz naprzód że to ci się nie uda!

— A gdybym ci dał dowód względem ciebie dobrej wiary! zapytał Croix-Dieu. Gdybym się zdał całkowicie na twoją dyskrecję?

— Mocno by mnie to zdziwiło. Jesteś nazbyt przebiegłym i chytrym, byś nie miał dla siebie pozostawić jakiej bocznej furtki otwartej.

— Słowem, gdybyś nie mógł wątpić o mnie, ciągnął dalej Filip, czy rzuciłbyś wtedy zasłonę zapomnienia na ową przeszłość, jakiej tak mocno żałuję?

— Być może?

— Powiedz stanowczo, tak czy nie?

— A więc, tak!

— Posłuchaj zatem. Wyjaśnię ci jaki powód znaglał mnie natenczas pod „Koszem kwiatów“ do pozbycia się ciebie.

— Powód nader prosty, rzekł Sariol. Żądałem wtedy od ciebie wydania wekslu w ścisłej prawnej formie na sumę trzech set tysięcy franków płatnych nazajutrz po zawarłem twojem małżeństwie z panną Henryką d’Auberive. Gdybyś był to podpisał grzecznie mój stary kamracie, tak jak postanowiliśmy, miałbyś od dwudziestu dwóch lat miliony, jakich dotąd nie masz. Zdawało ci się, że lepiej i korzystniej będzie wysłać „ad patres“ biednego Sariola, który nie ufał

ci już natenczas, widząc w zwierciadle całą twą przygotowawczą robotę. Otóż ów Sariol udał wtedy zmarłego, a nazajutrz zapakowano pana hrabiego Loc-Earn’a do więzienia w Poissy.

— Oskarżyłeś mnie!

— Musiałem to zrobić. List bezimienny ściśle i jasno przedstawiający prokuratorowi Rzeczypospolitej tożsamość Loc-Earn’a z Robertem Saulnier, osądzonym na trzy lata więzienia, wywarł swój skutek. Gdy komisarz policji z agentami wieźli cię w przyjemne to miejsce, ja siedząc w fiakrze na drugiej stronie ulicy, serdecznie się śmiałem. Byliśmy z sobą wtedy na stopie wojennej, inaczej zrobić nie mogłem.

— Mniejsza z tem, wymruknął Croix Dieu. Dlaczego jednak wskrzeszasz te dawne wspomnienia?

— Zaraz zobaczysz.

— Co znaczą twoje stosunki z agencją małżeństw tej starej akuszerki z bulwaru Batignolles podającej się za wdowę de Saint-Angot? badał Filip dalej.

— Jestem jej zaufanym przyjacielem, zawołał Sariol, jej prawą ręką w czynnościach tego zakładu. Żyję w bogactwach, w dostatku!

— Tem lepiej dla ciebie, rzeki Filip. Czyż zdarza się jednak pani Angot skojarzyć jakie dobre małżeństwo?

— Z tobą będę szczerym, odrzekł Sariol po chwili. Zdarza się to niekiedy, lecz bardzo rzadko. Nie jest to specjalnością naszego zakładu. Mało znajduje się kandydatów do małżeństw na serjo. Dlaczego jednak pytasz mnie o to?

— Wkrótce zrozumiesz.

Tu Croix-Dieu otworzywszy jednę z szufladek swojego biurka, dobył z niej arkusz stemplowego papieru i zaczął pisać.

„Zobowiązuję się wypłacić nazajutrz po mojem małżeństwie z wdową Blanką Gavard, sumę trzysta tysięcy franków panu Tamerlanowi, dyrektorowi agencji małżeństw, utrzymywanej przez panią de Saint-Angot, chcąc wyż wymienionemu w ten sposób wynagrodzić starania i usługi, dzięki którym to małżeństwo do skutku przyjść mogło”.

— Cóż na to mówisz? zapytał Croix-Dieu.

— Mówię, że podobna wdzięczność za mające się zawrzeć małżeństwo hrabiego Loc-Earn’a z panną Henryką d’Auberive, miała już mnie być wyświadczoną w 1850 roku.

— Lecz ja podpisuję to dzisiaj.

— Tak, ale pomimo to wszystko, ja niedostrzegam tu nic dla siebie pewnego. Najprzód któż to jest owa pani wdowa Gavard?

— Śliczna kobieta, mająca około lat czterdziestu, która mnie kocha szalenie, i którą gdybym chciał, mógłbym jutro zaślubić.

— Cóż ci w tem przeszkadza? Domyślam się, że jest bogatą ta piękność?

— Nie; nie jest bogatą.

— A więc.

— Ma ona syna, liczącego lat dwadzieścia jeden i kilka miesięcy. Otóż gdyby ten syn umarł przed dojściem do

pełnoletności, pani Gavard odziedziczyłaby po nim sześć milionów!

— Wystarcza! zawołał Sariol. Dla czego jednak mnie potrzebujesz w tym razie? Istnieje tyle sposobów w Paryżu zgładzenia małoletniego jaki nam zawadza. Można się porozumieć z jakim wprawnym rębaczem, który rozpocznie kłótnię przy grze, lub gdziekolwiek bądź indziej. Czyż tego nie próbowałeś?

— Próbowałem wszystkiego, i nic się nie udało. Widzisz że tak być musi, skoro się zwracam do ciebie i ofiaruję ci za to sto tysięcy talarów. Mimo że obecnie żyjesz w bogactwie i obfitości, jak mi o tem mówiłeś, sądzę iż nie zaniechałeś dawnych zwyczajów przychodzenia drugim z pomocą?

— Tak, po części stosunki te zachowałem. Nikt nie wie co nastąpić może w przyszłości.

— Liczyłem na to. Jesteś dzielnym chłopcem, bez skrupułów. Zarobisz grube pieniądze.

— Nie tak to łatwo jak sądzisz! Zabójstwo, rzecz ważna!

— Któż mówi o zabójstwie? Nie, nie chciałbym tego nigdy w świecie!

— Coż więc ma być?

— Wypadek.

— Niechaj więc będzie wypadek. Powiedz mi kto jest owym młodzieńcem jakiego chcesz się pozbyć?

— Nic nieznaczący błazen, fanfaron, którego nikt żałować nie będzie.

— Jak go sprowadzić w mądrze urządzoną zasadzkę?

— W sposób najłatwiejszy! Szalenie jest zakochanym w pewnej młodej kobiecie. Przez nią można go wszędzie

poprowadzić; a mniemam iż musisz znać tę kobietę.

— Któż ona?

— Dinah Bluet.

— A! do kroć djabłów, ona sprawiła nam tyle kłopotu i zmartwienia! Wytrąciła nam z rąk kopalnię złota, jaką już trzymaliśmy! Pałam chęcią oddania jej pięknem za nadobne. Przemyśliwam oddawna aby jej sprawić jaką przyjemność. Pozwalasz mi działać samowolnie w tej mierze?

— Udzielam ci najzupełniejsze pełnomocnictwo.

— Doskonale! Przedewszystkiem zasięgnę szczegółów co do owych miljonów spadkobiercy. Pojmujesz, że nie chcę napróżno pracować. Działania zaraz rozpocząć nie mogę, będę potrzebował czasu na zebranie sobie współpracowników, i wyszukanie sposobności.

— Mamy sześć miesięcy przed sobą.

— Wybornie! Układ więc zatwierdzony, a wraz i zgoda pomiędzy nami. Udziel mi bliższych szczegółów o tej sprawie.

Croix-Dieu opowiedział w krótkości Sariolowi rzeczy znane już czytelnikom.

Gdy skończył, w chwili gdy ów przebrany notarjusz wkładał perukę i okulary:

— Ale, zawołał baron, przypominasz sobie że miałem syna?

Sariol drgnął pomimowolnie, lecz obrócony twarzą do zwierciadła i zajęty ubieraniem się, ukrył to przed swym towarzyszem. Croix-Dieu nie dostrzegł tego.

— Pamiętam, odrzekł, syna Henryki d’Auberive,

któremu dałeś imię Andrzeja. Wszak ja sam dostarczyłem mamkę dla tego dziecka.

— Po wyjściu z więzienia w Poissy, szukałem mojego syna, mówił dalej Croix-Dieu. Udawałem się na wyspę Saint-Denis.

— I cóż?

— Rybacy zniknęli i dziecko wraz z nimi.

— I nie odnalazłeś ich wcale?

— Nigdy! A może ty coś wiesz o tem, Sariolu?

— Ja? zkąd mój kochany? Nic niewiem. W stosunkach, w jakich pozostawaliśmy z sobą, pojmujesz, że malec nie interesował mnie wcale. Nie, nic! niewiem. Dziś, ów mały Andrzej musi już być dorosłym mężczyzną. jeżeli jeszcze żyje.

— Tak, jeśli żyje, wyszepnął baron. I dodał z cicha. Ja, który nigdy, nikogo i nic nie kochałem, zdaje mi się, że kochałbym mojego syna.

Sariol włożył na głowę kapelusz, a uścisnąwszy rękę swego dawnego wroga, którego teraz stawał się wspólnikiem, wyszedł z teką pod ramieniem i odjechał, oczekującym nań fiakrem.

X.

Nie wprowadzamy czytelników na pierwsze wielkie przyjęcie w salonach hrabiny de Tréjan. Nic jednak na tem nic stracą. Wystarczy zapewnienie, że wieczór świetnie się udał, i że Fanny Lambert nie miała powodu do

niezadowolenia tym razem.

Panowie de Strény i de Champloup okazali cuda zręczności i taktu w zachowaniu się, czego winszował im Croix-Dieu, który znał się na tem tak dobrze.

Poprzestali tym razem na bardzo skromnej wygranej, i przepuścili umyślnie kilka ważnych punktów, aby utrwalić sobie opinię uczciwych i bezinteresownych graczów.

Muzyka była wytworną, a doświadczeni smakosze hołdy składali smakowitemu zaopatrzeniu bufetu.

— Egzystuję nareszcie i żyję! zawołała Fanny w uniesieniu radości i pychy. Przed upływem roku hrabina de Tréjan będzie królową Paryża, tego Paryża, który dla Fanny Lambert zachowywał jedynie pagardliwe uwielbienie!

Trzy tygodnie odtąd minęły.

Sariol nie pokazał się u barona Croix-Dieu, ale mu posłał dwa bilety z podpisem X. Y. Z.

Pierwszy z nich zawierał te słowa: „Cierpliwość!.. Szukam i znajdę...“ Drugi, zarówno lakoniczny, opiewał: „Już prawie odnalazłem... Cierpliwość...“

Andrzej San-Rémo wiódł przez ten czas życie samotne, jakie każdemu innemu, a nie jak on rozkochanemu, i zatopionemu w swoich wspomnieniach miłosnych, śmiertelnie nudnem by się zdawało. Nie szukając rozrywek, stronił od nich raczej, wyjeżdżając jedynie wczesnym porankiem konno, lub kabrjoletem do Bulońskiego lasku dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Drzwi jego domu zamkniętemi były dla wszystkich, z wyjątkiem barona, odwiedzającego go niekiedy, przyczem rozmawiał zwykle przez kilka minut z lokajem młodzieńca.

W miarę upływu czasu, San-Remo przybyły do Paryża spokojny i pełen ufności, coraz bardziej smutnym i zdenerwowanym się stawał. Był bliskim owej chwili, gdzie samobójstwo przedstawia się zrozpaczonemu jako jedyny środek wybawienia, gdy pewnego rana, we trzy tygodnie po jego powrocie z Touraine, skoro zsiadał z konia, przyjechawszy z codziennej przejażdżki do Bulońskiego lasku, służący jego stojący jak gdyby w oczekiwaniu przed domem, zawołał:

— Pan wicehrabia de Grandlieu oczekuje w salonie na pana markiza.

San-Rémo pospiesznie wszedł do salonu.

— Pan... panie wicehrabio w Paryżu? zawołał radośnie witając przybyłego. Ach! jakże jestem szczęśliwy!

— Szczęśliwym widząc mnie powtórzył pan de Grandlieu z łagodnym szczerym uśmiechem. Niechcę o tem wątpić na chwilę. Pozwól wszelako sobie powiedzieć, że od ciebie zależało abyś był wcześniej szczęśliwym.

— Jakto, w jaki sposób?

— Dotrzymując danego słowa. Przyrzekłeś mi, że powrócisz, a przyrzekłeś to na pewno.

Andrzej mocno się zarumienił.

— Ach! pragnąłem to uczynić. Bóg świadkiem, wyszepnął. Niemogłem jednak pomimo chęci. Moje albowiem interesa...

— Twe interesa, odrzekł wicehrabia z uśmiechem, mów raczej twe przyjemności... rozrywki.

— Upewniam pana...

— Ależ ja cię bynajmniej nie badam, odrzekł pan de

Grandlieu z uśmiechem. Bądź względem mnie bardziej otwartym mój chłopcze, uważaj mnie jeśli nie za najdawniejszego, to za najlepszego ze swoich przyjaciół! Nie sądź ażebym nie pojmował praw miłości dla tego, że mam posiwiałe włosy. Pojmuję, że życie jest smutnem dla młodzieńca, w samotnym wielkim zamku, pomiędzy starcem a dzieckiem. Bo wszak Herminia dzieckiem jeszcze jest prawie. Obok tego domyślam się, iż serce masz zajęte.

— Lecz... zaczął żywo Andrzej.

— Dama okryta welonem! Owa dama przybyła do ciebie z tajemniczemi odwiedzinami, wyjaśnia mi wszystko! przerwał śmiejąc się wicehrabia. Byłbyś niewdzięcznym, gdybyś nie odpłacił jej miłością za miłość, że ona cię kocha to nie ulega wątpliwości! Dowiodła tego, przybywając do twego łoża, wówczas gdy konającym byłeś prawie! Kochasz ją! jestem przekonany. Przyznaj mój chłopcze, że dobrze odgadłem? Ów list wzywający cię nagle do Paryża pisała ręka ukochana. Usłuchałeś. Wynagrodzono cię za to i radość szczęśliwego człowieka tu cię zatrzymuje. Gdyby nie to, byłbyś do nas powrócił, gdyż jestem przekonany o twej prawdziwej dla nas życzliwości. Kochasz mnie jak ojca, a Herminię jak swoją siostrę. Przyznaj żem wszystko odgadł a nie mów o interesach bo temu nie uwierzę!

— Ależ nic mi pan jeszcze nie powiedziałeś o pani de Grandlieu, zaczął Andrzej drżącym głosom, pragnąc co rychlej zmienić przedmiot rozmowy. Ciążyła mu bowiem ta szlachetna ufność starca, upokarzała go, zmuszała do rumienienia się przed sobą samym.

— Herminia ma się dobrze, to jest lepiej, rzekł Armand.

Spała gdym wyszedł z pałacu, ażeby przybyć do ciebie.

— Jakto, pani de Grandlieu jest więc w Paryżu? zawołał San-Rémo.

— Przyjechaliśmy oboje wczoraj wieczorem a chcąc zastać cię w domu, wyszedłem bardzo rano.

— Przejeżdżacie państwo przez Paryż.

— Bynajmniej, przyjechaliśmy tu na stale. Dziwi cię to, nieprawdaż?

— Ponieważ mieliście państwo inne zamiary.

— Rzeczywiście, mieliśmy pozostać w Touraine do końca października a może nawet i dłużej. Jednak powietrze w Touraine w tym roku nieposłużyło Herminii. Rankami i wieczorami mgły powstające z Loary płyną nad nasze zarośla i wody. Wkrótce po twoim wyjeździe, Herminia poczęła zapadać na zdrowiu. Pobladła, stała się milczącą i smutną. Nie skarżyła się, bo ona się nigdy nie uskarża, ale widziałem, że jest cierpiącą. Obawiając się powrotu ostatniej wiosennej choroby, przyzwałem doktora. Jasno mi oświadczył, iż owe niepokojące symptomy przypisuje wpływowi mgły o jakiej ci przed chwilą mówiłem. I otóż radził mi aby wyjechać co rychlej z Touraine. Mógłżem chwilę? Pytałem się Herminii czy woli udać się w podróż, lub wracać do Paryża? Wybrała Paryż. I otóż przyjechaliśmy.

Słysząc to Andrzej, czuł, iż omal mu serce nie wyskoczy z radości.

— Ależ, wyjąknął ażeby cośkolwiek bądź powiedzieć i nie zwrócić uwagi wicehrabiego na owe niewytłómaczone milczenie, ależ zdrowie pani de Grandlieu nie budzi

żadnych obaw poważnych?

— Bynajmniej, nie ma o tem mowy. Zresztą od trzech dni skoro zaczęliśmy czynić przygotowania do wyjazdu, Herminia jakoby odzyskała dawniejsze siły i zdrowie. Wróciły jej rumieńce, ożywienie, wróciła wesołość. Wczoraj, w czasie podróży drogą żelazną, była tak uradowaną jak pensjonarka wypuszczona z klasztoru, a jadąca po raz pierwszy do Paryża. Pojmuję to dobrze. Jest ona Paryżanką, miasto, w którem się urodziła, pociąga ją ku sobie, odżywia ją powietrze rodzinne. Nie znajdziesz w niej zmiany skoro do nas przybędziesz a mam nadzieję, że wkrótce widzieć cię będziemy, i często odwiedzać nas będziesz, nieprawdaż? bo nie znajdziesz żadnej wymówki.

— O! tak, często bezwątpienia! skoro pańska tak wielka dobrotliwość upoważnia mnie ku temu.

— Przedewszystkiem więc, rzekł uśmiechając się wicehrabia, ta moja wielka dobrotliwość zaprasza cię jutro na obiad. Wszakże przyjmujesz zaproszenie?

— Z radością jakiej wyrazić nie jestem w stanie!

— Brawo! będziemy objadować jak wiesz o siódmej godzinie. lecz przybądź wcześniej, porozmawiamy w ogrodzie. Ale, ale, dodał wicehrabia, przygotowałem ci pewną niespodziankę.

— Cóż takiego?

— Chcesz więc ażebym zdradził moją tajemnicę? Lecz jej natenczas nie będzie a z nią wraz zniknie i niespodzianka. Co jednak począć? Muszę zaspokoić twoją ciekawość. Sprowadziłem dla ciebie Tontona.

— Ach! jestem uszczęśliwionym! zawołał z zapałem

San-Rémo.

— Uważam go jako bardziej należącego do ciebie, niż do mnie. Ty jeden więc używaj go pod wierzch dla siebie, by na nim zabłysnąć w lasku Bulońskim.

— Z całego serca! codziennie jeśli pozwolisz wicehrabio.

— Najchętniej! Chcesz ażebym jutro ci go przysłał?

— Pragnę tego.

— Zatem, rzecz ułożona. Jeżeli będzie pogoda, przybędzie osiodłany, punktualnie o godzinie siódmej z rana; a ty mój chłopcze przyjeżdżaj do nas jutro przed wieczorem.

. . . . . .

W chwili gdy pan de Grandlieu wyjeżdżał z bramy pałacyku przy ulicy de Boulogne, mały powóz zaprzężony w jednego konia zatrzymał się tam przed osztachetowaniem.

Owym przybywającym był Filip Croix-Dieu.

— Byłem pewien, że przed upływem miesiąca Herminia sprowadzi go do Paryża, wyszepnął patrząc za odjeżdżającym panem de Grandlieu.

I wszedł do markiza San-Rémo.

Gdy baron wszedł, Andrzej nie wiedząc, że on spotkał przed pałacem pana de Grandlieu, zachował w tajemnicy bytność tegoż ostatniego.

Filip udawał zarówno, iż o tem nie wie i odszedł po krótkiej wizycie.

— Andrzej postanowił grać komedję. Wiedziałem o tem, mówił baron do siebie. Skłamał po raz pierwszy przedemną. Będzie teraz milczał lub kłamał dalej. Na szczęście, dodał z uśmiechem, znajdę sposób dowiedzenia się o wszystkiem.

I przystanąwszy na stopniach schodów, skinął na lokaja stojącego za oszklonemi drzwiami.

— Edmundzie, mój dobry chłopcze, rzekł do biegnącego ku sobie służącego, wszakże twój pan, pan markiz San-Rémo wyjeżdża konno codzień z rana?

— Tak panie baronie, jeśli jest pogoda.

— Jak długo bawi na tych przejażdżkach?

— Około dwóch godzin, nigdy mniej, a niekiedy więcej. Pan markiz wyjeżdża o siódmej rano a wraca o dziewiątej lub kwadrans na dziesiątą.

— Podczas jego nieobecności jesteś wolny?

— Tak, panie baronie.

— A więc któregokolwiek bądź rana wsiądź do fiakra i przyjedź do mnie. Potrzebuję z tobą pomówić. Wrócisz przed przybyciem pana markiza i nie będzie on nawet wiedział, że wychodziłeś z domu.

— Będę się starał być posłusznym panu baronowi, rzekł Edmund.

— Dobrze, bądź jednak dyskretnym.

— Niech się pan baron nie obawia. Dyskrecja jest cnotą, którą posiadam między innemi.

Tegoż samego dnia po południu, kupcowa roznosząca drobiazgi służące do uzupełnienia damskiej toalety, młoda, przyjemnej powierzchowności, ukazała się w pałacu de

Grandlieu z wielkiem pudłem w ręku, napełnionem koronkami, drobną biżuterją, wstążkami, kołnierzykami najświeższych fasonów pytając o pannę Marjettę.

Marjetta była garderobianą Herminii.

Pokojówka przyjęła chętnie kupcową a oczarowa elegancją i dobrym gustem fatałaszków, jakie sprzedająca z uwagi na ciężkie czasy i trudny zbyt towaru, ofiarowała za zdumiewająco nizką cenę, wprowadziła ją do swego pokoju.

Po długim przeglądzie towarów kupcowa odeszła, unosząc pudło wypróżnione i zostawiając Mariettę uszczęśliwioną tym targiem.

W następnym tygodniu, Croix-Dieu owej list tej treści:

„Odnalazłem. Współpracownicy są ludźmi pierwszorzędnych zdolności; wypełniać będą ściśle swój obowiązek,. Chodzi teraz o wynalezienie sposobności lub wytworzenie tejże. Schadzka u notarjusza de Boissy-Saint-Leger, S. V. P. dla bliższego porozumienia się w tym przedmiocie.

X. Y. Z.

— Nareszcie! wyszepnął baron i odpisał bezzwłocznie pod adresem panny Anity, oznaczając Sariolowi schadzkę żądaną.

Tegoż samego dnia około jedenastej w południe w chwili gdy Filip zabierał się do śniadania, służący oznajomił mu, iż jakaś dama starannie zakwefiona, przybywająca z przedmieścia św. Honorjusza, życzy z nim się widzieć.

— Wprowadź ją natychmiast, rzekł Croix-Dieu.

Przybyła bezzwłocznie się ukazała a powitawszy barona ukłonem, czekała w milczeniu na odejście służącego. Jednocześnie złożyła ukłon głęboki, któremu towarzyszył uśmiech żartobliwy.

— Pani jesteś panną Mariettą? nieprawdaż? pytał Croix-Dieu witając ją wzajem ukłonem.

— Do usług pana barona.

— Czy wiesz panno Marietto, że jesteś śliczną dziewczyną?

Pokojówka powtórnie się uśmiechnęła, ukazując dwa rzędy drobnych białych zębów, poprawiła włosy nastrzępione nad czołem a rozsiadłszy się swobodnie na fotelu odpowiedziała:

— Tak często powtarzają mi ów komplement panie baronie, iż muszę uwierzyć w niego.

— W tych twoich oczach, i tej zgrabnej talii spoczywają bogactwa!

— I o tem mnie także mówiono: wszak dotąd z tych bogactw nie otrzymałam korzyści. Być może później to nadejdzie. Poważam się jednak przypomnieć panu baronowi, że czas mam bardzo wyrachowany. Pani wicehrabina posłała mnie ze zleceniem, po załatwieniu którego wracać muszę co rychlej. Z rozmowy jaką miałam wczoraj z pewną kupcową, sprzedającą wstążki, wnoszę iż nie dla próżnej pogawędki pan baron życzył sobie moich odwiedzin?

— Masz słuszność, rzekł Croix-Dieu. Przystępujmy do rzeczy. A zatem.

— Zatem? powtórzyła Marietta.

Croix-Dieu sięgnął po pugilares, a dobywszy zeń banknot tysiąc frankowy podał go pokojówce.

— Otóż jesteśmy w porządku, rzekł. Wszak prawda?

— Najzupełniej! Niech pan baron pytać mnie raczy, jestem gotową odpowiadać.

— Pytać... na co?.. Wszakże wiesz dobrze Marietta o czem masz mnie zawiadomić?

— Ja coś lepszego nad to uczynię. Opowiadaniom niekiedy zbywa, na jasności. Mówiąc, zapominamy wielu ważnych szczegółów. Przygotowałam więc notatki. Rodzaj dziennika spisywanego z dnia na dzień.

— Ach! jak to mądrze pomyślane! Proszę o ów dzienniczek.

— Oto jest, odpowiedziała. I odpiąwszy górne guziki stanika, dobyła z zań zeszyt i podała go Filipowi.

— Zobaczmy, rzekł, rozwijając arkusze. Ho! ho! ale widzę że tego jest wiele, wyszepnął.

— Tak panie baronie. Nie ladajaka to praca; dokładna, szczegółowa, nic w niej nie brakuje. Przyjm pan to w zamian za swoje pieniądze.

— Byłem pewien tego podarunku z twej strony.

— Rzecz obiecana, rzecz święta! Przekonaj się więc pan z tego, że jestem uczciwą dziewczyną!

— Któżby miał wątpić o tem? odparł Filip z uśmiechem.

I zaczął czytać ów raport spisywany przez podstępną pokojówkę. Po przeczytaniu jednak a raczej przesylabizowaniu kilku pierwszych wierszy zaniechał czytania.

— Panno Marietto, rzekł, odczytywanie twych drobnych jak nóżki muchy hieroglifów, wymagałoby długiego czasu. Przeczytaj mi sama głośno ów nieoceniony dokument, słuchać go będę z zajęciem.

— Najchętniej!

I głośno czytać zaczęła:

„Niespostrzegłam tak na wsi jak i tu zarówno, ażeby pan markiz zalecał się do naszej pani; poznaję teraz jednakże, że tam coś być musi pomiędzy nimi, śledzić więc nieomieszkam.

„Czwartek godzina wpół do dwunastej.

„Pani wyjść nigdzie niechciała. Pan wicehrabia pojechał do klubu. Gdym przyszła rozbierać panią, miała zaczerwienione oczy, widocznie płakała. Zwykle jest ona dla mnie bardzo dobrą i pobłażliwą. Dziś w wieczór jednak ani słowa do mnie nie przemówiła. Co począć? Wielcy państwo kapryśnymi nieraz bywają!

„Piątek. Druga godzina.

„Pani jest w ogrodzie! Wydaje mi się dziś mniej smutną niż wczoraj; ale wzruszona, podrażniona, jak gdyby rozgorączkowana. Z okna sypialni śledzę jej każde poruszenie. Idzie ku żelaznym sztachetom przysłoniętym powojem, jakie zamykają ogród od strony pól Elizejskich. Zatrzymuje się. Spogląda w około siebie. Uniósłszy łodygi powoju wydobywa z owej zaimprowizowanej kryjówki coś, czego rozeznać nie mogę. Coby to było takiego?

Następnie spieszy na drewniane schody altany której całe wnętrze widzę z mojego okna. Pani trzyma list w ręku i czyta go. Domyślam się teraz co ona z pod powoju wyjęła.

„Odczytywanie tego listu dość długo trwało. Skończywszy raz, odczytuje na nowo, poczem wsunąwszy paier w kopertę, składa ją na dwoje i ukrywa na piersiach pod koronkami stanika.

„Wyszedłszy z altany, wraca zwolna do pałacu. Ukrywam się w garderobie, przytykającej do sypialnego pokoju pani. Gdyby mnie tu zastała, łatwo mi będzie przed nią się wytłumaczyć.

„W garderobie zajęłam takie miejsce, ażeby zeń widzieć każde poruszenie wicehrabiny.

„Z razu stała nieruchoma z pochyloną głową i ręką przyciśniętą do lewej strony piersi. Wśród panującej dokoła ciszy zdawało mi się, iż słyszę bicie jej serca. Nagle, podniosła głowę, a zbliżywszy się ku tym samym drzwiom, któremi weszła, zamknęła je na klucz na dwa razy i podszedłszy do kominka zapaliła świecę. Sądziłam,, że będzie coś pisać lub pieczętować, ale się omyliłam.

„Wyjąwszy z za gorsa list znaleziony pod bluszczem i tak chciwie czytany w altanie, zbliżyła go do zapalonej świecy.

„Pani ze smutkiem patrzyła na list niknący w płomieniach, a gdy spostrzegła ostatnią iskierkę, błąkającą się na zczerniałych szczątkach papieru westchnęła ciężko i wyszła z pokoju.

„Zatrzymałam się przez kilka minut a usłyszawszy panią grającą w salonie na fortepianie jakąś smutną melodję, wbiegłam do jej pokoju i w głębi kominka znalazłam pośród popiołów maleńki szczątek papieru.
jakiego ogień strawić nie zdołał“.

I Marietta sięgnęła po portmonetkę, śliczne cacko, w kość słoniową z posrebrzanemi brzegami oprawną, a z jednego jej przedziału dobyła kawałek zżółkniętego okopconego od dymu i wypalonego po brzegach papieru.

Pięć wyrazów zajmowało całą długość owego skrawka. Brzmiały one:

„Zapewniona nadzieja. Dla czego potrzeba!“

Nie stanowiło zaiste to żadnego zdania, ani nawet sensu, wystarczyło wszelako baronowi do rozpoznania pisma Andrzeja i nie zadziwiło go wcale, ponieważ obecnie nie miał żadnej wątpliwości w tej mierze.

— Na honor panno Marietta, rzekł, jesteś dziewczyną wyjątkową. O wszystkiem myślisz. Przewidujesz wszystko! Wicehrabina de Grandlieu jest szczęśliwą, że cię ma u siebie.

— Gdyby wiedziała co mi zjednywa ten pański komplement, odpowiedziała śmiejąc się pokojówka, inaczej by ceniła to swoje szczęście. Lecz czas mi odejść panie baronie; pozwól więc, iż dokończę czytania.

I czytała dalej:

„Sobota godzina druga.

„Tylko co wyszłam z przedpokoju. Wicehrabia wyjechał karetą, a jednocześnie markiz de San-Rémo przybył do pałacu. Pani nie zakazała dziś przyjmować gości. Zameldowano więc pana markiza.

„Trzecia godzina.

„Wymknęłam się do ogrodu, i ukryta w gęstym klombie krzewów pod oknami widziałam wszystko co się działo w błękitnym buduarze, gdzie pani zwykle po południu

przyjmuje swych gości.

„Wielki stor koronkowy spadając na szyby, zasłaniał je wprawdzie; odnalazłam jednak sposobność przekonania się, iż tam nie działo się nic niebezpiecznego dla pana wicehrabiego. Markiz de San-Rémo siedział może trochę bliżej mej pani, niż by należało; i jedną jej rękę trzymał w swych dłoniach. Pani od czasu do czasu czyniła poruszenia aby mu ją odebrać. Czyniła to jednak widocznie bez przekonania, i nie na serjo, ponieważ nie puścił jej ręki.

„Widzę teraz, iż nie ulega zaprzeczeniu, że markiz szalenie jest zakochanym w mej pani, i że ona nie obojętnie patrzy na tę miłość.

„Jest to niemoralnie, wiem o tem; ponieważ pani jest zamężną. Ależ mój Boże, rzecz to naturalna! Oboje są tacy młodzi, tacy piękni, tacy powabni! Mnie bardzo zajmuje ta gruchająca miłośnie para! Jakżebym rada była, ażeby byli szczęśliwi!“

— Lecz cóż od soboty tam zaszło nowego? zapytał Croix-Dieu.

— Nie wiele szczegółów panie baronie. Markiz de San-Rémo bywa u nas codziennie. Niewiem jak on się tam urządza, lecz zwykle przybywa w chwili gdy wicehrabia ma wyjechać, albo wychodzić. Onegdaj był u nas znowu na obiedzie, a wieczorem pojechał z panią i panem do cyrku na polach Elizejskich. Wczoraj nie był wcale, a pani, której dobrze pilnowałam, zeszła o drugiej godzinie do ogrodu, gdzie znów jak pierwszym razem znalazła list pod powojem

— Cóż się stało z tym listem?

— Niewiem tego. Jestem tylko przekonaną, że pani go

nie spaliła, bo nigdzie nie dostrzegłam śladów popiołu. Teraz uciekam baronie. Przyjdę znów jak będę mogła najprędzej. Gdyby zaszło coś nadzwyczajnego, znajdę pozór wymknięcia się z domu, i chociaż jednem słówkiem powiadomię pana.

— Pozostań jeszcze chwilę, tylko dwa lub trzy zapytania. Kto odnosi listy pani de Grandlieu na pocztę? badał Croix-Dieu.

— Czasami kamerdyner pana wicehrabiego, najczęściej jednak ja odnoszę pani korespondencję.

— Jak wicehrabina pieczętuje te listy?

— Lakiem zielonym.

— Cóż jest wyrytem na jej pieczątce?

— Pani posiada dwie pieczątki, i używa jednej lub drugiej na przemiany. Na pierwszej są połączone herby de Grandlieu i Randalów. Na drugiej litery: H. R. co znaczy Herminia de Randal.

— Dziękuję ci Marietto, rzekł Croix-Dieu. Teraz wiem już wszystko, co wiedzieć chciałem.

I usłużna pokojówka złożywszy zgrabny ukłon zwróciła się ku drzwiom.

— Ale! panno Marietto! zapominasz o swojej nagrodzie, wołał śmiejąc się Filip.

Baron otworzywszy pugilares wsunął powtórnie bilet bankowy w rękę garderobianej, która uszczęśliwiona wybiegła z pokoju.

Ów pająk Paryzki, ten niebezpieczny awanturnik, który był kolejno Robertem Saulnier, hrabią Loc-Earn, Fryderykiem Müller, a wreszcie baronem Croix-Dieu

niemniej był zadowolonym.

— Sieć zaciska się coraz szczelniej, mówił do siebie zacierając ręce, zbliża się chwila w której wszystkie muchy w niej uwięzną!

*
* *

Nazajutrz rano kilka minut po ósmej, wszedł wezwany służący markiza San-Rémo do Filipa.

Zbyt przebiegły, ażeby nie miał wiedzieć, iż skoro baron wezwał go do siebie, musiał mieć ku temu jakąś konieczną potrzebę, wszedł do gabinetu z miną pokorną a chytrą, gotów sprzedać swoje usługi za dobre pieniądze.

Croix-Dieu był nazbyt wprawnym fizjonomistą, ażeby za pierwszym rzutem oka nie odkrył charakteru sługi, markiza. Stosownie więc do tego, postanowił odrazu, bez ogródek, przystąpić do rzeczy.

— Edmundzie, mój dobry chłopcze, rzekł do niego, pan de San-Rémo jest bardzo z ciebie zadowolonym, powtarza mi to bezustannie, i ja sam wiem że służysz mu wiernie, z poświęceniem.

— Dziękuję panu baronowi za tak pochlebne zdanie, rzekł sługa. Znając me obowiązki staram się je jak najlepiej wypełniać.

— Wiesz, że jestem przyjacielem twojego pana, jego — najlepszym, najzaufańszym przyjacielem.

— Wiem o tem panie baronie.

— Otóż nastręcza się sposobność wyświadczenia panu

de San-Rémo nader ważnej usługi. Gotów jestem wszystko uczynić w tej mierze, ale ponieważ tu trzeba działać mimo jego wiedzy, musisz mi więc przyjść z pomocą.

— Pan baron znajdzie mnie zawsze gotowym na swoje rozkazy, gdzie chodzi o dobro mojego pana.

— Potrzeba ciągłego, bezustannego czuwania nad niektóremi szczegółami domowego życia mego młodego przyjaciela, a ztąd i zdawania mi sprawy ze wszystkich otrzymanych spostrzeżeń.

Edmund przybrał postawę niezadowoloną, niby postawę obrażonego we własnej godności człowieka.

— Ależ, panie baronie! zawołał, jest to poprostu szpiegostwo!

— Co ci się przywiduje mój chłopcze! zawołał Filip ze śmiechem, i jak brzydkich ku temu używasz wyrażeń! Będąc daleko starszym od pana de San-Rémo, uważam się niejako za jego opiekuna. Ztąd pragnąc go uchronić od pewnych niebezpiecznych szaleństw, jakie by opłakane skutki sprowadzić dlań mogły, potrzebuję dokładnie, lecz potajemnie być powiadamianym o wszystkich jego czynnościach. Czyliż więc czuwanie w tak szlachetnym celu można nazwać szpiegostwem? sam powiedz?...

— Nie przeczę panie baronie, rzekł chłopiec. Zapatrując się z tego stanowiska rzecz się przedstawia inaczej. Wszak gdyby mój pan spostrzegł, że ja go podglądam, nie bacząc na powody, jakie mnie ku temu skłoniły, oddaliłby mnie niezwłocznie, co nie jest dla mnie pożądanem mając u niego tak dobre miejsce.

— Najprzód jesteś zbyt zręcznym, ażebyś się dał na tem

pochwycić; a potem powiedz mi jakie pobierasz wynagrodzenie od swego pana?

Edmund wymienił przesadzoną cyfrę.

— Dobrze, rzekł Filip. Gdyby cię markiz miał kiedy oddalić, natenczas ja przyjmę cię do siebie z podwyższoną płacą, a nadto, oddzielnie cię wynagrodzę za gorliwość okazaną dla dobra twojego pana. Przyjm teraz tę oto drobnostkę na rachunek przyszłego mego zadowolenia.

I jednocześnie podał mu bilet bankowy.

Ów tak wyborny argument przekonał do reszty służącego. Schował skwapliwie banknot do kieszeni.

— Pan baron może liczyć na moje współdziałanie, odpowiedział. Skoro tu idzie o dobro mojego pana, wszystko gotów jestem uczynić, a dowiedziawszy się co mi robić wypadnie, oddam się pod rozkazy pana barona.

— Robota twoja będzie nader łatwą i prostą. Czy wszystkie listy nadsełane do pana San-Rémo przez twoje przechodzą ręce?

— Tak, panie baronie. Odbieram je zwykle od odźwiernego.

— Otóż więc staraj się na przyszłość odróżniać koperty wszystkich listów. Jeżeli która z tych kopert będzie zapieczętowana lakiem zielonym, na którym zobaczysz dwie litery, naprzykład H. R. przybywaj do mnie natychmiast z doniesieniem, a w zamian za tę wdzięczność otrzymasz odemnie taki sam bilet bankowy, jaki przed chwilą dostałeś.

— Może pan baron liczyć na moją skwapliwość i akuratność. Czy to już wszystko.

— Nie jeszcze. Powiedz mi czy sobie przypominasz pewną zakwefioną damę, która pewnego wieczora podczas choroby twojego pana, przyszła sama jedna do waszego domu?

— Pamiętam to doskonale!

— Od tego czasu czy nie była ona u was w pałacu?

— Nigdy!

— Gdyby więc kiedykolwiek się tam ukazała, rzuć wszystko, a przybiegnij mnie zawiadomić. Dostaniesz wtedy nie jeden ale dwa bilety tysiąc frankowe.

— Spełnię to panie baronie. Nie dla pieniędzy, ale przez czyste poświęcenie.

I pobiegł na ulicę Bulońską, błagając nieba o jak najwięcej listów dla swego pana z zielonemi pieczątkami, i jak najwięcej odwiedzających go dam w czarnych zasłonach.

Tydzień upłynął.

Sariol pod postacią pana Vergeot notarjusza z Boissy-Saint-Leger, nie zaniedbał stawić się na oznaczoną mu schadzkę przez barona, i po długiej rozmowie pomiędzy dwoma niegdyś wrogami a dziś sojusznikami, rozmiłował się nagle w życiu wiejskiem, a głównie w łowieniu ryb na wędkę. Codziennie więc krążył na brzegach Sekwany, chociaż mu się nie udawało złowić ani jednego kiełbika.

W ciągu tego czasu Croix-Dieu widział po kilka razy Andrzeja i szczególną dostrzegł w nim zmianę.

Młodzieniec wydał mu się być niezmiernie smutnym, i mimo wszelkich usiłowań złudzenia barona, nie zdołał ukryć przed nim ani swego zniechęcenia do życia, ani

głębokiej melancholii w jakiej był pogrążonym.

— Cóż jest twojemu panu? pytał Croix-Dieu Edmunda wychodząc raz od markiza San-Rémo.

— Niewiem panie baronie, rzekł sługa, i to mnie wielce niepokoi. Do mnie już on się prawie wcale nie odzywa, ale za to sam mówi do siebie. Podsłuchiwałem kilkakrotnie pod jego drzwiami, lecz słyszałem tylko zdania bez związku, świadczące, że mój pan musi być bardzo nieszczęśliwym.

— Czy go odwiedzał pan de Grandlieu.

— Był u niego dwa razy, a jednego wieczora przyprowadził za sobą swego konia Tontona.

— Kogo innego zaniepokoiłoby to może, i sądziłby, że wszystko stracone, pomyślał Filip wsiadając do powozu. Ja jednak odgaduję lepiej, i widzę że chwila stanowcza się zbliża. Jest to już ostatnia walka, ostatni wysiłek oporu, biedna wicehrabina! Będzie miała przynajmniej tę chwałę, że dzielny opór stawiała swojej miłości. Wkrótce ciekawych dowiemy się rzeczy.

Zaledwie Croix-Dieu wrócił do domu, oznajmiono mu przybycie panny Marietty, staranniej niż zwykle zakwefionej.

— Panie baronie, rzekła, ważne przynoszę dziś wiadomości.

Filip uśmiechnął się.

— Od ostatniej mojej bytności u pana barona, pani moja zmieniła się do niepoznania. Surowo poleciła drzwi zamknąć przed wszystkimi. Nie przyjmuje nikogo.

— Ani nawet pana San-Rémo.

— Jego szczególniej! Mówię, uważaj pan, szczególniej

ponieważ wicehrabia przyprowadził go wczoraj na obiad, pani pod pozorem migreny nie przyszła wcale do stołu; co przekonało mnie, że fałszywemi były moje domysły, jakoby kochała pana markiza. Nie! ona go widocznie cierpieć nie może, i kocha kogoś innego!

— Tak, ale kogo?

— Nie wiem, lecz to pewna, że moja pani codzień wychodzi do ogrodu, i że pod powojem przy sztachetach żelaznych znajduje listy, które odczytuje potajemnie. Gdyby pan de San-Rémo był autorem tych listów, pani nie kazałaby go odprawiać nie widząc się z nim w pałacu.

— Mówisz arcylogicznie! odparł Croix-Dieu. Powiedz mi jednak me dziecię, czy nigdy myśl ci nie przyszła ażebyś znając ową kryjówkę pod bluszczem, kiedykolwiek uprzedziła swą panią i zabrała jeden z owych miłosnych liścików?

Marietta oburzona zerwała się z krzesła.

— Co? zawołała, nigdy w życiu! Mogłam się zgodzić na udzielanie panu baronowi niektórych drobnych wiadomości, ponieważ pragnąc wyjść za mąż, potrzebuję choćby małego posagu, ale złodziejką nie będę!

Wprędce uśmierzyło się jednak to nagłe oburzenie subretki.

— Nie wszystko to jeszcze panie baronie, dodała po chwili. Pozostaje coś ważniejszego do opowiedzenia. Pani dotąd tylko odbierała listy. Teraz już sama na nie odpisuje.

— Jestżeś tego pewną? zapytał Croix-Dieu.

— Jak najpewniejszą! Pan baron sam przekona się o tem. Przed dwiema godzinami weszłam do pokoju pani z pudlem

koronek, które jej ze sklepu przysłano. Pani pieczętowała właśnie natenczas list lakiem zielonym, i mniejszą pieczątką z dwiema cyframi. „Odnieś te koronki do garderoby!“ zawołała opryskliwie, nie spojrzawszy nawet na towar, mimo że te koronki były bardzo pięknemi. Spełniwszy rozkaz, wróciłam do pokoju będąc pewną, że pani każę mi list ten odnieść na pocztę. Omyliłam się jednak. Nie było już żadnego listu, a pani siedząc podparta na krześle, nic do mnie nie mówiła. Dziwnem mi się to wydało. Podejrzywając coś w tem ukrytego, podglądać i śledzić zaczęłam. Po upływie kwadransa, pani włożyła kapelusz, zarzuciła płaszczyk na siebie, i wyszła z pałacu pieszo, sama jedna. I ja tak samo zrobiłam, i poszłam za panią.

— Gdzież szła wicehrabina?

— Niedaleko. Najprzód wstąpiła do składu różnych drobiazgów, znajdującego się nawprost naszego pałacu, gdzie kupiła kilka cacek porcelanowych; następnie udała się na róg ulicy do skrzynki pocztowej. Zatrzymawszy się tu, wydobyła list z kieszeni, a obejrzawszy się w około siebie, wrzuciła go w skrzynkę, poczem wróciła do pałacu. Cała ta jej wycieczka nie trwała dłużej nad dziesięć minut. Ja zaś wskoczyłam do fiakra, i otóż tu jestem. Cóż pan baron myśli o tom wszystkiem?

— Myślę że jesteś rozumną dziewczyną Marietto, przed której okiem nic się nie ukryje, a razem odgaduję, że twoja pani odpisała rzeczywiście owemu nieznajomemu zakochanemu w niej korespondentowi, rzekł Filip

otwierając dobrze wyładowany pieniędzmi pugilares, na co dziewczyna mile się uśmiechnęła.

XI.

Tegoż samego dnia Croix-Dieu wrócił do domu na krótko przed północą.

— Panie baronie, rzekł jego lokaj, służący pana markiza San-Rémo czeka tu już od godziny.

— Wprowadź go do mego gabinetu, rozkazał Filip.

Chłopiec rozpromieniony radością, zaczął zdawanie raportu.

— Panie baronie, przynoszę ciekawą wiadomość.

— Dobrze mój kochany, cóż mi więc powiesz?

— Mój pan otrzymał dziś list pocztą miejską. Na zielonej lakowej pieczątce wyryte były litery H. E. Oddałem natychmiast ten list mojemu panu i zdawało mi się że dobrze uczynię patrząc przez dziurkę od klucza, jaki też skutek wywoła na pana markiza pomieniona korespondencja.

— Wyborną myśl miałeś Edmundzie! Cóżeś więc zobaczył? Pan markiz był zadowolony?

— Najprzód ucałował ów list, potem przeczytał od początku do końca. Skończywszy czytanie, znowu go ucałował i zaczął czytać na nowo a w przerwach przyciskał list do serca. Mogło to trwać do nieskończoności, opuściłem więc moje stanowisko. Wybiegłem więc z pałacu, żeby o wszystkiem donieść panu baronowi.

— Jesteś nieocenionym Edmundzie! zawołał Filip. Oto

umówione wynagrodzenie.

— Dziękuję panu baronowi, rzekł chłopiec biorąc pieniądze.

— Czy nie wiesz co twój pan uczynił z tym listem?

— Niewiem tego.

— No! nie ustawaj w swej gorliwości. Śledź z podwojoną uwagą, a gdy przybędą listy podobne temu, staraj się odkryć, gdzie pan de San-Rémo je chowa po przeczytaniu, bo zdaje mi się, że ich nie niszczy. Gdyby wypadkiem, który z tych bilecików wpadł w twoje ręce, co spodziewam się, że wkrótce nastąpi, za przyniesienie mi tegoż dostaniesz odemnie tysiąc franków.

— Ach! panie baronie, zawołał służący zapalony chciwością, już jak gdybym miał te pieniądze.

— Oto chłopiec, który gotów jest wyłamać wszystkie zamki w meblach swojego pana, by w zamian pochwyciwszy w jak najkrótszym czasie korespondencję pani de Grandlieu zamienić ją na obiecane pięćdziesiąt luidorów. Przybywamy do portu! Płyniemy! myślał z radością Filip.

Załączamy czytelnikom treść listu, który Andrzej tulił tak namiętnie do serca i okrywał pocałunkami. Czytelnicy po odczytaniu go zawołają wraz z nami: Biedne dziecię! Biedna Herminia!“

Zawiera! on te słowa:

„Jesteś bez litości! Mówisz albowiem o śmierci, jak o tem mówiłeś w Grandlieu, w dniu w którym wymogłeś na mnie obietnicę widywania się z tobą.

Powróciwszy do Paryża przyjęłam cię u siebie...

Powtarzałeś mi, że mnie kochasz. Nie nakazałam ci milczenia, chociaż później wstydziłam się mojej nikczemności. Chciałam na nowo podźwignąć mój obowiązek, odsunąć cię od siebie, zmusić cię do zapomnienia, do niesłyszenia twych wyznań, do nie plamienia więcej zdrady i kłamstwem mojego życia. Byłoż to występkiem z mej strony?

Niestety! okazało się to niemożebnem!

W Grandlieu, przez krótką chwilę ufałam twej wspaniałomyślności. Zawiodłam się jednak. Jesteś okrutnym samolubem! Mówią, że wy wszyscy mężczyźni jesteście takimi. A byłoby tak pięknie, tak wzniosie, tak szlachetnie, nie być ci podobnym do tych, którzy są samolubnymi. Dla ciebie jednak widzę jest to niemożebnem.

O! należało ci pojąć Andrzeju me walki, moje wzburzenia przeciw sobie samej, moje męczarnie! Gdybyś ty wiedział jaki mnie wstyd ogarnia, gdy spojrzę wgłąb siebie. Kłamać, i oszukiwać, zmuszona, ja! Herminią de Randal! Boże, mój Boże! a urodziłam się tak uczciwą!.. Andrzeju!.. cóżeś z mej czystej duszy uczynił! Gubisz mnie a ja ci przebaczyć to muszę! Nie masz litości nademną, być może dla tego, iż nazbyt mnie kochasz.

Piszesz mi, iż jeśli ci dziś nie odpowiem, jeżeli sama nie usunę tych przeszkód, jakie usiłowałam wznieść pomiędzy nami, jutro już niczego lękać się nie będę potrzebowała, bo jutro już żyć nie będziesz.

Krępując mnie w ten sposób, cóż chcesz ażebym uczyniła? Mojaż będzie w tem wina jeśli twym prośbom

ulegnę? Wiesz dobrze, iż mnie takiemi groźbami przekonasz.

Przebacz mi wyrzuty jakie ci tu czynię, wszak widzisz że ja w tej chwili zmysły tracę prawie zupełnie! Na co ci piszę tyle bolesnych rzeczy? Kreślę to pomimowolnie. Przebacz mi, przebacz! Kochasz mnie więcej nad własne życie, wiem o tem; bo inaczej gdybym o tem wątpiła nie myślałbyś o śmierci. Wierzże więc temu i kocham cię z całej duszy! Wiem, że jest występkiem tak kochać i przewiduję ciężkie wyrzuty sumienia i wielkie nieszczęścia, jakie ta miłość za sobą sprowadzi. Przewiduję je i poddaję się im z całą uległością, ponieważ będzie to wymierzona sprawiedliwość!

Piszę ci o tem po raz ostatni, odtąd nie zasmucę cię już ani jednym wyrazem, ani łzą jedną, ni jedną skarga!

Mówisz, że nie widząc mnie żyć nie możesz. Zobaczysz mnie więc, lecz nigdy w pałacu de Grandlieu, nigdy! Słuchać wyznań twojej miłości w domu człowieka, którego szanuję i cenię nad wszystko na świecie, którego kocham przywiązaniem córki, w podobny sposób odpłacać zdradą za jego ufność, pojmujesz, że to byłoby najnikczemniejszem z mej strony!

Przestąpić próg twego mieszkania jest dla mnie niemożebnem. Szukaj więc i odnajdź jakie tajemne schronienie, gdziebym niekiedy na krótką chwilę przybiedz mogła a złożywszy drżącą mą rękę w twej dłoni, mogła poszepnąć ci z cicha: „Kochaj mnie! kochaj zawsze, bo wiele cierpię dla ciebie i siebie.“

Przekonaj się więc ile cię kocham, że przed niczem

gotowa jestem się nie cofnąć, na co składam niestety dowody. Gdyby o moje tylko życie chodziło i gdybym publicznem zgorszeniem nie zraniła serca czcigodnego starca, którego jestem żoną, wystawiłabym się na wszystko! Powiedziałabym ci Andrzeju, uciekajmy razem! Ta zbrodnia nie byłaby przynajmniej zdwojona podłością! Jest to wszelako niemożebnem. Umarłby on z przekleństwem dla mnie na ustach!

Andrzeju! dla czego mi napisałeś, iż jeżeli dziś odmówię widzenia się z tobą, ty jutro umrzesz?

Oby mi Bóg przebaczył to, co czynić zamierzam!

Pojutrze o godzinie pierwszej w południe przyjadę i wejdę do kościoła świętej Magdaleny. Zdobędę się na tę bezbożną zuchwałość, ja której serce napełnia tak głęboka wiara!

Będę klęczała w drugiej bocznej kaplicy, na lewo. Tam pochylona pod nadmiarem mej winy, przyciśniona brzemieniem mej zbrodni, oczekiwać będę na ciebie.

Nie mów nic do mnie w kościele. Sklepienia tego świętego miejsca zapadły by się nad nami.

Oznaczać schadzkę miłosną przed ołtarzem. Pokrywać zdradę modlitwą! Kłamać wobec Boga. Ach! jak to ohydne! Chciałeś tego jednakże.

Jakąż mi karę wymierzy ten Bóg, którego w taki sposób obrażam? Niechaj we mnie uderzy. Czekam i chylę czoło z pokorą. Lecz niech mnie tylko dosięgnie a ciebie w miłosierdziu swem niechaj oszczędzi!

Wyjdź pierwszy z kościoła a ja wyjdę za tobą: gdzie tylko mnie zaprowadzisz, pójdę.

Herminia“.

Ztąd nadzwyczajna radość Andrzeja podpatrzona przez Edmunda, o której wierny ów sługa przybiegł zawiadomić barona de Croix-Dieu.

XII.

Skoro po pierwszym wybuchu szalonej radości markiza nastąpiło względne uspokojenie, pogrążył się on w głębokiej zadumie.

Herminia zakończyła list temi słowy: „Gdzie zaprowadzisz mnie, pójdę.“ I gdzież ją zaprowadzić?

Spotkanie miało nastąpić trzeciego dnia o godzinie pierwszej w południe.

Andrzej miał zatem dwa dni tylko przed sobą na wynalezienie tego gniazdka miłości i uczynienia go godnem przyjęciu ubóstwianego gościa.

Jakoż nazajutrz od rana rozpoczął poszukiwania i udał się w okolice tego arystokratycznego kościoła.

Przypadek posłużył mu pomyślnie w tym razie. Na jednym z domów przy ulicy Castelane spostrzegł na bramie tablicę z napisem oznajmującym o kilku mieszkaniach do wynajęcia.

Ulica ta jako niezbyt ludna, i nieposiadająca mieszkań podejrzanych, zdawała się być odpowiednią. Dom wydał mu się być spokojnym, i jak nazywają Anglicy „szanownym“.

Wszedł więc tam, żądając bliższych objaśnień od odźwiernego.

— Czy pan sam dla siebie poszukuje mieszkania? zapytał go tenże.

— Tak, dla siebie.

— W takim razie mamy mieszkanie w antresoli, złożone z trzech pokoi, bardzo wygodne, które jestem pewien, że się panu podoba. Moja żona mogłaby panu uprzątać i posługiwać, jeśli pan zechce.

— Zgadzam się na to. Zobaczmy ową antresole odrzekł San-Rémo.

Mieszkanie to składało się z przedpokoju, saloniku i sypialni. Maleńki ten lokal niski, nieco ciemny, tworzył dość brzydką całość.

— Jakaż cena tego mieszkania? zapytał Andrzej po obejrzeniu.

— Tysiąc franków, jeżeli za kontraktem półrocznym albo kwartalnym, zaś tysiąc dwieście, jeśli zapłata miesięczna bez kontraktu.

— Wynajmę miesięcznie. Nazywam się Andrzej Bernard, rzekł markiz, mieszkam w Saint-Germain. W Paryżu radbym mieć tylko małe mieszkanie do którego czasami mógłbym zajechać. Jutro tapicer mój zajmie się wewnętrznem urządzeniem, i wprowadzi tu meble. Oto dwa luidory na zadatek, a trzeci na piwo dla ciebie.

— Dziękuję jasnemu panu! zawołał odźwierny. Jesteś pan odkąd jak gdyby we własnym swym domu, i wprowadzić się możesz skoro się podoba.

Urządzając swoje mieszkanie przy ulicy de Boulogne,

San-Rémo zapłacił za wszystkie meble do tegoż gotówką, ztąd liczył, że w razie potrzeby znajdzie nieograniczony kredyt u swego tapicera, i nie tracąc czasu udał się na bulwar Haussmana, gdzie tapicer nazwiskiem Sylvain miał obszerne swe składy, i zażądał od tegoż wspaniałego umeblowania i udekorowania wynajętego lokalu.

W Paryżu wiedzą dokładnie o finansowem położeniu każdej osobistości należącej do wyższych sfer towarzyskich. Być może, że ów pan Sylvain zasłyszał coś o pieniężnych kłopotach swojego klienta. A może wiedział, że komornicy dzwonili już niejednokrotnie do drzwi jego mieszkania, to też na żądanie kredytu przez Andrzeja odpowiedział:

— Będzie to kosztowało do dziesięciu tysięcy franków. Ufam niezachwianie w punktualność pana markiza. ale dziś interesa idą nam tak ciężko! Ogólna prawie stagnacja! Bankierowie trzymają kasy zamknięte; pieniądz coraz trudniejszym się staje. Ja sam nie mając otwartego kredytu muszę być nader oględnym w udzielaniu go innym. Jakąż kwotę mógłby mi pan markiz dziś wypłacić?

— Żadnej obecnie. Z dniem pierwszym przyszłego miesiąca będę panu płacił miesięcznie po tysiąc franków.

— Na takich warunkach uważam interes ten dla siebie za niemożebny, odparł przemysłowiec. Odrazu panu markizowi wyjaśnię na czem mógłbym poprzestać, chcąc nadal zjednać sobie pańskie względy. Pięć tysięcy franków zaraz, gotówka; a reszta w ratach trzy lub czteromiesięcznych.

— Ostateczna to propozycja z pańskiej strony?

— Ostateczna, panie markizie. Pragnąłbym większą panu uczynić dogodność i oddać się na pańskie usługi, ale widzi Bóg, niemogę, będąc sam bardzo ścieśnionym.

— Weź pan potrzebne miary na rozległość lokalu wyrzekł San-Rémo po chwili. Za godzinę przyniosę panu żądane pięć tysięcy franków, lub też zupełnie wyrzeknę się tego umeblowania.

Andrzej wsiadłszy do kabrjoletu kazał się wieść na ulicę św. Łazarza do pana Croix-Dieu.

Filip, jak wiadomo czytelnikom, z niewyczerpaną a trudną do wytłómaczenia skwapliwością, ofiarował się być bankierem Andrzeja od chwili, gdy temuż wypłata owej tajemniczej pensji po sześć tysięcy franków miesięcznie nagle wstrzymaną została za pośrednictwem notarjusza pana M. F., z ulicy Belle-chasse.

Jakim sposobem San-Rémo, którego delikatność i wrodzoną prawość charakteru tak dobrze znamy, przyjmował tak znaczne zaliczki, których udzielania nic nie usprawiedliwiało i których prawdopodobnie nigdy zwrócić niemógl? Dlaczego sam w obec siebie uniewinniał to dziwne położenie człowieka, żyjącego wystawnie kosztem drugiego, któremu nie był ani bliskim ani dalekim nawet krewnym?

Dla usprawiedliwienia postępowania młodzieńca, musimy przywieść na jego korzyść pewne łagodzące okoliczności.

Najprzód i przedewszystkiem on kochał gorąco a zatopiony wyłącznie w tej swojej miłości, zbyt mało zwracał uwagi na szczegóły życia materjalnego. Poniżyć się

w oczach Herminii, nie mogąc się ukazać przed tą milionerką w blaskach człowieka bogatego, byłoby dla niego upokorzeniem do niezniesienia. Dzięki wspaniałomyślności barona, położenie Andrzeja nie zmieniło się wcale, pozory elegancji i zbytku też same pozostały. Któżby więc na miejscu młodzieńca zdobył się na heroizm odtrącenia tej dłoni, która byt jego podtrzymywała?

Zresztą baron powtarzał mu tyle kroć razy: „Jestem bogaty. Nie mam rodziny. Na tym świecie dla nikogo nie czuję takiego przywiązania jak dla ciebie“, że w końcu Andrzej wyrobił sobie przekonanie, iż Filip widzi w nim przyszłego swego spadkobiercę, i pomienioną hojność uważał pod pewnym względem jako zaliczenia dawane mu na rachunek tej przyszłej sukcesji.

Obecnie udawał się on na ulicę św. Łazarza nie bez pewnego jakiegoś instynktownego wstrętu, musiał to jednakże uczynić nie widząc innego środka wyjścia ze swego bardzo przykrego położenia, nie wątpiąc, iż ów straszny jego przyjaciel przyjdzie mu znowu w pomoc ze zwykłą sobie uprzejmością.

XIII.

Croix-Dieu znajdował się właśnie u siebie w domu.

— Mogęż uwierzyć mym oczom? zawołał widząc wchodzącego Andrzeja, tyżeś to mój chłopcze? Tem więcej cieszę się z twego przybycia, iż tak rzadko teraz widzieć cię

można.

— Wstydzę się przyznać kochany baronie, odrzekł San-Rémo pragnąc ukryć swoje zakłopotanie, że dzisiejsza moja wizyta nie jest bez celu.

— Jakiekolwiek bądź powody sprowadzają cię do mnie, odparł Croix-Dieu, witam cię najserdeczniej. Jeżeli mnie potrzebujesz w czem bądź, tem lepiej.

— Przychodzę prosić o pewną przysługę.

— Jeżeli tylko jest w mej mocy uczynić coś dla ciebie, uczynię. Mów więc o co idzie?

— O kwestję pieniężną.

— Do czarta! Źle tym razem trafiłeś. Szalona chęć mnie wczoraj ogarnęła założyć bank u hrabiny de Tréjan. Nieprzyjazna karta ścigała mnie bez litości. Bądź co bądź, zobaczymy. Jak dużej potrzebujesz kwoty pieniędzy?

— Pięciu tysięcy franków.

— Drobnostka! Fraszka ta jednak wobec mojej wczorajszej nieszczęśliwej gry w bakarata większą jest niż się wydaje. Nie obawiaj się jednak; w kłopotach cię nie pozostawię. Lecz pozwól mi zadać sobie kilka zapytań, nie przez próżną ciekawość, ale dla łatwiejszego przyjścia ci z pomocą. Przedewszystkiem więc powiedz mi czy tu chodzi o jaki dług honorowy? Przegrałeś co w karty?

— Wszak wiesz baronie że nie gram.

— Zkąd więc ta nagła potrzeba?

— Kochany baronie, wyszepnął stłumionym głosem młodzieniec, powiem ci szczerze, otwarcie.

— Skłamie napewno, pomyślał Croix-Dieu. Poczem dodał głośno: Mów, słucham cię.

— Wszak radziłeś mi sam, zaczął Andrzej, ażebym szukał rozrywek. Otóż korzystając z rad twoich jestem na drodze znalezienia tego lekarstwa.

— Pocieszająca wiadomość! Kobietę chcesz wyleczyć kobietą. Miłość miłością.

— Jeżeli nie miłością, to choć chwilowym kaprysem, odrzekł San-Rémo rumieniąc się pomimowolnie, zdawało mu się bowiem, że mówiąc w ten sposób wypiera się Herminii, że bluźni przeciw niej. Pewna, bardzo piękna kobieta, okazuje mi wiele życzliwości, należąc jednak do wyższych sfer towarzystwa, potrzebuje zważać na wiele. U siebie przyjmować mnie nie może. U mnie bywać jej niepodobna; musimy się więc spotykać w jakiem oznaczonem miejscu.

— Rozumiem, odpowiedział Croix-Dieu. Idzie więc o urządzenie w jakiej oddalonej części miasta małego tajemniczego raju, w którym moglibyście ukryć swe szczęście? A jako człowiek z gustem wykształconym, pełen delikatnego uczucia, radbyś wznieść świątynię godną twego bóstwa. Tymczasem twój tapicer wyrachowany rzemieślnik, nie pojmujący wznioślejszych aspiracji, odmawia ci potrzebnego na to kredytu. Czy odgadłem?

— W zupełności.

— Widzisz więc, jak moje przewidywania w porę przychodzą. Dzięki mej niedyskrecji a twojej otwartości, wszystko da się łatwo pokonać, żadna przeszkoda do zwalczenia nie pozostanie. Będziesz miał gdzie przyjąć swoją nieznaną Cyrcę, i ja nie będę potrzebował wyzuwać się z tej reszty pieniędzy, jaka na moje wydatki jest mi

niezbędnie potrzebną. Napiszę parę słów do mego tapicera. Oddam go pod twoje rozkazy, otwierając ci u niego kredyt nieograniczony. Jest to znakomity fachowiec w swej sztuce, dbałby o moje względy. Zaręczam że ci tak dobrze usłuży jak mnie samemu.

— W jakich słowach mam ci podziękować za tyle dobroci baronie? szepnął z wzruszeniem San-Rémo.

— Będąc szczęśliwym Andrzeju. Wszak wiesz, że podzielam tak twe radości jak smutki. Czyliż nie jestem jakoby ojcem dla ciebie?

San-Rémo uszczęśliwiony taką dobrocią serca i dowodami wysokiej dla siebie życzliwości barona, pojechał uprzedzić Sylvain'a, że już traktować z nim nie będzie, i udał się do tapicera Filipa Croix-Dieu, którego zabrawszy z sobą na ulice Castelane i dawszy mu polecenia względem przyozdobienia mieszkania, otrzymał od niego przyrzeczenie, że nazajutrz na godzinę dziesiątą wieczorem wszystko gotowem będzie.

Przybywszy nazajutrz o oznaczonej godzinie, Andrzej uczuł się być całkowicie zadowolonym, jak człowiek, którego marzenia nie tylko ziszczone ale przewyższonemi zostały.

Nie będziemy opisywali szczegółów tego czarującego schronienia, zapewniając iż było to gniazdo urocze, godne przyjęcia Herminii.

*
* *

W dniu oznaczonym, o wpół do pierwszej w południe, Andrzej wszedł do kościoła, gdzie pani de Grandlieu przybyć przyrzekła o pierwszej godzinie.

Herminia równie jak Andrzej przybyła przed oznaczoną godziną.

Ubrana czarno, z zapuszczonym na twarz gęstym welonem, klęczała kornie w jednej z ubocznych kaplic świątyni.

Andrzej poznał z daleka, czyli raczej odgadł w owej ze skruchą pochylonej kobiecie Herminię. Niewysłowiona radość go ogarnęła.

— Ona więc przyszła! Wiedział że przyjdzie. Przyrzekła mu to. Nie wątpił. A jednak aż do tej chwili w owo tak wielkie szczęście lękał się uwierzyć.

Zbliżył się do kaplicy, lecz w chwili, gdy miał przestąpić otwartą kratę żelazną, zatrzymał się przypomniawszy słowa Herminii: „Nie mów do mnie w kościele! Sklepienie świątyni zapadłoby się nad nami!“

Cofnął się zatem.

Pani de Grandlieu ujrzała go wtedy, i jakby uderzona w serce prądem elektrycznym, nagle zadrżała.

Pochyliła na stopniach ołtarza ukorzone czoło i wsparłszy je na obu dłoniach, łkała przez kilka minut.

Andrzej spostrzegłszy ją drżącą, we łzach pogrążoną, uląkł się owej rozpaczy. Kto wie, pomyślał, czyli ów żal głęboki nie otworzy pomiędzy nim a ukochaną nowej przepaści, tym razem nie dającej się już przebyć.

Nie! pani de Grandlieu nie myślała cofnąć się teraz. Człowiek, który odtąd był panem jej duszy, ów człowiek

powiedział: „Jeżeli nie podasz mi ręki do podźwignienia ciężaru życia, odbiorę je sobie!“ Więcej zatem teraz niż kiedykolwiek pragnęła go ocalić.

Biedna istota usiłowała błagać dla siebie przebaczenia Bożego, a w swojem pomieszaniu dochodzącem niemal do obłąkania nie znajdowała odpowiednich ku temu wyrazów.

Znękana, złamana bólem, lecz niezachwiana w postanowieniu, podniosła się zwolna.

Andrzej oparty dotąd o najbliższy filar, opuścił to miejsce. Herminia za nim postępowała, zapuściwszy na twarz gęstą koronkową woalkę.

Tak idąc za sobą, wyszli oboje z kościoła.

Minąwszy plac przed kościołem, San-Rémo zwrócił się ku ulicy Castelane. Zbiżając się do znanego nam domu, obejrzał się pragnąc zobaczyć czy pani de Grandlieu nie straciła go z oczu.

Szła w oddaleniu o kilka kroków od niego, wszakże jej ruchy niepewne, powolne, nacechowane wyczerpaniem, zdradzały kompletny brak sił. Jedna minuta dłużej, a nieszczęśliwa byłaby upadła na bruk ulicy. Spostrzegłszy to Andrzej, podbiegł szybko i podał jej rękę, której nic nie mówiąc rozpaczliwie się uchwyciła.

Zbliżywszy się do domu, weszli w głąb jego, zaledwie jednak Herminia dotknęła stopą kamiennej posadzki sieni, grożące jej już od kilku chwil omdlenie, ostatecznie nią zawładnęło.

Zachwiała się upadając.

San-Rémo zaledwie zdołał podtrzymać ją i pochwycić w ramiona. Unosząc drogi ów ciężar, wbiegł z nim na schody,

i w kilku poskokach znalazł się przed drzwiami przygotowanego na ową schadzkę mieszkania. Odemknął drzwi z pośpiechem, a zamknąwszy je na klucz za sobą, złożył Herminię na miękkiej kanapie.

Wicehrabina pozostawała bez znaku życia. Piękne jej oblicze dorównywało bladością twarzy wykutej z kararyjskiego marmuru. Wszystka młoda i czysta krew uszła z jej lica, spłynąwszy do serca. Opuszczone powieki w połowie tylko zasłaniały źrenice, z pod których matowe białka oczu dziwnie odbijały od ciemnych rzęs Herminii.

San-Rémo drżał z przerażenia i trwogi.

— Ach! gdyby ona umarła? wołał rozpaczliwie. I w tejże samej chwili dodał z rodzajem dzikiej radości: Pospieszę za nią natychmiast! Rozdzieleni w życiu, połączymy się po śmierci!

Pani de Grandlieu jednak nie umarła. Zrazu leciuchny, następnie coraz żywszy odcień różanej krasy zabarwiał jej śmiertelnie blade oblicze.

Powieki przymkniętych oczu młodej kobiety drgać nieznacznie poczęły, całe jej ciało dotąd bezwładne wstrząsnęło się nagle, i otwarte w końcu źrenice padły zdumione na Andrzeja, który upojony miłością, drżący ze wzruszenia, klęczał u stóp jej, okrywając drobne raczki ukochanej gorącemi, lecz pełnemi poszanowania pocałunkami. Radosne jego upojenie było tak wielkiem i czystem, że ani na chwilę nie pomyślał o jakiej bądź zmianie tego szlachetnego uczucia.

Wicehrabina uśmiechnąwszy się tkliwie lecz smutno, usiłowała uwolnić swe ręce z dłoni młodzieńca.

— A więc, wyszepnęła głosem złamanym, a więc to prawda. Ja jestem u ciebie?

— Żałujesz żeś tu przybyła? pytał żywo Andrzej. Sądzisz mnie niegodnym owej miłości i zaufania jakiego dowody dajesz mi dzisiaj?

— Wiesz dobrze do jakiego stopnia ufam ci, odpowiedziała Herminia. Gdybym wątpiła o tem cośkolwiek, czyliżbym się tu znajdowała?

— Wszakże mnie kochasz, nieprawdaż? szeptał młodzieniec wpatrując się w nią z upojeniem.

— Wiesz o tem tak dobrze. Dla czego więc pytasz mnie o to?

— Pragnę to posłyszeć z ust twoich.

— A więc, kocham cię, kocham! Ale wstań proszę, usiądź tu przy mnie.

Andrzej spełnił wolę proszącej.

— Herminio! mówił dalej, pozwól mi napowrót ująć twą rączkę.

San-Rméo uczuł tę rączkę maleńką, drżącą w swej dłoni jak uwięzione ptaszę.

Przez kilka sekund milczeli oboje siedząc tak blisko siebie, iż zdawało się im że w przyśpieszonem serc uderzeniu słyszą wzajemną rozmowę.

Wicehrabina pierwsza przerwała milczenie.

— Andrzeju! zaczęła jakież wyobrażenie o mnie powziąłeś przeczytawszy mój list?

— Uszczęśliwienie jakiego doznałem było tak wielkiem, żem w pierwszej chwili lękał się wierzyć ażeby ono rzeczywistem być mogło, i teraz nawet, patrząc na ciebie

Herminio, trzymając twą rękę, zapytuję siebie czyli to nie sen, nie złuda?

— Nie uczułeś dla mnie pogardy?

— Czyż można gardzić tem kogo się ubóstwia?

— Okazałam się jednak zbyt słabą, nikczemną.

— Jesteś szlachetną! wzniosłą nad wyraz!

— Mówiłeś o śmierci, pragnęłam cię ocalić. Ta straszna groźba, jaka nakazywała mi o wszystkiem zapomnieć a jedynie myśleć o tobie, nie była próżnem z twej strony zagrożeniem, wszak prawda?

— Byłem gotów umrzeć, przysięgam! Żyć, nie widząc ciebie, żyć bez nadziei, wiesz dobrze, że to przechodziło me siły!

— W tem leży jedyne dla mnie usprawiedliwienie. Czyś pojął przynajmniej jak ciężko walczyłam, ile wycierpiałam?

— Pojąłem nadewszystko, że mnie kochasz, że przyjdziesz. Pisałaś mi, że jestem bezlitośnym, Bóg świadkiem, że nie uczyniłem tego przez żadne wstrętne samolubstwo, ale wiedziony siłą miłości, pragnąłem nią zatrzeć bolesne wspomnienia walk twoich i cierpień.

Pani de Grandlieu głęboko westchnęła.

— Istnieje w człowieku sumienie, odpowiedziała, któremu milczenia nakazać niepodobna. Istnieją zgryzoty, jakie zatrzeć trudno.

— Jak możesz mówić o zgryzotach i wyrzutach sumienia uwielbiana moja Horminio? zawołał San-Rémo. Czyliż kochając mnie popełniasz występek lub zbrodnię?

— Zbrodnię najhaniebniejszą ze wszystkich, bo zdradę!

— Lecz kogoż zdradzasz? Ten, którego szanujemy

oboje, jest dla ciebie ojcem nie mężem. Za jego tkliwość odpłacasz mu przywiązaniem córki. Czegóż może żądać więcej?

— W dniu, w którym wobec Boga otrzymałam nazwisko jakie dziś noszę, przysięgłam. Popełniam krzywo-przysięztwo!

— Nie!.. po sto razy nie!.. ukochana!.. Przysięga obowiązuje natenczas, kiedy się jej ważność rozumie. Ty nie rozumiałaś ważności swojej przysięgi. Zaprzecz temu jeżeli możesz?

Herminia pochyliła głowę nieodpowiadając. Zuchwały sofizmat młodzieńca nie zdołał jej przekonać zupełnie, zachwiał ją jednak w jej zapatrywaniach.

— To prawda, szeptała bezwiednie, to prawda, ja jej dobrze nie rozumiałam.

Nastąpiło nowe milczenie, które i tym razem jak i poprzednio przerwała pani de Grandlieu.

— Na co się przydały te moje walki wyrzekła. Na co te moje trwogi i boleści? Walczyłam, a mimo to zwyciężoną zostałam. Potrzeba cię było ocalić, podać ci rękę, nie cofałam się przed tem. Przyrzekłam ci że przybędę, i otóż jestem. Jestżeś zadowolonym? Radość sprawiona moją obecnością, czyliż dorówna ofierze jaką uczyniłam?

— Nie jestem w stanie na to odpowiedzieć, wyszepnął Andrzej. Niema w mowie ludzkiej wyrazów na objawienie tego co uczuwam w tej chwili. Pragnąc to wszystko wytłumaczyć byłoby to unicestwić mą radość, moje upojenie. Ach! czy ty mnie pojmujesz Herminio?

— W zupełności.

— I otóż, mówił dalej młodzieniec drżącym z wzruszenia głosem, zaledwie ośmielam się zadać ci jedno zapytanie. Jestżeś Herminio szczęśliwą?

— Szczęśliwą? powtórzyła, od ciebie zależy ażebym była szczęśliwą.

— W jaki sposób?

— Kocham cię! oto cała moja zbrodnia. Nie chciałabym jednak wyrzec się tego występku, choćby za cenę oczyszczenia się z winy; ponieważ wtedy musiałabym przestać cię kochać. Ufam ci w zupełności wraz z nieograniczoną miłością, jaką uczuwam dla ciebie. Zatem od ciebie zależy oczyścić mnie we własnych mych oczach. Od ciebie zależy powrócenie mi tego szacunku siebie samej, jaki miałam niegdyś, a którego niestety dziś nie mam!

— Mów, mów Herminio! wołał z uniesieniem San-Rémo. Co czynić mam? Jestem gotowy, rozkazuj!

Wicehrabina się zawahała. Usta jej poruszały się, lecz nie wydając dźwięków. Pragnęła mówić, a słów nie odnajdowała. Wszakże miała dotknąć niezmiernie delikatnej, a może niebezpieczniejszej nad wszystko kwestii. Pragnęła się uchronić od tych nieznanych a przeczuwanych niebezpieczeństw, a przygotowując się z niemi do walki, obawiała się zostać posądzoną, że one są jej zbyt dobrze znanemi. Nareszcie głosem tak cichym, iż ją zaledwie dosłyszeć było można, zapytała:

— Odkąd ty mnie kochasz Andrzeju?

— Od chwili w której cię po raz pierwszy ujrzałem. Nazywałaś się wtedy Herminią de Randal, i mogłaś mnie

kochać swobodnie. Było to wieczorem, rok temu; na koncercie wśród Pól Elizejskich. Nie spojrzałaś nawet na mnie wtedy. Nie istniałem jeszcze naówczas dla ciebie.

— A wiedziałeś kto jestem?

— Nie; powiedziano mi o tem dopiero nazajutrz.

— Moglibyśmy się byli nigdy nie spotkać w tem życiu!

— To być nie mogło! zawołał młodzieniec.

— Być nie mogło, dla czego?

— Dla tego, że wszystkie istoty podlegają przeznaczeniu, którego ani własną wolą, ani wolą innych zmienić nie są w stanie. Od chwili naszego przyjścia na świat, było już napisanem, że my się poznać i pokochać musimy. Mogło to było nastąpić innego dnia, lecz spotkanie i zbliżenie się nasze zawsze by nastąpić musiało.

— Wierzysz więc że dusze nasze są sobie siostrzanemi duszami?

— Ja wierzę, że są sobie narzeczonemi; że Bóg stwarzając je postanowił, ażeby się spotkały i połączyły w jedność.

— Otóż ten związek dusz, który ty tak dobrze pojmujesz i tłumaczysz jest prawdziwem, i jedynem naszem szczęściem.

— Nie, nie jedynem, jest jeszcze inne, rzekł Andrzej.

— Umiejmy na niem poprzestać, odparła Herminia. Złóżmy w owem serdecznem przywiązaniu całą rozkosz, całe szczęście. Dusze nasze zostaną połączonemi na wieki; lecz niech nie będzie innego związku pomiędzy nami, prócz tego jedynego świętego węzła. I jak mój mąż jest mi tylko ojcem, kochanek mój, ponieważ w tym razie wolno mi jest

nazwać cię kochankiem, będzie tylko bratem dla mnie. Ja będę ci siostrą, najtkliwszą siostrą Andrzeju! Wszakże ty tego tylko pragniesz?

San-Rémo pochyliwszy głowę nic nie odpowiedział.

Milczenie młodzieńca zaniepokoiło Herminię.

— Czemu nie odpowiadasz? zapytała łagodnie biorąc go za rękę. Miałżebyś nie uznawać słuszności w mych zapatrywaniach?

Andrzej milczał, bo w rzeczy samej nie podzielał przekonań wicehrabiny.

Pani de Grandlieu domyślała się mniej więcej co się działo w owem wzburzonem sercu młodzieńca, wróciła raz jeszcze do wszczętego przedmiotu rozmowy, i rozwijała go dalej z gorącem przekonaniem, i pokonywającą wymową, zapytując w końcu:

— Chcesz pozostać mi bratem?

Odrzekł z przekonaniem dorównywającem prawie przekonaniu wicehrabiny:

— Dobrze moja ubóstwiana! Wszystko czego ty żądasz, jest dla mnie świętością! Moje serce, moja dusza i życie są twojemi. Rozporządzaj mną według woli! Bądź siostrą dla mnie!

Dalsza rozmowa pomiędzy dwojgiem zakochanych, płynęła w sferach wyższego jeszcze platonizmu, gdy Herminia jak gdyby z roskosznego snu zbudzona spojrzała na zegarek.

— Bawię tu przeszło godzinę! zawołała z trwogą, wracać mi trzeba co prędzej.

— Lecz kiedy przybędziesz, pytał San-Rémo.

— Radabym odpowiedzieć ci „Jutro“. Czyż wiem jednakże czyli uskutecznić to będę mogła?

— Pomnij że ja żyć nie mogę nie widując ciebie.

— Dla tego też starać się będę byśmy jak najczęściej widywać się mogli. O! Andrzeju, będę tu często przychodziła, teraz, gdy cię poznałam tak dobrze, teraz gdy wiem że jesteś godzien być tak kochanym jak ja cię kocham i jak nawzajem chcę być przez ciebie kochaną, przychodzić będę bez obawy, i prawie bez wyrzutów sumienia.

— Jakim sposobem jednak zostanę o tem powiadomiony?

— Z rana, w tymże samym dniu otrzymasz list odemnie. Gdybym jednak z jakich nieprzewidzianych powodów przybyć nie mogła, nie będziesz wątpił o mnie, wszak prawda?.. ani się gniewał. Bądź proszę natenczas przekonanym, iż jakaś niezwalczona przeszkoda zatrzymała mnie w domu.

— Oczekiwać a niewidzieć cię, jakaż to męka! jakie cierpienie!

— Bądź pewnym, że i ja niemniej będę cierpiała natenczas, a pocieszaj się przekonaniem, że żyję jedynie myślą o tobie, i że serce moje zawsze jest z tobą!

Oboje opuścili razem tajemniczy buduar, lecz w chwili skoro zeszedłszy ze schodów w bramie się znajdowali, Andrzej zatrzymał swoją towarzyszkę.

— Zechciej zaczekać chwilę, rzekł do niej. Muszę się upewnić, czyli wyjść będziesz mogła bez obawy.

Herminia w sieni pozostała.

San-Rémo wyszedłszy na ulicę spojrzał do około.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, wyrzekł wracając. Pozwolisz abym ci towarzyszył?

— Nie!.. nie! zawołała z pośpiechem. Byłoby to szaleństwem! Na kobietę idącą samą w tak skromnem ubraniu, nikt nie zwróci uwagi. Przeciwnie zaś, twoja przy mnie obecność ściągnąć by mogła podejrzenie.

— Niech się tak stanie jak żądasz, rzekł Andrzej. Żegnaj i do prędkiego widzenia!

San-Rémo powrócił do buduaru i opuścił go dopiero po upływie kilku minut.

A jednak w chwili, gdy pani de Grandlieu lekkim, eleganckim swym chodem przesuwała się obok stojącego w pobliżu powozu, uchyliło się jedno z oszklonych okien jego, a z po za tegoż wyjrzało za nią dwoje ciekawych, szyderczym wyrazem przeszywających oczu.

Owym ukrywającym się szpiegiem w głębi powozu był baron de Croix-Dieu, który pragnął przekonać się naocznie o całym przebiegu tej sprawy. Gdy Herminia zmieniła kierunek drogi na rogu ulicy Castellane Filip zawołał na woźnicę:

— Ulica Caumartin. Jedź!

Udawał się on do Oktawiusza Gavard, gdzie i my za nim pójdziemy.

Niechcąc zaś cofać się w opowiadaniu, nadmieniamy w krótkości czytelnikom, że nazajutrz po widzeniu się Herminii z Andrzejem, młodzieniec otrzymał długi list od pani de Grandlieu.

Herminia wysławiała go w tym liście, za jego w dniu poprzednim postępowanie. Pisała, że dumną jest z niego,

dodając, że ów wysoki szacunek tak dla niej, jak i zaprzysiężonej przez nią wiary; szacunek, jakiego złożył dowody, zwiększa po stokroć razy uczucie miłości. jakie ona dla niego zachowuje.

Wszystko to było nader pięknem, lecz przybywało nie w porę i chybiało celu. Ów związek dusz wydawał mu się być jakąś chorobliwą mrzonką, czemś dziwacznem, i nie przyznawał racji bytu owej egzaltacji młodej kobiety.

Połączmy się jednak z panem de Croix-Dieu, którego opuściliśmy w chwili gdy jechał na ulicę Caumartin.

— Twój młody pan jest w domu Dominiku? pytał Filip otwierającego drzwi lokaja.

— Jest panie baronie.

— Zamelduj mnie Dominiku.

Służący pospieszył spełnić polecenie.

— Tyżeś to baronie? zawołał Gavard ściskając rękę wchodzącego.

— O tobie by to raczej powiedzieć było można, rzekł Croix-Dieu. Od pewnego czasu nigdzie spotkać się z tobą niepodobna.

— Bo w rzeczy samej nigdzie nie bywam, rzekł śmiejąc się Oktawiusz.

— Cóż więc robisz? Gdzie czas przepędzasz?

— Jestem najszczęśliwszym znajdując się z Diną.

— Zawsze z tą Diną!

— Tak, teraz i nadal baronie! odparł Gavard. Pozwól sobie jednak zrobić tę małą uwagę, iż zobowiążesz mnie bardzo, gdy raczysz mniej lekceważąco wyrażać się o osobie, którą nad wszystko kocham i szanuję.

— Ha! ha! szanujesz więc teraz swoje kochanki? zaśmiał się Croix-Dieu.

— Mówiłem ci już niejednokrotnie baronie, że Dinah Bluet nic jest kochanką za pieniądze, zawołał Oktawiusz z podrażnieniem.

— Mówiłeś, lecz nie wierzyłem i nie wierzę temu.

— Daję ci na to słowo honoru! Czy jeszcze wątpisz webec tego?

— Wątpić mi nie wypada. Pozostaw mi wszakże moje przekonania. Powiedz mi jednak, dodał ów chytry opiekun, do czego cię doprowadzi ta twoja platoniczna miłość? Co robisz przebywając po całych godzinach z ową świetną gwiazdą, tak pod względem talentu, jak i swej niezachwianej cnoty?

— Chcesz wiedzieć co robię i robić zamierzam przebywając z nią razem? Kochając głęboko i będąc wzajem kochanym, zaślubia się uczciwą dziewczynę; tak działać powinien mężczyzna z sercem, rozumem i honorem!

Filip zaczął się śmiać głośno.

— Z czego się śmiejesz? zawołał żywo Oktawiusz.

— Otóż więc śmieję się mój chłopcze z twego arcykomicznego położenia.

— Komicznego, w czem takiem?

— Sądzisz więc że twoja matka zgodzi się chętnie na ów piękny projekt małżeństwa?

— Wcale w to nie wierzę. Obejdę się bez jej zezwolenia. Mama wyprawia mi co rano i wieczór najhaniebniejsze sceny, widząc że jestem zakochany na serjo.

— Źle czyni, przyznaję, odparł Croix-Dieu, bo na cóż się zresztą to przyda? Kobiety jednak łatwo dają się owładnąć podrażnieniu. Pomówmy z sobą spokojnie. Powiedz mi jakie są twe plany? Wobec oporu, co nadal zrobić zamierzasz?

— Obejdę się bez niej, jak ci to mówiłem.

— Jakim sposobem?

— Jestem bogatym. Nie zależę od nikogo. Poślę kochanej mamie „pełne uszanowania wezwanie urzędowe“ i rzecz skończona!

— I kiedyż to zamyślasz uczynić?

— Natychmiast po dojściu do pełnoletności.

— To znaczy?

— Za pięć miesięcy. Czas prędko uchodzi.

— Mój kochany, odparł Croix-Dieu poważnie, ty, któryś tak gruntownie zbadał przepisy testamentowe, pragnąc przed owym pojedynkiem zapisać pannie Dinie Bluet kapitały, jakiemi pomimo małoletności mogłeś rozporządzać, zapomniałeś przejrzeć w kodeksie przepisów o małżeństwie. Krótki ich przegląd otworzyłby ci nowe a nader ciekawe szczegóły w tej sprawie.

— Cóż jest w tym kodeksie?

— Jest to: „Rozdział I. Artykuł 148, który tak mówi: Młodzieniec, który nie doszedł skończonych dwudziestu pięciu lat wieku, nie może zawierać małżeństwa bez rodzicielskiego zezwolenia“. A dalej: Artykuł 152: „Od pełnoletności oznaczonej artykułem 148, aż do ukończonych lat trzydziestu wieku, akt przepisany artykułem 151, na mocy którego może być udzielone

zezwolenie na małżeństwo, ma być ponawianym dwukrotnie, z miesiąca na miesiąc, po trzeciem ponowieniu aktu, można przystąpić do zawarcia małżeństwa“.

— Znajduje się to w kodeksie?

— Na dowód tekst ci cytuję. Za pięć miesięcy ukończysz dwadzieścia jeden lat wieku; dodajmy do tego lat cztery potrzebne dla dojścia do zupełnej pełnoletności i trzy miesiące niezbędne do wprowadzenia w wykonanie twych wezwań urzędowych, a odnajdziemy cyfrę ogólną lat czterech, ośmiu miesięcy i dni około sto siedemnastu, jakich ci będzie potrzeba, ażeby zmienić pannę Dinę Bluet w panią Oktawiuszową Gavard.

Oktawiusz zmięszany milczał. Croix-Dieu mówił dalej:

— Powtarzam, że twoja matka źle czyni niepokojąc się o to i irytując. Niepotrzebnie drażni tem swoje nerwy. Zanim nadejdzie ów termin w którym popełnisz szaleństwo o jakiem dziś marzysz, zmienisz swoje zamiary, i owe skrzydła anielskie jakiemi twoja fantazja przystraja ramiona panny Bluet, utracą swe piórka świetlane jedno po drugiem.

— Tak sądzisz baronie? pytał Oktawiusz.

— Jestem najmocniej o tem przekonany!

— To się grubo mylisz.. Wszystko to coś mi przytoczył z kodeksu, do najwyższego stopnia mnie gniewa! Uważam, że niezmiernie głupie to prawo. Bądź co bądź nie zmieni ono w niczem mego postanowienia, bo to postanowienie jest niezachwianem.

— Cóż więc uczynisz?

— Będę czekał. Mam dosyć czasu przed sobą. Jestem młody, a Dinah jest jeszcze prawie dzieckiem. Czekać więc

możemy oboje. Będę ją kochał więcej niż dotąd. Kochać ją będę jak moje bóstwo, jak mój skarb jedyny, kochać będę ze czcią na jaką ona zasługuje, i to wystarczy do mojego szczęścia. Ty się śmiejesz z moich uniesień baronie, według ciebie, są one głupiemi. Ha! co się komu podoba. Zostańmy przy swoich zapatrywaniach.

— Zapewne, to będzie najlepiej, odparł Croix-Dieu, widzę bowiem iż na tym punkcie już się nie porozumiemy.

— Ale, zagadnął Oktawiusz, zmieniając przedmiot rozmowy, oddawna już miałem zapytać cię o tego rębacza z którym się pojedynkowałem, a któremu, dzięki talizmanowi mej ukochanej Diny, tak dzielnie moją szpadą rozplatałem piersi.

— Można tysiąc przeciw jednemu postawić że umarł, i dawno już pogrzebany. Doktór uważał go za straconego, wszak to pamiętasz zapewne?

— Tak, ale i najbieglejsi lekarze mylą się niekiedy.

— Zdarza się to. Lecz cóż ci na tem zależy?

— Wszak jest zwyczajem dowiadywać się o zdrowiu rannego przeciwnika?

— Więc dobrze. Zapisałem sobie gdzieś adres jego mieszkania, skoro go odszukam poślę dowiedzieć się, i powiadomię cię o tem.

— Proszę cię, zrób to baronie.

W kilka minut później Croix-Dieu pożegnawszy Oktawiusza udał się do pani Gavard, dokąd mu już towarzyszyć nie będziemy.

W czasie wyż przywiedzionej przez nas rozmowy, Filip znalazł sposobność zbliżenia się do jednej z szufladek

biurka, i rozmawiając z młodym swym przyjacielem, oparł się plecami o ten sprzęt niby z niechcenia. Lewą ręką w tył założoną, w której trzymał gałkę z wosku, udało mu się bez zwrócenia uwagi odcisnąć kształt zamku.

Jeden i tenże sam klucz otwiera! wszystkie szuflady, a w jednej z nich, przypominamy to czytelnikom, znajdował się testament, mocą którego Oktawiusz ustanowił Dinę Bluet wyłączną spadkobierczynią swoich rozporządzanych milionów.

*
* *

Wejdźmy do skromnego mieszkania na czwartem piętrze, przy ulicy du Temple, gdzie Dinah Bluet żyła szczęśliwa kochając z całej duszy Oktawiusza, wszak teraz jak i poprzednio nic nie przyjmując od niego prócz serca, starała się wystarczyć na własne wydatki skromną swą pensją teatralną.

Młoda artystka w tym czasie nie występowała na scenie, ale pomimo to, od godziny jedenastej do czwartej odbywała próby z pewnej nowej sztuki, którą za dni kilka po raz pierwszy miano przedstawić.

Wróciwszy o czwartej do domu, powtarzała jeszcze swą rolę, czekając dopóki gospodyni nie przyśle jej skromnego obiadu co zwykle następowało w kilka minut po piątej.

Skwarne sierpniowe słońce dopiekało niemiłosiernie dnia tego, dusząc nieznośnym żarem, i mimo że okno było otwarte, w maleńkim tym pokoiku napełnionym wonią

wielkiego bukietu z róż, przyniesionym dnia poprzedniego przez Oktawiusza, oddychać trudno było.

Dinah jakkolwiek w lekką suknię ubrana, czuła nieznośny ów upał, zajęta wszakże swą rolą, uśmiechała się pod wrażeniem jakiejś radosnej myśli.

Nagle zadrżała.

Ktoś lekko do drzwi zapukał, ale nie był to sposób w jaki jej miły gość, Oktawiusz, zwykł był oznajmiać swoje przybycie.

Dziewczę podniosło się, i uchylając w połowie drzwi, wyjrzała, gotowa je zamknąć na widok jakiej natrętnej, lub podejrzanej postaci. Z wielkiem zdziwieniem ujrzała na progu zakonnicę, siostrę miłosierdzia stojącą ze złożonemi rękoma, oczyma w ziemię spuszczonemi.

— Szukam panny Diny Bluet, rzekła przybyła. Wskazano mi to piętro, i te drzwi, proszę mi więc łaskawie powiedzieć czy pani jesteś osobą do której przychodzę?

— Ja jestem Diną Bluet.

— Pragnęłabym z panią pomówić przez krótką chwilę.

— Proszę, racz siostro wejść do mnie.

Zakonnica wszedłszy, usiadła na najbliższem krześle.

Dziewczę popatrzywszy na nią ciekawie usiadło; a gdy zakonnica przebierając paciorki wiszącego u pasa różańca, nic nie mówiła. Dinah ozwała się pierwsza.

— Przyjemną jest mi nad wyraz wizyta siostry, jakikolwiek bądź powód jej być może. Ponieważ jednak tego powodu odgadnąć nie jestem w stanie, pozwól więc siostro zapytać o niego.

— Przechodzę tu, rzekła nareszcie owa pobożna osoba,

w niezmiernie trudnem posłannictwie. Ważna jedynie okoliczność, najświętszy obowiązek, mogły mnie tylko ośmielić do zamącenia spokoju pani. Nie mogłam jednak postąpić inaczej; sama pani przekonasz się o tem i usprawiedliwisz mnie, mam nadzieję.

Po tych słowach Dinah uczuła trwogę w ściśnionem sercu.

— Przybywam do ciebie me dziecię z polecenia twej ciotki.

Dinah zadrżała zerwawszy się z krzesła:

— Czegóż ta kobieta chce odemnie? pytała z obawą.

— Zechciej pamiętać, że ta kobieta jest siostrą twej matki, odparła surowo zakonnica.

— Dla czego ona ciebie siostro do mnie przysyła? Czego chce odemnie, ta, której nazwisko radabym na zawsze wykreślić z mojej pamięci?

— Pragnie zobaczyć się z tobą.

— Ze mną? zawołała Dinah. O! gdybyś siostro ją znała jak ja ją znam, nie poważyłabyś się do mnie przemawiać w jej imieniu! Ona cię zwodzi! Nadużywa twej dobrej wiary. Zobaczyć się z nią, ja? Nie! nigdy! Ona wstręt we mnie budzi. Wspomnienie o niej przeraża mnie! Gdybym się z nią zobaczyć miała to chyba dla tego aby jej rzucić złorzeczenie, przekleństwo!

— Jakto, przeklinać swą ciotkę? mówiła z oburzeniem zakonnica. Przypominam ci me dziecię po raz drugi, że to jest siostra twej matki, święta ta nazwa, ów bliski związek krwi, nakazuje ci zapomnienie urazy i przebaczenie!

— Tak, odpowiedziała Dinah, oburzając się coraz więcej,

jest ona siostrą mej matki, a tem samem wobec mnie tem mocniej winna! Zbyt ciężką krzywdę wyrządzić mi chciała. Zgubić mnie pragnęła! I ja miałabym to przebaczyć, zapomnieć? Ach! ty niewiesz siostro do jakiej nikczemności ta kobieta posunąć się chciała! Do jakich występków jest ona zdolną!

— Usprawiedliwię ją, i ty jej sama przebaczysz, jestem pewną, mówiła dalej przybyła. Pozwól mi tylko wywiązać się dokładnie z mego smutnego posłannictwa. Są rzeczy o których ty nie wiesz. Posiadasz serce, do niego więc się odwołam.

— To nadaremno!

— Kto wie? Jeden wyraz zmieni może twój gniew w głębokie politowanie. Ta nieszczęśliwa istota, w imieniu której do ciebie przychodzę, jest chorą, ciężko chorą, i ja nawykła do rozdzierającego widoku osób dogorywających, upewniam cię, że dla twej ciotki niema już ocalenia.

— Boże! zawołała Dinah, której oburzenie nagle się w litość zmieniło, co ty powiadasz mi siostro?

— Najczystszą prawdę.

— A więc moja ciotka umiera?

— Parę godzin zaledwie do życia jej pozostaje. Od tygodnia czuwam we dnie i w nocy u łoża tej nieszczęśliwej kobiety. Wraz z uzdrowieniem duszy, próbowałam uzdrowić i ciało. Udało mi się to, ale w połowie tylko niestety. Dusza jest na drodze do zbawienia; ciało ostatecznie skazane na zagładę. Ciotka opowiedziała mi szczegółowo całe swoje, a tem samem i twoje życie. Wyznała winy, jakie popełniła względem ciebie, które

poznała teraz jak wielką były zbrodnią. Uspakajałam ją, i pocieszałam mówiąc, że miłosierdzie Boże bez granic, dodając, że przebaczenie siostrzenicy, która omal nie padła ofiarą jej zbrodni, uśmierzy te jej wyrzuty sumienia, jakie straszliwą sprawiają jej męczarnię, i przywróci umierającej tak upragniony spokój umysłu. I otóż ona wysłała mnie do ciebie od swego łoża boleści, od tego łoża, które wkrótce na śmiertelne zamieni się łoże; wysłała mnie zaklinając, byś obecnością swoją stwierdziła przebaczenie, dozwalając jej tym sposobem umrzeć spokojnie!

I po tych słowach uklękła przed Diną, która podniosła ją spiesznie wołając:

— Co czynisz siostro? przez Boga!

— Błagam. W imię Bożego miłosierdzia, bądź miłosierną! Daj się nakłonić!

— Ależ moja siostro, odrzekła Dinah tłumiąc łzy w oczach, czyż myślisz, że ja tak złą jestem, i że wysłuchawszy ciebie wahać się jeszcze będę?

— Zgadzasz się zatem?

— Ależ tak, niewątpliwie ! Ta, która mi tyle złego wyrządziła, ta przestała istnieć już dla mnie. Na jej miejscu widzę jedynie umierającą kobietę, która mnie może kochała po swojemu. Widzę kobietę, która cierpi, żałuje, przyzywa mnie ku sobie. Nie tylko że nie opieram się twej prośbie, lecz więcej niż przebaczam jej winę, bo zapominam!

— Szlachetne! wspaniałomyślne dziecię, szepnęła zakonnica podnosząc rękę do oczu jakoby dla łez otarcia. Oto czyn jaki ci będzie policzonym w niebie! Winnam ci jeszcze jedną bolesną udzielić wiadomość, mówiła

przybyła.

— Cóż takiego?

— Ciotka po rozłączeniu się z tobą została bez żadnych środków utrzymania. Chciała pracować na życie, starała się o robotę. Wszędzie odprawiono ją z niczem, mówiąc że jest na to za starą.

— Boże! mój Boże!

— W chwili, gdy ją choroba dotknęła, pozostawała bez dachu i kawałka chleba.

— Jakaż to straszna kara! Ach! czemuż ja o tem nie wiedziałam! mówiło dziewczę.

— Słowem byłaby na ulicy umarła z głodu i wycieńczenia, gdyby nie jacyś poczciwi robotnicy, którzy ją podnieśli.

— Niech im Bóg wynagrodzi! Gdzież ją poprowadzili? pytało dziewczę z wzruszeniem.

— Do szpitala sióstr miłosierdzia.

— Gdzież się znajduje ten szpital?

— Po drugiej stronie rzeki, blisko Botanicznego ogrodu.

— Idę więc siostro. Lecz czy mnie tam wpuszczą?

— Samą, nie! Lecz ja towarzyszyć ci będę. Spodziewając się bowiem, że spełnisz ów czyn miłosierdzia.

— Jedźmy więc, jedzmy prędko, wołała Dinah.

— Cieszę się. widząc cię wstępującą tak szybko na drogę zbawienia, mruknęła z dziwnym uśmiechem zakonnica.

— Fiakr dwuosobowy oczekiwał przed domem. Siostra miłosierdzia otworzywszy drzwiczki, przepuściła Dinę, i siadła obok niej wołając na woźnicę:

— Jedź, gdzie wiesz.

Powóz potoczył się szybko. Zakonnica zapuściła story.

— Ależ taki upał moja siostro, wyrzekła Dinah zdumiona, udusimy się tu z braku powietrza.

— Nie chciałabym drogie dziecię sprawić ci najmniejszej przykrości, odparła jej towarzyszka, szczególniej teraz gdym poznała charakter twój tak wzniosły, szlachetny, w przebaczeniu urazy i wypełnieniu ofiary. Lecz osądź proszę. Ubiór mój jest suknią sługi Bożej, ty zaś jesteś zbyt znaną niestety, poświęcając się zawodowi przez kościół nie aprobowanemu. Nie powinnam więc, pojmujesz, nie mogę...

Tu przerwała.

— Ukazywać się publicznie z komedjantką, niepraprawdaż? dokończyło rumieniąc się dziewczę. Wszakże to chciałaś siostro powiedzieć?

— Tak moje dziecię, to właśnie.

— A jednak wyszepnęła Dinah, jednak upewniam cię, że jestem uczciwą dziewczyną.

— Wierzę temu, wierzę z całej duszy, i nie wątpię o tem na chwilę. Przedewszystkiem jednak poszanowanie dla sukni którą noszę.

— Masz słuszność siostro, odparła Dina, i opuściwszy głowę, milczała.

Zakonnica dla nadania sobie powagi ujęła w rękę różaniec i przesuwając ziarnka między palcami, wydawała rodzaj monotonnego mruczenia, coś nakształt modlitwy.

Powóz przebiegł lotem strzały bulwar de Temple, bulwar Beaumarchais’go, zwrócił się ku Bercy, i mostem

Austerlickim przebył Sekwanę. Lecz zamiast skręcić na prawo ku szpitalowi Sióstr Miłosierdzia, to jest właściwemu celowi podróży, minął dworzec Orleańskiej drogi żelaznej i z jednakową szybkością biegł wzdłuż wybrzeża La Rapée.

Zapuszczone story powozu nie pozwalały widzieć Dinie ani pochylonej drogi, ani ulic, któremi jechano i mijano takowe. Niezwykła szybkość jazdy nie budziła w niej podejrzenia co do długości przestrzeni tem więcej, że odległość i położenie szpitala, było jej całkiem nieznanem.

Wspomnienie Melanii Perdreau wywołane przez zakonnicę, rozbudziło w pamięci dziewczyny całą bolesną, i tyle upokarzającą dla niej przeszłość.

Dwie owe tak niepodobne do siebie, ale zarówno wstrętne postaci, niecnej pani Saint-Angot i ohydnej ciotki zjawiały się uporczywie przed jej oczyma, które starając się odegnać od siebie, przywoływała sympatyczny obraz swojego zbawcy, ukochanego Oktawiusza.

W takiem rozmyślaniu dziewczęcia, powóz nagle się zatrzymał.

XIV.

Przestrzeń od wybrzeża La Rapée aż do mostu Charenton jest wprawdzie mniej pustą, ale zarówno smutną, jak równina Montrouge.

Tu i ówdzie wznoszą się chaty nędznej powierzchowności, po większej części szynki bez

konsensów utrzymywane, które Bóg wie skąd gromadzą swych gości.

Niektóre z tych lepianek niezamieszkałe są wcale, a odrapane i pokrzywione ich ściany zapowiadają bliską ruinę.

Przed jednym właśnie z tych domostw zatrzymał się fiakr. Zakonnica otworzywszy drzwiczki wysiadła. Dinah głowę tylko wychyliła.

— Gdzie jesteśmy siostro, cóż to za miejsce? pytała niespokojnie. Zdaje się, żeśmy już po za obrębem Paryża. Gdzież tu jest szpital?

— Szpital bardzo jest stąd blisko, odpowiedziała szarytka, staniemy przed nim za dziesięć minut. Wszak wprzódy mam polecenie odwiedzić pewną młodą, chorą dziewczynę, której stan zdrowia był dzisiaj bardzo niebezpiecznym. Pójdź ze mną drogie dziecię, wszak nie odmówisz mej prośbie? Widok twej czarującej twarzyczki może korzystnie oddziałać na polepszenie zdrowia tej biednej, i sama będziesz miała pociechę ze spełnionych w dniu jednym dwóch miłosiernych uczynków.

Dinah pragnęła wydobyć się coprędzej z powozu w którym już oddychać nie mogła. Wysiadła więc, a spojrzawszy na tę smutną drogę, ocienioną wątłemi drzewami, na ową walącą się chatę, której pozamykane okienice zdradzały zupełne opuszczenie, instynktownie zadrżała.

— Tu więc idziemy? wyszepnęła.

— Tak moje dziecię, odparła jej towarzyszka. Nie jest tu pięknie, lecz my, które nosimy nazwę „sióstr miłosierdzia“

musimy z powołania być siostrami biednych, i odwiedzać częściej takie nędzne kryjówki, niźli wspaniałe domy bogaczów. Ludzie szczęśliwi niepotrzebną naszej pociechy.

To mówiąc zakonnica zbliżyła się do chaty i pociągnęła za drut, na końcu którego wisiał wyszczerbiony dzwonek.

Drzwi otworzono natychmiast a w nich ukazał się mężczyzna w płóciennej bluzie.

Człowiek ten wyglądał raczej na bandytę, niż na robotnika. Ujrzawszy obie kobiety zdjął szybko czapkę z wyrazem obłudnej pokory.

— Jakże się ma dzisiaj nasza ukochana chora? pytała zakonnica.

— Doktór przysłany przez ciebie siostro, zauważył że jest jej lepiej, odrzekł ów człowiek. Powiedział że jeśli noc spędzi spokojnie, to będzie nadzieja utrzymania jej przy życiu. Pytała się już o siostrę dwa razy. Siostra pójdziesz ją zobaczyć, wszak prawda?

— Ma się rozumieć. Po to tu przecież przybyłam. Lecz będę mogła przy niej zaledwie krótką chwilę zabawić. Do innych chorych pospieszać muszę. Pójdź ze mną drogie dziecię, dodała zwracając się ku Dinie.

To mówiąc, szarytka wskazała dziewczęciu wązkie drewniane schodki ustawione wśród sieni, a prowadzące na facjatę mieszkania.

Dinah weszła na schodki a przebywszy je znalazła się w sionce facjaty, mając przed sobą dwoje drzwi, jedne po prawej, drugie po lewej stronie.

Zakonnica otworzyła te ostatnie.

— Otóż jesteśmy, wyrzekła, wpychając Dinę do małej

stancyjki zaopatrzonej w parę stołków drewnianych i łóżko osłonięte białą perkalową kotarą.

Dinah postąpiła naprzód z całem zaufaniem. Nagle jednakże cofnęła się ze drżeniem. Posłyszała jakoby drzwi za nią zatrzaśnięto i zasuniono na rygiel. Obejrzała się, była sama jedna w stancyjce. Poskoczyła do drzwi chcąc je otworzyć. Napotkany opór przekonał ją iż się nie omyliła. Uwięziono ją.

Pobiegła do łóżka i drżącą ręką rozsunęła kotarę. Łóżko było pustem zupełnie. Poskoczyła do okna. Siatka druciana nie pozwoliła jej otworzyć lufcika. Po za szybami była gruba krata żelazna, a przez kratę widać było rozległą bezludną przestrzeń pól nieuprawnych.

Wróciwszy do drzwi stukać i wołać zaczęła:

— Siostro! moja siostro gdzie jesteś? Siostro, nie opuszczaj mnie!

Odpowiedział jej jakiś śmiech szyderczy; usłyszała stąpanie jak gdyby kogoś spuszczającego się ze schodów. Wreszcie zaległo głuche milczenie.

Zrozumiała teraz że wpadła w zasadzkę. Przypomniała sobie ów obiad u wdowy Saint-Angot, i ohydne następstwa jakie on mógł natenczas sprowadzić. Trwoga ze straszną grozą połączona, owładnęła nią do tego stopnia, ze omal nie pozbawiała jej zmysłów.

Mniemana zaś zakonnica zamknąwszy łatwowierne dziewczę i odpowiedziawszy śmiechem na jej rozpaczliwe wołanie, zeszła na dół i zwróciła się do izby w której siedziało dwóch mężczyzn zajętych cichą rozmową.

Jednym z nich był ów wspomniony przez nas człowiek w

bluzie, który przed kilkoma minutami drzwi obu kobietom otworzył. Drugim był Sariol, wystrojony, wymuskany, wyperfumowany, zmieniony do niepoznania.

— I cóż Pamelo? moje drogie dziewczę, pytał Sariol, zdaje się że wszystko poszło dobrze, ponieważ ptaka w klatce trzymamy.

— Tak dobrze poszło, dzięki mej zręczności panie Tamerlan, odpowiedziała łotrzyca, wszak nie tak łatwo jak sądzisz.

— Jakto, były przeszkody?

— Ba! i jakie jeszcze! Dinah nie chciała słyszeć o swojej ciotce, ale to powiadam ci, nie chciała słyszeć ani jednego słowa. O! ta dziewczyna ma rozum nie lada! Trzeba było mojej zręczności, mojego sprytu, tyle ile ja go posiadam, aby tę małą grzesznicę sprowadzić na drogę miłości chrześcijańskiej i ewangelicznego przebaczenia. Nie! panie Tamerlan, ja się minęłam z własnem powołaniem, ja zniweczyłam własnowolnie mą przyszłość!

— Może ci trzeba było zostać zakonnicą? pytał Sariol z szyderczym uśmiechem.

— Powinnam była zostać aktorką, odpowiedziała dziewczyna, a wtedy to świetna przyszłość rozwinęłaby się przedemną. Lecz mniejsza o to. Bądź co bądź zarobiłam umówione wynagrodzenie, wszak prawda?

— I wypłacę ci je gotówką, z dodatkiem. Wszak wiesz że umiem cenić prawdziwą zasługę i umiem ją wynagradzać.

— Stokrotne dzięki, odrzekła filuternie dziewczyna. Będę zawsze gotową na pańskie usługi, gdyby wypadła

potrzeba użycia mojej pomocy. A teraz biorę kapelusz, okrycie, i wynoszę się stąd co prędzej. Lecz powiedz mi proszę, dodała zwracając się do Sariola, wszakże nic złego nie stanie się owej panience?

— Czyż mnie masz za jakiegoś ludożercę? rzekł Sariol wzruszając ramionami. Czyliż wyglądam na udręczyciela kobiet?

— Nie, wcale! A jednak. No, mów, co z nią uczynić zamierzasz?

— To cię nie obchodzi! Zajmę się jej przyszłością, jej szczęściem. Jestżeś zadowoloną?

— Pójdziesz więc do niej?

— Teraz, nie jeszcze. Zaczekam do wieczora, a skoro bardzo płakać pocznie, będę się starał ją pocieszyć.

XV.

Na pięć minut przed umówioną godziną, Oktawiusz przybył na przedmieście du Temple, a wysiadłszy z powozu, którym miał jechać wraz z Diną do Bulońskiego lasku, pobiegł na schody i zapukał lekko sposobem umówionym.

Drzwi nie otworzyły się wcale. Najmniejszy szmer wewnątrz nie okazywał, ażeby pukanie dosłyszanem zostało.

Zapukał powtórnie. Taż sama cisza.

Zapukał silnej; potem jeszcze silniej, wołając:

— To ja Dino ! ja... Oktawiusz... otwórz prędzej!

Żadnej odpowiedzi, głębokie milczenie.

Obawa z odcieniem zazdrości błysnęła w jego umyśle. Nie mogąc dłużej pozostawać w tak przykrej niepewności, zadzwonił do drzwi gospodyni mieszkania.

— Co panu się stało? zawołała ujrzawszy zmienione oblicze wchodzącego.

— Ach! pani, odrzekł, od pięciu minut pukam do drzwi panny Bluet i żadnej nie odbieram odpowiedzi. Jestem do najwyższego stopnia zaniepokojony nie wiedząc co to znaczy? Nie przypuszczając ażeby panna Dinah wyszła w tej porze, lękam się czy nie zasłabła?

— Pójdźmy zobaczyć co się tam dzieje.

Mieszkanie wdowy łączyło się z mieszkaniem artystki za pośrednictwem drzwi wewnętrznych.

Gospodyni zapukała do tych drzwi, a nie otrzymując żadnej odpowiedzi, otworzyła je, weszła prowadząc za sobą Oktawiusza.

Pokój był pusty. Obiad nietknięty i zimmy czekał na stole.

— Co to jest? szepnął z przerażeniem Oktawiusz.

— Nic niewiem. Po raz to pierwszy panna Bluet nie jadła obiadu nie uprzedziwszy mnie o tem. Być może że przysłali po nią z teatru? ozwała się gospodyni.

— To nieprawdopodobne. Po ukończonej próbie, wszyscy się natychmiast rozchodzą, i jedynie tylko służba pozostaje w teatrze, dopóki artyści nie zbiorą się na wieczorne przedstawienie. Zresztą, przypuszczając słuszność domysłu pani, biegnę do teatru, może tam dowiem się czego. Może widziano Dinę. Może mnie

objaśnią, gdzie się udała? Spieszę i wracam natychmiast. Gdyby moja najdroższa przybyła przedemną, nie mów jej pani, ile wycierpiałem. Na co ją smucić daremnie?

I nie słuchając już dalej słów poczciwej kobiety usiłującej go zatrzymać, Oktawiusz wybiegł z pokoiku Diny, rzucił się jak huragan ze schodów i zaczął pędzić chodnikiem.

Nie dostrzegł, że dwóch ludzi stało na czatach w ciemnej sieni przeciwległego domu.

Oktawiusz zapomniawszy o czekającym na niego powozie, pędził jak strzała w stronę bulwaru. Wkrótce posłyszał za sobą przyspieszone kroki i głos z wyraźnym owerniackim akcentem:

— Panie... hej!.. panie!..

Przypuszczając, że może za nim wołano, młodzieniec zatrzymał się w miejscu.

Posłaniec miejski dogonił go, a zdejmując czapkę rzekł:

— Racz pan wybaczyć, czy jednak pan nie jesteś panem Gavard?

— Tak właśnie, odrzekł zapytany. O cóż chodzi?

— Mam list do pana.

— List. Kto ci go oddał?

— Pewna dama.

— Zkądże ci przyszło zaczepić mnie, a nie kogo innego?

— Bo mi ta dama powiedziała: „Skoro zobaczysz ładnego młodego panicza, wychodzącego z tego domu, pobiegnij za nim i oddaj ten list“. Dostrzegłszy pana pospieszyłem. Oto list. Jestem już zapłacony, ale dodatek na piwo chętnie przyjmę.

Oktawiusz dawszy posłańcowi franka pochwycił podane sobie pismo.

— Dinah do mnie pisze, pomyślał, dowiem się wszystkiego nareszcie.

Słabe oświetlenie ulicy du Temple, nie pozwoliło mu odczytać na miejscu otrzymanego listu, pośpieszył więc do najbliższej kawiarni, a tam kazawszy sobie podać szklankę ponczu, którego nie pił wcale, spojrzał na kopertę.

Nazwisko jego było nakreślone jakimś niewprawnym lub udanym charakterem.

— To nie pismo Diny! wyszepnął, ach! czegóż ja się tu dowiem?

I drżącą ręką rozdarł kopertę, a rozwinąwszy list, czytał:

„Łaskawy panie! Jakkolwiek wszelkie bezimienne listy zasługują na najwyższą wzgardę z uwagi, że na sto, dziewięćdziesiąt dziewięć z nich zawiera w sobie same kłamstwa, lub wyzyskanie cudzej łatwowierności, albo niecną zemstę, jednakże racz pan ten list przeczytać do końca, a nie pożałujesz swojej cierpliwości.

„Kobieta pisze do pana te słowa, kobieta, której pan nie znasz, ale która zna ciebie dobrze, którą żywo zajmujesz, o czem cię ten list przekona.

„Owa młodziutka Dinah Bluet, to niewiniątko teatralne, za które by każdy z was swą duszę oddał ze względu na jej minki naiwne i anielską urodę, jest przebieglejszą od najzręczniejszej aktorki. Ona sobie z pana żartuje. Bawi się twoją miłością. Nielitościwie cię zwodzi!

„Każdy z moich teatralnych współtowarzyszów wie co ma sądzić, gdy szepną, za kulisami. „To prawdziwy

Gavard.“

„Zadziwi to pana niewątpliwie. Widzę już zdala, jak pan z oburzeniem drzesz w kawałki mój list, któremu nie uwierzysz. Miałbyś pan może słuszność, gdybym skończyła na tych słowach. Wszak teraz po ukończonym wstępie, przystępuję do rzeczy.

„Otóż fakta, które naocznie pan sprawdzić możesz.

„W chwili, gdy to piszę, uwielbiana przez pana Dinah Bluet znajduje się w objęciach innego kochanka, tuli się do niego, ku czemu podam panu sposobność sprawdzenia.

„Nie tracąc ani minuty czasu, jedz pan na stację Winceńskiej drogi żelaznej, wziąwszy bilet do Joinville. Udawszy się tam na główną ulicę, nie przechodź przez most, lecz zwróć się na lewy brzeg Marny ku Nogent.

„W odległości pięciuset kroków ujrzysz przy świetle księżyca wyspę zarosłą drzewami a pod cieniem tych drzew jasno oświetloną chatkę. Tam to odnajdziesz swe bóstwo.

„Omylić się pan nie możesz. Powóz, którym kochankowie przyjechali z Paryża, i który ma ich napowrót odwieść około północy, stać będzie nad brzegiem rzeki naprzeciw tej wyspy.

„Dinah Bluet pragnąc pochwycić pańskie miliony, ma już dla pana przygotowaną historyjkę, z której naśmieliśmy się serdecznie podczas próby w teatrze. Mógłbyś być tak oszukanym, jak ów przysłowiowy Gavard, na jakiego wykierować cię pragnie.

„Mam nadzieję, iż znajdziesz pan sposób przeprawienia się przez niezbyt w tem miejscu szeroką odnogę Marny. Znajdziesz tam pan rybaków przez całą noc zastawiających

swe sieci.

„Pomieniony domek nie jest wcale strzeżonym, wejdziesz pan do niego jak do własnego mieszkania, sypialnia znajduje się na górze. Znam domek ten doskonale, bo i ja niegdyś w nim królowałam.

„Dobrego powodzenia mój mały Oktawiuszu. Nieznana przyjaciółka a koleżanka Diny Bluet“.

Oktawiusz skończył czytanie.

— Co panu jest, czy pan nie chory? zapytał podchodząc ku niemu posługacz kawiarniany.

Młodzieniec nic nie odpowiedział.

— To dziwna! Pan tak nagle się zmienił, mówił dalej służący, dobrze byłoby panu napić się czegoś mocnego.

Oktawiusz podniósł głowę. Był rzeczywiście zmienionym do niepoznania.

— Podaj mi wódki, wyrzekł stłumionym głosem.

Chłopiec wybiegł z pośpiechem i powrócił stawiając przed przybyłym flaszkę pospolitego kształtu, napełnioną płynem żółtawym. Na etykiecie błyszczał napis: „Fine Charopagne“. Na tacy stał mały kryształowy kieliszek.

Spadkobierca milionów papy Gavard wylał na podłogę poncz przyniesiony poprzednio, a opróżnioną po nim szklankę napełniwszy przyniesionym trunkiem, do dna takowa wychylił.

— Oto mi zuch! pomyślał służący. Wie jak się obchodzić z flakonem. Jeżeli mu się słabo zrobiło, to go na nogi postawi! Poczem zapytał. Jakże teraz panu? Czy lepiej?

— Lepiej, odpowiedział Oktawiusz, rzucając na marmurowy stolik monetę dziesięciofrankową. Dziękuję ci.

Zapłać w bufecie co się należy, a resztę zatrzymaj dla siebie.

I podniósł się z ławki a schowawszy do kieszeni ów list bezimienny, który mu tak straszny cios zadał, chwiejąc się jak pijany, wyszedł z kawiarni.

Nie był on jednak pijanym.

Spirytus winny zabarwiony karmelem i rozcieńczony wodą, którego tak znaczną dozę pochłonął, zamiast mu uderzyć do głowy, przeciwnie, rozbudził w nim zdolność myślenia, obezwładnioną chwilowo tak niespodziewanym ciosem.

Wyszedłszy na ulicę, zatrzymał się zapytując siebie, czyli to wszystko jest rzeczywistość? Czy nie zostaje on pod wpływem jakiegoś strasznego marzenia?

Niedługo trwało powątpiewanie. Rzeczywistość była dotykalną prawie. Zdania i słowa listu, płomiennemi zgłoskami przesuwały mu się przed oczyma, tworząc jedno przerażające oskarżenie poparte niezbitemi na pozór dowodami.

Wszystko musiało być prawdą! wszystko było prawdą zaiste, skoro dawano mu możność naocznego o tem się przekonania.

Na tę myśl szalona wściekłość go ogarniała, a niewysłowioną boleść szarpała mu serce.

— O! tak, ja ich muszę zobaczyć! powtarzał tak głośno, iż przechodnie za nim się oglądali. Na niej nie wywrę mej zemsty, nie! bo ją zanadto kochałem. Ale tego nędznika który wykradł me szczęście, zabiję!

Zbliżył się do powozu zostawionego przed mieszkaniem

Diny, i wsiadł weń wołając na stangreta:

— Na plac Bastylji! do dworca kolei Winceńskiej! Jedź co koń wyskoczy!

Posłuszny otrzymanemu rozkazowi woźnica tak spieszył, że o dziewiątej minut trzydzieści sześć, koń zatrzymał się przed dworcem kolei cały pianą okryty.

Oktawiusz wsiadł do wagonu pierwszej klasy, gdzie się znalazł sam jeden. Maszyna gwizdnęła. Pociąg wyruszył w drogę.

Powstrzymawszy się od szczegółowego opisu boleści nieszczęśliwego, poprzestaniemy na krótkiem powiadomieniu czytelników, że po gwałtownych wybuchach oburzenia i gniewu, następowały łzy gorzkiej boleści, a po straszliwych groźbach usta Oktawiusza szeptały:

— Jak ja ją kochałem! tę niewdzięcznicę. Boże! jak ja ją kochałem! Na co mi przyda się życie teraz, skorom ją utracił? Wołałbym usłyszeć że ona umarła. Ale dowiedzieć się że jest nikczemną, o! to nad moje siły!

Pociąg zatrzyma! się na szóstej stacji. Konduktor zawołał:

— Joinville! Joinville!

Oktawiusz wysiadł z pośpiechem.

Była godzina dziesiąta minut trzydzieści sześć wieczorem, gdy wyszedłszy z dworca drogi żelaznej, zwrócił się na błotnistą, spadzistą ulicę, wiodącą po nad brzeg Marny, a kierując się według wskazówek w liście, zwrócił na lewo i w kilka minut ujrzał przed sobą całą flotyllę czółen rybackich i przewoźniczych, stojących a

brzegu.

Nie zatrzymując się wcale, wyszedł na drogę całkiem osamotnioną, mającą po prawej stronie rzekę, a po lewej wyniosłe wzgórze zarośnięte krzakami.

Trudno byłoby wynaleść dogodniejsze miejsce na spełnienie morderstwa. Zaczajony w krzakach zabójca rzuciwszy się niespodzianie na swoją ofiarę, przeszywszy ją jednem pchnięciem noża, mógł następnie trupa strącić do wody. Cóż nad to prostszego? Oktawiusz nie pomyślał o tem ani na chwilę. Możliwość niebezpieczeństwa nie postała mu w głowie. Byłże kto na świecie coby go nienawidził? Cóżby komukolwiek na jego śmierci zależeć mogło? Dla czego by miał jej pragnąć?

Księżyc tymczasem zniknął za chmurami.

Po upływie kilku minut, stanął na skręcie drogi, a tuż naprzeciw niego pojawiły się dwa światła nieruchome w odległości jakich stu kroków.

Pierwsze twierdzenie bezimiennego listu urzeczywistnionem zostało.

Jakiś powóz stał nad brzegiem rzeki, a owe dwa światła dostrzeżone przez Oktawiusza były jego latarniami.

Teraz był pewnym, że zdoła schwytać tę niecną a ukochaną przez siebie istotę na zdradzie. Przyspieszywszy kroku zatrzymał się przed powozem.

Był to zwykły fiakr jednokonny.

Przy dziennem świetle łatwo byłoby nam poznać tenże sam zaprzęg, tegoż samego stangreta i konia, któremi owa mniemana zakonnica wywiozła Dinę Bluet do tej bezludnej chaty, gdzie Sariol na nią oczekiwał.

Oktawiusz pociągnął za rękaw woźnicę, który się ocknął, lub też udawał przebudzonego.

— Słuchaj przyjacielu, rzekł do niego.

— Jestem, jestem! mruknął zaspany stangret. Natychmiast jedziemy. Wszak przypatrując się przybyłemu przy świetle latarni: Ależ pan nie jesteś moim podróżnym, tym, którego tutaj przywiozłem, dodał niechętnie.

— Nie idzie o to ażebyś mnie odwoził. Chcę tylko byś odpowiadał na to o co zapytam, i włożył mu w rękę luidora.

— Ha! to rzecz inna. Dajesz pan dwadzieścia franków za rozwiązanie języka. Toć mi go przytem nie ubędzie. Pytaj pan.

— Przyjechałeś z Paryża?

— Ma się rozumieć.

— Kto cię wynajął?

— Jakiś młody, przystojny mężczyzna, lat około trzydziestu. Wziął mnie ze stacji Chateau-d'Eau, za umówioną i z góry zapłaconą cenę. Było wtedy około trzech kwadransy na piątą.

— Mężczyzna ten był sam jeden?

— Wtedy był sam. Ale pojechaliśmy zaraz na przedmieście du Temple, zkąd zabraliśmy jakąś młodą panienkę.

— Jak wyglądała ta panienka?

— Bardzo młoda, prześliczna, istne niewiniątko; lubo i temu ufać nie można! Była ubrana w szarą suknię. Na głowie miała maleńki słomkowy kapelusik z bławatkami: dobrze to zauważyłem, bo i ja jestem też znawcą. Ów pan powiedział mi: „Jedź do Joinville-le — Pont". I dalej, w

drogę! Jakeśmy tylko wyjechali z Paryża, moja parka zaczęła gruchać pomiędzy sobą miłośnie, i całować się aż miło! Nie w ciemię ja bity! Znam się na rzeczach tych dobrze.

Słysząc to Oktawiusz, szarpał gors koszuli, i wpijał paznogcie w piersi wzburzone wściekłością.

— Cóż dalej? pytał po chwili milczenia.

— Potem, jechaliśmy dobrym kłusem, rzekł stangret. Około szóstej przybyliśmy do Joinville. Przywiozłem moich państwa aż tutaj. Ów pan wysiadłszy z panienką, zeszedł w dół rzeki, wsiadł ze swą towarzyszką do ładnej łódki z białym żaglem i przepłynąwszy Marne, wysiedli na tamtą wyspę, gdzie już mi z oczu zniknęli. Więcej ponad to mój obywatelu już niewiem. Jeżeli pan uważasz, że za te pieniądze masz dość wiadomości, tem lepiej, jeżeli zaś nie, tem dla ciebie gorzej! „Za bilety bowiem wzięte raz z kasy nie zwraca się pieniędzy“.

Objaśnienia te wystarczały Oktawiuszowi, zwrócił się więc ku rzece.

Wśród ciemności, jakie się rozpostarły w tej chwili, mała wyspa pośród wyniosłych drzew, przedstawiała się jak jedna czarna masa, rysując niewyraźnie na ciemnym tle nieba. W głębi tej masy migotało słabe światełko, podobne do błędnego ognika.

— Oni są tam! szepnął młodzieniec. Lecz jakim sposobem się przeprawić? Jak dostać przez rzekę. Może by lepiej było tu zaczekać?

W niewielkiej odległości słychać było rytmiczne pluskanie dwóch wioseł, uderzających w powierzchnię

wody, a wkrótce statek napełniony sieciami i kierowany przez jednego tylko człowieka przybił do brzegu.

Ów rybak, wstał z ławki i pochwycił za linę, chcąc uczepić swe czółno do jednego z żelaznych pierścieni, rozrzuconych nad brzegiem Marny.

— Hej! przyjacielu, zawołał na rybaka Oktawiusz.

— Kto mnie woła? odrzekł chrypliwym głosem zapytany.

— Zechcesz mnie może przewieść swem czółnem.

— Nie przewożę nocą Paryżan.

— Nie dla przyjemności proponuję ci ów spacer, lecz potrzebuję niezwłocznie przebyć tę odnogę Marny.

— Jest już zbyt późno. Czuje się znużonym. Chcę spać się położyć.

— Namyśl się, dobrze ci zapłacę, mówił Oktawiusz dalej.

— Ileż pan dasz?

— Dam co zażądasz.

— Sto sous. Zgadzasz się pan?

— Masz je.

— Wsiadaj pan, odparł przewoźnik.

Oktawiusz zeszedłszy na brzeg, wskoczył w głąb łodzi.

— Proszę usiąść na ławce, wygłosił rybak.

— A ty gdzie się umieścisz?

— Ja stanę w tyle i będę wiosłował. Stojąc przeszkadzałbyś mi pan w poruszeniach.

Młodzieniec usiadł.

Łódź ciężka odbiła od brzegu, i płynęła z biegiem wody, chcąc przebyć w skośnym kierunku rzekę.

— Szczęśliwej podróży! zawołał szyderczym tonem woźnica fiakra ze swego siedzenia.

— A zatem, pytał ów rybak, pan chcesz przybyć na wyspę?

— Tak.

— Do chaty?

— Właśnie, do chaty.

— Znasz więc pan pana Augusta?

— Któż jest ów pan August?

— Jest to piękny młody paryżanin, który przyjeżdża tu często dla rozrywki.

— Nie, nie znam go wcale, odparł Oktawiusz.

— Co, co, co? wołał przewoźnik. Gdybyś pan go nie znał, dlaczego byś płynął do niego w odwiedziny o tak późnej porze?

— Jesteś nazbyt ciekawym.

— Mówią mi to zawsze, odparł śmiejąc się rybak. Lubię dowiadywać się o wielu rzeczach, na dowód czego pragnąłbym i teraz zobaczyć co się znajduje w pańskiej portmonetce z której przed chwilą dobyłeś sto sous.

Oktawiusz spojrzał w około.

Łódź znajdowała się na samym środku Marny. Przewoźnik przestał wiosłować. Stał wsparty o rękojeść wiosła, a blade światło księżyca dostrzedz dawało niezwykłe zuchwały wyraz jego wstrętnej twarzy.

Wiemy, że Gavard był młodzieńcem odważnym, w tej chwili wszakże jedno go tylko wyłącznie pragnienie zajmowało. Chciał co rychlej dostać się na wyspę. Skutkiem tego nie odpowiadając wprost na zuchwałą

zaczepkę rybaka, rzekł do niego:

— Dałem ci ile sam żądałeś. Czy uważasz, że to było za mało?

— Tak, mówiąc prawdę, było to zbyt liche wynagrodzenie.

— Ileż więc żądasz?

— Chcę mieć wszystko co się znajduje w portmonetce! Dawaj ją pan co prędzej!

— Co! zawołał Oktawiusz rzuciwszy się gniewnie, jesteś więc rozbójnikiem, złodziejem?

— Ha! mój paniczu, każdy zarabia jak może, odparł łotr bezczelnie. I to rzemiosło nie do pogardzenia.

— Zawołam o pomoc.

— Spróbuj pan.

— Woźnica stojący nad brzegiem widzi nas i usłyszy moje wołanie, mówił Oktawiusz.

— Co? ów woźnica od fiakra. Ha! ha! to mój wspólnik. Podzielimy się zarobkiem.

Młodzieniec drżał z oburzenia i gniewu.

— Okoliczności zrządziły, rzekł, iż w tej chwili jesteś silniejszym nademnie.

— Spodziewałem się tego.

— Jako przymuszony, ustępuję.

— Ha! ha! jakiż to grzeczny chłopiec, prawdziwy paryżanin! zaśmiał się bandyta.

— Oto moja portmonetka.

— Rzuć ją pan na sieci.

Oktawiusz spełnił żądanie.

— A teraz dołóż pan jeszcze do tego zegarek z

łańcuszkiem, mówił łotr dalej.

— Jakto, śmiesz żądać?

— Nie inaczej! a prędko!

— Ha! pomyślał spadkobierca miljonów, gdybym miał jakąkolwiek broń przy sobie, umiałbym łotrowi temu odpowiedzieć. Ale nic nie mam, nawet nożyka, jak więc obronić się przed takim łupieżcą?

Odpinając z gniewem łańcuszek, zerwał ogniwo i rzucił go do stóp napastnika.

— Bierz! oddałem ci wszystko, zawołał, i przysięgam że mimo to nigdzie cię oskarżać nie będę! Nie obawiaj się przeto i jak najprędzej przewieź mnie na wyspę.

— Dowiedz się jednak przed tem mój piękny paniczu, mówił uśmiechając się złośliwie rozbójnik, że jesteś dla pewnych osób zawadą. Mnie polecono usunąć ową zawadę. Mówię ci więc otwarcie, czekałem na ciebie. Trzymam cię teraz w mem ręku, i bez wszelkich kosztów przewiozę tam, skąd się nie powraca już więcej!

To mówiąc podniósł wiosło oburącz powyżej głowy z zamiarem roztrzaskania czaszki Oktawiuszowi owem naprędce zaimprowizowanem morderczem narzędziem.

Młodzieniec wiedział że zginie, jeśli nie uniknie ciosu.

— Zbóju! zawołał cofając się szybko, morderco!

I jednym skokiem zeskoczywszy z czółna, zanurzył się w rzece, znikając w jej głębi.

— Do pioruna! mruknął przewoźnik, za prędkom się wygadał. Trzeba weń było uderzyć z nienacka. A może umie on pływać do czarta?

Wkrótce otrzymał odpowiedź na to zapytanie.

Na dziesięć kroków od czółna rozwarła się lśniąca powierzchnia wody, a nad nią ukazała się głowa Oktawiusza, szybko płynącego ku wyspie.

Przyjaciel nasz wyrobił sobie w szkole Deligne'go sławę pierwszorzędnego pływaka. Płynąc z biegiem wody mknął szybko w zamierzonym kierunku.

— Do miljon tysięcy djabłów! zaklął z gniewem morderca. Pływa jak szczupak! I nie na żarty. Zaczekaj jednak, paniczu, ja ciebie wyłowię!

Tu, silnie popchnąwszy czółno, posunął je śladem uciekającego, a stojąc z podniesionem wiosłem, gotów był powtórnie na płynącego uderzyć.

Łódka rozbójnika mknęła lotem ptaka, zmniejszając z każdą sekundą przestrzeń, dzielącą ją od uciekającego młodzieńca. Wreszcie zbliżyła się do Oktawiusza.

Wspólnik Sariola pochwycił stosowną chwilę, wzniesione w górę wiosło spadło powtórnie, lecz uderzyło tylko w powierzchnię wody, która w tysiące kropli się rozprysła.

Oktawiusz w porę dał nurka, a łódź porwana prądem wody, oddaliła się w oka mgnieniu od miejsca, w którem on się zanurzył.

Kilka sekund upłynęło zanim morderca zdołał zatrzymać czółno i wrócić na poprzednio zajmowane miejsce, w czasie czego Oktawiusz płynął jak błyskawica.

Bandyta zaiskrzonem okiem spojrzał po powierzchni Marny, i szepnął:

— Jeżeli księżyc się schowa, wszystko przepadło! a ja okażę się blaznem!

Nagle, zielonawe zwierciadełko Marny zadrżało, i o jakie dwadzieścia kroków od łodzi znowu się wynurzyła głowa Oktawiusza.

Obecnie jednak przyszło nieszczęśliwemu chłopcu walczyć przeciw prądowi wody, by się oddalić od złowrogiej barki.

— Ha! teraz, zawołał tryumfująco morderca, teraz już wszystko się skończy!

Rozbójnik ów, namówiony przez Sariola, dzięki któremu pani Blanka Gravard miała się nazajutrz obudzić sześciomilionową dziedziczką, spełniał sumiennie zadanie, chcąc otrzymać umówione wynagrodzenie. Zaczął więc ze wszystkich sił wiosłować, a walcząc pomyślnie przeciw falom, skierował łódź na miejsce, w którem po raz ostatni ujrzał głowę swojej ofiary.

Przyjaciel Diny widocznie był już nazbyt zmęczonym. W nasiąkniętem wodą ciężkiem ubraniu płynął powoli, i zdawało się niepodobieństwem, ażeby dłużej nad kilka minut uniknąć mógł śmiertelnego ciosu.

Łódź mknęła nadzwyczaj szybko ku niemu.

Młodzieniec powtórnie się zanurzył w wodę.

Morderca zaklął straszliwie, a otworzywszy nóż, wiszący mu u pasa na rzemieniu, dał nurka i zaczął ścigać pod wodą swą zdobycz.

Gdy w jakie dwadzieścia sekund wypłynął na powierzchnię dla pochwycenia oddechu, ujrzał o kilkanaście kroków od siebie Oktawiusza, z trudnością już oddychającego.

Oktawiusz chciał jeszcze zanurzyć się raz trzeci, ale mu

już czasu zabrakło ku temu. Zabójca chwycił go za kołnierz ubrania.

Wtedy to pomiędzy obydwoma zawiązała się walka straszna, przerażająca, której ostatnie smutne rezultaty zdawały się nie ulegać wątpliwości.

Cała przewaga była po stronie mordercy. Przedewszystkiem posiadał on pełną siłę, ponieważ nie czuł nawet początków znużenia, następnie wełniana koszula i krótkie spodnie płócienne dozwalały mu na najswobodniejsze ruchy ciała. Żylastą swą lewą ręką trzymał młodzieńca za kołnierz, usiłując głowę jego w wodzie zanurzyć, by go zatopić tym sposobem, prawą zaś szukał swego noża.

Oktawiusz bronił się i opierał z rozpaczliwem wysileniem. Zaciśniętemi pięściami uderzał zawzięcie w piersi i twarz przeciwnika, aby go znaglić do odczepienia się od siebie, czego pomimo wszystko dokonać nie zdołał, a gwałtowność tych ruchów przyczyniała się tylko do rychlejszego wyczerpania i tak już zużytych sił jego.

Widział, że był zgubionym bez odwołania, a jednak opierał się jeszcze.

— Do stu piorunów! zawołał zniecierpliwiony bandyta, podniósłszy prawą rękę, uzbrojoną katalońskim nożem, raz przecie skończyć z nim trzeba!

Oktawiusz na wznak przewrócony i dogorywający już prawie, nie dostrzegł może, lecz się domyślał o zagrażającym mu ciosie. Wsparłszy obie stopy o grube lędźwie zabójcy, w ostatecznem gwałtownem wysileniu wyprężył się cały.

Oderwany kołnierz jego ubrania pozostał w rękach rozbójnika, który czując wysuwającą się ze swych dłoni ofiarę i zanurzającą się w wodzie, ugodził w nią nożem dwa razy.Ostrze żelaza miękki spotkało opór, jak gdyby weszło w głąb ciała.

— Ha! teraz ma dosyć! wyszepnął zbrodniarz. Zresztą gdyby wypłynął, powtórzę to lepiej!

W chwili tej czarna chmura zakryła księżyc zupełnie, i głęboka ciemność zapanowała nad miejscem popełnionej zbrodni.

Gdy w kilka minut później, księżyc się znowu ukazał, zabójca badawcze w około siebie rzucił spojrzenie. Jak tylko wzrokiem zasięgnąć zdołał nie dostrzegł żadnego przedmiotu, pływającego na powierzchni wody.

— Skończyło się nareszcie! mruknął zadowolony. Leżący na dnie rzeki topielec nie prędko na wierzch wypłynie.

I jako zręczny pływak, kilkoma śmiałemi rzutami dostawszy się do łodzi, wskoczył w nią, i przeczekał jeszcze z kwadrans, patrząc uważnie, czy zwłoki zamordowanego gdzie nie wypłyną.

Nic się jednakże nie ukazało.

Spokojny zatem i pewien dokonanego dzieła, skierował swą łódź do brzegu, a przybiwszy do lądu, zatrzymał się tuż pod światłem latarni fiakra, oczekującego na samotnej drodze.

— Czy to ty Maquart? pytał woźnica.

— Ja, Loupia’cie, odparł rozbójnik.

— Skończona sprawa?

— Ma się rozumieć.

— Czemuż to trwało tak długo?

— Ba! była nie lada praca mój kumotrze!

— Dla czego? Czy paniczyk tak dzielnie się bronił.

— Ha! i jak jeszcze! Najprzód pływał jak szczupak. Niech go wszyscy szatani... co za djabelska siła! Żadną miarą pokonać się nie dał! Takiemi powiadam ci okładał mnie kułakami, że przez dwa dwa tygodnie co najmniej będę miał sińce na twarzy. Zwijał się jak glista pod wodą! Musiałem rzucić się w rzekę, i nożem sobie dopomódz!

— Nożem? mruknął woźnica, pan Tamerlan nie będzie z tego zadowolonym. Upominał surowo, ażeby paniczykowi skóry nie podziurawić. Chciał ażeby to wszystko przypadkiem niby się stało.

— Niechajby się ów pan Tamerlan znalazł tu na mojem miejscu. Nie można było postąpić inaczej, odparł zabójca. Robota warta trzy razy więcej, niż mi za nia obiecano.

— Tak, ale licz i inne korzyści. Panicz miał przy sobie pieniądze, miał zegarek i łańcuch złoty. Wiadomo ci, że mieliśmy się wszystkiem podzielić. Taką była nasza umowa.

— Radbym, dalibóg! ale z tego wszystkiego o czem mówisz, nic niemam.

— Jakto? zapomniałeś o portmonetce i owych złotych drobiazgach? To nieprawda, kłamiesz! Ja temu nie wierzę!

— Przysięgam! powtórzył bandyta.

— Jakim sposobem mógłbyś o tem zapomnieć?

— Sposobem najprostszym w świecie! Miałem zamiar zrewidować go po zatopieniu, tymczasem ciało tak nagle

poszło na dno, że hultaj zabrał wraz z sobą pieniądze, zegarek i łańcuszek.

— Nie! tyś mnie okradł! krzyknął woźnica, zaciskając zęby, wszystko co mówisz, to fałsz, zmyślenie! Poczekaj, ja ci to wszystko odpłacę!

W głębi fiakra leżało przygotowane ubranie, jakiego we dni świąteczne używają robotnicy. Zabójca wdziawszy to na siebie w miejsce zmoczonej odzieży, wsiadł do dorożki. Stangret zaciął konia, i obaj godni siebie towarzysze, udali się do Paryża, gdzie bez żadnej przeszkody przybyli o pierwszej po północy.

Koniec tomu piątego.

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/007}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/008}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/009}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/010}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/011}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/012}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/013}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/014}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/015}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/016}} {{subst:Strona:PL X de Montépin

Tragedje Paryża tom 6.djvu/017}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/018}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/019}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/020}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/021}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/022}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/023}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/024}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/025}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/026}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/027}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/028}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/029}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/030}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/031}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/032}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/033}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/034}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/035}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/036}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/037}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/038}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/039}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje

Paryża tom 6.djvu/040}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/041}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/042}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/043}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/044}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/045}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/046}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/047}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/048}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/049}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/050}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/051}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/052}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/053}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/054}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/055}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/056}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/057}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/058}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/059}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/060}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/061}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/062}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom

6.djvu/063}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/064}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/065}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/066}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/067}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/068}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/069}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/070}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/071}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/072}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/073}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/074}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/075}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/076}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/077}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/078}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/079}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/080}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/081}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/082}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/083}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/084}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/085}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/086}}

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/087}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/088}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/089}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/090}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/091}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/092}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/093}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/094}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/095}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/096}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/097}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/098}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 6.djvu/099}} liczę na ciebie w tej mierze Jobin’ie!

— Panie naczelniku, będę się starał jak najlepiej wywiązać z położonego we mnie zaufania, odrzekł ów agent policji, o jakim, mamy nadzieję, nie zapomnieli czytelnicy.

W rzeczy samej był to ów Jobin, którego widzieliśmy przy spełnianiu dzieła; ów Jobin, który mimo oporu ze strony sędziego śledczego pana Bouleau-Duvernet prowadził tak zręcznie z swej strony badanie szczegółów w sprawie morderstwa barona Worms, padł pod kulami rewolwerowemi Fryderyka Müller, prawdziwego zabójcy barona.

Jobin należał ciągle do jednego z policyjnych oddziałów,

i bardziej teraz niż kiedy, składał dowody rzadkiej bystrości umysłu, oraz niezmordowanej gorliwości w spełnianiu swych obowiązków.

Nie mógł się pocieszyć że potknął się wtedy, jak mawiał, a raczej został raniony śmiertelnie wystrzałem przez owego kasjera. Natychmiast jednak po wyleczeniu się z ran zadanych ręką okrutnika, przedsięwziął na nowo z zapałem poszukiwania śladów tej zbrodni.

Pan de Génin, naczelnik jednego z wydziałów w prefekturze policji, powiedział sobie, że Jobin działając pomyślnie tylekroć razy w wyprawach na różne podejrzane zakłady i szulernie, i znając na palcach osobistości uczęszczające do tych nor brudnych, był jedynym w świecie człowiekiem, będącym w stanie zdemaskować hrabiego de Strény i schwytać go na gorącym uczynku.

Stąd nastąpiła przemiana tego agenta, w bogatego a nieśmiałego parafianina podczas przedstawienia go pani de Tréjan przez garbuska, pod nazwiskiem pana de Lansac.

Pan de Génin mocno był niezadowolonym, usłyszawszy, że Jobin widzi pana de Strény po raz pierwszy w życiu.

Ścisłe czuwanie Jobin’a przez całą noc prawie nie przyniosło żadnych rezultatów.

Hrabia de Strény prowadził grę uczciwie; wzrok więc policyjnego agenta utkwiony w jego zręczne palce, nic odkryć nie zdołał.

Croix-Dieu nie ukazał się tego wieczora w pałacyku przy ulicy Le Sueur.

Tak było i następnego czwartku, a nie tylko że pan de Strény nic nie wygrywał, lecz jeszcze przegrał bardzo

znaczną sumę.

— Panie naczelniku, rzekł Jobin wychodząc z małym garbuskiem, zdaje mi się że daremnie czas tu tracimy. Ów dżentlemen jak widzę został niewinnie przez pana posądzonym. Nic dotąd w całem jego zachowaniu się nie usprawiedliwia ciężkiego zarzutu jaki mu uczyniłeś! Zasięgałem bliższych szczegółów. Opinia o nim jest bez skazy. Wszyscy go być mienią bardzo bogatym.

— Musi nim być do czarta! jeżeli często udają mu się pomyślnie operacje zbierania po sto tysięcy talarów! zawołał pan de Génin. Mimo to wszystko, nie uznaję się być zwyciężonym. Nie cofam mojego mniemania. Przyjdziemy tu w przyszły czwartek, a może ów zręczny oszust mniej będzie się miał na baczności.

— Lecz jeśli i ten raz jeszcze otrzymamy sprzeczne rezultaty? rzekł Jobin.

— Wtedy zaprzestanę bojować; i przyznam wbrew własnemu przekonaniu, że miałem bielmo na oczach, gdym sądził że widzę, a raczej gdym widział owego jegomościa zmieniającego karty, jakich miał użyć!

Ów trzeci czwartek był dniem, w którym San-Rémo rozstawszy się z wicehrabina Herminią, pojechał do pałacyku na ulicę Le Sueur dla odnalezienia tam Filipa Croix-Dieu, który przez dwa tygodnie u hrabiny de Tréjan nie ukazał się wcale.

Książe Aleosco znajdował się tu, rzecz naturalna, a gospodarzył jak gdyby we własnym swym domu. Czynił z najzupełniejszą swobodą honory przyjęcia w salonach Fanny, a jego uprzejma gościnność w niczem nie była

podobną do ponurej roli, jaką odgrywał niegdyś Tréjan, legalny właściciel tego mieszkania.

Wierna swemu bezczelnemu systemowi, o jakim mówiliśmy, Fanny starała się o ile można najwięcej publikować swą miłość, a raczej swoje niewolnictwo.

Czepiała się ramienia księcia Leona. Wynajdywała, sposoby wytwarzania z nim sobie owych sam na sam, pośród tłumu obecnych gości. Szeptała doń cicho, uśmiechała się, otaczała go ogniem swego magnetycznego spojrzenia, i całe jej zachowanie się głośno mówiło: Patrzcie jak się wzajemnie kochamy! Co nas świat cały obchodzi?

Croix-Dieu ukazał się nareszcie.

Złożywszy swe hołdy gospodyni domu ze zwykłą sobie swobodą, prosił ją ażeby go przedstawiła księciu, jakiego spotykał na różnych zebraniach, a który pomimo to powitał go dość zimno, przeszedł więc do salonów gry, gdzie się umieścił po za Strénym, a tym sposobem na wprost Jobin'a i małego garbuska. Dobywszy tu banknot z pugilaresu, rzucił go na zielone sukno stolika, i śmiejąc się zawołał

— Stawiam pięćdziesiąt luidorów!

Pan de Lansac, a raczej Jobin z oczyma utkwionemi w palce bankiera nie zwrócił na przybyłego uwagi. Posłyszawszy ten glos, zadrżał, podniósł głowę i wlepił wzrok nieruchomy w mówiącego. Ten niemy egzamin trwał przez kilka sekund, poczem Jobin pochylając się ku panu de Génin zapytał go cicho:

— Kto jest ten pan?

— Jest to baron de Croix-Dieu.

— Racz wybaczyć panie naczelniku moją natrętność. Lecz cóż to za osobistość ów pan baron de Croix-Dieu?

— Jest to dżentlemen znany w całym Paryżu.

— Od jak dawna jest znanym?

Mały garbusek rzucił się niecierpliwie.

— Ach! odrzekł, od iluż lat, w całym świecie widujemy barona de Croix-Dieu, i słyszymy o nim! Dla czego mnie pytasz o niego? Miałżebyś go uważać za którego z tych łotrów niebezpiecznych, jakich rysopisy masz w swojej kieszeni?

Po tych kilku wyrazach wyszeptanych do ucha tak cicho, że najbliżsi sąsiedzi słyszeć ich nie mogli, Jobin zaczął egzaminować postać Filipa Croix-Dieu, stojącego naprzeciw siebie w pełnem oświetleniu, a studjując rysy jego charakterystycznej twarzy, powtarzał w myśli.

— Cera i wyraz oblicza odmienne z pozoru. Tamten był rudym, ten jest brunetem. Kwestja ufarbowania włosów. Ale też same usta, toż samo spojrzenie! Oprócz akcentu, tenże sam głos. Nie! to chyba nie jest ten człowiek, skoro jak twierdzi pan de Génin, tego tu od dawna zna cały Paryż! Już z dziesięć razy zdawało mi się, że odnajduję tego Fryderyka Müller. Zostanę wreszcie maniakiem! Ach! cóżbym nie dał, gdybym mógł usłyszeć tego barona mówiącego po niemiecku. Choćbym miał uchodzić za głupca, a nawet i szalonego, zbadać muszę pierwiastki rodowe tego pana de Croix-Dieu.

Filip nie podejrzywając, że owe binokle i naiwny pozór parafianina ukrywały jednego z najniebezpieczniejszych mu wrogów, obrzucającego go swem przenikliwem

spojrzeniem, przegrał swe tysiąc franków wciąż uśmiechnięty, poczem niechcąc próbować powtórnie szczęścia fortuny, odszedł od stołu gry, a po zamienieniu kilku słów i uściśnień ręki ze znajomymi, udał się do głównego salonu, w którym królowała Fanny.

Zaledwie tam wszedł, gdy służący otworzywszy drzwi wygłosił:

— Pan markiz de San-Rémo.

— Ha! ha! pomyślał baron. Już on. Sądziłem że dopiero jutro przybędzie. Lecz jak zmieniony! Cios widocznie był zbyt ciężkim. Biedny chłopiec! Budzi on we mnie sympatję, na honor!... Nieszczęściem dał się pochwycić w koła maszyny, a maszyna raz w bieg puszczona nie zatrzymuje się nigdy!...

Fanny postąpiwszy naprzeciw nowoprzybyłemu, stanęła zdumiona zmianą jego rysów twarzy. Młodzieniec był tak bladym, że wyłożony kołnierzyk od koszuli i krawat, równał się jego cerze.

San-Rémo ukłonił się wchodząc.

— Czuję się być tem więcej szczęśliwą z pańskiego przybycia, przemówiła z wdzięcznym uśmiechem pani de Tréjan, iż od dawna straciłam nadzieję ujrzenia pana w moim domu, między przyjaciółmi.

— Tak, w rzeczy samej pani hrabino, rzekł Andrzej. Otrzymałem dawno uprzejme zaproszenie, jakie pani wraz ze swym małżonkiem panem de Tréjan przesłać mi raczyłaś.

Fanny zmarszczyła brwi zlekka, usłyszawszy w tak niewłaściwych okolicznościach wymienione nazwisko

swojego męża.

— Trzeba być tak dobrą jak pani jesteś, mówił Andrzej dalej, aby mi wybaczyć to mimowolne zaniedbanie. Wszak nie odmówisz mi pani przebaczenia, choćby ze względu, aby nie karać dwa razy, ponieważ ta moja nieobecność była już pierwszą dla mnie karą.

— Dla wszelkich grzechów miłosierdzie, odpowiedziała Fanny z uśmiechem, przebaczam panu. Oto ma ręka.

Andrzej ujął tę drobną rączkę wyciągniętą ku sobie, wszak nie mając odwagi ponieść jej do ust, jak to był powinien uczynić, dozwolił jej opaść po nader słabem uściśnieniu.

Zdumiona, i prawie zraniona tem wykroczeniem przeciw zwykłej salonowej galanterji, hrabina skrzywiła pogardliwie usteczka, i zmierzyła Andrzeja od stóp do głowy wzrokiem, który zdawał się mówić: „O! biedny chłopcze“... poczem wykręciwszy się, odeszła.

San-Rémo z ulgą odetchnął. Skończywszy z owemi słowami próżnej grzeczności, mógł teraz swobodnie poszukać pana de Croix-Dieu, i wkrótce go odnalazł.

Filip zbliżył się ku niemu, a ująwszy go pod rękę rzekł zcicha:

— Jakim sposobem mój kochany znalazłeś się tu dziś w tym salonie, gdzie przedtem niechciałaś mi towarzyszyć?

— Przybyłem dla ciebie baronie, odparł młodzieniec. Dla ciebie tylko jedynie.

— Masz mi więc coś ważnego powiedzieć?

— Bardzo ważnego, niezmiernie ważnego!

— Mów, co takiego? Mów prędzej!

— Tu... niepodobna!

— Dla czego?

— Ponieważ będę to musiał szczegółowo ci opowiadać, a podczas opowiadania wymienić nazwisko, które niepowinno wyjść z moich ust w miejscu, w jakiem się znajdujemy!

— Nie jestem cię w stanie zrozumieć.

— Zaraz mnie zrozumiesz! Zaklinam cię baronie odjeżdżajmy! Miej litość nad moją boleścią!

— Odmówić ci nie mogę. Wychodzę wraz z tobą. Ale uczyńmy to w ten sposób aby hrabina nie spostrzegła, inaczej nie przebaczyłaby nam tak nagłego wydalenia się.

— Lecz patrzaj, pani de Tréjan nie zwraca wcale na nas uwagi, rzekł Andrzej.

— Pójdź więc, odparł Filip.

I oba zwrócili się ku drzwiom.

Jednocześnie, gdy je otwierać mieli, tenże sam służący, który przed trzema tygodniami pośród ogólnego zdumienia oznajmił: J e g o w y s o k o ś ć k s i ą ż ę A l e o s c o, ukazał się, wygłaszając teraz: „Pan hrabia de Tréjan“.

Nazwisko de Tréjan rozległo się jak ponury huk gromu w owym salonie, tak pełnym wrzawy i wesołości.

Skoro przebrzmiało, zaległo głębokie milczenie, i wszystkie spojrzenia zwróciły się ku drzwiom, w których Jerzy miał się ukazać.

Fanny objęta nerwowem drżeniem, przytuliła się instynktownie do swego kochanka, jak gdyby dla ukrycia się pod jego opiekę.

Książe odsunął ją zlekka, i z podniesioną głową,

skrzyżowanemi na piersiach rękoma oczekiwał.

Tréjan ubrany w czarny tużurek, zapięty pod szyję, zręcznie uwydatniający jego kształtną postać, trzymał kapelusz w lewej ręce opiętej czarną rękawiczką. W prawem, gołem ręku, miał drugą rękawiczkę. Był najzupełniej spokojnym. Twarz jego, nieco blada, wyrażała jakieś zimne, niecofnione, straszniejsze nad gniew postanowienie. Zwolna, lecz pewnym krokiem, przeszedł około grup osłupiałych jego obecnością.

Nikt nie pomyślał o powitaniu go, i on nie witał nikogo.

Na dwa kroki przed księciem przystanął.

— Panie, rzekł, przed trzema tygodniami oznajmiono twoje tu do mnie przybycie. Role się nasze teraz zmieniły. Dziś mnie anonsują u ciebie. Moja wizyta zadziwia cię być może?

— Nie, panie hrabio, odrzekł kłaniając się Aleosco. Nie spodziewałem się jej wprawdzie, wszak ją przewidywałem.

— Powinieneś pan był ją przewidywać, jak mi się zdaje, rzekł Jerzy, ponieważ ty mnie to zmuszasz do przestąpienia po raz ostatni progów tego domu, z którego pragnąłem wyjść na zawsze. Oddałeś się na moje rozkazy przed trzema tygodniami, jak to powinien był uczynię każdy szlachetny człowiek; ofiarowałeś mi zadość uczynienie, jakiego nie przyjąłem. Bo i cóż zresztą mogłem zarzucić dawnemu kochankowi dziewczyny nazywającej się Fanny Lambert? Zostałem oszukanym przez zwykłą ladacznicę, wszak pan nie miałeś w owem oszustwie udziału. Pozostawało mi się tylko oddalić, co uczyniłem. Dziś, wszystko się zmieniło! Dziś, pan jesteś kochankiem nie Fanny Lambert, ale

hrabiny de Tréjan, i nie masz nawet o tyle wstydu abyś to ukryć się starał! Zapominasz pan że ta istota tak nisko upadła, nosi moje nazwisko! Kompromitujesz pan publicznie moją żonę! W błocie kalasz mój honor! Jest to zniewaga dla mnie, śmiertelna zniewaga! Tej nie przyjmuję! A ponieważ obelga ta była publiczną, publicznie ci ją oddaję!

To mówiąc Jerzy szybko podniósł rękę i uderzył rękawiczką twarz księcia.

Aleosco wydał okrzyk wściekłości. Oczy mu ogniem zapłonęły. Co tylko było dzikiego w jego naturze, naraz wybuchnęło. Chwycił za ramię swego przeciwnika z siłą i wściekłością zapalczywego zwierzęcia, i ściskał go, jakby chcąc skruszyć na miazgę.

— Jeżeli mi pan złamiesz rękę, rzekł Jerzy z przerażająco krwią zimną, nie będę mógł w niej szpady utrzymać. Strzeż się więc.

Książę zbladł. Ozwał się w nim człowiek światowy. Palce się jego rozplątały i wyszepnął:

— Masz słuszność panie hrabio, proszę o przebaczenie. Nie byłem w stanie zapanować nad mem uniesieniem. Obelga była zbyt ciężką. Dlaczego mnie spoliczkowałeś? Tak nie postępuje dżentlemen.

— Uderzyłem cię dla tego, rzekł Jerzy, ponieważ bez tej zniewagi starałbyś się mnie może w pojedynku oszczędzać, a ja tego niechcę! Słyszysz pan, ja niechcę! Jestem twoim wrogiem. I zabiłbym cię gdybym mógł! Spoliczkowałem cię, ażeby być pewnym, że i ty równie byś mnie zabił, gdyby ci los posłużył ku temu.

— Jestem na pańskie rozkazy, panie hrabio, rzekł Aleosco.

— Otóż więc, mówił Tréjan, zwracając się z dumną wyniosłością do zaproszonych swej żony, proszę słuchać dobrze i uważać co mówię. Nie będę się bił za tę kobietę, którą pogardzam, ale za honor mego nazwiska, jakie mi ukradła, i błotem skalała!

Fanny wsparłszy swe obie ręce na ramieniu księcia, pochyliła się do jego ucha szepcząc z zapalczywą nienawiścią:

— Zabijesz go! nieprawdaż? Przysięgnij mi, że go zabijesz?.

Aleosco nie odpowiadając, odsunął ją powtórnie, i rzekł do Jerzego:

— Panie hrabio, jestem na twoje rozkazy. Gdzie można ci przysłać mych świadków?

— Jestem bardzo ubogim, rzekł Jerzy. Mieszkam na wyżynach hotelu Saint-Phar. Nie chciałbym ażeby pańscy świadkowie po tylu piętrach do mnie się trudzili. Racz mi pan powiedzieć gdzie moi z twoimi porozumieć się mogą?

— W Wielkim Hotelu, rzekł Aleosco. Tam dotąd mieszkam jeszcze.

— Jutro więc o dziesiątej rano będą u pana.

— Oczekuję ich.

Oba pokłonili się sobie wzajem, i Tréjan nie spojrzawszy wcale na Fanny, wyszedł z salonu.

Zaraz po jego odejściu powstał szmer, coś nakształt burzliwego brzęczenia. Każdy udzielał zcicha sąsiadowi swych uwag i komentarzy nad tylko zaszłą co sceną.

Fanny zakłopotana swem dziwnem położeniem, osądziła iż najlepiej będzie udać omdlenie, i uczyniła to z taką naturalnością, iż wszyscy uwierzyli w to zasłabnięcie.

Książę Leon ująwszy ją na ręce jak dziecko, wyniósł do sypialni.

Było to hasłem do ogólnego się rozejścia. Mała tylko liczba zaciętych graczów pozostała w około zielonego stolika kończąc partje rozpoczęte.

San-Rémo wyprowadził Filipa Croix-Dieu, który nie chciał odejść podczas wyzwania Jerzego Tréjan, i oba z Andrzejem wsiedli do powozu barona.

— Gdzież jedziemy? zapytał tenże.

— Do ciebie baronie.

— Dobrze. James! wracamy do domu.

Powóz ruszył z miejsca.

— No, teraz mój chłopcze, rzekł Croix-Dieu, jestem na twoje rozkazy. Słucham cię z uwagą i ciekawością bez granic. Mówże mi prędko o co chodzi?

— Opowiem skoro przybędziemy.

— Dla czego nie teraz?

— Baronie, możesz mnie uważać za warjata, lecz ruch tego powozu powiększa nieład mych myśli. Czuję się być niezdolnym do opowiedzenia czegoś jasno i prędko. A jednak potrzeba, ażebym był jasnym w tym razie.

— Dobrze, zaczekamy pięć minut. Ale ci wyznam, że to wszystko niepokoić mnie zaczyna.

Biegun barona mógł iść z wichrami w zawody. Przebył odległość tę w kilka minut, i zatrzymał się przed bramą domu przy ulicy świętego Łazarza.

Croix-Dieu wysiadł z Andrzejem; a odesławszy swego lokaja, pozamykał drzwi na klucz i umieściwszy się wygodnie w fotelu naprzeciw młodzieńca, rzekł:

— No, teraz nic nam nie przeszkadza. Otwórz więc twoją duszę i serce.

— Baronie! zaczął San-Rémo, jesteś moim przyjacielem, moim opiekunem, ojcem dla mnie prawie!

— Zdaje mi się żem tego dowiódł, wyszepnął Filip.

— Dwukrotnie ocaliłeś mi życie, mówił Andrzej dalej, a jeżeli zachowuję w świecie pozory zamożnego, twojej wspaniałomyślności to winienem!

— Nie mówmy o tem, przerwał Croix-Dieu. Działam tak przez czysty egoizm, a jeżeli pragnę za to wszystko nieco dla siebie przywiązania z twej strony, nie nakazuję ci i nie wymagam żadnej wdzięczności.

— Chcę złożyć w twe ręce mój honor, me szczęście! Ocal mnie, ratuj! Ty jeden możesz tylko to zrobić! mówił z zapałem Andrzej.

— Co mówisz, wyjąknął z udaną trwogą Croix-Dieu. Drżę cały słuchając słów twoich. Miałżebyś spełnić jakiś czyn nikczemny, który za jakakolwiek bądź cenę okupić potrzeba?

— Nie, dzięki niebu. Nie to wcale! Będę wszelako równie zgubionym, jeżeli nie otrzymam potrzebnej mi sumy pieniędzy.

— O pieniądze więc chodzi? odpowiedział Filip. Oddycham swobodniej. Ileż ci potrzeba.

— Wiele, bardzo wiele!

Croix-Dieu podniósłszy się poszedł do biórka, a

otworzywszy szufladkę, wrócił z dobrze wyładowanym pugilaresem banknotami.

— Otóż pieniądze! rzekł. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt tysięcy franków może ci są potrzebnemi? Daję je do twego rozporządzenia. Bierz! oto są, i wierzaj mi drogi mój chłopcze, że czuje się bardzo szczęśliwym mogąc ci je ofiarować!

— Niestety drogi baronie, odparł młodzieniec, te pięćdziesiąt tysięcy franków byłyby dla mnie kroplą wody w morzu.

— Wielki Boże! chodzi więc o jakąś ogromną, sumę? wołał Filip z przerażeniem. Cyfra jej?

— Milion! wyszepnął San-Rémo. Potrzebuję miliona

Croix-Dieu zerwał się z krzesła.

— Miljon! powtórzył dwukrotnie z doskonale udanem osłupieniem. Co mówisz Andrzeju? Jesteżeś przy zdrowych zmysłach me dziecię?

— Sądzisz baronie żem zwarjował, nieprawdaż? Nie, na nieszczęście nie jestem obłąkanym, odparł młodzieniec. A jeśli nie zdołam odnaleść tego miljona, wysadzę sobie mózg strzałem z rewolweru; tym razem nieodwołalnie, bo inaczej zostałbym zhańbionym!

— Lecz nieszczęśliwy, co się stało? pytał dalej Filip. Grałeś w karty i przegrałeś?

— Byłoby to niczem. Tu gorzej jest jeszcze. Przegraną w karty załatwić można. Człowiek wygrywający milion, czas na to pozostawia.

— A tobie odmawiają tego czasu?

— Pozostawiają mi na to tylko dni cztery. W przyszły

poniedziałek, przed godziną dziewiątą wieczorem, ma być wypłaconym ów miljon!

— Cztery dni tylko

— Ani jednego więcej!

— Ależ to niepodobieństwo.

— Nic mi więc w tem pomódz nie możesz baronie?

— W ciągu dni czterech, jest to niemożebnem. Trzeba by być Bankiem Francuskim, ażeby ci potwierdzającą — odpowiedź udzielić.

Andrzej wstał z krzesła.

— Byłeś ostatnią moją nadzieją, rzekł głosem złamanym. Pozostaje mi więc zrobić to zaraz, com miał uczynić w poniedziałek. Żegnam cię!

— Gdzie idziesz? zawołał Filip, chwytając go za ramię.

— Wszakże wiesz dobrze.

— Otóż to teraz jesteś prawdziwie szalonym! Zaczekajże trochę, pomyślimy razem! Nieco cierpliwości do czarta! Kto wie czyli nie odnajdziemy jakiegoś wyjścia z fatalnego tego położenia.

— Jedno jest tylko wyjście, zapłacić! a mówisz baronie że to jest niemożebnem.

— Gdy nie można przeskoczyć zapory, obchodzi się ją w około, rzekł Filip. Dobrześ zrobił żeś przyszedł do mnie mój chłopcze. Będę się starał znaleść jakąś radę. Usiądź więc i pogadajmy.

Andrzej posłuszny słowom mniemanego przyjaciela, upadł na krzesło, z którego powstał przed chwilą.

— Przedewszystkiem, rzekł Croix-Dieu, wytłumacz mi skąd i dla czego ta tak ogromna suma pieniędzy stała ci się

tak nagle potrzebną, a potrzebną w tak krótkim czasie?

Andrzej milczał, siedząc z opuszczoną głową.

— Czyliż mam prawo odkrywania tajemnicy, która nie jest moją własną?

— Czyń jak chcesz, odparł Croix-Dieu poważnie. Jeżeli nie pokładasz we mnie zaufania, lepiej uczynisz zachowując milczenie. Przychodzisz do mnie żądając bym cię ocalił. Czyliż to mogę uczynić jeśli nie wyznasz przedemną z najzupełniejszą szczerością powodów, jakie cię wtrąciły w to ciężkie położenie?

— Ufam ci baronie, chciej wierzyć, ale tu chodzi o honor kobiety! odrzekł San-Rémo.

— Chodzi o pokuszenie się do szantażu, nieprawdaż?

— Tak, wyszepnął głucho Andrzej.

— A ofiarą tego jest pani de Grandlieu?

Młodzieniec spojrzał na mówiącego z osłupieniem.

— Skąd wiesz o tem baronie? wyjąknął z cicha.

— Przyznam ci, odrzekł, iż sądzisz mnie być nazbyt naiwnym! Od dnia w którym przestałeś mnie powiadamiać o rezultatach swojej miłosnej intrygi, od dnia w którym mi objawiłeś iż zniechęcony niepowodzeniem przestajesz myśleć o wicehrabinie de Grandlieu, zrozumiałem że jesteś jej kochankiem! Było to jasnem jak słońce! Młody, uczciwy mężczyzna mówi o tej którą kocha, dopóki ona opór mu stawia; lecz powodzenie nakazuje milczenie. Zamilkłeś więc bo jesteś szlachetnym człowiekiem.

— A więc, zawołał Andrzej, powziąwszy nagłe postanowienie, nie będę dłużej ukrywał. Przysięgnij mi jednak na honor baronie, że nie wyjawisz nikomu w świecie

tego co odgadłeś.

— Daję ci na to moje słowo.

— Czytaj więc, wyrzekł San-émo, podając Filipowi,, list adresowany do pani de Grandlieu.

Croix-Dieu szybko zaczął przebiegać papier oczyma.

— Do djabła! zawołał. W rzeczy samej to niebezpieczne!

— A zatem wierzysz, jak i ja wierzę zarówno, rzekł Andrzej, że w razie gdyby ów nędznik w oznaczonym terminie nie odebrał swoich pieniędzy, będzie miał odwagę spełnić swą groźbę i sprzedać owe dowody wicehrabiemu de Grandlieu?

— Wierzę w to niezachwianie! Człowiek pragnący miliona, i chcący go pozyskać takiemi sposobami, jest zdolnym do wszystkiego — Nie przesadziłem więc przerażających następstw tej sytuacji? mówił San-Rémo.

— Według mego zdania, nic wcale. Widzisz rzeczy sprawiedliwie.

— A teraz, skoro wiesz prawdę, czy przyjdziesz mi z pomocą baronie? pytam cię powtórnie? Będę mógł dostać ów tak potrzebny mi miljon, lub też nie mogąc ocalić Herminii mam sobie życie odebrać, nim piorun ów zabłyśnie nad jej głową?

Przez kilka sekund Croix-Dieu zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie.

Niepewność Andrzeja stawała się męką do niewytrzymania.

— Ach! przez litość, wyszepnął, nie dozwalaj mi tak cierpieć! Mam spodziewać się lub też utracić nadzieję?

— Będziemy walczyć, rzekł baron poważnie.

— Jak, w jaki sposób? zawołał San-Rémo. Wszak wiesz że walka jest niemożebną!

— Skoro mówię o walce, rzekł Filip, to znać, że nie uważam tej sprawy za straconą zupełnie. Posłuchaj mnie mój chłopcze, posłuchaj z cierpliwością. Dziwnym zbiegiem okoliczności, zostałem powiadomionym o ogromnym majątku wicehrabiego de Grandlieu. Aktem przedślubnym przekazał on jako posag swej żonie rozległe dobra położone w Touraine, wartujące co najmniej pół-trzecia miljona!

— Jakąż to łączność z tą sprawą mieć może? zagadnął San-Rémo.

— Bardzo wielką, rzekł Filip. Wiem doskonale, że wicehrabina zostając pod władzą męża, nie może według prawa zawierać z nikim żadnych umów ani kontraktów sprzedaży, ponieważ jej podpis bez legalizacji małżonka niema żadnej wartości. Znajduje się jednak w Paryżu znaczna liczba kapitalistów, nie krępujących się przesądami, którzy wiedząc dobrze, że wicehrabia nie naraziłby się nigdy na skandal procesu, zgodziliby się na udzielenie pani de Grandlieu grubej sumy pieniędzy, a możeby i pożyczyli jej całą potrzebną też sumę.

Andrzej rzucił się z niezadowoleniem.

— Zły środek! niepraktyczny! zawołał. Znam dobrze dumną naturę wicehrabiny. Nie zgodzi się ona nigdy na łączność z krzywemi sposobami nabycia pieniędzy, na uczynienie kroku do ich pozyskania, któryby był razem z jej strony wyznaniem.

— Tonący chwyta się pierwszej lepszej gałęzi, rzekł

Filip.

— Gdyby przyszło wybierać pomiędzy hańbą, a śmiercią, pani de Grandlieu, jestem pewien śmierć by wybrała!

— Poszukajmy więc co innego.

— Tak jest, szukajmy.

— Przypominam sobie pewien bal w Angielskiej ambasadzie, zaczął Croix-Dieu, na którym wicehrabina ubraną była w familijne klejnoty swojego męża. Prześliczne są te djamenty. Można łatwo odnaleść jakiegoś żyda który z zastrzeżeniem wykupu tych klejnotów w oznaczony czasie, w którym to akcie pani de Grandlieu figurować wcale nie będzie, da na zastaw owych biżuteryj siedemset lub osiemset tysięcy franków. Ja sprzedam moje wartościowe papiery, i miljon dokompletujemy. Jakże ci się zdaje ten projekt?

— Zdaje mi się być łatwiejszym do wykonania niż poprzedni. Zawiera on jednak w sobie niektóre ważniejsze trudności.

— Jakie?

— Najprzód ta biżuterja nie jest własnością Herminii, ale jej męża, pana de Grandlieu.

— Otóż się mylisz, rzekł Filip. Wicehrabia darował je jej na własność, zeznając to w tejże samej przedślubnej intercyzie, o jakiej ci przed chwilą mówiłem.

— Zresztą, mówił dalej Andrzej, gdyby się zdarzyła sposobność przywdziania tych djamentów, i gdyby wicehrabia zażądał aby Herminia w nie się ubrała. Rzecz cała wyjawiłaby się natenczas.

— Eh! wynajdujesz jak gdyby umyślnie przeszkody, zawołał Croix-Dieu, Przypuśćmy tę rzecz nieprawdopodobną, przypuśćmy, że się wydarzy jakaś sposobność tego rodzaju. Chcąc się uchronić od konieczności ukazania się na niej, pani de Grandlieu potrzebowałaby tylko wynaleść pozór lekkiego zasłabnięcia. Wszakże to jasne i prawdopodobne. Przed upływem miesiąca zaciągnę pożyczkę na moje dobra, za którą będziesz mógł wykupić klejnoty wicehrabiny. Prawda, że w połowie zrujnowanym zostanę, ale ty będziesz ocalonym, o co głównie chodzi. Cóż na to mówisz?

— Mówię, zawołał z uniesieniem San-Remo, mówię, że na wyrażenie mojej głębokiej, nieskończonej wdzięczności, jaka przepełnia mą duszę, słów niemam, i proszę Boga jedynie, aby mi pozwolił poświęcić dla ciebie baronie kiedyś me szczęście i życie!

Dobrotliwy uśmiech zawidniał na twarzy Filipa, łza rozrzewnienia w oku mu zabłysła.

— Moje postępowanie, odrzekł, jest rzeczą bardzo naturalną, i nie zasługuje na takie oznaki wdzięczności. To co ci chcę dać teraz, otrzymałbyś później. Jest to zaliczka na twój spadek po mnie, nic więcej.

— Co teraz więc robić?

— Widzieć się z wicehrabiną jak najprędzej, i otrzymać od niej te biżuterje.

— Biedna kobieta nie odmówi oddania mi ich, jestem tego pewny, rzekł Andrzej. Co znaczą dla niej owe djamenty? Lecz skoro je otrzymam do kogo się udać, ażeby

dostać można na ten zastaw pieniądze?

— Teraz nie mogę ci na to odpowiedzieć. Wyjdę jutro bardzo rano, i dowiem się. Powiedz mi kiedy będziesz się mógł zobaczyć z panią de Grandlieu?

— W ciągu dnia dzisiejszego być może, lubo i to nie jest pewnem. Tysiączne nieprzewidziane przeszkody mogą zatrzymać ją w domu. Wieczorem jednak niewątpliwie będę chciał z nią pomówić choć przez kilka minut.

— A więc, przyjdź o szóstej jutro wieczorem do mnie. Będę mógł jak się spodziewam dać ci adres wypożyczającego na fanty, takiego ma się rozumieć, któryby był w stanie załatwić w ciągu pięciu minut tak grubą sprawę.

Andrzej się podniósł, Chciał już pożegnać barona; gdy nagle zatrzymał się w zamyśleniu — Pozwolisz mi, rzekł, napisać słów kilka u siebie?

— Wejdź do mego gabinetu, znajdziesz tam wszystko czego potrzeba, odparł Filip.

San-Rémo usiadł przy biurku, a wziąwszy zwykłą ćwiartkę papieru bez monogramu, nakreślił na niej wyrazy których bezład zdradzał stan jego umysłu, a które, mimo to nie mogły skompromitować Herminii, gdyby wypadkiem ów bilet wpadł w obce ręce. List ten brzmiał:

„Miałem słuszność mówiąc że wszystko nie jest jeszcze straconem. Ocalenie jest możebnem, lecz trzeba będzie okupić je drogo.

„Starajmy się usunąć obawę, ażeby przed oznaczonym terminem, nie pozostał ślad niebezpieczeństwa.

„Dziś od południa do szóstej wieczorem będę oczekiwał

w zwykłem miejscu. Gdyby nikt nie nadszedł, będę przekonanym że wyjść niemożna było, a stąd nie będę się niepokoił. Najrychlejsze jednak widzenie się jest hardziej niż koniecznem, jest ono niezbędnem.

„Wraz z nadchodzącym wieczorem przyjdę w miejsce, gdzie ten list składam, i od północy aż do godziny trzeciej nad ranem, na nowo oczekiwać będę, jak w dzień oczekiwałem.

„Trzeba przyjść koniecznie; trzeba módz to uczynić, inaczej wzrośnie niebezpieczeństwo!“

San-Rémo włożył list w białą kopertę i pożegnał Filipa, lecz zamiast się udać na ulicę de Boulogne, zwrócił się ku polom Elizejskim, i wsunął ową kopertę jak zwykle pod krzak bluszczu przy sztachetach ogrodu, pewien że Herminia rano wydobyć ztamtąd go przyjdzie.

Załatwiwszy to wrócił do siebie, a rzuciwszy się na łóżko, złamany znużeniem, zasnął snem napełnionym przerażającemi marzeniami.

Na ulicę Castellane przybył w samo południe, gdzie oczekiwał do godziny szóstej wieczorem.

Pani de Grandlieu nie ukazała się wcale.

X.

Tegoż samego dnia rano o dziewiątej, świadkowie Jerzego de Tréjan, dwaj słynni artyści malarze, przybyli jak było ułożonem do Wielkiego Hotelu.

Książe przedstawił ich swym świadkom, wybranym z

pośród swoich klubowych przyjaciół.

W ciągu kilku minut ułożono warunki spotkania.

Postanowiono bić się na szpady o czwartej po południu, w lasku Ville-d'Avray, na tej samej polance, gdzie poprzednio odbył się pojedynek księcia Leona z markizem de Braisnes.

Każdy z przeciwników miał mieć przy sobie swe szpady. Los miał rozstrzygnąć, które użytemi zostaną.

Od dziewiątej rano mały czarny powóz z zapuszczonemi storami oczekiwał przed bramą Wielkiego Hotelu.

Co chwila jakaś dłoń drobna niewieścia podnosiła story gorączkowo.

Na kwadrans przed czwartą ekwipaż księcia zajechał, po niego i świadków.

Ów tajemniczy powóz udał się tuż w trop za nimi, a zaprzężony doń biegun angielski dowiódł, że nie pozwoli się zdystansować koniom książęcym.

Aleosco i Tréjan przybyli jednocześnie na plac spotkania. Czarny powozik przystanął za karetą księcia Leona.

Los pod postacią sztuki złota wyrzuconej w powietrze, rozstrzygnął, że bić się będą szpadami księcia.

— Panie hrabio, rzekł tenże, przykro mi niewymownie, że los mi tę korzyść przysądził. Niechcę zrzekać się jej, ponieważ jestem pewien, że nie przyjąłbyś mej propozycji w tym razie.

Jerzy ukłonił się w miejscu odpowiedzi.

— Istnieje pomiędzy nami ważne nieporozumienie, mówił dalej książę Leon, jakie krwią zmyte być musi, Jest

to rzecz bardzo smutna, ażeby dwaj zacni ludzie, jakimi my jesteśmy, zmuszeni byli walczyć z sobą, dla odebrania sobie życia nawzajem. Owa okrutna konieczność wynikła z mej winy, przyznaję. Żałuję tego, chciej wierzyć panie hrabio, a mimo że czuję dotąd jeszcze palące dotknięcie twej rękawiczki na moim policzku, mam dla ciebie szacunek, a żadnej nienawiści. Mimo to, oszczędzać cię nie będę, bądź tego pewnym; wszakże jednocześnie czułbym się bardzo nieszczęśliwym, gdyby mi los miał sprzyjać w tej walce, i nie pocieszyłbym się natenczas nigdy!

Jerzy ukłonił się powtórnie w milczeniu.

Wybrano losem plac walki. Traf i tym razem posłużył księciu.

Przeciwnicy stanęli na swoich pozycjach, a jeden ze świadków księcia Leona wygłosił:

— Naprzód, panowie!

Szpady się skrzyżowały. Tak Aleosco, jak Tréjan, obadwa posiadali wielką wprawę w fechtunku. Książę uczęszczał na te ćwiczenia dla zabicia czasu, a nasz paryżanin, jako artysta, chciwy wrażeń wszelkiego rodzaju.

Potężna siła fizyczna księcia, nadawała mu wyższość w tej walce, czyniąc jego ciosy szpadą nader niebezpiecznemi; wszak giętkość i zwinność Jerzego równoważyła to w zupełności.

Pierwsze starcia ze stron obu świetnie się udawały, a przedłużając czas jakiś nie przyniosły żadnych rezultatów. Przeciwnicy zachowali krew zimną, a nacierając na siebie wzajem, drasnąć się nie zdołali, ku wielkiemu niezadowoleniu świadków, którzy sądzili, że popłynięcie

krwi z pierwszego draśnięcia, walkę powstrzyma.

— Czy nie zechciałbyś panie hrabio wypocząć przez minutę? zapytał grzecznie książę Leon.

Tréjan za całą odpowiedź broń spuścił ku ziemi.

Po upływie minuty ostrza na nowo się skrzyżowały. Zniknęła owa krew zimna, o jakiej mówiliśmy powyżej. Walczący ożywiać się poczęli; a zapał niepowstrzymywany, gwałtowność nerwowa kierować zaczęła ich umiarkowanemi dotąd ruchami, i popełniali błędy, jakie w następstwach mogły przynieść skutki opłakane.

Rezultat walki zależał teraz od trafu i szczęścia. Zręczność nie miała tu żadnego wpływu.

Rozstrzygnięcie zbliżało się nareszcie. Natarcie Aleosca zbyt późno odbiła szpada Tréjan'a, i książę drasnąwszy w rękę Jerzego, rozdarł mu przez całą długość rękaw od koszuli.

— Zostałeś draśniętym panie hrabio, zawołał książę Leon.

— Nie sądzę, odpowiedział Jerzy, wymierzając cios wprost siebie, i zagłębiając go w przeciwnika.

Ostrze jego szpady przebiło piersi Aleosca i wyszło mu plecami pod ramieniem, zadając ciężką ranę, podobną tej, jaką otrzymał San-Rémo od kapitana Grisolles w lasku Winceńskim.

Aleosco zachwiał się. Kałuża krwi z ust mu wypłynęła: i jak dąb nagle podcięty upadł na ziemię. Taka jednakże była u tego człowieka wielka siła żywotna, że uniósł od ziemi swój tors potężny, a wsparłszy się na lewym łokciu, rzekł chrypliwie świszczącym głosem do Jerzego:

— Zabiłeś mnie panie hrabio, lecz na to zasłużyłem. Przebacz jaką masz do mnie urazę, jak ja ci przebaczam z głębi serca śmierć moją.

— Bóg świadkiem, zawołał Jerzy, nie pomnę wcale, że mnie pan obraziłeś!

Książe Leon mówił coraz słabszym głosem:

— A więc na znak zapomnienia i przebaczenia, panie hrabio podaj mi swą rękę, dopomoże mi ona do wzniesienia się tam wyżej, gdzie oczekują mnie ojcowie moi, szczęśliwsi i godniejsi nademnie, bo oni poświęcili życie nie tak nędznej sprawie, lecz padli walcząc z chwałą na polu bitwy!

Jednocześnie gdy upadł Aleosco, z poza gwałtownie otworzonych drzwiczek czarnego powozu wybiegła kobieta w czarnem ubraniu, i jakby obłąkana boleścią, w kilku susach przebywszy dzielącą ją przestrzeń, padła na kolana obok ranionego, oplatając go rękoma.

Tą kobietą była Fanny Lambert, hrabina de Tréjan.

. . . . . .

Jerzy się podniósł.

— Książę, zawołał, chciałem ci podać rękę, uścisnąć twoją. Zapóźno! nie czujesz tego!

— Zabiłeś go! krzyknęła Fanny z gestem zaciekłej nienawiści i groźby, a pochwyciwszy kilka kropli krwi płynącej z rany poległego, rzuciła je w twarz Jerzemu, wołając: Niech jego krew spadnie na ciebie!

Tréjan się cofnął, jak się cofamy ze wstrętem na widok

jadowitej gadziny.

— Strzeż się! zawołał, strzeż się pani! Przez ciebie ta krew została przelaną! Przez ciebie zginął ten człowiek! Bóg karze jak widzisz, a dziś dosięgnął najmniej winnego. Strzeż się więc, powtarzam!

Drgania konwulsyjne wstrząsnęły po kilkakrotnie ciałem poległego, poczem nieruchomy, bez życia, odrętwiały, przedstawiał pozór trupa.

Tréjan pochylił głowę z uszanowaniem przed owem ciałem, w jakiem zdawała się nie pozostawać najmniejsza iskierka życia, skłonił się jego świadkom, i w towarzystwie swoich opuścił skrwawiony plac walki.

Fanny objęta rozpaczą łkała głośno, okrywała pocałunkami blade czoło księcia i jego oczy bez blasku patrzące przed siebie.

— Pani, mówił chirurg, musimy się stąd oddalić, zabrawszy ciało księcia.

— Gdzie chcecie je zawieść?

— Do Paryża, do jego mieszkania. — Jakto? zawołała, do hotelu? gdzie obcy przypatrywać się będą jego konaniu. Gdzie wobec ludzi zupełnie sobie obojętnych miałby wydać ostatnie tchnienie? Nie! nigdy, nigdy na to nie pozwolę!

— Lecz...

— Ani słowa! krzyknęła Fanny. Dopóki najmniejszy ślad życia w zranionym pozostanie, on do mnie należy, i przysięgam, że tego prawa nie ustąpię nikomu! Jeżeli uratowanie go jest możebnem, u mnie on oczy otworzy, jeśli zaś zawyrokowanym jest na śmierć bez odwołania, u

mnie umrzeć powinien! Taką jest moja wola, która byłaby i jego wolą! Czyliż nie zechcecie jej uszanować? i przemocą będziecie mi chcieli wydrzeć to jeszcze niezastygłe ciało?

Chirurg ze świadkami odeszli na bok dla wspólnego naradzenia się, z czego wynikło przypuszczenie, iż książę, gdyby posiadał przytomność umysłu, życzyłby sobie zostać przeniesionym do mieszkania swojej kochanki. Poddać się zatem temu było trzeba i unikać za jakąbądź cenę skandalu, jaki mógłby nastąpić ze stawienia oporu.

Postanowiono więc, że żyjący czy zmarły książę do pałacyku przy ulicy Le Sueur przewiezionym zostanie.

XI.

Andrzej, jak wierny, postanowił nie obawiać się, gdyby pani de Grandlieu nie przybyła na schadzkę w oznaczonym czasie. Jednak gdy uderzyła szósta godzina wieczorem, San-Rémo wyszedłszy z antresoli przy ulicy Castallane, uczuł wzrastającą trwogę. Daremnie powtarzał sobie:

— Nic tak dalece strasznego jeszcze nam nie zagraża, ponieważ termin oznaczony przez owego nikczemnika za trzy dni dopiero upływa.

Powtarzał to wciąż sobie, jak człowiek, który się pragnie przekonać, lecz cała logika tego rezonowania nie zdołała rozproszyć mgły żałobnej, rozwijającej się coraz silniej nad jego znękanym umysłem.

O kwadrans na siódmą przybył do barona Croix-Dieu.

— Jakże przestraszająco wyglądasz, mój chłopcze!

zawołał Filip. Czyż znów nastąpiło jakie nowe nieszczęście?

Andrzej potrząsnął głową przecząco.

— Widziałeś się z wicehrabiną? pytał baron.

— Nie, odrzekł San-Rémo.

— To źle! szkodliwie oddziałać może na sprawę to opóźnienie.

— Przewidywałem to, lecz może dziś późno wieczorem zobaczę panią de Grandlieu. Zrobiłeś co w tym interesie, baronie?

Croix-Dieu wydobywszy z pugilaresu ćwiartkę papieru podał ją Andrzejowi. Na nagłówku było wypisane nazwisko i adres pewnego powszechnie szanowanego domu bankierskiego, przez który poniższe objaśnienia udzielonemi zostały.

San-Rémo czytał głośno:

„Samuel Kirchen; żyd pruski, udziela zaliczki na zostające w zakwestjonowaniu papiery, jakich wartość otrzymać można po zapadnięciu wyroków sądowych.

„Umie on zadziwiająco wietrzyć w tego rodzaju operacjach. Podtrzymuje chwiejące się w podstawach domy bankowe, przywraca im kredyt w chwili gdy runąć miały, a nigdy nie wdaje się w upadłości dla sum małoznacznych.

„Główną wszak jego specjalnością, jest kupno i sprzedaż klejnotów, lub udzielanie pożyczek na zastaw tychże. Wylicza na nie gotówką, jakkolwiek wysoką byłaby suma pieniędzy.

„Bardzo bogaty, mimo pozornego ubóstwa i bardziej jeszcze nędznego mieszkania, posiada złożone w banku trzy

miliony. Każdy z czeków przez niego wydanych ma wartość sztaby złota“.

— I cóż? zapytał Croix-Dieu, gdy Andrzej skończył czytanie. Jakże to uważasz?

— Wołałbym traktować z mniej wstrętnym kapitalistą.

— Sprawy wątpliwe, mogą być tylko przez podejrzanych ludzi załatwianemu wyjaśniał Croix-Dieu. Żaden z uczciwie handlujących, bądź pewnym nie kupi, ani da pieniędzy na klejnoty nie będące twoją własnością.

— Jeżeli pani de Grandlieu powierzy mi je, wiedząc na jaki użytek obróconemi zostaną, rzekł Andrzej.

— Zgoda! Lecz w jaki sposób dowiedziesz tego Samuelowi Kirchen? Człowiek, ściśle uczciwy niezechciałby traktować z wicehrabiną, która jako zamężna zostaje pod legalną opieką swego małżonka. Wynajdź sposób, którymbyś mógł usprawiedliwić posiadanie tych biżuteryj, a każdy ze znanych domów bankierskich, wyliczy ci na nie szóstą część wartości. Jestżeś w stanie to zrobić?

— Wiesz dobrze, że nie, odparł San-Rémo.

— Uważaj się więc za bardzo szczęśliwego, mówił dalej Filip, gdy ci się zdarza jeden z owych pogardzanych spekulantów milionerów, skoro nie możesz obejść się bez niego.

— Prawda, niestety, rzekł Andrzej z westchnieniem. Gdzież mieszka ów Samuel Kirchen?

— Przy ulicy de Lappe numer dwunasty.

— Skoro tylko otrzymam klejnoty, udam się do tego lichwiarza, odparł San-Rémo.

— Nie opóźniaj się. Jedź dziś wieczorem.

— Po co? W jakim celu?

— W celu poznania się z tym żydem, przygotowania go do interesu, ułożenia warunków do aktu tego zastawu. Nie ukrywaj przed nim, że te kosztowności pochodzą od pewnej, wielce bogatej damy, jaka znalazła się niespodziewanie w trudnem położeniu; inaczej mógłby sądzić, że ukradzionemi zostały. Obok tego on będzie chciał wiedzieć kto jesteś, ażeby do dnia jutrzejszego zasięgnąć mógł o tobie wiadomości.

— Masz słuszność, baronie. Idę teraz na obiad, nie dla tego, abym czuł jakiś apetyt, ale że trzeba się pokrzepić, potrzebować będę albowiem całych sił do przebycia tego wszystkiego. O dziewiątej każę się zawieść do Samuela.

Jak tylko wyszedł San-Rémo i Croix-Dieu wyszedł także, wsiadł do przejeżdżającego fiakra, wołając:

— Na plac Bastylii i róg przedmieścia świętego Antoniego.

O dziewiątej Andrzej przybył powozem na ulicę de Lappe i wysiadł pod wskazanym numerem.

Ulica ta jest błotnistą i cuchnącą, wszakże nie wązką, ani ponurą.

San-Rémo zagłębił się w ciemny cuchnący korytarz, szukając daremnie odźwiernego, a wiedząc że ów żyd mieszka na czwartem piętrze, szedł po chwiejących się schodach, słabo oświetlonych na piętrach dymiącemi się lampkami.

Na białej tekturowej kartce, przybitej pod okienkiem czterema żelaznemi gwoździmi, wypisane było grubym charakterem samo nazwisko: „Samuel Kirchen“.

Andrzej zadzwonił.

Drzwi otwarły się za pomocą sznura, którego to sposobu otwierania używają przy bramach odźwierni. San-Rémo, znalazłszy się w pokoju ciemnym zupełnie, spostrzegł naprzeciw siebie drzwi, nawpół uchylone, przez które wybiegał słaby promyk światła, a głos jakiś chrypliwy z przerażającym teutońskim akcentem wymówił te słowa:

— Tędy. Pchnąć drzfi.

Młodzieniec stosując się do powyższego objaśnienia, przestąpił próg obszernego pokoju, w którym całe umeblowanie stanowiły trzy proste stołki drewniane. Pokój ten przedzielonym był na dwoje w całej szerokości silnem żelaznem okratowaniem, osłoniętem z wewnątrz płótnem zielonem. Okratowanie to sięgało od podłogi aż do sufitu.

W pośrodku wycięty był otwór, zamykany na blachę ruchomą, a opatrzony deszczułką w rodzaju tych na jakich kasjerzy podają i odbierają pieniądze.

— Co pan życzyć? ozwał się ów głos gardłowy, wychodzący z jakiegoś niewidzialnego ciała.

— Chcę się widzieć z panem Samuelem Kirchen, odparł San-Rémo.

— Ja... ja być! ozwał się tenże sam organ.

Jednocześnie uniosła się w górę blacha zakrywająca okienko, i Andrzej ujrzał przed sobą nie twarz, ale długą siwą kończatą brodę, zielone okulary, i myckę czarną, jedwabną, zasuniętą po uszy, słowem, jak gdyby jakieś fantastyczne widmo. Ów głos, staroniemieckim akcentem ozwał się zwolna na nowo:

— Kto... pan... jest?..

— Jestem markiz de San-Rémo, rzekł Andrzej.

— Ja nie znać!

— Chcę panu zaproponować pewien interes.

— Sprzedać czy kupić?

— Ni jedno, ni drugie, odrzekł San-Rémo. Chcę panu złożyć zastaw z prawem wykupienia tego fantu w ciągu dwóch miesięcy.

— Jaka towar?

— Klejnoty.

— Wartoszcz?

— Milion dwieście tysięcy franków.

— „Der teufel!“ wykrzyknął lichwiarz. Czy to być pańska te djamenty?

— Nie.

— A czyja?

— Pewnej damy, potrzebującej pieniędzy.

— Ja... ja! Ja to rozumieć. A czy to z panem interes, czy z ta dama?

— Ze mną samym.

— Dobrze. To proszę opofiedzieć historja ta dama, a potem będzie interes.

San-Rémo wynalazł dość prawdopodobne szczegóły wyjaśniające, jak jedna z kobiet światowymi, której nie wymienił nazwiska, znalazła się w potrzebie pozyskania na zastaw tych biżuteryj wymienionej sumy pieniędzy, wypłacalnej w ciągu dwóch miesięcy.

Samuel Kirchen zdawał się uważać to za rzecz bardzo naturalną. Okazał się być nader przystępnym, i oświadczył, że jeżeli pan markiz de San-Rémo przyniesie mu nazajutrz

brylanty, wartujące w rzeczy samej milion dwieście tysięcy franków to on nie zawaha się wyliczyć na nie siedemset tysięcy na przeciąg czasu dwóch miesięcy, po upływie których zwróci biżuterję za wypłatą ośmiuset tysięcy franków. Gdyby zaś powyższa suma nie została mu wyliczoną po dniach sześćdziesięciu, djamenty te sprzedanemi zostaną.

— Jeżeli pan przyjść jutro, mówił Samuel Kirchen swojem łamanem narzeczem, to przyjść punktualnie o czwarta godzina, czas będzie mi potem potrzebna na moja własna interesa.

Andrzej uspokojony wyszedł z ulicy de Lappe.

W kilka minut po jego odejściu, po za żelaznem okratowaniem. pozostała tylko leżąca na stole kończata siwa broda, zielone okulary, i mycka czarna jedwabna, a baron Filip Croix-Dieu wyszedł z tego domu.

XII.

Pierwszą po północy wydzwoniły zegary Paryża. Przejeżdżające powozy dawały się dostrzedz gdzieniegdzie w głównej alei pól Elizejskich; boczne wszelako aleje były zupełnie pustemi.

Jeden z takich powozów zatrzymał się przy budynku, mieszczącym w sobie wieki skład mebli. Wysiadł zeń Andrzej San-Rémo, i przebywał pieszo kilkaset kroków, dzielących go od ogrodu i pałacu de Grandlieu.

Serce mu silnie uderzało w piersiach, uciskanych jakąś

trwogą. Bo w rzeczy samej ów nieszczęśliwy młodzieniec ujrzał się wobec niesłychanie przykrej i upokarzającej sytuacji. Czuł, iż będzie zmuszonym powiedzieć swej uwielbianej:

— Zgubiłem cię przez moją nieroztropność, a ocalić cię nie mogę. Sama będziesz zmuszoną zapłacić okup własnego honoru! Daj mi swoje klejnoty!

W jakichkolwiekbądź wyrazach złożyłby jej to tak upokarzające dla siebie wyznanie, uniknąć niepodobna mu było tego przykrego wstydu, owej najcięższej tortury, żądania pieniędzy od kobiety, od swojej kochanki.

Przybył do osztachetowania dzielącego ogród pałacowy od pól Elizejskich, a wsunąwszy rękę pod krzak bluszczu, nic tam nie znalazł.

Herminia otrzymała list, a zatem przyjdzie na umówioną schadzkę, ponieważ mogące się nadarzyć w ciągu dnia przeszkody, w nocy nie istnieją wcale.

Rozsunąwszy wiotkie zwoje bluszczu, młodzieniec usiłował przebić wzrokiem ciemność, jaką gałęzie wielkich drzew tem głębszą czyniły.

Nie było słychać szmeru żadnych kroków na wysypanych piaskiem alejach.

Po za ciemnym ogrodem wznosił się szary fronton pałacu. Jedno, jedyne światło błyszczało po za szybami apartamentu pierwszego piętra. Były to pokoje wicehrabiny; Andrzej o tem wiedział.

Nagle to światło na inne miejsce przestawionem zostało; poczem zbladło i zniknęło zupełnie.

— Przyjdzie! wyszepnął z cicha San-Rémo.

Rzucił wzrokiem wprost i po za siebie, i upewnił się że samotność zupełna w ogrodzie panowała.

Nie wahał się dłużej. Pochwyciwszy obiema rękami za sztaby okratowania, zawiesił się na niem z siłą i giętkością, właściwą, swemu wiekowi, przerzucił się na druga stronę i stanął w ogrodzie.

Tu ukryty po za kępą drzew, oczekiwał.

Oczekiwanie to niedługo trwało. Po upływie kilku minut, cichy, zaledwie dosłyszany szelest sukni sunącej po piasku, dobiegł mu do uszu, i jednocześnie wiotkie prawie eteryczne kształty kobiecej postaci, wypływały z cienia i coraz bardziej wyraźniejszemi się stawały.

Podtrzymywana ową nerwową energią, jaką najsłabsze kobiety potrafią w sobie wzbudzić w razie zagrażającego im niebezpieczeństwa, wicehrabina szła z pośpiechem. Sądziła iż Andrzej znajduje się po drugiej stronie osztachetowania, po za ogrodem, od strony ulicy; nie należało więc jej przestraszać nagłem ukazaniem się. Zrozumiał to młodzieniec, i skoro zbliżyła się na odległość kilku kroków od kępy drzew jakie go osłaniały, wyszepnął cichym, jak szmer wiatru, głosem:

— Herminio!

Pani de Grandlieu zadrżała i przystanęła.

— Herminio, powtórzył, nie obawiaj się. To ja, ja jestem.

Pani de Grandlieu iść zaczęła.

San-Rémo ukazał się przed nią. Podała mu rękę, i gorączkowo płonące dłonie obojga złączyły się w serdecznym uścisku.

— Jakim sposobem przedostałeś się tu? pytała cicho.

Drzwi są zamknięte, klucz zabrałam do siebie.

— Przeskoczyłem przez okratowanie.

— Nieszczęśliwy! mógłbyś się zabić, wyszepnęła, i młodzieniec uczuł jak przy tych słowach jej ręka w jego dłoni zadrżała.

— Nie obawiaj się, odrzekł, umrzeć nie mogę, ponieważ ty potrzebujesz ażebym żył!

— Mam twój list od rana, mówiła. Uspokoił on mnie nieco, lecz zwiększył zarazem gorące pragnienie dowiedzenia się co nastąpiło? Czyniłam wszystko by zyskać możność udania się na ulicę Castellane. Niepodobna było! Wypadnie nam mieć z sobą długą rozmowę teraz? pytała dalej.

— Tak, ważna i długą.

— Pozostać nam więc w tem miejscu nie możliwe. Białość mej sukni zdała dostrzedz się daje na tle czarnych liści. Wejdźmy do pawilonu. Idź naprzód, ja pójdę za tobą.

San-Rémo starał się stąpać jak najciszej, wchodząc na drewniane schody małego wiejskiego budynku, pokrytego słomą, jaki służył niegdyś za schronienie Herminii podczas tej strasznej burzliwej nocy, o jakiej pewno nie zapomnieli czytelnicy.

Wyplatana trzciną kanapka, takież krzesełka i stolik okrągły, tworzyły tu całe umeblowanie. Szerokie okno weneckie wychodziło na Pola Elizejskie. Weszli oboje razem do tej izby.

— Opowiadaj mi coprędzej, opowiadaj! rzekła siadając na kanapce. Napisałeś w liście: „Ocalenie jest możebnem; lecz trzeba będzie okupić je drogo!“ Wytłumacz co to

znacz?

Andrzej zadrżał. Nadeszła straszna chwila; mówić było trzeba.

— Moja uwielbiana Herminio, wyjąknął z cicha, dotąd sądziłaś zapewne, że jestem bogatym. Niestety! pozór to tylko majątku nic więcej! Ów powierzchowny dostatek nie jest opartym na żadnych trwałych podstawach. Podtrzymuje mnie tylko dłoń wspaniałomyślna. W dniu, w którym ta ręka usunęłaby się odemnie, zostałbym bez żadnych środków ratunku. Wystarcza powiedzieć ci, że sam nic w tej naszej sprawie zrobić nie jestem w stanie. Mam jednak przyjaciela, na którego mogę rachować, a na szczęście, ów człowiek jest bogatym. Otóż mu wszystko opowiedziałem.

— Wszystko! zawołała wicehrabina z dźwiękiem boleści, zakrywając twarz rękoma, jak gdyby otaczająca ciemność nie zdołała dostatecznie pokryć jej rumieńca. On wszystko więc wie! Andrzeju cóżeś uczynił?

— Nie obawiaj się, odrzekł San-Remo, usiłując kłamstwem ją uspokoić, Co znaczy że wie, skoro nieznanem jest mu twoje nazwisko? Herminio! jak możesz sądzić, ażebym zdradził podobną tajemnicę?

— Przebacz mi wyszepnęła nieszczęśliwa. Zresztą dodała z goryczą, masz słuszność. Co nas to może obchodzić. Ta tajemnica już do nas nie należy! Jesteśmy oddani na łaskę i niełaskę pierwszego lepszego człowieka. Jakiś nikczemnik trzyma ją w swem ręku.

— Wydrzemy mu ją.

— Proszę, opowiadaj dalej.

— Ów tak oddany mi przyjaciel, o którym mówiłem,

kończył młodzieniec z wzrastającem zmięszaniem i trwogą, on pragnie mi być pomocnym, z braterskiem zaparciem się siebie. Chce się ogołocić ze wszystkiego. Poświęca dla naszego ocalenia znaczną część własnego majątku. Nie tracąc chwili czasu chce dług zaciągnąć na hypotekę, lub sprzedać swoje posiadłości, wszak pozyskane za cenę tak wielkich ofiar pieniądze, nie mógłbym otrzymać jak po upływie miesiąca.

— A nam zaledwie trzy dni czasu pozostaje, przerwała Herminia. Dla czego więc mówisz o ocaleniu?

— Ponieważ to ocalenie od ciebie zależy.

— Odemnie... nierozumiem odparła zdziwiona. Wiesz dobrze, iż ja podobnie jak ty otoczoną jestem zbytkiem i dostatkiem, lecz nie posiadam majątku.

Andrzej przywołał całą odwagę i przez ściśnione gardłu drżącemi usty wyjąknął:

— Wszakże posiadasz klejnoty.

Głuche milczenie zaległo po tych wyrazach. Pani de Grandlieu zadrżała i gdyby nie otaczająca ją ciemność, dostrzedz by było można iż śmiertelnie pobladła.

— Mylisz się, wyrzekła po chwili. Te drogocenne djamenty nie są moją własnością. Należą one do pana de Grandlieu.

— Są one twojemi, odparł San-Rémo. Wicehrabia w przedślubnej intercyzie przekazał ci je na własność.

— I te rodzinne klejnoty, noszone przez całe wieki przez uczciwe kobiety, małżonki bez skazy, miałyby stać się okupem mego honoru. Honoru niegodnej, występnej żony? Czyliż podobna uczynić coś podobnego, Andrzeju? A

gdybym nawet przyjęła tę upokarzającą mnie tyle propozycję, wyrzekła głosem złamanym, w jakiż sposób, powiedz, spełnićbym ją mogła? Jak wytłumaczyć przed panem de Grandlieu, że te djamenty, ów święty depozyt nie są już w mojem posiadaniu? Przepaść stoi ciągle otwarta przed nami; dobrze to widzisz. Prędzej, czy później, wpaść w nią będzie trzeba.

— Przed upływem miesiąca, wyjąknął Andrzej, klejnoty zwróconemi zostaną. Któż wiedzieć będzie, że one wychodziły z rąk twoich?

Tu jasno w najdrobniejszych szczegółach wytłumaczył jej kombinację dobrze nam znaną.

Herminia potrząsnęła głową.

— Nie! mój przyjacielu odpowiedziała z niezłomnem postanowieniem. Nie! tego nie uczynię! Wicehrabina de Grandlieu nie okupi dla siebie ocalenia hańbiącemi środkami! Okazałam się słabą aż do upodlenia, do kłamstwa, do zdrady! W odpokutowaniu winy okażę się mężną i silną. Podźwignę się z upadku odwagą! Wielkim był błąd popełniony, sprawiedliwie jest abym zań ukaraną została! Pochylę głowę pod wybuchem słusznego gniewu: a jeżeli człowiek, którego posiwiałe włosy hańbą okryłam, jeżeli on o tyle szanuje mnie jeszcze by mi chciał śmierć zadać, umrę żałująca, ze skruchą i z przebaczeniem z jego strony, być może!

— A więc, zawołał San-Rémo stłumionym głosem, u więc, jesteś umrzeć gotową?

— Tak! odpowiedziała.

— I nic nie zdoła już zmienić twego postanowienia?

— Nie!

— A więc daj mi swą rękę po raz ostatni Herminio! Żegnam cię, żegnam na zawsze!

— Gdzie idziesz? co zamyślasz uczynić, zawołała pani de Grandlieu zrywając się nagle, zatrwożona ponurym dźwiękiem głosu swego kochanka.

— Uprzedzę cię tam, wysoko! Jeżeli mamy zostać ukarani oboje, trzeba, ażeby najbardziej winny szedł pierwszy, i wskazał drogę drugiemu!

Wicehrabina zakryła twarz rękoma jak gdyby rozproszyć pragnąc ogarniający ją obłęd. Nagły zwrot nastąpił w jej zamąconym umyśle.

— Lecz gubiąc siebie, mnie zgubisz! wyjąknęła. Wydając na siebie wyrok śmierci, ja ciebie na śmierć skazuję. Ach! w przystępie ogarniającego mnie szału o tem zapomniałam! Dla siebie, przyjęłabym zgon, jako najwyższe dobrodziejstwo, ale go nie chcę dla ciebie. Pragniesz się zabić. Nie! nigdy! Zbrodnia, po popełnionym występku! Nie! nie! wszystko, niżli to raczej! Ratujmy się, skoro tak trzeba Andrzeju, ratujmy za jakąbądź cenę! Chwytajmy jakiekolwiek środki ocalenia! Zabraniam ci wychodzić stąd! Słyszysz mnie, zabraniam? Oczekuj tu na mnie. Idę po klejnoty!

I nie pozostawiwszy czasu na odpowiedź młodzieńcowi, wybiegła z pawilonu, i pomknęła ogrodem w stronę pałacu.

. . . . . .

Na ciemnym frontonie tegoż, drugie światło jednocześnie zabłysło.

Ukazało się ono po za szybami apartamentu zajmowanego przez wicehrabiego de Grandlieu.

Kilka minut upłynęło.

Andrzej usiadał na trzcinowej kanapie w temże samem miejscu, gdzie przed chwilą siedziała Herminia, i oczekiwał z głową w rękach ukrytą, licząc sekundy.

Herminią wreszcie się ukazała.

Trzymała w ręku hebanową szkatułkę srebrem inkrustowaną a obłożoną z wierzchu pokrowcem z czerwonego safianu, na którym były wyryte podwójne herby Grandlieu i Randalów.

— Weź, rzekła stanowczym głosem. Klejnoty są tu. Nie pozostawiłam sobie ani jednego. Oto klucz od tej szkatułki.

Chciała wydostać kluczyk, ale nie mogąc tego dość prędko uczynić, rozerwała z nerwowym pośpiechem ogniwko łańcuszka od zegarka, na którym ów maleńki złoty kluczyk był zawieszony i podała go Andrzejowi.

San-Rémo wsunął go machinalnie w kieszeń od kamizelki.

— A teraz, mówiła dalej, trzeba się nam rozdzielić. Odejdź proszę, lecz nie tą drogą niebezpieczną, jaką, tu przybyłeś. Otworzę ci małą furtkę w okratowaniu. Oddaję tobie załatwienie tej sprawy Andrzeju. Będę się starała odegnać rozpacz i trwogę, jaka od dwóch dni trapiąc mnie bezustannie, zabija mnie prawie! Chcę żyć dla ciebie. Nakażę mym myślom senne obezwładnienie. Będę oczekiwała bez udręczenia i niepokoju. Nie zobaczymy się,

dopóki nie zapewnisz obojgu nam ocalenia! Staraj się by to co rychlej nastąpiło.

— Zanim nastąpi jutrzejszy zachód słońca, odrzekł San-Rémo, nie będziesz się już miała czego obawiać.

— Oby tak było! wyszepnęła Herminia z ciężkiem westchnieniem. Jednem krótkiem słowem chciej mnie powiadomić, że się to dokonać udało, a znajdę sposobność wydostania się na jaki kwadrans na ulicę Castellane. Jakaż ulga natenczas! jaki spokój po tylu torturach!

— Nie myśl już o tem ukochana! rzekł Andrzej. Jak tylko otrzymam twe listy, wszystkie spalonemi zostaną.

— Nie, nie! zawołała żywo Herminia. Ja chcę je odebrać, przerachować i sama je zniszczyć.

— Spełnię twą wolę.

— Idź teraz, mówiła, odejdź prędko. Albo nie. Ja wyjdę pierwsza, pójdę naprzód, otworzę furtkę; zaraz wyjdź po mnie, a skoro wyjdziesz nie mów do mnie wcale. Nie wiem czemu, ale się dziś obawiam wszystkiego.

Tu zwróciła się ku drzwiom wpół uchylonym wychodzącym na schody. Doszedłszy progu, gdy już go przestąpić miała, cofnęła się z gestem przestrachu, i pochwyciwszy za ramie Andrzeja szepnęła doń cicho:

— Ktoś chodzi po ogrodzie!

Oboje oniemieli pod grozą tej instynktownej trwogi, jaka zwykle bywa pierwszą karą występnych, zbliżyli się do drzwi nasłuchując.

Herminia się nie omyliła.

Piasek na drodze alei wiodącej do pawilonu, trzeszczał pod ciężkim chodem mężczyzny.

— Nie wychodź! wyszepnęła nieszczęśliwa załamując ręce. Opóźniliśmy się.

Szmer kroków się zbliżał.

— To mój mąż, wyjęknęła z cicha. Poznaję go po tem szybkiem, pewnem stąpaniu. Znać powziął podejrzenie i przychodzi. Ach! tym razem jesteśmy zgubieni!

— Nie zupełnie, wyszepnął Andrzej usiłując uwolnić swą rękę, jaką ściskała konwulsyjnie zaciśnięta dłoń Herminii, i cofnął się w głąb izby.

— Co chcesz uczynić? pytała.

— Na imię nieba, milczenie! odpowiedział Andrzej.

Gdyby ów nocny przechodzień szedł do pawilonu, mógłby był tu stanąć w ciągu trzydziestu sekund.

Andrzej cicho, ostrożnie, otworzył okno wychodzące na Pola Elizejskie i wychylił się po za nie.

Jednocześnie głos pana de Grandlieu rozległ się w ogrodzie zapytując:

— Czy jesteś tu Herminio?

Wicehrabina nie odpowiedziała; zdawało się że nawet nie słyszy tego zapytania.

Odwróciła się oddychając przyspieszonem tchnieniem, patrzyła na rysującą się niewyraźnie pośród ciemności sylwetkę Andrzeja stojącego pod oknem.

— Jesteś tu Herminio? powtórzył ów głos.

Taż sama cisza.

Trzeszczenie schodów drewnianych oznajmiało iż pan de Grandlieu wchodzić zaczął na pierwsze stopnie.

Wysokość do szesnastu stóp dzieliła okno od gruntu. San-Rémo nie wahał się dłużej. Pochwyciwszy za ramę

okna, na ryzyko zabicia się w upadku, wyskoczył w ogród.

Wicehrabia przeszedłszy schody wszedł do pawilonu.

Ciemność tu głębsza niźli na dworze z razu go oślepiła, po paru jednak sekundach zdawało mu się, że dostrzega jakąś białą postać leżącą na podłodze. Zbliżył się do tej postaci, pochylił się nad nią, a dotknąwszy jej:

— Herminia! zawołał z przerażeniem, to Herminia!

Miał ją już podnieść, gdy okno otwarte zwróciło jego uwagę. Straszne podejrzenie ścisnęło mu serce. Podszedł do tego okna, a wychyliwszy się, spojrzał ku Polom Elizejskim. Samotność panowała zupełna.

— Dzięki niebu! wyszepnął, omyliłem się. Była tu sama.

Powrócił do zemdlonej, a wziąwszy ją na ręce, zaniósł na trzcinową kanapkę, na której ją położył.

Obecnie wróćmy do Andrzeja.

Dzięki zręczności i odwadze, młodzieniec po niebezpiecznym tym skoku, stanął na nogach zdrów i cały.

— Jeżeli wicehrabia powziął jakie podejrzenie, mówił sobie Andrzej, pierwszym jego czynem będzie wyjrzeć przez okno. Nie trzeba aby mnie widział.

O kilkanaście kroków od niego, wznosił się pień starego ściętego u wierzchu drzewa. San-Rémo ukrywszy się za nim, dostrzegł Armanda de Grandlieu ukazującego się w oknie i z nieufnością badającego przestrzeń. Po chwili wicehrabia uspokojony zniknął w ciemnościach pokoju, San-Rémo nic tracąc chwili, z oczyma zwróconemi w stronę pawilonu, przemykając się pomiędzy drzewami dość gęsto rosnącemi w tem miejscu, biegł szybko w kierunku placu Zgody.

Mamyż potrzebę upewniać iż w swoim skoku nie upuścił drogocennej szkatułki, ściskając ją silnie w ręce.

W pobliżu składu mebli odnalazł swój powóz; który zawiózł na ulice de Boulogne, gdzie złamany znużeniem dnia poprzedniego, rzucił się na łóżko, a pozamykawszy wszystkie drzwi na klucz, wsunął szkatułkę pod poduszkę w ten sposób, iż było rzeczą niemożebną, aby się nie przebudził, gdyby mu ją ktoś chciał ukraść.

Tak wielkiem było jego fizyczne znużenie i moralne zdenerwowanie, iż się nie przebudził jak nazajutrz, około dziesiątej rano. Ubrawszy się z pośpiechem, miał zamiar udać się na ulice św. Łazarza, gdy Edmund oznajmił wizytę pana Croix-Dieu.

— Wprowadź pana ile Croix-Dieu. odpowiedział.

Filip się ukazał.

— Miałem właśnie jechać do ciebie, gdy oznajmiono żeś przybył, zawołał z radością Andrzej. Mam wiele szczegółów do opowiadania.

— Złych, czy pomyślnych? pytał Croix-Dieu.

— Pomyślnych, jeżeli przypuścimy, że może znajdować się coś pomyślnego w podobnej sytuacji.

— Widziałeś się z Samuelem Kirchen?

— Widziałem. Ów Izraelita wydał mi się być bardzo przystępnym. Gotów jest ze mną traktować w wiadomym interesie. Będzie mnie oczekiwał dziś u siebie pomiędzy trzecią a czwartą godziną.

— Dobrze, ale czy masz klejnoty?

— Mam je.

Oczy Filipa zapłonęły tak żywo, iż spuścił głowę, ażeby

ukryć ów blask chciwości, jakiego powstrzymać nie zdołał.

— Pani de Grandlieu musiała cierpieć nie mało, zanim zdecydowała się na tę wielką ofiarę, narzuconą sobie okolicznościami? wyrzekł po chwili.

— Tak, bardzo wiele, odparł San-Rémo, a nawet tej nocy omal że uniknęliśmy niebezpieczeństwa, jakie udaremnić mogło tę wielką z jej strony ofiarę.

Croix-Dieu drgnął.

Andrzej opowiedział wiadome nam już szczegóły.

— Obecnie więc, pozostaje mi tylko przypomnieć ci twoją wspaniałomyślną ofiarę baronie, począł Andrzej. Spodziewam się otrzymać od Samuela Kirchen siedemset tysięcy franków. Pamiętaj proszę o dostarczenie mi stu tysięcy talarów potrzebnych dla skompletowania miljona.

— Pieniądze będą gotowe, rzekł Filip. Odchodzę, ażeby wydać w tym względzie polecenia memu wekslowemu agentowi.

San-Rémo punktualnie o trzeciej godzinie posłał po fiakra, nie chcąc używać własnego powozu, i kazał się zawieść na ulicę de Lappe.

Rzecz naturalna iż zabrał z sobą szkatułkę wicehrabiny.

XIII.

Z tą drogocenną szkatułką w ręku San-Remo przeszedłszy cztery piętra, zadzwonił do drzwi, nad któremi na tekturowej kartce wypisane nazwisko Samuela Kirchen wskazywało je, jako jego własne mieszkanie.

Obecnie tak, jak poprzednio, otwarto mu drzwi za pomocą wewnętrznej jakiejś sprężyny.

Głos gardłowy ze staroniemieckim akcentem ozwał ubiegłego wieczora:

—Tędy, pchnąć drzfi!

San-Rémo wszedł do drugiej izby. Ujrzał też same trzy drewniane stołki, i okratowanie druciane, płótnem z zewnątrz zakryte, oraz z przebitem pośrodku okienkiem.

Siwa kończata broda, zielone okulary, i czapeczka czarna jedwabna ukazały się i jednocześnie zniknęły, okienko nie zamknęło się jednak, a ów głos odzywał się gdzieś z głębi:
— Achto ty mloda czlofiek! Jest punktualna. Todobrze! bardzo dobrze. A są djamenta?

— Są, odrzekł Andrzej. Mam te klejnoty.

— To dobrze. Położyć na okienko. Otforzę i zobaczę czy będzie interes.

San-Remo postawił szkatułkę na deseczce okienka. Wysunięta ręka chwyciła ją żywo i wciągnęła wewnątrz.

— Ach! wykrzyknął po chwili lichwiarz, dobrze mófila mloda czlofiek, djamenty ta dama to rzadka piękność! Dam pieniądz, dużo pieniądze?

—Siedemset tysięcy franków, odparł Andrzej.

— Ja... ja! Myślę że można dać tyle. Choć to siedemset tysięcy frank, to ogromna suma! Powiedz mi mloda czlofiek, mówi! dalej po za okratowaniem, czy będzie mogła na pefno wypłacić za dni sześćdziesiąt te pieniądz, i sto tysięcy frank procenta?

— Z wszelką pewnością! odparł San-Rémo. Nawet przed upływem dwóch miesięcy. W każdym razie nie nastąpi

opóźnienie, poręczam słowem honoru.

— Dobrze, rzekł Samuel. Pójdę zważyć djamenty na moje ważka. Napiszę mala rachunek, i zanumerujemy ta fant. Wiem kto pan jest, i wiem według moja informacja, że można z tobą uczcifie traktofać; poczem wyliczyć będę pieniądza w banknoty po tysiąc frank, albo dać będę bona do banku.

— Wołałbym banknotami, rzekł Andrzej.

— Jak pan chciec, ale trzeba mi na to wszystka pół godzina czasu zostawić. Proszę być cierplifa, usiąść na krzesło i czekać. Ja będę spieszyć.

Według powyższej rady Samuela, San-Rémo usiadł na jedynem ze stołków drewnianych i pogrążył się w myślach, zupełnie prawie uspokojony.

Miał pewność, iż ta śmiertelna trwoga, jakiej doznawał od wczoraj skończy się nareszcie. Tego nawet wieczora, dzięki siedmiuset tysiącom franków lichwiarza, i stu tysiącom talarów barona Croix-Dieu mógłby wykupić te listy fatalne. Od jutra, Herminią wiedząc iż minęło niebezpieczeństwo odetchnie swobodniej.

Kołysanemu tak błogiemi marzeniami Andrzejowi, czas nie zdawał się być zbyt długim.

Zegar gdzieś w pobliżu wydzwaniający czwartą godzinę zwrócił jego uwagę.

San-Rémo wstał, i zaczął nasłuchiwać.

Głębokie milczenie go otaczało. Nie było słychać za zielonem płótnem okratowania, dźwięku przy kładzeniu drogocennych klejnotów i ich zetknięciu się z szalkami delikatnych ważek.

— Żyd, pomyślał Andrzej, ukończywszy ważenie djamentów, zajął się układaniem rachunku.

Czekał jeszcze chwilę, poczem zbliżywszy się do okratowania zapytał głośno:

— Panie Kirchen, czyś pan już ukończył swą robotę?

Żadnej odpowiedzi.

— Panie Kirchen, powtórzył San-Rémo zdumiony, czy pan mnie nie słyszysz? Co robisz? Dla czego nie odpowiadasz?

Głuche milczenie. Ani głosu, ani najmniejszego szmeru od strony okratowania.

Krew w nim zlodowaciała. Jak gdyby obrzucony ponurem światłem błyskawicy rozdzierającej ciemności, młodzieniec ujrzał nagle przepaść w jakiej miał zginąć wciągając w nią wraz z sobą Herminię. Nowy cios w niego uderzył, stokroć straszniejszy od poprzednich, i w chwili, gdy sądził się być ocalonym, ratunek znikał na zawsze.

Skoczył na okratowanie, usiłując je złamać, lub wyrwać.

Zapora ta tak wątła z pozoru, okazała się być niezwyciężoną. Oczka siatki elastycznej, ściśle z sobą złączone, oparły się jego wysiłkom.

Widocznie, że w owem przegrodzeniu, dzielącem izbę na dwie połowy, drzwi się znajdować musiały. San-Rémo szukać ich zaczaj, a mimo iż oszołomiony trwogą, i oślepiony napływem krwi do mózgu, wkrótce je odnalazł. Silne podważenie ramieniem Andrzeja, wysadziło zawiasy i drzewo. Drzwi z łoskotem wypadły na podłogę, i młodzieniec wbiegł wewnątrz tej długiej, ciasnej klatki.

Była ona pustą zupełnie. Pod okienkiem stał stół

drewniany, a przy stole krzesło. Na wierzchu stołu leżała siwa peruka, przyprawna kończata broda, zielone okulary i czapeczka czarna jedwabna.

W przeciwległej ścianie drzwi były na oścież otwarte. Andrzej wszedł temi drzwiami, i przebiegł ogarniony wściekłością dwa puste pokoje następnie trzeci, tak jak i tamte ogołocony zupełnie z mebli.

Straszna prawda zabłysła mu nagle przed oczyma.

Obszedłszy w około to opróżnione mieszkanie, wrócił na punkt, z którego wyszedł przed chwilą.

— Okradziony zostałem! wołał załamując ręce. Djamenty, honor Herminii, życie nasze, wszystko to, wszystko ukradł nikczemnik!

Należało jednak opuścić co prędzej owe djabelskie mieszkanie. Trzeba było biedz coprędzej odszukać owego Samuela Kirchen, tego rozbójnika, odebrać mu klejnoty, a gdyby ich nie posiadał, zabić jak psa na miejscu!

— Człowiek mający w banku złożone miliony, zniknąć nie może! Muszę go odnaleźć! powtarzał sobie San-Rémo, nie popierając jednak tych słów własnem wewnętrznem przekonaniem.

Wrócił do pierwszego pokoju, z którego drzwi: grube, silnie zbudowane, wychodziły na schody.

Chciał wyjść temi drzwiami.

Przezorny złodziej zapewnił sobie spokojny odwrót, i czas do swobodnej ucieczki.

Zamknął na klucz zamek tych drzwi, które ciężkie, masywne, jak drzwi więzienia, nie mogły uledz łatwemu wyłamaniu.

Otworzył natenczas szklarnie okienko, znajdujące się nad drzwiami, i z całych sił krzyczeć zaczął:

— Na pomoc! Złodziej! na pomoc!

Lokatorowie z niższych pięter wchodzić zaczęli na czwarte, z wyższych schodzić niżej zaczęli. Wkrótce zebrało się kilkanaście osób na przedziale schodów, na wprost drzwi o które Andrzej rozbijał sobie pięści chcąc się wydostać na zewnątrz.

— Co pan tu robisz u djabła? zapytał jeden z sąsiadów.

— Zamknięto mnie! wołał Andrzej, na imię nieba, otwórzcie!

— Łatwo to mówić otwórzcie! Aby otworzyć drzwi, na to mieć klucz potrzeba, a my go niemamy.

Jeden z obecnych chłopców zbiegi ze schodów, a po upływie kilku minut wrócił ze ślusarzem zaopatrzonym w pęk kluczów.

Haczyk wprowadzony w zamek wprawną ręką robotnika, dobrze posłużył. Drzwi się otwarły. San-Rémo był wolnym.

Dał ślusarzowi jako i chłopcu po sto sous, i chciał wybiedz na schody, lecz nieprzebyty tłum ciekawych otoczvł go w około. Każdy z nich pragnął się czegoś dowiedzieć.

— Co pan tu robisz? Dla czego cię tu zamknięto?

— Sprowadzono ranie podstępnie do tego domu, ażeby mnie okraść, odpowiadał Andrzej z pośpiechem. Złodziej mnie zamknął aby zapewnić sobie czas do ucieczki, a tym złodziejem jest żyd tu zamieszkały, Samuel Kirchen.

— Samuel Kirchen? co pan powiadasz, zawołał jeden z sąsiadów. On wyprowadził się ztąd przed ośmioma, dniami!

Andrzej spojrzał z osłupieniem na mówiącego.

— To niepodobna? zawołał. Widziałem się z nim dwukrotnie. Wczoraj wieczorem, i dziś przed godziną. Miał kupić odemnie klejnoty wielkiej wartości. Oddałem mu tę drogocenną biżuterję jaką miał zważyć, jak mówił, a on tymczasem uciekł, zabrawszy ją z sobą.

Obecni spojrzeli na siebie wzajem. To wyjaśnienie zdawało się im być niezbyt prawdopodobnem, nie ulegało jednak wątpliwości, że ów młody człowiek sam się nie zamknął w tem mieszkaniu.

— Wszak jeśli pan rzeczywiście okradzionym zostałeś, ozwał się głos jakiś, to trzeba iść powiadomić o tem komisarza policji.

— Trzeba przedewszystkiem ścigać i odnaleść złodzieja, odparł żywo San-Rémo.

— Komisarz policji za pomocą zręcznych agentów lepiej to od pana uczynić potrafi.

— Tak!.. tak! wołali chórem zaintrygowani tą tajemniczą sprawą ciekawi.

Niepodobna było Andrzejowi opierać się temu żądaniu.

W razie odmowy stawienia się przed tym urzędnikiem, jaki dla ludu jest najwyższem i niezłomnem wcieleniem prawa i sprawiedliwości, mógłby zostać w ich mniemaniu jakąś podejrzaną osobistością.

Trzeba więc było chcąc niechcąc, na to się zgodzić, pod grozą zostania przyaresztowanym przez lokatorów jako złodziej, mimo że w tem mieszkaniu z którego wychodził nic nie było do ukradzenia; udał się przeto do biura policji, eskortowany przez tłum zwiększający się z każdą chwilą.

Nie mogąc tam opowiedzieć całej prawdy, poprzestać musiał na ułożeniu krótkiego wyjaśnienia danego poprzednio swoim nieufnym słuchaczom.

Komisarz po zapisaniu nazwiska i adresu wnoszącego skargę, zadał mu kilka krótkich pytań, a zanotowawszy odpowiedzi Andrzeja rzekł:

— Samuel Kirchen posiada w rzeczy samej nader podejrzaną opinię ten człowiek jest gotów na wszystko się odważyć dla zwiększenia majątku; mimo to jest rzeczywiście bardzo bogatym, a stąd nie sądzę ażeby mógł być sprawcą kradzieży o jaką pan go obwiniasz.

— Ale natenczas kogoż widziałem przed sobą i kto mnie obdarł? zawołał San-Rémo.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa, odrzekł komisarz, wpadłeś pan w zadziwiająco zręcznie zastawioną zasadzkę. Śledztwo dziś przed wieczorem zostanie rozpoczęte w tej sprawie. Pragnąłbym, mimo iż nie spodziewam się wiele, ażeby ono dozwoliło panu odnaleść klejnoty, których opis szczegółowy nadesłać mi proszę jutro z rana.

Andrzej zaledwie żywy ze zgryzoty i wstydu, wsiadł do fiakra i pojechał na ulicę św. Łazarza do barona de Croix-Dieu.

Filip zdając się niespostrzegać zmiany tak w fizjognormi jako i chwiejnym chodzie młodzieńca, powitał go radosnemi słowy:

— Jak dobrze żeś przybył, mój chłopcze! Oczekiwałem cię z pomyślną wiadomością. Mój agent wekslowy dał dowód niezrównanej dobrej woli. Pieniądze są do twego

rozporządzenia.

San Rémo w milczeniu upadł na krzesło i ruchem urywanym, bezwiednym, zerwał krawat z szyi, jaki dusił go prawie.

— Wielkie nieba! zawołał natenczas Croix-Dieu z udaném osłupieniem. Co się stało? na Boga. Wyglądasz jak widmo!

— Stało się, powtórzył Andrzej z boleścią, stało się to, że obecnie ani ty, baronie, ani nikt w świecie już nas ocalić nie zdoła!

— Wytłumacz mi jaśniej. Przestraszasz mnie! rzekł Filip.

— Okradziono mnie, rozumiesz? zawołał młodzieniec rozpaczliwie. Okradziono już po raz drugi! Ukradziono mi klejnoty, jak ukradziono i listy. Tu opowiedział całe zdarzenie. Skończona! dodał, teraz jedynie zabić mi się pozostaje!

— Zabić? powtórzył Croix-Dieu.

— Czego dokonam w ciągu godziny! zakończył z stanowczem postanowieniem.

Działo się to w sobotę wieczorem.

W nadchodzący poniedziałek, o godzinie dziewiątej, korespondencja Herminii miała być sprzedaną wicehrabiemu de Grandlieu przez uprzejmego człowieka, potrzebującego miliona, jeżeli ów milion nie zostanie złożony w oznaczonym czasie na ręce pana Zimmermanna, zamieszkałego pod numerem 4-tym przy ulicy de l’Echiquier.

. . . . . .

Pozostawiliśmy Sariola z przerażeniem uciekającego drogą ku Charenton. Biegł on, nie wiedząc sam dokąd idzie, a niewytrzeźwiony jeszcze z pijaństwa, miał jedną tylko myśl teraz, a to oddalić się jaknajdalej od objętego pożarem domostwa, w jakim pozostawił Dinę Bluet, a które w kilka chwil później zapaść się miało nad Nemorynem.

Po kwadransie takiego szalonego biegu, czuł iż nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Mimo to, nie zatrzymywał się wcale, strach przemagal znużenie. Przy rogatkach, mimo że to była druga godzina nad ranem, znalazł jakiś opóźniony fiakr, i przybył bez szkody na ulicę de Saussaie, do znanego nam pałacyku, gdzie za pomocą klucza, z jakim nie rozstawał się nigdy, otworzył drzwi i wszedł do swego mieszkania.

Nazajutrz wstał późno, a zjadłszy obfite śniadanie w towarzystwie pani Saint-Angot, Sariol stał się znów zwykłym Tamerlanem, w włókniastej, jasnej peruce, błękitnych okularach, żółtawym paltocie i kapeluszu z szerokiemi brzegami, przechadzał się po bulwarach idąc ku przedmieściu de Temple.

Celem tej jego przechadzki była chęć dowiedzenia się, czy Dinah Bluet ocaliła się z pożaru i wróciła do domu.

Uwagę jego zwrócił nadjeżdżający fiakr, który zatrzymał się o dwa kroki od niego. Spojrzał machinalnie i wzdrygnął się, jak gdyby po otrzymaniu silnego ciosu w piersi.

Oktawiusz Gavard, pokryły przyschniętem błotem, wysiadał z tego powozu.

— Do milion piorunów! mruknął bandyta, ten idjota

Maquart więc chybił! W kimże teraz u czarta ufność mieć można? Co baron na to powie? Otóż znów umkną mi moje sto tysięcy talarów!

Sariol przechadzał się jeszcze przez kwadrans przed domem.

Oktawiusz ukazał się nareszcie, a wsiadłszy do fiakra zawołał:

Na ulicę Caumartin!

Młodzieniec był rozpromieniony.

Wystarczyło to Sariolowi, nie potrzebował dowiadywać się o więcej. Gavard jaśniał radością i zadowoleniem, a więc Dinah Bluet cała i zdrowa wróciła do domu.

— Lepiej że się tak stało! pomyślał, będę miał przyjemność sam pomścić się nad nią.

Tak więc, biedne to dziewczę zostało bezwiednie przez tego łotra na śmierć skazanem. Główną myślą Sariola było obecnie wynaleść jakiś zręczny sposób któryby mu pozwolił wykonać swą groźbę.

— Niezręczny mówił sobie, gdy mu się projekt nie uda, używa sztyletu albo trucizny! Są to wprawdzie środki zbyt pospolite, i gminne, do których jak najmniej uciekać się trzeba, bo wtedy mięsza się w taką sprawę sprawiedliwość, co może niemiłe następstwa sprowadzić. Najlepiej jest i najgładziej, usunąć co nam zawadza, nadając zbrodni pozór wypadku. Nie niepokoi się wtedy nikogo, i żandarmi na swoich stanowiskach pozostają.

Przed wieczorem dnia tegoż, Sariol zacierając ręce szepnął z zadowoleniem:

— Odnalazłem!

Istnieje przy ulicy de Bondy w suterynie jednego z nagromadzonych tu domów, poczynających się od teatru Ambigu, a kończących na Renaissance, kawiarnia, a raczej piwnica, nader podejrzana z pozoru, mimo że uczęszczająca tu ludność nie zasługuje na ten zarzut bynajmniej.

W ciągu unia bywała ona zawsze prawie pustą zupełnie. Wieczorem jej klientelę składali po większej części pracujący przy oświetleniu sceny, i pomocnicy maszynistów z sąsiednich teatrów.

Tego wieczora około dziewiątej, wspomniona knajpa była napełnioną gośćmi.

Teatr, w którym występowała Dinah Bluet, uczynił przerwę w widowisku dla próby mającego się wkrótce wystawić dramatu.

Na tę to próbę maszyniści ustawili bardzo ważną dekorację. Akt odbywający sie przy niej trwał blisko trzy kwadranse, obecność ich więc na scenie była chwilowo niepotrzebną: odpoczywali przeto sobie w pomienionej kawiarni, popijając na ochłodzenie rozgrzewające napoje.

Rozmawiając z sobą złorzeczyli dyrektorowi, o którego legendowej ekonomii wiedział całv Paryż, kończąc swe oskarżenia temi słowy:

— Mały August przy ustawianiu dekoracji został uderzony silnie drągiem w nogę. Okulał na dobre. Na nas znów spadnie tym sposobem większa robota.

Wejście nowej osobistości przerwało rozmowę.

Mężczyzna ów, ukłoniwszy się grzecznie obecnym, kazał sobie podać szklankę grogu i paczkę tytoniu za dziesięć, centymów.

Ów przybyły nie był to elegancki lecz o dwadzieścia lat starszy Sariol.

Mimo, iż starzej wyglądał po nad swój wiek, ów łotr w rzeczy samej nieco się podstarzał, i łatwo wziąć go było można za jakiegoś wałęsającego się robotnika.

Pośród swojej ruchliwej i awanturniczej egzystencji. Sariol dawniej próbował po trosze wszystkiego. Pełnił czynności figuranta w sztukach militarnych na starym bulwarze du Temple, a w razie potrzeby pomagał w ustawianiu dekoracji, i zmianach tychże na czarodziejskich przedstawieniach.

Poznał siedzącego przy sąsiednim stole starego maszynistę o posiwiałych włosach. Sięgnąwszy pamięcią w dawne wspomnienia wstał z krzesła, a podszedłszy ku temu człowiekowi, zawołał uderzając go po ramieniu:

— Jeśli się nie mylę, kolego, jesteś ojcem Eustachym?

— Eustachy Trumeau, nazywam się, odparł maszynista. Zkad jednak znać mnie możesz?

— Poznałem cię odrazu. Wszak pracowaliśmy razem.

— Gdzie? Kiedy?

— W cyrku, w dawnych dobrych czasach, gdy piękne sztuki tam przedstawiano. Ustawiałem wraz z tobą dekoracje, w „Księciu Eugeniuszu“, w „Rogatce Clichy“, w „Turlururu“. Jakże przypominasz to sobie?

— Nie zupełnie, odrzekł maszynista. Tak niby coś mi się zdaje. Lecz powiedz jak się nazywasz?

— Zwano mnie „Dużym Ludwikiem” albo „Konopiastym” z przyczyny jasnych mych włosów: No! teraz powinno ci to wszystko przyjść na pamięć.

— Konopiastym? wiem, wiem, przypominam sobie. Lubiałeś wdawać się w różne podejrzane sprawki, nieprawdaż?

— Co począć, skoro się człowiek znajdzie w ciężkiem położeniu? Mimo to wszystko jestem kontent, żem się z tobą spotkał, ojcze Eustachy, mówił, uśmiechając się Sariol, i na cześć naszej starej znajomości funduję napitek tak wam, jako i wszystkim waszym towarzyszom, Hej!.. chłopiec, wołał, waza gorącego wina, a nie szczędzić cukru i korzeni!

Powyższe zlecenie przyjęto z ogólnem zadowoleniem, i jednomyślnie oświadczono, że „Duży Ludwik” był dobrym chłopcem.

— Wróciłbym chętnie do dawnego rzemiosła, mówił Sariol dalej. Lubię teatr, i to w nim życie koleżeńskie razem. Gdyby więc można było przy twojej protekcji, ojcze Eustachy, dostać się tam.

— Dobrze trafiłeś, odparł ojciec Eustachy, może się to i da zrobić. Pomocnik maszynisty został przed chwila zraniony. Będzie musiał zapewne przerwać swą czynność przez dni kilka. Przedstawię więc ciebie jako zastępcę dyrektorowi. Zaczekaj tu trochę. Pójdziemy ustawiać dekoracje do czwartego aktu, i powrócimy za kwadrans; wtedy ci powiem o rezultacie.

— Dobrze, rzekł Sariol. Waza ponczu będzie gotowąą Wkrótce ukazał się ojciec Eustachy, przynosząc pomyślna, wiadomość.

Ów „Duży Ludwik“ w skutek życzliwej rekomendacji starego maszynisty został przyjęty przez dyrektora na

czasowe zastępstwo małego Augusta, ciężko zranionego w nogę. Sariol miał pełnić czynność tamtego, i mógł natychmiast objąć swe obowiązki.

— Przyjdź jutro punktualnie na oznaczoną godzinie, rzekł ojciec Eustachy.

— Bądź spokojnym, przybędę.

— Jutro ostatnia próba. Próba jeneralna, w kostjumach, w całym komplecie, wobec prasy i panów z ministerjum.

— Dobrze. Zobaczę przy tej sposobności i nowy ów dramat, nieprawdaż, ojcze Eustachy?

— Dla czego nie? Wszystkie drzwi będą otwarte przez czas trwania próby. Jak ustawimy dekoracje, będziesz mógł zejść na parter.

Nazajutrz sekretarz pani Angot stawił się w teatrze punktualnie. Przybył najpierwszy ze służby. Podwajał pracę i starania. Robił za trzech ludzi, a w każdym antrakcie wychodził i siadał w głębi sali.

Treść sztuki jak wiemy, nie obchodziła go wcale. Lecz potrzebował dla ścisłego wykonania swoich haniebnych zamiarów poznać dobrze sytuację sceniczną, odnoszącą się do roli biednej Diny Bluet.

XIV.

Nowa ta sztuka nosiła tytuł: „Górale z Wogezów“.

Był to dramat nawpół historyczny z militarnemi epizodami, bitwą, armatniemi strzałami, i tym podobnie.

Autorowie osnuli treść na wspomnieniu bohaterskiej

obrony Wogezów przez wieśniaków i górali podczas pierwszego najazdu.

Krystynę, bohaterkę dramatu, młode szesnastoletnie dziewczę, przedstawiała Dinah Bluet.

Nie mamy zamiaru opowiadać szczegółów tej sztuki. Wystarczy naw powiadomić czytelników, że Krystyna, jedyne dziecię starego alzackiego kapitana, poległego w bitwie pod Lipskiem, żyjąc w ubogiej chacie wśród gór wraz ze ślepą, swa matką, dopomagała dzielnie wieśniakom w obronie rodzinnego kraju.

W ubiorze wieśniaczki przechodziła forpoczty nieprzyjacielskie, nosząc depesze do dowódzcy strzelców Wogezkich.

Podczas podobnej wędrówki wpadła pomiędzy czaty, rozstawione na drodze, a nieumiejąc odpowiedzieć na wygłoszone w nieznanym sobie języku zapytanie „Kto idzie?“ została uwięzioną, i pod eskortą czterech prusaków zaprowadzoną przed starego Blumentala, najsurowszego z dowódców, który rozpoczął z niej badanie.

Niezadowolony z udzielanych sobie przez młodą wieśniaczkę odpowiedzi, kazał ją zamknąć w opustoszałej wieżycy zamkowej, zajmującej trzecią część sceny.

Żołnierz z bagnetem na ramieniu, pełnił straż u stóp tej wieży.

Wszystko to odbywało się w owym półmroku, naśladującym noc na scenie.

Krystyna, przywiązawszy linę do balkonu, spuszcza się na, niej, wyszedłszy przez okno wobec publiczności.

Żołnierz strzela podczas gdy dziewczę jest zawieszone

pomiędzy niebem a ziemią, chybia i wydaje okrzyk alarmu.

Krystyna zeskoczywszy, wyrywa mu broń, przybija go do muru bagnetem, i znika.

Nastąpiło pierwsze przedstawienie z „Górali z Wogezów“.

Nadzieje ziściły się w zupełności. Powodzenie dramatu zapewnionem zostało, a tryumf młodej aktorki wzrósł do niebywałych rozmiarów.

Powtórne nazajutrz przedstawienie odbyło się bez przeszkody.

Tak było i przez dwa dni następujące.

Czwartego dnia wieczorem, maszyniści przybyli o zwykłej godzinie.

Sariol, uprzedziwszy wszystkich, przechadzał się w głębi po za zapuszczoną kurtyną.

— Ha!.. ha!.. pierwszy na stanowisku! zawołał ojciec Eustachy podając mu rękę. Dobry dajesz przykład, zaprawdę. Widać, że szczerze upodobałeś to dawne swoje rzemiosło.

— Otóż się mylisz, mój ojcze, rzekł Sariol ze smutkiem pozornym. Praca ta dość mi się podoba, ale znużenie przy niej mnie zabija. Czuję, jak gdyby kurcz w rękach.

— Bo brak ci wprawy.

— Być może. Wszak gdy się próżnowało jak ja przez lat kilkanaście, wszelka praca następnie ciężka, się staje. Przyszedłem dziś po raz ostatni, aby ci nie sprawić kłopotu zawodem, ale uprzedzam nie rachuj, ojcze, na mnie więcej.

— Jak ci się podoba, Ludwiku, nie zmuszamy nikogo. Odbierzesz zapłatę za te dni cztery po ukończonem

widowisku.

— Nie ma nie pilnego.

— No... no.. każdy z nas radby pieniądz odebrać co prędzej, odrzekł stary. Widziałem małego Augusta. Już podobno wyzdrowiał, ma jutro przyjść do roboty.

Zaczęto grać uwerturę.

Na sali było spokojnie. Oktawiusz siedział w swej loży.

Dwa pierwsze akta minęły bez żadnego wypadku.

Pierwszy obraz w trzecim akcie zatytułowano na afiszu: „Zasadzka“.

Dekoracja przedstawiała przesmyk wązki i ciemny w Wogezach, zapełniony wysokiemi szaremi skałami, z rosnącemi na wierzchu jodłami, pokrytemi śniegiem, przez które wązkie to przejście przy blasku księżyca, przesuwali się w wojennym pochodzie górale.

Krzaki i granitowe odłamy, zasłaniały ich przed wzrokiem niemieckich żołnierzy. Olbrzymia jodła wywrócona, jakoby uderzeniem piorunu, tworzyła po nad przepaścią most naturalny.

Dinah, a raczej Krystyna, ukazała się nad brzegiem tego wywróconego drzewa, przebywając ostrożnie bez hałasu niebezpieczne to przejście.

Zaledwie przebyła trzecią część odległości, zabrzmiało hasło: „Kto idzie?“ I jednocześnie po nad każdym odłamem skały, z po za każdego krzaka ukazały się brodate twarze wrogów i lśniące lufy ich karabinów.

Dziewczę chciało uciekać, lecz nieprzyjaciele zastąpili jej drogę.

Natenczas, ścieżką stromą, urwistą, biegnącą w górę

pionowo, wdrapywać się poczęła jak koza na spiczastą skałę, gdzie żołnierze dosięgnąć jej nie mogli, usiadła tam na pniu wywróconej sosny.

Gdy umieściła się tam na widoku pod rzutem światła elektrycznego, naśladującego promień księżyca, dwaj żołdacy, wycelowawszy w nią dali ognia.

W owej to chwili, dnia tego, zaszedł nieprzewidziany wypadek, który tem żywiej wstrząsnął widzami, iż całkiem był nieoczekiwanym.

Dinah miała na głowie alzacką czapeczkę z czarnej jedwabnej materji, haftowaną w różnokolorowe motyle, związaną u wierzchu na wielką kokardę, podobną do wielkiego żałobnego motyla.

Jednocześnie z hukiem wystrzału, czarna kokarda oderwana od czapeczki zniknęła, a dziewczę zachwiało się i zbladło.

Można było sądzić iż kula przeszła przez wstążkę kokardy. Nigdy złudzenie sceniczne bardziej prawdziwem być nie mogło. Przestrach artystki był tak naturalnym, iż zapał ogarnął spektatorów, i sala zadrżała pod gradem oklasków.

Sama tylko Dinah nie pojmowała co się stało.

Dosłyszała przelatującą kulę ze świstem nad sobą. Uczuła wrażenie lekkiego uderzenia w wierzchołek głowy.

Co to wszystko znaczyło?

Zaledwie miała czas postawić sobie to zapylanie, gdy iść zaczęła, ażeby jak wypadało z roli, wpaść w ręce niemców, przyczajonych po drugiej stronie stały.

Dekoracja szybko się zmieniła. Przedstawiała ona teraz

dziedziniec w zamku Blumenthala, gdzie po prawej stronie znajdowała się owa wieżyca.

Krystyna stojąc na widoku nie opuszczała sceny, jak tylko, ażeby na nią wejść natychmiast. Żadne tu wyjaśnienie nie było potrzebnem.

Czytelnicy znają z poprzedniego opowiadania sytuację.

Niezwłocznie, po badaniu, o jakiem mówiliśmy powyżej, uwięziona została zamkniętą we wspomnionej wieży.

Recytowała monolog, jak przystało na bohaterkę teatralną, podczas gdy warta na zewnątrz straż odbywała, poczem przywiązawszy linę do balkonu, Dinah przeszła wierzchem otaczającą okno balustradę i zaczęła po tejże linie spuszczać się zwolna.

Szczegóły odbywały się jak zwykle i tego wieczora.

Warta, spostrzegłszy uciekającą, dała ognia.

Dziewczę wydało jęk, jaki nie był w jej roli, a opuściwszy jedną z rąk, którą się za linę przytrzymywała, zawisła na drugiej całym ciężarem, chwytając się sznura.

Oktawiusz zbladł.

Upłynęła chwilka, po której okrzyk przerażenia i zgrozy rozległ się na sali.

Lina zerwała się, i dziewczę spadło z wysokości piętnastu stóp na podłogę sceny, bez życia, prawie umarła.

Koniec tomu szóstego.

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom

7.djvu/007}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/008}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/009}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/010}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/011}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/012}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/013}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/014}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/015}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/016}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/017}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/018}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/019}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/020}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/021}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/022}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/023}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/024}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/025}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/026}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/027}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/028}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/029}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/030}}

{{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/031}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/032}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/033}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/034}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/035}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/036}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/037}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/038}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/039}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/040}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/041}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/042}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/043}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/044}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/045}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/046}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/047}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/048}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/049}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/050}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/051}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/052}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/053}} {{subst:Strona:PL X de

Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/054}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/055}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/056}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/057}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/058}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/059}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/060}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/061}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/062}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/063}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/064}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/065}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/066}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/067}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/068}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/069}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/070}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/071}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/072}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/073}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/074}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/075}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/076}} {{subst:Strona:PL X de Montépin

Tragedje Paryża tom 7.djvu/077}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/078}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/079}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/080}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/081}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/082}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/083}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/084}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/085}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/086}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/087}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/088}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/089}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/090}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/091}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/092}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/093}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/094}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/095}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/096}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/097}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/098}} {{subst:Strona:PL X de Montépin Tragedje Paryża tom 7.djvu/099}} tych szczegółach, jakie znał tak dobrze, i

które z taką miłością przygotowywał dla Herminii, i miał już iść dalej, gdy jego spojrzenie padło na, hebanowy kłęcznik w koronkę rzeźbiony.

Mówiliśmy na początku niniejszej powieści, iż na tym klęczniku znajdowała się czarna aksamitna poduszka, i książka do nabożeństwa ręcznie pisana, ozdobiona miniaturami, a nad klęcznikiem na ścianie, mały krucyfiks srebrny z wyobrażeniem ukrzyżowanego Chrystusa na czarnem drzewie.

Skromny ten krzyżyk stanowił dziwną sprzeczność z okazałością artystyczną przedmiotów rozmieszczonych wokoło niego.

Wicehrabia drgnął w chwili, gdy jego spojrzenie padło na czarny, drewniany krucyfiks ze srebrnym Chrystusem.

Zatrzymał się w miejscu. Zmienił się nagle jego wyraz twarzy. Groźne to i rozirytowane oblicze, wyrażało boleść i rezygnację.

— Cóżem chciał uczynić? wyjąknął, padając na kolana w pobliżu klucznika. Mamże ją prawo oskarżać? Mogęż jej złorzeczyć? karać bez litości, ja, który tym sposobem złamałbym przysięgę daną umarłej?

Wzniósł ręce do krucyfiksu.

— Święty obrazie, zawołał, Ty, który przyjąłeś ostatnie tchnienie i ostatni pocałunek owej męczennicy, Ty, który byłeś jedynym świadkiem mego uświęconego przysięgą zobowiązania. Ty mi otwierasz oczy i umysł, wiodąc na drogę honoru, z którego nie zboczę już teraz!

Zdjął ze ściany krucyfiks, a przyłożywszy go do ust drżących, mówił dalej:

— Gdy konająca oddała mi w opiekę swą córkę, powiedziałem jej natenczas: „Gdyby jej szczęście miało zależeć odemnie, będzie szczęśliwą, przysięgam! Gdyby potrzeba było opuścić dla niej radości tego świata, porzucę je, przysięgam! Gdyby potrzeba było cierpieć, aby usunąć od niej cierpienie, poświęcić się, ażeby jej oszczędzić ofiarę, będę cierpiał, poświęcę się, przysięgam!“ Wierząc moim słowom, Klotylda de Randal spokojnie ducha wyzionęła. A więc ty zmarła, ukochana, spójrz ku mnie jeszcze, a zobaczysz czy umiem dotrzymywać uczynionej przysięgi!

Powstał zmieniony zupełnie. Wzniosłym spokojem twarz jego promieniała. Ujął w rękę paczkę tych listów fatalnych, a po wysunięciu z kopert, zwinął je nie czytając i jeden po drugim zbliżał do płomienia świecy.

Skoro ostatni na popiół już spłonął, i gdy śladu nie pozostało z tej bezrozumnej korespondencji, blady uśmiech ukazał się na ustach Armanda.

— Otóż tak zagasł mój gniew, wyszepnął. Jak z tych listów, tak zeń śladu nie pozostało! Nie ma już znieważonego małżonka! Jest tylko starzec i dziecię! Jest ojciec, i jego córka! Dziecię upadło. Starzec mu przebacza. Jakkolwiekbądź wielkim byłby błąd córki, pobłażliwość ojcowska wyższą być nadeń powinna.

Tu krokiem pewnym szedł ku drzwiom kapliczki prowadzącym do sypialni młodej kobiety.

Otworzył te drzwi i wszedł.

Pokój był osamotnionym zupełnie. Świecznik płonący na stoliku, oświetlając środek sypialni, kąty jej w cieniu

pozostawiał.

— Herminio! zawołał wchodząc.

Żaden głos mu nie odpowiedział.

— Herminio! powtórzył z tkliwością. Herminio, moje dziecię, nie obawiaj się. To ja? Czy jesteś?

Wciąż to przerażające milczenie.

Wicehrabia zadrżał z obawy.

— Gdzie ona? pytał sam siebie.

Ćwiartka papieru, leżąca na stole przy świeczniku, zwróciła jego uwagę.

Pochwyciwszy żywo ów papier, rozwinął go, i pospiesznie czytał:

„Znalazłabym może odwagę do zniesienia twojego gniewu, brzmiały słowa listu, nie zdołałabym jednak znieść twojej pogardy. Żegnaj więc na, zawsze! Jestem nieszczęśliwą, występną, zgubioną istotą, ale nie jestem niewdzięczną. Kochałam cię z całej duszy! Nie proszę o przebaczenie, ponieważ wiem, że ono jest niemożebnem. Nie złorzecz mi jednak, lecz jeżeli można pożałuj! Ach! gdybyś wiedział, jak jestem ciężko ukaraną, gdybyś wiedział ile cierpię, ulitowałbyś się nademną“.

Na tych słowach kończył się list.

Pan de Grandlieu zachwiał się.

— Zgubiona! wyjąknął, nieodwołalnie zgubiona. Biedne, bezrozumne dziecię, jak ona mnie się obawia. Zgubiona! a ja przyszedłem ażeby...

Niedokończył.

Wzrok jego nagle stał się nieruchomym. Słowa mu skonały na ustach. Przyłożył jedną rękę do serca, a drugą do

czoła. Twarz jego okrył purpurowy rumieniec. Zachwiał się jak olbrzym, uderzony ciosem w serce i padł bezwładny na kobierzec.

W swoim upadku uderzył czołem o róg stołu. Krew z rany wytrysnęła.

VIII.

Była blisko jedenasta wieczorem, gdy Croix-Dieu wrócił do swego mieszkania.

Umieściwszy w pewnem miejscu obok klejnotów Herminii, pugilares zawierający czek na milion, płatny okazicielowi, Filip obmył, twarz w wodzie zmięszanej z perfumami, zmienił ubranie i wyszedł powtórnie, rozkazawszy służącemu, ażeby na niego nie oczekiwał.

Szedł pieszo aż do bulwaru, gdzie wsiadłszy do fiakra kazał jechać na ulicę Le Sueur, a odesławszy powóz zadzwonił do bramy znanego nam pałacyku.

— Pani hrabina jest w domu, odpowiedziała zapytana przezeń odźwierna, ale nie przyjmuje nikogo. Niech więc pan baron wybaczy, zakazu przestąpić nie mogę.

— Nie żądam tego, rzekł Filip. Proszę jedynie o doręczenie mej karty wizytowej pani hrabinie, ponieważ jestem pewien, że dla mnie uczyni wyjątek.

Odźwierna nie śmiała opierać się dłużej żądaniu przybyłego, którego znała jako przyjaciela pani domu. Weszła w dziedziniec, ażeby spełnić polecenie, z czego korzystając Croix-Dieu, wbiegł żywo do jej opróżnionej

stancyjki.

Kilka kluczów z przywiązanemi do nich kartkami, wisiały nad stołem, na gwoździach. Jeden z tych kluczów otwierał małą furtkę w osztachetowaniu. Pochwyciwszy go Filip, wsunął do kieszeni.

Po upływie minuty odźwierna wróciła.

— Pani hrabina prosi pana barona, wyrzekła.

— Byłem tego pewien, odpowiedział Croix-Dieu.

Pokojówka wybiegłszy z przedpokoju, otworzyła drzwi, i Fanny ukazała się podając rękę przybyłemu.

— Miałeś słuszność mój przyjacielu, wyrzekła, że zakaz przezemnie wydany nie dotyczył ciebie. Kto jednak mógł się spodziewać twego przybycia o tak późnej godzinie? Właśnie miałam się udać na spoczynek.

— Może przeszkadzam?

— Bynajmniej. Jesteś jak zwykle gościem pożądanym. Cieszę się widząc cię u siebie. Usiądź że baronie, zaczęła, i porozmawiajmy, lecz rozmawiajmy prędko. Przedewszystkiem jednak pozwól, że cię zapytam, powiedz, cóż świat mówi o mnie?

— Mamże ci szczerze odpowiedzieć?

— Tak, zadam tego.

— I nie obrazi cię moja otwartość nieco brutalna?

— Czyż mogłabym o cokolwiekbądź obrazić się na ciebie?

— A zatem, dowiedz się, że cała opinia jest przeciw tobie hrabino. Obrzucono cię kamieniami!

— Skutkiem tego nieszczęśliwego pojedynku zapewne.

— Tak, lecz głównie z powodu szalonej myśli

sprowadzenia tu do siebie swego ranionego kochanka.

Oczy Fanny Lambert zapłonęły gniewem.

— A to mi się podoba! zawołała. Sądzisz więc, że ja cośkolwiekbądź uważam na tych ludzi? Postępuję jak chcę, jak powinnam; chlubię się mem męztwem i odwagą! Aleosco opuszczony przezemnie, oddany opiece płatnych najemników, umarłby niechybnie! Ocaliłam go! i wszelkie gadania głupców i złośliwych nie są w stanie zaprzeczyć, żem powróciła mu życie.

— Rzeczywiście ocaliłaś więc księcia?

— Tak! ocaliłam go. Pojmujesz, on zawdzięcza mi życie! Tenże sam doktór, który po pojedynku stracił nadzieję uratowania Leona, oznajmił mi dziś, iż wszelkie niebezpieczeństwo minęło i uzdrowienie jest bliskiem. Napełnia mnie to szałem radości. Szczęściem bez granic.

— Na serjo? kochasz więc księcia?

— Czy go kocham? pytasz. To nie miłość, ale uwielbienie! Ażeby z nim przebywać i nie opuszczać go wcale, gotową bym była odrzuciwszy mój tytuł hrabiny, zostać jego służącą, jego niewolnicą, ażeby tylko być przy nim.

— No!.. a Tréjan? zapytał Filip.

Fanny zmarszczyła brwi, a z jej źrenic rubinowych, jadowite światło wytrysło.

— Ach! jak ja go nienawidzę! zawołała. Nie wymawiaj w obec mnie nazwiska tego człowieka. Słabo mi się robi na jego wspomnienie!

— A jednak nosisz to nazwisko.

— Noszę je i zachowuję z konieczności, noszę je, aby do

niego dołączyć nazwę książęcej, i rzucić tę koronę o dziewięciu perłach pod stopy mego kochanka!

— To zemsta kobieca, rzekł baron, wszak obok gorącej twej nienawiści, odgaduję, iż krwawszej pragnęłabyś jeszcze.

— Tak, ktoby mi dostarczył sposobność do takiej zemsty, o jakiej śnię i marzę, cóżbym za to nie dała?

— Tréjan, aż do chwili swego z tobą rozłączenia, a nadewszystko, do chwili pojedynku, zostawał w ogólnej pogardzie. Wszakże wiesz o tem? mówił Filip spoglądając na Fanny. Dziś wszystko się zmieniło. Wynoszą go pod niebiosa, stawiają na piedestale, a ciebie w błoto spychają!

Drobne ząbki hrabiny z gniewu szczęknęły. Załamała ręce tak silnie, że omal nie podruzgotała swych palców.

— Och! zemsty... zemsty! wołała uderzając nogą o podłogę. Zemścić się, co rychlej, co prędzej! Zemścić, lecz w jaki sposób? Czyż nikt się nie znajdzie, któryby mi to wskazał?

— Możeby się ktoś i znalazł, wyszepnął Croix-Dieu.

Fanny utkwiła w barona badawcze spojrzenie.

— Ty zatem wiesz? odpowiedziała. Tybyś mi mógł radzić w tym względzie.

— Być może, wymruknął zcicha.

— Mów więc. Mów prędko!

— Nie teraz.

— Dla czego?

— Ponieważ niechcę ci ukazywać zwodniczej radości, z nastąpionym po niej zawodem. Czekam aż pewność nadejdzie.

— A jak prędko otrzymasz tę pewność?

— Wkrótce. Tej nocy być może.

— I wtenczas mi powiesz?

— Przyrzekam.

— I wskażesz mi sposób zdruzgotania tego człowieka, upokorzenia go, zepchnięcia w nicość złamania?

— Na honor przysięgam, uczynię!

Fanny klasnęła w ręce z radosnym śmiechem.

— A więc baronie, zawołała, skoro pozyskasz pewność, jakiej ci trzeba, nie trać ani minuty, ani sekundy! Chociażby to było wśród nocy, przybywaj! Każ sobie drzwi otworzyć, niech mnie obudzą, przyjmę cię! I uważaj, cokolwiekbyś natenczas żądał odemnię, uczynię. Fanny Lambert hrabina de Tréjan zdaje się na twoją łaskę i niełaskę!

— Rzecz postanowiona! rzekł Filip. A teraz piękny, czarujący demonie, odchodzę!

— Pozostawiasz mi nadzieję, że cię wkrótce zobaczę? pytała dalej.

— Tak, niezadługo.

— Nie zapominaj, że oczekiwanie na ciebie zabierze mi połowę życia. Gorączka niepewności palić będzie krew w moich żyłach!

— Będę pamiętał o tem.

— Żegnaj więc, mój jedyny, prawdziwy przyjacielu, a raczej nie żegnaj, ale do widzenia. Pójdę odwiedzić mego ranionego, a potem udam się na spoczynek. Schody są oświetlone przez całą noc. Znasz drogę. Nie wskazuję ci jej więc.

Croix-Dieu ucałowawszy ręce Fanny wyszedł z pokoju.

Przebiegłszy dziedziniec, potrącił odźwierną.

Kobieta przebudzona nagle ze snu pociągnęła za sznur przecierając oczy.

— Dziękuję! rzekł Croix-Dieu, zatrzaskując z hałasem drzwi furtki za sobą.

Zamiast jednak wyjść na ulicę, cofnął się w dziedziniec. Wróciwszy do pałacu, przebiegł szybko schody peronu, i przemknąwszy się przez przysionek, ukrył się we wgłębieniu okna. Po upływie kilku minut, posłyszał dźwięk dzwonka przyzywający pokojówkę. Dziewczyna przybiegła, i wkrótce wyszła zamknąwszy na klucz drzwi od przysionka. Odgłos jej kroków niknął w ciszy nocnej.

Zegary uderzyły pierwszą nad ranem, a potem wpół do drugiej. Filip natenczas wyszedł z kryjówki, i zwolna, ostrożnie wynmknąwszy się wyjrzał na zewnątrz.

Wspaniale rzeźbiona latarnia oświetlała klatkę schodową. Głębokie milczenie panowało w około.

Łotr zatarł ręce z zadowoleniem.

— Zdaje mi się, żem wszystko przewidział, wyszepnął. Sprawa z baronem Worms, nie była lepiej poprowadzoną.

To mówiąc wszedł zwolna na schody.

Gęsty kobierzec, pokrywający stopnie, tłumił odgłos jego kroków. Zatrzymał się naprzeciw drzwi pierwszego piętra. Otworzył je nie spotkawszy żadnej przeszkody, i minąwszy przedpokój, zapukał do drugich drzwi lekko, trzy razy.

— Czy to ty Genowefo? zapytał głos Fanny.

— To nie Genowefa, to ja Croix-Dieu.

Dał się słyszeć okrzyk zdumienia, a potem te słowa:

— Zaczekaj chwilę. Podnoszę się natychmiast i idę do ciebie.

Po upływie minuty klucz obrócił się w zamku, i pani de Tréjan ukazała się w białym penioarze, trzymając w ręku zapaloną świecę.

— Prawda... to ty... ty jesteś! zawołała. Zaledwie mogę wierzyć mym oczom. Nagle się przebudziłam, a stąd myśli zebrać mi trudno.

— Moje dziecię, rzekł Croix-Dieu, przypomnij sobie naszą wieczorową rozmowę. Powiedziałaś mi: „Skoro pozyskasz potrzebną ci pewność, nie trać ani minuty, ani sekundy. Przychodź, chociażby wśród nocy.”

— Tak, tak, przypominam sobie, odparła żywo Fanny. Przynosisz mi więc zemstę?

— Tak, jak żądałaś.

— Jak dawno otrzymałeś to potrzebne wyjaśnienie?

— Zastałem je już u siebie w domu.

— I dasz mi sposób dosięgnięcia tego Tréjana, rozbicia tego piedestału i zrzucenia w błoto posągu?

— Otrzymasz to wszystko.

— Sposób?

— Jest prosty i straszny. Na przeszłości twojego męża, ciąży jeden z tych czynów haniebnych, jakich nigdy i niczem zatrzeć nie można.

— Dowód na to?

— Niezaprzeczony. Papier napisany i stwierdzony własnoręcznym podpisem Tréjan’a.

— Masz ten papier?

— Nie ponieważ on jest w twem ręku.

Fanny potrząsnęła głową przecząco.

— Mylisz się, odpowiedziała. Nie mam ani jednego świstka, ani jednej jego litery.

— To znaczy, iż zdaje ci się, że nic nie masz. A ja cię upewniam, że dowód tu się znajduje.

— Gdzie?

— W biurku, przeniesionem z pracowni Jerzego.

— Czy zapominasz, że szukaliśmy razem w tem biurku aktów księcia Aleosco, odpowiedziała Fanny. Nic wtedy nie znaleźliśmy.

— Bo natenczas żadne z nas nie wiedziało o tajemniczej skrytce, o istnieniu której dowiedziałem się dopiero przed godziną.

— Cóż jest na tym papierze?

— Przeczytasz sama. Chcę ci pozostawić tę radość.

— Czy podobna, ażeby Jerzy odjeżdżając, nie zabrał z sobą dowodu jaki zgubić go może?

— Tego ja ci wytłumaczyć nie umiem. Wspomnij jednakże, że on wtedy stracił zupełnie prawie przytomność.

— W jaki sposób zostałeś o tem powiadomiony? badała dalej pani de Tréjan. Od kogo posiadłeś tę tajemnicę? Bo niepodobna ażeby ci Jerzy sam o tem powiedział.

— Ma się rozumieć że to wiem nie od niego. Jerzy chcąc jednak naprawić swoje zapomnienie, a nadewszystko chcąc wyrwać z rąk twoich tę broń niebezpieczną, zwrócił się z propozycją w tym względzie do pewnej osobistości, i polecił jej za dość wysokiem wynagrodzeniem zakraść się do pałacu, otworzyć biurko kluczem dobranym, i wydostać zeń ów papier. Pomieniona osoba, zrazu zgodziła się na to.

Zdjęta wszelako obawą w chwili działania, a wiedząc iż jestem twoim przyjacielem, zwróciła się do mnie i powierzyła, a raczej sprzedała mi tajemnicę Jerzego.

— Rozumiem! zawołała Fanny ściskając ręce Filipa. Ach! baronie, ileż ci winnam wdzięczności? Czyż jednak bez ciebie zdołam odnaleść ową tajemniczą szufladkę? pytała po chwili namysłu. Pójdziesz więc ze mną do pracowni Jerzego; ale przedewszystkiem muszę klucze wziąć z sobą.

— Weź klucze i idźmy.

Pani de Tréjan zwróciła się w kąt pokoju i otworzyła ukryte drzwi pod obiciem.

Przed rozsunięciem podwójnej portjery, której grube fałdy drzwi zastępowały, zatrzymała się, a położywszy rękę na ramieniu barona, szepnęła przytłumionym głosem.

— Mów cicho teraz, a raczej nic nie mów.

— Dla czego? pytał Croix-Dieu.

Pani de Tréjan, bądź że nie słyszała jego zapytania, bądź że nie chciała na nie odpowiedzieć, uniosła portjerę w milczeniu, i weszła do sypialni opuszczonej przed chwilą.

Ów pokój wyglądał bardziej na sypialnię jakiegoś artysty, niż na sypialnię młodej i ładnej kobiety. Surowo wspaniała jego powierzchowność, stanowiła sprzeczność z zalotnem urządzeniem reszty apartamentu.

W miejscu złoconego łóżka, pokrytego jedwabie koronkami, stało poważne łoże wsparte na kolumnach. Wszystkie meble w sypialni nosiły piętno tej samej surowości stylu, tworząc imponującą całość.

Wiemy z poprzednich rozdziałów, że kasa żelazna

znajdowała się wewnątrz biurka, i że wytworne rzeźby na hebanowem drzewie okalały płytę ze słoniowej kości. Wiemy zarówno, że skoro ta płyta uniosła się w górę, ukazywała się druga, stalowa, chroniąca kasę od włamania i pożaru.

Fanny stąpając lekko i cicho, zbliżyła się do biurka, na którem postawiła świecę. Croix-Dieu szedł za nią, śledząc wzrokiem po obszernej sypialni, słabo oświetlonej płomieniem jednej zapalonej świecy. Nie dostrzegł nic, coby mu się niepokojącem lub podejrzanem wydać mogło. Pokój zdawał się być pustym zupełnie.

Idąc do sypialni, pani de Tréjan owinęła w około lewej ręki mały złoty łańcuszek, na którem uczepione były trzy maleńkie kluczyki, z jakiemi nie rozłączała się nigdy. Wprowadziła jeden z nich w zamek biurka, podniosła jedną płytę, następnie drugą, za naciśnięciem jakiejś niewidzialnej sprężyny. Natenczas ukazały się jak wtedy po raz pierwszy, pęki banknotów pozwijane w paczki, różne wartościowe papiery i rulony złota w porządku ułożone, a przedstawiające wartość dwóch milionów, trzech set tysięcy franków.

Fanny ujęła w rękę pęk kluczyków różnej wielkości, zawieszonych na kółku stalowem. Chciała zamknąć kasę żelazną.

Croix-Dieu stał w tyle, o dwa kroki za nią. Szatański uśmiech wybiegł mu na usta. Prawą, rękę trzymał wsuniętą w boczna kieszeń paltota. Wyjął ją uzbrojoną jednym z tych katalońskich nożów o rogowej rękojeści, o silnem ostrzu kończatem z hartowanej stali, nie ustępującem słynnym

sztyletom florentyńskim. Uniósł tę rękę, wyprężył ramię, i z błyskawiczną szybkością zagłębił nóż po rękojeść między ramiona i plecy Fanny.

Cały tył białego penioaru zaczerwienił się w oka mgnieniu. Nieszczęśliwa kobieta upadła, wydając jęk chrapliwy.

Croix Dieu pochyliwszy się nad nią, powtórnie cios jej zadał.

Fanny poruszała się jeszcze, wprawdzie słabo, ale się poruszała. Morderca zamierzył się po raz trzeci, lecz podniesiona jego ręka nagle opadła. Stanął zlodowaciały z przestrachu, dosłyszawszy szmer jakiś.

Nagle zaszeleściły pierścienie zsuwającej się, a zapuszczonej dotąd nad łóżkiem kotary, i Aleosco przerażony, zbroczony krwią, ponieważ skutkiem nagłego zerwania się z łóżka, rana mu się na piersiach otwarła, Aleosco pochwyciwszy się obiema rękami za rozsuniętą kotarę, spojrzał w głąb pokoju. Odgadł znaczenie tych dwóch postaci znajdujących się w pokoju, kata i jego ofiary. Nie, on nie był igraszką jakiegoś snu strasznego. Potworna rzeczywistość jasno przed nim stawała. Ryknął jak lew zraniony.

— Morderco! wołał przerywanym głosem! Morderco! Zbrodniarzu!

I wyskoczył z łóżka, dziki a groźny, straszny pomimo swego osłabienia, rzucając się ku Filipowi.

Croix-Dieu już teraz się nie obawiał. Twarz jego wykrzywiona zwierzęcym, strasznym uśmiechem, podobną była do paszczy rozjuszonego tygrysa. Blask fosforyczny

tryskał mu ze źrenic.

— Ha! milcz! zawołał.

— Morderco! powtórzył książę coraz bardziej tłumionym głosem, pomimo swej odwagi i wściekłości, chwiejąc się na każdym kroku.

Dotykał prawie Filipa; wyciągnął ręce, aby go pochwycić i rozpocząć z nim walkę.

Croix-Dieu ująwszy go silnie za ramię, jednem cięciem katalońskiego noża przeciął mu gardło tak głęboko, że głowa odłączyła się prawie od szyi. I jednocześnie, nie tracąc przytomności umysłu, odskoczył na bok, aby go nie poplamił wybuch krwi tryskającej z zadanej głębokiej rany.

Aleosco padł, nie wydawszy jęku.

Morderca spojrzał obojętnie na tego trupa leżącego na podłodze ze skrzyżówanemi rękoma, oczyma szklisto patrzącemu.

— Jak baron de Worms, wyszepnął. Jeszcze jeden, który nie przemówi już więcej.

Po te refleksji filozoficznej: „Jeszcze jeden, który nie przemówi już więcej“. Croix-Dieu, nieruchomy, z nożem w ręku, nasłuchiwał, gotów skoczyć powtórnie.

Chrypliwy jęk Fanny, poprzednie wołania księcia, hałas wynikły z upadku dwóch ciał, mogły zbudzić służbę w pałacu.

Mogła wyniknąć potrzeba zabicia jeszcze kogoś na zakończenie tego strasznego dramatu.

Pięć minut upłynęło; pięć minut jak wiek długich, dla zbrodniarza czuwającego przy trupach dwóch ofiar. Najmniejszy szmer ani ruch nie oznajmiał, iżby tak straszna

rzeź obudziła kogoś.

Tak pokojówka jak i lokaje spali spokojnie.

Croix-Dieu odetchnął.

— Rzecz najważniejszą dokonałem, wyszepnął. Doprawdy, mam nerwy z żelaza! Serce u mnie tak silne jak ręka. Cóż jednak jest tak strasznego ta zbrodnia? Na wojnie zabijają. Ażeby zdobyć miliony ja także zabijam.

Potrzeba było jednak ukończyć rozpoczętą sprawę.

Morderca nie miał potrzeby księciem zajmować się wcale. Cios nożem zadany uderzył w niego jak piorun, dusza wybiegła przez otwarte gardło. Pozostawała Fanny, której ciało leżało w kałuży krwi, nie poruszając się wcale.

Filip pochylił się nad nią. I o zgrozo! miał ów potwór jeszcze odwagę poruszyć to bezwładne ciało! Twarz tej nieszczęśliwej istoty, występnej bezwątpienia, lecz strasznie ukaranej, dziwny nosiła wyraz. Przerażenie uwydatniło się na tych pięknych rysach.

Croix-Dieu uniósł nóż w górę, ale o chwili wąchania opuścił go na dół.

— Na co się pastwić daremnie nad trupem? pomyślał Uderzyłem dwa razy, to wystarczające. Umarła! nie mam się czego obawiać. Kończmy więc prędko.

Podszedłszy ku kasie żelaznej, wypróżnił pudełko z klejnotami, wsypał je do kieszeni wraz z pakietami banknotów. Z wartościowych papierów płatnych na okaziciela, utworzył rodzaj gorsu, który położywszy na piersiach, zapiął nad nim tużurek i okrycie. Rulony złota umyślnie pozostawił nie tykając ich wcale. Przedstawiały one albowiem nader mało znaczną sumę. I trzymając w

jednem ręku zapaloną świecę, w drugiej broń zakrwawioną, wyszedł z pokoju popełnionej zbrodni, i zatrzymał się w garderobie.

Tu zapaliwszy kilka świec, stanął przed zwierciadłem, rozpatrując się szczegółowo we własnej swojej osobie.

Najmniejsza kropla krwi dostrzedz się nie dawała, ani na jego twarzy, ani na ubraniu. Mógł bez obawy poddać się najbardziej śledczym spojrzeniom.

Obmywszy nóż starannie, schował go otwartym do bocznej kieszeni, poczem zgasiwszy świecę wszedł do sypialni, stamtąd do przedpokoju, przebiegi schody, otworzył bez hałasu furtkę kluczem skradzionym w stancyjce odźwiernej, zamknął ją za sobą i znalazł się na trotuarze ulicy Le Sueur opustoszałej zupełnie. Idąc myślał sobie:

— Na honor! po mistrzowsku poprowadziłem to wszystko! Za czasów pamiętnej sprawy z baronem Worms, popełniłem błąd ciężki, pozostawiwszy w mem biurku listy Stani: Picolet'a i Aliny Pradier. Ta nieroztropność zgubić mnie mogła. Dziś żadnej, najmniejszej wskazówki nie pozostawiam za sobą. Odźwierna będzie gotową zaprzysiądz, że mnie widziała wychodzącego z pałacu przed północą. Pokojówka utrzymywać będzie, że pozamykała na klucz wszystkie drzwi. Sam nawet najstarszy Lucyper nie zdołałby dowieść, żem był nad ranem w pałacu. Oskarżą o zbrodnię któregoś ze służących, utną mu głowę, a ja będę zasypiał spokojnie na poduszce wypchanej miljonami.

Tak rozmyślając Croix-Dieu, przybył na ulicę św.

Łazarza.

Filip otworzywszy sobie drzwi mieszkania kluczem, jaki zawsze nosił przy sobie, wszedł. Zamiast jednak udać się na spoczynek, zwrócił się do gabinetu sąsiadującego z sypialnią i przedpokojem, którego drzwi były zawsze na klucz zamknięte.

Tam znajdowała się wielka szafa, nader prosta z pozoru, lecz blachą wewnątrz wyłożona i opatrzona podwójnym zamkiem niedopuszczającym naruszenia.

Położył na półkach tej szafy, służącej mu za kasę żelazną, łup świeżo zdobyty. Obok klejnotów wicehrabiny de Grandlieu, rozłożył umiejętnie drogocenne biżuterje hrabiny de Tréjan, i z roskoszą rozpatrywał się w ich blasku pod płomieniem lampy zaopatrzonej potężnym reflektorem. Następnie przeliczył banknoty, przejrzał walory pieniężne na okaziciela, przedstawiające znakomitą sumę do dwóch miljonów.

— Dwa miljony! wyszepnął, a wraz z czekiem wicehrabiego trzy miljony sto dwanaście tysięcy franków! Z klejnotami cztery miljony sto dwanaście tysięcy franków, nie licząc moich własnych banknotów. Przyniesie to dwieście tysięcy liwrów rocznej renty! Dodawszy do tego półsiódma miljona pani Blanki Gavard, będę posiadaczem sześciuset tysięcy liwrów renty! W naszych czasach pieniądz jest wszystkiem. Kto jest bogatym, jest szanowanym. Wzbudzę ogólną zazdrość, nakażę dla siebie szacunek. Co się tycze klejnotów i wartościowych papierów, z tem nader ostrożnym być trzeba. Drogie kamienie, gdy są tak jak te pięknemi, bywają dobrze znane.

Stąd opis publikowanym być może. Numera walorów pieniężnych Fanny, mogą znajdować się w ręku jakiego giełdowego agenta, albo notarjusza. Chcieć to wszystko spieniężyć w Paryżu, byłoby szaleństwem! Trzeba odbyć małą wycieczkę do Anglii. Znam w Londynie milionerów bez skrupułu, w rodzaju tego Samuela Kirchen, którzy będą chętnie ze mną traktowali. Kosztować mnie wprawdzie drogo to będzie, wszak uniknę niebezpieczeństwa. W każdym razie miejmy się na baczności w razie jakiego nieprzewidzianego wypadku.

I łącząc czyn do wyrazów, połamał na kawałki bransolety, naszyjniki, złote grzebienie, agrafki, kolczyki, a owinąwszy watą klejnoty przyprowadzone do tak opłakanego stanu, włożył je w mały woreczek skórzany, nie mający zaiste pozoru by w sobie przechowywał milion.

Walory na okaziciela ułożył w ścisły pakiet, a obwiązawszy go sznurkiem, wsunął w kopertę z szarego papieru, i ten pakiet wraz z woreczkiem zawierającym klejnoty schował w torbę podróżną, obok nabitego rewolweru.

Torbę tę umieścił w szafie, wyłożonej blachą żelazną. której drzwi zamknął na klucz dwukrotnie, poczem udał się na spoczynek, nie zaniedbawszy wsunąć pod poduszkę pugilaresu z czekiem podpisanym przez pana de Grandlieu.

Po kilku godzinach snu, w czasie którego nie ukazały mu się widma, ani księcia Aleosco, ani Fanny Lambert, wstał z łóżka, ubrał się, i zadzwonił na służącego.

— Wychodzę, rzekł, i nie powrócę jak po dziesiątej. Oczekuję dziś pana Oktawiusza Gavard na śniadanie.

Niechaj więc wszystko będzie gotowem. Postaw na stole kieliszki do reńskiego wina. Będziemy pili Johannisberger.

Filip najmocniej przekonany, że pan de Grandlieu nie rozciągnie śledztwa nad mistrzem sztuki szantażu, z którym prowadził targ o wykupienie listów, poszedł sam osobiście przedstawić się w banku u kasowego okienka.

Bezzwłocznie wyliczono mu milion.

Banknoty podzielone na paczki, po sto tysięcy franków każda, umieścił w ręcznej torebce, w jaką się zaopatrzył, i wsiadł do oczekującego na siebie powozu.

O wpół do jedenastej wrócił do siebie.

Służący oczekiwał na niego w przedpokoju.

— Jakiś pan przyszedł przed chwilą, rzekł, i chce koniecznie widzieć się z panem baronem.

— Gdzież jest ów przybyły?

— Czyta dzienniki w salonie.

Croix-Dieu zadrżał pomimowolnie. Myśl zastawienia przez policję zasadzki przyszła mu do głowy, lecz ją rozproszyło zastanowienie.

— Czy ten pan wymienił swoje nazwisko? pytał służącego.

— Tak panie baronie. Oto jego karta wizytowa, jaką pozostawił, dopisawszy coś na niej ołówkiem.

Filip wziął bilet, czytając: „Tamerlan (Eugeniusz)“. W nader pilnym interesie“.

IX.

— Sariol! wyszepnął Croix-Dieu. Co ów czart może mieć tak pilnego mi do powiedzenia?

Obaj wspólnicy nie widzieli się od czasu, jak Oktawiusz Gavard uniknął zasadzki w Joinville-le-Pont.

Croix-Dieu wszedł do swego gabinetu, a otworzywszy szafę, służącą mu za kasę żelazną, umieścił w niej pęki banknotów. Zamknąwszy drzwi na klucz, wyszedł z gabinetu i udał się do salonu.

Sariol zerwał się żywo na jego spotkanie wołając:

— Przynoszę ci ważne wiadomości.

— Dobre czy złe nowiny?

— Zaraz ci to wytłumaczę.

— Mów prędko. Oczekuję tu kogoś u siebie o jedenastej, przez którego niechcę ażebyś został widzianym, a już dochodzą trzy kwadranse na jedenastą.

— Ja mam zarówno tylko pięć minut czasu, spieszno mi tak jak i tobie, bom nie jadł jeszcze śniadania, odparł przybyły.

— Gdybym był sam, powiedziałbym ci: Zostań na śniadaniu. Lecz...

— Rozumiem, przerwał Sariol. Masz jakąś oznaczoną schadzkę. Przystępuję więc prosto do rzeczy. Czy ciągle masz zamiar zaślubienia wdowy Blanki Gavard?

— Wszakże wiesz dobrze, że nie ją bym zaślubił, ale jej sześć miljonów, odparł Croix-Dieu. Otóż owe miljony są teraz bardzo daleką rzeczą do osiągnięcia, dzięki niezręczności twoich wspólników, za których mi poręczałeś.

— Bądź wspaniałomyślnym, rzekł wspólnik barona. Nie

upokarzaj mnie i zostaw w spokoju Gavarda. Ten spadek jest dziś bardzo problematycznym, bo chłopak zdrów jak ryba. Ma się wybornie! W zamian za tamte, ofiaruję ci inne miljony. Miljony w tak wielkiej liczbie, że policzyć je trudno! Cóż, jakże ci się to podoba

Filip patrzył na mówiącego ze zdumieniem, prawie że z gniewem, i oschle odrzekł:

— Złą wybrałeś chwilę do żartów.

— Ja nie żartuję! zawołał Sariol. Mówię na serjo. Stawiam ci pozytywnie miljony i żonę.

— Jesteś chyba szalonym.

— Bynajmniej! Jeden wyraz, czyli raczej nazwisko wystarczy, aby cię o tem przekonać. Chodzi tu o osobę, jaką znasz dobrze.

— Któż więc to taki?

— Panna Henryka d'Auberive.

Croix-Dieu stanął osłupiały.

— Henryka! wyszepnął, ona więc żyje?

— I nie zmieniła się wiele, upewniam. Jest jeszcze bardzo piękną.

— Zkad to wiesz?

— Wiem, bom ją widział. Spotkaliśmy się z sobą wypadkowo. Posiadłem jej ufność zupełną.

— Kto, ty?

— Ależ tak, ja, ja sam! Nadużyłem wprawdzie nieco jej zaufania...

— Panna d'Auberive przebywa w klasztorze.

— To znaczy, że mieszkała tam jako świecka dama pensjonarka, lecz ślubów zakonnych nie wykonała i

wyniosła się stamtąd.

— Odkąd, jak dawno?

— Od kilku dni.

— Gdzież mieszka?

— W Paryżu, przy ulicy Ville-l'Eveque, w swym własnym pałacu. Widzisz kochany baronie, że pozostaje ci tylko tam się udac.

— Po to, ażeby kazała mnie wyrzucić za drzwi? odrzekł.

— Nie! tego nie uczyni, zaczął Sariol. Ukaż się, przemów do jej serca, a zobaczysz jak posłuszną ci będzie! Trzymasz ją mój kochany w swem ręku.

— Jak, w jaki sposób?

— Przeszłością. Czyż się każe wyrzucać za drzwi człowieka, którego się było kochanką? któremu się dało syna, pięknego chłopca, zapisanego w księgach merostwa Batignolles 24-go października 1850 roku, jako prawego potomka hrabiego Roberta Loc-Earn, i panny Henryki d'Auberive? To nadaje prawa silne, niewzruszone prawa! Trzymasz ją w swem ręku, powtarzam!

— Wszakże wiesz dobrze, odparł Croix-Dieu, że to dziecię zniknęło podczas mojej nieobecności w Paryżu.

Sariol śmiać się zaczął.

— Zniknęło, powtórzył. Tak, to prawda, ale nie dla wszystkich zniknęło.

— Odnalazłeś go więc? pytał żywo Filip.

— Trudno by mi było go odnaleść, ale na szczęście z oczu go nie traciłem.

— Mój syn więc żyje? zawołał Croix-Dieu.

— Żyje, jest zdrów, i piękny mężczyzna; wiele do ciebie

podobny.

— Znasz go więc?

— Ma się rozumieć. I ty go znasz także.

— Któż to taki?

— Andrzej.

— Andrzej San-Rémo.

— On sam.

— Filip opuścił głowę.

— Andrzej, wyszepnął. Więc to on, on jest moim synem? On, którego wprowadzałem w najniebezpieczniejsze sytuacje, w śmiertelne awantury. On! którego Grisolles omal nie zabił. On, którego wicehrabia de Grandlieu zabije, być może. Ha! tego niedopuszczę, nie, nigdy! Gdyby wicehrabia groził mojemu synowi, ja wtedy zabiję tego starca!

— Co ty szepcesz tam cicho? pytał Sariol.

Croix-Dieu podniósł głowę.

— Myślę, rzekł, o tem wszystkiem, coś mi teraz powiedział.

— Podzielasz więc moje zapatrywania?

— Na wszystkich punktach, tak! Dlaczego jednak tak długo ukrywałaś to przedemną?

— Interes własny milczeć mi nakazywał, milczałem więc. Obecnie okoliczności się zmieniły. Interes nakazuje mi mówić, i mówię.

— To prawda. Powiedz mi czy Henryka zna swego syna?

— Zna go. Ubóstwia, uwielbia! i dla tego, ażeby żyć przy nim, klasztor opuściła. W chwili, gdy tutaj rozmawiamy, Andrzej San-Rémo jest w pałacu d’Auberive.

Widziałem, jak wchodził tam wczoraj. Miał minę oszalałego z radości. Pojmujesz, że ukazując się w świecie, byłoby przyjemnie pannie d'Auberive uprawnić syna przez legalne małżeństwo.

— Jestżeś pewnym tego, Sariolu?

— Do czarta! Wszakże to jasno w oczy uderza! Pozostaje ci tylko zobaczyć się ze swoją dawną kochanką.

— Będę się z nią widział.

— Andrzej posłuży za węzeł zgody. Byłeś zawsze dobrym dla niego. Kocha cię zapewne.

— Tak, w rzeczy samej.

— A więc pójdź za radą, jakiej ci udzielam. Użyj tego młodzieńca zręcznie za pośrednika dla siebie. Jest on oddany tobie tak, jak i swej matce. Opowiedz mu wszystko; starając się ukryć niektóre szczegóły, mogące wpłynąć na twoją niekorzyść. Ucieszy się wielce ten chłopiec, znalazłszy jednocześnie ojca i matkę, któremi poszczycić się może. Cóż o ten] myślisz baronie?

— Myślę, że potrzebaby mi było długo jeszcze o tem z tobą porozmawiać na co dziś nie mam czasu. Do jedenastej brak tylko dwóch minut, muszę odejść.

— Przyjdę tu powtórnie gdy zechcesz.

— Wołałbym ażebyś nie odchodził. Wszakże tu możesz zaczekać. Prędko się załatwię z mym gościem.

— Zaczekałbym chętnie, gdybym był po śniadaniu, rzekł Sariol, ale głód dokuczać mi zaczyna.

— Wejdź do mojgo gabinetu. Położą ci nakrycie na biurku, i mój służący poda ci śniadanie.

— Czyż to się będzie mogło obyć bez wzbudzenia jakich

podejrzeń w twym domu?

— Bez najmniejszych w świecie. Zgadzasz się na to? Przyjmujesz? Inaczej mógłbym sądzić, że mi nie ufasz...

— Nie ufać, dla czego? odrzekł zapytany. Wiem, że mnie potrzebujesz teraz, nie mam więc powodu obawiać się ciebie. Pokładam w tobie zaufanie, i mimo wspomnienia owej uczty pod „Koszem kwiatów“ gotów jestem pić twoje wino!

— Dobrze, rzekł Filip, wprowadzając Sariola do gabinetu, za chwilę będziesz miał podane śniadanie.

I umieściwszy swojego gościa, wszedł do sypialni, otworzył mieszczącą się w ścianie szafkę z półkami, gdzie w dniu poprzednim ukrył butelkę zatrutego Johannisberger’a a udawszy się do jadalni, postawił tę butelkę na bufecie.

— Pomimo wszystko, co mówi Sariol, szeptał Croix-Dieu, zdaje mi się, że ta sprawa znajdzie opór ze strony Henryki. Będę próbował, ale obawiam się że panna d’Auberive, wiedząc niektóre szczegóły, będzie wolała zostawić raczej bez nazwiska swojego syna, niźli uprawnić go, dając mu za ojca Roberta Loc-Earn! Dostanę niechybnie odprawę. Wszak mądry człowiek przygotowuje sobie zawsze dwie drogi. Jedenasta, rzekł, spoglądając na zegarek. Tylko co patrzeć Oktawiusza.

Jednocześnie zadzwoniono gwałtownie do przedpokoju.

— Ha! wyszepnął Croix-Dieu, otóż mój gość nadchodzi.

Filip przekonany, że to zadzwonił Oktawiusz, przeszedł do salonu na jego przyjęcie.

Służący wiedząc, że ów gość poprzednio przybyły,

znajdował się jeszcze u jego pana, spełniając rozkaz sobie wydany, otworzył drzwi do jadalni.

Spadkobierca milionów papy Gavard, pierwszy się ukazał. Po za nim wszedł San-Rémo i trzecia jeszcze osobistość, na którą baron nie zwrócił uwagi, zajęty przybyciem Andrzeja, po świeżo mianej rozmowie z Sariolem.

— Moi kochani przyjaciele! zaczął, podchodząc ku przybyłym, uśmiechnięty, z otwartemi rękoma. Jakżem szczęśliwy...

Oktawiusz skończyć mu nie pozwolił.

— To doskonałe! zawołał. Na honor!.. nie zdarzyło mi się nigdy widzieć czegoś podobnego. Nie krępując się, mówię ci otwarcie, panie baronie, że jesteś łotrem ostatniego rodzaju!

Na tę, rzuconą sobie w twarz obelgę, Filip z gestem wściekłości poskoczył ku przybyłemu, gdy Andrzej stanąwszy przed nim blady, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, rzekł:

— Panie, de Croix-Dieu, jesteś nędznikiem.

— Co to znaczy? pytał baron osłupiały.

Wystąpiła teraz trzecia osobistość, przybyła wraz z dwiema pierwszemi, w której Filip poznał kapitana Grisolles.

— Oddali ci to, na co zasłużyłeś, obywatelu, ozwał się Garybaldczyk ochrypłym głosem, to prawda niezaprzeczona, że aby spotkać podobnego tobie nikczemnika, długo by szukać było potrzeba. Znam łotrów wielu, ale żaden z nich tobie nie dorówna!

— Ha! wiem skąd to wszystko pochodzi, pomyślał Croix-Dieu, który ochłonąwszy w okamgnieniu, odzyskał zwykłą krew zimną.

— Dziwi mnie to panowie, rzekł głośno, iż widzę was, których sądziłem być moimi przyjaciółmi (nie mówię o tym błaźnie), dodał wskazując na Grisola, przybywających do mnie z tego rodzaju obelgą! Co to znaczy? powiedzcie. Czyż tak postępują ludzie z wyższego świata, dżentlemeni, pytam was? Zostaliście owikłani widocznie jakąś intrygą, lub uwierzyliście kłamstwu. Jestem pewien, że za chwilę wstydzić się będziecie własnego postępowania. Ludzie honorowi nie zobelżają się wzajemnie, ale się z sobą porozumiewają..

Andrzej zaledwie od wybuchu powstrzymać się zdołał. Zacisnął zęby, z ócz iskry mu się sypały.

— Pomiędzy ludźmi honorowymi, powtórzył Oktawiusz z ironią. Zaprawdę! zdumiewająca bezczelność! Pan więc masz odwagę, panie baronie, zaliczać się do tych honorowych ludzi... pan... który płacisz najemników morderców, ażeby ci uprzątali ze świata twoich przyjaciół?

— Nierozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć? — odparł Croix-Dieu.

— Pan nie wiesz? I śmiesz to powiedzieć, że nie wiesz? ciągnął Gavard.

— Tak, żądam wytłumaczenia!

— Jakto, więc niechcesz zrozumieć, że my o wszystkiem powiadomieni jesteśmy?

— Ja objaśniłem o tem tych panów, ozwał się Grisolles. Był to dług do spłacenia tobie, baronie. Ci panowie wiedzą,

żem został przez ciebie zapłacony za dwa pchnięcia szpadą, które miały ich wysłać tam, skąd nie powraca się więcej.

— A więc na mocy świadectwa tego człowieka, wy mnie oskarżacie? zawołał baron. Grisolles widocznie miał jakiś powód do osobistej zemsty, skoro przyszedłszy do mnie, żądał zapłacenia tak wysokiej sumy i upewniał, że mnie spotwarzy, gdybym odmówił jego żądaniu. Wyrzuciłem go za drzwi. Zemścił się, ot wszystko! Dziwię się, że znalazł w was tak naiwnych, wierzących sobie ludzi. Winszuję, szczerze winszuję

— Do tysiąca piorunów! huknął Grisolles, śmiesz więc utrzymywać, żem skłamał?

— Tak, powtarzam po tysiąc razy, skłamałeś!

— Wart jesteś, aby ci za to wymierzyć policzek, krzykną! Garybaldczyk. Uważaj go za otrzymany. Policzymy się co do wymierzonej mi przez ciebie obelgi, a wtedy do wszystkich djabłów na wskroś przedziurawię ci skórę!

— Dość! zawołał żywo Oktawiusz. Ty jesteś zarówno łotrem, kapitanie. Człowiek, sprzedający za pieniądz swe mierzenie szpadą, wart tyle jak ten, co je kupuje. Milcz teraz, później obadwa porachujecie się z sobą. Tak panie baronie; zapłaciłeś za śmierć moją. Przeszkadzałem ci dla dobrze zrozumianych przezemnie powodów, a nie znalazłszy testamentu w mem biurku, o którego schowaniu ty jeden tylko wiedziałeś, mówię ci, żeś go ukradł po prostu! Teraz powiadomiony o wszystkiem przez kapitana Grisolles, jestem pewien; żeś to ty nasłał na mnie morderców w Joinville-de-Pont. Zabójstwo po chybionem

mierzeniu szpadą, wszak to w porządku, nieprawdaż? Rzucam ci w twarz drugą zbrodnię, jak pierwszą. Obie mogą być tobie dowiedzionemi. A teraz wyznaj, musisz być jakim skazańcem, zbiegłym chyba z galer?

— Ha! to za wiele! zawołał Filip.

— A ja, panie de Croix-Dieu, rzekł Andrzej ze strasznym spokojem, ja cię oskarżam o daleko straszniejszą zbrodnię nad morderstwo. Ty wiesz, o czem ja chcę mówić. Po oskarżeniu tego człowieka, któremu zapłaciłeś za śmierć moją, nieufność w me serce wkradać się zaczęła. Przypominałem sobie szczegóły, jakie nieraz podejrzanemi być mi się wydały. Mój służący, badany i zagrożony przezemnie, sądząc iż wiem o wszystkiem wyznał mi prawdę. Płaciłeś mu za dostarczane sobie moje tajemnice. Od niego dowiedziałeś się o istnieniu tych listów, które mi ukradzionemi zostały. Adres żyda Samuela Kirchen przez ciebie został mi danym. Pojmuję cel tych dobrodziejstw, w jakie tak ślepo wierzyłem. Mówiłeś przed chwilą o szantażu. Znasz wyraz dobrze jak widzę. Dostrzegam jasno twą rękę w ciemnościach, w jakie się ukryłeś. Przysięgam na zbawienie duszy, że twoja zbrodnia dowiedzioną została! Jesteś rozbójnikiem. Jesteś łotrem, jesteś nędznikiem!

Nieruchomy, ciężko pognębiony baron, wysłuchał słów swojego syna. Gdy San-Rémo skończył mówić, podniósł głowę.

— Słucham najniesłuszniej rzucanych mi obelg, odpowiedział. Powinienbym gniewem wybuchnąć. Lecz na co by się to przydało? Gardzę tem wszystkiem, będąc przekonanym, iż łatwo mi będzie w nicość obrócić te

złorzeczenia, skoro ochłoniecie ze swej zaciekłości. Na teraz, zadam wam tylko jedno zapytanie: Mieliście widocznie cel jakiś przybywając tu do mnie. Jakiż jest ten cel? Co zamierzacie uczynić?

— Chcemy cię zabić, rzecz prosta, odparł Oktawiusz Gavard. Jak to, nie odgadujesz tego? Gdzież się podziała twa bystrość umysłu?

Filip uśmiechnął się.

— Mnie zabić? powtórzył. W jaki sposób, ciekawym?

— W pojedynku, rzekł Andrzej. Uczyni ci to wprawdzie zbyt wiele zaszczytu, lecz trudno! Z podobnym tobie wyrzutkiem należałoby postąpić jak z psem dotkniętym wścieklizną, to byłoby sprawiedliwem. My jednak nie jesteśmy mordercami z rzemiosła. Bić się więc z tobą będziemy jeden po drugim.

Croix-Dieu zmarszczył czoło.

— Z tobą, jak z moim przeciwnikiem, panie de San-Rémo bić się? Nigdy! zawołał.

— Dla czego? pytał Andrzej.

— Dla tego, że niechcę!

— Zmuszę cię ku temu!

— Jak?

— Policzkując cię!

— Schwycę podniesioną twą rękę, a bić się nie będę.

— Natenczas w miejsce broni użyję laski, i nią cię ukarzę!

— Złamię twą laskę, a bić się nie będę!

Andrzej wyjął z kieszeni pugilares, wyładowany banknotami i podał go baronowi.

— W tym pugilaresie, rzekł z ironią, znajduje się suma, dorównywająca tej, jaką mi tak wspaniałomyślnie pożyczyłeś. Jesteś zapłaconym, nic ci dłużnym nie jestem, ani nawet wdzięczności. Kończmy więc. Jeżeli nie zechcesz stanąć do pojedynku, w twarz ci napluję, a jeśli i po tem jeszcze odmówisz, w łeb ci wypalę z rewolweru, na co daję słowo honoru! Decyduj się więc prędko!

To mówiąc, San-Rémo dobył z kieszeni rewolwer, i nabiwszy go z zimną krwią, skierował lufę ku lewej skroni barona.

— Chciej pan zauważyć, panie Croix-Dieu, że tu nie chodzi o solo, ale o duet, ozwał się Oktawiusz, pokazując z kolei drugi rewolwer i przykładając go do prawej skroni Filipa.

Grisolles roześmiał się, zacierając ręce.

Croix-Dieu wzruszył ramionami.

— Dziecinna zabawka! rzekł. Groźby wasze śmiech tylko we mnie wzbudzają. Mimo to ustępuję, skoro wam się zdaje, że jesteście nademnie mocniejszymi. Będę się pojedynkował.

— Z nami obydwoma? pytał Andrzej.

— Tak. Lecz naprzód z panem Oktawiuszem.

— Dla czego on ma otrzymać pierwszeństwo?

— Ponieważ tak mi się podoba.

— To znaczy, że chcesz się nam wymknąć, rzekł syn Henryki, nie pozwolimy jednak na to, uprzedzam. Pilnować cię będziemy. Jesteś nikczemnym, to dowiedziona, i gdybyśmy cię stracili z oczu choćby na pięć minut, wsiadłbyś do wagonu i uciekł drogą żelazną. Nie... nie!..

Wyjdziesz stąd razem z nami, wprost na plac walki.

— A gdzież świadkowie? ozwał się Croix-Dieu.

— W drodze ich znajdziemy!

— Dobrze, odpowiedział Filip. Lepiej że się to prędzej ukończy. Macie broń z sobą?

— Niemamy jej.

— Przyjmiecie moją?

— Najchętniej.

— Pójdę wziąść szpady i pistolety. Idźcie wraz ze mną jeżeli się wam podoba.

— Dobrze, idziemy.

Croix-Dieu spojrzał z żalem na butelkę Jobannisberger a z takiem staraniem dla swego gościa przygotowaną, i eskortowany z dwóch stron przez Andrzeja i Oktawiusza, a w tyle przez kapitana Grisolles, zamykającego pochód, przeszedł przez salon, wstąpił do sypialni, gdzie włożył na głowę kapelusz, a wskazując na gabinet, w którym się znajdowała szafa o jakiej mówiliśmy powyżej, rzekł:

— Broń jest tam.

Jednocześnie wszedł do wązkiego ciemnego korytarzyka, w jakim nie mogły się pomieścić trzy osoby.

Obaj młodzieńcy zostali o dwa kroki przed wejściem.

Filip otworzył szafę, wyjął z niej czworograniaste pudełko, a podając je Oktawiuszowi:

— Oto. rzekł, pistolety.

Wyjąwszy razem torbę podróżną, w której wiemy co się mieściło, postawił ją na ziemi przed sobą, a zwracając się do Andrzeja:

— Czy mam wziaść dwie szpady? zapytał.

— Tak, odrzekł San-Rémo, jedna złamać się może.

— Dobrze, wezmę więc dwie, a nawet i trzy, jeśli zechcecie.

Były to ostatnie jego wyrazy.

Szybkim, nieprzewidzianym ruchem, pochwyciwszy torbę podróżną, rzucił się ku drzwiom gabinetu, a zatrzasnąwszy je z wewnątrz za sobą, wybiegł do przedpokoju ukrytem w ścianie wyjściem, i jak huragan zbiegł przez schody na ulicę.

W tej chwili przejeżdżał właśnie fiakr próżny. Croix-Dieu wskoczył do tego powozu, nie zatrzymując go wcale i krzyknął na woźnicę:

— Dwadzieścia franków, jeżeli w ciągu dziesięciu minut dowieziesz mnie na stację północnej drogi żelaznej.

Stangret zaciął konia, i fiakr pomknął jak strzała.

Zanim San-Rémo i Oktawiusz wraz z Grisollem wściekli i upokorzeni, obeszli w około mieszkanie, ażeby przez salon dostać się do wyjścia, fiakr zniknął z baronem.

Wszelkie usiłowania pościgu okazały się na razie daremnemi.

X.

Podczas gdy się to działo, Sariol oczekiwał w gabinecie, a niecierpliwość jego wzrastała, w miarę jak żołądek dopominał się o swoje prawa.

— Nakryją ci na mojem biurku, mówił mu Filip, mój służący za chwilę przyniesie ci śniadanie.

Dziesięć minut upłynęło, potem jeszcze dziesięć, i znowu dziesięć, a żaden służący się nie ukazał.

Sariol słyszał przez drzwi zamknięte dobiegające go jakieś hałaśliwe głosy, jakieś szybko przebiegające tam i napowrót kroki.

— Przyrządzają śniadanie, pomyślał. Przypomnieli sobie o mnie nareszcie! Ale do czarta zbyt długo czekać mi każą. Wołałbym był pójść do restauracji.

Potem głosy te nagle ucichły i wszelki ruch umilkł, głęboka cisza zapanowała w mieszkaniu, a przyobiecane śniadanie nie ukazywało się wcale.

— Miałżeby baron zapomnieć o mnie, do pioruna? zapytywał sam siebie Sariol. Nie! to niepodobna. Potrzebny mu jestem, zapomnieć więc nie mógł. Co się tu dzieje?

I otworzywszy drzwi do salonu, znalazł go opróżnionym zupełnie. Wszedł do sypialni, nie było w niej nikogo. Wróciwszy do salonu uchylił drugie drzwi, wychodzące do jadalni i spojrzał. I w tym pokoju, zarówno jak w poprzednich, zupełna samotność panowała. Stół stał nakryty na dwie osoby. Na stole galantyna z truflami, otoczona przezroczystą galaretą, spoczywała na srebrnym półmisku. Cztery mniejsze półmiski otaczały galantynę, jeden z gotowanemi rakami, inne z pokrajaną pieczenia, masłem i rzodkiewkami. Przy każdem nakryciu stało z pół tuzina kryształowych karafek z różowemi kapslami. Dwie wysmukłe butelki nosiły napis: Château Lafitte: dwie drugie, pękate, nazwę niemniej drogocenną dla smakoszów: „Chambertin“.

Obok tych flaszek leżał na stole korkociąg, ponieważ

Croix-Dieu miał zwyczaj sam otwierać butelki, nie posługując się w tem służącymi.

— Na honor! wyszepnął Sariol, wszystko to ma wielce smakowitą minę. Znać zaraz, że ów niegdyś Loc-Earn przebywa w wyższych towarzystwach.

Zbliżywszy się do stołu, rozłupał kilka raków, a jedząc je mówił dalej:

— Ha! skoro nie myślą o mnie, muszę sam myśleć o sobie. Wszakże zostałem zaproszony? Zaniosę sobie to wszystko na biurko do gabinetu, i bez nakrycia sprzątnąć to potrafię. Wielki czas już jest ku temu.

Jakoż wykonał swój zamiar. Ukroił ogromny kawał galantyny, a na drugi talerz nałożył sobie raków, pieczeni, masła i rzodkiewek. Wziął dwa małe bochenki chleba, serwetę, nóż widelec, i zasiadł do jedzenia na rogu biurka barona. Po uprzątnięciu tego wszystkiego wrócił do jadalni.

— Czego napić się teraz? zapytywał siebie. Trzeba dobry wybór uczynić.

Wahał się między Burgundem a Bordeaux, gdy obróciwszy się w stronę bufetu, dostrzegł długą zapyloną flaszkę, umieszczoną tam przez Filipa w wiadomym nam celu.

— Reńskie wino! zawołał, moje ulubione wino! a jeśli baron będzie z tego niezadowolonym, nie dbam o to wcale. Powinien był o mnie pamiętać.

Sariol, odkorkowawszy butelkę z Johannisbergerem, wziął ze stołu kieliszek, i wrócił dokończać uczty w gabinecie.

— Oto prawdziwe wino! wino poważne,mówił,

pociągając z roskoszą napój z kieliszka. Jakże żałuję owych biedaków, którzy zmuszeni są zakrapiać się tym podłym napojem z d'Argenteuil albo Suresnes. Podam myśl baronowi, aby mi ofiarował kosz tego przepysznego wina. Nie będzie mógł tego odmówić.

A napełniwszy sobie drugi kieliszek, cmokał językiem, mówiąc dalej:

— Zaprawdę! kto mógłby był przewidzieć, gdym owego wieczora opuszczał gabinet pod „Koszem kwiatów" gdzie hrabia Loc-Earn; pozostawił mnie leżącego bez życia, jak otrutego szczura, że będę pił kiedyś z największym spokojem zapasy z jego wytwornej piwnicy? Czasy się zmieniły! Jestem mu teraz potrzebnym. Nie mam się czego obawiać, mogę spokojnie wyprzątnąć nie dla siebie przeznaczoną butelkę.

I po raz trzeci napełniwszy kieliszek, do dna go wvchvlił.

* *
*

Fanny Lambert, hrabina de Tréjan, rzadko kiedy dzwoniła na swoją pokojówkę z rana przed dziesiątą. Tym sposobem wszyscy służący wstawali późno w pałacu przy ulicy Le Sueur.

Odźwierny, wyszedłszy nad ranem ze swej stancyjki w kilka godzin po owej strasznej tragedji, jakiej byliśmy świadkami, ujrzał z osłupieniem, że furtka w pałacowej bramie bvła na oścież otwartą.

Pamiętał doskonale, że widział ją na klucz zamkniętą

wieczorem, po odjeździe barona de Croix-Dieu. Pobiegł szukać klucza i nie znalazł go wiszącym na zwykłem miejscu.

Co to znaczyło?

Skradziono więc ten klucz. Kto jednak go ukradł i w jakim celu. Podczas gdy biedny człowiek stawiał sobie to zapytanie, dostrzegł jednocześnie, że drzwi od pałacowego przysionka były zarówno otwartemi. Zadrżał z obawy.

Zuchwały złoczyńca wemknął się więc do pałacu wśród nocy? O tem trzeba się było przekonać jak najprędzej. Pobiegł obudzić kamerdynera i powiadomić Genowefę pokojówkę, że coś się stało w pałacu niezwykłego.

— Ależ to okropne, zawołała Genowefa. To nie do uwierzenia! Coś niewytłumaczonego w tem się ukrywa! W pięć minut po północy, zamknęłam sama własną ręką na klucz i na zatrzask drzwi od przysionka. Niepodobna, ażeby te drzwi same się otwarły. Jakiś rozbójnik widocznie był ukrytym w pałacu!

— Zanim krzyczeć zaczniemy o złodzieju, rzekł kamerdyner, należy się nam przekonać, czyli co ukradzionem zostało. Rozkochani korzystają tak dobrze z nocnych ciemności jak i złodzieje.

— To prawda. Wejdę do pani, odpowiedziała dziewczyna.

I wzruszona, przejęta trwogą, przebiegłszy apartamentu pierwszego piętra, weszła do pokoju poprzedzającego tymczasową sypialnię swej pani, przemknęła się na palcach przez garderobę, i uniosła zlekka aksamitną portjerę, dzielącą ów gabinet od właściwej sypialni, odstąpionej

przez panią de Tréjan księciu Aleosco na czas jego choroby.

Wiemy jak straszny widok wzrok jej uderzył.

Cofnęła się, wydawszy krzyk głośny i uciekła jak wpół obłąkana, ukrywszy twarz w dłoniach, zatrzymawszy się dopiero na środku dziedzińca z głośnym jękiem i krzykiem.

— Co to jest? Co się stało? pytali, przybiegając razem odźwierny z kamerdynerem, nie rozumiejąc co mogło być powodem tak strasznego przerażenia dziewczyny.

— Pani... och!.. pani i książę, jąkała zaledwie dosłyszanym głosem, zamordowani, zamordowani oboje! krew... krew wszędzie I jakież nieszczęście!.. Boże!.. wielki Boże!..

W ciągu pięciu minut wiadomość o zbrodni rozbiegła się z szybkością iskry elektrycznej na ulicy i w całym okręgu.

Odźwierny pobiegł powiadomić o wszystkiem komisarza policji.

Na początku naszej powieści, opowiedzieliśmy o rozpoczętem śledztwie przez sąd i policyjnego agenta, nazajutrz po zamordowaniu barona Worms. Szczegóły tego śledztwa wzbudziły, jak mniemamy, żywe zainteresowanie czytelników, ponieważ morderca pozostał im nieznanym.

Potrzeba było odnaleść jego ślady, ścigać go bezprzestannie, a ze wszystkich łowów na świecie, polowanie na zbrodniarza jest najciekawszem, i najbardziej zajmującem.

W obecnej chwili nie było ono takiem, ponieważ sprawca podwójnego morderstwa, jest nam znanym.

Wystarczy zatem objaśnienie, iż rzeczy poszły tym torem w pałacyku Le Sueur, jak niegdyś na bulwarze

Malesherbes. Komisarz policji wyekspedjowmł bezzwłocznie posłańca do pałacu sprawiedliwości i prefektury.

Sędzia śledczy wraz z sekretarzem, dwoma sądowymi pisarzami, i policyjnym agentem, wyróżniającym się tak bystrością umysłu, jak doświadczeniem i niepospolitą zręcznością, przybyli w najmożliwiej krótkim czasie, na plac owej potwornej rzezi.

Urzędnikami tymi zajmować się nie będziemy. Co zaś do agenta, znamy go dobrze od dawna.

Był nim Jobin, nasz poczciwy, dobry znajomy, Jobin, któregośmy widzieli jako szlachcica z Perigord, na wieczornem zebraniu u pani de Tréjan.

Otwarta a opróżniona kasa żelazna, w której nic nie było, prócz kilku widocznie zapomnianych rulonów złota, jasno świadczyła, że kradzież była jedynym celem morderstwa.

Jobin spojrzał na księcia Aleosco na wznak leżącego, skostniałego, z otwartemi oczyma, i przerżniętem gardłem.

— Jakaż straszna rana! wyszepnął. Gdzie ja podobną kiedyś widziałem?

I zaczął sobie przypominać, a pamięć mu podszepnęła: Baron Worms! Agent schylił się nad trupem.

— Tak, w rzeczy samej, mówił półgłosem, baron Worms! Ręka kasjera Müller zadała mu takiż sam cios straszny. Jakaż inna ręka mogłaby tego tąż samą bronią zamordować? Jakaż inna ręka? I po krótkiem milczeniu: Ha gdyby to on był? zawołał.

— O czem rozmyślasz, Jobin’ie pytał jeden z urzędników.

— Zastanawiam się i szukam, panie sędzio, rzekł agent.

W chwili, gdy Jobin odpowiedział: „Zastanawiam się, i szukam “; nowa osobistość ukazała się na miejscu popełnionej zbrodni.

Był to doktor przez sąd wezwany.

Ów lekarz, doktor Bernier, jest nam już znanym. Widzieliśmy go przy pielęgnowaniu Diny Bluet, gdy biedna ta przyjaciółka Oktawiusza Gavard leżała bez zmysłów, otruta beladonną, wsypaną w węgierskie wino przez panią Saint-Angot.

Pan Bernier cofnął się, zgrozą przejęty na widok strasznej rany, oddzielającej głowę księcia od reszty ciała.

— Zaprawdę! wyszepnął, śmierć pod gilotyną byłaby za zbyt łagodną karą dla takiego mordercy. Przydałaby się surowa sprawiedliwość naszych ojców, wobec tyle potwornych czynów. Dobrze byłoby wskrzesić tortury, koła i ćwiertowanie.

— A co najgorsza, ozwał się Jobin, że umknął nam ów zbrodniarz!

— Nie można jednak pozostawić tych trupów, leżących w kałuży krwi, rzekł sędzia. Dam rozkaz, ażeby ich wyniesiono z pokoju i położono na materacach.

Doktor Bernier przyklęknął obok ciała Fauny, a ująwszy jej rękę uniósł ją w górę.

— Rzecz dziwna! zawołał. Nie ma śladów trupiej skostniałości w tem ciele. Członki zachowały swą giętkość. Ta kobieta nie umarła! ona jeszcze żyje!

— Ach! doktorze, pomyślał Jobin, oby Bóg wysłuchał słów twoich! Gdyby ta ofiara ożyła, gdyby mogła

przemówić!

Rzecz prosta, że w tej chwili, o księciu zupełnie zapomniano. Zmarły mógł oczekiwać. Zajęto się wyłącznie ratunkiem pani de Tréjan.

Pozostała jednak iskierka życia w tem pięknem ciele, w tych piersiach przebitych dwukrotnie nożem mordercy, błyszczała światełkiem bardzo słabem, bardzo niepewnem, jakie mogło zagasnąć, nie wydawszy żywszego blasku!

Doktor zbadawszy ranę potrząsnął głową.

— Jak sądzisz, doktorze? pytał sędzia śledczy, czy jest możebnem przywrócenia jej do życia?

— Tak, i nie, rzekł lekarz.

— Odbierasz nam więc nadzieję?

— Ta nieszczęśliwa otrzymała cios śmiertelny. Wyzionie ducha lada chwilę! odparł pan Bernier.

— Nie odzyskawszy przytomności?

— Obawiam się tego.

— Na imię nieba! użyj wszelkich środków, ażeby ją ożywić choćby na sekundę, mówił dalej sędzia. Daj jej możność, ażeby usłyszawszy zapytanie, odpowiedziała choć jednym wyrazem. Gdy tego dokonasz, uczynisz sprawiedliwości najwyższą przysługę!

— Będę próbował, ale za skutek nie ręczę, rzekł lekarz.

To mówiąc wziął się do dzieła.

Nie tracąc ani sekundy czasu, użył najsilniejszych środków, których skutek przewyższył wszelkie oczekiwania.

Najprzód dało się dostrzedz lekkie drżenie powiek. Usta jej się poruszyły. Iskierką blasku zapłonęły jej przygasłe

źrenice. Zamglone dotąd spojrzenie przybrało wyraz trwogi i przerażenia. Widocznem było, że umierająca ujrzała jakiś odrażający przedmiot przed sobą.

Sędzia śledczy przybliżył usta do ucha Fanny.

— Czy pani mnie słyszysz? zapytał.

Żadnej na to odpowiedzi.

— Przybyliśmy tu, ażeby cię bronić, mówił dalej, aby cię ocalić, pomścić się za ciebie!

Drobna iskierka życia w oczach hrabiny silniej zabłysła.

— Ja przedstawiam tu sprawiedliwość, mówił dalej sędzia, a sprawiedliwość spełni swój obowiązek, karząc zbrodniarza, którego się stałaś ofiarą. Ułatwij nam to zadanie. Wszak to od ciebie zależy. Jeśli widziałaś mordercę, jeśli go znasz, wystarczy jedno słowo, wystarczy wymienienie jego nazwiska. Wymów to słowo, powiedz nam jego nazwisko!

Blask powracającej inteligencji oświetlił twarz pani de Tréjan.

Sędzia śledczy, sekretarz, doktor i Jobin, otoczyli łoże umierającej, słuchając w najwyższym niepokoju.

Fanny poruszyła się z wysileniem. Z jej ust, nawpół otwartych wybiegło tchnienie, w którem obecni dosłyszeli szept niewyraźny, jeden z nich tylko pochwycił w biegu nazwisko: Croix-Dieu“.

Głowa Fanny osunęła się na ramię. Głęboko westchnęła, wzrok jej przygasł.

— Obecnie, rzekł doktor Bernier, wszystko skończone. Umarła!

— Umarła, nie przemówiwszy, nie wyjawiwszy

tajemnicy, rzekł jeden z urzędników.

— Przepraszam, zawołał Jobin, właśnie że przemówiła.

— Słyszałeś pan?

— Słyszałem to, co słyszeć było trzeba, nazwisko mordercy.

— Jestżeś tego pewnym?

— Najzupełniej.

— Tym więc mordercą?

— Jest baron de Croix-Dieu.

Zapytującym był młodzieniec, bywający w wyższym świecie, i znający na wskroś Paryż.

— Mylisz się lub łudzisz, Jobin'ie, odrzekł. Pan de Croix-Dieu posiada opinię najuczciwszego dżentlemena. Nie zdoła go dosięgnąć żadne podejrzenie.

— A jednak ja go oskarżam, mówił dalej agent, oskarżam uporczywie, oskarżam na mocy posiadanego upewnienia, a nietylko o popełnienie tej zbrodni, lecz i o inną, dokonaną w podobnych okolicznościach. Oskarżam go o zamordowanie barona Worms przez kasjera Fryderyka Müller, ponieważ ów Müller i Croix-Dieu są jedną i tąż samą osobą. Poznałem tego człowieka przed ośmioma dniami, dziś poznaję tęż samą rękę w morderczym ciosie zadanym ofierze. Zbrodniarz dał się poznać swem dziełem! Przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność pogardy, zgadzam się na karę utraty miejsca, jakie zajmuję gdybym zabłąkawszy się w moich domniemaniach, wprowadził sąd na fałszywą drogę. Błagam na imię nieba, pozwólcie mi panowie działać dowolnie. Przysięgam na honor! mówił zapalając się Jobin, przysięgam uroczyście wobec Boga, że

zdemaskuję, tego potwora w waszej obecności!

Ów agent policyjny mówił z tak głębokiem przekonaniem, jego spojrzenie i głos wyrażały taką pewność, że urzędnicy wahać się poczęli.

— Dobrze! rzekł po chwili sędzia śledczy, wszak sądzę, nie przedsiębrałbyś lekkomyślnie tyle ważnej sprawy. Podpiszę ci rozkaz uwięzienia, tego człowieka i stawienia go przed sądem, co wykonasz z wszelkiemi względami, względami, przynależnemi panu Croix-Dieu, gdyby się niewinnym okazał. Będę go badał wobec ciebie. Przypuściwszy jednak, że jest winnym w tej sprawie, niemógł sam działać to pewna. Tą drugą ofiarą zbrodni, jaką tu widzimy, miałżeby być hrabia de Tréjan?

— Nie. odrzekł Jobin. Tym drugim zamordowanym jest książę Aleosco. Skądże on się tu znalazł? Czy mieszkał w tym pałacu?

— Tak panie sędzio, odkąd został tu przywiezionym, ciężko ranny, w pojedynku z hrabią.

— Skutkiem czego wyniknął ów pojedynek?

— Książę był kochankiem hrabiny.

— A gdzież jej mąż przebywa! natenczas, gdy do jego mieszkania sprowadzono kochanka żony?

— Opuścił ten dom wskutek gwałtownej sceny, wyrządzonej mu publicznie przez księcia, a której świadkiem wypadkowo ja byłem.

— Czy ów pan Tréjan jest bogatym?

— Nie panie sędzio, jest on niezamożnym artystą, zaślubił Fauny Lambert, którą stosunki jej z księciem zrobiły miljonerką.

— Stosunek ten miał miejsce przed zaślubieniem pana de Tréjan?

— Na kilka lat wprzódy.

— Natenczas, wyznam, jest bardzo smutne położenie tego pana de Tréjan, rzekł sędzia, i jego niewinność w tej sprawie jest podejrzaną. Chciwość z jednej strony, zemsta z drugiej, mogły go popchnąć do spełnienia tej zbrodni. Zresztą ów hrabia łatwiej niż ktokolwiekbądź inny mógł wemknąć się do pałacu, mając klucze po temu? Cóż myślisz o tem Jobin'ie?

— Myślę, panie sędzio, że to jest możebnem. Jednak przyznam, nie wierzę tu w winę hrabiego, rzekł agent.

— Ważną wszelako jest rzeczą upewnić się nam w tym względzie. Gdzie hrabia mieszka teraz?

— Niewiem tego.

— Odnajdź go, Jobinie, jest to koniecznie potrzebne. Jeżeli się ukrywa jest winnym.

— Będę się starał wykonać jak najlepiej polecenia pana sędziego, rzekł Jobin.

— Liczę na to.

W kilka minut później, agent wyszedł z pałacyku przy ulicy Le-Sueur, zabrawszy z sobą upoważnienie do przyaresztowania Filipa Croix-Dieu i Jerzego de Tréjan.

Jobin znał doskonale mieszkanie barona.

Nazajutrz po owym wieczorze u Fanny Lambert, gdzie w owym panu Croix-Dieu poznał głos i rysy twarzy kasjera Fryderyka Muller, postanowił działać bezzwłocznie i na swój własny rachunek rozpocząć miał śledztwo nad osobą barona.

Napotkawszy przeszkody w pierwszych usiłowaniach, z przyczyny niezaprzeczalnej pozornie uczciwości Filipa, powstrzymać się był zmuszonym z prowadzeniem śledztwa, pokonany, ale mimo to nie przekonany bynajmniej.

Teraz ożywiła go nadzieja.

— Znajduje się w tem wszystkiem cała góra tajemnic, mówił sobie, istnieją zasłony zgęszczające ciemności. Wniknę w ich głębię, rozedrę wszystkie zasłony. Światło ukazać się musi.

Jobin przypomniał sobie, że niegdyś działając sam, chybił i otrzymał trzy kule w piersi od Fryderyka Müller. Przybrał więc sobie obecnie do pomocy dwóch policyjnych agentów z prefektury, a wsiadłszy z nimi do fiakra, kazał jechać na ulicę św. Łazarza.

Gdy powóz z nimi zatrzymał się przed domem, Filip znajdował się już daleko, a narada pomiędzy lokajem, stangretem, odźwiernym i stajennym, odbywała się pod sklepieniem bramy.

Jobin wraz z dwoma swymi podwładnymi, zatrzymał się naprzeciw tej małej grupy zebranych, a poznawszy odźwiernego, z którym rozmawiał kilkakrotnie podczas poprzednio przez się prowadzonego śledztwa, zapytał:

— Pan baron de Croix-Dieu jest w domu?

— Niema go, wyszedł.

— Od jak dawna?

— Wyszedł przed godziną.

— Jestże to prawdą co mówisz? badał dalej Jobin. Wiedz że tu chodzi o nader ważną sprawę. Przynoszę panu baronowi wiadomość, jakiej oczekuje on niecierpliwie.

— O cokolwiekbądź chodzi, odparł odźwierny, pan baron jest nieobecnym, a ten oto jego służący może potwierdzić, co mówię.

Jobin, wziąwszy za ramię lokaja, zdumionego taką poufałością nieznajomego, odprowadził go do przysionka, mówiąc:

— Jestem policyjnym agentem, oto moja karta, ci panowie są to moi koledzy. Wzywam cię w imieniu prawa, abyś mi towarzyszył!

— Na miłosierdzie! wyszepnął zatrwożony lokaj, cóż pan baron może mieć wspólnego z policją?

— To cię nie obchodzi. Milcz! i pójdź ze mną!

Tu wszyscy czterej weszli do antresoli.

Drzwi przedpokoju były otwartemi.

Jobin umieścił przy tych drzwiach jednego ze swych pomocników, poleciwszy mu dozwalać wchodzić wszystkim, lecz nie wypuszczać nikogo, a dobywszy z kieszeni rewolwer zwrócił się ku drzwiom, naprzeciw będącym, mówiąc:

— A teraz, zobaczymy!

XI.

Jobin, prowadzony przez zaniepokojonego służącego tem wdaniem się policji, przejrzał salon, jadalnię, sypialnię, nie spotkawszy tu żywej duszy. Wszedłszy nareszcie do gabinetu pracy barona, przystanął w progu zdumiony.

Ujrzał tu Sariola siedzącego przy biurku obok dwóch

czubato nałożonych talerzy, trzymającego w prawej ręce widelec, a w lewej wypróżnioną butelkę Johannisbergera, śmiejącego się wybuchowym śmiechem, bez żadnych ku temu powodów, ponieważ sam się tylko znajdował w pokoju.

Mimo, że jego spojrzenie było w stronę drzwi zwróconem, zdawał się nie spostrzegać obecności Jobin'a.

— Kto jest ten człowiek? pytał agent służącego.

— Jest to gość, jakiego nie znam wcale, a który przyszedł dziś rano w odwiedziny do pana barona.

— Podałeś mu śniadanie z rozkazu swojego pana?

— Bynajmniej. On je sam wziął sobie. Zapomniałem zupełnie że on się tu znajduje.

Jobin utkwił badawcze spojrzenie w śmiejącym się ciągle Sariolu, który zdawał się nie dostrzegać egzaminu, jakiego był przedmiotem.

Policjant, ściągnął brwi. Liczne zmarszczki wystąpiły mu na czoło, widocznie myśl jego pracowała, zbierał w pamięci wspomnienia. Nagle drgnął cały.

— Ha! wyszepnął miałem słuszność, jak widzę.

I zbliżywszy się do Sariola, uderzył go po ramieniu mówiąc:

— Znamy się z sobą, mój chłopcze! Obecne twoje ubranie zmieniło cię trochę, nie tyle jednak, ażebym poznać cię nie miał. Widziałem cię raz jeden, to wystarcza. Jesteś „Dużym Ludwikiem", tak zwanym „Konopiastym". byłym maszynistą teatralnym, w imieniu więc prawa aresztuję ciebie, za usiłowanie zabójstwa popełnionego z premedytacją na osobie panny Diny Bluet!

Najmniejsze wzruszenie dostrzedz się nie dało na twarzy Sariola. Bądź czy nie słyszał, bądź nie mógł zrozumieć, wybuchał wciąż śmiechem monotonnym, strasznym, denerwującym.

— Czy ten człowiek jest obłąkanym, czy idjotą, pytał Jobin służącego.

— Nic nie wiem panie, rzekł lokaj. Wszystko co mogę o nim powiedzieć, to, że nie miał tej miny, jaką ma teraz.

— Twój pan życzliwie go przyjął?

— Jakby dawnego kolegę.

— To przekonywa mnie tem mocniej, żem się nie mylił co do tego pana Croix-Dieu, pomyślał agent. Równy, znajdzie sobie zawsze równego. Skoro się baron łączy z podobnym nędznikiem, jasno to przekonywa, że sam jest łotrem ostatniego rodzaju.

Na rozkaz Jobin'a, jeden z towarzyszących mu agentów, przetrząsnął kieszenie Sariola, który bez najmniejszego oporu czynić to pozwolił, wybuchając wciąż swoim idjotycznym śmiechem.

Znaleziono w jego kieszeni pugilares zawierający kilka banknotów pięćdziesiąt frankowych, i z pół tuzina wizytowych biletów z napisem: „Tamerlan (Eugeniusz)“, bez oznaczenia miejsca zamieszkania.

Urządzono zasadzkę w apartamencie barona, ażeby nie uciekł powtórnie, gdyby powrócił.

Spieszymy dodać, iż Jobin niewiele na ten traf rachował.

Ów były Fryderyk Müller jest za zbyt przebiegłym, mówił, ażeby się dał pochwycić w swem gnieździe. Zdoławszy zemknąć na czas, już tu nie powróci więcej!

Z wielkim trudem zdołano wyrwać z rąk Sariola widelec i butelkę, jaką ściskał w palcach z nadludzką siłą.

Dokonawszy tego, zapakowano łotra do fiakra, nie umiejąc wytłumaczyć sobie jego dziwnej wesołości, i powieziono go w stronę Conciergerie...

Podczas drogi Sariol popadł w sen głęboki, podobny do letargu.

Lekarz służbowy, któremu poruczono obowiązek sprawdzenia, czyli ten sen jest naturalnym, uniósł powieki Sariola, a zbadawszy puls i źrenice, rzekł:

— Chorobliwa ospałość tego człowieka, wynikła z nadużycia roślinnej trucizny. W ciągu trzech lub czterech godzin żyć on przestanie.

— Niemógłżebyś dać mu doktorze przeciwdziałającej trucizny? pytał Jobin.

— Byłoby to daremnem. Doza ogromna być musiała. Jest to już człowiek umarły.

— Tam do djabła! Ale przynajmniej zanim się przeniesie na tamten świat, przebudzi się i będzie mógł mówić?

— Mam nadzieję. Będę robił wszystko, ażeby powstrzymać chwilowo kongestję, a tym sposobem wrócić umierającemu na chwilę przytomność.

To mówiąc zabrał się do dzieła.

Słyszeliśmy, jak Croix-Dieu mówił, przygotowując butelkę Johannisbergera:

„Oktawiusz wyjdzie odemnie zupełnie zdrów i wesoły. Nazajutrz, uczuje się nieco słabym. We trzy dni potem położy się w łóżko, a przed końcem miesiąca otworzy-się po nim sukcesja“.

Czyliż te słowa nie świadczą jasno, że baron wiedział o skutkach przygotowanej przez się trucizny? Nie będąc jednak ani chemikiem, ani lekarzem, przesadził dozę, chcąc skutek pewny otrzymać. Zresztą, nieprzewidywał, że ów napój zostanie całkiem wypróżniony z butelki przez pijącego.

Niezwykłe objawy widzieć się dały na Sariolu, którym zapobiegły w części usiłowania lekarza. Nareszcie otworzył oczy, spojrzał w około siebie zdumiony, i wyszepnął:

— Gdzie jestem?

Pytanie to było zupełnie naturalnem, bo widocznie Sariol nie przypominał sobie nic z tego, co nastąpiło od chwili, gdy straszny ów napój obezwładnił mu możność myślenia.

— Znajdujesz się w więzieniu, odparł Jobin, dając znak ręką drugiemu agentowi, by pobiegł co prędzej sprowadzić sędziego śledczego, dla odebrania zeznania od umierającego, gdyby ten mógł mówić.

Oblicze Sariola nagle się zmieniło. Zimny pot spływał mu po skroniach.

— W więzieniu? powtórzył głucho. Zdaje mi się żem spał, snem jakimś strasznym! Głowa mi cięży. Cierpię! mocno cierpię. W więzieniu! Dla czego miałbym się znajdować w więzieniu?

— Dla mnóstwa przyczyn, z których najmniejsza jest bardzo ważną, rzekł Jobin. Nie mówiąc o przeszłości, co by nas zaprowadziło bardzo daleko, grałeś ostatnio podłą rolę pod nazwą „Dużego Ludwika“ zwanego „Konopiastym“. i twoja sprawa, mój panie Tamerlan, wzięłaby bardzo zły obrót, gdyby baron Croix-Dieu, twój bliski towarzysz, nie

był wziął na siebie uregulowania rachunku ze sprawiedliwością otruwszy cię dziś rano.

Sariol począł drżeć na całem ciele. Zęby mu szczękały, oczy nadmiernie się powiększyły.

— Otruwszy mnie? wykrzyknął chrypliwie. Jestem więc otrutym? Co mówisz?

— Tak, niestety!

— Mimo to, ocalicie mnie. Będziecie mieli litość nademną. jęczał żałośliwie. Nie pozwolicie mi umrzeć bez ratunku, wszak prawda?

— Ten pan, którego tu widzisz, jest doktorem, rzekł Jobin, czynił wszystko co było w jego mocy.

— I coż?

— Ha! cóż? powiedział nam z żalem, iż wątpi ażeby cię mógł ocalić.

— Jednak, zawołał Sariol, jakkolwiek słabą byłaby nadzieja utrzymania mnie przy życiu, ona istnieje. Niech próbują, niech walczą ze złem. Na miłość Boską ratujcie mnie panowie! Pójdę jako skazaniec na galery, jeżeli trzeba, ale darujcie mi życie! Ratujcie mnie, ocalcie! Ja nie chce umierać!

Głębokie milczenie zapanowało w około nędznika. Zrozumiał że wyrok został nań wydanym bez odwołania, czuł, że jest zgubionym i gniew gwałtowny zastąpił u niego miejsce rozpaczy.

— I to on, on mnie zabił! wykrzyknął z rodzajem dzikiego wycia. On! mój wspólnik. On, który mnie popychał do wszystkiego złego. On, który usiłował mnie zabić przed dwudziestu dwoma laty, on, dziś mnie zabija!

Ha! nikczemniku. Podły Loc-Earnie!

— Chciałeś powiedzieć: baronie Croix-Dieu, przerwał Jobin.

— Nie! odrzekł Sariol. Loc-Earn i Croix-Dieu, są jedną i tąż samą osobą. To jeden człowiek. Jeden czart wcielony! Ha! on chciał się mnie pozbyć! więc dobrze. Jeżeli mi jednak tylko godzina do życia pozostaje, nie stracę jej daremnie! Zdemaskuję go, opowiem wszystko! Słuchajcie, piszcie oskarżenie. Galery, to zbyt łagodna kara dla tego szatana. Ja chcę, ażeby zginął na szafocie, pod gilotyną. Oskarżam go, oskarżam, oskarżam!

I dyszący, zapieniony, ponieważ niesłychane boleści przerywały mu mowę, Sariol opowiedział wszystkie szczegóły ponurych a znanych nam już tragedyj.

Opowiedział, w jakim celu Croix-Dieu kazał mu zabić Oktawiusza Gavard w Joinville-le-Pont, a objęty szałem wściekłości, sam się oskarżył, wymieniając swe zbrodnicze usiłowania przeciw Dinie Bluet. Oskarżył wdowę Saint-Angot, oskarżył Maquart'a i Loupiat'a.

Skoro skończył, gdy z wykrzywionych ust jego wybiegło ostatnie złorzeczenie, ostatnie przekleństwo, ostatni okrzyk wściekłości i nienawiści, upadł na wznak, pożerany przez truciznę, chrapiąc, szamocąc się, odrażająco wstrętny w swem ostatniem konaniu!

Ostatnie konwulsyjne drgnienie wykrzywiło mu członki, niedokończone bluźnierstwo z ust jego wybiegło, wyprężył się i umarł.

— Wilki zażerają się pomiędzy sobą! wyszepnął Jobin. Bóg czuwa, istnieje! Bóg jest sprawiedliwym! Ci, którzy

zaprzeczają temu, są obłąkani, idjoci, lub łotry! A teraz, trzeba nam odnaleść tego olbrzyma zbrodni, o trzech twarzach! Trzeba nam odnaleść Croix-Dieu, Müllera i Loc Earn'a. Lecz kto wie? Być może sprawiedliwość Boża zachowuje go dla siebie?

*
* *

Uciekłszy z salonu w pałacu de Grandlieu, w chwili, gdy wicehrabia dał rozkaz wprowadzenia Zimmermanna, Herminia po napisaniu ze łkaniem tego rozdzierającego listu, jaki tak straszny cios zadał szlachetnemu starcowi, pół obłąkana z trwogi i bolesnych wyrzutów sumienia, zarzuciła na głowę czarną koronkową woalkę, i wybiegła z pałacu, jak się ucieka z domu, objętego pożarem, mknąc przez ogród w stronę Pól Elizejskich?

Dokąd biegła ta nieszczęśliwa kobieta?

Upewniamy, że sama o tem nie wiedziała.

W chaosie pomięszanych myśli, nic jej się jasno nie przedstawiało. W głębi jej duszy i umysłu ciemność panowała głęboka.

To pewna, że umrzeć pragnęła; będąc wszelako chrześcianką, mimo popełnionego błędu, odpychała ze wstrętem ponurą myśl samobójstwa, tę drogę wzbronioną, a mimo to wiodącą do wiecznego spoczynku.

Szła szybko przed siebie, na los szczęścia, potrącając przechodniów, przemykając się między powozami, myśląc jedynie o jak najprędszej ucieczce z tego domu, gdzie

tajemnicę jej hańby sprzedano mężowi.

Cały świat dla niej zmienił się w pustynię; jedno jej tylko schronienie pozostało, jedyny człowiek odepchnąć jej nie mógł, ani pogardzać nią nie miał prawa.

Był to ten, przez którego zgubioną została.

Owem, jedynem dla niej schronieniem, był dom tego człowieka.

Herminia o tem wszystkiem nie myślała wcale, zadrżała jednak, gdy idąc długo, bezwiednie, ujrzała przed sobą ulicę de Boulogne.

XII.

San-Rémo przekonany, że ów Zimmermann nie ukaże się już więcej, literalnie obezwładniony, wyszedł z ulicy de l’Echiquier, w chwili gdy zegary wydzwaniały dziewiątą.

Najzupełniejsza apatja nastąpiła po długich dniach trwogi i rozpaczy młodzieńca. Nie wiedział on teraz co zrobić, czego się chwycić? Nie pozostawało mu nic prócz hańby i zaciekłego gniewu. Można było sądzić z pozoru, jakoby opuścił Herminię, ponieważ było już teraz zapóźno na bytność w pałacu de Grandlieu.

Spotkać się z wicehrabią. Na co by się to przydało

Jeśli Zimmermann spełnił swą groźbę, pan de Grandlieu o wszystkiem już wiedział. Obecność kochanka żony, byłaby jedną obelgą więcej dla starca; owe bezczelne zuchwalstwo zwiększyłoby gniew jego. Lepiej było powstrzymać się od tego.

Z opuszczoną głową, słabszy od chorego po przebyciu ciężkiej słabości, chwiejący się, jak człowiek pijany, szedł bezmyślnie ku ulicy de Boulogne.

Szybko, bezwiednie, Herminia zmierzała ku temuż samemu miejscu.

I nagle oboje znaleźli się naprzeciw siebie, przed okratowaniem pałacyku.

Spotkali się wołając jednocześnie:

— Ty? wyjąknął San-Rémo. Ty tu?

— Ja! odrzekła pani de Grandlieu, zaledwie dosłyszanym głosem. Jestem zgubioną! Ty jeden zostałeś mi tylko na świecie, przychodzę zatem do ciebie. Ocal mnie! Nie wypędzaj!

— Ciebie wypędzić? drogie, ukochane dziecię, powtórzył młodzieniec, przywiedziony nagle do przytomności, tą straszną rzeczywistością. Rozporządzaj mem życiem. Czyż ono jednak starczy na wynagrodzenie cierpień, jakie przechodzisz z mojej przyczyny?

Poprowadziwszy wicehrabinę do pałacu, Andrzej usiłował ją orzeźwić, uspokoić, pocieszyć, poczem pytać o szczegóły ją zaczął.

Opowiadanie nieszczęśliwej było bardzo krótkiem.

Wiemy co mu opowiedziała.

— A teraz, skoro wiesz wszystko, dodała ze łkaniem, nie pozostawiaj mnie tu u siebie. Lękam się. On może przyjść mnie szukać. Zaprowadź mnie gdziekolwiek. Zaprowadź jak najdalej, i ukryj mnie, ukryj tak, ażeby mnie on nigdy nie odnalazł, i nigdy nie natrafił na moje ślady. Niech pozostanę zmarłą dla niego!

— Bądź spokojną, odrzekł z wzruszeniem San-Rémo. Nikt szukać cię nie przyjdzie w tem świętem schronieniu, jakie się otwiera dla ciebie. Pójdź ze mną Herminio Pójdź prędko.

— Gdzie mnie chcesz uprowadzić? pytała.

— Do mojej matki, do domu mej matki.

— Do twojej matki? Ty masz więc matkę? badała zdumiona.

— Tak, Bóg mi ją wrócił niespodziewanie. Pokochasz ją, jestem tego pewien, gdy poznasz jak ona jest dobrą, jak nawzajem kochać cię będzie.

— Ach!.. ukazać się przed nią, mnie, mnie tak występnej, szeptała biedna ze łkaniem. Czyś zastanowił się nad tem, Andrzeju? Nie! ja nie będę miała ku temu odwagi. To przechodzi me siły.

— Moja matka jest świętą istotą! odparł San-Rémo. Anielską litość i przebaczenie znajdziesz w jej duszy! Wie ona o wszystkiem. Wie o naszym błędzie, o naszem nieszczęściu, nic przed nią nie ukryłem. Zna ona już ciebie, i szczerze cię żałuje. Kocha cię, nie znając. Gdyby nie ciążąca nad nami fatalność, moja matka byłaby nas ocaliła. Ona mi dała milion, potrzebny na wykupienie listów. Nieszczęściem ów nikczemnik wcale się nie ukazał. Nie obawiaj się więc, moja ukochana, nie pozostaniesz samą na świecie. Znajdziesz dwa serca zupełnie sobie oddane. Moje serce i serce mej matki. Nie płacz więc. Pójdź ze mną! {{kropki-hr} Henryka d’Auberive oczekiwała na Andrzeja u siebie w pałacu, przy ulicy de l’Echiquier. Oczekiwała niespokojnie, gorączkowo, nie umiejąc sobie

wytłumaczyć tak długiej nieobecności syna.

— Wszakże od dawna, myślała, wszystko skończonem już być powinno? Dla czego Andrzej nie spieszy z przyniesieniem dobrej wiadomości? Co znaczy to jego opóźnianie się? Miałażby nastąpić jakaś nieprzewidziana komplikacja wypadków? Zagrażałożby to nowem nieszczęściem!

Uklęknąwszy przed krucyfiksem, panna d'Auberive błagać Boga poczęła o miłosierdzie nad tyle drogim dla niej synem, a oraz i nad tem drugiem występnem dzieckiem, które upadło jak ona, i cierpi jak ona niegdyś cierpiała.

Nagle drzwi się otwarły. Henryka powstawszy, spojrzała.

Andrzej ukazał się w progu.

Nie był on sam.

Przysłonięta gęstą woalką kobieta, drżąca, nieśmiała, usiłowała ukryć się w cieniu.

Panna d'Auberive zrozumiała, a raczej wszystko odgadła. Nic więc powstrzymać nie zdołało surowej ręki przeznaczenia! Katastrofa nastąpiła.

— Andrzeju! zawołała z boleścią, Andrzeju, wszystko stracone, nieprawdaż?

— Nie, odrzekł San-Rémo, nie, nie wszystko jeszcze stracone, matko, ponieważ ty nas nie opuścisz, i otworzysz ramiona dziecku, którego całą zbrodnią jest, że mnie kochało.

I ująwszy za rękę Herminię, poprowadził ją ku Henryce.

Panna d'Auberive uniosła zlekka koronkową zasłonę przysłaniającą twarz wicehrabiny. Wpatrywała się przez chwilę z wzrastającem wzruszeniem w bladą twarz młodej

kobiety, na której głębokie cierpienie wyryło swe ślady, w jej piękne oczy, napełnione łzami, w te usta drżące pobladłe.

I nagle szybkim ruchem przysunąwszy ku sobie Herminię, ujęła ją w objęcia, przytuliła do swoich piersi i w milczeniu okrywała pocałunkami jej włosy, czoło, policzki.

Dwie te kobiety, zgubione jednakim prawie błędem życia, połączyły swe łzy i pieszczoty.

— A teraz posłuchaj mnie moja córko, rzekła Henryka, Bóg świadkiem, że kocham cię szczerze. W mojem sercu znajdziesz dla siebie skarby pobłażania, zresztą nie mam prawa być surową, czując się sama nie bez winy. Posłuchaj mnie więc, i chciej zrozumieć me dziecię. Inny to głos będzie przemawiał przez moje usta, głos tam z wysoka, głos, którego słuchać należy z uszanowaniem, i za którego rozkazem kornie iść trzeba. Herminio! dla ciebie nie u mnie tu miejsce!

— Moja matko! zawołał Andrzej.

— W całej tej sprawie, jest jeden tylko występny, jeden prawdziwie winny, odpowiedziała Henryka, zwracając się do niego; a tym winnym ty jesteś, moje dziecię. Nie przerywaj mi więc. Nie utrudniaj mi spełnienia świętego obowiązku, jaki nakazuje mi sumienie!

— Mów pani, wyjąknęła Herminia, i cokolwiekbądź powiedzieć byś mi miała, wysłucham cię, przysięgam, jak gdyby sam Bóg zwrócić się raczył ku najkorniejszej z grzesznic. Nie tu dla mnie miejsce, powiedziałaś pani. Ach! zrozumiałam to dobrze. Twój syn mógłby to potwierdzić. W około siebie jednak widzę tylko próżnię. Gdzież mam się

udać, ażeby wlec dalej moje życie we łzach i żalu? Powiedz mi pani, bo niewiem, niewiem doprawdy gdzie dla mnie jest miejsce?

— W domu twojego męża, odpowiedziała Henryka.

Andrzej cofnął się ze zdumieniem. Herminia zadrżała.

— Tak, mówiła dalej panna d'Auberive, w domu tego zacnego człowieka, któremu zadałaś jedną z owych bolesnych ran, jakie nie zagajają się do śmierci. Przestrasza cię to, wiem dobrze, wzdrygasz się na coś podobnego. Wszak trudno! Nie łamie się bezkarnie praw Bożych! Kara następuje po spełnionem błędzie. Wielkie i ciężkie winy okupuje się wielkiemi ofiarami! Dusza upadła podnosi się i oczyszcza przez zadośćuczynienie. Moja pokuta trwa od dwudziestu dwóch lat, a nie czuję się jeszcze należycie oczyszczoną z popełnionej winy!

— Masz pani słuszność, wyszepnęła Herminia. Słuchając cię, rozjaśnia się mój umysł, widzę teraz o ile byłam nikczemną! Mów, rozkazuj, wskaż co mam uczynić?

— Upaść do stóp starca, tak ciężko obrażonego przez ciebie, odpowiedziała Henryka, wznieść ku niemu ręce z błaganiem, nakazać sercu milczenie, a wygnawszy zeń występna miłość, otworzyć je dla szczerego żalu. Zdeptać nakoniec swą własną pychę i zawołać klęcząc przed mężem: Zgrzeszyłam przeciwko niebu i tobie!.. przebacz mi, przebacz!

— Ach! zawołała Herminia, on nie przebaczy mi nigdy, przebaczyć niemoże!

— Dla czego?

— Ponieważ kłamałam, oszukałam go, zdradziłam!

Zbrukałam honor tego szlachetnego, dobrego serca, który mnie kochał nad wszystko na świecie! Czuję więc, jestem pewną, że przebaczenie z jego strony jest niemożebnem!

— Kto wie, szepnęła Henryka.

— Nie przygnębi mnie on wybuchem swojego gniewu, mówiła dalej wicehrabina, ale mnie obrzuci pogardą. W mojej pokorze i żalu, będzie widział jedno kłamstwo więcej: nową obłudę. Odepchnie mnie... wypędzi!

— Gdyby wypędził cię, biedne dziecię, odpowiedziała Henryka, natenczas zmieni się położenie rzeczy; wtedy ja tobie zaofiaruję schronienie, którego obecnie odmówić ci jestem zmuszoną! Mój dom stanie się wtedy twym domem. Będziemy żyć razem w zupełnej samotności, ponieważ twoja obecność wypędzić odemnie musi mojego syna, pojmujesz to dobrze. Przestępując próg mieszkania, zajętego przez swoją matkę i ciebie, Andrzej naigrawałby Bogu, i mnie zarazem obrażał.

Gorączkowy rumieniec zranionej osobistej godności, zapłonął na twarzy Herminii, wracając jej chwilowo cały blask młodocianej urody.

— Pani! zawołała ze wzruszeniem, przed chwilą nazwałaś mnie swą córką. A więc, okażę się godną tej nazwy! Rozkazujesz, będę ci posłuszną. Wskazałaś mi drogę, pójdę nią. Jestem gotową do wszelkich ofiar, gotową na najboleśniejsze upokorzenia. Nie żądaj jednak, by moje serce wyrzekło się miłości dla Andrzeja, bo tego uczynić nie byłabym w stanie! A teraz uściśnij mnie, moja matko, i módl się za mnie! Wracam do pana de Grandlieu.

— Czy sądzisz biedne me dziecię, że pozwoliłabym ci

tam pójść samej? zapytała żywo Henryka.

— Któż więc, kto mógłby mi tam towarzyszyć? wyjąknęła Herminia.

— Ja!.. moja córko!.. ja idę z tobą, odpowiedziała panna d’Auberive.

XIII.

Gdy Henryka z Herminią przybyły do pałacu de Grandlieu, brama wychodząca na ulicę świętego Honorjusza była szeroko otwartą, a odźwierny po raz pierwszy w życiu był nieobecnym w swej loży, gdzie lat tyle przesiadywał.

Obie kobiety minąwszy długi dziedziniec, weszły na schody peronu a stamtąd do przysionka, gdzie czterej lokaje rozmawiali półgłosem z rodzajem widocznego przerażenia.

Wicebrabina, jak wpół umarła, podtrzymywana jedynie gorączkowo-nerwowem rozdrażnieniem, jakie paliło krew w jej żyłach, otworzyła drzwi i weszła do gabinetu pracy, przyległego do apartamentu pana de Grandlieu.

Henryka d’Auberive szła za nią, podziwiając w milczeniu odwagę tego wątłego dziecka, idącego tak śmiało naprzeciw mającego wygłosić jej wyrok sędziego.

Herminią otworzyła ukryte w fałdach jedwabnego obicia drzwi, prowadzące do sypialni pana de Grandlieu, i zadrżawszy od stóp do głowy, nagle się zatrzymała.

Przerażająco ponury widok oczom jej się przedstawił.

Jedyna, paląca się lampa, słabo oświetlała pokój

obszernych rozmiarów, zdobny rzeźbami z czarnego dębu umeblowany hebanowemi sprzętami.

Starzec spoczywał na łóżku nieruchomy, blady jak trup, z czołem obwiązanem bandażem krwią poplamionym.

Dwaj mężczyźni stali tuż przy nim, jeden u stop łoża, drugi przy poduszce. Pierwszy był doktorem a drugi księdzem. Pani de Grandlieu zrozumiała, że jej wina stała się zbrodnią, i że jej mąż umierał przez nią zabity.

Nieszczęśliwa wydała krzyk głośny, wbiegłszy szybko, rzuciła się na kolana w pobliżu łóżka, przytłoczona rozpaczą i wyrzutami sumienia, a ukrywszy twarz w dłoniach, gorzko płakała. Nagle uczuła jak gdyby słabe dotknięcie ręki na swojej głowie. Usłyszała szept cichy zwrócony do obecnych mężczyzn:

— Pozostawcie mnie samego z panią de Grandlieu, proszę was, panowie. Wrócicie za kilka minut, będzie czas jeszcze.

Kapłan wraz z lekarzem wyszli, spojrzawszy z współczuciem na rozpaczającą.

Wicehrabina płakała, załamując ręce. Chciała przemówić, wyznać swą winę, błagać przebaczenia. Niemogła!.. Usta jej poruszały się, wydając jakieś niewyraźne dźwięki.

Starzec zaczął mówić, zwolna, z ciekawością:

— Herminio, moje dziecię, szeptał zamierającym głosem, powróciłaś. Bóg cię tu przyprowadził, oczekiwałem na ciebie. Jakieś wewnętrzne przeczucie mówiło mi że wrócisz. Wiedziałem, że niepozwoliłabyś mi umrzeć, bez udzielenia ostatniej pociechy zobaczenia

ciebie.

Pani de Grandlieu podniosła głowTę zdumiona.

— Czy to ty do mnie mówisz? wyjąknęła. Ciebie ja to słyszę? ciebie, którego tak nikczemnie zdradziłam, obraziłam tak śmiertelnie?

— Biedny, upadły aniele z mej winy, wołał wicehrabia, nie mów o zdradzie, nie mów o urazie. Przebaczam ci z głębi serca. Z głębi serca cię rozgrzeszam. Jesteś winną, bezwątpienia, wszak przedewszystkiem ja zawiniłem, ja, który nie zważając na świętość uczynionej przysięgi, przykułem cię do mej starości!.. Górko Klotyldy de Randal, jam to zgotował ci los tak smutny! Gdybym był oddał twą rękę innej młodej dłoni, jak to było mym obowiązkiem, żadna plama nie kaziłaby dziś czystej twej duszy! Pozostałabyś anielskiem dzieckiem, jak niegdyś. W tej uroczystej godzinie, gdzie Bóg mnie wzywa do siebie, poglądam wstecz, z jasnowidzeniem mającego umrzeć za chwilę. Pojmuję, ach!.. i rozumiem całą doniosłość zbrodni, jaką popełniłem, i z kolei mówię do ciebie: Przebacz mi, Herminio!

Łkania dławiły prawie panią de Grandlieu. Za całą odpowiedź chwyciła zlodowaciałe ręce swojego męża, a okrywając je pocałunkami, zraszała łzami.

Nastąpiło długie milczenie, przerywane konwulsyjnemi jękami żałującej grzesznicy.

Głos Armanda ozwał się na nowo, lecz o wiele więcej osłabiony.

— Powstań, moja córko, mówił pan Grandlieu, wstań, i przybliż swe czoło do ust moich, ponieważ ja nie mogę się

pochylić ku niemu. Herminio, nadchodzi stanowcza chwila. Zimno mnie na wskroś obejmuje, myśl tylko jedna jest żyjącą. Nie wyrzucaj sobie nigdy mej śmierci. Dosięgnąłem, przeszedłem nawet zakres, jaki dobroć Boża oznacza dla egzystencji człowieka. Wyznałem przed kapłanem moje błędy. Jego rozgrzeszenie otworzy mi bramy piękniejszego świata, tam, w górze, gdzie mnie oczekuje twoja matka. Odchodzę smutny, opuszczając ciebie, lecz zadowolony, że ci powrócę wolność. Zachowaj w głębi duszy wspomnienie dla starca, który cię bardzo ukochał. Bądź szczęśliwą... bądź szczęśliwą... i nie płacz! Dla czego płakać? Ja nie umrę, moje kochane dziecię, ale podążę ku odrodzeniu!

Były to ostatnie słowa wicehrabiego Armanda de Grandlieu. Jego ręce błąkać się zaczęły po kołdrze ze zwykłym ruchem konających. Zdawały się jak gdyby szukać czegoś, i po kilku sekundach odnalazły to, czego szukały. Był to skromny krucyfiks z czarnego drzewa, ze srebrnym Chrystusem.

Starzec miał jeszcze siłę unieść ów krzyżyk i przyłożyć go do ust z uniesieniem gorącej, niewysłowionej wiary, poczem wydał długie westchnienie, a jego nieruchome oblicze zajaśniało niebiańską radością.

Wzniosła dusza tego sprawiedliwego ubiegła w przestworza.

. . . . . .

Ksiądz wszedł wraz z doktorem.

Herminia bez zmysłów padła u stóp łóżka.

Henryka d’Auberive podbiegłszy, ujęła ją w ramiona.

* *
*

Baron de Croix-Dieu, wskoczywszy do fiakra przejeżdżającego przed domem, rzekł wtedy do woźnicy:

— Dwadzieścia franków jeżeli za dziesięć minut do wieziesz mnie na stację drogi żelaznej.

Powożący zarobił dwadzieścia franków.

Filip, wsunąwszy mu w rękę sztukę złota, zniknął w tłumie podróżnych, zapełniających salę.

Nie miał wcale zamiaru wyjeżdżać. Chciał tylko zatracić swe ślady dla Gavarda i San-Rémo, którzy w razie śledzenia go pragnął, aby uwierzyli że wyjechał.

Andrzej i Oktawiusz wiedzieli dobrze, co sądzić w tym względzie. Postawili więc pomimo wszelkich przeszkód, albo doprowadzić do skutku pojedynek, lub w przeciwnym razie udać się do sądu z oskarżeniem.

Croix-Dieu zaś niechcąc za nic w świecie bić się z swym synem, musiał unikać spotkania z nim teraz. Z drugiej zaś strony, możliwość wdania się sądu w tę sprawę, przedstawiała dlań ważne niebezpieczeństwo.

Co więcej, małżeństwo z panią Blanką Gavard stawało się teraz niemożebnem.

— Mniejsza z tem, mówił sobie Croix-Dieu, jestem dość bogatym, zniknąć mogę! Będę żył jak wielki pan na

obczyźnie; przyślę z Berlina lub Londynu, któremu z adwokatów upoważnienie do sprzedania mych koni, powozów, mebli, i różnych przedmiotów sztuki, zdobiących moje mieszkanie. Przed upływem miesiąca opuszczę Paryż.

Dla czego ta zwłoka? zapytają czytelnicy.

Dla najprostszej w świecie przyczyny.

Telegram biegnie prędzej niźli parowa maszyna. Rysopis barona, wysłany za pomocą telegraficznego aparatu, mógłby sprowadzić zaaresztowanie go przy granicy. Potrzeba więc było, zmieniwszy zupełnie powierzchowność, ukrywać się przez jaki miesiąc, a potem spokojnie ze sfałszowanym paszportem, napisanym według wszelkich reguł, wsiąść do pociągu trzeciej klasy, któryby go przewiózł na jaką gościnną ziemię.

Ów nędznik musiał myśleć teraz nie tylko o własnem ocaleniu, ale i o bezpieczeństwie dla swoich milionów, a ta myśl zwiększała wrodzoną jego przezorność.

Skutkiem tego wynajął oddawna w oddalonym okręgu Paryża, przy ulicy Bichat z drugiej strony kanału, pokój na facjacie, jaki umeblował kilkoma nader skromnemi sprzętami, i gdzie przepędzał noc, niekiedy, ażeby przyzwyczaić odźwiernego do dźwięku swojego głosu, nie ukazując mu rysów twarzy, ponieważ powracał późno, a wychodził bardzo rano.

Ten pokój służył mu teraz za schronienie.

Wyszedłszy ze stacji drogi żelaznej głównemi drzwiami, udał się do fryzjera, kazał ogolić wąsy, faworyty i obciąć sobie krótko włosy; u drugiego fryzjera kupił sobie blond perukę fryzowaną, nabył miękki z szerokiemi skrzydłami

kapelusz, a swój pozostawił pod pozorem odprasowania, założył niebieskie okulary, obwiązał szyję białą fularową chustką, i zmieniony do niepoznania, wsiadł do fiakra, rozkazując się zawieść na Montrouge.

Nic nie pociągało go teraz w stronę miasta, niechcąc wszelako ukazywać się przy ulicy Bichat inaczej, jak wieczorem o bardzo późnej godzinie, miał dosyć czasu do zużycia go w oddaleniu od centrum Paryża.

Nasunąwszy na oczy kapelusz, z przewieszona na rzemieniu przez plecy torbą skórzaną, co mu nadawało pozór podróżnego, wszedł do małej traktjerni, w pobliżu stacji de Sceaux, a umieściwszy się w oddzielnym gabinecie, rozkazał podać sobie obiad i śniadanie.

Zapłaciwszy rachunek, wsiadł do fiakra około czwartej wieczorem, każąc się obwozić po czterech stronach Paryża, kupił dziennik wieczorny i przed północą, wrócił na ulice Bichat, wysiadłszy na kilka kroków od domu, w którym się znajdowało jego mieszkanie.

Croix Dieu. wysiadając z fiakra, dostrzegł jakiegoś mężczyznę ukrytego w cieniu, którego rysów twarzy rozpoznać nie mógł w mroku źle oświetlonej ulicy.

Człowiek ten zaczął dzwonić do bramy domu, ku której szedł Filip. Drzwi bramy otwarto. Mężczyzna ów wszedł. Croix-Dieu zawahał się, lecz jednocześnie wzruszył ramionami, szepcząc:

— O cóż u djabła mam się niepokoić? Nikt nie wie że ja tu mieszkam. Trzeba być warjatem, aby obawiać się czegoś!

I zadzwoniwszy z kolei, wbiegł w ciasny korytarz,

prowadzący na schody.

W tym korytarzu ciemno było zupełnie.

— Kto wszedł? zapytał odźwierny z głębi mroku, panującego w jego stancyjce.

— To ja. Krysztof Bréchu, tutejszy lokator, panie de Pithiviers, odpowiedział Filip. Przyjechałem, i pozostanę tu przez dni kilka.

— Wybacz, że zatrzymuję cię, panie, mówił dalej odźwierny, lecz chciałem cię powiadomić, że mamy teraz w naszym domu pokoje umeblowane, wymagające ścisłego nadzoru.

— Pokoje umeblowane? powtórzył baron.

— Tak, dwa ma małe pokoiki, tam na górze, obok pańskiego pokoju. Ponieważ ciągle prawie stały opróżnione, właściciel nie znoszący rzeczy bezprocentowych, kazał je umeblować w nadziei prędszego wynajęcia. Mamy już lokatora od pięciu dni, a jutro drugi przybędzie.

— Tem lepiej dla was. Dobranoc!

— Dobranoc, panie Bréchu, ciągnął odźwierny. Twój sąsiad nie będzie ci w spoczynku przeszkadzał. Jest to młody człowiek, bardzo spokojny. Powraca tylko na noc. Musiałeś go pan widzieć przy bramie przed chwilą?

Wspomniony wyż młodzieniec zatrzymał się na wysokości pierwszego piętra, aby wysłuchać rozmowy, prowadzonej między nowoprzybyłym i odźwiernym.

Posłyszawszy mówiącego Filipa, drgnął nagle.

— To głos barona Croix-Dieu, wyszepnął. Wszak niepodobna ażeby to on był? Jest wiele głosów zbliżonych

dźwiękiem do siebie. Bądź co bądź, radbym zobaczyć oblicze tego pana Bréchu.

Życzenie lokatora z umeblowanego pokoju bezzwłocznie się spełniło.

Croix-Dieu, przypomniawszy sobie o złym rozkładzie schodów, jakie miał przebyć, potarł o mur zapałkę, by zyskać potrzebne światło. Niebieskawy płomień fosforu oświetlił jego postać na sekundę.

Ta krótka chwila wystarczyła mężczyźnie, pochylonemu nad poręczą, do rozeznania rysów barona.

— Ogolił wąsy i faworyty, wyszepnął, ale pomimo okularów przysłaniających mu oczy, poznaję go dobrze. To on! Skąd i dla czego to jego przebranie? Co on tu robi pod tem fałszywem nazwiskiem? To dziwna!

Croix-Dieu szedł wciąż na górę.

Ów młody mężczyzna niechcąc się z nim spotkać, a obawiając się, by jego podpatrywanie odkrytem nie zostało, pobiegł szybko i zatrzymał się nawprost swojego mieszkania, do którego wszedłszy, zamknął drzwi na klucz za sobą.

Ów pokój, a raczej gabinet, tak bowiem szczupłe były jego rozmiary, tworzył część mieszkania z trzech pokoików się składającego. Dwoje drzwi doń prowadziło. Drzwi z lewej przytykały do opróżnionego lokalu, z prawej do pokoju barona, wynajętego przezeń pod nazwiskiem Krysztofa Bréchu.

Sprzęty w mieszkaniu nieznajomego były nader skromnemi. Składały się one z prostego drewnianego łóżka, stolika, orzechowej komody i czterech krzeseł. Nie było tu

pieca ani kominka. Podczas zimy wstawiano mały piecyk blaszany. Okrągła dziura, przebita na wysokości dwóch metrów w ścianie drewnianej, z prawej strony, zastawiona kawałkiem deseczki drewnianej, oznaczała miejsce, którędy była poprowadzoną rura z tego pieca.

Filip, przybywszy na kurytarz drugiego piętra, zapalił nową zapałkę, otworzył drzwi swego mieszkania, wszedł, a zamknąwszy je na klucz, popchnął wewnętrzną zasuwkę, poczem rozpaliwszy dwie świece, zdjął z siebie torbę podróżną, rzucił ją na łóżko, i padł na wielki stary fotel, jak człowiek ciężko zgnębiony.

Napróżno sobie powtarzał: „Niemam się czego obawiać“. Dziwna, nieznana trwoga ogarniała go pomimowolnie. Daremnie mówił sobie „Osiągnąłem cel zamierzony. Jestem bogatym“. Miliony, nagromadzone w torbie skórzanej, napawały go przerażeniem.

— Otóż następstwa znużenia, wyszepnął do siebie. Najsilniejszy człowiek, przy wyczerpaniu sił, dzieckiem się staje. Na szczęście, bym powrócił do zwykłego stanu zdrowia, potrzeba mi jednej nocy snu spokojnego. Co mi jest jednak? Skąd ten niepokój i trwoga? zapytywał siebie.

I dla rozproszenia czarnych myśli, wyjął z kieszeni wieczorowy dziennik, szukając w dziale codziennych ogłoszeń, wiadomości o popełnionej zbrodni przy ulicy Le Sueur.

Znalazłszy to i bardzo obszernie opisane, pożerał wzrokiem, czytając.

Przy ukończeniu powyższego artykułu, zbladł nagle. Dziennik z rąk mu wypadł na ziemię.

Artykuł kończył się temi słowy:

„Powiadomiono nas, że hrabina de Tréjan, przywrócona do życia prawie cudownym sposobem, w chwili zgonu, wymieniła mordercę. Znamy to nazwisko, wymówione drżącemi usty nieszczęśliwej kobiety, ze względu jednak, by nie przeszkadzać poszukiwaniom policji, zamilczeć o tem musimy. Wolno nam jednak nadmienić, że skoro agenci przybyli do mieszkania zabójcy, aby go przyaresztować, nie znaleźli go, ratował się ucieczką. Odkryto jednak już jego ślady, i potworna ta zbrodnia nie ujdzie bezkarnie“.

— Nie zabiłem jej więc? wyjąknął Filip przestraszony i drżący. Przemówiła! Trzeba zatem uciekać. Uciekać jak najprędzej. Ale gdzie, i jak uciec? Policja czuwa i śledzi. Czuwać będzie noc i dzień. Mój rysopis rozesłano wszędzie. Zresztą wystarcza być nieznanym, ażeby ściągnąć podejrzenie. Niepodobna wyruszyć mi się teraz z Paryża. Gdybym to uczynił, ręka pierwszego lepszego policyjnego agenta pochwyciłaby mnie za kołnierz! Tonę, przybiwszy do portu. Moje nienasycone pragnienie miljonów w przepaść mnie wtrąciło. Jestem zgubiony!

Głowa nędznika ku piersiom się pochyliła; krople zimnego potu spływały mu po czole i skroniach. Nigdy kompletniejsze obezwładnienie nie ogarnęło człowieka.

Reakcja jednak wkrótce nastąpiła. Poczucie niebezpieczeństwa zbudziło w nim energję.

— Zgubionym? powtórzył, dla czego? Owo cudowne wskrzeszenie Fanny Lambert, to wyjawienie prawdy „in extremis“, są to kłamstwa dziennikarzów, dla utworzenia sensacyjnego artykułu. Zresztą, gdyby to i prawdą było, co

mi to szkodzi? Na co im się przyda wiadomość, że Croix-Dieu był występnym, skoro Croix-Dieu zniknął i nie istnieje? Nie pochwycono Fryderyka Müller. i mnie nie pochwycą? Komuby przyszło na myśl szukać mnie tu, w tym kącie?

Na wpół uspokojony tem rezonowaniem, Filip udał się na spoczynek, wsunąwszy swą torbę pod materace, na stoliku zaś przysuniętym do łóżka, położył nabity rewolwer.

Zgasiwszy świecę, zasnąć usiłował, sen jednak nie przychodził, aż w chwili, gdy brzask dzienny ukazywać się zaczął.

Jego sąsiad lokator nie spał zarówno.

Przewracał się na łóżku bezustannie powtarzając:

— Dla czego ten Croix-Dieu tu się ukrywa?

Owym sąsiadem barona był Jerzy Tréjan.

Niech nas to nie dziwi, że hrabia Jerzy znajdował się w tak nędznem mieszkaniu. Nic bardziej prostego nad jego tu obecność. Wyjaśnimy w kilku słowach to, co mogłoby się zdawać nieprawdopodobnem dla czytelników.

Jerzy, jak wiemy, wyszedłszy z pałacu przy ulicy Le Sueur, nie posiadał nic więcej nad kilka luidorów, które się szybko rozpłynęły, jak się topi złoto w Paryżu. Żyć było trzeba, żyć z własnej pracy, a Tréjan nie posiadał ani stosownego ku temu mieszkania, ani artystycznych materjałów, jakie kosztując bardzo drogo, nie przynoszą często tego, co za nie zapłacić potrzeba. Wyczekiwać niepodobna było. Należało natychmiast zarabiać pieniądze, i starać się o zapewnienie sobie lepszej przyszłości.

Nazajutrz po swoim pojedynku z księciem Aleosco,

Jerzy otrzymał dwa zamówienia. Jeden ze słynnych dekoratorów, ofiarował mu znaczną sumę za wymalowanie modeli do robót snycerskich, mających być wykonanemi do jednej ze sztuk historycznych, mającej się ukazać na bulwarowym teatrze.

Dyrektor tegoż teatru prosił Jerzego o wyrysowanie stu pięćdziesięciu kostjumów, potrzebnych do tej samej sztuki.

Ta podwójna robota mogła przynieść artyście do trzech tysięcy franków.

Jerzy chętnie ją przyjął.

Pracownia dekoratorska znajdowała się o kilka kroków od ulicy Bichat.

Tréjan przechodząc tą ulicą, spostrzegł kartę oznajmującą o pokojach umeblowanych do wynajęcia. Cena tego lokalu była nader umiarkowaną. Oszczędność czasu i pieniędzy! Tréjan opuściwszy więc zakątek w hotelu Saint-Phar, wprowadził się tu z postanowieniem zamieszkania przez parę tygodni. Mieszkał tu od pięciu dni.

XIV.

Uderzyła siódma nad ranem.

Jerzy, ukończywszy swą toaletę, zakładał w ramy przy otwartem oknie, arkusz zmoczonego papieru dla obeschnięcia, gdy lekko zapukał ktoś do drzwi.

Artysta pospieszywszy otworzyć, ujrzał ze zdumieniem czterech stojących w korytarzu nieznanych sobie mężczyzn, z których jeden miał pod zwierzchniem okryciem

przewiązaną szarfę trójkolorową.

Ta szarfa, oznajmiała komisarza policji, w chwili spełniania służbowych obowiązków.

Komisarz wszedł wraz z jednym ze swych towarzyszów. Inni zostali w korytarzu.

— Panie, rzekł Jerzy, kłaniając się, sądzę, iż pan zapewne się omyliłeś.

— Jestżeś pan hrabią de Tréjan? pytał komisarz.

— Tak, panie.

— A więc, rzekł występując Jobin, w imieniu; prawa aresztuję pana!

Artysta zadrżał i pobladł, najmniejsza jednak obawa nie ukazała się na jego obliczu, i odrzekł z zupełnym spokojem:

— Pan mnie aresztujesz? Pozwól więc zapytać, skutkiem czego nastąpiło to przyaresztowanie?

— Pańskie sumienie winno pana o tem powiadomić, odparł komisarz policji.

— Moje sumienie jest czystem, rzekł Tréjan, o niczem mnie ono nie powiadamia. Żądam odpowiedzi.

— Jesteś pan obwinionym, rzekł Jobin, o spełnienie onegdajszej nocy podwójnego morderstwa, na osobach księcia Aleosco i hrabiny de Tréjan, twej żony.

Osłupienie i przestrach, wraz z piorunującem wzruszeniem, wstrząsnęły całą postacią Jerzego.

— Zamordowani! wyjąknął, padając bezsilnie na krzesło. Zamordowani! och! nieszczęśliwa.

I głośno łkać zaczął.

Jobin zbliżył się do Tréjan’a.

— Panie! rzekł cicho, uspokój się, proszę. Wypełniam

nader ciężki i przykry obowiązek, zmuszony nakazem sądowym, wydanym przeciwko panu, przystępuję do zaaresztowania. Mogę jednak pana upewnić, że posiadam wszelkie dowody, świadczące o twej niewinności w tej sprawie. Wiem dobrze kto jest mordercą twej żony.

Jerzy podniósł głowę.

— Sądzisz pan, odrzekł, iż mnie zatrważa to bezrozumne oskarżenie? Bynajmniej. W żadnym razie dosięgnąć mnie ono nie może, w proch rozproszy się ta potwarz przed oczywistością! Spędziłem dzień cały, noc i wieczór onegdajszy w Saint-Germain, gdziem zdejmował szkice z zamku i lasu. Dwie wiarogodne osoby, z których jedna jest głośną i sławną, towarzyszyły mi tam, nie odstępując na chwilę. Nocowaliśmy w jednym i tym samym pokoju, i razem powróciliśmy wczoraj rano do Paryża. Nie, panie, to oskarżenie wymierzone przeciw mnie, wcale mnie nie niepokoi, ani wzrusza, ni trwoży. Myślę jedynie o popełnionej zbrodni; o księciu, który był moim przeciwnikiem; o tej nieszczęśliwej kobiecie; którą tyle kochałem. Ach! Fanny, Fanny, jakaż straszna kara! Po chwili milczenia, Jerzy zwracając się do Jobin’a, mówił dalej: Pan znasz zabójcę, jak mi to powiedziałeś. Na imię nieba! wymień mi jego nazwisko!

Jobin pochylił się, szepcząc do ucha artyście:

— Mordercą jest baron de Croix-Dieu!

Tréjan spojrzał na agenta z takiem osłupieniem, że Jobin cofnął się, sądząc, iż artysta zwarjował.

— Baron! baron de Croix-Dieu! powtarzał Jerzy. Ach! jakże tu widnieje ręka Opatrzności! jak jasno się ukazuje

Boża sprawiedliwość! Zaczekajcie, zaczekajcie, panowie.

I, wskoczywszy na stolik stojący pod otworem, przebitym w ścianie dla piecowego kanału, uniósł końcem noża deseczkę, nakrywającą ów otwór, i spojrzał przezeń do wnętrza sąsiedniego pokoju.

— Wejdź pan, i patrz! rzekł do Jobin’a. Wejdź, i spójrz dobrze!

Łóżko stało na wprost tej w ścianie przebitej, okrągłej dziury.

Filip, zbudziwszy się nagle, ujrzał w otworze twarz bladą, której czarne, iskrzące oczy, przypatrywały mu się z tryumfującą ciekawością.

W oka mgnieniu poznał to oblicze. Przypomniał sobie, w jak strasznej widział je kiedyś okoliczności.

Była to twarz agenta, przybyłego dla przyaresztowania kasjera Fryderyka Müller, przed siedmioma laty, który, aby się wemknąć do małego domku, położonego przy ulicy de Neuilly, tak zręcznie naówczas naśladował głos i postać Stani: Picolet’a, jednego z pracowników agencji Roch i Fumel.

Croix-Dieu, przerażony na razie ukazaniem się tego zjawiska, posłyszał jak gdyby dźwięk żałobnego dzwonu, tętniący mu nad uszami.

— Ach! jestem zgubiony! pomyślał.

I przez kilka sekund, ów olbrzym zbrodni leżał na łóżku nieruchomie, jak gdyby przykuty doń jakąś niewidzialną siłą, co wnosić pozwalało, iż da się on ująć bez stawiania oporu.

— Hrabio Loc-Earn. Fryderyku Müller, baronie de

Croix-Dieu, aresztuję ciebie! mówił głos z głębi otworu. Uprzedzam jednak, abyś nie starał się wskrzeszać tragikomedji z przed siedmiu laty, znajdujemy się tu bowiem w przeważającej sile. Zostałeś osaczonym, nie będziesz się nam mógł wymknąć teraz. Nie chciej więc nadaremnie wynajdywać ku temu sposobów, i poddaj się dobrowolnie. Jeżeli aprobujesz mą radę, otwórz drzwi, bo inaczej je wyważymy!

Te słowa wywołały w zbrodniarzu gwałtowną reakcję.

Wygłoszone przez Jobin'a nazwisko Loc-Earn, stawiło mu całą przeszłość przed oczyma. Ujrzał drogę swego życia zasianą niezliczonemu zbrodniami, a jedyny cel, ku któremu dążył, i w który wierzył przed chwilą, rozpadł w ruinę!

Miljony, zebrane w błocie i krwi, zmieniły się nagle w opadające liście jesienne.

Jedyną dlań odtąd przyszłością, głębia ciemnego więzienia, zebranie sędziów, a następnie w pewien szary poranek, szafot na placu de la Roquette z zawieszoną nad nim gilotyną, kat Paryża ze swymi pomocnikami, błysk noża, głowa staczająca się w kosz, wśród tłumu zebranych, dla przypatrzenia się zakończeniu owej ponurej tragedji.

Było to przeznaczenie fatalne, wszak nieuchronne. I to miało nastąpić obok zebranych miljonów. Na tę myśl wściekłość ogarniała zbrodniarza. Wszystka krew na mózg mu uderzyła, zaślepiając go prawie. Stał się sino-czerwonym.

— Ha! jestem zwyciężony, wyszepnął. Lecz nie pochwycą mnie żywym! Nie! nigdy! Ilu ich tu jest,

wszystkich jednego po drugim zabiję, a potem sam pozbawię się życia.

— No, jakże, rozmyśliłeś się? pytał Jobin. Poddajesz się nam?

W miejsce odpowiedzi, Croix-Dieu pochwycił rewolwer i w otwór go wycelował.

Głowa policjanta ukryła się i zniknęła.

— Panie komisarzu, rzekł cicho, nie narażaj się pan. Na co się to przyda? Rzecz idzie na gorąco. Ten łotr trzyma w ręku wycelowany rewolwer. Czuje że go wezmą, a wietrząc, co go czeka, naśladować chce dzika przez psy osaczonego. Będzie się bronił do ostatka.

— Masz broń przy sobie? pytał komisarz. Gdyby wypadło się bronić, użyj rewolweru.

— Użyjemy go, ma się rozumieć w konieczności, rzekł Jobin, on jednak pierwszy wystrzeli, a ztąd prawdopodobnie, iż pokładzie nas trupem jednego po drugim, kolejno. Trzeba więc przedewszystkiem obezwładnić tego bandytę, uniemożliwiając mu ucieczkę. Mam plan już obmyślony, rzekł Jobin. I wydał polecenie jednemu z agentów, który szybko pobiegł.

Podczas, gdy się to działo w pokoju Jerzego Tréjan, Croix-Dieu szybko z łóżka wyskoczył. Ubrał się, torbę podróżną przerzucił przez siebie, a wsunąwszy w kieszeń rewolwer, począł zajmować się zabarykadowaniem drzwi, stawiając meble jedne na drugich.

Szafa i komoda broniła silnie drzwi wychodzących na kurytarz. Łóżko i trzy fotele postawione jedne na drugich barykadowały drugie wejście. Materacem zatkał otwór w

ścianie, z którego oblegający mogliby byli urządzić sobie strzelnicę.

Po ukończeniu tego, Croix-Dieu z rewolwerem w ręku, z wykrzywioną twarzą, nakształt paszczy rozjuszonego tygrysa, wsparty o kominek, oczekiwał.

Miałżeby mieć nadzieję ucieczki?

Nie myślał o tem wcale. Nie świeciła mu najmniejsza iskierka nadziei. Wiedział dobrze, że uciec mu nie pozwolą, wiedział, że ostatnie słowo co do jego losów, już wyrzeczonem zostało. Pragnął jedynie wyprawić sobie pogrzeb okazały, to znaczy, zabić jeszcze kogoś, zabijać wciąż, zabijać bezprzestannie, do ostatniej chwili zgonu!

Agent, wysłany przez Jobin’a, powrócił, przyprowadziwszy z sobą sześciu strażników miejskich, śmiałych, przezornych, odważnych, wyćwiczonych w dobrej szkole. Prócz tego, przyniósł z sobą drąg zaostrzony na końcu, jakich używają do wydobywania bruku z ulic, podczas reperacji.

Jobin umieścił dwóch miejskich strażników na dwóch końcach korytarza.

— Podważyć silnie te drzwi, rzekł do dwóch drugich, wskazując główne wejście. Wyłamcie je, jeśli możecie, a nadewszystko róbcie wielki hałas, o to głównie nam chodzi. Jest to fałszywy atak. Prawdziwy odbędzie się wewnątrz mieszkania. Ten będzie najniebezpieczniejszy, i ten ja zachowuję dla siebie!

Miejscy strażnicy posłuszni wydanemu sobie poleceniu, poczęli czynić piekielny hałas. Spruchniałe ramy drzwi starych, silnie podważanych, trzeszczeć poczęły. Szafa i

komoda, chwiejąc się, drżały.

Croix Dieu, z palcem przyłożonym na cynglu broni, gotów był dać ognia do pierwszego z ukazujących się we drzwiach.

Jednocześnie Jobin wsuwał spokojnie koniec żelaznego drąga pod drzwi boczne. Znalazłszy punkt oparcia. podważył je tak silnie tą sztabą żelazną, że zamek wraz z zasuwkami wyskoczyły, a drzwi wyszedłszy z zawias, upadły z łoskotem na środek pokoju, wywracając fotele, i tworząc pomost, na którym ukazał się Jobin wraz z dwoma agentami, a podnosząc w ręku rewolwer, zawołał:

— Mamy cię nareszcie! Poddaj się!

Filip ryknął, jak dzikie zwierzę, a zdumiony nieoczekiwaną od tej strony napaścią, strzelił trzy razy, lecz niepewną, drżącą ręką.

Jobin uczuł palący ból w ramieniu. Po za nim jeden z agentów padł z roztrzaskaną czaszką.

— Ach! podły łotrze! huknął Jobin. Wyzywasz, a więc niech się stanie!

I strzelił dwukrotnie.

Obie ręce Filipa obwisły bezwładnie wzdłuż ciała. Pierwsza z kul zraniła mu pięść u prawej ręki, druga strzaskała lewe ramię powyżej łokcia.

Mimo to usiłował bronić się jeszcze. Chciał gryźć, oknem wyskoczyć, wszystko nadaremnie. Walka trwać dłużej nie mogła. Prawo zwyciężyło. Agenci stali się panami tego obezwładnionego potwora.

W godzinę później ciężkie drzwi więzienia Conciergerie zamknęły się za zbrodniarzem, a Jerzy Tréjan po

rozmówieniu się z sędzią śledczym, swobodnie dążył do pałacu sprawiedliwości.

Tegoż samego dnia po południu, wezwany chirurg do Filipa Croix-Dieu, oznajmił, iż zachodzi potrzeba amputacji lewego ramienia i prawej ręki. Przeniesiono ranionego do infirmerji i podwójnej tej operacji natychmiast dokonano.

Filip zniósł ją obojętnie z dziwnym stoicyzmem.

— Doktorze, rzekł sędzia śledczy do chirurga, ocal mi tego człowieka. Jest on własnością szafotu i gilotyny. Za tyle popełnionych zbrodni, kara publicznie mu być wymierzoną powinna! Potrzeba przykładu. Ocalisz go więc?

Doktor potrząsnął głową.

— Wątpię, odpowiedział. Wszystko to jedno zaiste, pod gilotyną czy też na łóżku w konwulsjach, ów nędznik spłaci swój dług sprawiedliwości!

Chirurg miał słuszność, powątpiewając o przywróceniu do sił zbrodniarza.

Przez cały wieczór, Croix-Dieu leżąc na łóżku, nie poruszył się wcale. Oczy miał otwarte nieruchomo. Świszczący oddech wybiegał z jego piersi. Gdyby nie to, można byłoby sądzić że umarł, gdyż jego usta nie wydawały żadnego jęku, i zdawał się nawet nie słyszeć pytań, jakie mu zadawano.

Czy cierpiał?

Tak, cierpiał straszliwie, nad siły!

Pod tym kłamliwym spokojem, jego dusza i ciało doznawały cierpień rozdzierających, tortur niewysłowionych! Tyle krwi rozlanej, tyle popełnionych

zbrodni, tyle poniesionych trudów dla dojścia do celu. I nie módz nawet umrzeć! I czuć się rozbrojonym, zwyciężonym, czuć się być przedmiotem sromoty, wzgardy i hańby! Te myśli, dręczące zbrodniarza, stawały się dlań kaźnią, jakiej żadne słowo ludzkie wyrazić nie jest w stanie!

Około północy dozorcy infirmerji zbudzeni zostali dziwnemi jakiemiś jękami i skargami, dreszczem wstrząsającemi. Zbliżywszy się do łóżka chorego, ujrzeli straszny widok.

Rozpoczęły się konwulsje przewidziane przez doktora.

Croix-Dieu chrapiąc, wyjąć, złorzecząc, wił się jak na rozżarzonych węglach. Oczy wychodziły mu z oprawy. Jego twarz, wykrzywiona kurczowo do niepoznania, przerażająco wstrętna, przedstawiała oblicze człowieka, rzuconego w płomienie.

W konwulsyjnych ruchach porozwiązywały się bandaże i krew z ran płynąć zaczęła. Ciało zbrodniarza zmalało. To zginał się łukowato, to rozluźniające się jego członki wydawały ponure trzeszczenie.

Nagle ów nędznik zerwał się na łóżku z niepojętym wysiłkiem. Jego zmienione rysy twarzy, wzrok obłąkany, wyrażały straszne przerażenie, wyciągnął prawą rękę, jak gdyby odpychając coś przestraszającego, niewidzialnego dla wszystkich, i głosem nieludzkim zawołał:

— Tak! to oni, to oni! Baron Worms, Aleosco! Fanny, wszyscy są tam! Razem we troje! On, z poderżniętem gardłem. Ona, z dwiema ranami w plecach zadanemi mym nożem! Zbliżają się. Otaczają mnie, Wołają! czego oni chcą odemnie? Obrzydłe widma, milczcie! Precz! precz ztąd!

Zmarliście, śpijcie, jak ja spać będę! Mówicie, sprawiedliwość Boża, inne życie. Ha! ha! wszystko się skończy tu na ziemi!

Tu zaśmiał się śmiechem konwulsyjnym, strasznym, djabelskim! Zakrwawioną ręką odpychał wciąż widma, wytworzone obłędem gorączki, a raczej wywołane wyrzutami sumienia.

Na raz śmiech jego umilkł. Wyraz przerażenia wzrastał na jego obliczu. Nowe widma niewątpliwie przed nim występować zaczęły, stokroć straszniejsze od poprzednich, rzucił się nagle w tył, wołając rozpaczliwie:

— Jest więc Bóg!

Zęby mu szczękały. Wielkie krople zimnego potu, spływały po czole, jak łzy. Straciwszy równowagę, upadł na łóżko zakrwawiony.

Agonia się rozpoczęła.

Krótkiem, lecz strasznem było to jego konanie.

W dziesięć minut później ów szatan, nazywający się Loc-Earnem, Fryderykiem Müller i Croix-Dieu, umknął przed ludzką sprawiedliwością, by stanąć przed najwyższym sędzią, przed którym nic się ukryć nie zdoła!

* *
*

W tydzień po zgonie wicehrabiego Armanda de Grandlieu. Henryka d’Auberive wręczyła Herminii list otwarty Andrzeja. Zawierał on co następuje:

„Człowiek szlachetny, wspaniałomyślny, którego

opłakujesz, a ja podziwiam i wielbię, zmarł z przebaczeniem na ustach. Moja matka powtórzyła mi jego ostatnie wzruszające słowa. Mówił: „Odchodzę smutny, opuszczając ciebie, wszakże zadowolony, iż pozostawiam ci wolność“.

„Herminio. pozwolisz że mi kiedyś, gdy się uspokoi twe serce, pogrążone w boleści, nadać ci moje nazwisko“.

Nazajutrz San-Rémo otrzymał następującą odpowiedź:

„Zdrada, spełniona przez nas i śmierć tego sprawiedliwego zmarłego skutkiem tej zdrady, wydrążają przepaść pomiędzy nami! Kochać cię będę zawsze, Andrzeju, wszak nie zobaczymy się już więcej!

Jutro twoja matka zawiezie mnie do klasztoru, w którym przepędziła lat dwadzieścia. Ztamtąd nie wyjdę już więcej.

„Będzie to karą! zadośćuczynieniem! Żegnam cię na zawsze“.

— Stracona! na zawsze stracona! wołał w rozpaczy San-Rémo. Och! moja matko, moja matko! jak żyć z tym bólem w sercu?

— Żyć będziesz dla mnie, moje dziecię, odpowiedziała Henryka, gdyby w istocie wszystko straconem być miało. Mówię ci jednak: Miej nadzieję.

— Czegóż się mogę spodziewać? Na co oczekiwać? wołał zrozpaczony młodzieniec. Wszakże, słyszałaś matko, Herminia jutro się zamknie w klasztorze.

— Jako dama świecka, pensjonarka, lecz nie zakonnica. Pani de Grandlieu jest młodą, ma długą przyszłość przed sobą. Sprawiedliwość Boża i miłosierdzie nie przeznacza kary bez końca. Miej nadzieję, Andrzeju, iż nadejdzie

dzień, gdzie zadośćuczynienie i pokuta się skończą, a jutrzenka szczęśliwszej doli zabłyśnie!

*
* *

Upłynęły lata. Herminia pozostaje ciągle w klasztorze.

Henryka d'Auberive każdomiesięcznie przebywa u niej przez tydzień. Niedaleką zdaje się chwila, w której wicehrabina de Grandlieu zostanie markizą de San-Rémo.

Andrzej nie zna nazwiska swojego ojca, nigdy o niem się nie dowie.

Majątek, skradziony przez Filipa Croix-Dieu hrabinie de Tréjan, wzbogacił ubogich jej krewnych, zamieszkałych w małem miasteczku w Normandji.

Herminia zrzekła się przyjęcia klejnotów skradzionych niegdyś Andrzejowi, a rozpoznanych w sądzie przez ekspertów, jak również nie przyjęła zwrotu miljona, upłaconego na czek z podpisem pana de Grandlieu, jako wykup za listy. Tak ten miljon, jako i drugi, pochodzący ze sprzedaży klejnotów, zostały przez nią przekazanemi na fundację dobroczynnego zakładu dla biednych dziewcząt.

Melania Perdreau, oddając się namiętnie libacjom alkoholicznym, na kilka miesięcy przed wyż opisanemi przez nas wypadkami, zmarła w jednym z paryskich szpitali na „delirjum tremens".

Dzięki oskarżeniu Sariola przed jego zgonem, rozciągniętym został nadzór i śledztwo wyprowadzono sądowe nad czynnościami pani Saint-Angot. Szanowna ta

matrona przebywa w jednym z domów pracy w Paryżu, z którego nie wyjdzie już więcej.

Kapitan Grisolles, zostawszy zupełnym kaleką, żyje ze skromnej pensji, jaką miesięcznie mu wypłacają Oktawiusz i San-Rémo.

Walerja Worms, dzisiejsza wicehrabina de Presles, jest dobrą żoną zacnego męża.

Jobin, którego lekka rana w ramieniu wprędce się zagoiła, sprawuje dzielnie dalej swe obowiązki policyjnego agenta.

Jerzy Tréjan przeszedłszy przez ciężką walkę życiową, zbudził w sobie wolę i energję, jakich mu brakowało. Pracuje wiele wsławiając się w sztuce malarstwa.

Wdowa Blanka Gavard, uwolniona z pod szkodliwego wpływu Filipa Croix-Dieu, stała się najlepszą z matek. Uwielbia swoją synowę, ową śliczną Dinę Bluet, a dzisiejszą panią Gavard. Oktawiusz i Dinah kochają się szalenie. Za kilka miesięcy będą mieli dzieciątko, tak jasnowłose jak matka zapewne.

Koniec tomu siódmego i ostatniego.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Xavier de Montépin i tłumacza: anonimowy.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Tragedje Paryża. Romans w siedmiu tomach - całość

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wydarty
- Terwa
- Piotr433
- Wieralee
- NiktWażny
- Draco flavus
- Seboloidus
- Vearthy
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org

2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium